

JAKUB

# ŚWIEK

# DRELIŁI

NIM BRAKNIE, TCHU

 PULPBOOKS

JAKUB  
**ĆWIEK**

**DRELIŃ**  
**NIM BRAKNIE TCHU**

Łódź 2023

DRELICH. NIM BRAKNIE TCHU

Jakub Ćwiek

Wydawnictwo: Pulp Books

Redaktorka prowadząca: Agnieszka Włoka

Redakcja: Karolina Macios

Korekta: Joanna Kłos, Agnieszka Włoka

Projekt okładki i strony tytułowej: Piotr Sokołowski

ISBN 978-83-966861-1-4

PULPBOOKS SP. Z O.O.

ul. Łagiewnicka 121

91-863 Łódź

[www.pulpbooks.pl](http://www.pulpbooks.pl)

ŁÓDŹ 2023

WYDANIE PIERWSZE

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga zgody Wydawnictwa i Autora.

Niniejsza powieść jest wyłącznie fikcją literacką. Podobieństwo do prawdziwych wydarzeń i postaci jest przypadkowe.

COPYRIGHT © BY JAKUB ĆWIEK

COPYRIGHT © BY WYDAWNICTWO PULP BOOKS ŁÓDŹ 2023

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

Nigdy nie zostawiaj przy życiu człowieka,  
który chciałby cię widzieć martwym.

Richard Stark, Plunder Squad

(tłum. Jakub Ćwiek)

## PROLOG

Marianna była jeszcze przytomna, gdy mężczyzna zajął się pozorowaniem jej samobójstwa.

Zostawił otwarte drzwi, usłyszała więc, jak krzątając się po salonie, rozmawia z kimś przez telefon. Powiedział: „Zrobię tak, żeby wyglądało jak samobójstwo”. Uspokoił też rozmówcę, że wszystko przebiegło bez komplikacji, zgodnie z planem.

Jakbym już była martwa, a przecież wciąż tu jestem! – ta myśl przebiła się przez watę otumanienia.

Tak, była. Leżała w swojej łazience, w wannie powoli napelniającej się wodą. Naga, odurzona nie wiadomo czym i niemal bezwładna, a po jej domu krążył właśnie obcy mężczyzna.

Gdy układał ją w wannie jak w pieprzonym sarkofagu, lała mu się przez ręce, dlatego uznał, że już po wszystkim i nie będzie sprawiała kłopotów. Pomyślała, że ten błąd w jego ocenie może być jej szansą. Jednak wysiłek, jaki włożyła w próbę poruszenia choćby ręką, ogromny i niewspółmierny do efektu, pozbawił ją złudzeń. W tym stanie nie miała szans wydostać się z wanny. Była niczym nadmuchiwana zabawka bez powietrza, zaklinowana przy odpływie basenu. W dodatku coraz mocniej szumiało jej w głowie, obraz się rozjeżdżał, czuła narastającą senność...

Ocknęła się. Mężczyzna znowu był w łazience. W rękach trzymał ubrania, które zdjął z niej jeszcze, gdy leżała na kanapie. Jak przez mgłę pamiętała, że próbowała się opierać, zasłaniać. Przez gęste kłęby chmur spowijających jej myśli przebijał się wtedy lęk, że zamierza ją zgwałcić. Wciąż miała dość siły, by prosić, żeby przestał, pytać bełkotliwie, kim jest i dlaczego to robi. Nie odpowiedział, tylko wziął ją na ręce i przyniósł tutaj.

Teraz natomiast tworzył złudzenie, że Marianna przyszła tu i rozebrała się sama. Upuścił bawełniane spodenki i wplątane w nie majtki, a te upadły na podłogę z nieco wytłumionym stuknięciem, stanik wraz z koszulką rzucił na pralkę. Cofnął się o krok, ocenił krytycznie swoje dzieło, coś tam poprawił.

Widziała go tak, jakby oglądała film, w którym brakowało klitek. Jego ruchy wydawały się raz bardzo wolne, raz szybkie, kilka gestów zlało się w jeden, zostawiając po sobie rozmyte smugi. Woda wciąż szumiała cicho, a ona leżała w wannie, patrzyła i wiedziała, że powinna wyłowić coś z chaosu myśli, jaki wypełniał jej głowę. Że to naprawdę ważne...

Próbowała skojarzyć, czy kiedykolwiek wcześniej widziała tego człowieka. Mógł mieć sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt kilka lat. Zmęczona, obwisła twarz, podkrążone oczy, popielata broda, krótka, ale gęsta. Wyglądał na smutnego, jakby nie chciał tego robić. Jakby ktoś go zmuszał. Zrobiło jej się go żal, zupełnie jakby to on leżał nagi i zwiotczały w wannie.

Pomyślała sennie, że gdyby tylko przemówiła do jego sumienia, darowałaby jej życie. Zdołała jednak jedynie coś wybełkotać, a potem przyszła kolejna fala senności. Ciężkie powieki opadły...

Kiedy znowu się ocknęła, klęczał przy wannie z kieliszkiem w dłoni. Zauważyła, że to jeden z tych, które kupili kiedyś z Jarkiem, gdy już wytlukły się te ze ślubnego prezentu. Wybierali je chyba z miesiąc, zapłacili majątek, a potem skorzystali trzy, może cztery razy. Od lat ich nie używała. Korzystała z podobnych, zakupionych niedawno w Ikei. Te były pamiątką. Kolejną rzeczą, którą bezcześcił obcy mężczyzna.

Zapamiętaj jego twarz, napominała się. Zapamiętaj, bo jak przeżyjesz, będą cię o niego pytać.

Wyłowił z wody rękę Marianny, starannie owinął jej palce wokół wysokiej nóżki.

– Trzymaj – powiedział.

Chwyciła tak, jakby od tego zależało jej życie. Ledwie jednak oparł jej nadgarstek o krawędź wanny i cofnął swoją dłoń, kieliszek wysliznął się spomiędzy jej zwiotczających palców i rozbił o posadzkę. Wino i odłamki szkła rozprysły się po łazience. Pomyślała, że jeden z nich musiał trafić ją w serce, bo ukłucie żalu przebiło się nawet przez chmurę zobojętnienia.

Uważaj, nie chodź boso. Przypomniała sobie, że tak mówiła jej matka. Ona też wiele razy powtarzała to Cyprianowi, gdy był mały. Jak hasło i odzew: coś się stłucze, nie chodź boso.

Może nawet jakimś cudem powiedziała to na głos, bo mężczyzna lekko się uśmiechnął. Wyglądał wtedy nawet miło, jak ktoś, kogo na ulicy można poprosić o pomoc.

Podniósł się z klęczek, wytarł ręce w spodnie i wyszedł.

Wykonał kolejne połączenie. Zapewnił, że gotowe i że tak, pamiętał o wszystkim, a teraz zostawia rzeczy samym sobie. Słowa dochodziły do niej jak z głębi studni, odbijały się echem we wnętrzu głowy, zlewały z narastającym w niej szumem.

Myślała o kieliszku, o Jarku, Cyprianie i wannie, w której miała umrzeć. Specjalnie kupili drugą, małą, bo ta w łazience na piętrze, rogowa, potężna, napełniała się godzinami, a Marianna nienawidziła pryszniców.

Leżała tak, czując wokół siebie przyjemne ciepło, zapach olejku i płynu do kąpieli. Słyszała kojący szum wody lejącej się wąskim strumieniem. Gdy przymykała oczy, wiedziała, że już ich nie otworzy, ale nie bała się. Może to i dobrze, że tak właśnie się stało.

I wtedy do niej dotarło. To wytłumione stuknięcie spodenek o posadzkę to był jej telefon! Trzymała go jak zawsze w kieszeni i teraz leżał tu, ledwie dwa, może trzy metry od niej, na podłodze!

Ta myśl rozbudziła ją nagle, na moment przywróciła względną trzeźwość myślenia. Jest za daleko, nie dosięgnie go, skoro nie może nawet unieść dłoni. Co więcej, za minutę pewnie się utopi. Już teraz powoli osuwała się po śliskiej powierzchni.

Tuż pod kranem znajdował się otwór zapobiegający przelaniu się wody. Gdyby tylko utrzymała nos i usta powyżej tej linii, gdyby udało się powstrzymać to bezwładne osuwanie się, miałyby szansę!

Wystarczyłoby zaprzeć się stopą o ściankę wanny. Miała problem z koncentracją, myśli rozbiegały się na wszystkie strony niczym robactwo spod uniesionego kamienia, mimo to całą wolę skupiła na tym jednym ruchu. Ustawić właściwie stopę, zaprzeć się mocno. Utrzymać przy życiu.

Trwało to całą wieczność, dłużej niż pięćdziesiąt pięć lat składających się na całe jej dotychczasowe życie. A gdy w końcu się udało, w pierwszej chwili nie uwierzyła. Pomyślała, że to złudzenie wywołane ruchem wody. Ale nie, naprawdę to zrobiła – przesunęła stopę!

W głowie jej szumiało, świat się rozmywał i rozlewał. Myśli były niczym wezbrana górską rzeką. Chciała odpocząć przed kolejnym ruchem, uspokoić się, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Czas się kończył. Senność przychodziła falami i Marianna nie miała pojęcia, jak długo uda jej się powstrzymać przed zaśnięciem. Jak długo utrzyma się na powierzchni dosłownie i w przenośni. Musi być gotowa.

Jeszcze raz pomyślała o Jarku, swoim zmarłym mężu. Dziś wypadała rocznica jego śmierci, którą jak co roku, zwłaszcza odkąd odszedł Cyprian,

obchodziła winem, przeglądaniem rodzinnych albumów i myśleniem o śmierci. Czy ten facet o tym wiedział? Czy dlatego przyszedł właśnie dziś?

Poprawiła ułożenie stopy, zaparła się i spróbowała rozprostować nogę. Niedużo, tylko troszeczkę. Nie chciała się przecież wysuwać, jedynie utrzymać na tym samym poziomie. Może w następnym ruchu uda jej się zaklinować w wannie kolanami?

Wciąż czuła osłabiającą senność, ciało było słabe i wiotkie, ale miała wrażenie, że z każdą chwilą myśli coraz przytomniej. Żałowała, że zrezygnowała z maty antypoślizgowej, którą mieli w wannie, gdy Cyprian był mały. Albo z łańcuszka do korka, który zawsze ją drażnił, a teraz mógłby być wybawieniem.

Tak, to na pewno by pomogło, ale i bez tego wyznaczony cel był już w jej zasięgu. Nie musiała przecież wychodzić z wanny, nie musiała do niczego przekonywać zabójcy. Tylko utrzymać pozycję, tak by jej nos znajdował się ponad powierzchnią, gdy woda dojdzie do szczytowego punktu.

Przetrwa to. Przetrwa!

Ale zamiast tego osunęła się lekko i woda zalała jej podbródek, na moment sięgając do ust, jakby dyskretnie kradła pocałunek.

Zaparła się mocniej, zmusiła do ponownego, tym razem jeszcze większego wysiłku i po chwili udało jej się odzyskać ten stracony centymetr. Przesunęła się kawałek, uciekła wodzie jeszcze na kilka sekund, może minut. A kto wie, może właśnie tym ruchem ocaliła życie.

W myślach pytała: czy to możliwe, że tamten mężczyzna już sobie poszedł? Zostawił ją, przekonany, że woda dokończy dzieła? To właśnie powiedział, prawda? Że zostawia rzeczy samym sobie. Czy był na tyle pewien, że już przegrała?

Wierzyła w to z całych sił. Inaczej przecież to wszystko, co teraz robiła, nie miałyby sensu. A tak się uda, utrzyma się w tej pozycji i za chwilę przesunie jeszcze o kawałek, dla pewności. Potem zrobi wszystko, żeby nie zasnąć i doczekać momentu, aż ten cholerny bezwład ustąpi. Jakoś wyczołga się z wanny, uważając na szkło, wyciągnie telefon z kieszeni spodnek i zadzwoni do ludzi z Ponderosy. W końcu w tym cholernym ośrodku, jej ośrodku, znajdującym się raptem pięćset metrów dalej, byli zatrudnieni przez nią ludzie. Mogliby się tu zjawić w ciągu kilku minut!



Pomogą jej, przeżyje i wreszcie zrobi to, co powinna zrobić już dawno. Odnajdzie Cypriana i powie mu, że...

Nie dokończyła tej myśli. Za mocno przekręciła się na bok. Głowa się zanurzyła, nos uderzył o wannę, do ust wlała się woda.

Panika dokończyła dzieła.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## 1

Polsko-niemiecką granicę w Kołbaskowie przekroczyli około piątej trzydzieści nad ranem, co dla Jonasza oznaczało dziesiątą godzinę za kierownicą.

Zdziwił się, gdy to sobie uświadomił. Przecież ciało po sześćdziesiątce z założenia nie jest specjalnie wyrozumiałe, a przebyte kilometry powinny owocować czy to bólem kręgosłupa, czy choćby swędzeniem nadwyreżonych wpatrywaniem się w drogę oczu.

Jemu natomiast nic szczególnego nie doskwierało i miał wrażenie, że z kubkiem kawy, tkwiącym obecnie w uchwycie pod radiem, mógłby spokojnie przyjechać jeszcze raz tyle. Bardziej czuł bowiem znużenie niż zmęczenie, a postoje na rozprostowanie nóg i kilka ćwiczeń robił raczej z rozsądku i przemawiającego przezeń doświadczenia z dawnych czasów niż rzeczywistej potrzeby. Pewnie za dnia, gdyby cały czas mrużył oczy przed lipcowym słońcem, byłoby gorzej. Jazdę nocą nawet lubił.

Szkoda tylko, że nie ma do kogo gęby otworzyć, pomyślał. Tamci spali od co najmniej czterech godzin. Zabawne, zważywszy na to, że od czterdziestodwuletniego Kamaza i czterdziestoletniej Aldony był starszy o przeszło dwie dekady, a dla pozostałej trójki spokojnie mógłby być dziadkiem. Czy to nie oni więc, zwłaszcza przy okazji takiej wyprawy, powinni teraz kipieć energią właściwą dwudziestoparolatkom? Zachowywać się, jakby sen był wymysłem starców?

Tymczasem jedno po drugim zaczęli zasypiać niedługo po ostatnim postoju za Poznaniem i, z krótkimi przerwami na półprzytomne wizyty w parkingowych toaletach, spali aż do teraz.

Pierwsza poległa Wiktoria, co akurat Jonasz uznał za błogosławieństwo, bo choć lubił tę chudą gadatliwą dziewczuchę, ogoloną niemal do gołej skóry i z ramionami poznaczonymi cienkimi różowymi sznytami dawnych samookaleczeń, to gęba zwykle jej się nie zamykała. Pamiętał, że nawet wtedy, gdy siedziała przemarznięta w piwnicy prób, raz za razem polewana lodowatą wodą, trajkotała jak najęta. Wiktoria niczym małe dziecko albo szczeniak miała tylko dwa tryby: kipiała energią albo spała, a śpiąca wyglądała uroczo i rozczulająco.

Potem, o ile Jonasz dobrze pamiętał, usnął chyba sam Kamaz. Ich potężny, dwumetrowy przywódca na jednym z krótkich postojów zaległ w pojedynkę na ostatniej kanapie i teraz pochrapywał z cicha. On akurat miał pełne prawo być zmęczony, bo ostatnie dni spędził wciśnięty w garnitur, prowadząc intensywne szkolenie biznesowe w stolicy i ucząc nieśmiałe krawaciarskie króliki, jak być lwami. Hamowanie pogardy wobec tych wymoczków kosztowało go więcej wysiłku niż dawne samotne wędrówki w dziczy. No ale czego się nie robi dla rodziny. Rodzina miała przecież wydatki.

Rząd siedzeń przed Kamazem spała Aldona, z głową na ramieniu Wojtka. Ona – dwukrotnie starsza od swojej metryki, o twarzy głęboko żłobionej tępych nożem życiowych doświadczeń, on – nieco pyzaty na twarzy cherubinek o ciele jak z tego nowego programu o miłości na wyspie. Nie byli parą, choć Aldona wyraźnie na to liczyła. Uważała, że zasługi i dotychczasowe poświęcenie dla rodziny powinny jej to zagwarantować.

Kamaz miał jednak wobec chłopaka inne plany, a w ośrodku, który stał się niedawno ich nowym domem, czekała na Wojtka młodzianka dziewczyna z Warszawy, przebywająca na wakacjach u dziadka. Jonasz widział, jak te dzieciaki rozmawiają i jak dobrze czują się w swoim towarzystwie. I choć miał dużo zastrzeżeń co do werbowania tej dziewczyny, to musiał przyznać, że rzeczywiście do siebie pasują. Do Aldony pasowały już wyłącznie tęsknota i zgorzknienie.

Teraz jednak w półmroku wyglądali jak para. Wojtek pochrapywał cicho, z policzkiem rozplaszczonym na szybie i raz po raz przebudzał się, gdy auto podskakiwało na wybojach.

Jako ostatni zasnął Łukasz. Siedział na miejscu obok kierowcy i został wyznaczony jako zmiennik Jonasza za kółkiem. Tyle że z nim akurat i tak gadać się nie dało, bo ogólnie odzywał się rzadko, a dłużej rozmawiał chyba tylko z Kamazem. Jako towarzysz podróży był o tyle pożyteczny, że

lubił się bawić radiem i miał zmysł do wybierania fajnej muzyki. Gdy w końcu usnął, a radio zaczęło grać idiotyczne hity na przemian z równie głupimi reklamami, Jonasz wyłączył odbiornik i na kolejne godziny pograżył się w myślach.

Jechali dziewięcioosobowym srebrnym oplem vivaro, wypożyczonym dzień wcześniej w Katowicach od ekipy, której Jonasz jeszcze w czasach swej psiej służby często szedł na rękę. Samochód był względnie nowy i gdy go odbierali, brakowało mu ośmiuset kilometrów do czterdziestu tysięcy. Przekroczyli je ponad godzinę temu, a to oznaczało, że do celu zostało im jeszcze niespełna pięćdziesiąt, czyli za kolejną godzinę. Byliby szybciej, ale Jonasz wiedział, że jak ekipa się obudzi, na pewno poprosi o postój na siku.

Jak na szkolnej wycieczce, pomyślał i zaśmiał się cicho.

Gdy kwadrans później zerknął we wsteczne lusterko, zorientował się, że Kamaz już nie śpi. Łysy olbrzym siedział teraz na dwóch tylnych siedzeniach, z rękami wyciągniętymi na oparciach, głową przy samej niemal podsufitce i patrzył gdzieś za okno. Wisior z kości, przedstawiający Kojota z wierzeń Indian Navaho, wyłonił się spod jego rozpiętej koszuli i teraz połyskiwał w promieniach słońca.

– Na drogę patrz – polecił wciąż skupiony na widoku za oknem.

– Jasne – mruknął Jonasz i lekko przestawił lusterko. Już raz dzisiaj naraził się przywódcy, kwestionując jego pomysł na tę eskapadę, i najwyraźniej kurcz po tamtym jeszcze nie opadł.

Wkrótce jedno po drugim zaczęli się budzić pozostali i zgodnie z oczekiwaniami poprosili o postój. Jonasz przystał na prośbę, ale ponieważ wolał unikać stacji benzynowych z ich systemami monitoringu, musieli jechać z dobrym kwadrans, nim zatrzymali się na niewielkim parkingu z toaletą i kilkoma drewnianymi wiatami.

– Macie piętnaście minut, więc szybciotko – polecił, parkując w poprzek trzech miejsc parkingowych, możliwie daleko od toalety. Nie chciał, żeby ktoś, kto zjedzie tu w tym czasie, miał okazję im się przyjrzeć, ani by ktokolwiek z drogi zobaczył numery ich wozu. Ot, stare psiarskie nawyki.

Ekipa sprawnie wysypała się z furgonu i zajęła drewniany stolik pod wiatą, żeby zjeść śniadanie. Okazało się, że ktoś źle dokręcił jeden z termosów i słodka herbata zalała torbę oraz podłogę w bagażniku. Przez moment istniała obawa, że przemokły też worki z bronią, które kryli

w schowku na zapas, i wszystko będzie się lepić, ale na szczęście tak się nie stało. Łukasz dyskretnie sprawdził broń.

– Dobra, wszystko suche, nic się nie lepi – stwierdził.

– Czego nie można powiedzieć o koszulce Wojtka – zaśmiała się Wiktoria, pokazując na plamę na obojczyku chłopaka. – Jezu, co ty się tak ślinisz, Aldona?

Druga z kobiet skrzywiła się lekko.

– Pilnuj swoich spraw, świrusko.

Wiktoria ryknęła śmiechem.

– Pilnuję. Nie chcę utonąć w ślinie miłości!

Wywaliła język, udając dyszącego psa, na co Wojtek zaśmiał się nieco zbyt głośno.

– No ale przynajmniej mimo wieku wciąż wilgotna, co nie? To ważne, nie?

Nie powinien tak żartować, westchnął Jonasz. Uważał go za dobrego chłopaka. Jasne, teraz zareagował w nerwowym odruchu, próbował znaleźć sobie miejsce w hierarchii stada, ale powinien uważać. Wszyscy powinni, zwłaszcza poza domem.

Aldona zacisnęła pięści i skierowała na chłopaka spojrzenie pełne wyrzutu. Mrużąc oczy w porannym słońcu, przez moment sprawiała wrażenie, jakby zastanawiała się, na kogo rzucić się w pierwszej kolejności – Wiktorię czy Wojtka. Ostatecznie poszukała wzrokiem Kamaza i wymieniwszy z nim spojrzenia, rozluźniła dłonie.

– Pierdolcie się – mruknęła. – Oboje.

Wiktoria wyciągnęła przed siebie ręce.

– Nie no, poślinione, zaklepane. Bierz go sobie.

– Ej! – zaprotestował Wojtek. – Ja nie chcę!

Jonasz odwrócił głowę, tracąc zainteresowanie. Siedział bokiem na fotelu kierowcy i z nogami opartymi o schodek jadł kanapkę z kiełbasą i serem. Wolałby coś słodkiego, ale rozsądek podpowiadał mu, że najpierw konkret. Jadł więc, mechanicznie odgryzając kolejne kęsy i obserwując drogę.

Kończył właśnie, gdy na parking zajechało eleganckie czarne audi z bagażnikiem na dachu. Zaparkowało koło drewnianej altanki, niemal tuż pod latarnią, więc Jonasz nie musiał specjalnie wyteżać wzroku, by się przyjrzeć. Grubszy jegomość, niemiecki jak z foldera z tymi swoimi blond włosami i w drogich okularach, oraz szczuplutka, zgrabna Turczynka. Na tylnym siedzeniu dwójka dzieci w wysokich, szpanerskich fotelikach.

– Jońciu – rozległo się nagle tuż nad jego uchem. Podniecająco ciepły podmuch, nieświeży zapach z wonną nutą szynki. – Ale zatrzymamy się jeszcze pod jakimś sklepem, co?

Jonasz drgnął i obrócił się gwałtownie. Wiktoria lubiła się skradać i straszyć w ten sposób ludzi. Musiała w pewnym momencie obejść furgon, bo klęczała teraz na fotelu pasażera nachylona ku niemu. Niewinny uśmiech prezentujący garnitur pozólkłych, ale równych, ostrych ząbków, odejmował jej z pięć lat.

– Po co ci sklep? – zapytał. – Zabrakło kanapek? Herbaty nie starczyło?

– Wiesz, że nie lubię herbaty – skrzywiła się. – Colki bym się napiła, zimnej takiej.

Zerknęła w stronę Kamaza, który w tym momencie nie miał prawa ich słyszeć, bo stał na zewnątrz i również obserwował rodzinę z audi.

– Colki, Jońciu, colawki.

Jonasz westchnął.

– Do schowka zajrzyj – powiedział. – Może się jeszcze nie zagrzała.

Wiktoria pisnęła cicho i rzuciła się, by go przytulić.

– Jezu, Jońciu, jesteś wspaniały, wiesz? Obciągnęłabym ci za to, gdybyś chciał. Nawet teraz.

Zaśmiał się i poklepał ją po dłoni.

– Tylko batoników mi nie ruszaj – odparł.

– Jasna sprawa!

Dopił, co miał w kubeczku, i wrócił spojrzeniem do audi.

Śniada mamuśka wypinała właśnie dzieci z fotelików. Niemiecki tatuś był już poza autem i prowadził nerwową rozmowę przez komórkę. Ani jedno, ani drugie nie wydawało się zainteresowane ekipą z furgonetki, ale Jonasz i tak uznał, że pora się zwijać. Zgniół paperek po kanapce w kulkę, wrzucił w kieszonkę drzwi i zawołał resztę.

– Może teraz ja pojedę – zaproponował Łukasz, stając przy drzwiach kierowcy.

Jonasz pokręcił głową.

– Nie trzeba. To już niedaleko.

– Tak, ale mieliśmy jechać na zmianę, nie? A ja naprawdę umiem jeździć na busach. W starym życiu byłem kurierem, a kiedyś, jak na winie w Niemczech robiłem, to robotników woziłem na winnice.

W starym życiu, pomyślał Jonasz z rozbawieniem. Przecież ty dziecko jeszcze jesteś.

– Zmienimy się w drodze powrotnej, a teraz...

– Kamaz powiedział, że masz odpocząć.

Jonasz nabrał powietrza, by odpowiedzieć, ale wypuścił je zaraz i spojrzał w dół na stacyjkę i tkwiący w niej klucz. Kamaz powiedział. Słowo Kamaza zawsze jest ostateczne.

– W Niemczech – burknął cicho.

– Co?

– W Niemczech się mówi, nie w Niemcach. I jasne, jedź. Tylko na znaki uważaj.

Wysiadł z auta, przeszedł na tył i zajął miejsce w przedostatnim rzędzie, tam gdzie wcześniej siedzieli Wojtek i Aldona. Chłopak przeniósł się do przodu, na siedzenie pasażera, więc kobieta została sama. Na widok Jonasza ukradkiem przetarła oczy, pociągnęła cicho nosem i spróbowała się uśmiechnąć. On również skrzywił się w czymś na kształt uśmiechu, po czym zajął miejsce przy niej i położył głowę na jej ramieniu.

– Mogę tak? – zapytał.

Wyraźnie oczekiwała jakiegoś kolejnego głupiego żartu, bo zwlekała chwilę, nim odpowiedziała:

– Możesz, pewnie.

– Dziękuję.

Chciał jeszcze dodać, żeby się nie przejmowała, że Wojtek to nie jest zły chłopak i tak dalej, nie wiedział jednak, jak to sensownie ująć w słowa. Nigdy nie był za dobry w pocieszaniu.

Nie pamiętał, kiedy zasnął. Obudził się, gdy zgodnie z planem zatrzymali się ze dwa kilometry przed miastem, na niezagospodarowanym placu odciętym od głównej drogi linią drzew i krzaków. Wojtek z Łukaszem i Wiktoria byli już na zewnątrz, zmieniali tablice na jakieś stare niemieckie i naklejali na boczne ściany przygotowany wcześniej napis „Umzugsunternehmen Kohl & Son: Umzüge & Transporte Leipzig”.

Wyglądało na to, że świetnie się bawili. Dzieciaki, pomyślał, ale tym razem bez sympatii. To, co robili, te napisy i szyby zaklejone folią, z daleka pachniało oszustwem. To znaczy jasne, może i wystarczy, by oszukać postronnego szkopka, ale jak coś pójdzie nie tak, cała przykrywka rozsypie się jak domek z kart.

Jonasz nie lubił niedbałego odwalania roboty, uważał, że takie sprawy powinni traktować poważnie. W końcu od tego, czy ktoś będzie wkrótce zadawał pytania czy nie, zależała przyszłość rodziny. Co by było, gdyby

dwa miesiące temu wykazał się niedbałością, załatwiając sprawę z matką Cypriana? Czy teraz mieliby się gdzie przenieść?

No ale on mógł tylko sugerować, to Kamaz podejmował decyzje, a skoro on nie widział problemu, problemu nie było.

Jonasz wygramolił się z auta. Chciał podejść do Kamaza, ale ponieważ ten rozmawiał właśnie z Aldoną, wrócił do szoferki, wyjął ze schowka twixa i ustawił się tuż przy linii drzew, skąd niepostrzeżenie mógł obserwować przejeżdżające auta.

Nie było ich dużo – nie o tej porze i nie na tej drodze. Blisko dwie trzecie miasteczka pracowało w Neubrandeburgu, czyli czterdzieści kilometrów na północny wschód, więc ruchu należało się spodziewać raczej z tamtej strony.

Jeden z dzieciaków, do których jechali, też zresztą pracował właśnie tam, w fabryce produkującej opony. Spisywał się i chyba ostatnio dostał jakąś nagrodę. Choć możliwe, że nie chodziło o niego, bo jeszcze trzy osoby w firmie miały to samo nazwisko co on, a w artykule o nagrodach w sieci nie było zdjęcia.

Dobrze się skryli, Jonasz musiał to przyznać. Gdyby uciekali przed ludźmi, pewnie by się udało.

Ale Kamaz nie był przecież człowiekiem.



## 2

Drelicha zbudził dźwięk przeładowywania broni tuż nad jego głową.

Zareagował instynktownie, zanim jeszcze otworzył oczy. Błyskawicznie przewrócił się na bok, schodząc z linii strzału, podkurczył nogi, wypychając do tyłu biodra, a gdy ręce i głowa znalazły się poza krawędzią łóżka, zanurkował ku nogom strzelca. Cała ta sekwencja wyuczonych ruchów zajęła mu zaledwie ułamki sekund, a potem do jego zaspanego mózgu dotarło, że to tylko sygnał esemesa z leżącego na szafce telefonu syna.

Pomyślał z rozbawieniem, że ma za swoje. Ojcowska inicjatywa, mająca ograniczyć nocne siedzenie Nikodema w sieci, właśnie zafundowała mu pełne przebudzenie bez choćby łyka kawy. Usiadł, potarł dłonią po zarośniętym policzku i zerknął na zegarek. Gdy zobaczył, że ledwie dochodzi szósta, westchnął niepokieszony. To nie była dobra noc na zarywanie choćby godziny snu, bo przez ostatnie dwie doby przed skokiem powinien się całkowicie zregenerować. Dlatego właśnie zwykle wyjeżdżał z domu kilka dni przed pracą, by odciąć się od wszelkich codziennych bodźców. No ale tym razem nie mógł tak tego rozegrać.

Gdy charakterystyczny trzask przeładowania rozległ się ponownie, Drelich sięgnął po telefon, wyciszył go i wrzucił do szuflady. W swoim przestawił alarm na ósmą, choć szczerze wątpił, czy po takiej pobudce uda mu się jeszcze zasnąć. I rzeczywiście, przez dziesięć minut tylko przewracał się z boku na bok, podczas gdy z głębi szuflady przychodziły kolejne powiadomienia, tym razem ogłoszone za pomocą mruknięć wibracji.

Cztery w krótkich odstępach czasu, potem dłuższa przerwa i jeszcze jedno. Drelich uznał, że to pewnie życzenia urodzinowe, tylko czemu tak wcześniej. W końcu zrezygnował z drzemki, wstał, zaścielił łóżko i ruszył do kuchni napić się wody. Czuł słabnące swędzenie opuszek palców i wewnętrznej strony dłoni – znak, że napięcie związane z porannym zrywem jeszcze z niego schodzi.

W przedpokoju zorientował się, że Nikodem też już nie śpi. Dostrzegł go przez uchylone drzwi do salonu, w słuchawkach przed ekranem laptopa.

Jedną dłoń chłopiec trzymał na klawiaturze, drugą na myszce i musiał być akurat w ferworze walki, bo siedział zgarbiony niemal na krawędzi krzesła, oczy miał zmrużone, a koniuszek języka wystawał spomiędzy zębów. Szósta rano oznaczała, że pewnie mierzył się akurat z kimś ze Stanów.

Counter Strike. Gra, która w ostatnich miesiącach całkowicie zdominowała wolny czas jego syna i sprawiła, że chłopak niemal z dnia na dzień porzucił konsolę i kolorową estetykę Fortnite'a na rzecz laptopa, gamingowych myszek oraz sieciowych tutoriali, jak zostać profesjonalnym e-sportowcem.

Bo to właśnie był aktualny życiowy cel Nikodema, odkąd Krystian, aktualny partner jego mamy, zabrał go w lutym do Spodka na Intel Extreme Master.

Drelich nigdy wcześniej nie słyszał o tej imprezie, ale podobno dla każdego, kto się interesował grami, była to naprawdę wielka sprawa. Z ciekawości sprawdził w sieci. Na wszystkich relacjach zobaczył ogromne kolejki, atmosferę sportowej gali połączonej z elektronicznym Expo, tysiące rozentuzjasmowanych dzieciaków i ogromne ekrany przedstawiające na żywo starcia najlepszych graczy świata walczących o spore nagrody pieniężne.

Jako przedstawiciel sponsora Krystian dysponował wejściówkami VIP, które zapewniły im obu wejście za kulisy i porozmawianie o blaskach i cieniach życia e-sportowca. Najwyraźniej te drugie nie były w stanie przyćmić pierwszych, bo od tamtej pory Nikodem nie mówił w zasadzie o niczym innym, choć – co Drelich musiał przyznać – podszedł do sprawy niezwykle poważnie jak na trzynastolatka. Nie tylko nie opuścił się w nauce, ale wręcz zaczął się zdrowiej odżywiać i wspólnie z trenerem zmienił plan treningowy, nieustannie powtarzając za swoimi nowymi idolami z sieci, że w e-sporcie dbanie o kondycję fizyczną jest równie ważne jak samo granie.

Przez te ostatnie dni, które spędzili we dwóch, Nikodem pokazał, że trzyma się tych zasad, więc Drelich nie zamierzał mu na razie przeszkadzać. Przebrał się w dres i wyszedł na szybką przebieżkę połączoną z zestawem porannych ćwiczeń na osiedlowej siłowni, znacznie większej niż ta, którą miał przy starym mieszkaniu, i dużo bardziej funkcjonalnej. To była jedna z wielu zalet zeszłorocznej przeprowadzki. W zasadzie tylko do Biedronki miał teraz dalej.

Gdy wrócił, brakowało kwadransa do siódmej.

Nikodem ciągle jeszcze grał, więc Drelich wziął szybki prysznic, w kuchni nastawił kawę i zajął się przygotowaniem śniadania. Uznał, że w takim dniu dobrze zrobią im owsiane omlety, i gdy akurat wsypywał płatki do kubka, z pokoju dobiegło go soczyste „kurwa mać”. Uśmiechnął się pod nosem.

Koniec sieciowego pojedynku zgrał się z chwilą, kiedy pierwszy omlet wylądował na talerzu. Drelich posmarował go masłem orzechowym i wrzucił na niego pokrojonego w plastry banana, a potem rozlał na patelni drugiego. Wtedy do kuchni wszedł Nikodem.

– Cześć, tato – rzucił. – Nie biegamy dziś? Nie ćwiczymy?

– Ja już po. A ty raczej nie zdążysz przed śniadaniem.

– Już po? – zdziwił się chłopak. – To czemu nic nie mówiłeś?

– A co byś zrobił? Zapauzował? – Drelich podrapał się po zarośniętym policzku, po czym wyjął z szuflady dwa widelce i jeden z nich położył na omlecie. Podał talerz synowi.

– Wszystkiego najlepszego, młody. Jemy razem czy wolisz grać dalej?

– To z okazji urodzin jesteś taki miły?

Drelich wzruszył ramionami.

– Tak, bycie miłym to jeden z dwóch prezentów, jaki mam dla ciebie – odparł. – Za drugi uznajmy to, że nie powiem mamie, jakich słów używasz, drąc japę przy graniu.

Zabawnie było patrzeć, jak chłopiec próbuje zachować kamienną twarz, jakby wcale go nie obeszło, że ojciec usłyszał, co mu się wyrwało. Próbował się uśmiechnąć, a nawet otworzył usta, by ani chybi rzucić jakiś zabawny komentarz. Najwyraźniej jednak nic nie wymyślił, bo zaraz je zamknął, a wszystkie jego zabiegi maskujące zakłopotanie zniweczyły czerwieniejące ze wstydu czubki uszu.

W pokera to ty raczej nie pograsz, chłopie, pomyślał z rozbawieniem Drelich. Poruszył kilka razy patelnię i nakrywszy ją talerzem, sprawnie przeniósł na niego omleta.

– Sorry, wymsknęło się – powiedział w końcu Nikodem. – No ale jak mnie typ ściąga na dwa strzały z glocka, w dodatku wcale nie w głowę i na taki dystans, to jak nic cheater.

– Jak nic – zgodził się Drelich. Nie zamierzał przecież urządzać pogadanek na temat czegoś, co, jak obaj wiedzieli, od dawna było już tylko rodzicielsko-synowską grą pozorów. – Herbatę chcesz?

– Nie, wodę sobie wezmę. Ale serio, mówię ci, czasami to się nie da grać normalnie przez takich. Jest gorzej niż w Fortnicie. Mogę już wziąć telefon?

– A możesz po śniadaniu?

– No dobra.

Przeszli razem do salonu, gdzie Nikodem bez wahania zamknął laptopa i przełożył go na krzesło, nakrywając myszką oraz słuchawkami. Usiadł, dosunął się do stołu z szurnięciem i zabrał się do jedzenia.

– Zamierzasz się w końcu ogolić? – zapytał, wskazując na coraz gęstsza brodę ojca. – Bo wiesz, bez obrazy, ale zaczynasz wyglądać jak żul.

Drelich pogładził podbródek.

– Może chcę zostać tym... no jak mu tam... Na ha?

– Hipsterem? – odpowiedział Nikodem i zaraz potrząsnął głową. – Na to jesteś za stary i za biedny.

– To też oczywiście bez obrazy? Kiedy ty się zrobiłeś taki cwany, chłopie?

– Miałem ostatnio trochę czasu. A w ogóle mówiła ci mama, że dzwonił dziadek? Podobno Zośka na wakacjach znalazła sobie chłopaka.

Drelich, który właśnie zdążył zająć miejsce i był w trakcie odkrajania widelcem kawałka omleta, zamarł w pół ruchu.

– Czekaj, co? O czym ty mówisz?

– No Zośka, moja siostra, twoja córka, pamiętasz ją jeszcze? Wyjechała tylko na wakacje, a ty już o niej zapomniałeś? Ja się boję na ten obóz jechać teraz!

– Strasznie śmieszne – mruknął Drelich. – Czy dziadek mówił mamie, co to za chłopak?

– Właściwie to nie wiem. – Nikodem wzruszył ramionami. – Samej rozmowy nie słyszałem, tylko jak potem mama mówiła Krystianowi... On to się chyba chce oświadczyć w ogóle.

Tym razem Drelich mało się nie zakrztusił.

– Kto chce się oświadczyć?!

Nikodem westchnął, kręcąc głową.

– No co ty, tato, śpisz jeszcze? Krystian mamie, a kto inny? Znaczący mama jeszcze pewnie o tym nie wie, ale ostatnio widziałem, że przeglądał jakieś wycieczki do Paryża, a w reklamach na kompie to mu wyskakują reklamy jubilera. A wiesz, jak te reklamy działają, prawda? Że jak przeglądasz konkretne strony...

– O tym pogadamy później, dobrze? – przerwał mu Drelich, unosząc dłoń. – Wracamy do tematu Zośki.

Nikodem przewrócił oczami.

– A nie możesz do niej zadzwonić? Ja wiem tylko tyle, że Zośka jest u dziadka, nie? I że chodzi ostatnio do tego dużego ośrodka na końcu miasta, pamiętasz? Tam, gdzie kiedyś na wakacjach, za dzieciaka, chodziliśmy jeździć na kucykach...

Drelicha rozbawiło to „za dzieciaka”, ale nie skomentował.

– Pamiętam – powiedział zamiast tego. – Ranczo Ponderosa.

– No. Więc teraz tam jest jakiś taki obóz czy coś. Takie zajęcia, żeby odnaleźć siebie, czy inne gówno.

– Ej!

– No co, gówno to nie przekleństwo. Zresztą mama tak mówi, że to bzdura straszna i naciąganie! No ale Zośka tam chyba za darmo chodzi i mają jakieś zajęcia, jogę, warsztaty gotowania i inne nudy. No i coś im tam pomaga z dziećmi czy coś. A ostatnio dziadek zobaczył, że odprowadza ją jakiś chłopak, że chodzą za ręce i chyba się nawet całowali za drzewem, tak żeby ich nie widział. Ale widział. I nakablował mamie.

Drelich nie odpowiedział. Skubnął dwa razy czubek nosa, westchnął, po czym zabrał się do jedzenia.

Nikodem przyjrzał mu się, marszcząc czoło.

– Powiedziałem coś nie tak? – zapytał.

– Nie, w porządku, zamyśliłem się – odparł Drelich. – Dziadek wie coś więcej o tym chłopaku? W jakim jest wieku na przykład? Jak ma na imię?

– No taki na studiach chyba – odparł Nikodem i zaraz się roześmiał. – A co, chcesz mu nogi połamać?

Drelich z trudem zdobył się na półuśmiech. Oczywiście temat zamierzał drążyć dalej, ale uznał, że i tak nie dowie się od syna niczego więcej, a nie chciał, by chłopiec spędził cały poranek swoich urodzin i jednocześnie ostatni przed wyjazdem na obóz na rozmawianiu o siostrze.

Byłoby to niepożądane, zwłaszcza po ich wczorajszej bardzo szczerzej rozmowie, która na pewno dzieciaka dużo kosztowała. Ten temat Drelich musiał jednak na spokojnie omówić z Izą, a wcześniej uporządkować we własnej głowie. Potencjalna poważna zmiana, kolejna z nadchodzących.

– Jedz – powiedział. – Zimne nie będzie dobre.

– Ciepłe też nie jest – odpyskował chłopiec. – Jem tylko, żeby nie było ci przykro.

Drelich uśmiechnął się, ostrzegawczo unosząc palec. Znów sobie uświadomił, jak bardzo młody się zmienił. W ostatnim roku mijali się częściej niż zwykle, a to był ten czas, kiedy dzieci dojrzewają w psich latach i po dzieciaku, z którym jeszcze niedawno pstrykali na sygnalizację świetlną, nie został nawet ślad. Nie zauważył tego w natłoku pracy, a teraz miał przed sobą zupełnie nową wersję syna.

Gdy skończyli jeść, Nikodem odebrał zarekwirowany na noc telefon, jęknął na widok liczby powiadomień i zaczął odpisywać.

Drelich pozmywał, po czym wrócił do sypialni. Wziął z szafki zegarek i odziedziczonym po stryju zwyczajem zapiął go na lewej ręce kopertą od wewnętrznej strony. Sięgnął też po telefon, jednak gdy zadzwonił do Izy, ta z miejsca odrzuciła połączenie. Napisał więc z pytaniem, co to za sprawa z chłopakiem Zośki. Chciał dodać: „I dlaczego nic o tym nie wiem?”, ale się rozmyślił. Nie zależało mu na tym, by formować z tego wyrzut, po prostu był ciekaw.

„Pogadamy. Wpadnij chwilę przed imprezą” – odpisała.

Szybko przeanalizował w głowie plan dnia. Przyjęcie urodzinowe Nikodema organizowane w cukierni Izy było rzecz jasna najważniejszym punktem dnia, ale miał jeszcze kilka rzeczy do zrobienia przed jutrzejszym skokiem. Część z nich, jak ostatnia próba czy spotkanie z Krachem, musiał załatwić jeszcze w Warszawie i koniecznie przed zmrokiem.

Ostatecznie uznał, że da radę, i odpisał Izie. Nie był jednak do końca zadowolony, bo już drugi raz tego ranka złapał się na myśli, że ostatnio zbyt często zmuszony jest naginać własne zasady.

Przez większość zawodowego życia trzymał się zasady wyraźnego oddzielania go od świata prywatnego, wierząc, że w ten sposób ochroni najbliższych. I nawet gdy wydarzenia z zeszłego roku pokazały wyraźnie, jak złudne i kruche było to wrażenie bezpieczeństwa, bo nie da się przecież zaplanować wszystkiego, przy kolejnych akcjach wciąż pilnował, by rzeczywistość zawodowa i prywatna na siebie nie nachodziły. Aż do teraz.

To, że akurat przy skoku, wobec którego i tak miał wiele wątpliwości, musiał postępować inaczej, budziło w nim nerwowość. Wizja tego, co będzie później, zwłaszcza w kontekście wczorajszej rozmowy z Nikodemem, tylko ją pogłębiała.

Odłożył telefon i wyszedł do przedpokoju. Upewnił się, że Nikodem wciąż siedzi z telefonem w salonie, wrócił do sypialni i zastawił drzwi krzesłem. Zasada niewchodzenia bez pukania była dla Drelicha i jego dzieci

święta i respektowana przez obie strony, ale w tej sytuacji nie mógł sobie pozwolić na ryzyko.

Z górnej półki w szafie wyjął ozdobne pudło, a zza niego czarną torbę sportową, do której kilka dni temu spakował już większość potrzebnych rzeczy. Dziś miał od Kracha dostać resztę, więc to był w zasadzie ostatni moment, by upewnić się, że o niczym nie zapomniał.

Rozsunął suwak i zaczął sprawdzać zawartość torby, analizując w głowie kolejne etapy planu. Dwie bawełniane kominiarki w cielistym kolorze, dwie pary okularów zerówek, dwa telefony na kartę, dwa radia ze słuchawkami, pięć kamerek na kartę SIM, paczka lateksowych rękawiczek, dwie bejsbolówki, dwie butelki wybielacza, kosmetyczka z rzeczami do kamuflażu i dodatkowa, mniejsza torba sportowa. Brakowało dwóch kompletów szelek taktycznych z nożem i kaburą, dwóch pistoletów hukowych i zestawu kart SIM do kamer, ale to właśnie miał przywieźć Krach. Na koniec wrzucił do torby zaklejony worek z nowymi dżinsami, trampkami i T-shirtem, które zamierzał włożyć zaraz po skoku.

Zamówiony wcześniej taran policyjny miał czekać na niego w bagażniku dwuletniej skody rapid, skradzionej we Wrocławiu i zaparkowanej na jednym z katowickich osiedli.

Zapinając torbę i zerkając na stojący w kącie pokoju plecak ze zwykłymi rzeczami na wyjazd, uznał, że jest gotowy. Na tyle, na ile mógł być. Rozważył nawet, czy nie odpuścić sobie już dzisiejszego treningu jazdy i nie umówić się z Krachem gdzie indziej, ale nie chciał już niczego zmienić w planie dnia. Jutrzejsza akcja, o której ze względu na jej brawurową bezczelność na pewno zrobi się głośno, musiała wypaść naprawdę dobrze.

To miał być wszak jego ostatni skok.

### 3

Furgonetka jechała powoli przez osiedle niskich jednokondygnacyjnych domków. Prowadził Łukasz, na miejscu obok siedział Wojtek, wpatrzony we własne dłonie. Obaj mieli na sobie niebieskie koszulki polo i czerwone bejsbolówki, co z daleka mogło uchodzić za uniform firmy przeprowadzkowej. Dwa pasy na narzędzia, ze skórzanymi kaburami mocowanymi wzdłuż uda, leżały w nogach Wojtka. W jego pasie znajdowały się nóż i srebrna taśma, w Łukasza – bardziej zaprawionego w boju – nóż i pistolet.

Broń palna była kolejną kwestią, co do której Jonasz nie zgadzał się z Kamazem, ale ostatecznie wskórał jedynie tyle, że nie dostali jej ani niedoświadczony Wojtek, ani stuknięta Wiktoria. Mały, a jednak sukces, bo ostatnio coraz trudniej było przekonać olbrzyma do czegokolwiek.

Teraz skupiony na prześwicie między krawędzią okna a źle przyklejoną folią Jonasz obserwował, jak stopniowo budzi się do życia ta część niemieckiego osiedla, która nie musiała zdążyć na poranną zmianę w fabrykach Neubrandenburga.

Widział więc wysoką biegaczkę o blond włosach spiętych w koński ogon. Trzymała łokcie przy sobie, a zaciśnięte w pięści ręce unosiła tak wysoko, że momentami przypominało to trochę koślawą bokerską gardę. Widział mężczyznę w błękitnej koszuli i pod krawatem, stojącego przy otwartej masce samochodu i nerwowo rozmawiającego przez telefon, a także na jednym z podwórek otoczoną siatką trampolinę, w której jakiś duży kudłaty pies zrobił sobie legowisko.

Oto my, wilki między owce, pomyślał Jonasz. Lwice skradające się do wodopoju gazel.

Radio w aucie było wyłączone, więc słyszał jedynie szept Wiktorii powtarzającej słowa przeboju, że tak bardzo chciałaby być historią i się nie bać, unosząc się hen wysoko w powietrzu. Pozbawione melodii, powtarzane w kółko, brzmiały jak gorączkowa modlitwa albo szamańskie zaklęcia.



Wiktorija trzymała nóż. Każdy dorosły w rodzinie miał swój, stworzony specjalnie dla niego, a ozdobienie go i ochrzczenie krwią stanowiło jeden z rodzinnych rytuałów. Jej był krótki, o ostrzu typu tanto, przez co przypominał nieco miniaturkę japońskiej katany. Kochała go nad życie, mówiła, że to pierwsza rzecz na świecie, którą ktoś zrobił tylko dla niej. I teraz szeptała słowa piosenki, bawiła się nim, wodząc ostrą krawędzią po sznycach na ramieniu. Raz po raz zerkała przy tym na Kamaza, czy każe jej przestać. Nie zrobił tego, więc w końcu jej się znudziło.

Za oknem, na elektronicznym znaku pod szkołą, pojawiła się zielona uśmiechnięta buźka aprobująca ich prędkość. Jonasz pomyślał, że właściwie trudno byłoby o inną, bo od kiedy wjechali między domki, furgon nie miał szans, by się rozpędzić. Co chwila unosił się i opadał na progach zwalniających niczym statek na wzburzonym morzu.

– Zaraz się zrzygam od tego kołysania – mruknął Wojtek. – Słowo daję, że puszczę pawia.

Sięgnął do schowka, w którym jednak nie było miejsca na chusteczki, bo Jonasz zapakował go słodyczami.

Ten już miał go uprzedzić, gdy kątem oka dostrzegł, że coś niepokojącego dzieje się z Aldoną. Oddychała głęboko, jak na ćwiczeniach z jogi, to zamykając oczy, to szeroko je otwierając. Jej ramiona trzęsły się lekko.

– Aldona, wszystko w porządku? – zapytał.

Potrząsnęła głową, jakby właśnie się obudziła. Spróbowała się uśmiechnąć.

– A tak, w porządku. Po prostu trochę odwykłam.

– Jak my wszyscy – skłamał.

Przytaknęła. Na kolanach dzierżyła plecak, jedną dłoń wsadziła do środka i Jonasz wiedział, że trzyma ją na rękojeści pistoletu. Szukała w tym geście otuchy, bo broń stanowiła jednocześnie jedyną pamiątkę po mężu, którą Kamaz pozwolił jej zachować.

Minęli posterunek policji ze stojącym pod nim radiowozem, potem piekarnię, której właściciel właśnie rozwijał markizę za pomocą staromodnej korbki. W pewnym momencie Łukasz pozdrowił kogoś uprzejmym gestem.

– Jakies dzieci nam machają – wyjaśnił. – Pomyślałem, że powinienem odmachać, jeśli...

– Nie musisz się tłumaczyć z tego, co robisz – odparł Kamaz. – Jesteś łowcą na polowaniu, pamiętasz? Opierasz się na instynkcie.

– Jasne, przepraszam.

– Nie przepraszaj. Zatrzymaj się przy tamtej parceli po lewej, tej rozkopanej.

Gdy samochód stanął, wysiedli z niego Aldona, Wiktor i Jonasz, każde ze swoim plecaczkiem. Trzymając się razem, zaczęli obchodzić parcelę wydeptanym skrótem. Dziewczyny przyspieszyły, udając zajęte rozmową, a Jonasz odczekał minutę, po czym bez pośpiechu podążył za nimi, rozglądając się jednocześnie po okolicy.

Wypatrywał ludzi w oknach, na podjazdach, kamer zawieszonych nad garażami, choć wiedział, że to wszystko nie ma znaczenia. Bo choćby przez ulicę szła teraz policyjna parada, Kamaz i tak kazałby im doprowadzić sprawę do końca. Jaki by ten koniec nie był.

Gdy dotarł na miejsce, dziewczyny już się zabrały do roboty. Wiktor, która uwielbiała nocne rajdy, majstrowała nożem przy moskitierze, Aldona, stojąc na odwróconym wiadrze, zaglądała przez okno do wnętrza domu.

– Są i jeszcze śpią – szepnęła, gdy Jonasz wyłonił się zza budynku. – Ona i dziecko.

Mężczyzna potwierdził skinieniem, że przyjął do wiadomości, po czym przyłożył palec do ust, bo przecież wiedział, o kogo chodzi. Ona, czyli Klara, zaślubiona Igorowi po tym, jak przysięgali sobie przed Kamazem i resztą rodziny. Dziecko, czyli owoc ich miłości, którego rodzina nie miała nawet okazji poznać. Igora nie było, bo o tej porze siedział już w pracy – Jonasz sprawdzał jego grafik.

Aldona zeszła z wiadra. Jonasz najpierw się upewnił, że nikt ich nie obserwuje z okien sąsiednich budynków, a następnie wyjął z plecaka pistolet w plastikowej kaburze i zamocował go na pasku, rozglądając się po podwórku.

Widać było, że wiele rzeczy powstawało tu na raty, bo na przykład trawę równo skoszono, drewniana huśtawka pachniała świeżością, ale już piaskownicę dla dziecka stanowił dołek wyłożony folią i obłożony otoczkami. Nieco dalej, obok jedyne go na podwórku drzewa, leżał ładny, ale niedopompowany basenik z kucykami Pony, przez którego krawędź cienką stróżką przelewała się woda.

Na betonowym tarasie Jonasz zobaczył okopcony grill, plastikowy stół i krzesła, a także kilka brudnych jednorazowych talerzy, butelek

z niedopitym schweppesem i puszek po piwie. Na stojących w głębi paczkach terakotowych płytek znajdowały się otwarta lodówka turystyczna i trzy pudełka po pizzy.

Aldona szybko policzyła nakrycia, na każde wskazując palcem, a gdy odwróciła się do Jonasza, ten dał znać gestem, że również to zauważył. Wczoraj wieczorem było tu co najmniej sześć osób. Czy możliwe, że zostali na noc?

Możliwe, bo na podjeździe stało przecież auto, a Igor musiał czymś dojechać do pracy. Jonasz nie wiedział, czym jeżdżą na co dzień – tego akurat nie miał jak sprawdzić na odległość. Może samochód przed domem należał do nich, a Igor po prostu zabrał się z kolegami – ale musieli uważać.

Nakrycia, płytki, huśtawka i tworzona piaskownica świadczyły o tym, że Igor i Klara wrastali w tę społeczność. Dom raczej nie był najtańszy, pewnie mieli na niego jakiś kredyt albo chociaż umowę najmu, do tego wieczorami spotykali się na grilla ze znajomi. Ciekawe, ile jeszcze osób i instytucji miało się przejąć tym, co wkrótce się stanie?

Wiktorcia tymczasem uporała się z moskitierą, ale z drzwiami miała już większy problem. Jonasz patrzył przez chwilę, jak się męczy, aż w końcu pokręcił głową i podszedł bliżej.

– Odsuń się – powiedział, wyjmując z kieszeni multitoola.

Zamek w ogrodowych drzwiach był na tyle prymitywny, że otworzenie go zajęło mu piętnaście sekund.

Weszli do środka, mijając przestronną kuchnię. Sprawiała wrażenie zadbanej, choć na blatach szafek i stojącej na środku wyspy piętrzyły się brudne naczynia z wczoraj, a dwa z czterech koszy na śmieci, te opatrzone znaczkami odpadów organicznych i plastiku, były przepełnione.

W rogu przy samym wejściu leżały kartony, rulon grubej folii malarskiej i stało parę wiader z błękitną farbą.

Aldona skrzyła do kuchni, trzymając przed sobą broń, ale Jonasz złapał ją za ramię i przysunął usta do jej ucha.

– Idź do sypialni – polecił. – Na razie jej nie budź.

Chciała coś powiedzieć, pokręcił jednak głową, dając znać, że to nie czas na dyskusje. Skinął na Wiktorię, by szła za nim, i razem ruszyli w stronę głównego wejścia.

Minęli zamkniętą łazienkę i pomieszczenie o wejściu zabezpieczonym folią, skąd niosła się sucha, kredowa woń świeżej farby. Przedpokój był

niecو zagracony, ale Jonasz przypuszczał, że większość szafek i dwa regały pochodziły właśnie z remontowanego pokoju. Zaskoczyło go tylko, że większość książek była po niemiecku. Żadnej polskiej. Klara z Igorem aż tak próbowali ukryć swoją tożsamość? A może faktycznie wynajmują dom i książki należą do właścicieli?

Zrobił kolejny krok, ale nim wszedł do salonu, coś, pewnie dawna zawodowa rutyna, kazało mu się zatrzymać i zajrzeć do środka. Zrobił to i zaklął cicho. Czyli jednak.

– Co jest, Jońciu? – szepnęła Wiktoria. – Stało się...

Urwała, gdy uniósł rękę.

Na rozłożonej kanapie, w plątaninie koców leżały dwie dorosłe osoby. Drobna, chuda blada pieguska z krótką fioletowo-zieloną fryzurą i misiowaty, śniady chłopak z czarnymi włosami kręcącymi się zarówno na głowie, jak i na obnażonej piersi. Zgromadzone wokół łóżka rzeczy, a także stojący w kącie złożony parawan z miejsca wyjaśniły wcześniejszą zagadkę dotyczącą niemieckich książek. Ta dwójka nie została na noc. Oni tu mieszkali! Byli współlokatorami Igora i Klary, a remontowane pomieszczenie stanowiło ich sypialnię.

Wycofał się za winkiel, łapiąc za rękę Wiktorię, która za wszelką cenę chciała zobaczyć, co się stało. Odciągnął ją w głąb przedpokoju i nachylił się do jej ucha.

– W salonie śpi dwójka ludzi – powiedział cicho. – Dziewczyna i chłopak. Idź do Aldony, powiedz jej, że mamy komplikację, i zaraz tu wracaj. Tylko żadnych głupot, jasne? Wpuszczę resztę, to zabezpieczycie z Łukaszem salon.

Wiktoria skinęła głową, trącając go uchem w nos. Pod palcami zaciśniętymi na jej przedramieniu czuł, że dziewczyna zaczyna drżeć.

– Tylko nic nie rób, rozumiesz? Masz być grzeczna. Jak na każdym nocnym rajdzie. Wszystko ma być tak samo jak zawsze, jasne?

– Jest dzień – odpowiedziała.

– Co?

– Jest dzień, Jońciu – wyjaśniła, oswobadzając rękę. – Nie wszystko będzie tak samo.

Cmoknęła go w policzek i odwróciwszy się na pięcie, ruszyła w stronę sypialni.

Jonasz poczekał, aż wejdzie, po czym dobył broni i raz jeszcze wyjrzał zza winkła, upewniając się, że nie obudzili śpiącej pary. Na szczęście ta

spała mocno, w czym pewnie bardzo pomogło wczorajsze piwo. Jak najszybciej i najciszej przeciął salon, docierając do wiatrołapu i znajdujących się tam drzwi. Przekreślił zamek, otworzył i od razu przyłożył palec do ust.

– Są tu dodatkowi ludzie – powiedział do dwóch stojących w progu mężczyzn. – Mieszkają tu, a teraz śpią w salonie. Dziewczyna i facet. Mogą być kłopoty.

Zauważył, że Wojtek, już wcześniej blady, aż się spał.

Zły znak, pomyślał, jeszcze bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że chłopaka w ogóle nie powinno tu być. Wiedział jednak, że skoro Kamaz wcześniej się uparł, teraz tym bardziej nie pozwoli na wykluczenie go z działań, cokolwiek się stanie. Jedną z tych jego indiańskich mądrości, które tak często podnosił podczas swoich wykładów, mówiła wszak, że rzeczy nie zawsze idą zgodnie z planem, ale jeśli zsiadasz z konia przed każdą przeszkodą, nigdy nie nauczysz się, jak je pokonać. Jonasz trochę się z tym zgadzał, ale wołałby tego nie testować w boju.

– Co robimy? – zapytał Łukasz.

– Na razie nic. W salonie czuć alkohol, a z tyłu leżą puszki po piwie, więc pewnie są wstawieni. Póki śpią, nie stanowią zagrożenia. Zabezpieczycie tę dwójkę z Wiktoria do podjęcia decyzji.

– Z Wiką? Jesteś pewien?

Nie, pomyślał Jonasz. Nie jestem.

– Do roboty – odparł, po czym zwrócił się do Wojtka: – A ty wracaj do Kamaza, powiedz mu o sytuacji. Dwie dodatkowe osoby z przodu, chłopak, dziewczyna. Z tyłu Klara i dziecko. Cała czwórka śpi. Zapamiętasz?

– Jasne.

– To leć.

Wpuścił Łukasza, rozejrzał się po pustej ulicy i przymknął drzwi.

Wiktoria siedziała już na skraju kanapy, trzymając ostrze noża przy samej szyi drobnej dziewczyny, i wpatrywała się w nią z fascynacją. Łukasz zajął miejsce po drugiej stronie, bliżej jej śniadoskiego partnera. Usiadł na niskim stołku, po czym ze skórzanej kabury wydobyl najpierw pistolet, a następnie nóż. Po namyśle schował broń palną i zapiął kaburę. Zerknął za siebie, by się upewnić, na ile może go być widać przez duże frontowe okno, ale częściowo zasunięte zasłony działały na jego korzyść.

Do domu wkroczył Kamaz, jak zawsze schylając się w progu, jakby kłaniał się domostwu i gospodarzom. Zaraz za nim Wojtek, wciąż blady, ale

przynajmniej szedł w miarę pewnie i się nie trząsał. Widocznie przywódca musiał zamienić z nim kilka słów.

Teraz Kamaz stanął na środku pokoju, przyjrzał się śpiącej parze, a potem rozejrzał po salonie. Nie sprawiał wrażenia przejętego komplikacją. Przywołał gestem Jonasza i nachylił się do jego ucha.

– Gdzie Klara i dziecko? – zapytał cicho.

Jonasz wskazał mu gestem drogę.

– Chodź ze mną – polecił Kamaz. – A ty, Wojtek, zostań tu z nimi.

Gdy weszli do sypialni, Klara już nie spała. Siedziała na łóżku, opuchnięta od snu, rozczochrana, z rękami przyciśniętymi do piersi. Oddychała płytko i wielkimi z przerażenia oczami patrzyła na Aldonę mierzącą z groteskowo dużego pistoletu w główkę leżącego w łóżeczku dwulatka. Jej dziecka.

Nie odwróciła wzroku, nawet gdy weszli, choć oczywiście zdawała sobie sprawę z ich obecności.

– Proszę – szepnęła niemal bezgłośnie. – Kamaz, błagam...

Kamaz podszedł do niej i usiadł na łóżku, które aż zatrzeszczało pod jego ciężarem. Potem wyciągnął do niej rękę i delikatnie, złączonymi palcami środkowym i wskazującym, dotknął jej twarzy. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła, co skwitował pełnym ciepła uśmiechem. Przygarnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął, gdy ciałem dziewczyny raz po raz wstrząsał szloch. – Wiesz przecież, że będzie, prawda? Jesteś wśród swoich.

– Kamaz...

– Ciii, kochanie. Zaraz wyjdziemy stąd wszyscy razem, nie budząc waszych przyjaciół, a potem zadzwonimy do Igora. Wiem, że może od razu nie odebrać, bo pracuje, ale przecież możemy poczekać, aż będzie miał przerwę, prawda? I wtedy powiemy mu, że ty i wasze dzieciátko... Czekaj, jak ono właściwie ma na imię, Klaro?

Odsunął ją od siebie i spojrzał jej w oczy. Udał, że dziwi go najpierw spłoszone spojrzenie, jakie dziewczyna posłała w stronę kojca, a potem widok Aldony z bronią.

– Schowaj to, słońce – poprosił. – Przecież wszyscy tutaj wiemy, że kto jak kto, ale ty nie skrzywdzisz dziecka... Jeszcze raz, Klaro, jak ma na imię?

Dziewczyna przełknęła ślinę.

– Bru... Bruno.

Kamaz dotknął dłonią swoich ust, musnął palcem wargę.

– Bruno – powiedział, jakby smakował to słowo. – Nieoczywiste, ale ładne. Czy to czasem nie znaczy „niedźwiedź”? Bo nawet by pasowało, w końcu śpi jak niedźwiedź. Cały czas był taki spokojny? I zawsze tak ładnie przesypiał całe nocki?

Przerażona dziewczyna pokiwała głową. Jonasz zauważył, że w tym momencie w niczym nie przypominała siebie z dużego czarno-białego zdjęcia, które wisiało za jej plecami, nad łóżkiem. Byli na nim w trójkę: ona, Igor i mały Bruno. Wtedy jeszcze rozpromienieni, szczęśliwi.

Odwrócił wzrok.

– Sprawdź, co się dzieje w salonie – powiedział, ale Kamaz pokręcił głową.

– Nie trzeba, prawda, Klaro? Tam nic się nie wydarzy, bo tak długo, jak my tutaj nie narobimy hałasu, to śpiący w salonie... Cholera, wybacz, że tak dopytuję, ale jak się nazywają wasi przyjaciele?

– Karif i Ann. – Tym razem odpowiedź przyszła łatwiej, jakby Klara wreszcie wzięła się w garść. – Nazywają się Ann i Karif. Mieszkają z nami. Proszę, nie róbcie im krzywdy. Oni o niczym...

– O niczym nie wiedzą, oczywiście – przytaknął Kamaz z powagą. – Cóż, jeśli o mnie chodzi, Klaro, sprawa jest jasna. Musisz nam pomóc, by wszystko się udało, dobrze? Wyjdziemy tyłem i wsiądziesz z nami do samochodu. Wtedy zadzwonimy do Igora i poprosimy, żeby wziął wolne na resztę dnia oraz na kilka kolejnych, by nie wzbudzać podejrzeń. Dołączy do nas bez niespodzianek i znowu będziecie razem, całą trójką, a waszym przyjaciołom napiszemy, że coś się stało twojej mamie na przykład, albo siostrze, i musieliście pilnie wrócić do Polski. Możemy tak zrobić? Brzmi jak dobry plan?

Klara nie odpowiedziała. Rzuciła tylko ukradkowe spojrzenie w stronę kojca.

– Co się stanie, jak wrócimy? – zapytała w końcu i tym razem nie wzdrygnęła się, gdy Kamaz dotknął jej twarzy. Drżące dłonie wcisnęła między uda i zacisnęła mocno. Jej oddech bardzo powoli, ale zaczął wracać do normy.

– Gdy wrócicie gdzie, kochanie?

Znowu przełknęła ślinę.

– Do domu – wydusiła. – Kiedy wrócimy do domu.

– Och, Klaro, przecież dobrze wiesz co – powiedział Kamaz, nagle przestając się uśmiechać. – Nie będę krył, że zrobiliście coś strasznego i złamaliście nam serca. Weźmy takiego Bruna, Klaro. Zabraliście nam dwa lata z jego życia. Wyobrażasz sobie stracić go na dwa lata?

Potrząsnęła głową, co najwyraźniej było dobrą odpowiedzią, bo Kamaz znowu się uśmiechnął. Potężną dłońią poklepał ją po udzie.

– A przecież wszystko można było dogadać – powiedział. – Nawet jeśli źle wam się żyło z nami w domu, to przecież rodzina się rozwija, czyż nie? Mogliście poprosić o przeprowadzkę na przykład do Pawła na Pomorze czy do Grzeška i Toli na Podlasie. Nie wiem, czy mieliście okazję ich poznać, ale z kimś na pewno znaleźlibyście wspólny język, nawet jeśli u nas coś wam się nie podobało. Wiesz przecież, że rodzina ma duże możliwości. Zresztą dom też zmieniamy, bo tamten, który znacie z Sobierad, nie był już dla nas przyjazny. Przenosimy się do domu Cypriana. Pamiętasz go jeszcze? Nie uwierzysz, ale dostał już swój nóż. I nawet dołączył do starszyny.

Przerwał, jakby nagle uświadomił sobie, że się rozgadał. Westchnął i potrząsnął głową.

– Przede wszystkim, Klaro, wystarczyło, byście przyszli do mnie i powiedzieli prawdę, zamiast uciekać tak w środku nocy. Ale spokojnie, gdy wrócimy do domu, naprostujemy, co się da. Bruno pozna kuzynki i kuzynów, wy odnowicie swoje śluby, a potem pomyślimy, co dalej, dobrze? Nie musicie nawet mówić, kto wam pomógł, bo już wszystko wiemy.

Zamiast odpowiedzieć, opuściła głowę, więc złapał jej brodę między palce i zadął wysoko, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

– Skarbie, później nie będziesz mogła powiedzieć, że nie dostaliście drugiej szansy. Ale to twoja decyzja, nie moja. Więc jeszcze raz: dobrze?

– Dobrze.

– Cieszę się. To zbierajcie się szybko, bo w upale źle się jedzie, a przed nami długa droga. A, Klaro, żeby nie było niepotrzebnych nieporozumień: Aldona poniesie małego. Ty pójdziesz przodem.

Podniósł się i skinąwszy na Jonasza, wyszedł z sypialni. Upewnił się, że sytuacja w salonie jest pod kontrolą, a następnie skierował się do kuchni.

– Na podjeździe stoi samochód – powiedział cicho. – Nie wiem, czy Klary czy tej dwójki, ale potem go weźmiesz. My się zbieramy, a ty zostaniesz, posprzątasz, spakujesz trochę rzeczy i poczekasz, na wypadek gdyby Igor



przed dołączeniem do nas postanowił jednak wstąpić do domu. Potem weźmiesz to auto, przekroczysz nim granicę i zostawisz w Szczecinie czy gdzieś, nie muszę cię przecież uczyć.

– Nie musisz.

– A, i zostawiam ci Wojtka. Byłoby dobrze, gdyby to on zrobił, co trzeba. Jonasz westchnął ciężko.

– Wolałbym nie – odparł. – Spójrz na niego, Kamaz, jest blady jak papier i ledwo się trzyma na nogach. I to już teraz, a przecież jeszcze nic się nie stało. Czy nie lepiej...

Kamaz zmrużył oczy.

– Naprawdę znowu o tym rozmawiamy, bracie? – wycedził w nagłym przebłysku gniewu. Zaraz się jednak opanował, uśmiechnął i wyjaśnił już spokojniej: – Wiem, że czuwasz nad bezpieczeństwem i masz stare nawyki, ale ja chcę, by chłopak był wojownikiem. Czuję w nim wojownika. To dla niego ważny moment i cieszę się, że nadarzyła się ku temu okazja. Idzie trudny czas, Jonaszu. Czas, gdy przyjdzie nam się bronić. Rodzina potrzebuje ludzi zdolnych zrobić dla nas wszystko.

Jonasz westchnął.

– Dobrze, zrozumiałem.

– Na pewno? – Olbrzym ugiął nogi, opierając dłonie na udach, i przez chwilę ich oczy były na tym samym poziomie.

Jonasz zniósł to bez słowa, utrzymując kontakt wzrokowy i starając się mrugać w normalnym rytmie. To zawsze gubiło tych, którzy nie umieli patrzeć innym w oczy – albo uciekali wzrokiem, albo starali się jak najdłużej wytrzymać bez mrugnięcia powieką. Mruganie było natomiast kluczowe. To i spokój.

– Na pewno – odparł po dłuższej chwili.

Uśmiechnięty Kamaz wyprostował się i z patery stojącej na blacie wziął pomarszczone jabłko. Odgryzł duży kawałek.

– Jak posprzątaacie, jedźcie od razu do domu.

– Nowego czy...

– Nowego. W starym już nie mamy czego szukać.

– Dobrze.

– A, jeśli nie będziesz zbyt zmęczony, weź od razu Cypriana. Niech ci wskaże odpowiednie miejsce na odnowienie ślubów i przygotujcie to od ręki. Jutro, jak wrócę do Ponderosy, nie chcę się już tym martwić.

Mimo napiętej sytuacji na wspomnienie Ponderosy Jonasz jak zawsze się uśmiechnął. Lubił to słowo, jego brzmienie. Pamiętał je jeszcze z westernowej Bonanzy, ukochanego serialu z dzieciństwa, w którym to właśnie ranczo było siedzibą szlachetnych i pracowitych Cartwrightów. Oglądał każdy odcinek i zawsze marzył, by też mieć taką rodzinę, takie ranczo i żyć w taki sposób. Gdy o tym śnił, był raptem dwa razy starszy od małego Bruna. Tego samego, który wciąż spał, kiedy Aldona wynosiła go z sypialni.

Chłopiec był duży, zwłaszcza w porównaniu do stosunkowo drobnej mamy, ale niewiele od niej większa Aldona niosła go z dumą i, zdawać by się mogło, bez wysiłku. Wyglądała na szczęśliwą, gdy główka chłopczyka owiniętego w koc leżała bezwładnie na jej ramieniu. Bruno rączkami oplatał szyję kobiety i ślinił się, mocząc jej ramię. Jonasz stwierdził w duchu z rozbawieniem, że to pewnie karma mści się za to, co ona wcześniej zrobiła Wojtkowi.

Przeniósł wzrok na Klarę, która przystanęła na moment w progu, by musnąć palcami wyłamany zamek. Zastanawiał się, o czym mogła w tym momencie myśleć. Czy wyrzucała sobie, że nie usłyszała, jak się włamywali? Czy zastanawiała się, co mogła zrobić lepiej? A może żałowała, że nie namówiła Igora, by uciekli gdzieś dalej, gdzie rodzina na pewno ich nie znajdzie?

I wtedy właśnie z salonu dobiegł go krzyk Wiktorii:

– Ej, ona nie śpi! Ta kurwa rusza powieką!

Zdażył się odwrócić, gdy Kamaz, który był już przy przeszkłonych drzwiach, minął go, w pełnym pędzie przebiegając przez kuchnię i przedpokój. Zawadził przy tym ramieniem o regał, a ten zachwiał się, przesunął i runął z łoskotem.

Jonasz pognał za olbrzymem. Słyszał odgłosy szamotaniny, stłumiony wrzask przechodzący w zdławiony bulgot, a także podniesiony głos Łukasza:

– Stój!

Uderzenie o coś, głośny jęk.

– Łap go, Wojtek!

Szerokie plecy Kamaza ograniczały Jonaszowi widok, ale mimo to zobaczył Karifa trzymającego się lewą ręką za krwawiącą szyję i pędzącego wprost ku drzwiom wyjściowym. Na jego drodze stał Wojtek w kałuży własnych wymiocin, drżący i, co oczywiste, sparaliżowany strachem.

W tym momencie Jonasz wiedział już, że żadne krzyki na nic się nie zdadzą, bo Wojtek nawet nie drgnie.

I rzeczywiście, ranny, przerażony i walczący o życie Karif, napędzany adrenaliną, odepchnął chłopaka na bok. W tamtym momencie od drzwi wyjściowych dzieliły go niespełna dwa metry, więc prawą ręką już sięgał do klamki.

I wtedy właśnie rozpędzony Kamaz uderzył w niego barkiem. Siła, z jaką to zrobił, sprawiła, że Karif grzmotnął o ścianę, zadrzały szyby, a trzy zawieszony w salonie antyramy ze zdjęciami zleciały na podłogę i rozbiły się w drobny mak. Kamaz cofnął się, złapał niemal bezwładnego uciekiniera za ramię i wymierzył mu mocny cios w żołądek. Potem pchnął go na ziemię i mocnym kopnięciem przewrócił na plecy.

Jonasz rozejrzał się po salonie. Spojrzał na leżącą na łóżku dziewczynę. Z tej odległości trudno było ocenić, ile razy oberwała, ale na pewno wiele, bo była skąpana we krwi.

Wiktorcia klęczała obok i wciąż ścisnęła oburącz rękojeść swojego noża, a sądząc po jej minie, nie wiedziała, czy udawać skruszenie, czy cieszyć się chwilą. Gdy jednak napotkała spojrzenie Jonasza, spoważniała.

– Naprawdę się obudziła. Przysięgam.

Nie miał ochoty tego komentować.

Po drugiej stronie łóżka stał Łukasz. Oddychał płytko, ręce opuścił bezwładnie wzdłuż ciała. W prawej trzymał ociekający krwią nóż. Wpatrywał się w Kamaza, oczekując reprimendy lub rozgrzeszenia.

Wojtek zgięty wpół próbował ponownie zwymiotować, ale najwyraźniej nie miał już czym, bo tylko wzdrygał się raz po raz konwulsyjnie, a z ust ku ziemi ciągnęła się lepka nitka żółtawej śliny. Wyglądał tak, że Jonaszowi z miejsca zrobiło się go żal.

Kamaz upewnił się przez wizjer co do sytuacji na ulicy, a następnie pochylił się i łapiąc Karifa za włosy, odciągnął go na sam środek pokoju. Potem podszedł do Wojtka, kucnął przed nim i uśmiechnął się ciepło, patrząc mu w oczy.

– Głupia sprawa, nie? – powiedział. – Bardzo głupia sprawa.

Chłopak niepewnie pokiwał głową, na co Kamaz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ale spokojnie, nie stało się jeszcze nic, czego nie da się naprawić. Chodź.

Złapał go za rękę i pociągnął w stronę leżącego na ziemi Karifa.

– Na szkło uważaj. Dobra, a teraz kucamy, o, właśnie tak. Puść mnie i połóż obie ręce na jego szyi...

Do tego momentu Wojtek posłusznie wykonywał polecenia, tu jednak się zawahał. Spojrzał na Kamaza i już miał się odezwać, ale olbrzym przyłożył palec do ust.

– Nie robisz tego, bo chcesz, wiem. Robisz, bo cię o to proszę, prawda? Dla mnie. Dla rodziny.

Chłopak nie odpowiedział, ale tamten nie potrzebował jego słów. Miał swoje.

– No to już, Wojtek, połóż ręce na jego szyi i... Nie patrz na niego, patrz na mnie! On się przecież w ogóle nie liczy, bracie. Jesteśmy tylko my dwaj. O, właśnie tak. Patrz na mnie. A teraz dwa głębokie wdechy i zaczynamy. Gotowy?

## 4

Krystian zaparkował niemal pod samym wejściem, brawurowo wciskając się między czerwoną toyotę a równy rząd słupków sterczących z wyjątkowo wysokiego krawężnika. Zablokował sobie tym samym drzwi, więc raczej nie zamierzał wysiadać i odprowadzać jej pod sam gabinet.

Przynajmniej tyle, pomyślała Iza, choć po tym, jak od rana się zachowywał, nie można było tego z góry wykluczyć.

– Przyjechać po ciebie, gdy skończysz? – Odwrócił się ku niej, nie zdejmując dłoni z kierownicy. – Bo jak chcesz, to mogę, żaden problem. Będę niedaleko.

– Co to znaczy niedaleko? – zaniepokoiła się. Czyli jednak!

Krystian albo dostrzegł coś w jej minie, albo się domyślił, jak mogły zabrzmieć jego słowa, bo puścił kierownicę, unosząc ręce w obronnym geście.

– Ej, spokojnie, pani podejrzliwa – zaśmiał się. – Jestem umówiony na biznesową kawę jakieś piętnaście minut stąd. Nie powinna zająć dłużej niż godzinę, więc...

– Zobaczymy, dobrze? – Zdobyła się na uśmiech i odpięła pasy. Pocałowała Krystiana w policzek, wzięła torebkę i wysiadła, zamknąwszy za sobą drzwi.

Czuła na sobie jego wzrok. Wiedziała, o czym on teraz myśli – ma nadzieję, że Iza powie coś jeszcze, a nie zostawi ich w tym konwersacyjnym zawieszeniu. I z jednej strony go rozumiała, ale z drugiej ją to drażniło. Bardziej, niż chciała przed sobą przyznać.

Daj mu spokój, przecież chce dobrze, upomniała się w myślach. To przecież nie jego wina, że twoje auto stoi w warsztacie drugi tydzień, i w sumie miło, że nie musiałaś się tłuc komunikacją na drugi koniec miasta. A nawet jeśli wymyślił spotkanie biznesowe, bo chce na ciebie zaczekać, to naprawdę źle? Nie dopytuje o przebieg sesji, nie mówi, co masz robić.

Wzięła głębszy oddech, nachyliła się i zastukała w szybę. Opuścił ją, a ona posłała mu przepraszający uśmiech.

– Dziękuję, że mnie podwiozłeś – powiedziała. – I sorry, że jestem dziś taka.

Uśmiechnął się i udał, że łapie za telefon.

– Hej, poczekaj, nagram to sobie i odpalę przy następnej kłótni. To przecież jak karta „wychodzisz wolny z więzienia” w Eurobiznesie.

Iza pokręciła głową z dezaprobatą.

– Naprawdę chcesz wykorzystać przeciwko kobiecie jej własne słowa? Jezu, Krystian, nie mówiłeś, że jestem twoją pierwszą.

Chciał coś odpowiedzieć, otworzył nawet usta, ale po namyśle tylko się zaśmiał i pokręcił głową.

– To było ładne – przyznał w końcu, wbijając wsteczny.

Kierowca kursującej po uliczce corsy musiał to dostrzec kątem oka, bo i u niego zaświeciło się z tyłu białe światło. Cofnął i zajął dogodną pozycję, sygnalizując, że zwalnijące się miejsce już ma nowego okupanta.

– W każdym razie jakby co, daj znać – rzucił jeszcze Krystian, spoglądając w tył między zagłówkami, jak kursant na zajęciach z nauki jazdy. – Jakbym jakimś cudem skończył wcześniej, mogę też ogarnąć coś na przyjęcie, jeśli...

– Jedź już – weszła mu w zdanie, starając się, by usłyszał w jej głosie wdzięczność, nie irytację.

Patrząc, jak wycofuje, po czym rusza w dół ulicy, myślała, że ostatnio jest bardzo miły, troskliwy i uczynny. Zawsze był wobec niej w porządku, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy okazywał jej jeszcze więcej wsparcia. Pytanie dlaczego. Kręcił z kimś na boku i czuł wyrzuty sumienia? Uznał, że jej częstsze wizyty tutaj to niepokojący sygnał, wobec którego nie może pozostać bezczynny? A może po prostu chodziło o nią? Od jakiegoś czasu miała taki punkt na liście swoich terapeutycznych zagadnień: „Życie z pieprzonym troskliwym misiem”, i doszła do wniosku, że fajnie byłoby znowu o nim porozmawiać.

Ruszyła w stronę przeszklonych drzwi, za którymi siwy drobny mężczyzna w granatowym uniformie obserwował na recepcji ekrany monitoringu. Był zwrócony bokiem do wejścia, a gdy powiedziała mu dzień dobry, odwrócił się tylko na moment, by posłać jej krótkie spojrzenie i burknąć coś pod nosem.

Gabinet mieścił się na parterze, na końcu korytarza i obok drzwi miał gustowną tabliczkę z napisem „Małgorzata Guzik psycholog, terapeuta”. Iza zapukała dwa razy, poczekała na stłumione „proszę” i weszła.

Siedząca za biurkiem Małgorzata Guzik była szczupła i niska. Opisu ją Krystianowi, Iza użyła określenia „filigranowa”, ale potem – niepewna, czy się nie wygłupiła – sprawdziła to słowo w internecie, gdzie doczytała, że zwykło się go raczej używać wobec kogoś o delikatnych rysach, kto ogólnie jest kruchy niczym porcelanowa laleczka.

Guzik tymczasem, choć ładna, rysy miała ostre, a jej umięśnione ręce i łydki zdecydowanie bardziej pasowały do jednego z tych action-manów, którymi Nikodem bawił się w dzieciństwie, niż do kruchej tancerki. Pewnego razu, gdy akurat zeszły w rozmowie na sport i sportowe zacięcie Izy, wyszło, że terapeutka trenuje crossfit i biega maratony. To, że przy tym nie jada żadnych słodyczy, wyszło z kolei, gdy Iza przyniosła w ramach poczęstunku świeżo upieczone muffiny. Skończyło się na tym, że dostał je zmiennik pana z recepcji. Może o to miał żal ten burkliwy?

– Dzień dobry, pani Izo – przywitała się terapeutka, wstając i obchodząc biurko. Podały sobie ręce. – I od razu dziękuję za wiadomość w związku z odwołaniem najbliższych sesji. Cieszę się, że udało się pani znaleźć chwilę na odpoczynek.

Iza wzruszyła ramionami.

– Czy się udało, to się okaże – powiedziała. – Ale tak, jadę na dwa tygodnie w rodzinne strony, do ojca do Gronowa i... – Zawahała się. – Tak, właściwie to chyba o tym przede wszystkim chciałam dzisiaj porozmawiać.

– Oczywiście. – Guzik gestem zaprosiła ją do drugiej części gabinetu, gdzie mieściły się dwa fotele i sofa. Sama podeszła do kącika, w którym na niewielkim blacie stały kapsułkowy ekspres do kawy, czajnik elektryczny, a obok dystrybutor z wodą.

– Napije się pani czegoś?

– Mam ze sobą smoothie, jeśli to nie problem – odparła Iza i zaraz dodała: – A właściwie nawet dwa, więc mogę się podzielić, jeśli ma pani ochotę.

Zamachała szklaną buteleczką, na co terapeutka uśmiechnęła się, prezentując białe zęby zabudowane rusztowaniem aparatu.

– Za dużo w tym farfocli, ale dziękuję – odrzekła. – Na pewno nic ciepłego?

– W taką pogodę? – zdziwiła się Iza.

Guzik rozłożyła ręce.

– Znam takich, co twierdzą, że tak się właśnie powinno.

Sama jednak naląła sobie tylko zimnej wody, wzięła z biurka iPada i zajęła miejsce na fotelu naprzeciwko Izy.

– Czyli, jeśli dobrze zrozumiałam, chce dziś pani mówić o wakacjach? – Postawiła kubek na blacie, otworzyła futerał i wyjęła rysik. – Czy mam rozumieć, że wyjazd budzi w pani jakieś wątpliwości?

Iza odetchnęła głośno, kilka następnych sekund poświęcając uwagę tylko trzymanej w ręce butelce.

– Sama nie wiem – powiedziała w końcu. – Po prostu odnoszę wrażenie, że to najgorszy możliwy moment.

Guzik dała jej chwilę na rozwinięcie tematu, ale gdy zorientowała się, że się na to nie zanosí, dopytała:

– Zawodowo czy prywatnie?

– Tak i tak w zasadzie. – Iza wykonała ruch, jakby chciała odstawić butelkę na blat, ale tylko potrząsnęła nią, odkręciła i upiła mały łyk. – Ostatnie miesiące w pracy były intensywne, teraz jest niewiele lepiej i trochę mi głupio zostawiać Ewę z tym samą.

– Rozmawialiście o tym?

– Tak. Ewa mówi, że mam się nie wygłupiać i jechać, bo wyglądam jak siedem nieszczęść. – Zaśmiała się i odgarnęła włosy. – Naprawdę wyglądam jak siedem nieszczęść?

– Na moje oko nie więcej niż pięć – odparła terapeutka. – Ale o tym, że potrzebuje pani odpocząć, rozmawialiśmy już wiele razy. Również uważam, że naprawdę przyda się chwilowa zmiana miejsca i oczyszczenie głowy. To – spojrzała w notatki – Gronowo to ładna okolica? Gdzie to jest?

– Na Opolszczyźnie, niemal przy samej polsko-czeskiej granicy, niedaleko Głubczyc – wyjaśniła Iza. – I tak, bardzo ładnie. Jest las, całkiem spore jeziorko, cisza i spokój.

– Nawet w wakacje?

– Nawet. W Gronowie jest tylko jeden ośrodek turystyczny, coś w stylu amerykańskiego rancza. Zresztą nawet nazywa się Ponderosa, jak z tego starego serialu. Duży teren, sporo atrakcji, więc nawet gdy przyjeżdżają tam kolonie, to raczej rzadko wychodzą na miasto. Miało tam nawet być takie westernowe miasteczko, ale coś nie wyszło.

Guzik zanotowała na iPadzie nowe informacje, co dawno temu, przy jednej z pierwszych sesji, skojarzyło się Izie z Drelichem. On co prawda nie używał urządzeń elektronicznych, ale niemal było widać, jak słuchając, notuje w głowie to czy tamto i błyskawicznie układa w odpowiednich



szufladkach umysłu. To skojarzenie mało kiedyś nie pchnęło jej do rezygnacji z tych spotkań. Oparzeń nie leczy się wszak benzyną i zapałkami.

– Z pani opowieści – podjęła terapeutka – pani Ewa jawi mi się jako osoba bardzo kompetentna i godna zaufania. Czy to słuszne wrażenie?

– Tak, to prawda. Ale wie pani, jak człowiek bardzo się stara być samodzielny, to trudno nagle przestać.

Guzik skinęła głową, znowu coś zanotowała, a Iza upiła kolejny łyk smoothie.

– Dobra, zostawmy sprawy cukierni, bo to jeszcze można przeskoczyć – podjęła, otarłszy usta. – Bardziej chyba chodzi mi o Krystiana. Zośka siedzi u mojego ojca, jutro Nikodem jedzie na obóz. Teraz co prawda był u ojca przez kilka dni, ale i tak... Wie pani, Krystian... chyba liczył, że spędzimy trochę czasu razem. Tyle że on nie za bardzo ma teraz jak wziąć urlop, nawet na weekend.

– A jak zareagował, gdy powiedziała pani, że chce dołączyć do córki?

Iza odgarnęła włosy za ucho.

– No niby się ucieszył, w sensie powiedział, że naprawdę mi się to przyda, ale wie pani, jak jest. Co niby innego miał powiedzieć? – Umilkła na moment. – Sama nie wiem, może powinnam zostać tu jeszcze chociaż przez dwa, trzy dni?

– A co stoi na przeszkodzie, by tak zrobić?

– Właściwie to nic – stwierdziła po chwili, zapatrzona w okno, ale zaraz potrząsnęła głową. – Chociaż nie, źle mówię. Bo wie pani, to nie tak, że sama z siebie chcę jechać do ojca. Po prostu mam wrażenie, że znowu gdzieś w tym wszystkim ucieka mi Zośka. Miałyśmy tę sytuację w marcu, pamięta pani, z jej koleżanką.

– Tak, pamiętam.

– No właśnie. Tam chyba wszystko było w porządku i podobno nawet pani znajoma, ta terapeutka, zasugerowała Zośce wyjazd z Warszawy. W każdym razie młoda tak właśnie mówiła, ale ja... cały czas mam wrażenie, że to wszystko to echo tego, co...

Urwała gwałtownie, rzucając jej spłoszone spojrzenie.

Guzik w odpowiedzi tylko uśmiechnęła się ciepło. Wsunęła rysik na miejsce, zamknęła pokrowiec i odłożyła urządzenie na blat.

– Pani Izo, ale pani wie, że nie robimy tu niczego na siłę, prawda? – upewniła się. – Ustaliłyśmy to na początku i na razie chyba się tego

trzymamy. Nie musimy ukrywać, że coś, co wydarzyło się w zeszłym roku, a o czym nie chce pani mówić, miało niekorzystny wpływ tak na panią, jak i pani bliskich. Mówię o tym, bo widzę, że to dla pani duży problem i czasami szuka pani sposobów na to, jak ten temat obejść. Zapewniam więc otwarcie: nie ma takiej potrzeby, bo do wszystkiego dojdziemy w swoim czasie. Nie będę tego z pani wyciągać na siłę ani żadnymi zawodowymi sztuczkami, słowo harcerza.

Iza nie odpowiedziała. Wpatrywała się tylko w Guzik i jej dwa palce wzniesione teraz jak do ślubowania. No bo właściwie co miałyby odpowiedzieć? Potwierdzić, że tak, pewnie kiedyś w swoim czasie rozwiążą wszystkie te sprawy? Przecież wiedziała, że to nieprawda. Na temat terapii miała już niejedną przeprawę z Drelichem, który widział w takich spotkaniach poważne zagrożenie dla siebie i poniekąd dla nich. Po części przyznawała mu rację, więc na potrzeby tych sesji powstał nowy, uładowany i ocenzurowany Marek Drelich, swoisty manekin do pozoracji, a ona nauczyła się przedstawiać swoje problemy naokoło, zuniwersalizowane albo zniekształcone, tak by dało się rozmawiać o jakiejś sprawie, utrzymując jej sedno w ukryciu.

No bo jak niby miałyby powiedzieć, że były mąż, ojciec jej dzieci jest wciąż czynnym zawodowym złodziejem? Że nie tylko wiedziała o tym, odkąd się znają, ale nawet, zanim pojawiła się Zośka, pomagała mu w tym? Jasne, mówiła o niebezpiecznych sytuacjach i o skłonności byłego męża do kontrolowania otoczenia, ale przecież nie mogła wyjawiać całej prawdy – że wiele razy bała się już nawet nie o Drelicha, tylko o dzieci. Przecież pewnego dnia mogą zobaczyć go w wiadomościach jako poszukiwanego albo dowiedzieć się, że tata jest w więzieniu i dlaczego tam trafił. Tego, co mogłyby wtedy zobaczyć w ich oczach, bała się jak niczego innego na świecie.

I jak wreszcie miała powiedzieć Małgorzacie Guzik o tym, co wydarzyło się w zeszłym roku, gdy nagle wszystko się rozsypało, a cała rodzina wynikiem pieprzonego przypadku, ale i przeszłości Drelicha, znalazła się pod ostrzałem. O tym, że nie mogła spać i spinała się, wchodząc do skąpanych choćby w półmroku pomieszczeń, bo pod powiekami wciąż miała obraz Natana, mężczyzny, który napadł ją w jej własnym domu.

Wtedy, napędzana adrenaliną, przerażeniem i pamięcią mięśniową dusiła go tak długo, aż była pewna, że nie żyje. W swoich snach jednak nie zawsze wygrywała.

Zresztą zabicie człowieka raczej trudno uznać za zwycięstwo, nawet jeśli pozbyli się ciała tak, że nie było szans, by ktokolwiek ich z nim powiązał. A ta krótkotrwała radość i ulga, jaką czuła, gdy Drelich, jego stryj i kuzyni zabili kolejnych ludzi, zamykając sprawę – czy takie rzeczy w ogóle można zamknąć? Zabiła człowieka, za jej sprawą zginęli inni. Czy taki rachunek da się kiedykolwiek wyrównać?

Niektóre z problemów potrafiła przekształcić w coś, o czym mogła opowiedzieć terapeutce i dzięki temu dowiedzieć się czegoś o sobie – dlatego wciąż tu przychodziła, jednak tych kluczowych, najbardziej palących kwestii nie wolno jej było ruszyć.

Guzik poprawiła się na fotelu, ani na moment nie zrywając kontaktu wzrokowego. Iza bardzo to doceniała, bo lata temu, po narodzinach Nikodema, dała się namówić na terapię, ale zrezygnowała po pierwszej wizycie, gdy przyłapała terapeutę na sprawdzaniu czasu. Zegar wisiał wtedy tuż za nią, na linii jej głowy. Nie była pewna, czy mówiła o tym Guzik, ale tu też był taki zegar.

Choć cisza wyraźnie się przedłużała, terapeutka przez cały czas patrzyła prosto na nią, czekając cierpliwie.

– Jeżeli czuje pani, że część problemów córki może mieć związek z pani przeżyciami, to tak, warto o tym porozmawiać – zaproponowała w końcu. – Możemy tu mówić o pani odczuciach, o tym, jak pani to widzi i co chciałaby zmienić. Ale proszę pamiętać, że córka ma już szesnaście lat i jest na etapie usamodzielniania się. Jej życie staje się coraz bardziej jej, a jej własne problemy, nazwijmy to, doroślejsze. Przykład miała pani właśnie w marcu.

Iza spojrzała na trzymaną w dłoniach pustą już butelkę, odstawiła ją na blat i otarła usta przedramieniem, jak za dawnych, podwórkowych czasów.

– Chyba zwyczajnie nie jestem jeszcze gotowa na dorosłą córkę – powiedziała i zaraz się roześmiała. – Zresztą niech mi pani powie, jak bardzo złą matką muszę być w oczach Zośki, skoro o tym, że ma chłopaka, dowiaduję się od mojego ojca.

Guzik uśmiechnęła się i aparat na jej zębach błysnął.

– Pani ojciec, o ile dobrze pamiętam, to były policjant, prawda? W dodatku... jak by to ująć, dość starej daty, jeśli dobrze zrozumiałam?

– Zgadza się. Choć bardziej pasowałoby określenie „zakonserwowany w dawnych czasach”.

– Zatem – kontynuowała terapeutka wciąż z uśmiechem – nie odpowiem na pytanie, jaką jest pani matką, bo to pytanie nie do mnie. Ale widzę to tak, że albo Zośka, współczesna warszawska nastolatka, rzeczywiście woląca powiedzieć o chłopaku konserwatywnemu dziadkowi z małego miasteczka niż swojej matce, co, przyznaję, byłoby dość nietypowe...

– Albo? – zapytała Iza, choć już sama domyśliła się reszty.

– Albo pewien były policjant posiadał tę wiedzę innym sposobem i wtedy...

– Powinnam tam jechać jak najszybciej i ją uratować, co?

Guzik nie odpowiedziała. Jej mina jednak mówiła wszystko.

## 5

W miejscu, gdzie stał teraz, przy bramie wiodącej do ośrodka Ponderosa, Cyprian Kozdraś ostatni raz widział swoją matkę żywą.

Było to niemal dokładnie trzy lata temu. Pamiętał tamten dzień. Matka siedziała w pokoju dziennym, przy stole, wpatrzona we własne ręce leżące na blacie. Plecy jak zawsze miała idealnie wyprostowane, głowę pochyloną, dłonie ułożone tak, że palce wskazujące i kciuki układały się w trójkąt.

Takim właśnie gestem dłoni odwoływali się do Boga na występach Armii, 2Tm2,3 czy Houka w czasach, gdy w liceum jeździł na koncerty religijnego rocka. Ale matka nie chodziła już wtedy do kościoła, w domu nie mieli krzyży, a jedynym świętym, do którego czasem się odwoływała, prosząc o pomoc, był zmarły ojciec.

Gdyby Cyprian spakował się wcześniej, pewnie nie byłoby żadnej rozmowy, bo akurat tego dnia Marianna Kozdraś miała intensywny poranek. Najpierw w gabinecie ojca omawiała z szefem ekipy remontowej zajmującej się Ponderosą temat budowy westernowego parku oraz aktualniejszą sprawę ogrodzenia na odcinku leśnym, które miało powstrzymać dziki. Później nowa dyrektorka z miejskiego domu kultury w Gronowie przyjechała na umówioną kawę, by się zapoznać i porozmawiać o tak zwanej współpracy. W praktyce sprowadziło się to do tego, że szybko i mało subtelnie upewniła się, czy matka nadal zamierza być najhojniejszą sponsorką wydarzeń kulturalnych w gminie.

Cyprian właściwie nie umiał powiedzieć, dlaczego nie wyszedł podczas któregoś z tych spotkań. Chciał, był już spakowany, ale tylko siedział na łóżku, obracając w palcach wisiołek, który dostał od Kamaza. Grot strzały na czarnym rzemieniu. Pierwszy z prezentów określających stopień wtajemniczenia. Drugim był tatuaż, ostatnim własny nóż zrobiony przez rzemieślnika Kubę.

Zebrał się, gdy samochód dyrektorki odjechał, a w domu zapanowała kompletna cisza. Z jakiegoś powodu uznał, że matka również ruszyła do miasta, i chyba to dodało mu odwagi – szansa na uniknięcie konfrontacji.

Gdy jednak zszedł po schodach i wyłonił się zza winkła, zobaczył ją przy stole. W okiennym odbiciu dostrzegł jej dłonie i wtedy przyszła mu do głowy ta myśl o modlitwie.

Powstrzymał się przed powrotem na górę, cicho przeszedł przez salon, w przedsionku złapał za buty i założył je już na zewnętrznym schodku, a potem celowo ruszył nie ku drodze, gdzie byłby widoczny z okien salonu, tylko wysypaną białym żwirem ścieżką, wiodącą ku ośrodkowi.

Był już pewien, że mu się udało, ale w połowie drogi do bramy usłyszał, jak go woła. Odwrócił się. Szła w jego stronę.

W pierwszym odruchu chciał rzucić się do ucieczki, przypomniał sobie jednak słowa Kamaza – jak długo uciekasz, tak długo znajdzie się ktoś, kto będzie cię gonił. Dlatego wytrzymał, poczekał, a gdy się zbliżyła, udał zdziwienie i rozbawienie.

– Stało się coś, mamó? – zapytał.

– Gdzie idziesz? – zapytała, marszcząc czoło. – Po co ci ten plecak?

– Jadę do przyjaciela na kilka dni, mówiłem ci – odparł. Skłamał z tym ostatnim, ale wiedział, że może. Zbliżała się rocznica śmierci ojca, czas, kiedy rozkojarzonej Mariannie Kozdraś można było wmówić niemal wszystko. – Pytałem cię, pamiętasz? Czy nie potrzebujesz pomocy w ośrodku albo coś. Powiedziałaś, że nie, to jadę.

Patrzył jej prosto w oczy, starając się przypomnieć sobie wszystkie porady, jakie co do tej konfrontacji dał mu zawczasu Kamaz. Bo on przewidział, że taka sytuacja będzie mieć miejsce. Uprzedził go i obiecał, że pomoże mu przez to przejść.

Mówił Cyprianowi, że matka już tak naprawdę nie żyje, bo odeszła razem z ojcem, i że on tkwi teraz w domu duchów. Musi przepracować etapy żałoby, pożegnania z nią, ale wcześniej musi sobie uzmysłwić, że to wszystko już się skończyło. Głos matki to jedynie ciche pikanie aparatury przy szpitalnym łóżku. Złudna nadzieja bliskich, którzy nie są zdolni pójść dalej.

Patrzył więc na ducha.

– Będę za kilka dni – zapewnił, sięgając ręką do jej twarzy, jak zwykł robić to Kamaz, gdy uspokajał ludzi. – Jeśli chcesz, żebym coś ci przywiózł z Warszawy, to koniecznie napisz, dobrze?

Przyglądała mu się nieufnie, ale w końcu skinęła głową.

– Mogę cię odprowadzić? – zapytała.

Zgodził się i wziął ją pod rękę, a potem szli w milczeniu po tej białej zwirowanej ścieżce, której wkrótce nie będzie, bo doprowadzała Kamaza do szału. Cyprian starał się nie rozglądać, nie patrzeć ani w stronę ośrodka, ani polany, ani lasu, by nie wzbudzić w matce podejrzania, że się żegna, że patrzy na to wszystko po raz ostatni. Choć wtedy, w tamtym momencie był pewien, że tak właśnie jest.

Przy bramie przytulili się mocno, a potem matka odsunęła się nagle i spróbowała się uśmiechnąć.

– Zaskocz mnie – powiedziała.

Nie zrozumiał.

– Chciałabym dostać od ciebie jakąś niespodziankę – wyjaśniła. – Pamiętasz, jak kupiłeś mi zabawkę na kolonii? Co to było? Jakiś plastikowy żołnierz.

– Rambo – odparł i się roześmiał. Faktycznie dał jej wtedy plastikowego Rambo, którego kupił dla siebie. Dla niej miał wisiołek z bursztynem, ale gdzieś w drodze powrotnej go zgubił. – Chcesz, żebym ci kupił plastikowego żołnierza?

Pokręciła głową.

– Chcę, żebyś zrobił mi niespodziankę – powtórzyła.

– Dobrze, mamo. Do zobaczenia.

Przeszedł przez wielką drewnianą bramę z napisem „Ponderosa”, dokładnie tę, pod którą stał teraz.

Marianna Kozdraś nie wyszła poza teren posiadłości i to był dla niego kolejny dowód, że matka nie żyje. Duchy zostają w miejscach, do których przywiązały się za życia. On odszedł do swojej, jak wtedy myślał, prawdziwej rodziny.

A teraz nie żyła. Według oficjalnej wersji wydarzeń zginęła w nieszczęśliwym wypadku – pod wpływem alkoholu i środków psychotropowych utopiła się we własnej wannie. Ale w tę wersję chyba nikt tak naprawdę nie wierzył. Po prostu oszczędzali jej – tej biednej kobiecie, której mąż umarł, a syn uciekł – dodatkowego powodu do wstydu, jakim w ich mniemaniu było samobójstwo.

Choć pojawiły się też inne podejrzania. Cyprian doskonale o tym wiedział, bo widział te komentarze na lokalnych fanpage’ach i forach związanych z miastem. Niby zadawane w formie pytań, ale stanowiące wyraźny sąd nad synem marnotrawnym, który zniknął na lata, a teraz, niemal natychmiast po jej śmierci, objawił się jako jedyny spadkobierca

wielkiego majątku obejmującego ziemię, dwustumetrowy dom, ośrodek wypoczynkowy i teren pod westernowe miasteczko warte łącznie blisko piętnaście milionów.

Komentarze w sieci potrafiły być bardzo bezpośrednie i okrutne, ale najbardziej bolesne było w nich to, że w dużym stopniu mówiły prawdę.

Matka zginęła, bo rodzina musiała się przenieść. Bo w starym domu w podlaskich Sobieradach zaczęło się robić nieprzyjemnie. Mieszkańcy miasta przyglądali im się coraz mniej przychylnie, robili pod górkę w najdrobniejszych sprawach, jakby czerpali radość z przeszkadzania im w zakupach. Zaczęły się zaczepki, kontrole policji, sanepidu, opieki społecznej w sprawie dzieci. Otwarte starcie wisiało w powietrzu od dłuższego czasu i rodzina wiedziała, że nie może tam dłużej zostać.

Marianna Kozdraś zginęła, bo Ponderosa była dla nich niczym ziemia obiecana. Nieźle prosperujący ośrodek, na którym mogli zarabiać, miejsce pod uprawy, a nawet hodowlę zwierząt, dodatkowo cisza i spokój. A dzięki Cyprianowi ta ziemia naprawdę należała do nich i nikt nie mógł ich stąd wyrzucić.

Dzień po tym, jak przyszła informacja o śmierci matki, zgodnie z indiańskim rytuałem Kamaz dał Cyprianowi tydzień na żałobę. Odstąpił mu swój pokój do medytacji, zakazał przeszkadzać i zamknął na klucz, mówiąc: „Gdy poczujesz gniew, niszczyć wszystko, co znajdziesz. Gdy poczujesz żal, płacz, a gdy poczujesz potrzebę rozmowy, zawołaj”.

Potem przez cały ten czas siedział po drugiej stronie drzwi i czekał, a Cyprian, wiedząc, czego się po nim spodziewają, krzyczał, płakał i wył, ale w głowie obracał tylko jedną, lodowato spokojną myśl, która zresztą potem wracała do niego raz po raz, jak choćby w tej chwili.

To ja ją zabiłem. Nie Jonasz, nie Kamaz, nie rodzina. Ja.

Kiedy to zrobił? Tego nie umiał stwierdzić. Może trzy i pół roku temu, jadąc na pierwszy wykład Kamaza, a potem oglądając jego programy w sieci i telewizji. Może gdy odbył z olbrzymem pierwszą z tych poważnych szczerých rozmów. A może półtora roku temu, gdy nie zdecydował się na ucieczkę, choć sprawa Aldony ostatecznie otworzyła mu oczy na to, czym jest rodzina i kim staje się powoli każdy, kto do niej należy. Bał się wtedy odejść, a nade wszystko bał się pokazać, że stracił wiarę w Kamaza. Bo wiedział już, jakimi metodami ten ją przywraca.

Najpewniej jednak Cyprian zabił matkę w tym właśnie miejscu, pod tą bramą, obiecując jej tę cholerną niespodziankę.



– Hej, Cyprian, wszystko w porządku?

Błyskawicznie cofnął dłoń trzymaną na drewnianym słupie, zupełnie jakby w tym geście było coś nieprzyzwoitego. Obrócił się już z uśmiechem, mając nadzieję, że ten grymas będzie wyglądał naturalnie i wesoło.

Przed nim stał Tomeczek, niegdysiejszy kulturysta i bojówkarz białostockiej Jagiellonii, obecnie jeden z pięciu wojowników rodziny. Na pierwszy rzut oka tępawy blockers, w rzeczywistości jednak miał w sobie mądrość ulicy i dobry zmysł obserwacji. Cyprian wiedział, że o ile Kamaz sporadycznie czyta pamiętniki reszty rodziny, o tyle zapiskom Tomeczka zawsze przygląda się z uwagą. Wyraźny dowód uznania ze strony guru wobec byłego bojówkarza stanowiła też decyzja o związaniu go z Kalimą, przepiękną Mulatką i jednocześnie jedyną lekarką w rodzinie.

Cyprian musiał przyznać, że całkiem niezłe się dogadywali jak na tak pozornie niedobraną parę. Co tym bardziej uzmysławiało mu, że Tomeczka nie należy lekceważyć.

– Och, cześć. Wystraszyłeś mnie – powiedział wciąż z tym samym doklejonym uśmiechem. – Dostałem wiadomość, że zaraz przyjedzie tu samochód z ważnymi gośćmi i mam ich odeskortować do domu.

Tomeczek parsknął.

– Ważnymi gośćmi, mówisz? To ty nie wiesz, kto to będzie?

– Nie mam pojęcia. Pół godziny temu dzwoniła Aldona, że jadą, że mają ważnych gości i potrzebny jest im jeden pokój w domu oraz jeden w ośrodku, ale w części niedostępnej dla turnusu. No i żebym czekał przy bramie, by ich powitać jako gospodarz.

Tomeczek słuchał tego i sądząc po minie, świetnie się bawił. Pozwolił Cyprianowi dokończyć, potem powoli pokręcił głową, irytująco przy tym cmokając.

– Oj, stary, aż dziwne, że ci nie powiedzieli – stwierdził w końcu. – Może dlatego, że rozmawiałeś przez stacjonarny i nie chcieli, by inni usłyszeli? Do mnie Aldona dzwoniła na komórkę.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni niezgrabną kostkę z wielkimi przyciskami jak dla seniorów i zamachał. Miał się czym chwalić, bo jako jeden z niewielu członków rodziny dostał zgodę Kamaza na własny telefon. Oczywiście bez internetu i regularnie sprawdzany, ale nadal.

Nagroda za lojalne bycie kapo, pomyślał Cyprian ze złością. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że przecież nie powinien mieć żalu, bo swój aparat oddał

z własnej woli i bez sprzeciwu. Zresztą po co mu telefon? Do kogo miałby, kurwa, dzwonić?

Skrzywił się i z trudem przełknął ślinę, jak przy anginie. Miał tak zawsze, kiedy przeklął, choćby w myślach, odkąd Kamaz zakazał mu używać wulgaryzmów i wprowadził za nie stopniowane kary. Przy pierwszej wpadce Cyprian musiał wypić ocet, potem olej, a wreszcie piekielnie ostry sos. Mało wtedy brakowało, a skończyłoby się wizytą w szpitalu z powodu poparzeń w przełyku, a dziś na samą myśl o przekleństwie czuł ból. Zwłaszcza że następnym etapem miała być setka wrzątku.

– Powiesz mi? W sensie: kto to będzie – powiedział.

Tomeczek pokręcił głową.

– Tak naprawdę to nie wiem, czemu Aldona ci nie powiedziała. A jeśli to ma być dla ciebie niespodzianka?

To słowo w tym miejscu trafiło celnie i boleśnie. Cyprian odwrócił się, by ukryć szklące się oczy, i wtedy zobaczył, że od strony ośrodka idzie ku nim grupa dziewczyn z miasta z matami do jogi.

Zazwyczaj było ich pięć, jedna w wieku wczesnolicealnym i cztery starsze, studentki na wakacyjnej przerwie. Zapisaly się na zajęcia w ramach współpracy Ponderosy z Miejskim Domem Kultury i przychodziły regularnie na zajęcia udostępnione ludziom z zewnątrz.

Z początku była to tylko joga prowadzona przez instruktorki zatrudnione jeszcze przez Mariannę, która zainicjowała również jazdy na kucykach dla dzieci. Kamazowi jednak pomysł spodobał się na tyle, że już za pomocą ludzi z rodziny rozszerzył ofertę o warsztaty bębniarskie, rzemieślnicze, rytuały taneczne i okadzanie w dymnych jamach oczyszczenia. Wszystko dostępne dla każdego, kto chciał, za darmo, w ramach gestu dobrej woli wobec mieszkańców. Uśpienia ich czujności.

Cyprian przyglądał się idącym dziewczynom, mrużąc oczy. Miał nadzieję, że tym razem nie będzie wśród nich tej najmłodszej, czyli Zosi, córki jego dawnej opiekunki Izy Lemańczyk. Ale oczywiście zaraz ją dostrzegł – pogodna i rozszczebiotana opowiadała coś koleżankom.

Gdy tu przyjechała, nie była taka pogodna, przypomniał sobie. Stała się taka, dopiero gdy zainteresował się nią Kamaz. Najpierw zaczął z nią rozmawiać, potem zaprosił do współpracy, do wspólnych posiłków z rodziną i wreszcie przedstawił jej Wojtkę...

Ta dziewczyna, tak podobna do swojej matki, którą Cyprian dobrze pamiętał, była kolejnym ogromnym wyrzutem sumienia. Bolało go, że nie

ma w sobie dość odwagi, by porozmawiać z jej dziadkiem i uratować ją od zaciskającej się pętli. Choć co stary małomiasteczkowy policjant mógłby zrobić, mając naprzeciwko Kamaza i Jonasza?

– Coś się tak zawiesił? – zapytał Tomeczek. – Wpadła ci któraś w oko?

Cyprian wzruszył ramionami, nie odpowiadając.

– Pewnie dawno nie ruchałeś, nie? – drażył Tomeczek i na wypadek gdyby Cyprian nie zrozumiał, do czego nawiązuje, wykonał gest, jakby gładził się po niewidzialnym, ciężowym brzuchu. – No i nie pocieszę cię, stary. Po porodzie też szybko tej swojej Magdy nie bzykniesz. Przeszedłem przez to, w dawnym życiu, wiesz. Na twoim miejscu poprosiłbym jednak Kamaza...

– Nie jesteś na moim miejscu, Tomeczek – warknął Cyprian. – I obaj wiemy, że nigdy nie będziesz.

Wyraz twarzy osiłka natychmiast się zmienił. W jednej chwili zniknęło z niej rozbawienie, oczy zwięzły się do małych szparek, a górna warga drgnęła, jakby miał zamiar obnażyć kły. Z pewnością tak właśnie wyglądał, stając wśród kolegów w lesie, w klubowej koszulce i ze sztachetą w łapie. Jak cholerne zwierzę.

– Ej, niech ci się, kurwa, nie wydaje... – zaczął, ale zaraz urwał gwałtownie i wyraźnie speszony szybko zaczął od nowa: – Niech ci się nie wydaje...

Urwał ponownie i tym razem nie podjął już kolejnej próby. Zdał sobie sprawę, że to na nic, bo Cyprian nie przeoczył tego, co próbował ukryć. Westchnął więc tylko, zamknął usta i zwiesił głowę.

Cyprian ostentacyjnie sięgnął do tylnej kieszeni po znajdujący się w niej notes, zastanawiając się, na którym etapie kar za przekleństwa jest właśnie Tomeczek. Raczej nie na żadnym z pierwszych, bo specjalnie by się nie przejął. Czyżby zatem sos z piri-piri? A może już etap z lejkiem i wrzątkiem?

Wyjął długopis z gumowej pętelki, otworzył notes.

– Daj spokój – poprosił Tomeczek. – W sensie przepraszam, bracie. Nie powinienem w ogóle tak żartować i...

– Masz rację, nie powinieneś – odparł i wtedy dostrzegł nadjeżdżającą furgonetkę.

Za kierownicą siedział Łukasz, a obok niego dziewczyna o poważnej twarzy, którą rozpoznał dopiero po kilku sekundach. A wtedy zawalił mu się świat.

Półtora roku temu Cyprian, patrząc w puste oczy Aldony i dowiadując się, do czego Kamaz ją zmusił, miał wrażenie, że właśnie uwolnił się spod jakiegoś zaklęcia. To było nagłe i niespodziewane, jakby ktoś obudził go chłusnięciem zimnej wody albo podał mu czerwoną pigułkę i wyrwał z pieprzonego matriksa.

W tamtym momencie zabrakło mu odwagi, by działać, ale gdy kilka miesięcy później dowiedział się, że zaślubiona mu dwudziestodwuletnia Magda jest w ciąży, postanowił zrobić wszystko, by jego dziecko nie wychowało się w rodzinie. W noc po tym, jak Kamaz zakończył jego żałobę, Cyprian odważył się porozmawiać z Magdą i wyszło, że oboje pragną tego samego.

I choć na razie była to tylko mrzonka, choć ani razu nie weszli nawet w strefę konkretniejszych planów, mieli swój promyk nadziei, przykład, że może się to udać – Igora i Klarę. Parę, która faktycznie wyrwała się spod wpływu Kamaza i której Jonasz, ten przeklęty pies rodziny, nie mógł wytropić od prawie trzech lat.

A teraz Klara siedziała obok Łukasza.

## 6

Opuszczony parking pod starym, zamkniętym od lat salonem meblowym znajdował się już właściwie za granicami Warszawy. Nieduży plac z jednej strony graniczył z odnowionym parkiem, z drugiej z ciągiem przydrożnych sklepów. Od położonej nieco wyżej ruchliwej drogi oddzielało go z kolei ogrodzenie, w dwóch trzecich złożone z przerdzewiałej, pogiętej siatki, a dalej z kilku segmentów betonowego płotu.

Ćwicząc tu, Drelich pozornie był odkryty, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Stryj Józef zawsze mawiał, że nie ma znaczenia, czy ktoś cię widzi – liczy się wyłącznie to, czy wzbudzisz czyjąś ciekawość. A kogo zainteresowałyby skoda rapid wykonująca manewry między tyczkami zamocowanymi w gumowych słupkach na pustym podwarszawskim parkingu?

Jedyna niedogodność wiązała się tak naprawdę z rozmiarem placu, bo nie można było na raz odtworzyć całej trasy. Na tym etapie liczyło się jednak już tylko utrwalenie kilku kluczowych manewrów, które mógł ćwiczyć oddzielnie. Specjalne odcinki odmalował więc różnymi kolorami kredy na asfalcie – jedne oznaczały konkretną nawierzchnię, inne fragment drogi do pokonania właściwą prędkością lub stanowiący obszar manewrowy wraz z wąską przestrzenią awaryjną na korektę ewentualnych błędów.

Odkąd przyjechał tu dwie godziny wcześniej, zdążył przepracować już niemal wszystko, na koniec zostawiając odcinek pozornie najprostszy, czyli niecałe dziesięć metrów przejechane z prędkością poniżej czterdziestu kilometrów na godzinę po prostokącie wykreślonym czerwoną kredą aż do bramki zrobionej z dwóch tyczek. Następnie delikatne odbicie w prawo, potem korekta, kolejne dwa metry prosto, wjazd między tyczki i powtórka całości.

Nic skomplikowanego, ale to właśnie był jeden z dwóch manewrów, których Drelich obawiał się najbardziej, bo wyraźnie rozgałęziały się na kilka wariantów – zależnie od tego, jak ostatecznie zareaguje samochód.

Dlatego teraz powtarzał wszystko, siedząc wyprostowany na mocno odsuniętym fotelu, i trzymając ręce na kierownicy w lekkim zgięciu łokci, jakby przymierzał się do objęcia pnia drzewa. Najazd, punkt kluczowy, wariant pierwszy, objazd i powrót. Najazd, punkt kluczowy, wariant drugi. Jeszcze raz...

Nie włączył klimatyzacji, by się nie przeziębnić, więc w samochodzie, mimo otwartych okien, było gorąco jak w piekarniku i już po dwóch przejazdach Drelich nabrał wrażenia, że wypocił wszystko, co przed kwadransem wypił. Ale to, uznał, też było ważne. Pot lejący się po twarzy i wywołujący nieprzyjemne swędzenie w pewien sposób stanowił substytut kominiarki, którą jutro przyjdzie mu założyć na akcję. Zresztą na ten temat stryj Józef też miał adekwatne powiedzonko. Im więcej potu przelanego na treningu, mawiał, tym mniej krwi przelanej w boju.

W końcu jednak uznał, że wystarczy. Zjechał pod zrujnowany budynek salonu, by skryć się w cieniu, i wyjął z bagażnika turystyczną lodówkę z wodą i kanapkami. Odwinął jedną z nich z folii, ale zanim ugryzł, sięgnął po telefon, wybrał numer Kracha i wcisnął ikonkę głośnika. Rozbrzmiał długi sygnał, a zaraz po nim seria krótkich, oznaczająca odrzucenie połączenia. Pięć sekund później przyszedł esemes „Zaraz będę”. Drelich schował telefon do kieszeni i spokojnie zjadł kanapkę.

Zabierał się właśnie za drugą, gdy na jednym z miejsc parkingowych wzdłuż ciągu sklepów zatrzymał się czarny suv. Wsiadł z niego postawny brodacze w okularach przeciwsłonecznych, krótkich niebieskich spodenkach i białej koszulce polo.

Drelich patrzył, jak Krach obchodzi auto, wyjmując z bagażnika torbę sportową i przewiesza ją przez ramię, a następnie znika w pobliskiej Żabce. Wyszedł stamtąd po dwóch minutach z puszką coli w ręce i zaczął szukać drogi na skróty wiodącej na parking. Nie znalazł, więc wyraźnie niepokieszony ruszył naokoło, wzdłuż drogi, zwirowanym poboczem.

Gdy wreszcie dotarł, był cały czerwony i mokry od potu.

– Niech cię szlag, Drelich – wysapał. – Powiesz mi, w czym dwóch facetów przekazujących sobie torbę na parking przy jednym samochodzie jest mniej podejrzanych od tych samych facetów w tej samej sytuacji, tylko przy dwóch samochodach?

– Jeśli są dwa samochody i jeden z nich to czarny suv, to zawsze jest podejrzane – odparł Drelich, po czym zaraz dodał: – Zresztą to ty chciałeś się spotkać poza biurem, pamiętasz?

– A co, z taką zarośniętą gębą chciałeś przyjść do mnie? I wiem, co chcesz powiedzieć, ale daruj sobie. Ja ze swoją wyglądam dobrze i stylowo, ty jakby kto gównem za kiwi przebrał. I masz, bo to ciężkie w diabły.

Zdjął torbę z ramienia i podał ją Drelichowi. Ten bez otwierania wstawił ją do bagażnika, a ze stojącej obok lodówki wyjął butelkę wody.

– Nie powinienes pić słodkiego w taki upał – powiedział, podając ją Krachowi.

– Jeszcze w czymś chcesz mnie pouczać, panie mądry? Cholera, Drelich, ja serio mówię. Rozumiem ostrożność, rozumiem obawy, ale ten pierdolony skwar mnie wykańcza. Chyba będziesz mnie musiał teraz podwieźć z powrotem do auta.

Drelich zrolował folię po kanapkach i wrzuciwszy ją do środka, zamknął lodówkę, a następnie bagażnik. Znowu się o niego oparł, zaplatając ręce na piersi.

Krach w tym czasie przyglądał się kredowym rysunkom, popijając wodę małymi łydkami.

– I jak dziś poszło? – zapytał. – Jesteś gotowy? Wyeliminowałeś te rzeczy, których się obawiałeś?

– Tak, myślę, że jestem gotowy – odparł Drelich. – A co do obaw, to wyeliminowałem wszystko z wyjątkiem rzeczy, na które...

– Nie masz wpływu, jasne – Krach wszedł mu w zdanie.

Umilkł i milczał tak przez dobre pół minuty, przenosząc wzrok to na domki, to na park i rozlokowany w nim plac zabaw. Sapał przy tym cicho, być może z powodu upału, a może próbując się uspokoić.

– Wiesz, jak się nazywa to, co teraz robisz, nie? – zapytał w końcu.

– Co masz na myśli?

– Pasywna agresja, tak to się nazywa. Miałem to ostatnio na terapii małżeńskiej.

– Terapii? – zdziwił się Drelich. – Przecież wy się w grudniu na nartach poznaliście, nie? I już w sierpniu terapia?

– Nie zmieniaj tematu – warknął Krach. – Powiedz, czy był problem, jak przyszedłeś i z dupy ogłosiłeś, że kończysz? Czy zrobiłem ci scenę, odjechałem ojca chrzestnego albo inne gówno? Nie! Niczego takiego. Po prostu powiedziałem, że czeka cię jeszcze ostatnia robota, tak? Że to ważna rzecz i nie mam nikogo lepszego, tylko to jedno jeszcze musisz. Pytam: powiedziałem tak?

– Powiedziałeś.

– To dlaczego teraz próbujesz takimi tekstami sprawić, żebym się źle poczuł?

Przerwał, upijając kilka łyków wody i wyraźnie dając Drelichowi czas, by ten powiedział coś, od czego Krach będzie mógł się ostro odbić. Nie doczekał się.

– Słuchaj – podjął w końcu. – Ja rozumiem, nie chciałeś tej fuchy, nie leży ci ani termin, ani to, że musisz wyjść ze strefy jebanego komfortu. Że trzeba trochę szybciej, inaczej, głośniej, ale... Nie przerywaj mi teraz! Mówiłem ci, że to dla mnie ważne, tak? Że to przysługa dla ludzi, którym nie mogę odmówić. Ile razy ty czegoś potrzebowałeś, a ja... Nie przerywaj, mówię! Tak, liczyłem cię za to, ale ty też teraz za darmo nie robisz. Dostałeś wszystko, co chciałeś do tej akcji? Dostałeś. Poprosiłeś o kolesia do wsparcia? I jest, choć patrzył na mnie jak na idiotę, gdy mu powiedziałem, że plan skoku pozna dopiero w dniu akcji. Ale się zgodził, bo mi, kurwa, ufa! Wszystko masz ogarnięte, nawet te dwa auta załatwione przez osobnych ludzi, tak jak chciałeś. Kurwa, Drelich, to ja się pytam, kto tu komu robi przysługę, do jasnej cholery?!

Znowu przerwał, tym razem dlatego, że się zasapał. Otarł dłonią pot z czoła, strzepnął palce i dopił wodę.

Drelich wciąż przyglądał mu się w milczeniu.

– Całe szczęście, że ten Chrypka się zgodził, bo ja bym na coś takiego nie poszedł. Plan w dniu akcji? Przecież to pojebane! Ale on mi mówi: paranoicy w tej robocie nie są źli, chyba że chcą cię zajebać. I musiałem go, wyobraź sobie, zapewnić, że ci ufam. Słowo dać, że nie będziesz próbował go załatwić, jak skończycie. Wyobrażasz to sobie?

– Tak.

– Co, kurwa, tak?!

– Wyobrażam sobie, jak musiałeś go przekonywać.

Krach sapnął nerwowo.

– Do cholery, Drelich, najgorsze jest to, że wszystko już omawialiśmy! Naprawdę nie rozumiem, dlaczego kolejny raz do tego wracamy, w dodatku na niecały dzień...

– Ty wracasz – przerwał Drelich. – Ja tylko odpowiedziałem na twoje pytanie.

– Kurtuazyjnie, kurwa, zapytałem!

Drelich odbił się od bagażnika, obszedł auto, po czym z za tylnego siedzenia wyjął kanister z wodą i zaczął zmywać kredę z placu



manewrowego. Gdy wrócił, pod pachą jednej ręki miał słupki złożone jeden w drugi, a w drugiej składane tyczki. Wrzucił to wszystko do auta.

– Już? Ochłonąłeś? – zapytał, patrząc na wciąż zasapanego, czerwonego Kracha.

Ten skinął głową.

– Tak – mruknął, po czym zaraz dodał: – Przez te upały mam wyjątkowo krótki lont.

– Okej – odparł Drelich. – No to teraz ja. Reguły skoku są dla mnie jasne. Domyślam się, że to wszystko pic na wodę, numer ubezpieczeniowy i dlatego będzie medialnie. A że lokacja jest, jaka jest, to będzie duża presja policji, by coś znaleźć. Wszystko to łapię i uwzględniłem w planie. Powiedziałem ci już i teraz powtórzę, że problem mam tylko z łączeniem ról. Jeżeli jeden człowiek zajmuje się ogarnianiem rzeczy na miejscu i jednocześnie bierze udział w skoku, to mówimy o podwójnej roli. Trzeba mu więc ufać podwójnie i dwa razy trudniej go zastąpić, gdyby coś poszło nie tak. I właśnie dlatego poprosiłem, by kto inny załatwiał te dwa auta. Jako zabezpieczenie.

Krach spojrział na niego spode łba.

– Jak cię znam, niejedyne. Więc nawet jeśli coś się zjebie i dojdą do Chryпки, to prędzej znajdą mnie niż ciebie. A tu chyba się nie obawiasz?

– Nie. – Drelich powiedział to na tyle szybko, by nie wzbudzić podejrzeń. Udało się, bo Krach uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją i z tym uśmiechem kontynuował:

– Podtrzymuję wszystko, co powiedziałem wcześniej o Chrypcie. Naprawdę jest w porządku. Znam go od lat, dłużej nawet niż ciebie. Stara szkoła, nie rządzi się, robi, co potrzebujesz, a do tego umie zachować zimną krew, jak coś idzie nie tak.

Drelich machnął ręką.

– Zostawmy to już, dobrze?

– Dobrze. – Krach jeszcze raz otarł czoło. – To zmieniając temat, jak rodzina?

– Wciąż możliwie z dala od naszych spraw.

Krach prychnął.

– Przed chwilą pytałeś o moją terapię. Zresztą wiesz przecież, że nie chodzi mi o świadectwa dzieciaków. Iza wie, że to ostatni skok? Rozmawiałeś z nią o tym?

– Odpuść.

- Ale wie czy nie wie? Tylko to mnie ciekawi i daję ci spokój.
- Drelich patrzył przez chwilę w milczeniu, w końcu potrząsnął głową.
- Jeszcze nie wie. Powiem jej, jak będzie okazja.
- A jak myślisz, kiedy?
- Naprawdę, Krach, odpuść.

Gdzieś z oddali doszedł ich narastający pomruk, który po chwili zmienił się w kawalkadę motocyklistów. Blisko trzydzieści maszyn generowało taki hałas, że musieli wstrzymać się z rozmową.

– Skoro nie o rodzinie, to inna kwestia – podjął Krach, gdy przejechali. – Co do twojego nowego życia na legalu, to zrobiłem już kompletne wyliczenia, ale nie brałem tutaj kwitów. I tak jak mówiłem, trochę cię to będzie kosztowało, skoro chcesz na szybko. Księgowi i tak się spisali, a biorąc pod uwagę, ile nazbierałeś, plus to, co dojdzie jutro, myślę, że powinieneś być zadowolony. Tak jak chciałeś, wszystko jest na dzieciaki z pełnomocnictwem dla Izki do ich osiemnastki. Oczywiście ciągle możesz zostać u mnie na tym niby-etacie, będę ci potrzącał składki, kartę na siłownię i takie tam i nie będziesz się musiał niczym martwić. A gdybyś jednak szukał czegoś do roboty, legalnego, albo nie wiem, inwestycji jakiejś, to też mam dla ciebie kilka fajnych opcji...

Drelich skinął głową. Wiedział, że nie skorzysta, bo jak mawiał stryj Józef, nie zaczyna się nowego dnia od założenia wczorajszych gaci. Miał jednak świadomość, co naprawdę znaczy ta rozmowa. Najwyraźniej Krach przetrwał już na dobre jego decyzję i chciał mu dać do zrozumienia, że jest okej – osobiście, jeszcze przed akcją, by Drelicha już to nie męczyło.

– Dzięki, będę miał na uwadze – powiedział. – Na razie jednak wciąż jesteśmy jeszcze przed, nie po. Wolę się na tym skupić, zwłaszcza że wiesz, nie wszystko zależy tu ode mnie.

– A weź spierdalaj!

Jakiś żółty seat skręcił w stronę wjazdu na parking, jednak potrzebował tylko zawrócić. Przez moment stał, migając lewym kierunkowskazem, po czym ruszył ostro i pognał, skąd przyjechał.

– Wszystkie pozostałe sprawy masz już zamknięte? – zapytał Krach.

Wzruszył ramionami. Wiedział oczywiście, że za tym dość ogólnym pytaniem kryją się dwie konkretne kwestie. Pierwsza wiązała się z chłopakiem, który wykorzystał w ubiegłym roku zdjęcia z jego wakacji do oszustwa zwanego „amerykańskim żołnierzem”, co wywołało całą lawinę zdarzeń i ściągnęło niebezpieczeństwo na Izę i dzieciaki. Ludzie Kracha

wytropili potem szczeniaka, a Drelich, odpowiednio ucharakteryzowany, przejął jego dyski i zastraszył go, by tamten nie próbował niczego głupiego. Dzieciak był odtąd pod ścisłą obserwacją i jak na razie rzeczywiście niczego nie spróbował, ale Drelich mimo wszystko nie umiał nazwać tej sprawy zamkniętą. Niespecjalnie wierzył w przypadki i coś kazało mu być przygotowanym na każdą opcję.

Druga kwestia wiązała się z pierwszą, bo w obliczu zagrożenia zdecydował się na krok, którego – wiedział to już wtedy – nie powinien był podjąć. Chcąc chronić swoją rodzinę, poprosił o pomoc stryja i kuzynów, choć już dawno temu i nie bez powodu zerwał z nimi kontakt. Wiedział, że zaciąga u nich dług, a śmierć kuzyna podczas tamtej akcji jeszcze podbiła stawkę. I nie, tego długu również jak dotąd nie spłacił. I mówiąc szczerze, miał cichą nadzieję, że nigdy nie będzie musiał.

– Tak, pozostałe sprawy mam już zamknięte – powiedział, po czym zerknął na zegarek. – A teraz wybacź, bo wiem, że się tłukłeś specjalnie dla mnie przez całe miasto, ale muszę już lecieć. Odezwę się po wszystkim.

– Jasne, ja też mam dziś w sumie napięty grafik – odparł Krach, choć było po nim widać, że ma ochotę jeszcze pogadać.

Uścisnęli sobie ręce i Drelich podszedł do drzwi kierowcy, a Krach odsunął się o kilka kroków od auta.

– Byłbym zapomniał – dodał. – W torbie są dodatkowo lista fantów do zawinięcia i parę aktualnych fotek z wystawy. Zrobione przedwczoraj. Masz tam zaznaczone kluczowe rzeczy do wzięcia. Możesz więcej, ale nie przesadz. A, no i prezent dla młodego ode mnie. Żebyś przez pomyłkę w akcję nie zabrał.

– Dzięki – powiedział Drelich.

Wsiadł do auta, włączył silnik i wycofał po łuku. Zanim wbił jedynekę, spojrzał jeszcze na spoconego Kracha, który stał w cieniu, patrząc na skodę, i niechętnie sposobił się do ponownego wyjścia na słońce. Drelich dotknął palcami czoła w niedbałym salucie i ruszył przed siebie.

## 7

Zaraz po tym, jak odjechali, Jonasz wsiadł w samochód stojący na podjeździe i ruszył do Neubrandenburga. Tam, nie spiesząc się, zrobił zakupy w dwóch marketach budowlanych i jednym typowo ogrodniczym. Dokupił też trochę rzeczy spożywczych na czas pracy oraz drogę powrotną i po mniej więcej trzech godzinach był z powrotem w domu przy Ackerstraße.

Zaparkował w tym samym miejscu co wcześniej i pewnym krokiem przeszedł do domu, taszcząc torby z zakupami przepakowane do reklamówek Aldiego. Nie widział nikogo w pobliżu, ale to oczywiście nie znaczyło, że nikt nie patrzył. Dlatego robił wszystko, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń – ot, zwykły przyjaciel rodziny wraca z zakupów.

W środku przywitał go smród krwi, wymiocin i odchodów, od którego poczuł lekki ucisk w skroniach i zawirowanie w żołądku – nerwowa pozostałość po dawnych czasach. Wszedł i zamknął drzwi na klucz.

Wojtek wciąż siedział w tym samym miejscu na podłodze pod ścianą w salonie, vis-à-vis kanapy. Kolana miał podciągnięte pod brodę, tępy wzrokiem wpatrywał się w ciało mężczyzny. Wyglądał, jakby od wyjścia Jonasza nawet się nie poruszył, a zaschnięta już nitka śliny i wymiocin przykleiła mu się do brody.

Jonasz westchnął i zaniósł torby do kuchni. Gdy wrócił, zerknął na zawartość garnka, który podstawił mu zamiast miski, po czym wyjął z jednej z toreb kombinezon ochronny stosowany przy opryskach.

– Rozbierz się do gatek – polecił. – Potem włóż to.

Proste komunikaty i nieznoszący sprzeciwu ton – tylko taka forma mogła się teraz przebić do świadomości chłopaka. Sam zabrał się najpierw do oklejenia okna w salonie grubą taśmą malarską, a następnie wymoszczeniem nią piwnicy.

Zajął mu to około dwudziestu minut, a gdy wrócił, Wojtek wciąż siedział w tym samym miejscu i tej samej pozycji. Ze wzrokiem wpatrzonym ciągle w ten sam punkt.

Westchnął ciężko. Za dawnych czasów widywał w robocie ludzi w takim stanie. W różnym wieku, choć najczęściej były to biedne małolaty, które patrol przywoził z interwencji po tragicznie zakończonej rodzinnej awanturze. Ojciec zakatował matkę albo matka dźgnęła ojca na ich oczach, a w tych szczeniakach – choć przecież nawykli do przemocy, choć widzieli niejedno i na niejedno się uodpornili – coś ostatecznie pękało. Gdzieś w ich głowach rozlegał się trzask łamiącej się gałązki, rozchodził się smród palonej instalacji i strumień świadomości w jednej chwili przestawał płynąć.

Jonasz wiedział, jak ich łamać, ale chyba pierwszy raz w życiu przyszło mu takiego sklejać do kupy. I to w takich, kurwa, okolicznościach. Jakby i bez tego miał nie dość roboty.

Przykucnął z wysiłkiem, użył lewej ręki do utrzymania równowagi i przez kilka sekund przyglądał się chłopakowi. W końcu wyciągnął prawą dłoń ku jego twarzy, poklepał go po policzku i klapnął obok.

– Wreszcie mamy coś, co nas łączy, młody – powiedział, przywierając plecami do ściany i krzyżując nogi. – Ja też się porzygałem w Niemczech, jak byłem tu po raz pierwszy.

Wyjął z kieszeni paczkę gum rozpuszczalnych. Poczęstował Wojtka, ale tamten nie zareagował, więc odpakował jedną i włożył do ust. Na języku poczuł słodki, chemiczno-malinowy posmak.

– Prawie trzydzieści lat temu wpadliśmy z żoną w długi – podjął po chwili. – Zły czas na kłopoty finansowe, tyle ci powiem. Nie wiem, czy słyszałeś o Balcerowiczu, ale jeśli nie, to wystarczy ci wiedzieć, że był strasznym chujem. Tak nas docisnął, że jak się potknąłeś, od razu leciałeś z mordą w brudne szkło. I ani się obejrzałeś, a tonąłeś w długach na trzy pokolenia do przodu. Nam się w tym głównie poszczęściło o tyle, że dawny kumpel z fabryki, co na emeryturę do Reichu wyjechał, nagrał mi tu robotę. Zwykle kopanie dołów, ale płacili tak, że w psiarni w życiu nie miałem takich pieniędzy.

Spojrzał na chłopaka, by sprawdzić, czy ten słucha. Wojtek wciąż milczał z lekko rozchylonymi, nieco już spierzchniętymi ustami i pustym spojrzeniem wpatrzonym we wciąż wystającą spod kołdry kobiecą stopę.

– No i jak jechałem, to mój dzieciak bardzo nie chciał mnie puścić – podjął mimo wszystko Jonasz. – Więc mu obiecałem, że będę do niego pisał kartki, wysyłał paczki i takie tam. W końcu się zgodził, przehandlował nieobecność starego za haribo i czekolady z okienkiem.

Zaśmiał się z własnego żartu i mało nie zakrztusił śliną lepłą od mamby. Rozejrzał się za wodą, którą też kupił, ale uznał, że jednak nie chce mu się wstawać. Odchrząknął więc i kontynuował:

– Po tygodniu, jak dostaliśmy pierwsze wolne, pojechaliśmy do sklepu. Akurat jeden z naszych zjeżdżał do Polski jeszcze z poprzedniego turnusu, to obiecał wziąć parę paczek, więc pomyślałem o tym moim szczyłu, że mu nakupuję. No i nie będę kłamał: dostałem tam trochę małego rozumu. Czekolady, batoniki, gumy, żelki... No wszystko, aż się ze mnie śmiali, że ile ja mam tych dzieci. Jak mówiłem, że jednego, to nie wierzyli. Ale potem, jak dojechaliśmy do bazy, okazało się, że coś się temu kumpłowi zepsuło w aucie i będzie jechał dopiero rano, a ja... No cóż, jak wiesz, mam trochę problem ze słodkim.

Przerwał na moment i potrząsnął głową rozbawiony. Wyjął z kieszeni napoczęte mamby i jeszcze raz podsunął mu pod nos.

– Na pewno nie chcesz? Bo zaraz będzie za późno.

Chłopak nie zareagował, więc Jonasz schował opakowanie gum.

– Pewnie gdybym zakleił pudło przed wsunięciem go pod łóżko, w ogóle nie byłoby problemu, bo nie chciałoby mi się rozcinać taśmy i robić hałasu. Ale tego nie zrobiłem i przysięgam ci, rano obudziłem się cały w papierkach, ujebany czekoladą i tym słodkim pyłkiem z żelków. I wiesz co, w pierwszej chwili byłem tak nieprzytomny, że pomyślałem, że to chłopaki zrobiły mi kawał, opierdoliły słodyczne i obrzuciły mnie śmieciami. Któryś zażartował, to się nawet zerwałem, chciałem mu walnąć, wrzasnąć, że to było dla mojego syna, ale wtedy mnie złapało. Żołądek się skurczył, szarpnęło mną i jak chlusnąłem w gościa, to chyba by wołał jednak z pięści w mordę...

– Masz żonę?

Jonasz spojrział na Wojtka, który wciąż wpatrywał się w tę samą przekłętą stopę i wcale nie wyglądał, jakby dopiero co się odzywał.

– Miałem – odparł. – Kiedyś.

– I syna. – Tym razem Wojtek wyraźnie poruszył ustami. I to już nie było pytanie.

– Tak, syna też kiedyś miałem.

Chłopak drgnął. Powoli niczym zastała maszyna obrócił głowę i utkwiał wzrok w twarzy Jonasza. Przez dobre pół minuty milczał, patrząc tylko.

– I porzuciłeś ich, by być z Kamazem? – zapytał w końcu.

– Nie.

Wojtek jednak albo nie uwierzył, albo nie uznał tej odpowiedzi za wystarczającą, bo zmarszczył czoło i zmrużył oczy.

– Czy gdybyś nadal go miał, tego syna znaczy, pozwoliłbyś mu być jednym z nas? Pozwoliłbyś mu na...

– W tym przypadku to raczej on pozwolił mi – Jonasz wszedł mu w słowo. – Po śmierci swojej matki, mojej żony, bardzo się zagubił. Ja też, obaj nie umieliśmy się pozbierać. Ale potem najpierw odnalazł siebie i założył tę rodzinę, a potem wrócił po mnie.

Dostrzegł zaskoczenie na twarzy chłopaka i pokręcił głową.

– Nie, Kamaz nie jest moim synem. Mój syn nie żyje. Był i go nie ma. Jest martwy jak tamta dwójka.

Wskazał brodą na łóżko i sapnął ciężko.

– Normalna rzecz, chłopcze, ludzie umierają – podjął po chwili. – Czasem zabija ich rak, czasem starość, czasem inni ludzie. I nie nam oceniać, czy to jest dobre, czy złe, ani czy to się powinno stać, czy nie. Bo śmierć nie musi być sprawiedliwa i nie musimy jej rozumieć. Czy ci tutaj musieli zginąć? Tak, bo stanowili zagrożenie dla rodziny. A teraz trzeba posprzątać bałagan, żeby nie robić kłopotu naszym żywym.

– Wiktoria... – zaczął Wojtek, ale i tym razem Jonasz nie dał mu dokończyć.

– Wiktoria jest w rodzinie. Tak jak ja, ty czy Kamaz. Rodzina robi dla siebie to, co trzeba. Wiesz to już przecież. Rozumiesz, bo jesteś z nami i widziałeś, jak o siebie dbamy, prawda?

Trudno było stwierdzić, czy chłopak naprawdę skinął głową, ale Jonaszowi wystarczyło, że nie zaprzeczył. Podniósł się z trudem, zapierając o ścianę, po czym wciąż o nią oparty, zsunął buty, rozpiął pasek i spuścił spodnie, a potem sięgnął po swoją paczkę z kombinezonem, włożył go i zapiął.

Robiąc to wszystko, czuł na sobie spojrzenie chłopaka, a gdy ruszył w stronę kuchni, by wypakować więcej folii malarskiej, Wojtek znowu się odezwał:

– Jak miał na imię twój syn? I dlaczego o nim nie słyszałem, skoro...

– Skoro wraz z Kamazem założył tę rodzinę? – Jonasz raz jeszcze wszedł mu w słowo, po czym spojrzał na niego i uśmiechnął się smutno. – Tak naprawdę słyszałeś o nim wiele razy, po prostu myliłeś osoby. Nazywał się Jonasz. Ja wtedy nazywałem się inaczej. Gdy odszedł, odziedziczyłem w rodzinie imię i funkcję po własnym synu. Zwariowane, nie?

Wojtek zamrugnął, oblizał wargi, w końcu powoli skinął głową.

– Zwariowane, tak – potwierdził, a jego wzrok znowu uciekł w stronę ciała leżącego na podłodze. Zupełnie jakby go przyciągało, mimo wysiłku, jaki Wojtek wkładał w to, by tam nie patrzeć. W końcu udało mu się przenieść spojrzenie na Jonasza. – Nie chciałem go zabić.

– Wiem. A on raczej nie chciał umrzeć. Nie zawsze mamy to, czego chcemy, ale zawsze dzieje się to, co musi.

Podszedł i wyciągnął do niego rękę.

– Chodź, chłopie, wstawaj. Później jeszcze o tym pogadamy. Na razie zróbmy, co trzeba, zanim na dobre zacznie śmierdzieć.

– Już śmierdzi – zauważył Wojtek, na co Jonasz tylko się roześmiał.

– Może bardziej i obyś tego nie poczuł – powiedział. – Na razie musisz się przebrać. Potem skupimy się na robocie i wyjaśnię ci wszystko krok po kroku, dobra? Możemy tak?

Wojtek z wahaniem przyjrzał się wyciągniętej ręce, ale ujął ją i stanął na nogi. Zachwiał się i oparł o ścianę, by utrzymać równowagę.

– Wcześniej tylko raz widziałem trupa – rzucił. – Ale to był mój dziadek i się skurwielowi należało.

Jonasz wzruszył ramionami. Tak, tę historię też czytał. I zgadzał się, że się należało.

– Nie nam oceniać, chłopcze, co się komu należy – odparł. – Nie bierz takiego ciężaru na swoje barki. My po prostu pracujemy na rzecz rodziny. Uważaj na szkło.

Począł, aż Wojtek się przebierze, a potem zabrali się do roboty. Wyplątali martwą dziewczynę z pościeli i położyli na folii, po czym oba ciała zawinęli i wynieśli do piwnicy, gdzie Jonasz przygotował wcześniej detergenty i narzędzia do krojenia oraz piłowania. Gdy chemia robiła już swoje, oni na górze spakowali do worków pościel i najmocniej zakrwawioną poduchę z kanapy, a resztę wyprali najpierw w pralce, a później ręcznie. Wyszorowali też wykładzinę i ściany, każde miejsce, gdzie tylko dostrzegli choćby plamę krwi.

Zajął im to łącznie prawie cztery godziny. Z początku przerywali niemal co chwilę, a Wojtek latał do garnka i zawieszał się nad nim, rzygając albo nie. Potem po prostu robili sobie przerwy po każdym etapie i przechodzili do sypialni Klary i Igora, by zwyczajnie posiedzieć.

Wojtek nie znał tej dwójki, dowiedział się o ich istnieniu dopiero niedawno. Jonasz opowiedział mu więc o nich wszystko, co wiedział,



historię każdego z nich z osobna, jak trafili do rodziny, stawali się jej częścią, a potem Kamaz ich naznaczył, pobrali się i dowiedzieli o dziecku.

– Czy wiadomo, dlaczego uciekli? – zapytał w którymś momencie Wojtek.

– Ucieka się zawsze ze strachu, chłopcze – odparł. – I nieważne, czy masz się czego bać czy nie, bo strach zawsze jest prawdziwy.

Gdy dwie godziny później skończyli sprzątać salon, Jonasz zapytał w końcu Wojtka, czy ten chce mu pomóc w piwnicy.

– Nie będę ukrywał, że to akurat jest naprawdę paskudne – powiedział. – Jeśli więc chcesz, możesz zostać tu na górze. W razie czego poradzę sobie sam.

Chłopak się zawahał, co Jonaszowi w zupełności wystarczyło. Uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

– Spokojnie, naprawdę możesz tu zostać – zapewnił. – Odwaliłeś dziś kawał dobrej roboty, synu. Jestem z ciebie dumny.

## 8

Wjazd na placyk pod Cake Is A Lie, cukiernię należącą do Izy, zablokowany był rozpiętą na słupkach biało-czerwoną taśmą. Drelich, który zobaczył taśmę dopiero w ostatniej chwili, zerknął na zegarek. Warszawskie korki roztopiły cały zapas czasu, jaki sobie założył, i teraz brakowało już tylko czterech minut do umówionego spotkania. A szanse, że zdąży znaleźć o tej porze wolne miejsce i dojść z powrotem, graniczyły z cudem.

Wbił wsteczny, by wycofać, i wtedy właśnie zorientował się, że coś jest nie tak.

Nieopodal taśmy stał robotnik, chudy zgarbiony dzieciak o wytrzeszczonych oczach, i żywo gestykulując, tłumaczył coś starszemu panu wspartemu o rower. Gdy dostrzegł Drelicha, łypnął na niego dwa razy, wyraźnie spanikowany.

Już sam wygląd chłopaka był zastanawiający, bo pod jaskrawą żółtą kamizelką miał co prawda brudny, powyciągany sweter, a na nogach rozkładające się trampki, ale za to jasne, ewidentnie nowiutkie dżinsy.

Drelicha jednak bardziej zastanawiało, co on w ogóle tu robi. Dochodziła siedemnasta. Powodem postawienia szlabanu z taśmy nie była wcale poważna awaria wymagająca rozkopów i tym samym warty, tylko średnich rozmiarów plama oleju zasypana piaskiem. Wokół nie widział ani żadnych narzędzi, ani oznakowanego wozu. Ot, chudy szczeniak w łachmanach i nowych spodniach pilnujący dwóch kijków, kawałka taśmy oraz zasypanej piaskiem plamy.

Zresztą to ostatnie też okazało się nie do końca prawdą, bo już po chwili uważne oko Drelicha dostrzegło, że w tym przypadku było raczej odwrotnie – to olej wylano na wysypany piasek. W kilku miejscach tłusta maź lśniła w słońcu niczym karmelowa polewa na ciastku.

Czyli ustawka, pomyślał i pełen złych przeczuć szarpnął za ręczny, wbił awaryjne, po czym wypiął się z pasów. Ledwie jednak otworzył drzwi i uniósł się na tyle, by spojrzeć ponad dachy zaparkowanych przy ulicy aut, uspokoił się. Bo nagle wszystko stało się jasne.

Ze dwadzieścia metrów dalej, na niskim murku oddzielającym parking od trawnika i niewielkiego parku siedział wielki siwy chłop o dłoniach jak czerstwe, spękane bochny chleba i twarzy ni to ogorzałej, ni to czerwonej z przepicia. Drelich znał go dobrze, facet nazywał się Gracjan i był kimś na kształt szefa grupki osiedlowych pijaczków, którym Iza czasem dawała coś zarobić lub po prostu rozdawała niesprzedane wypieki. W zamian on i jego kompani odwdzięczali się miłością i oddaniem, jakie zaoferować mogą tylko zaprzyjaźnieni menele. Cokolwiek to znaczyło.

Teraz Gracjan siedział i popijając kefir z kartonika, przyglądał się, jak chudy chłopak spiera się o coś z rowerzystą. Gdy dostrzegł Drelicha, machnął ręką, dając znak, że go zauważył.

Ten nie odwzajemnił gestu, tylko wsiadł z powrotem do auta, zapiął pas i otworzył okno. Począł, aż chłopak upora się z rowerzystą, i podjechał do taśmy.

– Gracjan mnie zna – zwrócił się do niego. – Przyjechałem...

Rzekomy robotnik wyszczerzył się do niego, prezentując dwa rzędy zepsutych zębów.

– E, no, pana to ja przecież też znam, nie? – powiedział. – Chociaż z tą brodą to trochę trudno poznać. No i wie pan, musiałem te... No, wie pan, te zachować... No...

– Pozory.

– O właśnie! Pozory. Bo się dziadek, pedalarz jebany, dopieprzył, to nie chciałem tak przy nim ten... no...

Znowu się zaciął, ale tym razem nie szukał słowa, tylko machnął ręką i obiegł maskę samochodu, by odpiąć taśmę. Gdy tylko Drelich przejechał, zapiął ją z powrotem i dał znać następnemu kierowcy, który próbował wjechać na parking, że niestety nie ma takiej opcji.

Drelich zajął pierwsze miejsce z brzegu, obok wysokiego suwa marki Citroën – o ile dobrze pamiętał, należał on do Ewy, współpracownicy Izy. Dalej stał samochód Izy i jeszcze dwa, których nie kojarzył, ale mógł się założyć, że też związane były z przyjęciem dla Nikodema.

Wysiadł i przeciął parking, by przywitać się z Gracjanem. Ten co prawda nie wstał, ale odstawił kefir, słodką bułkę zawinął w papier i wytarłszy ręce o spodnie, wyciągnął dłoń jako pierwszy, szczerząc się w uśmiechu.

– Sprytnieśmy to wymyślili, nie? – rzucił.

– Sprytnie – przyznał Drelich. – I bardzo tanim kosztem w sumie. Nikt z pozostałych najemców nie miał z tym problemu?

Gracjan machnął ręką.

– E, gdzie, panie! U jednych remont, drudzy do szesnastej, a trzeci lokal to od pół roku pusty stoi. Tośmy pomyśleli, że co będą goście pani Słodkiej kółka kręcić i potem zapierdalać nie wiadomo skąd, jak można im parking zamknięty strzeżony zrobić? A jakby się kto czepiał, to na nas będzie. Bo wiesz pan, gdzie my to mamy, nie?

– Miałbym kilka pomysłów. W każdym razie miło z waszej strony. Ale temu chłopakowi – Drelich wskazał na dzieciaka w kamizelce – to weź pan powiedz, żeby nowych spodni nie wkładał do takiej roboty, bo zaraz każdy zobaczy, że to blaga.

Gracjan parsknął.

– Pan pierwszy uwagę zwrócił. No i jakie inne ma włożyć, jak mu się te stare na dupie rozpadły? Pani Słodka, jak go dzisiaj z dziurą od jajec po kolana zobaczyła, to zaraz do sklepu poleciała, żeby mu nowe kupić. I czuje pan, że na oko wzięła i od razu dobre?

– No, Iza tak potrafi... I wiem, co pan chce powiedzieć, bo już pan to mówił. Że głupi byłem, że taki skarb z rąk wypuściłem.

Menel zaśmiał się, podrapał pod nosem, wziął kefir i uniósł go, jakby przepijał.

– Głupi, ale chociaż z pamięcią dobrze wszystko. Zdrowie!

Drelich już miał odpowiedzieć, jednak poczuł wibrację telefonu. Wyjął go szybko i zobaczył, że to Iza. Odebrał.

– Jestem na zewnątrz, właśnie podjechałem... Dobra, czekam.

Pożegnał się z Gracjanem i ruszył na spotkanie Izie, która wyszła z kawiarni. Miała na sobie fartuch z pikselowym muffinem, który stanowił logo Cake Is A Lie. Niezawiązany, łopotał na wzbierającym właśnie wietrze.

– Opóźnione wszystko będzie – powiedziała, gdy Drelich zbliżył się na tyle, by nie musiała podnosić głosu. – Młody i większość jego gości utkwili na Białolece, bo korki.

– Białolece?

– No, Krystian załatwił im tam laser taga w ramach niespodzianki – wyjaśniła, łapiąc za niesforne sznurki fartucha. – Znaczą koledzy wszyscy wiedzieli, tylko młody nie.

– Wiem, jak działają niespodzianki – mruknął Drelich, na co Iza parsknęła śmiechem. – I nie tylko młody nie wiedział.

– Serio? Będiesz teraz strzelał focha, bo cię nie zabrali na laserową strzelnicę? Zresztą umówmy się, jesteś zawodowcem. Twoja obecność w którejś z drużyn byłaby oszustwem.

– Zawodowiec? Nie znam się na laserach.

Iza otworzyła usta, ale się rozmyśliła i tylko potrząsnęła głową.

– Nieważne – powiedziała. – W każdym razie spóźnią się co najmniej godzinę, więc jak chcesz, to możesz gdzieś jeszcze skoczyć.

– Mogę pomóc tutaj – odparł. – Nie mam już nic do załatwienia, a poza tym wolę nie ryzykować z parkingiem. Raz mi się udało, co nie znaczy, że później też będę miał tyle szczęścia.

Iza najwyraźniej nie wiedziała, o co chodzi, bo najpierw zmarszczyła czoło, potem spojrzała w stronę wjazdu na parking, a zaraz później na murek, gdzie siedział Gracjan.

– No żeż, do dupy mu nakopię! Co oni, powariowali?!

– A, czyli też niespodzianka – Drelich uśmiechnął się pod nosem. – No dobra, to trochę pali mój żart... Ej, czekaj, zostaw!

– Co zostaw? Wiesz, co będzie, jak tu zaraz policja przyjedzie?

– A co ma być? – zapytał Drelich. – Myślisz, że Gracjan cię wsypie? Powiedzą, że pomyśl na dorobienie mieli, bramę jak na weselu, policja ich spisze i tyle z tego będzie. Pomóc chcieli, za dzinsy się odwdzięczyć...

Iza, wciąż zła, dmuchnęła na niesforny kosmyk, by zaraz odgarnąć go ręką.

– Widzę, że już wszystko wiesz. Ile tam z nim stałeś?

– Dwie minuty może. Ale znasz mnie, ludzie mówią mi różne rzeczy.

– Tak, i zawsze świetnie na tym wychodzą.

Nie dał się sprowokować.

– Ci, którzy mówią, zwykle nie najgorzej – odparł. – Ci, z którymi nie rozmawiam, tylko ich obserwuję...

– Muszę tam wracać, Drelich. – Nie dała mu dokończyć. – Jeśli rzeczywiście chcesz się przydać, to znajdę ci coś do roboty, chodź.

Ruszyli w stronę kawiarni, ale Drelich zatrzymał się nagle.

– Iza, jeszcze jedna rzecz. Będiesz miała chwilę, by porozmawiać po tym wszystkim? W sensie tak poważniej?

Przyjrzała mu się z uwagą.

– Szczerze mówiąc, to dzisiaj będę raczej zajęta. Muszę tu pomóc ogarnąć, a potem jeszcze wyprawić młodego na wyjazd i sama się spakować. Jadę jutro do ojca i Zośki, mówiłam ci.

– Tak, mówiłaś – zgodził się i westchnął. – Dobra, w takim razie musimy teraz.

– Jezu, musisz być tak dramatyczny? Stało się coś?

Rozejrzał się na boki, po czym złapał ją za przedramię i odciągnął na bok, by nie stali na wprost witryny cukierni ani w zasięgu jednej, sfatygowanej kamery. Upewnił się, że w samochodzie, przy którym stanęli, nikt nie siedzi, i dopiero wtedy ją puścił.

– Dobra, Drelich – powiedziała wyraźnie zaniepokojona. – Jeżeli to znowu jest takie gówno jak w zeszłym roku, to Bóg mi świadkiem...

Umilkła, widząc, jak w jednej chwili zmieniła się jego twarz. Drgnęła mu szczeka, poruszyły się nozdrza, a oczy zwięziły do małych szparek.

– Bóg ci świadkiem, że co? – zapytał.

– Nic, tak mi się powiedziało – odparła po dłuższej chwili. – Ale jak ostatni raz mówiłeś coś takim tonem... Chcę tylko wiedzieć, czy to podobna sprawa.

Pokręcił głową i w połowie tego gestu nawet lekko się uśmiechnął.

– Nie w ten sposób poważna – odparł. – I powinniśmy pogadać o tym na spokojnie, a skoro jedziesz na urlop, będziesz to sobie mogła przemyśleć. Rozmawiałem z Nikodemem i zapytał mnie...

– Czy może z tobą zamieszkać, wiem. – Iza znowu odgarnęła kosmyk nerwowym gestem. Z jej miny wynikało jednak, że wyraźnie odetchnęła. – I tak, to rzeczywiście jest temat. Musimy wymyślić jakiś rozsądny powód, dlaczego nie może, ale czy to naprawdę wymaga aż tyle...

– No właśnie myślę, że to jest dobry pomysł, Iza.

Parsknęła, jednak zaraz przyjrzała mu się uważnie.

– Ty nie żartujesz teraz, prawda? – upewniła się.

Wzruszył ramionami.

– No właśnie to jest druga rzecz, o której chciałem ci powiedzieć. Jutro rano mam robotę...

– Po pierwsze widzę, że zarastasz, a po drugie pamiętam. Przez nią wahałeś się, czy dziś zostawać na imprezie. Wierz mi, że mam zakodowane te twoje zasady i wciąż...

– To ostatni raz – przerwał jej. – Kończę z tym.

Dał jej moment na przetrwanie tej wiadomości, po czym podjął:

– To dlatego ostatni rok wyglądał tak, jak wyglądał. Chciałem wszystko ustawić i właściwie tej jutrzejszej roboty już bym nie musiał brać, ale to przysługa dla Kracha. Dzięki temu nie robił mi problemów i normalnie

mnie puścił. Ale zamknę to jutro i już do tego nie wrócę, masz moje słowo. Potem co prawda czeka mnie jeszcze rozmowa ze stryjem i załatwienie jakoś kwestii długu, ale myślę, że mi go odpuści. Raz już to w sumie sugerował i... No czemu tak patrzysz?

– Wierzysz w to? – zapytała.

– W co? Że stryj mi odpuści?

– Że możesz przestać – doprecyzowała.

– Iza, to nie jest nałóg, tylko praca. Jestem na tyle zabezpieczony finansowo, że mogę się zająć czymś innym. Rozmawiałem ostatnio z doradcą finansowym i...

Urwał, gdy Iza wybuchnęła śmiechem tak nagle, że opluła go drobinkami śliny. Chciał się odezwać, ale zamachała tylko ręką, niezdolna do wydobywania z siebie choćby słowa. Zaplótł więc ręce na piersi i czekał, obserwując, jak chłopak w kamizelce dyskutuje z kolejnym kierowcą.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał w końcu.

Iza przetarła oczy, wyprostowała się i machając ręką przed twarzą, powoli uspokoiła oddech.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale wizja ciebie rozmawiającego z doradcą finansowym... Sam rozumiesz. O, czekaj, dzwoni Krystian... No jestem – rzuciła do telefonu. – I jak sytuacja?

Odsunął się, by nie podsłuchiwać rozmowy, i przez witrynę cukierni przyjrzał się rozstawionym stolikom, paterom ze słodkościami, butelkom napojów i dzbankom na soki. Jakimś cudem w niewielkiej przestrzeni kawiarni udało się zorganizować miejsce na blisko trzydzieści osób. Uświadomiwszy sobie potencjalną skalę wydarzenia, poczuł się głupio, że wcześniej się nie zaangażował.

– Wygląda na to, że opóźnienie jeszcze się zwiększy. – Iza podeszła do niego, chowając telefon. – Załapali się na jakiś miniturniej i dobrze im idzie. Dwie godziny to minimum.

Drelich zerknął na zegarek.

– Dobra, to pewnie złożę życzenia i zawinę się szybciej. Muszę się wyspać.

– Jasne. A co do tematu, to myślę, że powinniśmy pogadać o tym wszystkim po moim powrocie. Jak już faktycznie będziesz na tej emeryturze czy jak to nazwać.

Skinął głową.

– Tak. Chciałem tylko zająć temat i dowiedzieć się, jaka jest twoja pierwsza myśl – powiedział.

– A jaka ma być? Niko tęskni za tobą, oboje tęsknią, zwłaszcza przez te ostatnie miesiące, gdy prawie cię nie było.

– Tak, wiem...

– I to nie jest wyrzut, Drelich. Ale jeśli rzeczywiście to twój ostatni skok, powiem ci, że jeśli chodzi o dzieciaki, to najwyższa, kurwa, pora.

Uśmiechnął się i skinął głową na znak, że rozumie.

– A właśnie – przypomniało mu się. – To prawda, że Zośka ma chłopaka? Że kogoś tam poznała?

Iza wzruszyła ramionami.

– Tak twierdzi mój ojciec, ale równie dobrze może po prostu chuchać na zimne.

– Nie rozumiem.

– No wiesz – uśmiechnęła się krzywo. – W przypadku córki nie był dość uważny, więc teraz nadrabia.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo od strony wjazdu na parking dobiegły go jakieś krzyki. Odwrócił się i dostrzegł, że krótko obcięty chłopak, który właśnie wysiadł z białego audi, szarpie się z chudzielcem w kamizelce. Iza już chciała ruszyć w tamtą stronę, ale Drelich przytrzymał ją za rękę i brodą wskazał na podnoszącego się z murka Gracjana.

– Nie psuj im tego – powiedział. – To ich prezent.



## 9

– Ona jest wspaniała – powiedział ktoś, stawiając kolejną porcję naczyń na blacie obok zlewu. – Super, że wróciła.

Pogrążony w myślach Cyprian nie zdążył zarejestrować, czyje to były słowa. Ale czy miało to znaczenie? Wszak sądząc po pełnych entuzjazmu dźwiękach dochodzących z salonu, niemal wszyscy obecni tam członkowie rodziny podzielali tę opinię.

– Tak – odparł na wypadek, gdyby ten ktoś mógł go jeszcze słyszeć. – To naprawdę świetnie, że znowu są z nami.

Ścisnął gąbkę i przez moment patrzył, jak piana wpełza leniwie na jego rękę, zaczerwienioną od gorącej wody.

Gdy mieszkał tu z rodzicami, w poprzednim życiu, rzadko zmywał. Kiedyś robił to przez tydzień, bo zepsuła się zmywarka i tata uznał, że mycie naczyń będzie obowiązkiem Cypriana. Potem zdarzyło się to jeszcze ze trzy albo cztery razy, gdy ktoś się zagapił i nie kupił kapsułek. I zawsze kończyło się awanturą, a potem kilkoma cichymi dniami.

Teraz po prostu nie było innej opcji niż zmywanie ręczne, bo zmywarka, podobnie jak telewizor, wieża, thermomix i mnóstwo innych urządzeń, stała zamknięta w garażu i owinięta folią, przeznaczona do sprzedania. Jedyne rzeczywiście używana elektronika w domu znajdowała się teraz w zamkniętym na klucz gabinecie ojca przejętym przez Kamaza.

I tym właśnie swego czasu urzekł Cypriana ich wielki przywódca. Niezależnie bowiem od tego, czy przedzierał się przez amazońską dżunglę, szedł przez pustynię czy przemawiał na wykładzie z odnajdywania siebie, jego przekaz był jasny: chcesz żyć jak wolny, szczęśliwy człowiek, to uwolnij się od cywilizacji, która cię zniewala. Od tych wszystkich wynalazków, ułatwaczy, krajalnic do chleba w Lidlu, parownic, myślących telewizorów i sterowanych głosowo domowych asystentów. Nie magazynuj wiedzy w telefonie, nie licz na to, że odpowiedzią na wszystko będzie dostępny od ręki tutorial na YouTube. Kamaz oferował indiańskie historie, praktyki i rytuały, a z nich przebijał się jeden przekaz: jedyne, na czym człowiek może polegać, to on sam i jego plemię, stado. Jego rodzina.

W poprzednim życiu Cyprian nie umiał nawet ukroić równej pajdy chleba – w rodzinie nauczył się go piec, podobnie jak wyhodować marchewkę czy pomidora, zabić kurczaka, spuścić krew ze świni. To były te dobre rzeczy, ale nauczył się też wielu złych. Takich, które – był tego pewien – już nigdy go nie opuszczą. I których z całego serca chciałby oszczędzić swojemu dziecku.

Z salonu dobiegł śmiech i Cyprian mimowolnie schował głowę w ramionach. Tę głośną i niewątpliwie szczerą radość odczuwał niemal fizycznie. Jakby ktoś przejechał paznokciami po szkolnej tablicy.

Za ścianą znajdowało się teraz ze dwanaście osób, w większości kobiet, które na co dzień mieszkały w trzech przestronnych pokojach na piętrze. Z okazji przyjazdu cioci Klary i wujka Igora dyspensę na spanie dostały też dzieci, więc teraz cała piątka rodzinnych brzdąców, na czele z najstarszą, sześciolletnią Oliwką, pałaszowała ciastka i domagała się zabawy z małym Brunem.

Cyprian wyobrażał sobie, co musi czuć Klara siedząca w środku tego zgiełku. Zwłaszcza że była tam, na tym wesołym przyjęciu powitalnym, sama, bo Igora przejęli wojownicy i teraz aż do rytuału odnowienia ślubów miał podobno mieszkać z nimi na zamkniętym piętrze w ośrodku.

Tyle dobrze, że Bruno dzielnie znosił całą sytuację. Był pogodnym malcem, zaskakująco otwartym na obcych i chyba nawet podobało mu się zainteresowanie ze strony dorosłych, którzy po kolei przekazywali go sobie jak jakiś totem, przedstawiając mu się, szczerząc i robiąc głupie miny.

W końcu chłopca przejęła Aldona i teraz to ona trzymała go na kolanach, tuląc do siebie, jakby był jej. To Brunonowi podobało się już mniej i Klara podeszła, by go uspokoić i z wymuszonym uśmiechem zapewnić, że jest bezpieczny u cioci. To właśnie wtedy Cyprian poczuł, że musi stamtąd wyjść.

Zmywanie, do którego nikt się nie garnął, było dla niego najprawdziwszym wybawieniem, bo przynajmniej mógł się krzywić, gdy słyszał, jak Wiktoria z ekscytacją opowiada perypetie z wyprawy i wydarzenia dzisiejszego poranka.

Przynajmniej nie przedstawiła tych najbardziej krwawych momentów, o których Cyprianowi opowiedział nieco wcześniej Łukasz, tłumacząc przy okazji, dlaczego Jonasz i Wojtek musieli zostać za granicą nieco dłużej.

Swoją drogą, dlaczego nikt mu wcześniej nie powiedział, że ich znaleźli? Dlaczego Kamaz czy Jonasz nie powiedzieli mu, że szykuje się ta

wyprawa?!

Uniósł głowę i raz jeszcze spojrzął przez okno na maleńki punkcik światła w ciemności, migający niczym żar na końcu papierosa. W rzeczywistości było to spore ognisko płonące pięćset metrów dalej. Nim właśnie rozpoczynał się turnus integracyjny jakiejś firmy farmaceutycznej spod Poznania.

Jego Magda, a także Kalima, grajek Marcel i zaślubiona mu Hanna towarzyszyli poznaniakom od rana, więc nie wiedzieli jeszcze o gościach, a przynajmniej Cyprian miał taką nadzieję. Zzerał go strach na myśl, jak Magda przyjmie wiadomość o schwytaniu Klary i Igora. Czy się rozpłacze? Wybuchnie? Zacznie krzyczeć?

A może już wybuchła? – przemknęło mu przez głowę. Może jednak ktoś do nich poszedł i przekazał wieści, a Magda zareagowała histerycznie, o czym nikt mu nie powiedział, bo go sprawdzają?

Przez większość dnia, na przemian walcząc ze szczękościskiem i dziękując w niesprecyzowanych modlitwach, że nie ma dziś z nimi ani Kamaza, ani Jonasza, myślał o tym, jak się wyrwać, żeby przygotować Magdę na te wieści. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Zajęcia dla kursantów były intensywne, a w przerwach członkowie rodziny trzymali się razem.

Musiał więc czekać, aż skończy. Aż tam, przy tym maleńkim punkcie światła, skończy się część oficjalna wraz z gwoździem ceremonii, czyli spacerem po rozżarzonych węglach.

Za tę część odpowiadała właśnie Magda, a wybranie jej świetnie pokazywało, w jaki sposób myśli Kamaz. Bo taki spacer to w zasadzie prosta sztuczka, czego Cyprian dowiedział się, jeszcze zanim został oficjalnym członkiem rodziny i doczekał się noża. Umiejętność dostępna w zasadzie dla każdego, kto zdoła się przełamać i będzie poruszał się do przodu w odpowiednim tempie. Całą resztę robiła fizyka, czyli fakt, że węgiel, zwłaszcza żarzący się, nie jest najlepszym przewodnikiem ciepła, a podczas takiego spaceru pot tworzy wokół stopy niewielką poduszkę powietrzną.

Ale tu właśnie wchodziła sztuczka z Magdą. Cyprian przywołał z pamięci obraz partnerki sprzed dwóch tygodni, jak siada z tym swoim wielkim, opadającym brzuchem, ściąga buty, skarpetki, a potem uśmiecha się niepewnie. W tle słychać bębny i indiańskie zawodzenia Kalimy, Marcel hipnotyzuje opowieścią o duchach tak, że nawet największe śmieszki

z kursu na chwilę milkną. Ktoś pomaga Magdzie wstać, a ona zbliża się tym swoim kaczym chodem do krawędzi prostokąta wysypanego żarem, unosi stopę i wstępuje na węgle. I nawet ci, którzy byli już świadkami podobnych pokazów, sami przeszli nad ogniem albo po prostu wiedzą, jak to działa, bo przeczytali w internecie, zamierają na widok kobiety w zaawansowanej ciąży, kroczącej po rozżarzonej węglu. Hipnotyzujące bębny, skupienie i ta jedna drobna zmiana w sprawdzonym triku dają zupełnie nową jakość. Kierują myśli w zupełnie innym...

– Wodę marnujesz.

Cyprian otrząsnął się gwałtownie. Ten akurat głos rozpoznał od razu.

– Masz rację, przepraszam – powiedział, zakręcając kurek i się odwracając. – Jakoś mi tak myśli uciekły.

Tomeczek stał z ostatnimi naczyniami z obiadu ułożonymi w nierówny stosik. Na najwyższym cisnęły się obrane z ziaren kolby kukurydzy i zwinięte w kulki, otłuszczone kawałki papierowych ręczników.

– Zdarza się najlepszym – rzucił. Brzmiał miło, przyjaźnie i jakoś tak miękko. Zupełnie inaczej niż wtedy pod bramą. – O czym tak dumasz?

– Magda chodzi dziś po węglach – odparł. – Trochę się martwię.

Tomeczek zmarszczył czoło. Wyglądało, jakby szczerze się zaniepokoił.

– Cholera, to ona dziś prowadzi? Myślałem, że moja Kalima. Przecież Magda i bez tego ledwo chodzi.

Nie tak ledwo, pomyślał Cyprian. Choć fakt, Magda sporo przybrała i w gorsze dni rzeczywiście miewała problemy z chodzeniem, jak jego matka. Gdzieś nawet zachowało się wideo znad morza, jak była w siódmym miesiącu ciąży i chodziła tak, że ojciec zza kadru spytał, czy jest mewą, czy raczej kaczką. Magda tydzień temu weszła w ósmy.

– Chcesz po nią iść? – zapytał Tomeczek. – Oni tam chyba zaraz powinni kończyć.

Cyprian przyjrzał mu się podejrzliwie, na co tamten tylko wzruszył ramionami.

– No co, czasem warto być dla siebie po prostu miłym, nie? Jak chcesz, to tu za ciebie dokończę.

– Jeśli możesz... – Cyprian sięgnął po papierowe ręczniki i starannie wytarł w nie ręce. Minął Tomeczka i gdy już prawie był przy drzwiach, usłyszał za sobą:

– A, jeszcze jedna rzecz. Wtedy rano...

– Nie ma tematu, Tomeczek. Dzięki, że to za mnie zrobisz.

Wyszedł z kuchni w pośpiechu, mijając salon i wchodząc do wiatrołapu. Mało kto zwrócił na niego uwagę, bo dzieci były zajęte cichą zabawą, a dorośli, rozsadzeni po kanapach, pufach, stołkach i podłodze, skupiali uwagę na trzech kobietach. Aldona ze śpiącym dzieckiem na ręku siedziała przy jednym krańcu stołu, bokiem do niego. Klara w ten sam sposób, tyle że po drugiej stronie, a klęcząca między nimi Wiktoria, zwrócona do publiczności, opowiadała właśnie, jak w drodze powrotnej zatrzymali się przy jakiejś galerii na zakupy.

– I kojarzycie takie cukierki, co kiedyś w reklamie taki dziadek mówił, że dziś sam jest dziadkiem? No... to ja patrzę, a tam jest taki popcorn! Z tych cukierków! No to mówię do Kamaza, że bym spróbowała, a może jeszcze dla Jońcia, bo on lubi słodkie przecież...

Brodaty wojownik Robert zareagował głośnym śmiechem, czym zasłużył sobie na karcące spojrzenie Aldony. Klara pozostawała niewzruszona. Z tą samą poważną miną wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, a gdy w tej przestrzeni znalazł się nagle Cyprian, wbiła w niego spojrzenie pełne nienawiści i żalu. Jakby to on był wszystkiemu winny. Jakby to on, kurwa...

Znowu poczuł palenie w przełyku i skrzywił się, przełykając ślinę. Znalazł swoje buty i oparty o framugę, założył najpierw jeden, potem drugi. Czuł, jak spojrzenie Klary wypala mu dziury w boku głowy. Czy wiedziała, co to za miejsce? Że jest teraz w jego rodzinnym domu? Że tam, gdzie teraz wiszą łapacze snów i inne indiańskie ozdoby, kiedyś znajdowały się zdjęcia ojca, matki i jego? A jeśli wiedziała, to czy myślała, że w ten sposób wkupił się w łaski Kamaza? Czy...

– Dość – szepnął, sznurując lewego buta, a potem wyszedł na zewnątrz, starając się nie trzaskać drzwiami.

Po kilku krokach poczuł przeszywający chłód wieczornego powietrza, ale nie odważył się wrócić po kurtkę. Skulił się, wcisnął ręce do kieszeni spodni i ruszył szybkim krokiem w stronę ośrodka. Nie wiedzieć skąd, w jego głowie pojawiło się nagle wspomnienie ojca. Szli właśnie tą drogą, kiedy tata po raz pierwszy opowiadał mu z ekscytacją o tym, jak kiedyś będzie wyglądało westernowe miasteczko, które tak mu się marzyło. Mówił, że to będzie taki trochę lunapark, ale nie do końca. Że w wakacje będą aktorzy, przebrani i na koniach, pojedynki w samo południe, a nawet napady na bank. Że ośrodek, wielki peerelowski gmach z dawnych czasów, przemalują od frontu tak, by wyglądał jak preria i góry skaliste w oddali.

Miasteczko miało być pierwszym takim miejscem w Polsce, jeszcze na długo przed Karpaczem czy żarskim Twingpigs, a gdy to się nie udało, miało być największym, a gdy tata umarł, miało stać się jego schedą. Mama zapewniała mieszkańców Gronowa, którzy bardzo liczyli na taką atrakcję dla turystów, że choćby nie wiem co, westernowy park powstanie. Dla mojego zmarłego męża, mówiła. I dla syna, który odziedziczył po nim marzenie. Co akurat było kłamstwem, bo Cyprian nie przepadał za kowbojami i nigdy nie lubił westernów.

W połowie drogi zobaczył samochód zbliżający się do bramy. Domyślił się, że to Jonasz, i przez moment chciał się schować, ale uznał, że nie ma gdzie, bo droga do ośrodka wiodła przez odkryty teren. Gdy tylko samochód skręci w stronę bramy, omiecie reflektorami całą okolice, więc lepiej było po prostu poczekać.

Stał zatem, z rękami w kieszeniach, trzęsąc się z zimna i nerwów na myśl, co też Jonasz, pies Kamaza, wyczyta dziś z jego twarzy. Do tej pory Cyprian radził sobie z ukrywaniem przed nim prawdziwych emocji. Ale czy dzisiaj też da radę?

Usłyszał dobiegające z oddali okrzyki i oklaski, a zaraz potem dźwięki gitary Marcela. Śpiew oznaczał, że skończyła się ogniskowa część oficjalna i teraz pozostawała już tylko integracja. Coś, z czego Magda, z racji stanu, była zwolniona, zaraz więc powinna tędy iść.

Tymczasem samochód skręcił i rzeczywiście najpierw omiótł go światłami, a potem, przy kolejnym zakręcie, uwięził w trapezowym snopie niczym wystraszoną sarnę.

Cyprian zmrużył oczy i osłonił je jedną ręką, czekając, aż pojazd się przed nim zatrzyma.

– Kto to? – zapytał. – To prywatny teren i...

– I słusznie, że o to dbasz. Choć chyba nie ty powinienes mieć wartę, prawda? – odparł Jonasz. Trzasnęły drzwi i zaraz potem starszy mężczyzna wszedł w oświetloną przestrzeń. Przystanął w połowie drogi, odpalając papierosa, a gdy już znalazł się przy Cyprianie, wyciągnął rękę. – Jak sytuacja? Jak rodzina przyjęła nasze zguby?

– Chyba dobrze – wydusił z siebie Cyprian, ściskając podaną dłoń. – Wiesz, to zaskoczenie i w ogóle, ale wszyscy raczej się ucieszyli. W każdym razie ogarnęliśmy wszystko tak, jak przekazała Aldona.

– To dobrze. – Jonasz zaciągnął się papierosem. Ustawił się lekko bokiem, tak by twarz Cypriana wciąż znajdowała się w pełnym świetle.

I raczej nie zrobił tego przypadkiem. – Myślę, że całej trójce może być ciężko przez jakiś czas i na pewno przyda im się wsparcie.

Wypuścił dym i się rozejrzał.

– Szedłeś gdzieś konkretnie? – zapytał.

– Tak, po Magdę. Prowadziła dzisiaj integrację i chodzenie po żarze.

Jonasz zaśmiał się cicho.

– Znowu ona? Co ten Kamaz robi, jak bidula już urodzi, ja się zastanawiam – stwierdził, po czym machnął ręką. – Ale to już i tak nie w tym roku przecież. Będiesz miał może chwilę jeszcze? Przydałbyś mi się później. Najlepiej znasz teren.

Kolejny raz się zaciągnął i zaraz wydmuchał dym na bok. Ten rozszedł się w blasku światła niczym kleks atramentu wpuszczony do wody.

– Pewnie. Co trzeba?

– Kamaz będzie jutro i...

– Trzeba będzie po niego pojechać?

– To też. – Jonasz skinął głową. – Ale prosił, byśmy jeszcze dzisiaj we dwóch przygotowali dobre miejsce na odnowienie ślubów tej dwójki. Powiedział, że to ważne, bo to będzie pierwsza taka uroczystość...

– W nowym domu, jasne. – Cyprian po raz kolejny wszedł mu w zdanie, po czym wychylił się, znowu robiąc daszek z dłoni. – Nie miał z tobą przyjechać Wojtek?

– Śpi, miał ciężki dzień. Ale spisał się chłopak, bez dwóch zdań. Coś się tak wzdrygnął, zimno ci?

– Trochę.

Jonasz pokręcił głową z rozbawieniem.

– Ech, dzieciarnia. Z czego was rodzice robili, to ja nawet nie chcę myśleć.

Pierdol się, pomyślał z nagłą wściekłością Cyprian. Szczerze nienawidził tego starego dziada. Bardziej chyba nawet niż samego Kamaza, bo olbrzym przynajmniej nie przysięgał nigdy, że będzie walczyć z przestępcami. Jonasz natomiast był pierdolonym sprzedajnym psem, któremu odjechało, gdy jego walnięty syn zdechł na raka. Ciekawe, z czego on był robiony, hę? Z czego, że nowotwór wpierdolił go z takim apetytem?

Każde z zakazanych słów zapiekło go w gardle, aż zaszklily mu się oczy, ale i tak przez moment poczuł satysfakcję. Ta jednak błyskawicznie przerodziła się w strach, gdy zdał sobie sprawę, że Jonasz przekrzywia

głowę, jakby zaciekawilo go coś, co nagle w nim zobaczył. Jakby czytał mu w myślach.

– Coś dziwnie się zachowujesz. Boli cię coś?

– Trochę. – Cyprian uniósł rękę do gardła. – Nie wiem, czy mnie jakaś angina nie łapie. Będę musiał podejść do Kalimy po coś na gardło.

Jonasz kolejny raz się zaciągnął, przyglądając mu się uważnie.

– Tak zrób, koniecznie – powiedział w końcu. – I z Magdą też się nie całuj lepiej teraz. Najlepiej to w ogóle śpijcie osobno. Wiesz, jak jest.

– Pewnie. Ale teraz lecę po nią, żeby nie szła sama. Zaraz będę.

Odwrócił się i nie bacząc na powidoki, które uczyniły mrok wokół jeszcze bardziej nieprzystępnym, szybkim krokiem skierował się do ośrodka. Zaraz potem usłyszał trzaśnięcie drzwiczek i samochód ruszył. Cyprian zrobił jeszcze pięć kroków, nim zgiął się wpół, dysząc ciężko.

– Szlag! – wydusił z siebie. – Szlag!

Dźwięki gitary były już coraz głośniejsze, impreza wyraźnie się rozkręcała i do gitary Marcela dołączyły bębny Kalimy, a potem kolejne głosy, wyraźnie nieradzące sobie z melodią, ale nadrabiające entuzjazmem. Cyprian wsłuchiwał się w nie przez dobrą minutę, trzęsąc się i walcząc z torsjami oraz narastającym w nim krzykiem.

Wyprostował się, dopiero gdy usłyszał kroki. Podniósł się, wyteżył wzrok.

– Magda? – zapytał, rozpoznając specyficzny, kaczy chód. – Czy to ty?

– Tak, to ja – odpowiedziała i zaraz, jakby po krótkim namyśle dodała już ciszej: – I już wiem.

– Co wiesz? – Nie zrozumiał.

– O Klarze i Igorze, Cyprian – odparła zmęczonym, obolałym głosem. – Po to szedłeś, prawda? Żeby mi powiedzieć?

Pokiwał głową, splunął i otarł usta dłonią.

– Skąd wiesz? – zapytał, prostując się i wyciągając rękę, by wziąć ją pod ramię.

Skorzystała, uwieszając się na nim i jednocześnie dzieląc swym ciepłem. Powoli, wtuleni w siebie, ruszyli w stronę domu.

– Od Łukasza – odpowiedziała. – Przyszedł do nas, jak odprowadzał Igora, i rozmawiał z Marcelem. Miałam chwilę, żeby się ogarnąć. Wiesz, jak to się stało? W sensie jak ich znaleźli?

– A to ma jakieś znaczenie?

Zatrzymała się nagle i odsunęła od niego.



– Spójrz na mnie – poleciała.

– Ale może nie tutaj, co? W kuchni jest Tomeczek, zmywa za mnie i...

– Spójrz na mnie! – ponowiła Magda, tym razem głośniej.

Spojrzał i dostrzegł, że na jej okrągłej buzi maluje się gniewna determinacja.

– Nie odpuścimy, Cyprian – powiedziała. – Rozumiesz? To nie znaczy...

– Owszem, to dokładnie to znaczy! – Wyszarpnął rękę i odsunął się o krok. – Oczywiście, że odpuszczamy! Dopóki oni byli jeszcze wolni, mogliśmy...

– Przestań się drzeć i machać łapami – powiedziała Magda cicho, ale stanowczo. – Sam mówiłeś, że ktoś może nas widzieć.

Nie miał pojęcia, skąd brał się w niej cały ten spokój. Cholera, Magda miała dopiero dwadzieścia dwa lata, a gdy do nich przysłała, była głupią bananową trzpiotką, zbuntowaną przeciwko rodzicom i ryczącą nad truchłem królika na skraju jezdni. Gdy po zaślubinach kładł się z nią, drżała od najdelikatniejszego dotyku i wstrzymywała oddech przy każdym pchnięciu, potem, gdy już odbyli tamtą szczerą rozmowę, przez dwa dni nie umiała niczego utrzymać w żołądku. A teraz? Skąd to opanowanie? Skąd te nagłe pokłady siły?

– Nie odpuścimy, Cyprian. Nie pozwolę, by moje dziecko trafiło do tego gówna. Nam może się nie udać, ale my tu jesteśmy na własne pieprzone życzenie. Jednak nie pozwolę, żeby ktoś, kto jeszcze ma szansę... żeby... żeby...

I wtedy ta niezrozumiała siła nagle gdzieś z Magdy uszła. Głos jej się złamał, zaniósła się szlochem. Cyprian błyskawicznie doskoczył do niej, przytulił mocno.

– Już nie płacz, wymyślimy coś – mówił, patrząc w stronę kuchennego okna. Tomeczek wciąż tam stał z głową pochyloną nad zlewem. – Zrobimy tak, żeby było dobrze.

Kłamał. Zupełnie jak wtedy, gdy rozmawiał z matką przy bramie. Jak wtedy, gdy obiecywał, że wróci i przywiezie ze sobą niespodziankę. Kłamał i głaskał Magdę po plecach, wiedząc, że to jedyne, co może teraz zrobić.

Gdy wreszcie się opanowała, dał jej chwilę, by wytarła twarz i oczy, a potem już bez słowa ruszyli w stronę domu.

Jonasz czekał na nich przed drzwiami, oparty o jeden z dwóch przygotowanych już szpadli. Jadł sprezentowany mu słodki popcorn.

– Cześć, Magda. W porządku wszystko? – upewnił się. – Chcesz trochę? Tylko uwaga, bo naprawdę słodkie.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, uśmiechając się lekko. – Trochę źle się czuję. Jestem zmęczona.

– Jasne, złociutka. Idź, odpocznij.

Jeśli przejęła się widokiem szpadli – a przecież musiała, bo wiedziała, z czym się wiąza – to zupełnie nie dała tego po sobie poznać. Cyprian podziwiał ją teraz jeszcze bardziej i jednocześnie uświadomił sobie, że to nie ona jest w ich związku słabym ogniwem.

– Zaraz wracam – powiedział do Jonasza, po czym wszedł z Magdą do domu. Mieli osobny pokój w dawnej garderobie na piętrze i odprowadził ją tam, a potem pomógł się rozebrać.

Gdy wrócił i złapał za wolny szpadel, czuł się jak zdrajca. Nie miał tylko pewności, kogo tak naprawdę w tym momencie zdradza.

## CZEŚĆ DRUGA

### 10

Pociąg wjechał na stację Katowice o 10.27, czyli z dziesięciominutowym opóźnieniem. Drelich wysiadł i zszedł do holu głównego, by kupić kawę oraz kilka kartonikowych biletów na komunikację miejską.

O godzinie 10.53 znowu był w pociągu, a dziesięć minut później dotarł do Chorzowa Batorego. Stamtąd do mieszkania, które wynajął z ogłoszenia na OLX, miał niespełna dwieście metrów w linii prostej.

Klucze odebrał w pobliskim sklepie spożywczym, płacąc gotówką stojącej za ladą pulchnej kobiecie o platynowych włosach. Był przekonany, że skoro rezerwacji dokonał telefonicznie, sprzedawczyni poprosi go o jakiś dowód tożsamości, i przygotował się na taki wariant, ale ona podała mu tylko formularz do wypełnienia, a potem zapytała, o której nazajutrz zamierza wyjeżdżać.

– Jeszcze nie zdecydowałem – powiedział, odkładając długopis i sięgając po stojącą przy nodze torbę. Starał się nie dać po sobie pokazać, jak jest ciężka. – A to ma jakieś znaczenie?

– No na pewno przed jedenastą trzeba – wyjaśniła. – Ale jutro sklep otwieramy później, bo sobota, więc jakby pan chciał wyjechać wcześniej, to klucze do skrzynki wrzucić. Tylko niech pan numerów nie pomyli.

Skinął głową i podniósł pęk kluczy z numerem klatki oraz mieszkania na breloczku. Nie była to aż taka głupota jak wpisywanie całego adresu, łącznie z ulicą, kodem i godzinami pracy lokatorów, ale blisko.

– Nie pomyłę – zapewnił. – Dziękuję.

Mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze po prawej stronie i miało trzy zamki – dwa patentowe, więc nie do sforsowania za pomocą wytrychów, oraz jeden, do którego wystarczyłby standardowy zestaw narzędzi

i maksymalnie minuta. Zgodnie z przypuszczeniami Drelicha zamknięte było tylko na jeden i, co zabawne, właśnie na ten ostatni. To najprawdopodobniej znaczyło, że lokal sprzątał i szykował dla niego ktoś z rodziny właściciela, bo według jego obserwacji, pracownicy zewnętrzni zwykle używali wszystkich zamków, by nikt się do nich potem nie przyczepił.

Wszedł do środka, zamknął drzwi i zlokalizowawszy sypialnię, położył plecak oraz torbę na łóżku. Zerknął na zegarek, sprawdził w aplikacji mapę, rozkłady autobusów i tramwajów, a także dystans dzielący go od Kafeja, lokalu w centrum Katowic, gdzie umówił się z Chrypką. Upewniwszy się, że zdąży, rozebrał się do bokserek i najpierw wykonał serię ćwiczeń rozluźniających, a następnie rozmasował górny odcinek pleców przy pomocy niewielkiej gumowej piłki. Wreszcie wziął długi prysznic, wykorzystując ten czas na analizę planu.

Trasę ucieczkową przejechał już we wszystkich wariantach podczas dwóch poprzednich wizyt na Śląsku, ale i tak zamierzał przebyć ją jeszcze raz, tym razem pieszo, zarówno na swojej trasie, jak i trasie dojazdu ewentualnego pościgu. Kluczowi byli zwłaszcza policjanci z drugiego komisariatu, bo nie dość, że mieli najbliżej, to jeszcze jedna z ich opcji dojazdu na miejsce zdarzenia przecinała na krótkim odcinku najlepszą drogę ucieczki.

Był moment, że Drelich rozważał nawet ustawienie na ich drodze jakiejś przeszkody, ale szybko uznał, że to zbędne komplikowanie prostego w gruncie rzeczy planu. Bo przecież nawet zakładając natychmiastowe zgłoszenie zdarzenia tuż po rozpoczęciu przez niego akcji, jak i nierealną natychmiastową mobilizację policjantów w środku nocy, miał około czterech minut. A cztery minuty to dużo.

Co dalej? Oczywiście musiał obejrzeć cel, upewnić się, że w ostatniej chwili nie pojawiły się żadne zmiany, przeszkody czy komplikacje. No i rzecz jasna sprawdzić, czy łup i jego dostępność są zgodne z otrzymaną specyfikacją.

Sprawa trzecia to auta. Powinny być trzy, umieszczone w konkretnych, wyznaczonych zawczasu miejscach. Pierwsze do skoku, drugie ucieczkowe, trzecie do przesiadki, oddalone kilka kilometrów. Wszystkie powinny być zatankowane, odpalać gładko i najlepiej, jakby nie miały gwoździ w oponach. Auto numer 3 planował ustawić na lokacji możliwie późno, by nie wzbudziło podejrzeń na pustym parkingu.

No i wreszcie spotkanie z Chrypką. Myśl, że musi kogoś wtajemniczyć w ostateczne szczegóły planu, bardzo go uwierała, ale przy tym skoku naprawdę potrzebował wsparcia.

Zaraz po wyjściu spod prysznic Drelich zajął się charakteryzacją. Tym razem nie mógł swoim zwyczajem postawić na odwracające uwagę blizny, bo taki zabieg działał jedynie przy przelotnym kontakcie, a Chryпка będzie patrzył na niego w świetle dnia i to przez dłuższy czas. Zapuszczony na tę okoliczność zarost, nawet zafarbowany, szkła kontaktowe i okulary zerówki mogły więc nie wystarczyć.

Dlatego tym razem podstawą kamuflażu Drelich uczynił nakładkę na górną szczękę. Tę protezę sporządził sobie na zamówienie dwa lata wcześniej w zakładzie protetycznym i używał do tej pory dwa razy w akcji i wielokrotnie ćwiczebnie. Spisywała się świetnie, bo nie tylko zmieniała wygląd jego uzębienia, ale i całego kształtu twarzy – dzięki dodatkowym zgrubieniom, które wypychały od środka bruzdy nosowo-wargowe. A że była dobrze dopasowana, mógł w niej spokojnie zjeść, nie wzbudzając podejrzeń.

Do tego dołożył silikonowe wkładki do nosa, stosowane przy zabiegach prostowania przegrody, które jednocześnie poszerzały nos i unosiły jego czubek. Przy okazji niestety powodowały też katar, ale to nie stanowiło problemu w przypadku rozmowy, a podczas akcji i tak zamierzał używać kominiarki.

Przyjrzał się sobie w lustrze i uznał efekt za zadowalający.

O 12.45, już w pełnej charakteryzacji, ubrany w luźny T-shirt, krótkie dżinsowe spodnie, sportowe buty oraz czapkę z daszkiem wyszedł na ulicę.

Iza dostrzegła tego olbrzyma już w pendolino z Warszawy do Katowic. Choć właściwie to raczej on dostrzegł ją, proponując wrzucenie jej niewielkiej walizki na górę, gdy zziębnięta i zasapana zawiesiła się na moment przy swoim miejscu. Skorzystała z pomocy, bo po rajdzie na dworzec, a zwłaszcza jego końcowym etapie z taksówki na zatłoczony peron, była niemal pewna, że unosząc bagaż nad głowę, złamałaby się pod jego ciężarem. Podziękowała, a mężczyzna życzył jej spokojnej podróży. Miał niski, tubalny i nieco schrypnięty głos, bardzo przyjemnie rezonujący w uszach.

Potem siedzieli akurat tak, że widziała go, ilekroć unosiła oczy znad telefonu, w przerwie między odcinkami Parks and Recreation. Olbrzym zajmował miejsce w strefie ciszy, starając się, na ile to możliwe, siedzieć wygodnie i jednocześnie nie tarasować nogami połowy przejścia. Przez większość podróży czytał książkę, maleńką w jego wielkich dłoniach, a jego potężny zegarek z drewnianą kopertą raz po raz droczył się ze światłem, śląc niekontrolowane zajęczki po ścianach przedziału.

W którymś momencie olbrzym zauważył, że Iza mu się przygląda, i zanim przewrócił stronę, uśmiechnął się do niej. Była pewna, że podejdzie i ją zaczepi, ale nie zrobił tego. Odezwał się dopiero w Katowicach, pytając, czy potrzebuje pomocy z bagażem, a gdy tym razem uprzejmie odmówiła, zabrał swoją torbę i wyszedł.

Gdy dwadzieścia minut później zobaczyła go wsiadającego do pociągu do Gliwic, tego samego, którym sama planowała jechać, jeszcze jej to nie zdziwiło, ale gdy podobnie jak ona przesiadł się następnie na pociąg do Kędzierzyna, a potem na szynobus na Nysę, zaczęła się niepokoić.

Oczywiście miała świadomość, że to niepoważne. Chociaż nie, nie powinna używać tego słowa – terapeutka zwróciła jej już na to uwagę. Przecież ten lęk był związany z tym, co się stało w przeszłości, i nie należało go lekceważyć. Teraz chodziło raczej o to, że Iza nie miała dla swoich obaw racjonalnego podparcia i nawet nie potrafiła ich określić ani nazwać, by móc się z nimi realnie skonfrontować.

No bo co, skoro wielki, łyśy i z drogim zegarkiem, to zaraz gangster? Skoro jedzie w tę samą stronę co ona, to zaraz za nią? Wybrała jedyne sensowne połączenie z Warszawy na tej trasie, więc nic dziwnego, że inni również się na nie zdecydowali. Zresztą nie miała pojęcia, ile osób jedzie z nią od stolicy, bo przecież nie przyglądała się wszystkim pasażerom. Zwróciła uwagę tylko na niego, bo był taki wielki i wyróżniał się z tłumu.

Mimo to, gdy tylko nadarzyła się okazja, Iza zrobiła mu dyskretne zdjęcie. Ot tak, na wszelki wypadek. Poza tym wiedziała, że zawsze lepiej kogoś pokazać, zamiast go opisywać. Przez moment zastanawiała się też, czy nie wysłać tego zdjęcia Drelichowi. Przypomniła sobie jednak, że ma dziś robotę, więc i tak by nie odebrał. A nawet gdyby, to zamiast ją uspokoić, kazałby jej zachować wszelkie środki ostrożności, zwłaszcza w odniesieniu do Zośki, a sam jeszcze dziś po południu lub wieczorem – zależy, jak miałyby daleko – znalazłby się pod drzwiami jej rodzinnego domu. W tym czasie ludzie Kracha szukaliby już olbrzyma w każdej internetowej bazie w Polsce. I to wszystko tylko dlatego, że facet jechał z nią jednym pociągiem.

Pokręciła głową, śmiejąc się z samej siebie, a potem spróbowała skupić się na czytaniu. Nie wyszło, bo książka zakupiona na dworcu okazała się historią faceta, któremu ginie w wypadku żona, zostawiając go z dwójką dzieci, a przy okazji wychodzi na jaw, że miała wielki mroczny sekret. Wizja życia z dwójką dzieci w cieniu sekretu partnera była zdecydowanie za blisko życia Izy, by lektura książki mogła jej sprawić jakąkolwiek przyjemność.

Pół godziny później wraz z olbrzymem i dwójką innych pasażerów wysiadła na stacji w Głogówku.

Do wielkoluda od razu podeszła trójka czekających na niego ludzi, dwóch młodych mężczyzn i drobna kobieta ogolona prawie na łyso. Przywitał się z nimi wylewnie, każde z nich mocno i serdecznie ściskając, a potem pozwalając jednemu z mężczyzn zabrać swój bagaż. Ten drugi, z wyglądu dwudziestoparolatek, wydał się Izie znajomy, ale nie na tyle, by umiała powiedzieć, skąd go zna. Wrażenie umocniło się jednak, gdy chłopak, napotkawszy ją wzrokiem, zrobił minę, jakby się zdziwił albo wystraszył, a potem szybko się odwrócił.

– Iza?

Obejrzała się i dostrzegła ojca idącego ku niej dziarskim krokiem. Edward Lemańczyk był krępyim mężczyzną średniego wzrostu, z wyraźnym

brzuchem, gęstym prostym wąsem i równie gęstą, choć mocno już siwiejącą czupryną, zaczesaną do góry i na bok. Włosy w ostatniej fazie, jak zwykła mawiać o jego fryzurze. Ostatni moment, kiedy go jeszcze nie irytowały na tyle, by złapać za maszynkę i ogolić się na rekruta.

– Cześć, tato.

Gdy podszedł, przytulili się serdecznie, choć nieco sztywno. Ojciec pachniał jak zawsze papierosowym dymem i wodą kolońską Jaguar, w której zagustował, odkąd pięć lat wcześniej z braku innego pomysłu kupiła mu ją na gwiazdkę. Wcześniej, jak chyba każdy facet czy chłopak w Gronowie, używał old spice'a.

– Wybacz spóźnienie, musiałem jeszcze zatankować, a jakiś gamoń przede mną pomylił benzynę z ropą – powiedział, bez ceregieli przejmując rączkę jej walizki. – Dobrze, że go o to zapytałem, zanim odpalił, bo miałyby się dzieciak z pyszna. A żebyś widziała, jak spojrzał w pierwszej chwili, jak chciał odpyskować.

Iza знаła ojca i sposób, w jaki zwykł zwracać ludziom uwagę, więc wyobraziła to sobie bez trudu. Nauczona doświadczeniem darowała sobie jednak komentarz.

– Jak podróż? – zapytał.

– Długa jak zawsze – odparła. – Ale bez tłoku i opóźnień, więc w sumie całkiem przyjemnie.

Ruszyli w stronę parkingu i akurat minęli budynek, gdy srebrny mercedes z olbrzymem i jego towarzystwem włączał się do ruchu. Samochód był na opolskich blachach, a na tylnej szybie miał nalepkę z lokalnego gronowskiego serwisu online. Czyli wszystko wskazywało na to, że olbrzym jechał dokładnie tam, gdzie ona.

– Tato, nie wiesz, co to byli za ludzie? – zapytała. – Ci z tym wielkim kolesiem?

Zatrzymali się akurat przy oplu ojca zaparkowanym z nonszalancją byłego gliny, który ma powody nie obawiać się mandatów. Lemańczyk otworzył auto i zaszedł od tyłu, by wrzucić walizkę do bagażnika.

– Pytasz o towarzystwo młodego Kozdrasia? – upewnił się.

– To był Cyprian Kozdraś?!

Ojciec się uśmiechnął, muskając wąsa.

– A co myślałaś, że wciąż wygląda jak za czasów, gdy czytałaś mu bajki i zabierałaś na plac zabaw? Latka lecą, kochanie, i nikogo to nie omija.



Wsiedli do samochodu, ojciec wepchnął kluczyk do stacyjki, zapiał pas, po czym upewnił się, że ona zrobiła to samo i że go naciągnęła. Iza oczywiście sama o tym pamiętała, nauczona, że bez tego nie ma jazdy.

– Myślałam, że Cyprian wyjechał kilka lat temu – powiedziała, gdy ruszyli.

Lemańczyk skinął głową.

– Bo wyjechał. Ale wrócił na pogrzeb matki. I żeby przejąć po niej spadek.

Iza wiedziała o śmierci pani Kozdraś. Rozważała nawet przyjazd na pogrzeb, bo bardzo miło ją wspominała i jako swoją pierwszą pracodawczynię, i po prostu jako osobę. Jednak wtedy miało miejsce całe to zamieszanie z koleżanką Zosi i... no, nie złożyło się. Ucieszyła się więc, słysząc, że na tę okoliczność zjawił się chociaż Cyprian, niezależnie od pobudek, jakimi się kierował.

– A ten wielki facet, po którego przyjechali? Znasz go? – zapytała.

Ojciec zerknął na nią, rozbawiony.

– A ty w ogóle nie zamierzasz mnie już zapytać o córkę?

– Och, wierz, mi, że zamierzam – odparła. – Ale to będzie dłuższa rozmowa raczej i myślę, że już w domu.

– O tym chłopaku?

– O tobie śledzącym swoją wnuczkę.

Znowu zerknął, jakby chciał wybadać, czy Iza mówi poważnie. Gdy się zorientował, że raczej tak, szybko wrócił do bezpieczniejszego dla siebie tematu.

– Ten wielki facet to jakiś... – Zmarszczył czoło, szukając słowa. – No, jak to się mówi teraz?

– Nie wiem, co chcesz powiedzieć.

– Jest takie określenie na tych, co pierdolą farmazony o byciu lepszą wersją siebie i sięganiu po marzenia – wyjaśnił. – Ci, co tak cię denerwowali kiedyś, takie angielskie słówko.

– Coach?

– O, właśnie. – Pokiwał głową. – Coach! Ten wielki to jest coach. Jego firma z dziewięć miesięcy temu wynajęła całą Ponderosę na większość wakacji i teraz prowadzą tam jakieś kilkudniowe kursy z relaksu dla ludzi z wielkich miast. Jakieś takie zajęcia dla firm, wiesz. Medytacje, jogi, srogi i granie na bębenkach. Dorośli ludzie, a bawią się w cholernych Indian.

– Czekał, jakich Indian?

– No zgodność z naturą i takie tam. Jakies ogniska, indiańskie rytuały, chodzenie po węglach. Nie wiem, słyszałem od ludzi tylko. Swoją drogą Jarek Kozdraś pewnie się w grobie przewraca, że mu jego kowbojskie rancho opanowali Indianie.

– I Zośka na to chodzi, tak? Na tę jogę?

– A co, nie powinna? – zaniepokoił się Lemańczyk. – Wiesz, ja się tam nie znam, tyle co ludzie gadają, ale oni to powtarzają jakieś pierdolety proboszcza o opętaniu i takie tam. A Zośka mówiła, że w mieście też na to chodzi, że wszyscy chodzą i że to u was normalne.

– Żartujesz! Tak powiedziała?! Zośka? O jodze, że normalne? Jak ją chciałam raz w Warszawie zabrać ze sobą, to mnie wyśmiała.

– No cóż, pewnie co innego przeżyć się jak kotka przed matką, a co innego przed chłopakami, nie?

Iza uważnie przyjrzała się ojcu, po czym nagle parsknęła śmiechem.

– Tato, ja naprawdę nie wiem, gdzie i jaką jogę oglądasz!

– Żadnej nie oglądam, bo mnie takie bzdury nie interesują, mówiłem już – zaperzył się Lemańczyk. – Ale widzę, jak się na te zajęcia ubiera w obcisłe ciuszki, a jak wraca, to cała w skowronkach. I jeszcze ten starszy chłopak, który ją odprowadza pod dom. To co ja mam myśleć?

– Ma szesnaście lat. Co myślałeś, że będzie z tobą w domu siedzieć? Przez całe wakacje?

Łypnął na nią z ukosa, wyraźnie dotknięty jej tonem, po czym, jakby po namyśle, potrząsnął głową.

– Nie znam się na szesnastolatkach – przyznał. – Ale miałem kiedyś jedną pod dachem i też zaczęła się stroić dla chłopaka, a oboje wiemy, jak to się potem dla niej skończyło.

Iza uśmiechnęła się na wspomnienie wczorajszej rozmowy z Drelichem. Najwyraźniej, jeśli chodzi o intencje ojca, trafiła w punkt.

– Skończyło się tym, że szesnastolatka dorosła, tato – odpowiedziała. – Popełniła kilka błędów, ale radzi sobie i jest szczęśliwa. I moja córka też dorasta. Naprawdę dziwi cię, że chce się spotykać z chłopakami? Wolałbyś, żeby dziewczynę przyprowadziła?

Prychnął tylko, ale nie dał się sprowokować.

– Dziewczyna przeżywa swoją pierwszą wakacyjną miłość, tato – kontynuowała Iza. – Masz problem z tym, że ci nie powiedziała, bo nie chciała, żebyś się dziwnie zachowywał?

Tylko na nią zerknął, a potem przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Iza była już nawet pewna, że się obraził, ale wtedy właśnie się odezwał:

– A czemu tobie nie powiedziała? Skoro jesteś taka tolerancyjna i w ogóle.

– Nie wiem – uśmiechnęła się. – Ale pogadam z nią o tym. Jak będziemy, wiesz, same.

Wyjechali z Głogówka, kierując się w stronę Głubczyc drogą pośród pól. Iza zawsze lubiła ten moment wyjazdu z miasta prosto w otwartą, płaską przestrzeń. Linia telefonicznych słupów, domki i drzewa w oddali, gdzieś tam w polu traktor. Póki nie przyglądała się specjalnie uważnie, nie skupiała na detalach, mogła mieć wrażenie, że świat zatrzymał się na tych fajnych, dawnych czasach, kiedy jeździła tędy autobusem na szkolne wycieczki do Opola, Wrocławia lub Krakowa.

– Tato, mogę cię jeszcze o coś zapytać? – odezwała się po dłuższej chwili.

– Wiesz, że to wciąż jest najgłupsze pytanie pod słońcem? – mruknął Lemańczyk. Sięgnął do pokrętła radia, które wcześniej włączył, by wypełnić ciszę, i ściszył prawie do zera. – Pytasz, czy możesz pytać.

Zignorowała tę uwagę.

– Chodzi mi o to, co powiedziałaś o coachu i o tym, że wynajęli Ponderosę.

– No?

– Że dziewięć miesięcy temu.

Spojrzał na nią, tym razem już nie potwierdzając głośno. Jego wzrok mówił jasno, że to dobry moment, by wyjaśniła mu, do czego zmierza.

– Dlaczego sprawdzałeś, kiedy wynajęli Ponderosę? Miałeś jakieś podejrzenia, że coś jest nie tak? Na przykład w związku ze śmiercią pani Kozdraś?

– A kto powiedział, że sprawdzałem? Może...

– Tato...

Lemańczyk wzruszył ramionami.

– No dobra, po prostu byłem ciekaw – odparł. – Śmierć Marianny i ta mieszanka leków oraz alkoholu akurat w rocznicę śmierci Jarka układały się w spójną historyjkę, a wiesz, co myślę, jak historyjka za dobrze się układa, nie? Poza tym Ponderosa i cała ta ziemia jest warta z kilkanaście milionów, a różne paskudne rzeczy robi się za dużo mniejsze pieniądze. Więc jak zobaczyłem, że Cyprian i ci ludzie od wynajmu się znają...

– A znają się?

– No tak, podobno nawet całkiem dobrze. Część z nich, w tym właśnie ten łysy, mieszka nawet w domu Kozdrasiów, a nie w ośrodku. Jak jakaś sekta. No więc poszedłem do chłopaków do fabryki i na ile mogliśmy, sprawdziliśmy, czy jest coś na Cypriana, na tego dużego, czy Marianna zawierała ostatnio jakieś dziwne umowy, takie tam.

– I co? Wyszło coś z tego twojego śledztwa?

Westchnął ciężko, jakby w rankingu najgłupszych pytań właśnie zmienił się lider.

– A myślisz, że gdyby wyszło, to w ogóle pozwoliłbym twojej Zośce tam chodzić i poznawać te swoje wakacyjne miłości?

– Ej, sugerujesz, że była więcej niż jedna miłość?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się z wyraźnie złośliwą satysfakcją.

– A co ja tam wiem, kochanie? – zadrwił. – Mnie przecież nikt nic nie mówi.

Minęli tablicę z napisem „Gronowo” i na pierwszym skrzyżowaniu skręcili w lewo. Tu Lemańczyk wyraźnie zwolnił i zaczął z wprawą lawirować między dziurami w asfalcie, spod których wyzierała kratka brukowej kostki. Po obu stronach drogi ciągnęły się rzędy niemal identycznych budynków – jednopiętrowych bliźniaków o płaskich dachach i balkonach od frontu. Niektóre połówki porastał bluszcz czy winorośl, inne pomalowano na jaskrawe kolory, ale żaden spośród ich właścicieli nie podjął trudu zachowania spójności. Nikodem powiedział kiedyś, że każdy z tych domów jest trochę jak Two Face, jeden z wrogów Batmana, któremu wypadek zdeformował połowę twarzy.

Dom Lemańczyków, stojący niemal na końcu ulicy, nie stanowił wyjątku, choć mógłby, bo od przeszło dwóch lat ojciec był właścicielem całego budynku. Co prawda połączył mieszkania w środku, z zewnątrz jednak nadal jedna połówka miał kolor niebieski, a druga żółtawy, okna po jednej stronie ramy zaś brązowe, a po drugiej białe. Tylko drzwi z obu stron były identyczne – masywne, wzmocnione, z dwoma zamkami. Ojciec musiał wymienić je całkiem niedawno, podobnie jak bramę, pod którą właśnie podjechali.

Gdy się zatrzymali, z dumą wyjął z podłokietnika pilot i przycisnął jeden po drugim dwa przyciski. Zamruczał mechanizm otwieranej bramy, a zaraz potem drugi, gdy zaczęły się podnosić drzwi do garażu. Iza akurat o tym wynalazku wiedziała od Zośki, ale teraz umiejętnie udała zaskoczenie.

– Ło, świetne, tato! Naprawdę!

Uśmiechnął się z dumą i miała wrażenie, że jeśli nawet wcześniej poczuł się urażony, to teraz, za sprawą jej reakcji, sprawa poszła w niepamięć. Przynajmniej na razie.

Prawdziwe zaskoczenie nastąpiło jednak, gdy zjechali do garażu, a oczy Izy przyzwyczały się do półmroku. O tym, co zobaczyła, Zośka już bowiem nie wspominała.

– Rany, tato, czy ty naprawdę tu posprzątałeś?

– Kiedyś w końcu trzeba było, nie? Mówiłem ci, że zrobię to na emeryturze.

– Jesteś na emeryturze od czterech lat.

– Tak – zgodził się. – I pierwsze, czego się na niej uczysz, to że z niczym nie musisz się już spieszyć. No, wysiadaj.

Iza otworzyła drzwi i zaciągnęła się znajomym zapachem smaru, farby i gumy, do którego teraz doszedł jeszcze kwiatowy zapach środków czyszczących. Musiała przyznać, że ojciec rzeczywiście się przyłożył. Poukładał narzędzia na stole warsztatowym, a dla części z nich zamontował kratę z uchwytami. Co mógł, porozstawiał na szafkach stojących wzdłuż ścian, a resztę popakował w przezroczyste plastikowe pudła z niebieskimi pokrywkami. Przede wszystkim jednak bardzo, bardzo dużo rzeczy zbieranych latami powyrzucił i gdy Iza zdała sobie z tego sprawę, poczuła lekkie ukłucie niepokoju. Czy naprawdę była to tylko kwestia tego, że miał teraz czas? A może z jakiegoś powodu uznał nagle, że nie chce zostawiać nieuporządkowanych spraw? Może badając sprawę Marianny Kozdraś, wystraszył się jej losu i samotnej śmierci we własnej wannie?

– A, Izuchna, bo miałem pytać. – Ojciec, który również wysiadł z auta, zabębnił rękami o dach, uśmiechając się chytrze. – Co powiesz na malinowca? Nie masz ochoty aby?

Westchnęła ostentacyjnie.

– Dobrze, tato – odpowiedziała. – Jak kupiłeś wszystkie składniki i nie ma burdelu w kuchni, to zrobię.

– Znaczy wiesz, tylko jeśli sama chcesz – stwierdził, po czym z tym samym chytrym uśmiechem zniknął za drzwiami do domu.

Iza przeciągnęła się i raz jeszcze powiodła wzrokiem po posprzątanym garażu.

Wtedy dostrzegła stojący w kącie rower. Prosty, niebieski góral z osiemnastoma przerzutkami, małym Furbyem dyndającym przy dzwonku i kolorowymi koralikami na szprychach. Pamiętała, że kupiła go sobie sama, za własne pieniądze, by móc dojeżdżać do Ponderosy i opiekować się małym Cyprianem. W sklepie powiedzieli jej, że rower jest w specjalnej promocji, ale okazało się, że to pani Kozdraś w tajemnicy umówiła się ze sprzedawcą i dopłaciła resztę.

I nagle połączenie myśli o byłej pracodawczyni oraz wspomnień związanych z rowerem przywołało wizję Cypriana sprzed pół godziny i jego minę, gdy zauważył ją na peronie.

A wraz z tym pojawiły się pytania, których wcześniej nie zdążyła sobie zadać. Dlaczego tak zareagował na jej widok? Dlaczego wyglądał, jakby się jej wystraszył?

## 12

– Kto dziś prowadził program? – Tomeczek odwrócił się na siedzeniu, by spojrzeć na siedzącego z tyłu Kamaza. Wyjechali właśnie z Głogówka i niemal pustą drogą pognali w stronę Gronowa.

Wielkolud siedział rozpostarty, z kubkiem zimnej yerby w jednej ręce. Drugą obejmował wtuloną w niego Wiktorię, a dziewczyna zachowywała się, jakby nie widzieli się z kilka tygodni, a nie niespełna dobę.

– Prokop i Wellman.

– O, to oni są fajni. Lubię ich – stwierdził Tomeczek, ale zaraz się zmitygował. – To znaczy, wiesz, lubiłem, jak jeszcze oglądałem telewizję, kiedyś, w dawnym życiu. Zawsze rano tak leciało, na rozbudzenie. Takie tam głupoty do kawy.

Kamaz się roześmiał.

– Tak, głupoty do kawy – powiedział. – Pewnie właśnie dlatego mnie zaprosili.

Tomeczek spał się nagle i wyprostował, rzucając nerwowe spojrzenie w stronę siedzącego za kierownicą Cypriana.

Ten uśmiechnął się odruchowo, nieco sztucznie. Miał to już w swoim kodzie źródłowym – zestaw zautomatyzowanych reakcji, gdy ktoś zwraca na niego uwagę, zwłaszcza w obecności Kamaza. Trochę jak z umiejętnością powtórzenia ostatniego usłyszanego zdania, nawet jeśli się nie skupiasz.

Myśłami jednak wciąż był na peronie, przed oczami miał twarz dorosłej Izy Lemańczyk. Czy przyjechała tu po córkę? Żeby ją stąd zabrać? Boże, niech właśnie tak będzie! Niech to zrobi i nie słucha jej protestów. A potem niech z nią, do kurwy nędzy, porozmawia!

Skrzywił się, przełknął ślinę i zakasłał w dłoń.

– O co cię dzisiaj pytali? – zapytał, zerkając w lusterko wsteczne. – Jakiś ciekawy temat?

– O stres, nie? – rzuciła Wiki, którą trudno było zrozumieć, bo usta miała wtulone w pachę Kamaza. – Na bank o stres, zawsze o to pytają.

Tak naprawdę, o co pytają i gdzie był, rodzina dowiadywała się tylko z relacji Kamaza czy Jonasza, bo przecież sama nie oglądała telewizji i rzadko kiedy miała dostęp do newsów. Cyprian jednak, którego Kamaz, informatyczny ignorant, często prosił o pomoc z komputerami, widział kilka nagrań i wiedział, że rzeczywiście temat stresu często powraca w jego wystąpieniach. Musiał przyznać, że olbrzym znał się na tym i potrafił przystępnie opowiadać. Inna rzecz, że w telewizji śniadaniowej, mając raptem pięć minut i zadany wcześniej temat, łatwo jest uchodzić za eksperta od czegokolwiek.

– Trochę o stres, tak – potwierdził Kamaz. – Ale także o podróże, o Saharę i Amazonię.

Czyli pełen pakiet, pomyślał Cyprian. Kolejny raz śniadaniówka wzięła sobie olbrzyma z dyplomem psychologii, by zrobić z niego cyrkową atrakcję, a ludziom wodę z mózgu. Pewnie poszedł tam i znowu opowiadał ocenzurowane historie o tym, jak to łąził po amazońskiej dżungli, oczywiście boso jak ten przygłup Cejrowski, i niby to bratał się z tubylcami. Albo jak ubrany w garnitur szedł dwa miesiące przez Saharę. Takie jednoosobowe „Azja Express”, jak nazwano go dawno temu w którymś z komentarzy. Cyprian pamiętał, że jako gorliwy neofita bardzo się wtedy na ten komentarz wkurzył. Dziś ciężko by mu było znaleźć trafniejszy.

Znowu przed oczami stanęła mu Iza Lemańczyk, a potem jej Zośka zanecona tymi samymi gadkami o naturze, przyjaźni i sile pozytywnego myślenia. To były jedne z drzwi, którymi Kamaz wchodził im do głów, gdzie potem rozrastał się niczym wyjątkowo złośliwy nowotwór.

– Pewnie znowu to samo zdjęcie wrzucili – rzuciła Wiktoria. – To, jak cię wojsko przez Saharę prowadziło, nie? Znasz historię, Tomeczek?

– Jak mało nie wlaź na pole minowe? Oczywiście, że znam! Chyba to nawet właśnie w telewizji widziałem, jak o tym mówił. Mówiłeś, nie? Kamaz.

– Mówiłem, tak.

Oczywiście, że mówiłeś, pomyślał Cyprian, odruchowo pochylając się do przodu, by wyjść na moment z zasięgu lusterka i wzroku olbrzyma. Czuł, że jego wzrok go parzy. Jakby przepalał na wylot wyimaginowaną maskę.

Kamaz był w telewizji może z dziesięć razy, ale to wystarczyło, by dwie trzecie rodziny poznało go właśnie w ten sposób. Jako pogodnego wielkoluda z telewizji, przyjacielskiego, otwartego eksperta z dyplomem



psychologii, który nieustannie powtarzał z tym samym uśmiechem na twarzy, że droga do sukcesu jest jedna: „wyobraź to sobie, zaplanuj i zrób”. Matka Cypriana lubiła zawsze takich ludzi i czasem wołała syna, by posłuchał kogoś fajnego. Czy to właśnie ona zawołała go wtedy, by zobaczył Kamaza? Czy możliwe, że sama ściągnęła na siebie to, co się potem stało? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, ale poczuł, że szczypią go oczy. Zamrugął gwałtownie.

– A o rodzinę pytali coś? – chciał wiedzieć Tomeczek.

– Nie rozmawiam o rodzinie w telewizji – mruknął Kamaz.

– A o wykład wczorajszy?

– To był wykład zamknięty, dla firmy, to jak mieli pytać? Pomyśl czasem.

– Aha, no tak. Sorry.

Tomeczek umilkł, usiadł prosto i przez dobre dwie minuty patrzył przed siebie. Wyglądał, jakby się obraził, ale Cyprian wiedział, że nie byłby do tego zdolny. Nie w stosunku do Kamaza. Co najwyżej mógł teraz rozmyślać, jakie popełnił błędy i jak je olbrzymowi wynagrodzić. Tak to działało – Cyprian sam zdążył już tego doświadczyć.

Wjechali do Gronowa, na dużym rondzie skręcili w prawo i dwieście metrów dalej zatrzymali się na światłach. Widać stąd było dwa duże billboardy. Jeden za płotem kościoła przedstawiał pełną drogę i idącego nią bosego chłopca. Napis nad jego głową głosił: „Jestem z Tobą. Jezus”. Drugi billboard, mniejszy, stał może metr dalej, na prywatnej posesji i zdążył już wyblaknąć po tych pięciu latach. Pokazywał wizualizację westernowego miasteczka na terenie Ponderosa, twarz rewolwerowca trochę stylizowaną na Eastwoda z dawnych dni. Informował: „Już wkrótce będzie tu u nas Zachód. Dziki Zachód!”.

Cyprian wiele razy zastanawiał się, jak to możliwe, że ta grafika ciągle tu wisi. Przecież to niemożliwe, żeby ojciec opłacił ją na tyle lat. A może billboard i miejsce, w którym stał, też należały do niego?

– A ten Prokop to faktycznie taki wysoki? – Tomeczek się ożywił i tym razem trafił, bo Kamaz znowu się roześmiał.

– No, przynajmniej nie musiałem się schylać.

– Ej, a pytali o Antarktydę? – zapytała Wiktoria. – Bardzo bym chciała, żeby to się w końcu udało! Chciałabym iść z tobą, gdyby się udało, wiesz?

– Nie – warknął Kamaz. Zaraz jednak doprecyzował, już łagodniej: – Nie pytali o Antarktydę ani o żadne plany na przyszłość.

Jakim cudem oni tego nie dostrzegają, pomyślał Cyprian. Tych warków, gniewnych grymasów wyrywających się olbrzymowi raz po raz, ostatnio coraz częściej. Momentów odsłonięcia kłów. Chwil, gdy Kamaz wcale nie jest taki opanowany. Jak mogą tego nie widzieć?

A potem przypomniał sobie, że sam też nie widział. Że gniew Kamaza jest trochę jak martwy piksel w telewizorze. Gdy już raz zobaczysz, to będziesz widział zawsze. Ale równie dobrze możesz go nigdy nie dostrzec.

Przejechali przez całe Gronowo i wyjechali na zwirowaną drogę wiodącą ku Ponderosie. Wokół auta błyskawicznie podniósł się pył, otaczając go szarą chmurą.

– A jak wczorajsza niespodzianka? – zapytał dla odmiany Kamaz. – Przyjęła się? Jak ludzie zareagowali?

– Świetnie! Mały jest cudowny, naprawdę – zaczęła Wiktoria. – Dzieciaki bardzo się ucieszyły, zwłaszcza Błażej i Maja. Oliwka to już wiesz, taka mała mama, więc chciała go na rękach nosić, ale Aldona nie dała. Klara też fajna, choć małomówna. Jak w aucie. Dziewczyny coś tam do niej zagadywały, Magda to jej nawet łóżka chciała ustąpić, żeby z małym mogła spać te pierwsze noce, a ona nic. Uśmiechała się tylko blado. Ale ogółem fajnie, bo przesiedzieliśmy potem pół nocy, jak dzieciaki spać poszły, i...

– Dla ciebie to akurat żadna niespodzianka nie była – zaśmiał się Kamaz. – Tomek? Co ty myślisz?

– Nie no, super! – Tomeczek błyskawicznie się ożywił. – Megadobrze, bo to fajnie, jak rodzina już prawie w komplecie, nie? Igor też wczoraj żadnych problemów nie robił. Usłyszał, że pod wartą zostaje, to powiedział, że rozumie, i tylko o Klarę zapytał i o małego, czy z nimi wszystko w porządku. Z chłopakami jak żeśmy gadali, to fajny taki. Tylko raczej nie był wojownikiem, nie? Bo nie wiem.

– Nie – potwierdził Kamaz. – Igor nie jest wojownikiem.

Cyprian nagle zdał sobie sprawę z tego, że choć olbrzym rozmawia z Tomkiem, to wzrok skupia na lusterku, a więc na nim. I ta nagła świadomość sprawiła, że błyskawicznie poczuł, jak gardło mu się zaciska, a serce przyspiesza. Dlaczego patrzył na niego? Co naprawdę stało za tym pytaniem? Czy to dlatego nie powiedzieli mu o eskapadzie, że Kamaz się czegoś domyślał? Czy wiedział o planach jego i Magdy? Ktoś wiedział? Ktoś mu powiedział? Magda?!

Uspokój się, napomknął się w myślach, walcząc z narastającą paniką. Uspokój i nie spierdol tego!

Natychmiast zapiekło go w gardle, ale przyjął to jak cios w twarz dla otrzeźwienia. Przypomniała mu się prawda, którą powiedział mu kiedyś sam Kamaz. Nie da się całkiem ukryć kłamstwa, ale można je przykryć, by stało się czymś innym. Więc to, kurwa, zamierzał teraz zrobić. Nie spierdolić tego! Nie spierdolić i nie dać chujowi głupiej satysfakcji!

– Co się tak krzywisz, Cypek? – zapytał Kamaz. – Boli cię coś?

– Tak, gardło od wczoraj – wydusił z siebie. – Mówiłem Jonaszowi. Coś mnie bierze chyba.

Świadomość, że Kamaz może to w każdej chwili sprawdzić, zweryfikować, pomogła mu się trochę rozluźnić. Zerknął w lusterko i uśmiechnął się przepraszająco, ocierając łzy.

– Przez to wczoraj raczej trzymałem się z daleka od Klary i dziecka, ale bardzo się cieszę, że są z nami. Jak powiedział Tomeczek, rodzina prawie w komplecie! Jeszcze niech tylko Jakub z dziewczynami zjadą ze starego domu...

Kamaz przyglądał mu się przez chwilę, aż w końcu skinął głową.

– Dobrze zrobiłeś z Klarą – stwierdził w końcu. – Z Magdą też teraz uważaj. Prosiłeś Kalimę o jakieś leki?

– Na razie o zioła – odparł Cyprian. Wiedział, że to testowe pytanie, bo przecież Kalima bez zgody Kamaza i tak nie mogłaby przepisać mu antybiotyku. Gdyby to zrobiła, miałyby kłopoty. Tylko zioła były w porządku.

– Dobra, porozmawiam z nią. Bez sensu, żebyś cierpiał.

Odbili w lewo i po minucie minęli bramę, jak zawsze otwartą na oścież, zapraszającą. Między literami ogłaszającymi dumnie nazwę rancza błyszcząły rozświetlone słońcem dziury, stylizowane na ślady po rewolwerowych kulach.

– Jedziemy od razu do ośrodka? – zapytał Cyprian. – Zgodnie z grafiką masz jeszcze godzinę do zajęć.

– W takim razie jedź pod dom. Zjem coś, przywitam się i wezmę prysznic. A jak ten turnus w ogóle? Dobrze się wczoraj bawili? Jak ognisko?

Tomeczek zaczął coś mówić, ale Cyprian nie słuchał. W oddali, bliżej ośrodka, dostrzegł grupę medytacyjną prowadzoną przez Kalimę.

Zosia Lemańczyk siedziała ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowaną głową i dłońmi na kolanach, a za nią klęczał Wojtek, trzymając dłonie na jej ramionach. Z daleka wyglądali, jakby zamarli w bezruchu, ale Cyprian

wiedział, że tak naprawdę regulują właśnie oddech pod melodyjne słowa Kalimy i pamiętają o tym, by stopniowo nabierać tchu coraz świadomiej. Czerpać z niego coraz więcej, tak by wreszcie zaczerpnąć go całym sobą aż po koniuszki palców. Jak niedorzecznie by to nie brzmiało, akurat Kalima potrafiła sprawić, że rzeczywiście to czułeś. Naprawdę się otwierałeś.

Gdy trzy minuty później zatrzymali się pod domem, Kamaz pochylił się nagle, odtrącając na bok Wiktorię, i oparł dłoń na ramieniu Cypriana.

– Wsiądźcie – polecił, jednocześnie zaciskając nieco palce, by dać mu do zrozumienia, że jego to polecenie nie dotyczy. – I powiedzcie wszystkim, żeby poczekali na mnie w środku.

Wiktorcia i Tomeczek wysiedli bez słowa i zamknęli za sobą. Żadne się nie obejrzało, tylko szybko zagarnęli wszystkich, którzy wyszli im na powitanie, z powrotem do domu.

Cyprian przymknął oczy i spróbował wyrównać oddech, czując, że serce lada chwila rozsadzi mu pierś. Miał wrażenie, że zaraz się posika, a imadło w brzuchu zmiażdży mu flaki.

Olbrzym puścił jego ramię i cofnął się, znowu rozsiadając się wygodnie.

– Masz z tym problem, co nie, Cypek? – zapytał, wpatrzony w lusterko. – Masz z tym wszystkim kurewski problem.

Cyprian nie odpowiedział. Dłonie schował między uda i ścisnął, najmocniej jak potrafił, a w głowie huczało mu tornado myśli. O co Kamaz dokładnie pyta? Czego się domyślił lub dowiedział? Co się właściwie stało?

Dostrzegł, że ktoś podgląda ich przez okno, i przez moment chciał to wykorzystać, by skupić uwagę olbrzyma na kimś innym. Ale co, jeśli to akurat zatroskana o niego Magda?

– Mówię o powrocie Klary i Igora oraz sprawie z odnowieniem ich ślubów – wyjaśnił w końcu Kamaz. – Jonasz dzwonił i mówił, że gdy wczoraj pracowaliście, byłeś bardzo nieswój, małomówny, niespokojny.

– Mówiłem, że trochę źle się...

– Źle się czujesz, wiem, ale tu nie o to chodzi, prawda? Ty nadal się tego boisz? Minęło tyle czasu, a ty nadal żyjesz tamtym strachem?

Cyprian ostrożnie wypuścił powietrze z płuc. Spodziewał się usłyszeć coś znacznie gorszego, ale i tak nie mógł teraz stracić czujności. Zwłaszcza że na pytanie Kamaza nie było dobrej odpowiedzi. Zdecydował się zatem na prawdę, wyrażając ją ledwo zauważalnym skinieniem głowy.

Kamaz westchnął.

– Tak myślałem, cholera. Musimy wreszcie coś z tym zrobić, wiesz? Pomóc ci odzyskać kontrolę. Nie może tak być, żeby ktoś tak ważny dla rodziny żył w nieustannym lęku.

W jednej chwili Cyprian poczuł, jak wszystko w nim wysycha. Jak suchość sunie od ust, przez język, jamę ustną, gardło, płuca, aż po koniuszki palców. Jak w jakiejś pieprzonej parodii ćwiczenia Kalimy.

– Co... – zaczął i odchrząknął. – Co masz na myśli?

Kamaz znowu się pochylił i dotknął jego ramienia, tym razem ograniczając się jednak do przyjacielskiego klepnięcia.

– Najwyższa pora, byś wszedł poziom wyżej, bracie, i przekuł strach w swoją siłę – powiedział. – Oswoił go, biorąc go w garść. Słowem, chcę, byś za parę dni został mistrzem ceremonii. Przemyśl to.

Wysiadł, a Cyprian patrzył, jak olbrzym mija samochód, wchodzi na stopień, otwiera drzwi i otoczony nagle przez rozkrzyczane dzieci, schyla się, by nie uderzyć we framugę.

Dopiero gdy tamten zniknął w środku, Cyprian zaczął się trząść.

## 13

Krach nie dysponował zdjęciem Chrypki, które mógłby udostępnić, ale przedstawiony przez niego opis okazał się trafny. Wysoki, pod pięćdziesiątkę, z zakolami, orlim nosem i wąskim, cofniętym podbródkiem. Był już na miejscu, gdy Drelich zjawił się pod Kafejem – siedział na hokerze przy jednym z tych wysokich stolików ustawionych na zewnątrz knajpy. Miał na sobie błękitną hawajską koszulę w bladożółte ananasy, do tego jasne lniane spodnie i parciane sandały. Garbił się teraz, pochylony nad komórką, i sączył lemoniadę z wysokiej szklanki.

Pochodzenie ksywki wyjaśniło się, ledwie się odezwał, mówił bowiem tak, jakby powinien odkaszlnąć, ale z jakiegoś powodu się powstrzymywał.

– Cześć. To na ciebie czekam, nie? – powiedział, unosząc głowę, gdy Drelich podszedł do stolika. Zmierzył go wzrokiem i skrzywił się w drwiącym uśmiechu. – Bejsbolówka? Okulary? Nie za dużo filmów, stary? Zaczynam rozumieć, dlaczego wszystkiego dowiaduję się w ostatniej chwili.

Drelich ograniczył się do uśmiechu.

– Zamawia się w lokalu? – zapytał.

– Tak. Znaczą przynoszą później, ale zamówić trzeba tam.

– Okej. Łazienka?

– Po schodach i na górę.

Drelich wszedł do środka i zatrzymał się tuż za progiem, by przyzwyczaić oczy do zmiany światła.

Lokal nie był duży, urządzone bezpretensjonalnie i dość typowo jak na takie miejsca, choć nad barem, po lewej, wisiał ekran pokazujący stoliki na piętrze. Drelich wątpił, by obraz przy okazji nagrywano, ale odruchowo przyjrzał się kątom ujęć, by wchodząc na górę, namierzyć kamery. Ot tak, dla ćwiczenia.

Zamówił herbatę, kawałek sernika mango i sezonowego bajgla z bobem, a tyczkowaty okularnik stojący za barem zapewnił go, że to chyba najlepszy wybór z dzisiejszego menu, po czym wręczył mu kawałek okorowanego pniaka z numerem.

Gdy wrócił, Chrypka rozmawiał z kimś przez telefon. Drelich poczekał, aż tamten skończy, i dopiero wtedy podszedł do stolika, usiadł, wyjął swój aparat, ostentacyjnie go wyłączył i położył na blacie ekranem do góry.

Chrypka pojął aluzję i zrobił to samo ze swoim.

– Dobra, szefie – powiedział. – No to skoro przywitanie i zamówienia mamy za sobą, to co dziś robimy?

Drelichowi natychmiast przypomniały się słowa z oglądanej z dziećmi kreskówki o Pinkym i Mózgu, dwóch laboratoryjnych szczurach z przestępczymi skłonnościami. Na pytanie Pinky’ego, co dziś robimy, Mózg odpowiadał zawsze: „Jak to co? Zdobywamy świat”. Lubili tę frazę tak bardzo, że na długi czas stała się czymś na kształt rodzinnego powiedzonka.

Teraz jednak nie chciał pozwalać sobie na takie myśli. Upewnił się, że w zasięgu wciąż nie ma nikogo, kto mógłby ich usłyszeć, po czym sięgnął do portfela i wyjął z niego złożoną na sześć kartkę. Rozłożył ją i rozprostował przedramieniem. Schemat wykonany został ołówkiem i przedstawiał środkowy fragment największej śląskiej galerii handlowej – Silesia City Center.

– Dobra, to na szybko – powiedział półgłosem. – Widzisz, gdzie jesteśmy?

– Tak, wejście środkowe od strony parkingu.

Drelich przytaknął, po czym wskazał symbol drzwi po prawej.

– Do środka dostajemy się tędy. Ja wjeżdżam, ty zostajesz na zewnątrz i wbiegasz za mną.

– Te drzwi są pod alarmem – zauważył Chrypka. – Pisałem o tym w...

– Wiem, że są, i nie zamierzam go wcześniej rozbijać. To oznacza, że gdy dostaniemy się do środka, mamy mało czasu.

Uniósł głowę, by upewnić się, że Chrypka nie ma nic przeciwko, a potem jeszcze raz sprawdził, czy nadal może mówić. Mógł to robić całkiem dyskretnie, bo obserwowanie przestrzeni za plecami ułatwiała mu znajdująca się po jego lewej przeszklona ściana banku PKO.

– Ja wjeżdżam dalej, a ty pilnujesz po pierwsze widoku z kamer na telefonie, czy nie nadjeżdża patrol, a po drugie tej alejki – podjął. – Sprawdzałeś, kto pracuje w ochronie obiektu i gdzie przesiadują w nocy, więc wiesz, że raczej nikt nie zdąży się pojawić w trakcie. Ale gdyby ktoś wyskoczył, straszysz bronią i zmuszasz do położenia się na ziemi.

– Będziemy mieli broń? – Chrypka wyraźnie się zaniepokoił.

Drelich się uśmiechnął, przyznając mu w myślach kilka punktów. On sam również nie przepadał za bronią na akcjach, od lat wyznając wpojona przez stryja Józefa zasadę, że prawdziwa spluwa nie jest od straszenia. Interpretował tę regułę nieco inaczej niż brat ojca, ale zawsze się jej trzymał.

– Bez obaw, tylko hukową – wyjaśnił i zaraz dodał: – Dlatego w razie czego musisz być przekonujący.

Chrypka pokiwał głową na znak, że rozumie. Wyraźnie mu ulżyło.

– Dobra, co dalej? – zapytał.

– Kluczowa rzecz, pilnujesz mnie. Gdy zobaczysz, że wracam, wduszasz dźwignię paniczną i otwierasz drzwi, żebym miał jak wyjechać.

– Nie możesz tymi samymi, co wjechałeś?

Drelich pokręcił głową.

– Musiałbym wykonać trudny manewr w tym miejscu. – Dotknął palcem mapy. – A pamiętaj, że to posadzka, i dodatkowo jest tu kolumna. Zresztą wyłamiemy te drzwi do środka, więc z wyjazdem może być problem.

– Okej, łapię. Co dalej?

– Wyjeżdżam, czekam, aż wsiądziesz, i wtedy, zależnie od sytuacji, jedziemy do auta numer dwa albo trzy. Tyle.

To powiedziawszy, Drelich sprawnie złożył kartkę i wsunął z powrotem do portfela. Nachylony na stolem Chrypka pociągnął łyk napoju przez papierową słomkę.

– I to już? – zapytał. – Tyle mojego? Sprawdzanie widoku z kamer, pilnowanie alejki i otworzenie drzwi? Nie napracuję się specjalnie.

– Taki fach. – Drelich wzruszył ramionami, chowając portfel. – Chcesz się narobić, weź się do uczciwej pracy.

Chrypka parsknął i mało się przez to nie zakrztusił. Odwrócił się na bok, by wykastać, akurat gdy w progu pojawiła się niewysoka dziewczyna z Drelichowym zamówieniem.

– Jakoś pomóc koledze? – zapytała.

Drelich pokręcił głową.

– Nie, chyba w porządku.

Rzeczywiście Chrypka zaraz się wyprostował i posłał dziewczynie szeroki uśmiech. Gdy odeszła, wycelował w Drelicha palcem.

– Wybacz, ale to było naprawdę zabawne, stary. Z tą uczciwą robotą, dobry tekst.

– Dziękuję.



– Ale wiesz, mimo wszystko mam trochę wyrzuty sumienia, że ja robię tak mało, a ty bierzesz na siebie większość.

Drelich podniósł pokrywkę czajniczka i włożył do środka torebkę herbaty.

– Myślę, że na sporą część swojej wypłaty zapracowałeś już tym, co zrobiłeś do tej pory. Dobra robota. Jesteś stąd?

– Dokładnie ze Świętochłowic – doprecyzował Chrypka. – Ale stamtąd do Katowic to rzut beretem. Więc tak, można w skrócie powiedzieć, że stąd.

No to trzeba było tak od razu odpowiedzieć, pomyślał Drelich, odbierając mu przyznane wcześniej punkty. Nigdy nie przepadał za ludźmi, którzy zapytani mówią więcej, niż trzeba.

Odkroił widelczykiem kawałek sernika.

– Masz jakieś pytania co do planu? – rzucił.

– Co z policją? Skoro włączy się alarm...

– Najbliższy komisariat to dwójka. Mają dwie drogi o porównywalnym czasie dojazdu. Ta na dystans krótsza, w dół i Chorzowską...

– Ma zerwaną nawierzchnię na Stęślickiego, wiem.

Drelich skinął głową.

– No właśnie. I tak mogą tędy pojechać, ale górą, przez Słoneczną, mają chyba szybciej. Każda z tych tras zajmie im od trzech do pięciu minut. Z komisariatów w zasięgu są jeszcze szóstka i siódemka, ale stamtąd jest nie mniej jak cztery, a obstawiałbym sześć minut. Oczywiście zanim wkroczymy do akcji, upewnimy się, że w pobliżu nie ma żadnego patrolu. Po to są kamery i łączność. Ale zawsze jest ryzyko, które trzeba wziąć na klatę. Szczęśliwie to piątek wieczór, okolica bez imprezowni. Tak czy owak, jeśli nie będziemy mieli pecha, mówimy o co najmniej czterech minutach na akcję, która zajmie od dwóch i pół do trzech. W razie wyjątkowego pecha zostaje nam minuta na ucieczkę bez łupu.

Chrypka cmoknął.

– Ciasno. Ale rozumiem, że już takie rzeczy robiłeś?

Drelich nie odpowiedział, odprowadzając wzrokiem przytuloną parę, obtańcowywaną przez radosnego kundelka o długich krzywych łapach.

– Masz samochód? – zapytał po chwili.

– W sensie prywatny? – upewnił się Chrypka. – Tak, mam, a co?

– Tutaj?

– Ze dwieście metrów stąd. Udało mi się zaparkować ulicę dalej, co, uwierz mi, stary, nie jest łatwe. A co, chcesz zrobić objazd trasy?

– Nie, to już mam załatwione. Ale myślałem, że podjechalibyśmy do tej Silesii.

Chrypka parsknął.

– Jadę w drugą stronę, a dla ciebie to raptem siedem minut spacerkiem – powiedział. – Akurat spalisz swój serniczek.

Iza i ojciec stęsknili się za sobą, ale ponieważ oboje znali zasady wpisane w ich relacje już od wielu lat, nie szukali na siłę tematów do rozmów i dość szybko zaczęli cieszyć się swoim towarzystwem w ciszy. Oboje w kuchni, on przy stole z krzyżówką i ołówkiem, ona buszując między szafkami i szykując się do przygotowania obiecane ciasta.

Kuchnia w domu starego Lemańczyka była świeżo po kapitalnym remoncie, jednak zarówno układ mebli zrobionych pod wymiar, jak i wyposażenie konkretnych szuflad oraz szafek zostały po staremu, więc Iza szybko się w niej odnalazła. Zresztą w swoim domu odtworzyła ją właściwie jeden do jednego, uważając, że to jedyne logiczne i funkcjonalne rozstawienie. Często się o to kiedyś spierała z Drelichem.

Rozkładając kupione przez ojca rzeczy i przygotowując się do robienia ciasta, Iza uzmysłowiła sobie szybko, że z nową kuchnią ojca ma w zasadzie tylko dwa problemy. Pierwszym były uchwyty wyżłobione w drzwiczkach i szufladach, przez co sięgając na oślep po szklanę, najpierw złapała powietrze, a potem mało nie złamała paznokcia. Drugi problem stanowiła zmywarka, bo odkąd się pojawiła, szafka z blenderem i robotem kuchennym przesunęła się o dobre trzydzieści centymetrów w stronę lodówki, ale dla kogoś, kto spędził w tej kuchni tyle czasu, że mógłby szykować w niej posiłki z zasłoniętymi oczami, była to pewna uciążliwość.

Iza nie zamierzała jednak narzekać. Podobało się jej, że ojciec zrobił ten remont, że wybrał się do kogoś, kto wymierzył i zaprojektował mu kuchnię, że mimo przyzwyczajień szedł z duchem czasu. I choć bawiły ją niedobitki babcinej zastawy z Bolesławca wymieszanej z kwadratowymi talerzami z Ikei czy fantazyjne srebrne widelce o zębach długich jak palce pianisty, leżące przegródkę obok noży MasterChefa z Lidla, to wołała to, niż jakby miał kapcaniec w oparach dymu z ukraińskich fajek.

Zmienił perfumy, kupił większy telewizor do stołowego, a w przeszklonej szafce stało kilka ledwo napoczętych butelek markowego alkoholu, ale nadal miał swoje ulubione sztuce i miejsce w kącie, którego nikt nie mógł

zajmować. Kluczowe elementy jego życia pozostały po staremu, więc nie silił się na zmiany.

Nagle pomysł, że ojciec porządkował sprawy, by żegnać się z tym światem, wydał jej się absurdalny. Przeciwnie, wreszcie po przeszło trzech dekadach służby miał czas, by sobie to życie jakoś odświeżyć i poukładać.

Przerwała na chwilę ucieranie margaryny z cukrem i spojrzała na ojcowski profil.

– W sumie tak się zastanawiam – zaczęła. – Ty wiesz, że ja mam cukiernię, nie? I że mam kilka nowych sposobów na malinowca, niekoniecznie na takiego z przepisu ze starej gazety?

Skinął głową, nie odrywając wzroku od krzyżówki. Wypatrzył coś, zmarszczył brwi i szybko policzył kratki. Pasowało. Wpisał.

– Ludzie w Warszawie muszą za nimi szaleć – stwierdził w końcu. – Jestem pewien, że są świetne.

– To może chcesz spróbować takiego innego?

Ponownie pokiwał głową.

– Jak będę w Warszawie – odparł i wrócił do krzyżówki. – Dzwoniłaś do Zośki, że jesteś?

– Wysłałam jej esemesa, ale jeszcze nie odpisała.

Mruknął coś i postukał ołówkiem w zęby. Zaraz potem znowu coś wpisał, ale tym razem źle, bo skrzywił się i wygumkował. Odzywać się już jednak najwyraźniej nie zamierzał, więc Iza wróciła do ucierania, stopniowo dodając żółtka i przesianą mąkę z proszkiem do pieczenia.

Obok leżały świeże maliny, stygła galaretką i żelatyna, kremowa śmietana czekała na uciecie. Wszystko według przepisu, który dawno temu znalazła w gazecie. Zamiast wyciąć i wkleić, skopiowała go starannie do swojego zeszytu z przepisami, a potem przygotowała ciasto ojcu na urodziny. On zabrał je do pracy i od tamtej pory wszyscy policjanci zamawiali u niej wypieki na różne okazje. Tak się w gruncie rzeczy zaczęło...

– Telefon ci świeci – odezwał się nagle Lemańczyk. – Dzwoni ten twój Krystian.

Iza odstawiła miskę i podeszła do stołu.

– O, nawet nie zauważyłam, kiedy wyciszyłam – stwierdziła, sięgając po urządzenie. Miała śliski palec, więc musiała go wytrzeć o spodnie, zanim udało jej się odebrać. Widząc to, ojciec pokręcił głową.

– No cześć – powiedziała, przykładając telefon do ucha. – Masz chwilę czy tak kontrolnie dzwonisz?

– Mam chwilę – odparł Krystian.

– To poczekaj, przejdę do siebie – rzuciła, a widząc, że ojciec chce coś powiedzieć, szybko dodała: – A, tata cię pozdrawia... Krystian też pozdrawia, tato.

Wiedziała, że raczej nie o to chodziło. Lemańczyk pewnie chciał pomarudzić, że jeśli tak bardzo przeszkadza, to on może się gdzieś przenieść. Takie rzeczy też nauczyła się pacyfikować w zarodku.

Wyszła z kuchni, kierując się ku schodom i swojemu pokojowi na piętrze. Spała teraz w gościnnym, bo jej dawną sypialnię, znajdującą się zresztą ścianę obok, zajmowała obecnie Zośka.

– No jestem – dodała, zamykając drzwi i kładąc się na łóżku. – Jak ci minął dzień?

– Wiesz, że dochodzi dopiero piętnasta? – odparł. – Ja rozumiem, że wyjechałaś ze stolicy na prowincję, wciąż jednak nie przekroczyłaś żadnej strefy czasowej.

Roześmiała się.

– W sumie to nawet nie mogę powiedzieć, że cofnęłam się w czasie, bo sporo się tu pozmieniało. Ojciec wziął się za dom, zrobił remont, a lodówkę ma teraz dwa razy większą niż moja. Po cholere mu taka?

– Darz bór!

– Co?

– Mówiłaś, że jest myśliwym, nie?

– Mówiłam, że jest w kole łowieckim, ale po to, żeby móc legalnie trzymać sztucer i napić się wódki z kolegami. Gdzie on by ci zwierzę ustrzelił?

Iza powiodła wzrokiem po żółtawych plamach na suficie. Dawna sprawa, bo akurat dach był robiony ze dwa lata wcześniej, ale ten pokój też wypadaloby odświeżyć. Ciekawe, czy ojciec odmalował ten drugi, wiedząc, że Zośka przyjedzie?

– Iza, jesteś tam? – zapytał Krystian.

– No, jestem. Zamyśliłam się, przepraszam. O co pytałeś?

– Jak Zośka. Widziałaś się z nią już? Tego chłopaka widziałaś?

– Nie, ale wyobraź sobie, na jogę chodzi. Ponoć powiedziała ojcu, że to w Warszawie normalne i wszyscy chodzą.

Teraz Krystian się roześmiał.

– Poważnie? Kurde, co to świeże, wiejskie powietrze robi jej z głową.

– Sam jesteś wiejski. – Iza przełożyła telefon do drugiego ucha i sięgnęła po poduszkę. Wsunęła ją sobie pod głowę, moszcząc się przez chwilę. – Gronowo ma prawa miejskie dłużej niż Warszawa.

– Już dobrze, dobrze, przepraszam. – Krystian nie przestawał się śmiać. – Ale poważnie: to fajnie, że się tam odnalazła, chłopak czy nie. A robi tam coś oprócz tej jogi i randkowania?

– Mówiłam, nie gadałam z nią jeszcze. Podobno dziećmi się zajmuje. W ośrodku jest większa grupa, mają szkolenie czy kursy, cholera wie. Z coachem jakimś.

– Ale nie z tym, co drze ryja w internecie, kto ci ukradł marzenia, do chuja?

– No na szczęście nie – zaśmiała się Iza. – Ten jest łysy, ma dwa metry i jakby mnie zapytał, gdzie są, kurwa, moje marzenia, to, jak Boga Kocham, przeprosiłabym i pobiegła szukać.

– Czeka, dwa metry, łysy? – zaciekawiał się Krystian. – A nosi indiańskie wisioriki może?

Iza nie była pewna, czy widziała u olbrzyma coś takiego, ale skojarzyła słowa ojca o indiańskich rytuałach w Ponderosie.

– Możliwe. A co, znasz go?

– To chyba Kamaz. Marcin Kamaszyński albo Mariusz może, nie pamiętam. Robił nam kiedyś integrację dla firmy. Bardzo fajny gość, podróżnik taki i... jak to on o sobie mówił... a, wiem, kolekcjoner doświadczeń! Straszny gaduła, mówię ci. O tych Indianach to z nim w ogóle nie zaczynaj, bo godzinami może.

– Poczekaj chwilę. – Iza odsunęła telefon od ucha, przełączyła na głośnik i szybko wpisała w wyszukiwarce „coach Kamaszyński”. – Tak, faktycznie jest. Mariusz Kamaszyński. To on.

– Świetny facet. Ma super poczucie humoru. Marcel od nas, taki młody chłopak, co już nie pracuje, to z nim podobno nawet potem był w kontakcie.

– Widzę, że w telewizji występował. Ten Kamaszyński w sensie. O, i w filmach kilku!

– Racja, coś wspominał o filmach – przyznał Krystian. – Ale wiesz, aż tak to go nie znam. Ile ja z nim spędziłem na tym szkoleniu, tydzień?

– Mieliście tygodniową integrację? W firmie?

– A jest sens robić krótszą?

Rozmawiali jeszcze przez dziesięć minut. W tym czasie doszła do Izy wiadomość od Nikodema. Napisał, że dojechał bezpiecznie, i zrobił zdjęcie widoku za oknem. Odpisała mu, by dzwonił czasem, nie tylko po pieniądze, na co odpowiedział serią emotikoniek płaczących ze śmiechu.

W końcu Krystian musiał już iść, więc się rozłączył, a wtedy Iza zadzwoniła do Zośki. Zaskoczyło ją, że słyszy melodyjkę z drugiego pokoju. Przecież koncepcja, że córka nie wzięłaby ze sobą telefonu, była równie nieprawdopodobne jak...

– To, że poszłaby sama z siebie na jogę – powiedziała na głos, znowu się uśmiechając.

Zwlekła się z łóżka i ruszyła na dół. Z jakiegoś powodu, co musiała sama przed sobą przyznać, naprawdę ulżyło jej z tym Kamaszyńskim.

Gdy wróciła do kuchni, ojciec stał nad garnkami i wsypywał właśnie maliny do galaretki. Na widok córki ni to się speszył, ni nasrożył.

– Jeszcze chwila i dupa by z tego była, nie malinowiec – stwierdził.

Rozłożyła ręce z udawaną skruchą i z szafki obok kuchenki zdjęła fartuszek. Wcześniej o nim zapomniała, a teraz zaczynała się ta potencjalnie brudniejsza część roboty.

– Muszę w końcu poznać tego twojego Krystiana – powiedział Lemańczyk. – Nastąpi to kiedyś?

– Jak będziesz w Warszawie – rzuciła, cmoknęła ojca w policzek i zabrała się do pracy.

## 15

Rano Jonasz nie mógł wstać z łóżka. Zwlekał się powoli, na raty, sycząc przy niemal każdym ruchu. Piekły go mięśnie rąk i nóg, pod skroniami ból rozlewał się w rytmie tępego pulsowania. Po wczorajszej nocy na dłoniach porobiły mu się pęcherze od szpadla, a drapiąca suchość w gardle i lekki katar sugerowały, że przy okazji złapał też przeziębienie. Może zaraził się od Cypriana?

Mógł nie wstawać, wiedział o tym. Nikt nie powiedziałby mu na ten temat złego słowa, ale nie wyobrażał sobie leżenia w łóżku i gapienia się w sufit. Miał przecież obowiązki. Już i tak wystarczyło, że spał do jedenastej.

Po obfitym śniadaniu, jakie przygotowały dla niego przydzielone rano do kuchni Hanna i Maria, pozwolił sobie na jeszcze jeden luksus – gorącą kąpiel.

– Jest ktoś w kolejce? – zapytał zawiadującą kuchnią Marię, wskazując na łazienkę na parterze. – Chciałbym się wykapać.

Kobieta uśmiechnęła się tylko.

– Tu na dole i tak nikt nie korzysta, nie zauważyłeś? Na pewno nie z wanny.

Zdał sobie sprawę, że nie zwrócił na to wcześniej uwagi. A powinien, bo obserwowanie takich zjawisk należało do jego obowiązków w rodzinie. Psia robota, której tak dobrze nauczył się jeszcze za czasów psiarskiej służby – wypatrywanie nietypowych zdarzeń i zadań oraz wyciąganie z nich wniosków. Teraz zanotował sobie w głowie, by porozmawiać o tym z Kamazem.

Wszedł do łazienki, starannie wymył wannę i napełnił wody. Spojrzał na pustą półkę, kiedyś zastawioną płynami do kąpieli, szamponami i solami. Teraz leżało tam tylko szare mydło, jedno z tych zrobionych w prowizorycznym warsztacie Jakuba w starym domu.

Właściwie większość tego, co rodzina wyrabiała czy hodowała, miało związek z Jakubem. Ten pięćdziesięcioletni doktor habilitowany filologii, przed załamaniem nerwowym wykładający na jednej



z wrocławskich uczelni, był obecnie wiekowo drugim najstarszym w rodzinie.

To on wyrabiał dla nich wisiorki i noże, on uczył na temat uprawiania ogródka, pieczenia chleba czy hodowli kur. W warsztacie, który dla niego urządzili, sam mieszał naturalne nawozy, sam też wyrabiał dla nich mydła czy, już wspólnie z Kalimą, część lekarstw. Kamaz nazywał go szamanem, ale Jakub nie przepadał za tym określeniem, podobnie jak za zdrabnianiem swojego imienia.

Teraz, leżąc w gorącej wodzie i patrząc na tę niekształtną szarawą kostkę, Jonasz myślał o tym, że musi się wreszcie zająć zaadaptowaniem jakiegoś miejsca na nowy warsztat. W końcu na dniach będą musieli przywieźć Jakuba i jego dwie życiowe partnerki ze starego domu tutaj. Ta trójka była ostatnim, co łączyło ich jeszcze z domem w Sobieradach.

Resztę dnia spędził doglądając spraw. Najpierw upewnił się, czy śpiącemu w ośrodku Igorowi oraz pilnującemu go na warcie Damianowi niczego nie trzeba. Potem przeszedł się po terenie, przekonać się, czy każdy robi, co trzeba. Sprawdzał też sypialnie na piętrze domu, celowo zostawiając po swoim przeszukaniu zauważalne ślady.

Po przyjeździe Kamaza przywitał go, zjadł obiad w większym gronie i umówił się na dłuższą rozmowę wieczorem, gdy już przywódca będzie po zajęciach dla turnusu. Czuł, że powinien z nim przegadać kwestie bezpieczeństwa, bo te ostatnio za bardzo się poluzowały.

Wreszcie, koło szesnastej, gdy obolałe plecy nie pozwoliły na kontynuowanie obchodu, zaległ na trawie pod drzewem, by w spokoju uzupełnić swój dziennik. W przeciwieństwie do innych członków rodziny, Jonasz pisał zawsze swoistym szyfrem, hasłami i ciągiem oczywistych dla siebie skojarzeń, tak by nikogo nie narażać, gdyby go zgubił. Najchętniej w ogóle by nie pisał, Kamaz wszak zwolnił go z tego obowiązku, ale stary zawodowy nawyk był silniejszy od niego. Dlatego mimo wszystko zanotował wcześniejszą uwagę o łazience i o warsztacie dla Jakuba.

Gdy tak leżał z kurtką pod głową, zobaczył nagle Wojtka z dziewczyną. Szedł lekko zgarbiony, ubrany w luźne płócienne spodnie oraz koszulę z tego samego materiału. Niósł gitarę dziewczyny, trzymając ją za gryf, a przez plecy miał przerzuconą jej karimatę na parcianym sznurku. Ona, w żółtym dresie, z włosami zaczesanymi w dwa krótkie warkocze, mówiła coś z entuzjazmem, wymachując przy tym rękami. Jonasz wiedział, że dziewczyna ma ładny głos, zwłaszcza kiedy śpiewa piosenki dzieciom, ale

gdy się ekscytuje, jak teraz, wchodzi w nieco za wysokie rejestry. Wojtkowi jednak zdawało się to nie przeszkadzać.

Przez moment wydawało się, że po prostu go miną, ale wtedy chłopak nagle odwrócił głowę i dostrzegł Jonasza. Przystanął, wyraźnie się zawahał, a potem rzucił coś do dziewczyny. Zosia, przypomniał sobie Jonasz. Ma na imię Zosia.

Ona też spojrzała w kierunku drzewa. Uśmiechnęła się do leżącego pod nim mężczyzny, pomachała i powiedziała coś, jednocześnie łapiąc chłopaka za rękę.

Było jasne, że ona chce podejść, a Wojtek się wzbrania. Tylko dlaczego? Unika go? Chroni przed nim dziewczynę? Jeśli tak, pomyślał Jonasz, to może popełnił błąd, pozwalając mu spotkać się z nią od razu po tak poważnym kroku. W końcu obciążające psychicznie doświadczenia, jak to wczorajsze, wymagały najpierw ułożenia się w głowie.

Podniósł się nieco na łokciach, a potem ostrożnie, ignorując ból, usiadł oparty o pień. Młodzi najwyraźniej doszli do porozumienia, bo ruszyli w jego stronę, trzymając się za rękę.

– Zosia idzie na wykład Kamaza – powiedział Wojtek. – Odprowadzam ją, nie chcę, by się spóźniła.

– Słusznie, na początku zawsze jest fajny kawał – odparł Jonasz i mrugnął do dziewczyny. – Jedliście coś?

– Oj, tak. – Zosia roześmiała się i teatralnie przewróciła oczami. – Właśnie mieliśmy warsztaty z robienia gumbo i chyba nikt nic nie zje przez tydzień! Jak pan chce, to mogę jeszcze skoczyć. Chyba zostało.

Jonasz dostrzegł, że Wojtek na dźwięk tych słów poprawił uchwyt i teraz niemal ukrył jej dłoń w swojej dłoni. Tak, ewidentnie próbował ją przed nim chronić.

– Nie jestem głodny, dziękuję – powiedział i skrzywił się nieco, próbując poprawić ułożenie kurtki. – No i nie chcę was zatrzymywać. Zwykle te kawały Kamaza to straszne... Jak wy to mówicie? Krakersy?

– Suchary – poprawiła dziewczyna ze śmiechem.

– No tak, oczywiście, suchary. – Zrobił minę, jakby rzeczywiście się pomylił i było mu głupio. – No więc zwykle to straszne suchary, ale zdarzają się perełki. Wojtek, a ty też zostaniesz na wykładzie?

– Chciałem zostać... – zawahał się chłopak. – Ale jak trzeba, to zaraz będę.

– E, nie. – Jonasz machnął ręką. – Nie trzeba, z ciekawości pytam. Idźcie już, idźcie.

– A pan to się nie boi tak na ziemi leżeć? – zapytała nagle Zosia. – Przecież pan wilka dostanie.

– Młódziej tak mówi jeszcze? – zdziwił się. – Że wilka?

– Mój dziadek tak zawsze mówił. I mamie też się zdarzało, chociaż normalnie to się z tego śmiała.

Znowu ten piękny uśmiech, błyskotliwy taki, niegłupi. No i wzmianka o mamie oraz dziadku. Jonasz wiedział, że jej dziadek też był psem, małomiasteczkowym, ale nadal. Sprawdzał ich zaraz, jak się tu pojawili, a Jonasz sprawdził jego – stary wiejski kundel bez kłów. Jednak wspomnienie o matce i dziadku świadczyło o zażyłości. Młoda najwyraźniej wciąż miała mocne więzi z biologiczną rodziną i gdyby Jonasz miał w tej kwestii coś do powiedzenia, toby jej nie tykał. No ale przecież nie miał. To Kamaz podejmował takie decyzje.

Wojtek zdjął z pleców karimatę.

– Proszę, odbiorę później. A ty, Zośka, chodź, bo naprawdę się spóźnisz.

– Lećcie – zgodził się Jonasz, biorąc karimatę. – I dziękuję.

– Do zobaczenia, panie Jonaszu – powiedziała Zosia.

– Tak, dziecko, do zobaczenia.

Patrzył na nich, a potem znowu się położył i nie wiedzieć kiedy zasnął.

Gdy się obudził dwie godziny później, z zaskoczeniem odkrył, że ktoś przykrył go ciepłą derką. Obok, w glinianym garnku, miał kanapki i pokrojone kawałki melona.

Nie zdążył się zastanowić, komu to zawdzięcza – czy wracającej z wykładu Zosi, czy może komuś innemu z rodziny, kto zauważył go pod tym drzewem, bo nagle poczuł wibracje telefonu. Wyłowił z kieszeni aparat i spojrzał na wyświetlacz.

Dzwonił Jakub, co już samo w sobie go zaniepokoiło, bo były wykładowca nie lubił telefonów. Jeszcze bardziej niepokojący okazał się jego głos, gdy Jonasz już odebrał.

– Musicie przyjechać. Z Kamazem. Koniecznie. – Mówił cicho, krótkimi zdaniami, tak by głos nie załamał się mu w trakcie i aby nie dało się w nim usłyszeć drżenia. Jakub bowiem gardził każdym, kto dawał się ponosić emocjom, i nawet dla siebie nie robił wyjątku. Teraz słychać było jednak wyraźnie, że tę walkę przegrywa. – Oni się włamali. Zdemolowali dom, obejście. Zniszczyli... Prawie wszystko zniszczyli, Jonaszu.

– To tylko rzeczy, Jakub, spokojnie. – Jonasz usiadł. Zbyt gwałtownie, więc na moment z bólu pociemniało mu przed oczami. – Jak ty? Jak dziewczyny?

– Ja i Lidka w porządku. Nie było nas tutaj, bo się wybraliśmy na schadzkę, ale Barbara... – Jakub przerwał i przez kilkanaście sekund Jonasz słyszał tylko jego przyspieszony oddech.

Wykorzystał tę przerwę, by znaleźć chusteczkę i się wysmarkać.

– Co z nią, Jakub? – zapytał w końcu. – Zrobili jej coś?

– Uderzyli – odparł. – Pchnęli na schody. Ma rozbity głowę. Byliśmy w szpitalu. Jonaszu, musicie...

– Słyszałem, co powiedziałaś. Teraz po prostu odpowiadaj na pytania. Czy z Barbarą to coś poważnego?

– Kilka szwów, lekkie wstrząśnienie mózgu. No i się wystraszyła.

– Kiedy to się zdarzyło?

– W nocy. Znaczą wieczorem.

Jonasz westchnął.

– I dopiero teraz dzwonisz? Przecież wiesz, że takie rzeczy... – Urwał. To nie był czas na pogadanki. – Kamery działały? Macie nagranie? Wiemy, kto to?

– Działały. I tak, wszystko wiemy, Jonaszu. To byli...

– Nie przez telefon. – Znowu wszedł mu w słowo. – Zaraz przekażę Kamazowi. Jeśli coś ocalało, zwłaszcza ważnego, spakujcie i czekajcie. Dam znać.

Rozłączył się, z trudem podniósł i zostawiwszy rzeczy pod drzewem, ruszył w stronę domu. Kiedy wybrał numer Kamaza, ten odebrał po drugim sygnale, wyraźnie zaskoczony.

– Czemu dzwonisz? – zapytał. – Nie jesteś na terenie?

– Jestem, ale nie miałem czasu cię szukać. Musimy pilnie porozmawiać – powiedział Jonasz i się rozłączył.

Gdy dotarł do domu, Kamaz siedział akurat na kanapie w otoczeniu dzieci. Na jednym kolanie przycupnęła mu czteroletnia Jula, na drugim wtulony w niego dwuipółletni Hubert. Kamaz opowiadał im właśnie bajkę o tym, jak kojot ukradł słońce i księżyc. Robił przy tym dziwne miny, zmieniał ton i nadawał postaciom różne głosy, więc dzieci raz po raz wybuchały głośnym śmiechem.

– Ciszej trochę – upominała ich wtedy sześćioletnia Oliwka, przejęta swoją rolą małej mamy dla Brunona. – On się jeszcze boi.

Przy jednym krańcu stołu siedział Cyprian i trzymając oburącz kubek parujących ziół, wpatrywał się w ścianę, a przy drugim Wiktor, Magda oraz Hanna – pyzata, rumiana żona grajka Marcela – w milczeniu przygotowywały pierwsze ozdoby na odnowienie ślubów Klary i Igora.

Szło im sprawnie, bo na stole leżał już niemal komplet wiklinowych bransolet i stelaży do wianków, w które bliżej uroczystości miały zostać wplecione świeże kwiaty.

Zostawały jeszcze tylko dzwonki do zawieszenia na drzewach i słupach – pomiędzy kawałkami drewna i kości miały zawisnąć też pamiątki przypominające odnawiającym śluby ich najważniejsze momenty w rodzinie oraz to, jak są dla nich wszystkich ważni.

Jonasz przyglądał się chwilę ozdobom, a gdy tylko Kamaz zakończył swoją historię, położył rękę na ramieniu Magdy.

– Zastąp go, potrzebuję z nim pogadać. Z tobą też, Cyprian, ale to w gabinecie.

Magda podniosła się z trudem i powoli przeszła na kanapę. Miała miły i ciepły głos, więc zwykle dzieci lubiły jej słuchać. Teraz jednak, tracąc urządzone przez Kamaza jednoosobowe show, wydawały się bardzo niezadowolone.

– Wolimy wujka – powiedział mały Błażej z całą powagą i stanowczością, na jaką było go stać, a reszta dzieci głośno się z nim zgodziła.

Kamaz się roześmiał, ale ściągnął dzieci z kolan.

– Zaraz wracam, pędraki, to opowiem wam coś jeszcze, dobrze? Ale teraz muszę załatwić sprawę dorosłych.

Wstał, skinął na Jonasza i Cypriana, po czym ruszył w stronę gabinetu.

– Co się stało? – zapytał, gdy już we trzech znaleźli się w środku.

– Rozmawiałem z Jakubem – odpowiedział Jonasz. – Dzwonił do mnie z informacją, że ich napadli.

Streścił szybko to, czego się dowiedział, bez zaskoczenia przyjmując to, że Kamaz zadał dokładnie te same pytania, co on wcześniej.

– Myślę, że w tych okolicznościach powinniśmy jak najszybciej ich stamtąd zabrać – zakończył wypowiedź.

Kamaz zastanawiał się dobre pięć minut, wpatrzony w okno z rękami zaplecionymi z tyłu. Gdy się w końcu odwrócił, Jonasz ujrzał minę, której trochę się spodziewał, ale bardzo nie chciał zobaczyć. Zmrużone oczy, lekko zmarszczony nos, usta wygięte w grymasie ni to złości, ni

zadowolenia. Wiedział, co ta mina oznacza, znał ją, bez trudu więc domyślił się, co zaraz usłyszy.

– Masz rację, powinniśmy ich stamtąd zabrać – powiedział Kamaz. – Ale odejdziemy stamtąd na własnych warunkach. I zostawimy naszym miłym sąsiadom pamiątkę.

Obszedł duże biurko i z jednej z szuflad wyjął laptopa.

– Cyprianie, sprawdzisz, czy tu wszystko jest poaktualizowane, i wgrasz mi parę rzeczy – polecił. – Ustaw to tak, żeby Łukasz ogarnął. Potem pójdziesz do Kalimy i omówicie grafik na dziś wieczór i jutro do obiadu. Trzeba będzie przestawić moje zajęcia na turnusie na popołudnie, ustalić warty i całą resztę. Jonaszu, ty znajdź Łukasza i spotykamy się za pół godziny pod samochodami. Za czterdzieści pięć minut chciałbym ruszyć, bo to kawałek jednak.

– Tylko Łukasza? Wystarczy?

Kamaz uśmiechnął się.

– Gdyby nie bolały cię dziś plecy, bracie, i gdybyśmy lepiej ogarniali komputery, to pewnie nawet Łukasz byłby zbędny. Wracam do dzieci.

Wyszedł. Cyprian już chciał pójść jego śladem, ale Jonasz złapał go za rękę.

– Wiesz, co się stało wczoraj, nie? – zapytał. – Łukasz ci mówił?

– Tak.

– To miej dzisiaj na oku Wojtka i tę jego małolatę, dobrze?

Cyprian zmarszczył brwi.

– Coś nie tak? – zapytał.

Jonasz pokręcił głową.

– Nie. Ale młodych ludzi trzeba pilnować, by nie narobili głupot.

## 16

Mawiają, że najgorsze jest czekanie. Straszny czas bezczynności, gdy zrobiłeś już wszystko i jedyne, co ci zostało, to raz po raz zerkać na zegarek, kiedy się zacznie. I właśnie wtedy, gdy wskazówka sekundnika zwalnia, a minutnika – możesz przysiąc! – nie poruszyła się od godziny, przychodzą zwykle najczarniejsze myśli i scenariusze, aż w końcu pojawia się to paraliżujące, pozbawione sensu wrażenie, które czasem dopada cię, gdy stoisz samochodem pod górkę na światłach. Czy pamiętasz jeszcze, jak ruszyć? Nie stoczysz się i nie uderzysz auta za tobą? Na pewno?

Drelich umiał czekać. Nie lubił tego, ale też nie czuł związanego z tym dyskomfortu, bo jeśli chodziło o czekanie, wystarczyło znaleźć właściwy wzór postępowania, by rozwiązać problem. W tym przypadku były to szybkie przebiegi, czyli błyskawiczne powtórki planu punkt po punkcie, powtarzane w myślach automatycznie, niemal bez angażowania świadomości, ilekroć umysł zasygnalizował taką potrzebę. Jak pamięć mięśniowa – wszystko wyuczone, przepracowane, akcja i reakcja. Gdy tylko pojawiała się jakaś wątpliwość, jego umysł aktywował wyuczoną sekwencję, która eliminowała bezpodstawne obawy.

Przypominało to trochę ruch palców po gitarowym gryfie, jaki Drelich podpatrzył u Zośki, gdy czekała na swoją kolej na egzamin w ognisku muzycznym. Pamiętał, był z niej dumny, bo gdy wszyscy wokół chodzili spięci, ona po prostu siedziała z gitarą na kolanach i raz po raz, bezgłośnie i pewnie nawet bezwiednie, przebiegała palcami po strunach. Ruch, który uspokajał, przypominał spanikowanemu mózgowi, że umiesz i wiesz, co robisz.

To dlatego po wizycie w Silesii i upewnieniu się, że wszystko jest na swoim miejscu, a potem obejściu całej trasy ucieczkowej, sprawdzeniu jeszcze raz miejsca, gdzie zamierzał umieścić kamery, i sporządzeniu specjalnej notatki dla Chrypki Drelich mógł spokojnie zrobić niewielkie zakupy, wrócić do mieszkania, zjeść coś, wziąć kolejny prysznic i zaliczyć kilka godzin spokojnej drzemki.

Ile razy w tym czasie powtórzył plan? Nie umiał powiedzieć, ale czuł spokój, bo wiedział, że palce trafiają na właściwe struny.

Obudził się kwadrans po pierwszej w nocy. Wstał, zrobił sobie lekką kolację, po czym zjadł ją, wpatrzony w drzewa za oknem. Następnie ubrał się już do skoku, czyli w czarną obcisłą koszulkę i takie same dżinsy. Dla zachowania pozorów włożył jeszcze bordową koszulę, w której podwinął rękawy, oraz conversy w barwach amerykańskiej flagi. Buty do skoku, zawinięte w folię, wrzucił do torby sportowej.

Pół godziny później, spakowany, wyszedł z klatki, zostawiwszy klucze we właściwej skrzynce. Przeciął ulicę dzielącą go od dworca, wsiadł do jedynej stojącej na postoju taksówki i kazał się zawieźć na dworzec Katowice.

Około minuty jechali w milczeniu, słuchając radia, i Drelich miał już nadzieję, że tak będzie do końca. Ledwie jednak skończyła się piosenka, taksjarsz, nalany na twarzy czterdziestolatek o rzednących włosach i z cienkim wąsikiem, zerknął w lusterko.

– Do rodziny pan przyjechał? – zagaił.

– Biznesowo – odparł Drelich.

Kierowca wyraźnie się zdziwił.

– Biznesowo, mówisz pan? A jakie to można mieć sprawy tu u nas na Batorym?

– Najlepiej własne.

Kierowca prychnął, zerknął w lusterko i w końcu wzruszył ramionami.

– Dobra, nie chcesz pan gadać, to nie. Uprzejmy być chciałem.

Nie ujechali jednak kilometra, a kolejny przebój w radiu nie zdążył dojść do refrenu, gdy taksjarsz odezwał się znowu:

– Pan pewnie z Warszawy, co? Tam to chyba wszyscy tacy nerwowi są, prawda?

Drelich pozostawił to pytanie bez odpowiedzi. Chcąc oczyścić umysł, skupił wzrok na ciągnących się za oknem kamienicach. Patrzył na brudne ceglane ściany elewacji, wyblakłe szyldy sklepów i zakładów usługowych, zakratowane wystawy spożywczych oraz niebieską literę R, przewijającą się wszędzie niczym refren i niepozwalającą nikomu zapomnieć, gdzie się znajduje i za kim stoją murem lokalni kibice.

Dopiero po chwili zorientował się, że kierowca cały czas mówi. Najwyraźniej wszedł już w ten tryb, kiedy nie potrzebował nawet Drelichowego przytakiwania czy jakiegokolwiek znaku, że jest słuchany.



Zupełnie jakby wystarczała mu sama obecność drugiego człowieka, by wyrzucić z siebie wszystko, co nagromadził w ciągu dnia, a może i dłużej. Taki rodzaj psychoterapii, tyle że na koszt pasażera.

Uśmiechnął się do tej myśli i nawet spróbował posłuchać przez moment, o czym kierowca mówi.

– ...wie pan, normalnie to by człowiek sobie pomyślał, że ruch teraz słabszy, bo ludzie powyjeżdżali, to wzięłoby się rodzinę na wypoczynek jakiś, niech dzieciaki mają coś z tych wakacji. I ja nie mówię, że od razu nad morze, co to, to nie, bo tam to ładnie, nie powiem, ale i kawał drogi, a korki to jak się teraz zaczynają za Częstochową, to się pewnie pod Gdańskiem kończą, no nie? A wie pan, jak się cały czas na dupie w aucie siedzi za przeproszeniem, to się potem nie chce tej połowy urlopu na korki poświęcać. No i wie pan, jak to jest z dziećmi w samochodzie. Tu siku, tu kupka, batonik na stacji, ani się człowiek obejrzy, a już sobie gofra we Władysławowie nie kupi, bo na koncie pusto. No i jeszcze...

Drelich znowu się wyłączył i skupił wzrok na widoku za oknem. Pod wpływem słów taksjarza bezwiednie pomyślał, że coś mu ucieka. I że rzeczywiście byłoby fajnie z dziećmi, nawet nad to polskie morze...

Wiedział, że nie powinien myśleć o tym tuż przed skokiem, ale walczenie z tym było bez sensu. Przypomniał sobie wczorajszą poranną rozmowę z Nikodemem, to, jak syn powiedział mu o planowanych oświadczeniach Krystiana i rzekomym chłopaku Zośki, oraz późniejsze przyjęcie w Cake. Pytanie Izy o jego dalsze plany i niepokojącą świadomość, że być może po raz pierwszy w życiu ma tylko wstępny draft. Żadnej wyćwiczonej sekwencji krok po kroku, żadnej myślowej solówki, którą mógłby bez angażowania myśli wyciszyć wątpliwości. Gdy skończy się dzisiejsza akcja, naprawdę stanie przed niewiadomym.

Dojechali na miejsce o 2.04, choć wedle mapy ta trasa, zwłaszcza pusta, nie powinna im zająć dłużej niż dziesięć minut. Na dość dużym skrzyżowaniu kierowca jednak zaklął i mruknął coś o Gliwickiej, która podobno jest nieprzejezdna, że chciał szybciej, ale niestety muszą inaczej. I że dużo nie nadłożą, bo i tak normalnie w dzień to się zjeżdża na Auchan, na deteeškę, więc wyjdzie na to samo. Żadna ściema, słowo!

Drelichowi to nie przeszkadzało, bo i tak nigdzie się przecież nie spieszył, a nawet jeśli kierowca chciał go okantować, to na ile? Piętnaście złotych? Dwadzieścia? Gdy mijali Silesię, nawet na nią nie zerknął.

Zatrzymali się przy budynku poczty, na tyłach dworca. Drelich zapłacił, zabrał bagaże i wszedł z nimi do budynku, gdzie zdeponował plecak w schowku, a klucz do niego ukrył pod kamieniami w wąskiej przestrzeni między blaszanym barakiem kwiaciarni a betonowym płotem broniącym dostępu do torów.

Przeszedł przez dworzec i wziął kolejną taksówkę, tym razem z postoju na prawo od głównego wejścia. Ta zawiozła go na osiedle, na którym czekał na niego samochód do akcji. Ten taksjarsz nie miał ochoty rozmawiać, choć sądząc po tym, jak szybko rosła kwota na taksometrze, można było odnieść wrażenie, że za milczenie dolicza sobie ekstra. Mogła to być wina nocnej taryfy albo chodziło o jeden z tych magicznych taksometrów, niegdyś bardzo popularnych wśród nieuczciwych kierowców, które za naciśnięciem dyskretnego guzika doliczały każdorazowo po kilkaset metrów.

Gdy był na miejscu, kwadrans zajęło mu krążenie po uliczkach i znalezienie właściwego auta. Upewnił się, że nikt nie patrzy, sprawdził okna pobliskich bloków i mimo wszystko miejsca, gdzie mogłyby się mieścić kamery. Nie zakładał, by ludzie od Kracha dali w tym względzie ciała, ale wolał się sam przekonać. Z takich detali biorą się późniejsze wpadki.

Wreszcie założył silikonowe rękawiczki i odczepił kluczyk zamocowany na magnesie do tylnego nadkola niebieskiej skody rapid. Otworzył auto, w bagażniku przepakował z torby rzeczy dla Chrypki, przełożył też na tylne siedzenie policyjny taran oraz kamery i przykrył wszystko koszulą. Zmienił buty, wyrzucając stare conversy do pobliskiego śmietnika, następnie przed lusterkiem wsunął do ust nakładkę na zęby, a do nosa silikonowe wkładki. W końcu jeszcze przez chwilę mieli się z Chrypką widzieć bez kominiarki.

Do schowka wrzucił butelkę wybielacza, założył okulary, czapkę, wpiął radio, a kabelek i słuchawkę przykleił kawałkami taśmy, tak by w żaden sposób nie krępowała mu ruchów. Wreszcie zapiął pas, przekręcił kluczyk i ostrożnie wyjechał z osiedla.

Przez większość drogi prowadził Łukasz, ale Jonasz nie zamierzał protestować. Rozsiadł się wygodnie na szerokiej tylnej kanapie pickupa dodge ram. Samochód palił jak smok, jednak ze względu na przestronne wnętrze i skórzany luksus jazda w charakterze pasażera była przyjemnością, nawet po dziurawych drogach Podlasia. Inna rzecz, że na niektóre z nich kolubryna wydawała się za szeroka. I zdecydowanie zbyt luksusowa.

Dodge należał do wyposażenia Ponderosy, ale choć rzucał się w oczy, szczęśliwie nie miał żadnych oznaczeń na drzwiach, burtach czy masce. Dobrze, bo nie przenieśli się przecież na drugi kraniec Polski, by teraz dać się tak łatwo odnaleźć byle ćwokowi z internetem, a po blachach to już się trzeba było nakombinować.

Prawie nie rozmawiali. Kamaz odbył tylko krótką rozmowę telefoniczną z Jakubem, który sprawdził nagrania, potem powiedział Łukaszowi, że nie muszą się spieszyć.

- Tamci już dzisiaj nie wrócą – stwierdził.
- Rozumiem, że na filmach widać, kto to? – upewnił się Jonasz.
- Widać trzech z czterech. Ale potwierdzeni są wszyscy, bo to nasi starzy znajomi z mleczarni, więc spokojnie pogadamy z nimi rano.
- U Grażynki? – zapytał Łukasz, na co olbrzym roześmiał się i klepnął go w ramię.
- Właśnie tak, brachu. Cała czwórka ma poranną zmianę. Tam zamkniemy sprawę raz na zawsze. A teraz weź puść jakąś muzyczkę.

Przez godzinę albo półtorej leciały co rusz zmieniane stacje radiowe, a potem Kamaz przysnął i Łukasz wyłączył odbiornik. Jonaszowi to nie przeszkadzało. Leżał z podkurczonymi nogami i myślał.

Podniósł się, dopiero gdy wjechali do Sobierad. Zobaczył przez okno drewnianą rzeźbę na wlocie do miasta, którą kiedyś zwykli nazywać Żubrem Trojańskim, bo wyglądała, jakby ktoś mógł się ukryć w jej wnętrzu. Zaraz za nią znajdował się sklep z artykułami przeciwpożarowymi

i odzieżą ochronną. Przed nią stał manekin w białym kasku i żółtej kamizelce odblaskowej, którego przejezdni często brali za policjanta.

Dochodziła pierwsza w nocy, więc drogi były puste. W oknach bloków po lewej świeciły się pojedyncze światła, od strony ogródków działkowych po prawej stronie sączył się mrok. Skrzyżowanie dalej zaczynało się już prawdziwe miasto, z urzędami, sklepami i drogą oświetloną na pomarańczowo przez lampy sodowe o kulistych kloszach.

Oni jednak skręcili w lewo. Minęli zakłady mleczarskie, gdzie na bramie wisiał biały baner z czerwonym napisem „Protest”. Niemal dokładnie naprzeciwko znajdował się opustoszały pawilon handlowy. Większość witryn wyklejono gazetami, pozostałe straszyły pustym, brudnym wnętrzem. Ostały się tylko zakład fryzjerski i bar U Grażynki serwujący tanio domowe posiłki od szóstej do dwudziestej. Właśnie tam zamierzali zawitać rano, by – jak to ujął Kamaz – zamknąć sprawę.

Minęli osiedle złożone z trzech długich trzypiętrowych bloków, na rondzie skręcili w prawo i zaraz wyjechali z miasta, prosto w lipową aleję. Wtedy Łukasz zwolnił, wypatrując zakrętu. Prawie się zatrzymał, nim odbił w wąską drogę gruntową.

Dwieście metrów dalej czekała na nich otwarta brama prowadząca na podwórko. Rozświetlała je jedynie lampa wisząca nad gankiem dużego domu o spadzistym dachu, ale to wystarczyło, by dostrzec już pierwsze zniszczenia. Wybite szyby w samochodzie, roztrzaskane skrzynki na owoce, napis „WON” wysprejowany na ścianie. Z tego, co raportował Jakub, z tyłu, gdzie mieściły się grządki, kurnik i chlew, wyglądało to dużo gorzej. Doszło nawet do próby podpalenia.

Zatrzymali się przed samym domem, ale Łukasz nie wyłączył silnika. Na ganku czekały na nich Barbara i Lidka – pierwsza, wysoka, dobrze zbudowana czterdziestolatka z zabandażowaną głową, druga, drobna dziewiętnastolatka, która w kurtce Jakuba wyglądała jak dziecko.

Tylko Jakubowi Kamaz pozwalał mieć dwie kobiety, a one najwyraźniej w końcu to zaaprobowały i, na ile Jonasz się orientował, zakolegowały się nawet. Czasami wyglądało to wręcz jak relacja matki z córką, ale wolał tak o tym nie myśleć.

– Gdzie jest nasz Szaman? – zapytał Kamaz przez otwarte okno.

– W stodole – odpowiedziała Lidka. – Szykuje miejsce na wasze auto. Powiedział, że lepiej, by nie stało na zewnątrz.

Kamaz odwrócił się do Łukasza.

– Zaparkujesz? My już wysiadziemy.

– Jasne.

Jonasz wygramolił się z tylnego siedzenia i stanął na błotnistej ziemi. Odetchnął głęboko. W woni kurzego i świńskiego gówna unoszącej się nad ich dawnym domem wyczuwał zapach pieczonego kurczaka.

– Powitalna uczta? – zaśmiał się.

– Podusili – wyjaśniła Barbara. – Nie chcieliśmy, by się zmarnowało.

Weszli do domu. Kamaz przodem, jak zwykle kłaniając się nisko framudze, następnie Barbara i Lidka. Jonasz zamknął pochód.

Minęli wiatrołap i znaleźli się od razu w dużej przestrzeni wspólnej. Izba przypominała trochę górskie schronisko, z wielkimi drewnianymi stołami i ławami zamiast krzesel.

– Pusto tu – zauważył Jonasz.

– Wszystko już popakowane – wyjaśniła Barbara. – Właściwie nawet tu nie jemy, tylko z tyłu.

Kamaz usiadł u szczytu stołu i się przeciągnął.

– Dobra, dla mnie tylko woda, bo nie jestem głodny. Wy też nie siedźcie długo, bo pobudka z samego rana. Do ósmej wszystkie ważne rzeczy mają być na pace. Obiad zjemy już w Ponderosie.

– Jedziemy z wami? Jutro? – zdziwiła się Lidka.

Baśka też wyglądała na zaskoczoną, a w dodatku chyba trochę zawiedzioną, ale nie odezwała się słowem.

Jonasz pomyślał, że pewnie dobrze im tu było we trójkę. Może nawet za dobrze? Najwyższy czas, by wrócili do rodziny.

– Myślałaś, że po czymś takim was tu zostawimy? – odezwał się Kamaz. – Jutro idziemy się ostatecznie pożegnać i wszyscy się stąd zabieramy. Na dniach szykuje się wielka uroczystość, bo wczoraj do rodziny wrócili Igor i Klara z małym Brunonem.

Kobiety wymieniły spojrzenia, ale nie zdążyły o nic zapytać, bo do domu weszli Łukasz z Jakubem. Jakub był średniej postury brodaczem o przerzedzonych, siwawych włosach. Ćwiczył regularnie – jego ciało zdawało się młodsze niż nieco obwisła twarz, oszpecona nieładnymi okularami.

Na widok Kamaza wyszczerzył się zaraz, prezentując krzywe żółte zęby.

– Nie mogliśmy się doczekać – powiedział, ruszając żwawo w stronę olbrzyma i szeroko rozkładając ręce.

Kamaz podniósł się i przechylił. Wpadli sobie w ramiona.

– Cieszę się, że jesteście – powiedział Jakub, gdy już się od niego odsunął i usiadł obok. – Zaraz was ugościmy jak należy.

Jonasz przyjrzał mu się uważniej i zdał sobie sprawę, że ten chyba nie wie, co właśnie palnął. Może za bardzo się zestresował, a może naprawdę ucieszył się z ich obecności, ale fakt był faktem. Palnął głupstwo i się nie poprawił, mimo iż Kamaz przyglądał mu się przez kilka sekund, wyraźnie dając mu na to czas.

– Chcesz nas ugościć, bracie? – zapytał w końcu, kładąc mu rękę na ramieniu. – Uważasz, że jesteśmy w tym domu gośćmi? Bo mnie się wydawało, że to nasz dom, którego ty miałeś tylko pilnować. Co zresztą wyszło, jak wyszło.

Jakub wymienił szybkie spojrzenie z Barbarą, po czym ponownie spojrzał na olbrzyma.

– Kamaz, daj spokój, proszę – powiedział, poprawiając okulary. – Tak się mówi przecież. Wiesz, co miałem na myśli, prawda?

Ten przyglądał mu się przez kilka sekund z powagą, po czym roześmiał się, cofając rękę i prostując się na siedzisku.

– No oczywiście, że wiem – odparł. – Drocę się tylko z tobą. Siadaj.

Jakub usiadł, wyraźnie nie wiedząc, co zrobić z rękami. Zdecydował się na zdjęcie okularów i przetarcie szkieł koniuszkiem swetra.

– To dobrze, że się nie gniewasz, bo ja już i bez tego mam serce w gardle, a duszę na ramieniu. Kiedy nas napadli...

– Wczoraj, prawda? – upewnił się Kamaz. – To było wczoraj w nocy?

– Tak – potwierdził Jakub. – Dokładnie koło północy. Byliśmy akurat z Lidzią...

– Czekał, do tego przejdiesz zaraz. – Olbrzym kolejny raz wszedł mu w słowo. – Ale jacyś ludzie napadli dom wczoraj w okolicach północy, a ty dałeś nam znać dzisiaj koło... Która to była, Jonaszu?

– Koło osiemnastej – zagadnięty odpowiedział niechętnie. Nietrudno było przewidzieć, do czego zmierza Kamaz, i, zdaniem Jonasza, mógłby to sobie darować. Jakub i bez tego wyglądał na przybitego.

– Tak, Kamaz, ja wiem, że powinienem zadzwonić wcześniej, ale uznałem...

– Uznałeś, że o napadzie na mój dom mogę się dowiedzieć później, tak? – zapytał olbrzym. – Że zanim dasz mi znać, posprzątasz, ogarniesz wszystko i pokażesz, że jednak panujesz nad sytuacją jak dobry gospodarz?

Że jak przyjedziemy, ugościsz nas, a my ustawimy wszystko do pionu i będziesz mógł sobie dalej żyć w spokoju ze swoimi paniami?

Jakub nie odpowiedział.

Kamaz wstał, przeciągnął się i spojrzął na zegarek.

– Pobudka o wpół do szóstej. Najpóźniej o szóstej dwadzieścia chcę być U Grażynki. Wrócimy koło ósmej. Chciałbym, żebyście byli już wtedy spakowani. Jedziecie z nami.

– Dobrze, tak będzie – powiedział Jakub.

– To nie była prośba ani propozycja – warknął Kamaz. – Nie potrzebuję twoich potwierdzeń.

Barbara podała mu szklanekę wody. Ten wypił, podziękował i ruszył w głąb domu. Tuż przed progiem zatrzymał się jednak i po sekundzie namysłu powoli się odwrócił.

– Lidko, chodź – dodał, uśmiechając się szeroko i wyciągając rękę. – Śpisz dzisiaj ze mną.

Dziewczyna wstała, a Jonasz przeniósł wzrok na Jakuba. Ten tylko zwiesił głowę.

Chrypka czekał już na niego w umówionym miejscu, na parkingu pod wesołym miasteczkiem. Ubrany w ciemne dżinsy, dżinsową kurtkę i bejsbolówkę, stał oparty o czerwonego przybrudzonego forda mondeo i palił, wpatrzony w komórkę. Sprawiał przy tym wrażenie ostentacyjnie wręcz znudzonego.

Drelich był pozytywnie zaskoczony. Obawiał się trochę, że ten będzie siedział za kółkiem w wyciemnionym aucie. Niby naturalne i rozsądne, bo kogoś takiego rzeczywiście trudniej jest zauważyć, ale jeśli już tak się stanie, choćby przypadkiem, z miejsca zrobi się podejrzany jak szlag. Tymczasem palący gość, który oparty o samochód gapi się w telefon, pewnie czeka na kolegę, by pojechać z nim na ryby czy w delegację. Prosta, oczywista historia, idealny fast food dla głodnej, ale niewybrednej ciekawości.

Na widok skody Chrypka skończył palić i schował telefon do niewielkiej joggingowej saszetki przy pasie. Z bliska dało się dostrzec, że na rękach ma cienkie rękawiczki.

Drelich zaparkował przy ulicy, wziął torbę, telefon i wysiadł.

– Zostawiłem dla ciebie rzeczy na przednim siedzeniu – powiedział, podchodząc i podając mu kluczyki do skody. – Pamiętaj, żeby mi odruchowo niczego nie przestawić. Radio załóż od razu i włącz. Masz tam też taśmę, gdybyś chciał się podkleić.

Chrypka wyszczerzył się i zasalutował niedbale.

– Tak jest, kapitanie.

Drelich nie skomentował, tylko dał mu telefon. Na ekranie urządzenia wyświetlał się właśnie obraz z czterech kamer zainstalowanych przez niego przed chwilą na słupach i przystankach.

– Rozpoznajesz te wszystkie miejsca? – zapytał.

Chrypka zerknął.

– No pytasz, a wiesz. Policyjna dwójka, widok na Chorzowską w stronę Spodka, na Chorzowską w stronę Tysiąca i... Czekał, tu nie jestem pewien. A, to Ściegienego jest, nie? Przed krzyżówką ze Słoneczną?



– Zgadza się – potwierdził Drelich. – Kluczowy posterunek i trzy sensowne drogi, którymi ktoś może nadjechać. W czasie akcji obserwujesz, informujesz na bieżąco. Ilu dziś na ochronie?

– Trzech – odparł Chrypka i zaraz parsknął. – Ale powiem ci, że jak któryś z nich będzie w stanie tam dobiec bez zawału, to ja jestem święty. Jeden gruby, drugi stary, a trzeci mówi do nich „szefie”.

– W sensie że co? Nowy jakiś?

– Nie – zaśmiał się mężczyzna. – To jak w tym kawale o trzech papugach... Dobra, nieważne. Trzeci jest mały, grubawy i brzydki. Żadne zagrożenie.

– A możesz numerami? Zgodnie z tym, co podesłałeś? Bo tak mam ich zapamiętanych.

Chrypka musiał się zastanowić.

– No to trójka, czwórka i siódemka. Trójka i siódemka od Tesco, czwórka siedzi od kina.

Oddał mu kluczyki do forda i ruszył w stronę skody.

– To co, widzimy się za chwilę, tak? – zapytał, już się nie odwracając.

– Tak.

Drelich poczekał, aż tamten dojedzie do skrzyżowania. Wtedy wyjął silikonowe wkładki oraz nakładkę na zęby, wrzucił do strunowego woreczka, a ten do bocznej kieszeni torby. Wsiadł do forda, jednego z trzech aut, które załatwiał Chrypka, starannie wyregulował pod siebie siedzenie i lusterka. Sprawdzał stan paliwa, upewnił się, że działają światła i kierunkowskazy. Więcej od tego samochodu nie oczekiwał.

– Sprawdzam radio – odezwał się nagle Chrypka. – Słysząc mnie?

– Słysząc – potwierdził Drelich, regulując nieco głośność.

Gdy był wreszcie pewien, że wszystko jest w porządku, do schowka wrzucił drugą butelkę wybielacza, po czym ruszył tą samą drogą co wcześniej Chrypka. Zamiast zjechać na parking, pojechał jednak prosto, w stronę ronda i dalej. Objechał zamknięte osiedle zwane Dębowymi Tarasami, sprawdził kilka osiedlowych uliczek pod kątem obecności radiowozów i przede wszystkim przejezdności. Gdy nie dostrzegł problemów, dojechał do Ściegienego i wjechał na parking Silesii od strony stacji Shell.

Zaparkował w zaplanowanym przez siebie miejscu, tyłem do galerii. Założył szelki, wsunął pistolet hukowy do kabury, sprawdził, jak wysuwa się nóż. Czapkę położył na siedzeniu obok, a okulary powędrowały do

bocznej przegródki w torbie, tam gdzie woreczek z nakładką na zęby. Wyłączył światła, ale kluczyki zostawił w stacyjce.

Wysiadł już w kominiarce. Truchtem przebiegł do przygotowanej skody, wrzucił torbę na miejsce pasażera i otaksował wzrokiem Chrypkę. Kominiarka na twarzy, rękawiczki na rękach, szelki dociśnięte na zapiętej dżinsowej kurtce. Wszystko się zgadzało.

– Widziałem cię na kamerce przed chwilą – powiedział Chrypka. – Czyli wszystko gra.

Drelich skinął głową i wsiadł do auta. Zapiął pasy, szarpnął ten ciągnący się przez pierś, by wzmocnić zacisk na brzuchu, i odruchowo zerknął na zegarek. Jego stryj zwykł mawiać, że umieszczenie go kopertą po wewnętrznej stronie ręki pozwala w takich momentach zgrać się z mechanizmem, stać się jednością z czasem. Nie wierzył w to, ale się przyzwyczaił.

Uchwycił kierownicę na za dziesięć druga, trzymając ręce możliwie szeroko, z lekko ugiętymi łokciami, jak na treningach. Plecy wbił w oparcie siedzenie. Spojrzał na Chrypkę, a gdy ten dał znak, że nikt się nie zbliża, ruszył.

## 19

– Ona się zabije – Magda szepnęła mu prosto do ucha.

Dochodziła druga w nocy. Od czterech godzin leżeli w ciemności. Był pewien, że śpi.

– Kto taki? – zapytał, choć wiedział, że ma na myśli Klarę. Widział, jak obserwowała ją przez większość dnia. Chciał jej nawet zwrócić uwagę, że za bardzo rzuca się z tym w oczy, ale odpuścił. Przywróceniu na łono rodziny w oczywisty sposób wzbudzali ciekawość wszystkich jej członków. To zachowanie odwrotne mogłoby wzbudzać podejrzenia.

Magda poruszyła się, by bardziej przysunąć się do jego ucha. Jej oddech był ciepły, szept, ruch powietrza sam w sobie, podniecający.

– Im się wydaje, że nic sobie nie robi ze względu na Brunona, ale to już nie jest jej syn. Jeszcze się łądzi, jeszcze udaje, ale w sercu już wie. To przestało być jej dziecko.

Cyprian nie odpowiedział. Nie chciał jej zachęcać, bo przecież wiedział, do czego ona zmierza, jednak nie zamierzał też uciszać. Słyszał przecież wczoraj na drodze, z jaką stanowczością powiedziała, że się nie poddadzą. Kto wie, jak by się zachowała teraz, gdyby otwarcie się sprzeciwił.

– On zabrał jej nie tylko dziecko – szeptała dalej. – On wyrywa z niej bycie jego matką.

– Nie można odebrać komuś bycia czyjąś matką – zaprotestował.

– Powiedz to Aldonie.

Na to nie miał argumentu, więc znowu umilkł. Przypomniał sobie Aldonę z wczoraj i tę z dziś – Aldonę z Brunonem na kolanach, głaszczącą chłopca po plecach, patrzącą na wszystkich z dumą matki. Jakby był jej nagrodą za to, co zrobiła wtedy. Za to, czego się wyrzekła, by być z nimi.

– Ja też się zabiję – szepnęła znowu Magda po dłuższej chwili. – Jeśli stąd nie uciekniemy, zrobię to lada dzień, tak żeby zdążyć, zanim urodzę. Ale najpierw dźgnę się w brzuch, by go ze mnie nie wyjęli. Bo słowo daję, nie pozwolę, żeby...

– Zamknij się – syknął. – Nawet tak, kurwa, nie myśl.

Odsunął się od niej, odchylił kołdrę i usiadł na skraju łóżka. Rozmasował szyję, czując, jak wypowiedziane przekleństwo spływa mu po wnętrzu gardła tamtym cholernym ostrym sosem.

– Nie możesz tak mówić – powiedział półgłosem. Gdzieś kiedyś przeczytał, że taki półgłos słycać gorzej niż szept. – Po prostu nie możesz. To także moje dziecko.

– Ani moje, ani twoje. Rozmawialiśmy o tym.

Tak, pomyślał. Ale to było przed powrotem Klary i Igora. Gdy jeszcze istniała jakaś cholerna nadzieja!

Nie powiedział tego na głos. Nie zareagował też, gdy wstała z trudem, obeszła łóżko i stanęła przed nim. Głaszcząc go po głowie, docisnęła ją do swojego brzucha. Poczł bijący od niej żar, bo odkąd była w ciąży, grzała jak mały piecyk, aż czasem musiał się od niej w nocy odsuwać. Teraz też miał wrażenie, że go parzy. Człł, jak małe w jej brzuchu wierci się niespokojnie.

– Myślę, że też umrzesz, Cyprianie. – Nie przestawała gładzić go po głowie. – Pozbędą się ciebie jak twojej matki, gdy tylko przestaniesz być im potrzebny. Bo na razie jesteś ważny, na razie pozwalają nam spać osobno w tym niby-pokoju, a ciebie traktują jak gospodarza. Ale to wszystko wokół jest po prostu za duzo warte. Wiesz w ogóle, kto był właścicielem starego domu? Wiesz, co się z nim stało?

Zdał sobie sprawę, że to nie są jej myśli, jej słowa. Magda nie była głupia, mogła do tych rozważań dojść sama, ale to brzmiało tak, jakby ktoś jej te wątpliwości sączył do ucha. Jakby powtarzała po kimś.

Odsunął się od niej. Zdjął jej dłoń ze swojej głowy.

– Rozmawiałaś o tym z Klarą, prawda? – zapytał. – Ona ci to powiedziała?

Zamilkła, a on, uświadomiwszy sobie, że trafił, poczul, jak wypełnia go gniew i zarazem strach, jakby ktoś wstrzyknął mu je prosto do żyły. Rozlewały się w nim, wypełniając zimnem, pędziły do mózgu i serca.

Magda skrzywiła się bezgłośnie i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ściska jej dłoń. Natychmiast puścił, przesunął się na bok i wstał. Podeszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz, a następnie udał się w kierunku toalety, sprawdzając, czy inne sypialnie są zamknięte.

Gdy wrócił, Magda siedziała w tym samym miejscu, gdzie on wcześniej, głaszcząc się po brzuchu i nucąc coś cichutko.

Zamknął drzwi i usiadł koło niej.

– Powiedziałaś jej coś? – zapytał, znowu sięgając po jej dłoń. Położył ją na swojej, przykrył drugą. – Zasugerowałaś, że ty, my...?

– Sama mi powiedziała – odparła Magda. – Zapytała, czy coś w ogóle do ciebie czuję. Czy tak naprawdę w ogóle mnie obchodzisz.

Oczy jej się zaszklily. Dostrzegł to w świetle księżyca, jakie wdzierało się przez niewielkie okienko pod sufitem. Położył jej dłoń na swoim udzie i pogłaskał delikatnie.

– Nie chcesz wiedzieć, co odpowiedziałam? – zapytała.

– Trochę się boję – przyznał szczerze.

– Rozumiem.

Oparła głowę o jego ramię. Siedzieli tak z dobre pięć minut w milczeniu, wtuleni w siebie, wpatrywali się w ścianę i dziury po mocowaniach szafy.

– Mówiła coś jeszcze? Klara w sensie – odezwał się w końcu.

Poczuł jej ruch, gdy wzruszyła ramionami.

– O nas? Już nic. Trochę o Wojtku i o tej młodej z miasta. Tej, co mówiłaś, że jest córką twojej dawnej opiekunki.

– Zosia.

– Tak. Mówiła, że są jak ona i Igor. Że u nich też tak to wyglądało, tylko to on grał na gitarze. Mówiła też... Ej, co się stało?

– Nie, nic – odparł.

Znowu wstał. Przeszedł po pokoju tam i z powrotem. Wyjrzał na korytarz.

Ta cholerna Zośka i pieprzona Iza Lemańczyk wracały do niego od wczoraj raz po raz. Wcześniej nie myślał tyle ani o jednej, ani o drugiej, a teraz nieustannie.

Kiedy jeszcze rozważał powiedzenie o wszystkim staremu Lemańczykowi, przypomniał sobie, co zawsze gadano o Izie – że spotyka się z dziwnymi ludźmi, a jej dawny chłopak miał jakieś kontakty z półświatkiem. Poza tym mieszkała w Warszawie, prowadziła tam chyba jakiś biznes, więc musiała znać ludzi, prawników, cokolwiek.

Oczywiście wcześniej w ogóle nie brał tego pod uwagę, bo jej tu zwyczajnie nie było, no ale teraz przyjechała, a on miał dla niej coś cennego. Miał życie jej córki, ostrzeżenie, fakty, których nie będzie mogła zlekceważyć. Już ułożył sobie całą mowę, argumenty brzmiały bardzo racjonalnie. Czy to wystarczy? Czy Iza cokolwiek mogła dla niego zrobić? Cyprian nie miał pewności, ale czuł, że to może być jego jedyna szansa. Że przyjazd Izy, wyjazd Kamaza, ta rozmowa i planowana wkrótce

uroczystość – to wszystko stanowi sygnał, znak od Boga czy wszechświata, którego nie mógł zlekceważyć.

Znowu podszedł do łóżka, ale tym razem klęknął przed Magdą, biorąc jej twarz w ręce. Zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

– Muszę wiedzieć, czy to prawda – powiedział.

– Co takiego?

– To, że chcesz się zabić.

Przyjrzała mu się uważnie, ściągając usta i mrużąc oczy.

– Jeżeli zamierzasz mnie przed tym powstrzymać – odparła spokojnie – donosząc Kamazowi czy Kalimie, i myślisz, że w ten sposób zrobisz dla mnie coś dobrego, to...

– Nie myślałem o tym – przerwał jej. – Ale, Magdo... muszę wiedzieć, czy to prawda. Po prostu muszę.

Bardzo powoli pokiwała głową, a on przymknął oczy i przełknął ślinę, krzywiąc się z bólu. Wziął głęboki oddech, zdając sobie sprawę, że jeśli powie jeszcze jedno zdanie, nie będzie już odwrotu.

– Ta nasza ucieczka nigdy nie była dla mnie prawdziwa – powiedział, a widząc jej rozszerzające się oczy, szybko wyjaśnił: – Od początku tego chciałem, bardzo. Marzyłem o tym, wyobrażałem sobie, jak to będzie, ale wiedziałem, że nigdy się nie odważymy. Bo ja się nie odważę. Znajdę tysiąc wymówek, by powiedzieć, że to jeszcze nie teraz, że trzeba lepszego momentu, ale w rzeczywistości będę to odkładał na zawsze, aż nie będzie już sensu. Bo jestem tchórzem, Magdo.

Podniósł rękę na znak, by mu nie przerywała.

– Chcę tylko zapytać, czy nadal chcesz ze mną uciec. I czy, jeśli nam się uda, zostaniesz później ze mną.

Nachyliła się i pocałowała go.

– Kocham cię – szepnęła.

A on poczuł gdzieś w środku, że bardzo, desperacko wręcz chce jej wierzyć. Dlatego odchylił się, biorąc ze stojącego obok krzesła złożone w kostkę koszulę i spodnie, i zaczął się ubierać.

## 20

Skoda rapid uderzyła w przeszklone drzwi galerii Silesia City Center z prędkością dwudziestu dziewięciu kilometrów na godzinę, bez trudu forsując zamek, wyłamując zawiasy i wpychając oba skrzydła do środka.

Drelich wykonał ten manewr w pełnym skupieniu, całkowicie polegając na wyćwiczonych ruchach. Tuż przed zderzeniem zdjął nogę z gazu, mocniej docisnął plecy do oparcia fotela i ugiął ręce w łokciach, przygotowując się na ewentualny wystrzał poduszki. Gdy to nie nastąpiło, a samochód minął linię progu, spokojnie wykonał lekki ruch kierownicą, by wcisnąć się między okrągły betonowy filar a ścianę.

Dopiero wtedy lekko nacisnął gaz, przeciął niewielki plac, którego centrum stanowił kwadratowy słup z ekranami do połowy wypełniony bryłami węgla, i wjechał w alejkę na wprost.

Zerknął w tylne lusterko, by upewnić się, czy dźwięk alarmu, wibrującego wściekle i odbijającego się echem po pustych alejkach, nie spłoszył Chrypki. Zobaczył go jednak wbiegającego przez zniszczone drzwi, więc uznał, że przynajmniej na ten moment ma zabezpieczone tyły.

Zaraz też usłyszał go w radiu.

– Łooo, stary, piękna robota – pochwalił Ślązak. – Żyjesz?

– Tak.

Jechał spokojnie, cały czas na pierwszym biegu, trzymając się środka swojego pasa ruchu z jednej strony wydzielonego przez ścianę sklepów, z drugiej przez ustawione w ciągu handlowe wysepki.

Gdy był tu na rekonesansie, jego uwagę zwróciła zwłaszcza druga z nich, należąca do Totalizatora Sportowego. Na widok tych wszystkich zdrapek zastanawiał się, jakie jest prawdopodobieństwo, że łączna wartość nagród z losów przekroczyłyby wartość całego dzisiejszego skoku. Ostatecznie uznał, że niewielka i na pewno niewarta zachodu.

Mijając Totalizator, zerknął na zegarek i szybko przeanalizował sytuację. Minęło dwadzieścia jeden sekund, odkąd ruszył. Do tej pory wszystko szło bez przeszkód i zgodnie z czasem. Chrypka był na pozycji. On zajmie swoją i tym samym zamknie pierwszy etap skoku za od dziesięciu do czternastu

sekund. Czekał go jeszcze tylko jeden manewr, którego się obawiał, mimo jego pozornej łatwości i wielu ćwiczeń. Nie był niezbędny, ale dobrze przeprowadzony mógł potem wiele przyspieszyć.

– Kamery czyste – powiedział Chrypka. – Nic nie jedzie.

Tym razem Drelich się nie odezwał. Zdjął nogę z gazu, gdy minął po prawej salon optyczny. Następny w kolejce był już cel akcji – salon jubilerski Jubilee, ale nie zatrzymał się przy nim, tylko wciąż jechał prosto, w stronę wielkiej fontanny z przecinającym ją mostkiem i sztuczną skałą ozdobioną palmami i paprociami. Ostatnie metry wykorzystał, by jak najmocniej przytulić się do prawej ściany, a gdy dotarł już do końca alei – wyznaczonej z prawej strony przez kawiarnię Costy, a z lewej przez stojący na środku alei okrągły butik Chiary – wolno wszedł w szeroki zakręt.

W tym momencie przez jego głowę przebiegały dziesiątki myśli, a każda z nich stanowiła możliwy wariant najbliższych kilku sekund. Co zrobi, jeśli koła zaraz stracą przyczepność. Co, jeśli skoda zdryfuje i uderzy w fontannę. Co, jeśli zdryfuje, ale nie uderzy. Co, gdy następny ruch kierownicą będzie za delikatny albo za gwałtowny, jeśli po objechaniu butiku dociśnie gaz za mocno albo za słabo. Co, jeśli silnik zgaśnie.

Nie skupiał się na żadnej z nich, bo każda miała już przygotowaną odpowiedź. On po prostu robił swoje. Przebieżka po strunach. Odruchy.

Wszedł w zakręt. Objechał butik. Zatrzymał się naprzeciwko salonu Jubilee i zerknął na zegarek. Od wjazdu minęło trzydzieści osiem sekund.

– Kamery czyste, alejka czysta! – zawołał Chrypka.

Drelich wypiął się z pasów, złapał torbę i wyskoczył z samochodu. Szybkim ruchem przerzucił pasek przez pierś, wziął taran i podbiegł z nim pod dwuskrzydłe drzwi salonu. Spojrzał w lewo, w stronę placu z fontanną, skąd mogli nadbiec strażnicy, i w prawo na Chrypkę, który czuwał nad bezpieczeństwem drogi powrotnej.

Złapał za uchwyty tarana, przykłęknął i wymierzył tam, gdzie między dwiema taflami zbrojonego szkła przebiegała wąska szczelina. Wciąż nie mieściło mu się w głowie, by jakikolwiek właściciel salonu jubilerskiego zgodził się pozostać wyłącznie przy tym rozwiązaniu, właściwym raczej dla saloników prasowych, sklepów komputerowych czy foto, ale nie zamierzał się skarżyć. Wziął zamach i uderzył.

Już za pierwszym razem rozległ się trzask zamka, za drugim zabezpieczenie puściło. Wbiegł do środka, nie wypuszczając taranu z rąk,



i skreślił w lewo. Prawa strona wystawy była aktualnie zasłonięta dużą reklamą i wyłączona ekspozycyjnie.

– Na ziemię, kurwa! Kładź się, już! – krzyknął nagle Chrypka. – Kładź się, bo strzelam, kurwa!

Drelich aż się skrzywił i natychmiast zakodował sobie, by przyciszyć radio, jak tylko odrzuci taran. Na razie uniósł go nieco wyżej i mocno uderzył w zamek zabezpieczający od tyłu gablotę wystawową. Pierwszy, potem drugi i trzeci, każdy za jednym uderzeniem, aż miał dostęp do całej wystawy. Wtedy odrzucił na bok zbędny taran, ściszył radio i rozpiął torbę.

Nawet nie sięgał na niższą półkę. Jego celem była wyłącznie środkowa i znajdujące się tam zegarki od Ulysse Nardin, Carla F. Bucherera czy IWC Schaffhausen, wedle obliczeń przeprowadzonych wcześniej, warte w sumie prawie dwa miliony złotych. Drelich wkładał te eleganckie czasomierze do torby szybko, ale możliwie ostrożnie, jednocześnie zerkając na porysowany cyferblat tego na swoim nadgarstku. Za chwilę miały minąć pełne dwie minuty, odkąd tu wjechał, a więc żeby się zmieścić w czasie, zaraz powinien kończyć.

– Zamieszanie przy dwójce! – zawołał do radia Chrypka, potwierdzając jego obawy. – Biegną do radiowozów.

– Przyjąłem – odpowiedział, nie przestając pakować. Zamieszanie przy dwójce jeszcze nie oznaczało kłopotów. Tego akurat się spodziewał. Bardziej obawiał się przypadkowych patroli będących bliżej.

Kończył opróżnianie ostatniego stojaka, gdy kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Spojrzał w tamtą stronę i wtedy go zobaczył.

Facet, który nie przypominał z postury żadnego z trzech ochroniarzy podanych przez Chrypkę, skradał się powoli wzdłuż zasłoniętej reklamą wystawy, nie zdając sobie kompletnie sprawy, że odbija się w wystawie okrągłego butiku. Zatrzymał się niemal przy samym wejściu, a sądząc po ułożeniu jego rąk, coś w nich trzymał.

Drelich zakładał, że to może być gaz albo – z mniejszym prawdopodobieństwem – taser. Oba niebezpieczne, bo powodujące obrażenia, które z całą pewnością utrudniłyby, a może nawet uniemożliwiły ucieczkę. Rozwiązanie musiało być więc pewne i przede wszystkim szybkie, bo nie miał na nie więcej niż piętnaście sekund.

– Dwa radiowozy ruszyły spod dwójki! – zawołał Chrypka. – Lecą górą przez Słoneczną!

## 21

Stojąc przy drzwiach, Cyprian miał wrażenie, jakby w środku się skurczył. Był teraz miniaturką siebie zamocowaną w większym ciele i próbującą sięgnąć odpowiednich przekładni i dźwigni, by poruszyć ręką czy nogą. Dźwięki wokół dochodziły do niego z daleka, przytłumione intensywną pracą wewnętrznej maszynerii, łomotaniem serca, skrzypieniem mięśni, szumem krwi w żyłach.

Obejrzał się z nadzieją, że może mimo wszystko Magda postanowi go powstrzymać, ale ona tylko patrzyła na niego ze ściągniętymi ustami. Opuchnięta, przerażona, blada w księżycowym blasku. Jak trup.

Zmusił się, by się uśmiechnąć, co przyszło mu z wyraźnym trudem. Gdzieś kiedyś przeczytał, że trzeba do tego zaangażować aż siedemnaście mięśni twarzy. Teraz miał wrażenie, że czuje każdy z nich. Ale zrobił to – uśmiechnął się, by ją pocieszyć, choć odwlekał moment, gdy będzie musiał złapać za klamkę i wyjść.

Odpowiedziała mu tym samym, co było wspaniałe. A potem odezwała się. To jedno wyszeptane słowo zabrzmiało jak wyrok śmierci.

– Idź.

Poruszył więc wszystkim, czym mógł, każdą dźwignią, wprowadził w ruch każdą przekładnię. Położył dłoń na klamce i nacisnął.

Wbrew jego obawom drzwi nie skrzypnęły, gdy pchnął je lekko. Wychylił więc głowę, popatrzył w lewo i prawo. Wszedł, uważnie obserwując wejścia do pozostałych czterech pomieszczeń na piętrze – trzech przestronnych sypialni i łazienki.

W innych okolicznościach zauważony mógłby powiedzieć, że idzie właśnie do łazienki, ale teraz był przecież ubrany. Z tego już by się nie wytłumaczył.

Dlatego szedł na palcach, nasłuchując, co dzieje się w mijanych pokojach. Irracjonalnie próbował zliczyć oddechy, rozdzielić dźwięki chrapania i dopasować je do stanu osobowego każdej sypialni. Choć przecież wiedział dobrze, kto gdzie powinien być. Obecnie w tych trzech pokojach, na zbijanych naprędce piętrowych łóżkach, spała większość

rodziny: siedem kobiet, pięciu mężczyzn i szóstka dzieci. Dla tych ostatnich to wciąż było nowe miejsce, więc w ostatnie noce budziły się niebezpiecznie często. Jak będzie tym razem?

Czuł, jak coś ściska go w brzuchu, swędziały go ręce, a usta wypełniał mu kwaśny, metaliczny posmak. Obraz zdawał się rozmywać na brzegach.

Przypomniał sobie, że w pokoju dokładnie na wprost schodów śpi Tomeczek i jeszcze jeden z wojowników, Bartek. Zawarł z samym sobą pakt, że jeśli drzwi do tej jednej sypialni będą otwarte, zawróci. To będzie znak, że popełnia błąd. Znak, że nie powinien!

Były uchylone, ale, co skonstatował z wyraźnym rozczarowaniem, nie na tyle, by ktokolwiek ze środka mógł dojrzeć korytarz. Dlatego ostrożnie złapał za poręcz i stopień po stopniu zaczął schodzić.

Któryś skrzypiał, prawda? Bo jeśli tak, to Tomeczek ma słaby sen, zaraz się obudzi, zaraz...

Nagle na górze otworzyły się drzwi, a zaraz potem rozległy się kroki. Cyprian, będący w połowie drogi, przywarł plecami do ściany tak gwałtownie, że gdyby wciąż wisiały tam ich rodzinne zdjęcia w antyramie, narobiłby pewnie mnóstwo hałasu. Ale Kamaz nakazał zdjąć je już pierwszego dnia, więc teraz został już tylko haczyk, który boleśnie wbił się Cyprianowi pod lewą łopatkę.

Górnym korytarzem przeszła któraś z dziewczyn, w ciemności trudno było stwierdzić która. Szła zgarbiona, ze zwieszoną głową, jak zjawa. Dopiero gdy włączyła światło w łazience, zorientował się, że prowadziła zaspane dziecko. Przyklejony do ściany czekał.

I wtedy po raz drugi pomyślał, że już się nie ruszy. Że nie wykona ani jednego kroku więcej, maszyna się zatarła, koniec.

Ledwie jednak usłyszał, że zamykają się drzwi do łazienki, odbił się od ściany i szybko pokonał ostatnie cztery schodki. Trzeci od dołu faktycznie skrzypiał, ale Cyprian zupełnie się już tym nie przejął. Przeciął salon, wpadł do wiatrołapu i spod listwy przypodłogowej wyjął zapasowy klucz do dawnego gabinetu ojca. Dorobił go sobie dawno temu, żeby pod nieobecność rodziców podpijać alkohol z barku albo korzystać z konsoli, którą ojciec zabierał mu w ramach szlabanu. O kluczu przypomniał sobie niedawno i wielokrotnie rozważał, jak fajnie byłoby go użyć. A teraz trzymał go w drżącej ręce niczym żywym dowód swojego szaleństwa.

Pomyślał, że może sobie odpuścić gabinet. Mógł po prostu wyjść, przykleić się do ściany budynku, obejść go i po przebiegnięciu dwudziestu

metrów ukryć się w krzakach. Tam będzie bezpieczny, bo stamtąd czekał go już tylko godzinny spacer. Mógłby iść nawet spokojnie wzdłuż drogi, bo przecież wiadomo było, że Kamaz i reszta z Sobierad tak szybko nie wrócą.

Gdy dotrze do celu, może powiedzieć Izie Lemańczyk wszystko, co wie. Ale czy ona uwierzy mu na tyle, by zareagować, tak jak trzeba? Czy doceni, jak bardzo jej pomógł i jak wiele położył na szali? Czy poczuje się na tyle zobowiązana, by spróbować pomóc jemu? A co, jeśli zamiast tego tylko porozmawia z córką, ta się wścieknie i jutro wszystko się wyda?

Nie, nie mógł stąd po prostu wyjść. Musiał zdobyć cholerny dowód. Coś tak mocnego, że nie da się tego zlekceważyć. Dlatego zacisnął spoconą dłoń na kluczu, podniósł się powoli i skulony przebiegł przez salon. Wydawało mu się, że znowu usłyszał jakieś dźwięki na górze, więc odczekał chwilę, łapiąc krótkie, płytkie oddechy. Położył klucz na podłodze, by wytrzeć spocone ręce, a potem długo – za długo! – nie mógł go podnieść.

Bał się, że przez tę trzęsawkę nie trafi do zamka, ale udało się za pierwszym razem. Przekręcił klucz, wszedł i zamknął się od środka. Zaryzykował opuszczenie żaluzji, wyciszył głośniczki komputera i dopiero wtedy włączył monitor oraz komputer umieszczony w zabudowanej szafce pod biurkiem.

Stary system odpalał się przez całą wieczność, zanim w końcu pojawił się prostokąt z hasłem. Cyprian oczywiście je znał, nawet dzisiaj wpisywał, przerzucając pliki z komputera na laptopa, ale i tak przy wpisywaniu pomylił się dwa razy. Musiał się uspokoić, policzyć do pięciu i ponownie spróbować, by w końcu się udało. Wszedł na dysk, szybko znalazł właściwy folder opisany „Zosia”, zaznaczył do kopiowania i... w tym momencie zdał sobie sprawę, że nie ma na co.

W panice przetrząsnął wszystkie szuflady i szafki, ale nie znalazł w nich ani jednego pendrive'a, ani jednej płyty, którą mógłby wypalić na zainstalowanej w komputerze nagrywarce. Nie było nawet pierdolonego internetu!

Zrozpaczony usiadł na podłodze. Opuścił głowę, dłonie zacisnął w pięści i przyłożył do czoła, raz po raz o nie uderzając. Myśl, kurwa, myśl!

Przypomniał sobie, że gdzieś w garażu pewnie leży pudełko z routerem. Olbrzym kazał go odłączyć, ale internet w domu był na Ponderosę, wciąż opłacony, więc gdyby teraz Cyprian wygrzebał go w którymś z pudeł i przyniósł tutaj...

Ale tego nie zrobi, wiedział o tym. Za bardzo się bał. Już teraz miał wrażenie, że zużył wszystkie swoje siły. Był spocony, zmęczony jak po długim, forsownym biegu, oddychał płytko, w oczach mu się mieniło. Równie dobrze mógłby wyzwąć Kamaza na pojedynek – miałyby identyczne szanse powodzenia, co szukając routera w garażu.

I wtedy właśnie z zaskoczeniem dostrzegł, że jeden z portów USB, ten najniżej, jest zajęty. Znajdował się w nim niewielki srebrno-czarny przedmiot, który z daleka wyglądał w zasadzie jak zaślepka, jednak gdy Cyprian przysunął się bliżej, dostrzegł, że to mały pendrive. Ojciec czy matka musieli o nim zapomnieć, on sam pewnie go przeoczył, tylko z rzadka sięgając do najniższego z portów, a folder „Zośka” ważył raptem trzysta mega. Powinien zmieścić się na nim bez trudu.

Mam więc swój dowód, pomyślał, nie czując nawet, że po policzkach płyną mu łzy.

## 22

Obserwując kątem oka odbicie w wystawie butiku, Drelich wyjął pistolet z kabury i ukrył go za sobą. Lewą ręką złapał za paski torby, podszedł do drzwi, przykucnął przed progiem, zamachnął się i puścił ją po podłodze. Gdy pojechała po posadzce, szybko poderwał się z kucek, wyskoczył za róg i wycelował mniej więcej tam, gdzie powinna znajdować się głowa napastnika. Oddał trzy strzały, jeden za drugim. Każdy poniósł się ogłuszającym echem po galerii i złał się z wrzaskiem strażnika.

Trudno było się dziwić, że krzyczał, bo hałas zabolął nawet Drelicha, mimo iż jego od pistoletu dzieliła odległość ręki. W głowie tamtego wystrzał tuż przy uchu musiał być niczym eksplozja migrenowego granatu. Mężczyzna podniósł ręce do uszu, a wtedy Drelich grzmotnął go w odsłoniętą wątrobę. I dopiero widząc wykrzywioną bólem twarz, przekonał się, że ochroniarz wcale nie był jego postury. Był dzieciakiem. Chudym dwudziestoparolatkiem z kręcącymi się włosami i w źle dopasowanej koszuli, który teraz, otrzymawszy cios, bezwładnie osunął się po ścianie i klapnął tyłkiem o posadzkę. W ręku faktycznie trzymał małą puszkę z gazem pieprzowym.

– Ej, co do kurwy?! – krzyknął Chrypka. – Co to było?!

– Pod kontrolą – odpowiedział Drelich, choć wcale tak nie uważał. Właśnie zaatakował pieprzonego dzieciaka! I swoją akcją prawdopodobnie pozbawił go słuchu na jedno ucho!

Nie mógł sobie jednak pozwolić na takie rozważania, nie teraz. Zamachnął się i cisnął pistoletem w stronę fontanny. Zrobił to, by w przekazie medialnym pojawiła się informacja o użyciu broni hukowej. Nie zamierzał dać się złapać, ale jeśli mieli go ścigać, lepiej, by nie zakładali, że jest uzbrojony.

Złapał za torbę, dobiegł z nią do auta i położył na podłodze za siedzeniem kierowcy. Wsiadł za kierownicę i sprawdził czas. Dwie minuty siedemnaście od wjazdu. Trzydzieści sześć sekund, od kiedy ruszyły radiowozy.

– Od Tysiąca jadą. Jeden wóz na bombach!

Zebrali się szybciej, niż myślał, ale wciąż nie na tyle szybko, by panikować. Dlatego ruszył ostrożnie, by koła nie zaboksowały na śliskim.

– Jadę! Otwieraj! – zawołał.

Bez przeszkód dotarł do otwartych drzwi, kątem oka rejestrując drugiego ochroniarza leżącego brzuchem do ziemi, z rękami na karku. Zatrzymał się już za progiem.

– Co tam się stało? – zapytał Chrypka, wskakując do auta. – Czemu strzelałeś?

– Później! – rzucił, ruszając. – Schowek.

Ślązak otworzył schowek i wyjął z niego butelkę wybielacza.

– Jak się zatrzymamy, ja biorę torbę, ty zalej kierownicę i fotele. Butelkę zostaw, jest czysta.

– Już. – Chrypka odkręcił butelkę, a gdy tylko Drelich wypadł z auta, chlusnął wybielaczem na kierownicę i fotel kierowcy. Wysiadł i to samo zrobił ze swoim, po czym zgodnie z poleceniem rzucił butelkę na siedzenie. Obiegł mondeo, wskoczył do środka.

Ruszyli, ledwie domknął drzwi.

Szybko wypadli z parkingu na drogę, gdzie skręcili w lewo, w stronę ronda. Drelich napominał się w myślach, żeby pamiętać o dwóch wysokich progach zwalniających. Źle byłoby teraz uszkodzić zawieszenie.

– Gdzie jedziesz?! – zawołał Chrypka, dopinając pasy. – Mówiłem ci, że stamtąd jadą.

– Wiem, co robię.

– Znaczy co, chcesz jechać prosto? Zaklinujesz się. Tam są jednokierunkowe, wystarczy, że ktoś z przeciwka pomyśli...

– Nie mów do mnie teraz!

Zegarek pokazywał, że minęło już trzy i pół minuty od wjazdu do Silesii. Policja nadjeżdżała z dwóch stron, ale żaden radiowóz nie był jeszcze w zasięgu wzroku. Na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Oprócz dzieciaka, przemknęło mu przez głowę, ale stłumił tę myśl, raz jeszcze odepchnął na później. Na rondzie skręcił w prawo w Bozogrobowców, jadąc wzdłuż ogrodzenia Dębowych Tarasów. Gdy minął łuk, odbił w Jabłoniową.

– No przecież ty zaraz na nich wyjedziesz! – wrzasnął Chrypka. – Prosto na tych, co jadą z dwójki...

– Zamknij się!

Wjechał w Morelową.

– Człowieku, pod prąd jedziesz, a na wprost masz Słoneczną. Zaraz tam będą i zobaczą światła, a wtedy...

Tym razem sam urwał, gdy Drelich skręcił zaraz w osiedlową uliczkę.

– Okej, dobra, rozumiem, że brałeś to pod uwagę, tak? – zapytał, sięgając rękami do twarzy.

– Nie dotykaj maski! – warknął Drelich. – I nie odzywaj się.

– Jasne, dobra, już się...

– Wciąż mówisz.

Znowu skręcił w prawo i tu się zatrzymał. Teraz już wyraźnie słyszeli syreny, najpierw zbliżające się, a potem oddalające, gdy radiowóz pędził w dół Ściegiennego w stronę Silesii. Mieli kilka sekund. Otarł pot z oczu.

– Dobra, teraz kominiarka – polecił. – Wyciągnij czapki i swoje okulary. Daj mi moją i... Jeszcze nie ściągaj maski! Głowa w dół i dopiero. Ani sekundy gęba na widoku! Maskę do torby! Trzymaj, tu masz notatki. Jak powiem, żebyś czytał, to czytaj.

Chrypka pospiesznie wykonał polecenia, nie wdając się w zbędne dyskusje. Drelich na razie ograniczył się do założenia bejsbolówki. Wiedział, że w tym świetle cielista kominiarka wygląda trochę jak skóra i nie powinno to wyglądać szczególnie podejrzanie. Ruszył ponownie, dojechał do końca ulicy i skręcił w prawo.

Trasę opracował tak, by jak najszybciej oddalić się od Silesii, ale nie najkrótszą, najoczywistszą drogą. Stąd odpadał skręt w lewo i potem w górę do ulicy Agnieszki. Zamiast tego kawałek Szczecińską, Józefowską do końca i w górę Bytkowską.

– Notatki gotowe? – zapytał.

– Tak.

– To czytaj!

– Gnieźnińska przejezdna do Korfantego. Następna Strażacka, przejezdna łukiem, łączy się z Gnieźnińską. Dalej, Karłowicza przejezdna, ale trzeba pod prąd...

Drelich pamiętał wszystkie te nazwy, bo uczył się ich na pamięć, najpierw z mapą, a później podczas wizyt na Śląsku. W razie potrzeby mógł odbić w każdą z tych ulic i nieco dłuższą drogą kontynuować dojazd do celu. Stanowiły ważną część jego uspokajającej, gitarowej solówki, odtwarzanej w myślach od kilku godzin. Czytanie ich na głos przez Chrypkę nie było więc niezbędne, ale dzięki temu Drelich utwierdzał się



w przekonaniu, że o niczym nie zapomniał, a jego towarzysz miał się czym zająć.

– Alfreda przejezdna, ale z kluczeniem. Kolejna... Dwa razy masz tu Alfreda.

– Bo tak jest, dalej!

– Promienna przejezdna, kluczenie. Daszyńskiego przejezdna.

Minutę później cała ta wiedza poszła do kosza, bo byli już na Bytkowskiej, skąd tylko pół kilometra dzieliło go od parkingu z wozem numer 3. Tam co prawda nie będą mogli jeszcze odetchnąć, ale to, co najbardziej niebezpieczne, miało już być za nimi.

Minęli po jednej stronie kasyno, po drugiej stację benzynową – ostatni punkt przed właściwym skrętem, a następnie zjechali na osłonięty drzewami długi parking. Tam, na jego końcu, stał nierzucający się w oczy, ciemnobordowy rodzinny citroën picasso.

– Stary, chyba się udało – rzucił Chrypka.

Drelich nie skomentował, wiedząc, że to jeszcze nie czas na podsumowanie i ogłaszanie zwycięstwa. Objechał citroëna tak, by stanąć za nim, wyłączył silnik, wypiął się z pasów i wyciągnął rękę do Chrypki.

– Notatki daj.

Wziął poskładaną kartkę i wysiadł. Zdjął czapkę, a po niej kominiarke i wraz z notatkami rzucił je na siedzenie obok torby, potem to samo zrobił z radiem oraz szelkami. Wreszcie wyjął woreczek z protezą i wkładkami do nosa.

I wtedy właśnie to dostrzegł. Ruch między drzewami i czarny kształt, jakby cień odklejający się od pnia, na tyle niewyraźny, że mógł być po prostu przewidzeniem. Drelich jednak nie zamierzał lekceważyć sygnału i pozornie nadal robiąc swoje, uważnie wpatrywał się w tamten punkt. I tak, teraz już wiedział na pewno, że ktoś tam jest.

A gdyby w uszach nie dźwięczały mu wciąż wystrzały pistoletu, pewnie zorientowałyby się, że napastników jest więcej.

## 23

Izę obudził hałas w ogrodzie. W pierwszej chwili chciała go zlekceważyć, uznając, że to pewnie kot, ale zaraz dotarło do jej zaspanego umysłu, że to przecież niemożliwe. Koty zwykle nie robią takiego hałasu.

Wygrzebała się więc spod kołdry i podeszła do okna. Senność wyparowała z niej w jednej chwili. W świetle księżyca zobaczyła drobnego mężczyznę o bladej twarzy, stojącego przy sznurkach na pranie i wpatrującego się w okna. Konkretnie w okno pokoju Zośki.

Jej pierwsze myśli były głosem paniki, echem zeszłorocznej krzywdy. Odepchnęła je teraz od siebie. Dzięki terapii nauczyła się zauważać pierwsze symptomy ataku i stopniowo wyciszać je regulowaniem oddechu oraz szukaniem rozsądniejszego wytłumaczenia dla niepokojącej sytuacji. Tu nasunęło się bardzo szybko – czyżby właśnie patrzyła na tajemniczego chłopaka swojej córki?

Wczoraj nie zdążyły porozmawiać ani o nim, ani w zasadzie o niczym innym, bo Zośka wróciła późno i co prawda przywitała się bardzo radośnie, po czym ochoczo wciągnęła ostatnie kawałki malinowca – ku wyraźnemu niezadowoleniu dziadka – ale szybko zastrzegła, że jest zmęczona, więc idzie się myć i spać, a ewentualne pogaduchy rezerwuje na „przyśniadaniu”. Iza przystała na to, bo co miała zrobić. Nie przyjechała tu przecież psuć córce wypracowanego wakacyjnego rytmu. Chciała spędzić z nią więcej czasu, ale nie na siłę. O tym też rozmawiały z Guzik – że to czas, kiedy dzieciaki budują sobie własną przestrzeń i nawet jeśli biorą jej trochę z zapasem, mają do tego prawo.

– Oj, chłopie – powiedziała cicho. – Jeśli to ty jesteś wakacyjną miłością mojej córki, marne robisz pierwsze wrażenie.

Doszła jednak do wniosku, że nie może zostawić tej kwestii bez sprawdzenia. Zresztą nawet jeśli to był chłopak Zośki, mógł w końcu obudzić jej ojca, a wtedy skończyłoby się prawdziwą chryją. Dlatego włożyła spodnie dresowe i bluzę z kapturem, a bose stopy wsunęła w przygotowane wieczorem buty do biegania i wróciła do okna. Gość wciąż tam stał, wyraźnie nie wiedząc, co robić. A może po prostu czekał na

umówiony sygnał? Czy robili to już wcześniej? Czy Zośka wymykała się nocami z domu?

Iza wyszła z pokoju i spojrzała na przeszklone drzwi obok. Nie zauważyła żadnego ruchu, więc zajrzała do środka. Zośka ewidentnie spała.

Czyli nie są umówieni, pomyślała Iza i od razu wróciły czarne myśli. No bo jeśli nie są umówieni, to po co tu przyszedł. Nie zamierzał tak chyba po prostu stać i gapić się w okno.

Cichutko zamknęła drzwi i zeszła po schodach. Nad wejściem zapaliło się światło, ale z tyłu budynku nie było tego widać. Naciągnęła kaptur na głowę i ruszyła wzdłuż ściany.

Gdy wyjrzała zza winkła, wciąż tam stał, rozglądał się za czymś. A potem zwrócił się w jej stronę i wreszcie mogła dojrzeć w blasku księżyca jego twarz.

– Cyprian? – zdziwiła się, wychodząc z ciemności.

Podskoczył nerwowo, wpadając na linkę. Zaczepił o nią jedną ręką i przez moment wyglądał jak pacynka z urwanym sznurkiem. Cały się trząsał, był blady. Widziała też strach w jego oczach.

– Iza – wybąkał cicho. – Czy mogłabyś... czy możesz nie budzić swojego ojca?

W zaistniałych okolicznościach ta prośba w połączeniu z błagalnym tonem była tak absurdalna, że Iza mimowolnie parsknęła.

– Zaraz sam go zbudzisz, jak będziesz tak hałasował – powiedziała, podchodząc. Trzymała się lekko z boku, mimo wszystko starając się nie wchodzić w zasięg jego rąk. Znała go kiedyś, ale nie znaczyło to jeszcze, że nie ma się czego obawiać, a jego strach nie dawał jej automatycznie przewagi. Musiała o tym pamiętać i utrzymać czujność.

Może nie jest sam, przemknęło jej nagle przez głowę, jednak odgoniła tę myśl, nim zdążyła narobić szkód.

– Co ty tu robisz? – zapytała, pomagając mu się wyplątać. – I dlaczego włamałeś się na prywatny teren?

Strzelił oczami w stronę domu i zaraz znowu na nią.

– Musiałem z tobą porozmawiać. Zobaczyłem cię dzisiaj i musiałem...

Urwał, a ona westchnęła ciężko, domyślając się natychmiast całej reszty. Jemu nie chodziło o Zośkę, a o nią. Przecież to kiedyś był jej pokój, jej okna. Wiedział o tym, bo gdy się nim zajmowała, zabierała go tutaj czasem – tak było łatwiej, niż tłuc się na Ponderosę. Pamiętała, że lubił siedzieć na poszerzonym parapecie i gapić się na ogród i sznurki. Kochał

się w niej wtedy szczenięcą miłością, jaką wielu dzieciaków rezerwuje dla młodych nauczycielek czy opiekunek. Raz nawet jej to wyznał.

Cholera, pomyślała, jeszcze tego mi brakowało.

– Słuchaj – zaczęła. – Bardzo mi to schlebia, ale to nie jest najlepszy sposób na okazywanie zainteresowania. Wiem, że przechodzisz teraz trudny czas i może nie do końca myślisz... No co? Czemu tak patrzysz?

Jeszcze zanim się odezwał, wiedziała już, że nie trafiła z domysłami. Właściwie to bezgraniczne zdumienie na jego twarzy trochę ją nawet ubodło.

– O co ci chodzi? – zapytał. – Jakie zainteresowanie?

– No to po co tu jesteś? – odbiła szybko. – Dlaczego przychodzisz tu w środku nocy i...

– Twoja córka jest w poważnym niebezpieczeństwie – wszedł jej w zdanie.

Spieła się w jednej chwili. Poczuła, jak włoski stają jej na karku i przedramionach, po plecach przebiegł zimny dreszcz.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

Otworzył usta, ale znowu zerknął w stronę budynku i energicznie pokręcił głową.

– Nie możemy tu stać – powiedział. – Nie chcę, by mnie zobaczyli, ani Zośka, ani twój ojciec. To dla mnie bardzo niebezpieczne, że tu jestem.

Jakoś ci nie przeszkadzało, gdy stałeś tu jak cioł przez tyle czasu, pomyślała Iza, ale powstrzymała się od powiedzenia tego na głos.

Cyprian natomiast sięgnął drżącą ręką do kieszeni i wyjął z niej małego pendrive'a.

– Masz komputer? – zapytał i jak oparzony cofnął dłoń, gdy chciała wziąć od niego nośnik. – Nie, nie mogę ci go dać, ale... No, musisz tego posłuchać. Musisz posłuchać, by zrozumieć, jak jest źle.

## 24

Napastnicy ujawnili się niemal równocześnie.

Ten, który czał się w krzakach, rzucił się biegiem między samochody. Twarz miał spowitą w cieniu kaptura i daszka czapki, w ręku trzymał pałkę i wydawał z siebie dźwięk, jakby chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle.

Przez głowę Drelicha przemknęło wtedy, że może to być próba odwrócenia uwagi, ale ta myśl dotarła do niego za późno, bo zanim zdążył wykonać choćby ruch, drugi napastnik doskoczył do niego od tyłu, przywarł ciałem do jego pleców i ręką oplótł mu szyję.

Gdyby za tak silnym chwytem szła technika, zaraz byłoby po wszystkim. Napastnikowi jednak brakowało doświadczenia i dopiero w momencie, gdy jego zgięcie łokciowe znalazło się na krtani ofiary, szukał pomysłu, co zrobić z drugą ręką. Nie ratowało to wcale Drelicha, dawało mu tylko kilka sekund więcej.

Wiedziony wyuczonym odruchem, natychmiast chwycił oburącz przedramię przeciwnika, szarpnął się raz i drugi, próbując choćby lekko poluzować ucisk na szyję i jednocześnie przeanalizować sytuację. Drugi napastnik był coraz bliżej, więc to nim musiał się zająć najpierw. Miał nadzieję, że starczy mu tchu, że ucisk nagle go nie odetnie. Jego ciało wiedziało, co robić, ale potrzebowało do tego energii. Potrzebowało powietrza.

Gdy biegnący był już blisko, Drelich przeniósł ciężar na ręce, uwiesił się na oplatającym go przedramieniu i podciągnął obie nogi, po czym kopnął z całej siły, trafiając przeciwnika w pierś i posyłając go na ziemię.

Został mu ten z tyłu, ale czasu było coraz mniej. Wciąż oddychał, choć z coraz większym trudem. Czuł smród potu i fajek, w jego głowie narastał szum. Przez moment miał wrażenie, że gdzieś z boku słyszy krzyk i trzask. Czy to Chryпка, przemknęło mu przez myśl. Czy on też teraz walczy?

Nie miało to już jednak znaczenia, bo słabł, a zacisk na szyi chyba nawet przybrał na sile. Jakby facet za nim przestał się skupiać na poprawnym

założeniu duszenia, bo wiedział, że wystarczy, jak utrzyma słabnącego Drelicha wyłącznie do czasu, aż jego kolega się pozbiera.

Drelich musiał działać, jeśli chciał wyjść z tego cało. Dlatego spiął się i pozwolił swojemu ciału pracować. Zaszurał, szukając właściwego ustawienia dla stóp, lekko ugiął kolana. Gdy był gotowy, wsunął się biodrami pod biodra przeciwnika, skręcił ciało i wykonał rzut przez ramię, odrywając go od ziemi. Dopiero kiedy tamten spadał, Drelich odbił się i wylądował na napastniku, swoim ciężarem pozbawiając go resztki powietrza.

W tym momencie zobaczył, że gość, którego wcześniej kopnął, był już prawie przy nim. Drelich skręcił się do niego, wyciągając ręce, by w razie czego przechwycić lub zamortyzować kopnięcie. Wtedy jednak ujawnił się ostatni z napastników. Wskoczył nagle i kopnął go w głowę. Drelich stracił przytomność.

## 25

Siedzieli w garażu, w samochodzie jej ojca. Cyprian za kierownicą, Iza z laptopem na kolanach na siedzeniu pasażera. Bateria pokazywała czterdzieści procent. Cyprian powiedział, że tyle spokojnie wystarczy, by usłyszała, co ma usłyszeć. Podał jej pendrive'a.

– Zanim odsłuchasz – dodał, gdy wepchnęła urządzenie do portu – naświetlę ci sytuację.

– Niczego mi nie będziesz naświetlał! – warknęła Iza. – Mów, co mam włączyć.

Otworzyła folder z imieniem córki. Zobaczyła czternaście plików audio.

– Jezu, co to jest?

Przejechała palcem po touchpadzie, by odtworzyć pierwszy, ale powstrzymała ją, kładąc dłoń na jej dłoni. Cofnął ją zaraz, jakby się przestraszył własnej śmiałości.

– Nie ten, zaraz odpalisz siódmy – powiedział. Przymknął oczy i odetchnął. – Ale zanim to zrobisz, powiedz... czy wiesz, że marcu tego roku najlepsza przyjaciółka twojej córki próbowała się zabić?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Jej palec zawisł nad przyciskiem touchpada.

– Powiedziała ci o tym?

Pokręcił głową.

– Nie mi – odparł. – Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Czy Zosia powiedziała ci, dlaczego jej przyjaciółka postanowiła się zabić? Czy podała ci powód?

– Mam rozumieć, że tobie tak?

– Nie mi – powtórzył tym razem mocniej. W jego głosie dało się usłyszeć zniecierpliwienie. – Ale tak, znam ten powód i nie musisz mi podawać, jeśli nie chcesz. Chcę tylko wiedzieć, czy poznałaś wersję z łuszcycą i...

– Wersję?

– Tak, Izo, wersję – potwierdził. – Chcę wiedzieć, czy Zosia powiedziała ci, że jej koleżanka chciała się zabić, bo zdiagnozowali u niej łuszcycę, którą odziedziczyła po ojcu. Że ta Kasia czy jak jej tam...

– Kinga.

– Tak, Kinga... że nałykała się tabletek, a potem znenawidziła twoją córkę, bo ta zadzwoniła po pogotowie i ją odratowali. Czy to ci właśnie, do kurwy nędzy, powiedziała?!

Przeraziły ją jego słowa, ale jeszcze bardziej zmiana, jaka w nim zaszła, kiedy je wypowiadał. Do tej pory po prostu się bał, nad czym próbował panować, ale teraz nagle eksplodował, wciąż pilnując, żeby nie podnosić głosu. Krzyczał szeptem, jakby brakowało mu sił, by porządnie wrzasnąć. A gdy przeklął, skrzywił się boleśnie.

Iza dała mu dokończyć. Dopiero gdy umilkł i zamarł, oddychając płytko i wpatrując się w nią, powoli skinęła głową.

– Tak – potwierdziła. – Właśnie to mi powiedziała. Ale nie podoba mi się ani twój ton, ani że tyle wiesz. To zdecydowanie nie są rzeczy, o których powinien wiedzieć obcy dla niej człowiek.

Wskazał na komputer.

– To teraz włącz – powiedział. – Włącz plik numer siedem.

Chciała jeszcze o coś zapytać, ale odpuściła i przesunęła kursor na właściwy plik, po czym wcisnęła przycisk na touchpadzie. Uruchomił się domyślny program do plików audio, który natychmiast poprosił osobnym okienkiem o aktualizację.

– Kurwa – warknęła. Wcisnęła „Pomiń”, a zaraz po nim „Play”.

Czuła na sobie spojrzenie Cypriana. Widziała, że obserwuje ją uważnie, wpija się w nią tym przerażonym spojrzeniem, wczepia niczym nietoperz we włosy. Już miała zwrócić mu uwagę, ale wtedy usłyszała głos Zośki:

„...nikomu o tym nie powiedziałam. Chciałam kiedyś matce, ale nie umiałam. Ona jest w porządku. Kiedyś gadałyśmy o wszystkim, jak takie, wiesz, BFF. Znaczy, wiem, że to mama, a nie koleżanka i w ogóle, ale zawsze była w porządku, podchodziła tak normalnie... Rozumiesz, o co mi chodzi, nie? Na przykład jak się kiedyś napiłam na działce, wino, nic strasznego, ale mało jadłam, i wróciłam z tej imprezy pijana, a ten jej Krystian zaczął mi robić aferę, to mama mało go z domu nie wyrzuciła. Miałyśmy taką zasadę: szczerłość za szczerłość. Że sobie mówimy rzeczy i jakoś je próbujemy potem na spokojnie...”

Był tylko dźwięk, bez obrazu, więc kwadrat programu do odtwarzania wypełniała czerń. Iza wpatrywała się w nią tak intensywnie, jakby chciała się przez nią przebić. Bezwiednie uniosła rękę w stronę ekranu, ale zaraz ją cofnęła i zacisnęła w pięść.



„Ale z tym nie mogłam... W ogóle to ktoś ją pobił w zeszłym roku. Tak mi się wydaje. Mówiła, że to na treningu było, że jakiś boks, ale po tym nie zrywasz się przecież w nocy i nie sprawdzasz trzydzieści razy wieczorem, czy drzwi na pewno są zamknięte, nie? Nawet nie chcę myśleć o tym, co naprawdę jej zrobili. Kiedyś nawet przypomniałam: szczerść za szczerść, ale jeszcze zanim zaczęła mówić, wiedziałam po jej minie, że zaraz skłamię. Zresztą ona chyba nawet tego Krystianowi nie powiedziała. Tylko ojcu, a on gdzieś pojechał i trochę go nie było. Zresztą wrócił też poobijany. Nie wiem, czy coś załatwił, oni oboje coś tam ćwiczą, trenują, ale... No nie wiem po prostu. Nie rozumiem ich czasami... Nie zachowują się jak normalni ludzie po rozwodzie”.

Nastąpiła chwila ciszy, bez szumów i dźwięków tła, więc Iza myślała, że to już koniec. Uniosła rękę, by odsłuchać jeszcze raz, ale Cyprian ją powstrzymał.

– On każe mi wycinać siebie – wyjaśnił. – Żeby nie było jego głosu i pytań, tylko odpowiedzi. Ale tam padło pytanie o to, czym zajmuje się jej ojciec. Powiedziała, o ile pamiętam, że jest przedstawicielem handlowym i że jeździ. Wyciąłem całość.

Iza spojrzała na niego.

– Kto on? Jaki...

Urwała, gdy uniósł palec do ust.

– Słuchaj dalej.

Wróciły szumy, a po nich głos Zośki.

„W sumie to wiesz co? Chyba jednak próbowałam jej powiedzieć... Po tym jak Kinga wylądowała w szpitalu, mama bardzo się o mnie bała. Zadawała w kółko pytania, sprawdzała, czy jestem w domu, czy śpię. Zabrała mnie nawet do swojej terapeutki, żebyśmy porozmawiały, ale ta powiedziała, że to nie powinna być ona, wskazała jakąś inną. I wszystkim mówiłam, że to ta łuszczycyca, bo Kinia naprawdę się tego bała. Opowiadała czasami, jak wyglądają plecy jej ojca, jego uda i że ona by nie mogła tak ze sobą żyć. Mówiłam to, ale nic o Sebastianie, bo... no nie umiałam po prostu. Nie wtedy. Ale któregoś wieczoru, a to było z tydzień po wszystkim, Kinia wróciła już do domu, napisałam jej, że chciałabym się spotkać i porozmawiać, a ona nazwała mnie głupią kurwą, atencyjną szmatą i kazała spierdalać. Wiedziałam, że nie wytrzymam, że muszę komuś powiedzieć, i chciałam iść do mamy, ale wtedy zadzwonił ojciec, a ona wzięła kluczyki i pojechała. Potem przed Krystianem udawała, że to

kto inny był. Strasznie się pokłócili i mama była bardzo niespokojna, a do mnie dotarło, że jednak pewnie ją wtedy zgwałcili, że ona ma swoje problemy, że cierpi i już nigdy nie będzie szczerą za szczerą, bo...”

Zośka zanosła się płaczem, a Iza energicznie zatrzaskała komputer. Potem przez dobre trzydzieści sekund patrzyła przed siebie, oddychając płytko i połykając łzy.

– Całowała się z jej chłopakiem – powiedział Cyprian. – To jest ta jej tajemnica. Dzień przed tym, jak się dowiedziała o badaniu. Szli razem i...

– Zamknij się.

– Chcę tylko...

– Daj mi chwilę.

Podła mu komputer i wysiadła z samochodu. Przez chwilę nerwowo chodziła tam i z powrotem, w końcu otarła oczy, odgarnęła włosy i wróciła do auta.

– Kim jest człowiek, który z nią rozmawiał? – zapytała możliwie spokojnym, rzeczowym głosem.

– To Kamaz, Mariusz Kamaszyński. On jest...

– To ten wielki łysy, po którego dzisiaj przyjechaliście, tak? Ten, co jechał ze mną pociągiem?

– Tak.

Iza przymknęła oczy, zaczerpnęła tchu i bardzo powoli wypuściła powietrze.

– Mówiłeś, że Zosia jest w niebezpieczeństwie – przypomniała. – Co masz na myśli? Czy to jakaś sekta? Czy to jest wasz guru?

Teraz to on potrzebował chwili. Widziała, jak przebiega językiem po wargach, jak drga mu grdyka, a jednocześnie szuka w głowie właściwych słów. Nie ponaglała go.

– On nazywa to rodziną, ale tak, chyba można nazwać nas sektą. A Kamaz... – Urwał, jakby zawahał się tuż przed przekroczeniem jakiejś granicy, jakby próbował zapanować nad strachem. Najwyraźniej mu się to udało, bo po chwili podjął: – Kamaz jest psychologiem, coachem. Trochę podróżował, grał małe role w filmach, robi szkolenia...

– Wiem, kim jest – przerwała mu. – Wygooglowałam go.

Skinął głową.

– Ale to jedna strona. Kilka lat temu z jednym przyjacielem kupili czy tam przejęli podupadającą farmę w Sobieradach niedaleko Białegostoku i założyli... no, takie gospodarstwo agroturystyczne trochę, a trochę

centrum odnowy i bliskości z naturą. Obaj fascynowali się kulturą Indian i...

– Jeśli to nie ma nic wspólnego z moją córką...

– Ma – przerwał jej zniecierpliwiony. – Jak dasz mi powiedzieć, to ci wyjaśnię. Dużo ryzykuję, żeby tu być.

– Dobrze, mów. Przepraszam.

– W tym centrum w ramach zajęć robili różne rzeczy, legalne i nielegalne. Chodzenie po żarze, eksperymenty z ayahuasą, pogrzeby wojowników... Nie wiesz, o czym mówię, prawda? – zapytał, widząc jej minę.

– Zrozumiałam tylko chodzenie po żarze.

– Ayahuasca to wyciąg z pewnej rośliny z dżungli amazońskiej, generalnie narkotyk służący szamanom do przywoływania wizji, kontaktów z duchami. Pije się taki gęsty wywar i potem ma się halucynacje...

– Chryste! I Zośka to piła?!

Potrząsnął głową.

– Nie. A przynajmniej jeszcze nie. To nie ten etap wtajemniczenia. W ogóle, z tego, co wiem, jeszcze nic się u niej nie wydarzyło, badają ją tylko. Chodzi na nasze zajęcia, bierze udział w warsztatach, pomaga przy dzieciakach. Jonasz zresztą odradzał Kamazowi naznaczanie akurat jej przez to, czym zajmował się twój ojciec, ale...

– Co to znaczy naznaczanie?

Cyprian spojrział na zegarek na desce rozdzielczej.

– Zaraz będę musiał wracać, więc bardzo krótko. Kamaz założył rodzinę, plemię. I tak, jak teraz na to patrzę, to sekta. Zbiera do niej ludzi zagubionych, potrzaskanych, takich, którzy mają jakąś wyraźną słabość czy skazę na charakterze. Czasami to nałóg, czasami strata kogoś bliskiego albo po prostu brak celu w życiu. I on daje ten cel. Rozmawia, wyciąga prawdę, daje ci poczucie, że jesteś wśród swoich. A gdy już dołączysz, to... no, podporządkowuje cię sobie. Tresuje nas, nakłania do różnych rzeczy i łączy w pary, przypisuje role takie jak wojownicy, rolnicy, mędrzy czy kucharki. Uczy, że najważniejsza jest rodzina i że wszyscy wokół są przeciwko nam, nawet bliscy. Że dla rodziny robi się wszystko. Łamie...

Urwał i dał sobie chwilę, by wziąć się w garść. W końcu odchrząknął i otarł twarz rękawem.

Jak wtedy gdy był dzieckiem, przypomniała sobie Iza, kiedy upadł i wstydził się przed nią swoich łez. Dotknęła jego ramienia, ale strącił jej

dłoń.

– Ma różne sposoby, Izo. Niektórym z nas nie pozwala przeklinać, a jak to robimy, każe nam pić różne paskudne rzeczy. Jednemu chłopakowi kazał kiedyś wypić wrzątek. Nie odratowali go. Innym każe trzymać kij nad ogniem, nisko, prawie w płomieniach. I nie wydać z siebie żadnego dźwięku, dopóki on mówi. A potrafi mówić długo. Dwie osoby potrzebowały po czymś takim przeszczepu skóry. Ale żadna z nich go nie wsypała. Jedna dziewczyna potem się zabiła, ale milczała do końca. Kamaz wmówił wszystkim, że prowadzi gdzieś inny dom rodziny.

– Inny dom?

– Tak, ale to mit – wyjaśnił. – Dowiedziałem się przypadkiem, bo niechcący usłyszałem, jak rozmawiał z Jonaszem. Generalnie wmawiają ludziom, że jest nas dużo więcej, tylko działamy jak niezależne komórki. Dzięki temu skuteczniej nas zastrasza, ale jeśli ktoś jest niewygodny albo coś sobie robi, Kamaz udaje, że go tam odsyła.

Iza docisnęła ręce do skroni, czując, że zaczyna ją boleć głowa. Jak to możliwe, że znowu wpierdolili się w takie gówno?! I to tym razem najwyraźniej bez udziału Drelicha.

– Ten Jonasz, o którym mówisz – podjęła. – Kto to?

– Prawa ręka Kamaza. Dawno temu gliniarz, jak twój ojciec. Jego syn był jakimś antropologiem, badał historie Indian, ich rytuały. Potem wraz z Kamazem założyli to wszystko. Młody Jonasz wciągnął w to swojego ojca, a kiedy zmarł, stary przejął po nim rolę i imię. Odrodził się w pogrzebie wojownika i...

– Użyłeś już wcześniej tej nazwy – przypomniała mu. – Co to znaczy i czy moja córka...?

– Nie, Zośka jeszcze tego nie doświadczyła. Pogrzeb to taki rytuał, gdzie udają, że grzebią cię żywcem. Normalnie nic strasznego, stary indiański rytuał odrodzenia. Bardzo popularne w Japonii na przykład, żeby odnaleźć wewnętrzny spokój. Tyle że tam wkładają cię do dołu wyłożonego derką, potem kładą stelaż i przysypują go tak, że wciąż masz wielką dziurę do oddychania. Możesz też dać sygnał, żeby cię szybko odkopali, kiedy naprawdę zaczniesz panikować. I u nas też tak było, ale tylko na początku...

Przerwał, unosząc rękę na znak, że znowu potrzebuje chwili, by się uspokoić. Iza skinęła głową, choć miała ochotę krzyknąć mu w twarz, by wziął się, kurwa, w garść.

– Potem na jakiś czas Kamaz zrobił z tego próbę wiary – podjął w końcu. – Próbę lojalności. Można się było zgłosić, by pokazać, że jesteś prawdziwie oddany rodzinie, i awansować. Wtedy zakopywał cię w drewnianej skrzyni prawie dwa metry pod ziemią, a do oddychania miałeś tylko gumową rurkę szerokości kciuka.

– Jezu...

– Kamaz mówił, że musisz poczuć więź z ziemią, oczyścić się z brudu. I że to prawdziwy pogrzeb, bo on jeszcze nie wie, ani kiedy cię odkopie, ani czy w ogóle. Musisz uwierzyć, być szczerze oddany. A on musi dostać znak od natury, że...

Znowu umilkł, ale tym razem szybko potrząsnął głową, jakby chciał otrzepać się z odrętwienia.

– Nie każdemu to robił – powiedział w końcu. – Ale to był krok do wyższego wtajemniczenia. Jeśli na to pozwoliłeś, mogłeś awansować. Dostać tajemnic. Stać się starszym w rodzinie.

Iza przyjrzała mu się z uwagą.

– Poszedłeś na to?

Nie odpowiedział.

– Jezu, Cyprianie!

– Teraz już w ogóle tego nie robimy – podjął w końcu wciąż wpatrzony w ścianę. – To znaczy, jak zaślubia jakąś parę, urządzamy im zwykły pogrzeb wojownika, bez prawdziwego zakopywania, tylko trochę ziemi i gałęzie. Kładzie się ich razem, oni leżą przez trzy godziny, a my śpiewamy. Ale Jonasz powiedział, że jeśli ktoś kiedyś te śluby złamie w taki czy inny sposób, to będzie musiał je odnowić, a wtedy... wtedy...

– Wtedy co, do cholery?!

Otarł oczy i powoli przeniósł wzrok na Izę.

– Wczoraj z Jonaszem pół nocy kopaliśmy dół dla takiej dwójki – powiedział. – Uciekli z rodziny trzy lata temu, ukrywali się w Niemczech, ale Jonasz ich wytropił. Kilka osób w tajemnicy przed resztą pojechało tam, zabiło przyjaciół tej pary, a ją ściągnęli z powrotem. I teraz ta dwójka za kilka dni będzie miała rytuał odnowienia ślubów. Zakopujemy ich i...

– Dość – przerwała mu Iza. – Kurwa, dość.

Najbardziej na świecie chciała teraz wysiąść z tego samochodu, pójść na górę i sprawdzić, czy u Zośki wszystko w porządku. A potem, najlepiej jeszcze dziś, zabrać ją ze sobą z powrotem do Warszawy!

Nie ruszyła się jednak. Wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Siedziała więc wpatrzona przed siebie, jak wcześniej Cyprian, myśląc o wszystkim, co usłyszała. O słowach swojej córki. O najintymniejszych rzeczach, które mówiła zupełnie obcemu człowiekowi. O sprawach, o których nie wiedziała nawet ona, chociaż powinna. Przecież była jej matką.

– Ktoś to kiedyś zgłosił? – zapytała w końcu. – Ktoś poszedł z tym na policję?

Cyprian zaśmiał się gorzko.

– Z czym, Izo? – zapytał. – Z czym mieliby iść? No i kto niby? Nawet jakby policja przyjechała na rytuał i zapytała Igora i Klarę, czy chcą dać się zasypać, to powiedzą, że tak. Bo inaczej Kamaz zrobi krzywdę ich dziecku. Bo wierzą w inne domy, bo nie wiedzą, jak oddani są ludzie wokół nich. Ty naprawdę nie wiesz, do czego on jest zdolny! Nie wiesz, jak głęboko wchodzi ludziom do głów. Jak wiele kosztuje...

– Ale ty tu jesteś – weszła mu w zdanie, ostro, stanowczo. – Tylko dlaczego dopiero teraz? Dlaczego od razu nie przyszedłeś do mojego ojca, nie powiedziałeś, że moją córkę wciąga pierdolona, kurwa, sekta?!

Zauważyła, że krzywi się przy każdym jej przekleństwie, jakby przełykał coś ostrego. Przypomniała sobie, co mówił o tym guru – jak kazał pić wrzątek i zakopywał pod ziemią. Zaraz, jak to powiedział dzisiaj Krystian? Jak go nazwał? Bardzo fajnym gościem. Kurwa mać!

– Widziałem, jak jedna z naszych dziewczyn zrobiła coś strasznego, by chronić Kamaza – powiedział w końcu Cyprian. – Wtedy tak naprawdę przejrzałem na oczy, ale bałem się coś zrobić. Potem zaślubił mnie z Magdą, dziewczyną niewiele starszą od twojej córki. Zaszła w ciążę, ale ja wciąż się bałem, może nawet jeszcze bardziej. W końcu... w końcu zabili mi matkę, Izo. Rodzina potrzebowała się przeprowadzić, a ja dziedziczyłem Ponderosę, więc ją zabili. I policja nic z tym nie zrobiła. Ja nic z tym nie zrobiłem. Przyszli, powiedzieli, że mama umarła i że muszę jechać załatwić sprawy spadkowe. Nawet nie musiał nikogo ze mną posyłać, sam przyjechałem. Bo jest pewien, że wciąż ma nade mną władzę. No i ma moją Magdę, moje dziecko.

Przerwał i zerknął na zegarek, po czym sięgnął do laptopa, by wyjąć pendrive'a. Iza spróbowała go powstrzymać, ale wyszarpnął nośnik i w zamkniętej pięści docisnął do piersi.

– Zabijesz mnie, jeśli to w jakikolwiek sposób do nich wróci – powiedział zaskakująco spokojnie. – Zabijesz mnie, moją kobietę, dziecko, a może

także swoją córkę. Bo ja wiem, że pewnie ją stąd teraz zabierzesz. Że pewnie uciekniesz jutro z samego rana. Ale to nie ułatwi sprawy, bo Kamaz... On jest szalony i byłby gotów poświęcić nas wszystkich, żeby osiągnąć swój cel. Znajdzie was, a jeśli nie on, to Jonasz, ktoś z rodziny, z wojowników.

Chciała coś na to odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie. Zamiast tego zapytała:

– Ile was jest? W sensie w całej... rodzinie?

– Dwadzieścia dziewięć osób, z czego szóstka to dzieci. To znaczy o nich wiem, bo gdzie indziej...

– Mówiłeś, że inne domy to bzdura – przypomniała mu.

– Bo bzdura – zgodził się. – Ale to nie znaczy, że nie ma innych osób, powiedzmy, zaprzyjaźnionych. Takich, z którymi rodzina blisko współpracuje albo...

Potrząsnął głową.

– Nie, Iza, nie mam na to czasu. Przyszedłem powiedzieć ci o Zośce, ale i złożyć pewną propozycję.

– Propozycję?

Przytaknął.

– Też chcieliśmy uciec, Magda i ja. Gdy zabili moją mamę, postanowiliśmy uciec jak Klara i Igor. Teraz, gdy ich przywieźli, Magda powiedziała, że zabije siebie i nasze dziecko, bo nie chce, by dostał je Kamaz. Dlatego przyszedłem. Bo pomyślałem, że...

Spojrzał na nią, jakby liczył, że dokończy tę wypowiedź za niego, oszczędzi mu mówienia. Nie zrobiła tego, więc westchnął i podjął:

– Zabranie stąd Zośki nic nie da, tak samo zgłoszenie Kamaza na policję. Potrzeba jeszcze zeznań i dowodów, a ja jestem w stanie dostarczyć jednego i drugiego. To znaczy przynieść dowody i samemu zeznawać. Ale tylko pod warunkiem, że Magda i moje dziecko będą bezpieczni. I mówiąc szczerze, nie wiem, jak wiele mam czasu. To znaczy jeszcze przez jakiś czas jestem bezpieczny...

– Bo trwa sprawa spadkowa, tak? – domyśliła się. – Bo to ty jesteś właścicielem ziemi?

– Tak, Ponderosa jest prawnie moja. Jeszcze na nic nie naciskali, ale będą. Gdybym tylko mógł ją sprzedać w zamian za wolność dla siebie, Magdy i dziecka, zrobiłbym to. Znam jednak Kamaza. To tak nie zadziała.

Znowu przerwał i zaśmiał się cicho, smutno.

– Z chęcią bym teraz zapalił – powiedział. – Ale się boję. Zupełnie jak w szkole. Bo u nas nikt nie pali, wyczują.

– Jaką masz do mnie sprawę, Cyprianie? – zapytała Iza. – Jaką propozycję?

– Ta ziemia jest warta kilkanaście milionów. Kiedyś jakiś facet od wesołych miasteczek chciał kupić od taty teren pod park i plany. Za samo to oferował mnóstwo pieniędzy. Ja bym się tym podzielił, zabrałbym tylko tyle, byśmy z Magdą i dzieckiem mieli za co żyć. A dodatkowo dostarczyłbym dowodów, dużo dowodów na Kamaza i resztę. I całkowicie odwrócił uwagę od twojej Zosi. Tylko muszę znaleźć kogoś, kto nas z tego wydostanie.

Iza długo milczała, bijąc się z myślami i stukając paznokciem kciuka o zęby. W końcu odwróciła się twarzą do niego.

– Skąd w ogóle pomysł, że znam kogoś, kto mógłby ci pomóc?

– To żaden pomysł. – Potrząsnął głową. – Ja po prostu nie mam nikogo innego z zewnątrz.

– Mnie też nie masz – weszła mu w zdanie. Ostro, ale czuła, że tak właśnie trzeba. – Nie jesteśmy przyjaciółmi, nie jestem ci niczego winna. Przyszedłeś, ostrzegłeś mnie, dziękuję, ale cała reszta to duża rzecz, rozumiesz? Poważne pakowanie się w nie swoje gówno.

Otworzył usta i zaraz je zamknął, zwiesił głowę.

– Na twoim miejscu pozwoliłbym jutro iść Zośce do Ponderosy – powiedział, łapiąc za klamkę. – Jonasza i Kamaza nie ma, będą po południu, a jak Zośka tak nagle zniknie, to może być podejrzane. Lepiej nic jej nie mów, a potem wpadnij po nią po południu, powiedz, że macie jakiś wyjazd. Może Kamaz jeszcze się nie przywiązał...

Spróbował wysiąść, ale złapała go za rękę. Spojrzał na nią i uśmiechnął się smutno.

– Rozumiem, Izo – rzucił. – Nie musisz nic mówić, bo tak naprawdę nawet nie liczyłem, że pomożesz. Masz rację, niczego nie jesteś mi winna. Przyszedłem tu, bo...

– A gdybym kogoś znalazła? – zapytała i zaraz dodała szybko: – Nie mówię, że znajdę, ale gdyby mi się udało, to jak mogę ci o tym powiedzieć?

Widziała, jak w jego oczach rozpalają się ogniki, i z miejsca poczuła obrzydzenie do siebie samej, że robi mu nadzieję. Przecież знаła Drelicha,



wiedziała, co odpowie w takiej sytuacji. I że użyje argumentów, z którymi nie będzie mogła się nie zgodzić.

– Gdybyś kogoś znalazła, to spotkajmy się w Ponderosie przy potoku za dwa dni o drugiej w nocy – odparł. – Mam wtedy dyżur i myślę, że uda mi się wyrwać na chwilę. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem. – Skinęła głową. Zastanawiała się, czy zapytać, dlaczego akurat za dwa dni, ale uznała, że to teraz nieważne.

Puściła go i wysiadł, ale zanim zamknął drzwi, jeszcze się nachylił.

– Wiem, że to trudne, ale niech Zośka nie zniknie bez słowa – powiedział. – Naprawdę nie chcesz zwrócić na nią niepotrzebnej uwagi.

Zamknął drzwi, a potem już w lusterku widziała, jak przeciska się pod uchylonymi drzwiami bramy garażu.

## 26

Gdy się ocknął, napastników już nie było. Upewnił się dyskretnie, zanim zaczął wykonywać gwałtowniejsze ruchy, bo nie chciał zarobić kolejnego ciosu. Dopiero potem sięgnął ręką do twarzy i dotknął ust pokrytych świeżą krwią. W zeszłym roku, również w wyniku starcia na parkingu, dorobił się złamanego nosa i przez moment miał wrażenie, że zaliczył powtórkę. A jednak nie, ale po tym, jak już odpłynął, dostał jeszcze przynajmniej raz w twarz, kilka razy w zębra i brzuch.

Stęknął, gdy podnosił się najpierw na kolana, a potem, wsparty o forda, na nogi.

Oba samochody stały na miejscu, szelki, kominiarka i czapka leżały tam, gdzie je rzucił, woreczek z protezą, który w chwili ataku trzymał w ręce, znajdował się koło tylnego koła. Zniknęła tylko torba z zegarkami, co wyraźnie wskazywało, że napastnicy wiedzieli, po co przyszli. Drzwi od strony pasażera były otwarte – Chryпка zniknęła, co dawało do myślenia. Skąd wiedzieli o tym parkingu?

To nie czas na zastanawianie się nad tym, skarcił się w myślach. Zerknął na zegarek i musiał przez kilka sekund skupiać wzrok, by w końcu dostrzec wskazówki. Wyglądało na to, że leżał około pięciu minut. Długo. Ostrożnie pochylił się nad tylnym siedzeniem, by zabrać swoje rzeczy, i wtedy z przodu zobaczył stopę zahaczoną o próg.

Jego niedawny kompan leżał na ziemi, prostopadle do samochodu. Ewidentnie ktoś go musiał wyszarpnąć, ledwie wypiął się z pasów, i potraktować czymś, co pozbawiło go przytomności. Pewnie taserem albo zdzielił go wyjątkowo mocno pięścią.

Drelich zebrał swoje rzeczy. Woreczek z protezą, kominiarkę i radio włożył do czapki, całość owinął szelkami. Stracił jedynie ubranie do przebrania po skoku i telefon na kartę, ale nie przejmował się tym zbyt – nowe ciuchy i karta wzięta na ukraińskiego słupa były tropem donikąd. Jedyne problem stanowiło teraz skontaktowanie się z Krachem, bo swój właściwy telefon zostawił z plecakiem w schowku na dworcu.

Obszedł samochód i przykucnął przy głowie Chrypki otoczonej aureolą krwi. Nie wyglądało to dobrze, ale sprawdził mu puls i facet żył. Dlatego go obmacał i znalazł przy nim szaszetkę z wyłączonym prywatnym telefonem oraz smartfona, którego używali jako monitora do kamer. Wciąż wyświetlał widok z katowickich ulic, ale Drelich już tego nie potrzebował, więc rozłączył program i wyłączył urządzenie. Następnie usiadł na ziemi, zdjął buta i odwinął plaster przyklejony do dużego palca. W środku znajdowała się karta mikro-SIM i maleńki drucik do smartfona. Odkleił je, wymienił kartę w telefonie, po czym wybrał numer Kracha, który zapamiętał jako przygotowany wyłącznie na tę akcję. Mężczyzna odebrał po trzecim sygnale, ale się nie odezwał.

– To ja – zaczął Drelich. – Po wszystkim.

Krach wyraźnie odetchnął.

– Znakomicie. Jak poszło? I dlaczego dzwonisz z awaryjnego numeru?

– Akcja poszła dobrze, ucieczka również – odparł Drelich spokojnie, a mówiąc, odsunął się dwa kroki od Chrypki, jednocześnie uważnie obserwując jego twarz. Wokół robiło się coraz jaśniej, więc nie było to trudne. – Niestety po akcji już fatalnie. Jestem na parkingu między autami dwa i trzy. Pięć minut temu zawinięto nam towar. Właśnie oprzytomniałem.

– Co, kurwa? – Słysząc było, że Krach, choć wzburzony, stara się mówić jak najciszej. Pewnie był w domu. Po to potrzebował tych dwóch sygnałów, zanim odebrał, by zamknąć się w łazience. – Chcesz powiedzieć, że... Co właściwie chcesz powiedzieć? Że ktoś was napadł?! Ukradł towar?! Jakim cudem?!

– Tak, okradli nas. Musieli wiedzieć, bo czekali tu na nas. Co najmniej trzech, może czterech. Załatwili mnie w walce, ale nawet nie przeszukiwali. Zabrali tylko torbę.

– Gdzie Chrypka?

– Leży koło mnie, żyje, ale ledwo. Oberwał po łbie mocniej niż ja.

Krach albo odetchnął, albo westchnął – w tych okolicznościach trudno było stwierdzić.

– Jak to w ogóle możliwe? – zapytał w końcu. – Ktoś oprócz ciebie wiedział, że auto będzie tam stało?

Drelich spodziewał się tego pytania, więc odpowiadając, przyjrzał się bardzo uważnie twarzy Chrypki, gotowy zareagować na pierwsze oznaki przytomności.

– Nikt, tylko ja. Pilnowałem się, gdy tu jechałem. Co prawda nie sprawdzałem auta pod kątem nadajników...

– Kurwa, Drelich!

– Nie krzycz, rozważam. W każdym razie jeśli nie przez niego załatwiałeś wóz, Chrypka miał wcześniej dostęp tylko do samochodu numer dwa. I dlatego właśnie chciałem zmienić auto w czasie akcji. Jeśli on za tym stoi, to nie mam pojęcia jak.

Ślżzak nie zareagował nawet drgnieniem powieki, co najpewniej znaczyło, że naprawdę jest nieprzytomny. Krach natomiast znowu umilkł na kilka sekund. Drelich pozwolił mu na to, uważnie obserwując drogę i myśląc już, co następnie powinien zrobić. Jakie powinny być jego kolejne kroki.

– Muszę to na spokojnie przemyśleć – powiedział w końcu.

– Drelich, kurwa, jakie spokojnie? Zdajesz sobie sprawę, że to był towar wart prawie dwie bańki? I to towar, który...

– O tym jutro – przerwał mu Drelich. – Teraz myśl, co zrobić z Chrypką. Tu go nie zostawię.

– To na jakieś pogotowie trzeba. Jest opcja, żebyś go podrzucił bliżej domu? – zapytał w końcu Krach. – Mieszka... czekaj... w Siemianowicach.

– W Świętochłowicach – poprawił go, pamiętając rozmowę z Kafeja. – I nie, nie ma takiej opcji. Ale mogę podrzucić go gdzieś, gdzie będzie wzbudzał mniej podejrzeń i ktoś go szybciej znajdzie.

– Nie wykrwawi się?

– Nie. Czy to wystarczy?

– Tak, wystarczy. A wracając do towaru...

– Jutro u ciebie. Pogadamy.

Rozłączył się, wyjął kartę i razem z telefonem wsadził do kieszeni. Potem ostrożnie, by nie wdepnąć w kałużę krwi, podniósł Chrypkę i zarzuciwszy sobie na ramię jego rękę, przeniósł go do citroëna, po czym położył na tylnym siedzeniu. Otarł mu twarz kominiarką, zdjął szelki, saszetkę i wetknął na głowę czapkę, by zasłonić ranę na głowie. Wnętrze forda zalał wybielaczem ze schowka, upewnił się jeszcze raz, że niczego nie zostawili, i pozamykał drzwi. Wszystkie ich rzeczy wrzucił do bagażnika citroëna, pod podłogą, w schowku na zapas, a potem wsiadł za kierownicę, odblokował telefon, włączył mapy Google i poszukał jakiejś dobrej lokacji.

Ostatecznie zostawił Chrypkę na ławce w parku chorzowskim, niedaleko wesołego miasteczka i parkingu, na którym spotkali się przed wyruszeniem

na akcję. W parku oczywiście mogły być kamery, dlatego zachował podstawowe środki ostrożności, takie jak trzymanie głowy nisko i nieskładny chód, by zbudować wrażenie, że oto jeden pijak odprowadza drugiego po zwariowanej piątkowej nocy. Uznał, że nawet lepiej, gdyby był tam monitoring – przynajmniej szybciej go zauważą.

Posadził Ślązaka na ławce, dyskretnie upewnił się, że ten wciąż żyje, po czym wyjął jego komórkę, uderzył ekranem o kant i włożył mu ją do ręki. Dzięki temu, gdy Chrypka się ocknie, wciąż będzie mógł zadzwonić po pomoc, a jeśli ktoś go znajdzie nieprzytomnego, nie będzie zdziwiony, że złodziej nie zabrał telefonu.

Zastanawiał się, co teraz powinien zrobić. Nie chciał się pokazywać na dworcu ani z zakrwawioną twarzą, ani w stroju, w którym dokonał napadu. Nie zamierzał też błąkać się po Katowicach, a jedyną drogą, jaką względnie pamiętał, była ta prowadząca do umówionej skrytki w Gliwicach, gdzie planował zostawić towar przed wyjazdem, i do wynajętego wcześniej mieszkania.

Uznał, że sforsowanie drzwi do klatki oraz zamka w skrzynce na listy nie powinno stanowić dużego problemu, a przynajmniej będzie mógł się porządnie umyć i choć chwilę przespać. Potem kupi w pobliskim odzieżowym coś do przebrania i maszynkę, by się ogolić. W końcu na tym etapie już mu się nigdzie nie spieszyło. Wręcz przeciwnie, czas działał na jego korzyść, bo w świecie pełnym ludzi zdecydowanie łatwiej się ukryć.

Samochód zostawił z kilometr od mieszkania, w jednej z bocznych ulic. Wyczyścił, co się dało, zabrał rzeczy z bagażnika i resztę drogi pokonał pieszo. Dostał się na klatkę, wydobył klucze ze skrzynki i wszedł do domu. Gdy zamknął za sobą drzwi, rozebrał się do naga i przemył twarz, a potem obejrzał obtłuczone żebra i spojrzął w lustro.

– Kurwa mać! – warknął, po czym splunął krwią.

Podeszli z lewej, od strony fryzjera. Zdaniem Łukasza była to zbędna ostrożność, bo przecież i tak okno baru U Grażyny było wyklejone – by ich zobaczyć, ktoś musiałby specjalnie przyglądać się przez szczeliny. Jonasz odpowiedział mu wtedy, że od ostrożności, zbędnej czy nie, to jest on, i Łukasz ma zaparkować na osiedlu. Tak więc się stało.

Wzdłuż pawilonu szli gęsiego, Łukasz z laptopem pod pachą pierwszy, Kamaz w środku, Jonasz zamykał pochód. W takim też porządku weszli do lokalu, a ledwie to zrobili, Jonasz odwrócił się i zamknął drzwi na tkwiący w zamku klucz.

U Grażynki było typową jadłodajnią w estetyce barów mlecznych. Na lewo od wejścia na ścianie pod sufitem wisiał telewizor, na którego ekranie wyświetlał się akurat „Nowy dzień z Polsat News”. Nadawali właśnie informację, że w nocy włamano się do jednej z galerii handlowych na Śląsku i okradziono tamtejszego jubilera. Jonasz bez trudu rozpoznał po zdjęciach, że mowa o Silesii City Center.

Na wprost mieścił się obudowany boazerią kontuar, zastawiony kasą fiskalną, koszyczkami na sztuce i tacą z kompotami. Jego integralną część stanowiła przeszklona lada chłodnicza, obecnie pusta, jeśli nie liczyć karteczek z cenami i nazwami deserów.

Cała przestrzeń dla konsumentów, czyli siedem kwadratowych, obciążonych ceratą stolików, mieściła się po prawej. Pięć z nich było obecnie zajętych – z czego dwa w komplecie, a klientelę stanowili wyłącznie mężczyźni. Wszyscy bez wyjątku zwrócili uwagę na wchodzących, na moment przerywając trwające rozmowy.

– Widzę trzech – szepnął Jonasz. – Ale Dziary nie ma.

– Są wszyscy, policz talerze – odparł równie cicho Kamaz.

Zajęli wolny stolik przy samych drzwiach, tak by obaj mieli ogląd na całą salę.

Łukasz tylko odłożył laptopa i od razu skierował się do baru. Nic nie robiąc sobie z wlepionych weń spojrzeń, uśmiechnął się do właścicielki

lokalu i głośno zamówił cztery porcje jajecznicy, dwie z szynką na osobnych talerzach i jedną podwójną na samym maśle. Do tego trzy kawy.

Grażyna Tuczko, bo tak nazywała się otyła sześćdziesięciolatka o opuchniętej twarzy, zbyt mocnym makijażu i włosach farbowanych na platynowy blond, nabiła wszystko na kasę i nieco rozedrganym głosem nadała zamówienie na kuchnię. To, niczym magiczne zaklęcie, przywróciło głosy obecnym na sali i gwar, który wcześniej przycichł, znowu zaczął przybierać na sile. Wyraźnie jednak dało się wyczuć, że w wypełniającą lokal woń kawy, smażonych jajek, wody po parówkach i taniej musztardy wkradła się pewna nerwowość. Raz po raz ktoś zerkał na nowo przybyłych, a pytanie, co oni tu, kurwa, robią, wplotło się gładko we wcześniejsze tematy.

Kamaz zupełnie na to nie zważał. Otworzył komputer, wpisał hasło, a następnie przesunął urządzenie w stronę miejsca Łukasza.

Jonasz z kolei wyjął z kieszeni niewielki notes, otworzył na stronie założonej czarną wstążeczką, wysunął z gumowej pętelki skrawek ołówka i wodząc wzrokiem po klientach baru, zaczął wynotowywać nazwiska obecnych.

Wiedział, że wszyscy są zatrudnieni w pobliskiej mleczarni. Większość za czterdzieści trzy minuty zaczynała zmianę, ale byli też tacy, co woleli przyjść tu z pobliskiego osiedla i skorzystać z zakładowej zniżki, niż użerać się z rana w domach z żonami i dziećmi. Kawa, herbata, kompot, jajecznica czy parówki były tu dla nich śmiesznie tanie.

Jonasz spojrzał na chudego, wysokiego wąsacza siedzącego pod ścieralną tablicą z jadłospisem, szefa magazynu nabiału, i zanotował: Witczak. Potem: Izdebski, Halama, Oleś. Następny stolik: Cichoń i Limczak albo Libczak. Kolejny: Mietwiejczuk, Golinowski, Szulej...

W międzyczasie wrócił Łukasz. Spojrzał na ekran komputera, westchnął i podał Kamazowi, by ten ponownie wpisał hasło. Następnie powiódł palcami po touchpadzie, otworzył jakiś program i spojrzał na Jonasza pytająco.

– Chwila, zaraz będzie – odparł starszy mężczyzna i po chwili namysłu zapisał kolejne nazwisko, domykając tym samym obsadę czwartego już stolika.

Z ostatnim było najłatwiej, bo siedzieli tam ci, do których tu przyszli. Ci, którzy napadli na dawny dom rodziny. Tokarski, Zdanowicz i Godzic – zanotował Jonasz. Dwaj pierwsi pod pięćdziesiątkę, niespokrewnieni, ale

podobni za sprawą lat ciężkiej pracy i ciężkiego chłania, trzymali głowy nisko i raz po raz zerkali ku Kamazowi z wyraźnym przestachem. Trzeci, sporo od nich młodszy świński blondynek z rzymskim nosem, mówił coś cicho. On z kolei łytał z wyraźną nadzieją w stronę drzwi toalety.

To właśnie tam musiał znajdować się Piotr Oszwędowski zwany Dziarą, prawdopodobny prowodyr i zdecydowany lider wczorajszych agresorów, zidentyfikowany na nagraniach z kamer. Jego nazwisko pojawiło się więc w notatniku, tyle że z dwoma pytajnikami.

– Gotowe – powiedział w końcu Jonasz i podał listę Łukaszowi. Ten otworzył folder SOBIERADY i z dziesiątek plików zaczął wybierać te właściwe, opisane nazwiskami.

Z łazienki dobiegł ich szum spuszczonej wody, a Grażyna Tuczek wyszła właśnie zza kontuaru, niosąc dla nich tacę z trzema kawami.

– Proszę, kawa – powiedziała, stając nad nimi i uśmiechając się sztucznie. – A jajecznicę zaraz przyniosę.

– Podejdę – odparł Łukasz, nie odrywając wzroku od komputera. – Proszę tylko powiedzieć kiedy.

Skinęła głową i z wyraźną ulgą wróciła za ladę.

Z łazienki rzeczywiście wyszedł Dziara. Był dużym, dobrze zbudowanym mężczyzną, wyglądającym na trzydzieści, może trzydzieści dwa lata. Spod rękawów spłowiełej czerwonej koszulki polo, z krokodylkiem nad lewą pierśią, wyłaniały się rozmyte, wyblakłe tatuaże na umięśnionych rękach.

Dostrzegł przybyłych i się skrzywił, ale odezwał się dopiero, gdy wrócił do stolika. Nerwowo odsunął krzesło.

– Co oni tu, kurwa, robią? – zapytał, kierując to pytanie do kolegów, ale głośno. – Dlaczego pozwalamy im tu, kurwa, siedzieć?

Tokarski zaczął coś do niego mówić przyciszonym głosem, na co ten odburknął tylko, że pierdolenie i że powinni wezwać psy. Złapał za widelec i zabrał się do jedzenia.

– Jajecznica! – zawołała właścicielka.

Dziara odwrócił się na krzesło.

– Pani im tam napluje chociaż! – zawołał i kilku mężczyzn zarechotało.

Łukasz wstał, podszedł do baru i zaczął coś cicho mówić do właścicielki. Ta wyraźnie wystraszona pokiwała energicznie głową, po czym zniknęła na zapleczu. Gdy to zrobiła, Łukasz wziął talerze i wrócił do stolika.

Ten z podwójną porcją postawił przed Kamazem.

– Zaczynamy? – zapytał.



– Tak.

Łukasz położył kabel na otwartym laptopie. Wziął go w jedną rękę, drugą chwycił za oparcie krzesła i podszedł do telewizora. Przesunął go nieco na ruchomym stelażu, by dostać się do umieszczonych z tyłu portów.

Dziara wstał.

– Dobra, starczy tego! – powiedział i zaczął przepychać się między stolikami. – Nie będziecie się tu panoszyć, do chuja pana!

Łukasz, zupełnie na niego nie zważając, położył laptopa na krześle i połączył kablem z telewizorem. Z półeczki przy odbiorniku wziął pilot, zerknął, przełączył na HDMI. Na dużym ekranie pojawił się obraz z monitora. Wtedy Łukasz wcisnął enter.

Oczom wszystkich zebranych ukazało się nagranie z kamery domu rodziny. Urządzenie umieszczone na tylnej ścianie głównego budynku zarejestrowało czterech mężczyzn demolujących kurnik i z uciechą wyłapujących rozbiegane kury. Tym, które udało im się złapać, skręcali karki i rzucali w błoto. Jeden z nich, Godzic, to pojawiał się w kadrze, to znikał. W pewnym momencie wbiegł w pole nagrania z szeroko rozstawionymi rękami, po czym kopnął jednego ptaka tak, że ten wzbił się w powietrze i uderzył w drewnianą ścianę.

Kamaz jadł spokojnie pochylony nad talerzem. Jonasz obserwował. Przykuli ich uwagę, to na pewno. Nawet Dziara zatrzymał się na moment między krzesłami. Zaraz jednak odzyskał rezon.

– Takie są skutki, jak się ludziom...

Urwał, bo na ekranie nastąpiło cięcie. Tym razem kamera uchwyciła, jak Oszwędowski uderza Barbarę. Od silnego ciosu na odlew głowa kobiety poleciała do tyłu, a ona sama osunęła się bezwładnie i uderzyła o schodek.

Do tej pory w barze panował cichy gwar, teraz zaległa cisza. Kilka osób zerknęło na Dziarę, który tkwił między krzesłami, ale napotkawszy jego wzrok, natychmiast odwracali głowy. Godzic patrzył w podłogę, Tokarski i Zdanowicz obserwowali nerwowo sytuację.

– To zgłoś to! – rzucił w końcu Dziara. – Idź, kurwo, na psy i zgłoś, skoro masz nagranie.

Kamaz uśmiechnął się.

– Nie zamierzam – odparł.

– To po chuj tu jesteś w ogóle?! Dawno już mówiliśmy, żebyście stąd wypierdalali, nie? Ty i cała ta twoja jebana sekta!

Pchnął siedzącego przed nim mężczyznę, zmuszając go, by wcisnął się brzuchem w blat, i wyszedł spomiędzy stolików. Od Łukasza przy telewizorze dzieliły go teraz dwa metry, od Kamaza i Jonasza ze trzy.

– Było mówione po dobroci? – rzucił Dziara i zaraz sam sobie odpowiedział: – Było! To teraz mówię, idź na psy i to zgłoś, a jak nie, to...

– To co? – zapytał Kamaz. Odłożył sztućce, otarł usta serwetką, niespiesznie wstał i ruszył w stronę Oszwędowskiego, uśmiechając się szeroko. – Powiedz, proszę, co takiego się stanie.

Dziara spiął się, zerknął w stronę stolików, ale się nie wycofał. Uniósł ręce do gardy, stanął pewnie na nogach, w pozycji do walki.

Jonasz wiedział, że facet umie i lubi się bić. Należał do jakiejś szkoły walki w Białymstoku i kibicowskiej bojówki tamtejszej Jagiellonii. Brał udział w ustawkach, miał kiedyś wyrok za pobicie. Był co prawda niższy i drobniejszy od Kamaza, ale nie aż tak, by wielkość przeciwnika go onieśmieliła. Zwłaszcza że wyglądał na bardziej umięśnionego i zadbanego niż on. Zaatakował, zanim jeszcze Kamaz dobrze ustawił gardę.

Był to szybki atak, nastawiony przede wszystkim na odepchnięcie przeciwnika, pozbawienie go równowagi i wybicie z rytmu. Dziara błyskawicznie dostawił tylną nogę do przedniej i wyprowadził frontalne kopnięcie, mierząc w brzuch Kamaza. Bez wątpienia zrobił to dobrze. Wiedział, skąd ma iść impet, wyprowadzając kopnięcie, odruchowo odgiął się, by utrzymać balans i wyjść z zasięgu ewentualnej kontry. Miał też prawo zakładać, że jako mniejszy i drobniejszy okaże się od niego szybszy.

Ale tak nie było. Gdy noga Dziary wystrzeliła ku niemu, olbrzym błyskawicznie zbił ją lewą ręką na bok, a kiedy przeciwnik poleciał do przodu, Kamaz wyprowadził cios prawą ręką. Tak mocny, że po lokalu poniósł się dźwięk pękającej kości. Oszwędowski stracił przytomność, zanim jeszcze gruchnął o ziemię.

Dwaj mleczarze siedzący najbliżej poderwali się z krzeseł, ale tu skończyła się ich inicjatywa. Zamarli wpatrzeni w Kamaza. Ten pokręcił głową.

– Nic mu nie będzie – powiedział, po czym wziął z lady solniczkę i wrócił do stołu. Dwaj mężczyźni nadal stali. Łukasz ponownie wcisnął „Play”.

Tym razem obraz nie przedstawiał już podwórza przed posiadłością rodziny, tylko wnętrze jakiegoś mieszkania. Na filmie, kręconym ewidentnie nocą, w zielonym trybie noktowizyjnym, widać było chudą

dziewczynę z dredami, trzymającą w ręku nóż. Ilekroć odwracała się do podążającej za nią kamery, jej oczy świeciły się kocio, a usta rozciągały w ekstatycznym, trochę jakby nieobecnym uśmiechu.

Ona i towarzyszący jej operator szli przez wąski przedpokój. Przyglądali się deskom boazerii, macali kurtki na wieszaku, oglądali oprawione w ramkę, spisane dziecięcą ręką „Zasady dobrego domu”. W końcu weszli do pogrążonej w mroku kuchni, a kamera wskazała na zegarek na piecyku. Była godzina trzecia dwadzieścia.

Jonasz uważnie obserwował zebranych, a w szczególności tego, który siedział teraz spięty, z oczami przed chwilą jeszcze zmrużonymi, by lepiej widzieć, ale teraz z każdą sekundą rozszerzającymi się w bezbrzeżnym przerażeniu. Bo właśnie orientował się, że to jego mieszkanie.

Gdy Wiktoria pchnęła delikatnie drzwi do sypialni, a na ekranie pojawili się śpiący gospodarz z żoną, facet poderwał się nagle, jak wcześniej jego koledzy. Jego krzesło poleciało do tyłu i uderzyło o ścianę. Wpatrywał się w telewizor z zaciśniętymi pięściami, na przemian otwierając i zamykając usta, wyraźnie niezdolny wydusić z siebie choćby słowo.

Na kolejnych nagraniach widoczni byli inni członkowie rodziny spacerujący nocą po mieszkaniach mężczyzn obecnych na sali. Rozbawiony Marcel pił mleko z lodówki Witczaka, Klara wpatrywała się w skupieniu w śpiącą czteroletnią córkę Izdebskiego, a Aldona unosiła kołdrę Limczaka czy Libczaka i śmiała się bezgłośnie z jego bladego tyłka. Był nawet Wojtek, wyraźnie zestresowany, na swoim pierwszym nocnym rajdzie u Zdanowiczów.

Te nagrania miały już maksymalnie po pół minuty. Gdy leciały, słyhać było tylko ciche mlaskanie Kamaza i jego widelec uderzający raz po raz o talerz. Nikt się nie odezwał, wszyscy z przerażeniem wpatrywali się w ekran.

Wreszcie pokaz się skończył, a olbrzym odsunął od siebie resztkę jajecznicy i sięgnął po chusteczkę.

– Nie ma takich zamków, które nas powstrzymają – powiedział. – Mieszkaliście obok nas, ale nie wiecie, kim jesteśmy, ilu nas jest, gdzie się kryjemy i do czego tak naprawdę jesteśmy zdolni. Możecie na nas skarżyć, polować, ale dopóki nie schwytacie wszystkich, dopóki zostanie choć jeden, jesteście na naszej łasce.

Wstał i ruszył w stronę kontuaru, wyciągając z tylnej kieszeni portfel.

– Zabrakło wam tygodnia – mówił. – Niemal wszystko było już spakowane, prawie wszyscy wyjechaliśmy i naprawdę nie planowaliśmy wracać. Chcieliśmy wam darować wszystkie nieprzyjemności, kontrole, po prostu o was zapomnieć. Ale wtedy zaatakowaliście jedną z nas.

Położył na kontuarze dwa banknoty dwudziestozłotowe, po czym sięgnął po szklanekę z kompotem. Zdjął z góry folię i wypił kompot do połowy. Odstawił.

– Tym, którzy zabili nasze zwierzęta – ciągnął – i zbezczęścili nasz dom, darujemy. Czasem braliśmy od was cukier czy mąkę, więc uznajmy, że jesteście kwita. Temu – głową wskazał na Dziarę – powiedzcie, że cokolwiek zrobi, następnym razem odpowiedzialność będzie zbiorowa.

Spojrzał na zegarek, potem na Łukasza i Jonasza.

– Chodźmy.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### 28

Po nocnym telefonie od Drelicha Krach wiercił się w łóżku przez kwadrans, świadom, że już nie zaśnie. W końcu, nie chcąc budzić Sylwii, zszedł na dół, wziął prysznic, ubrał się do wyjścia i za pomocą aplikacji zamówił sobie śniadanie do biura na wpół do siódmej.

Sam dotarł na miejsce za piętnaście szósta. Przywitał się z ochroniarzem, który taktownie nie zapytał o powód tak wczesnego przybycia. W innych okolicznościach Krach doceniłby ów takt, proponując mężczyźnie porządną kawę, ale dziś nie było ku temu warunków. Podczas samej tylko drogi od auta do gabinetu trzy razy sprawdził telefon, czy nie uciekła mu jakaś pilna wiadomość.

Kolejnego połączenia od Drelicha raczej się już nie spodziewał, ale pozostawał Chrypka, jeśli się ocknął, oraz oczywiście klient. O brawurowym napadzie na galerię handlową mówiono w wiadomościach każdej stacji radiowej, więc nie było możliwości, by nie usłyszał, że już po wszystkim.

Krach wszedł do biura, położył teczkę na biurku i zdjął marynarkę. Spomiędzy papierów wygrzebał pilot do telewizora, włączył i nastawił na TVN24. Emitowany właśnie materiał podejmował temat ogromnych pożarów w Afryce, ale informacja o wydarzeniach na Śląsku już śmigła na pasku, więc podbił głośność i wyszedł do sekretariatu zrobić sobie latte.

„Do zuchwałej napaści doszło ubiegłej nocy w Katowicach. Około trzeciej w nocy nieznanemu sprawcy wjechali samochodem w drzwi Silesia City Center, największej górnośląskiej galerii handlowej. Następnie urządzili sobie rajd wąskimi alejkami centrum, kończąc eskapadę przy salonie popularnej sieci jubilerskiej Jubilee...”.

Wrócił i usiadł na kanapie, wpatrzony w telewizor. Na ekranie pojawiła się właśnie policjantka podpisana jako podkomisarz Marlena Nec z komendy miejskiej w Katowicach. Niewysoka blondynka z włosami związanymi w koński ogon mówiła spokojnie, konkretnie, uważnie dobierając słowa: „Na ten moment ustalono, że celem sprawców był salon jubilerski, skąd skradziono przede wszystkim zegarki o znacznej wartości. Na miejscu wciąż pracują katowiccy policjanci, zabezpieczając ślady, a także inne materiały dowodowe, które mają pomóc w ustaleniu sprawców i ich zatrzymaniu”.

Obraz zmienił się, kamera pokazała radiowozy zasłaniające widok do rozbitego wejścia galerii od strony parkingu. W wyrwie po wyłamanych drzwiach krzyżowała się policyjna taśma, a nieco bliżej rozmawiało dwóch mundurowych, łypiąc raz po raz na grupę gapiów.

„Napastnicy byli uzbrojeni – kontynuował reporter z offu – a w czasie zajścia padły strzały. Ranny został interweniujący pracownik ochrony, którego odwieziono do szpitala. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo”.

Krach upił kawy.

– Tak, ranny od razu – mruknął. – Postrzelony, kurwa, z hukówki.

Materiał na temat napadu się skończył, więc wyciszył telewizor i dopił kawę wpatrzony w migające obrazki na ekranie, ale wsłuchany już tylko we własne myśli, które towarzyszyły mu od telefonu Drelicha.

Co i dlaczego poszło nie tak?

Drelicha wykluczył od razu, bo takie działanie złodzieja nie miałyby najmniejszego sensu. Już pomijając jego lojalność, w którą Krach nie miał podstaw wątpić – przez te wszystkie lata Drelich nigdy nie chciał babrać się paserką, zresztą od dawna trzymał się od branży z daleka. Skoki traktował jak pracę, za którą dostawał określony z góry procent bądź konkretną kwotę, a w rozliczeniach preferował prostotę i pewność nad wysokość dochodu. I choć przy tym skoku stawka była sporo wyższa niż zazwyczaj, to nie aż tak, by ktoś inteligentny i znający rynek podjął ryzyko. No i byli chyba przyjaciółmi.

Opcja druga, Chryпка. On jednak, jak zauważył sam Drelich, nie znał lokalizacji trzeciego wozu, więc nie mógłby nikogo naprowadzić. Poza tym też był zaufanym człowiekiem, niejedną robotę razem zrobili i zawsze przebiegało to bez problemów. No i ta sama rzecz co z Drelichem – paserka zegarków za sto koła to raczej nie jego progi.

Trzeci trop to samochodziarze. Teoretycznie mogło być tak, jak Drelich wspomniał – że umieścili w aucie nadajnik i po nim dotarli do celu. Tylko jak złodzieje samochodowi z Wrocławia w ogóle mieliby wpaść na pomysł takiej intrygi?

Nie informował przecież nikogo o przeznaczeniu aut. Przeciwnie, złożył typowe zamówienie na popularne wśród złodziei fury, z konkretną specyfikacją modelu i koloru. I tak, zdarzało się, że niektórzy jumacze śledzili skradzione samochody, by je potem zawinąć jeszcze raz albo po prostu w ramach dodatkowo płatnej gwarancji dla przyszłych kupców, ale przecież nie pracował z tą ekipą po raz pierwszy i zawsze robili jak trzeba. Co się zatem...

Odłożony na ławę telefon zawibrował, a na ekranie pojawiło się zdjęcie ślicznej trzydziestodwulatki, która posyłała mu całusa.

Krach westchnął ciężko. Oczywiście mógł się spodziewać, że Sylwia zadzwoni, jak tylko się obudzi, i wciąż zdecydowanie wolał z nią rozmawiać teraz przez telefon niż na żywo. Przynajmniej mógł się rozłączyć, gdyby z jakiegoś powodu poczuł, że zaczyna wyładowywać na niej swój wkurw. Ale i tak nie miał ochoty na udawanie, że jest w porządku, skoro nie było. A Sylwia, oczywiście ze szczerą troską, potrafiła być bardzo upierdliwa w swoich dociekaniach.

Mimo to odebrał.

– Cześć, kotek – zagaił, próbując zabrzmieć możliwie luźno i wesoło. – Wypałaś się?

– Przede wszystkim zdziwiłam. Gdzie jesteś?

– W biurze – odparł i zaraz, tchnięty nagłą myślą, rozwinął: – W nocy dzwonił klient ze Stanów, że czegoś w dokumentach brakuje, więc obiecałem ogarnąć to z samego rana.

Poczuł przyływ dumy, bo w ten sposób, jednym tekstem wymyślonym na poczekaniu, rozbrajał jednocześnie dwie bomby. Nie był pewien, czy Sylwię obudził nocny telefon, ale gdyby jednak, to teraz tylko uwiarygadniał tę opowiastkę. Jeśli nie, samo w sobie brzmiało to raczej przekonująco. Swoją drogą, pomyślał, dawno nie miał wokół siebie nikogo, przy kim musiałby prowadzić podwójne życie. Niemal zapomniał, jak się to robi.

– Ach, OK – odpowiedziała Sylwia, ziewając. – A długo tam będziesz? I zdążyłeś zjeść jakieś śniadanie?

– Zamówiłem sobie do biura, zaraz powinno być – zapewnił. – Chyba już tutaj zostanę i wrócę normalnie. Ale jakbyś chciała wieczorem gdzieś wyjść...

– Rurkę mam dzisiaj – odparła. – Ale później chętnie. Może jakieś kino? Sprawdzę, co grają...

– Jasne, tylko jakbyś mogła tym razem bez jakichś artystycznych, festiwalowych smętów, co? Najlepiej...

Usłyszał dźwięk drugiego połączenia, więc odsunął aparat i spojrzał na ekran. Znajomy numer dzwoniący na drugą kartę.

– Kotek, muszę kończyć. Klient – powiedział i przełączył rozmowę. Przez głowę przemknęła mu myśl, że jakiś czas temu na tej cholernej terapii podnosili temat jego rozłączania się bez wyraźnego pożegnania. Miał nadzieję, że tym razem nie będzie mu miała tego za złe. – Tak, słucham?

– No, gratulacje! – Usłyszał w słuchawce wesoły, nieco ochrypyły męski głos. – Właśnie oglądam. Pierwszorzędna robota.

– Dziękuję – odparł Krach. – Czekam właśnie na mojego człowieka, ale powinien być dopiero wieczorem. Zamierzałem wtedy zadzwonić...

– No ale po co to tłumaczenie, Krachu? – zdziwił się głos. – Nie ma co się tłumaczyć, skoro ja tylko z gratulacjami tak. Lubię, jak coś jest fachowo zrobione, a tu normalnie klasa. Wiedziałem, kogo brać. Brawo.

– Dziękuję. Mówiłem ci, zatrudniam fachowców.

– Słyszałem tylko o jakimś zamieszaniu, jakimś... hałasie. – Rozmówca wyraźnie zwolnił, o wiele uważniej dobierając słowa. – Mam nadzieję, że nic tam się przy okazji nie popsuło, co? O ludzi się martwię, ale i o towar, bo te zabawki są mi potrzebne w nienagannym stanie. Będą szły dla bardzo ważnych osób.

Krach podrapał się po zarośniętym policzku. Zdawał sobie sprawę, że musi to załatwić – im prędzej, tym lepiej, bo inaczej wiadomość mogłaby dotrzeć nie od niego. Wolał tego uniknąć, ale na razie tak naprawdę niewiele wiedział. Przed rozmową z Drelichem nie było się co wyrywać z aktami skruchy.

– Na ile się orientuję, wszystko było cały czas pod kontrolą – powiedział. – A teraz przepraszam cię, ale od rana mam trochę urwane dupy, więc kończę. Porozmawiam z moim człowiekiem wieczorem i jutro zadzwonię z konkretniejszymi wieściami, pasuje?

– W kontakcie

– W kontakcie.



Krach się rozłączył i spojrział na zegarek. Dochodziło wpół do siódmej, za chwilę mieli mu dowieźć śniadanie, a jemu kompletnie odeszła ochota na jedzenie.

## 29

– Coś nie tak, mamó? – zapytała Zośka, wchodząc do stołowego. – Żle wyglądasz.

– Żle spałam – odpowiedziała Iza, co w zasadzie i tak było pewnym nadużyciem, bo od rozmowy z Cyprianem nie spała w ogóle. Siedziała tylko na łóżku, albo googlując wiadomości na temat Kamaszewskiego, albo nasłuchując każdego szmeru z pokoju córki i zastanawiając się, co powinna zrobić za te kilka godzin, gdy się zobaczą.

Zosia za to wyglądała kwitnąco. Uśmiechnięta, rozpromieniona, wparowała do kuchni już w trampkach, co znaczyło, że najpewniej bardzo jej się spieszy. Izę zaskoczył jej wygląd – podświadomie spodziewała się, że zobaczy córkę w jasnym, przewiewnym stroju z lnu, bo z tym kojarzyły jej się sekty, które widziała do tej pory w telewizji czy kinie. Tymczasem Zośka ubrana była normalnie, w jasny top, flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami i dżinsowe szorty. Włosy splotła w dwa krótkie warkoczki, a na kieszonce na piersi wisały duże przeciwsłoneczne okulary. To, w połączeniu z jej wesołością, sprawiło, że Iza na chwilę zwątpiła w rewelacje Kozdrasia. Zaraz jednak przypomniała sobie słowa córki z nagrania, jej rozedrgany głos, to, co młoda mówiła temu mężczyźnie, i aż się wzdrygnęła.

Zośka ściągnęła brwi.

– Ty, ale nie jesteś chora, co? – zapytała. – Bo wiesz, ja się tam małymi dziećmi zajmuję.

Iza zacisnęła skrytą pod blatem pięść. Słowa z wczorajszej nocy nagle utonęły w jazgocie.

Uspokój się, napomniała się w myślach, wyciszając emocje, tak jak wycisza się głośność na pilocie z dogorywającymi bateriami. Uspokój i nie daj po sobie niczego poznać.

– Dziękuję za taką troskę o moje zdrowie, droga córko – odpowiedziała z kwaśnym uśmiechem. – Nie spodziewałam się.

Zośka wykonała sceniczny ukłon, po czym podeszła do lodówki.

– Kanapki ci zrobiłam – powiedziała Iza, odkrywając stojący obok talerz. – I herbatę, ale już trochę wystygła. Chcesz, to zrobię nową...

– Nie, mam, bo trochę mi się spieszy. Zjem w drodze.

– Nie!

Zośka aż podskoczyła zaskoczona gwałtownością tej reakcji. Spojrzała na matkę ze zdziwieniem.

– Ale że co: nie? Nie zjem? Nie wyjdę? Bo nie rozumiem.

Coś czało się teraz w jej oczach, jakieś małe, dzikie stworzonko. Iza znała je bardzo dobrze, bo sama miała niemal identyczne. Dlatego teraz szybko uniosła ręce w obronnym geście.

– Jeżeli teraz wyjdiesz, skążesz mnie na jedzenie w samotności albo z twoim dziadkiem – powiedziała. – Nie rób mi tego, młoda. Zostań i zjedz, to cię nawet odwożę.

Dając córce moment do namysłu, zerknęła na telefon. Liczyła, że zobaczy tam wiadomość od Drelicha, do którego od rana intensywnie i trochę wbrew ustalonym przez niego zasadom próbowała się dodzwonić. Na ekranie wciąż jednak było tylko powiadomienie z WhatsAppa, że Krystian przesyła trzy zdjęcia.

– Dobra – odparła w końcu Zośka. Wyjęła sok z lodówki, która właśnie zaczęła piszczeć, informując o niezamkniętych drzwiczkach, i usiadła na stołku naprzeciwko matki. – Ale nie gadamy o tym.

– O czym?

Zośka przekrzywiła głowę, robiąc pełną dezaprobaty minę.

– Mam, naprawdę? – zapytała. – Będziemy udawać, że dziadek nie powiedział ci o Wojtku?

– Czyli Wojtek.

Dziewczyna odsunęła od ust wziętą właśnie kanapkę i udała, że wstaje.

– Dobra, dobra, już, nie ma tematu.

Usiadła znowu, ale kanapki wciąż nie ugryzła. Patrzyła tylko na matkę, mrużąc oczy, jakby się upewniała, że faktycznie nie będą już o tym rozmawiać.

– Cieszę się – powiedziała w końcu. – Bo już myślałam, że będę cię traktować jak dziadka.

– To znaczy z szacunkiem?

– To znaczy jak kogoś, kto mówi „kawaler” i „sympatia”.

Iza parsknęła śmiechem.

Raz jeszcze pomyślała, że to, co powiedział w nocy Cyprian, zupełnie nie przystawało do tego, co teraz czuła i widziała. Zośka nie zachowywała się jak typowa ofiara sekty opisana w internecie. Nie wydawała się nieobecna myślami, przygaszona, zastraszona, nie unikała kontaktu wzrokowego ani ogółem bliskich. Tak, znikąca na całe dni, ale była cholerną nastolatką na wakacjach u dziadka. Co miała tu innego robić? Pielić ogródek, sprzątać w garażu?

Czy możliwe, że Kozdraś przesadzał? Co prawda pozostawała kwestia nagrań, ale one brzmiały przecież jak sesja terapeutyczna. Oczywiście nielegalna, więc Iza mogła za to pozwać tego Kamaszewskiego, ale w końcu jej córka mówiła tam o swoich prawdziwych odczuciach. Źle się stało, lecz teraz, gdy już wiedziała o wszystkim, może ostatecznie wyjdzie z tego coś dobrego?

Otrząsnęła się z tych myśli, widząc, że córka wpatruje się w nią z uwagą.

– Chyba powinnaś jednak spróbować się przespać – stwierdziła Zośka. – W końcu przyjechałaś tu odpoczywać.

– Przede wszystkim spędzić czas z córką – odpowiedziała, na co dziewczyna zamachała ręką przed twarzą i zmarszczyła nos.

– Trudne sprawy – zaintonowała, przeciągając słowa na znaną z telewizji melodię. Dojadła kanapkę, zapila letnią herbatą i wstała, ocierając usta. – Dobra, to teraz już naprawdę leczę – powiedziała. – Nie chcę się spóźnić.

– Podrzucę cię.

– Nie trzeba. Spacer dobrze mi robi. Pa.

– Telefon wzięłaś?

Zośka potrząsnęła głową.

– Nie używamy tam telefonów, to nie biorę. Nie rób takiej miny, powinnaś się cieszyć. Tyle narzekałaś, że się nie mogę odkleić. Pa!

– Jasne, pa.

Iza patrzyła, jak Zośka wychodzi. Powstrzymała się, by nie ruszyć za nią albo nie zatrzymać jej pod byle pretekstem. Walczyła ze sobą, by już teraz nie skonfrontować córki z tym wszystkim, o czym myślała, bo bez względu na to, ile razy jeszcze użyłaby tych samych zdroworozsądkowych argumentów, w głębi serca czuła, że Cyprian powiedział jej wczoraj prawdę.

Gdy tylko za Zośką zamknęły się drzwi, podeszła do okna i wyjrzała przez firankę. Odprowadziła córkę wzrokiem do furtki.

– Telefon ci świeci.

Aż podskoczyła. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła ojca stojącego w progu.

– Cześć, tato. – Zdobyła się na uśmiech.

Machnął ręką.

– Odbierz sobie – powiedział, wchodząc do kuchni.

Z lodówki wyjął pęto kielbasy i kostkę żółtego sera, po czym popatrzył na Izę.

W jego spojrzeniu dostrzegła to samo, co wcześniej w oczach córki. Tylko u niego było to sporo starsze i dużo, dużo większe.

– A jak już skończysz gadać – dodał spokojnie, kładąc jedzenie na blacie i sięgając po nóż – to łaskawie wyjaśnisz mi, dlaczego, do jasnej cholery, przylazł tu w nocy młody Kozdraś i co robiłaś z nim w moim garażu. I wreszcie najważniejsze... – Wycelował w nią nożem. – Co to ma, do cholery, wspólnego z moją wnuczką.

## 30

Jonasz dostrzegł ten samochód, gdy już w zasadzie kończyli się pakować. Srebrny opel, sfatygowany i brudny, stał zaparkowany między drzewami po przeciwnej stronie drogi, mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów na lewo od wjazdu na teren posiadłości. Miał wyłączone światła i otwarte drzwi od strony kierowcy. Oba przednie miejsca były zajęte.

– Upewniam się, że wyjeżdżamy – powiedział Jakub. Odłożył właśnie duże pudło na pakę dodge'a i otarł pot z czoła. – Albo przyjechali zobaczyć widowisko.

– Jakie widowisko?

– No, jak przyjeżdża policja.

Jonasz sięgnął do kieszeni po knoppersa, odpakował go i odgryzł kawałek.

– Nie będzie żadnej policji – stwierdził.

– Jesteś pewien? Bo wiesz, przy tylu świadkach...

– Kamaz jest pewien – odparł Jonasz, ucinając dyskusję. Nie miał zamiaru dzielić się wątpliwościami ani tym bardziej swoją rozmową z Kamazem na ten temat. Bo w gruncie rzeczy olbrzym miał rację. Co tamci mieli zgłosić? Że pokazano im jakieś filmiki? Że Dziara oberwał po tym, jak sam zaatakował, a w dodatku dwie noce wcześniej sam dokonał włamania?

A nawet gdyby na odczepnego przyjechał jakiś patrol, to co? Skoro i tak mieli stąd zniknąć, Jonasz mógłby zagrać kartą dawnego policyjnego stopnia, da numer do kumpla z komendy w Katowicach i wszystko skończyłoby się po niecałej minucie.

Odgryzł kolejny kawałek batonika, wciąż wpatrzony w samochód. Zastanawiał się, kto konkretnie tam siedzi. I czy widzą, że im się przygląda.

Z domu wyszła Lidka. Szła wolno, na szeroko rozstawionych nogach, jakby poobcierały ją krótkie spodenki. Przed sobą niosła pudło, a sądząc po wystających z niego rzeczach, raczej nie należało do ciężkich.

Jakub zerkał na nią, gdy schodziła po schodkach werandy, ale ledwie dziewczyna spojrzała w jego stronę, odwrócił głowę.

– Robimy coś z tym? – zapytał i dodał szybko: – Z autem w sensie?

Jonasz wzruszył ramionami.

– A co my możemy? – rzucił. – Ewidentnie nas tutaj nie chcą. Przecież nie da się zmusić kogoś, by cię polubił.

– No, nie da się, to prawda.

Jonasz dojadł batonik, schował papierek do kieszeni i już miał ruszyć w stronę domu, kiedy Jakub złapał go mocno za przedramię.

– Nie chciałem tu zostać, Jonaszu – powiedział. – To, co wczoraj mówił Kamaz, to wszystko, za co mnie ukarał... Mnie wcale nie o to chodziło.

– Mówiłeś mu o tym? Wyjaśniłeś?

Jakub potrząsnął głową.

– Nie było kiedy, bo najpierw zabrał mi Lidkę, a potem poszliście rano...

– Tego akurat mu nie mów – poradził Jonasz i na widok jego miny doprecyzował: – Że zabrał ci Lidkę.

– Ach, tak, masz rację, dziękuję.

Jakub sięgnął do okularów, jakby chciał je zdjąć, ale w ostatniej chwili cofnął rękę. Wyglądało to tak, jakby niedbale zsalutował. Obejrzał się na dom i na rozmawiających w progu Kamaza oraz Łukasza.

Oni również dostrzegli srebrnego opla, ale nie wyglądali na przejętych.

– Myślisz, że teraz powinienem podejść?

Ten jego jęczący ton zaczynał irytować Jonasza. Zastanawiał się, czy Jakub zawsze taki był i po prostu jakoś tego nie zauważali, bo trzymał się na uboczu, czy to kwestia tych kilku tygodni bez reszty rodziny.

– Myślę, że powinieneś poprosić go o rozmowę już w domu, a teraz wziąć się do roboty – odparł w końcu.

Najwyraźniej jednak albo Jakub nie posłuchał, albo to olbrzym odezwał się pierwszy, bo niecałe pół godziny później Jonasz, dopinając plandekę na wypełnionej po brzegi pace pickupa, zobaczył ich rozmawiających przy stodole. Jakub tłumaczył coś podekscytowany, intensywnie gestykulując, Kamaz uśmiechał się i kiwał głową, a na koniec klepnął go w ramię, po czym skierował się w stronę domu. Jakub tymczasem przywołał Łukasza i razem zniknęli w stodole. Wyszli stamtąd po trzech minutach, taszcząc pompę do wody i gruby strażacki wąż.

– Ja to wymyśliłam – powiedziała nagle Lidka siedząca na tylnej kanapie dodge'a.

Jonasz zdążył już o niej zapomnieć, bo odkąd Barbara kazała jej tam usiąść, dziewczyna w ogóle się nie odzywała, tylko raz po raz posykiwała

z cicha przy zmianie pozycji. Teraz jednak w jej głosie pobrzmiwała wyraźna duma.

– Powiedziałam Jakubowi, że powinniśmy po wyprowadzce to wszystko zalać gównem z szamba. Byłam wściekła, bo myślałam, że ukradli nam telefon, i tak powiedziałam, a Jakub uznał, że to świetny pomysł i...

– Czekał – przerwał jej. – Co to znaczy, że myślałaś, że ukradli wam telefon? Oni się włamali do środka?

– Nie – pokręciła głową. – Ale tak na początku myśleliśmy, bo nie mogliśmy go długo znaleźć.

Podciągnęła się trochę wyżej i skrzywiła się przy tym, przykładając rękę do podbrzusza.

– Wiesz, on zawsze leżał w jednym miejscu, tam przy szafce, w kuchni...

– Wiem, gdzie leżał.

– No, a wtedy go nie było. Cały wieczór szukaliśmy i pół dnia, aż Jakub chciał iść na pocztę dzwonić, ale wyszło, że nie pamięta numeru. Potem się okazało, że telefon wpadł w szczelinę koło zlewu. I to chyba ja go tam położyłam, jak sprzątałam.

Zwiesiła głowę.

– Powiedziałam o tym Kamazowi wczoraj w nocy – podjęła po chwili. – Że to moja wina, że zadzwoniliśmy tak późno. Mówił, że się nie gniewa, ale chyba nadal jest na Jakuba trochę zły. Przeze mnie.

Jonasz sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kolejnego knoppersa. Podał go dziewczynie i pogłaskał ją po łydce.

– Wydaje mi się, że już się nie gniewa – powiedział. – Ten twój pomysł z szambem chyba załatwił sprawę.

– Tak sądzisz?

Zirytował go jej uśmiech, krople łez na rzęsach i ta nagła radość, jakby właśnie coś naprawiła. Odwrócił się i raz jeszcze spojrzął na srebrnego opła.

Wciąż tam byli. Wyszli z auta i teraz stali oparci o maskę. Jeden z nich palił.

– Jeszcze chwila i zaraz nas nie będzie, skurwiele – mruknął.

Ale wtedy do niego dotarło, że to nieprawda. Bo dla tych z opła i dla wielu innych będą tu już na zawsze.



Drelichowi udało się przespać do ósmej. Wstał, przemył twarz i włożył wczorajsze ubranie. Paradowanie w ciuchach, których używał do skoku, wzbudzało w nim dyskomfort, ale nie było innego wyjścia. Przy sobie miał tylko telefon i awaryjną kartę, której jeszcze nie wyrzucił, sto czterdzieści złotych w dwudziestkach z pieniędzy przeznaczonych na taksówki, kilka biletów na komunikację i woreczek z nakładkami. Reszta leżała w schowku na katowickim dworcu.

Zamierzał zapytać kogoś o Lidla, gdzie z dużym prawdopodobieństwem udałoby mu się kupić jakiś zwykły T-shirt, ale okazało się, że ledwie dwa budynki dalej mieścił się sklep z używaną odzieżą. Wszedł i bez mierzenia, ograniczając się jedynie do sprawdzenia metek, kupił niebieskie dżinsy oraz szarą koszulkę z Homerem Simpsonem.

Po drodze wstąpił jeszcze do ogólnospożywczego po szampon, butelkę wody, dezodorant i dwie drożdżówki.

Koszulka śmierdziała trochę stęchlizną, więc przeparał ją szybko, wykręcił i rozwiesił na parapecie, licząc na coraz mocniejsze sierpniowe słońce. Zjadł drożdżówki, zapijając herbatą, wziął prysznic i o wpół do jedenastej wyszedł z mieszkania. O tej porze mógł już bez problemu oddać klucze w sklepie, ale i tak wrzucił je do skrzynki.

Gdy jechał tramwajem do Katowic, wracały do niego wydarzenia z nocy, ale odpychał je na razie od siebie – nie chciał zaprzętać sobie nimi głowy, dopóki był tutaj. Myślenie o przeszłości mogło spowodować, że popełni jakiś błąd. Na przykład zostawi reklamówkę z ciuchami ze skoku albo nie skasuje biletu i narazi się na nieprzyjemności związane z kontrolą. Na rozmyślanie i rozprawianie o tym, co już się stało, będzie miał cały czas w pociągu. Rozmowę z Krachem i tak zaplanował dopiero na wieczór.

W pewnym momencie za oknem dostrzegł zakład fryzjerski mieszczący się w starym ceglanym budynku. Sądząc po szyldzie, nie wstrzelił się w modę na barberów i w związku z tym niekoniecznie musiał mieć zajęty grafik na kilka dni do przodu. Drelich przejechał ręką po brodzie

i uznawszy, że to dobry pomysł, wysiadł na następnym przystanku, raptem dwieście metrów dalej.

W salonie zobaczył tylko fryzjera i zapewne właściciela w jednym – starszego, siwego mężczyznę z dużym haczykowatym nosem. Siedział przy niewielkiej szafce, pił kawę i czytał jakiś tygodnik. Nad jego głową wisiała karteczka uprzejmie prosząca o niesłuchanie muzyki, bo ta jest dla personelu, co było o tyle trudne, że radio ustawiono dość głośno.

– Można? – zapytał Drelich, stając w progu.

Fryzjer uniósł wzrok tylko na moment, by zobaczyć, kto wchodzi, i wzruszył ramionami, wpatrzony z powrotem w gazetę.

– Jak się pan dogada z tą całą kolejką, to proszę – odparł. Głos miał nieprzyjemny, jakby ktoś próbował rozbijać zardzewiałą huśtawkę.

Drelich skierował się od razu do fotela. Usiadł, przyjrzał się sobie i przeczesał włosy ręką.

– Ale płatność tylko gotówką – zastrzegł fryzjer, odkładając gazetę. – I nie robię bród.

– Nawet tylko maszynką na krótko?

Fryzjer popukał palcem w nos, mrużąc oczy.

– Tak to mogę – uznał po namyśle. – Ale za dopłatą.

– Jasne.

– A głowę jak?

– Też krótko, zwłaszcza boki. Góra trochę dłużej.

– Wszystko maszynką?

Drelich widział w lustrze, jak fryzjer krzywi się z niesmakiem, i trochę go to rozbawiło.

– Jak pan chce, może pan i brzytwą – odparł. – Ale trochę mi zależy na czasie.

W radiu urwała się właśnie piosenka i przedstawiono skrócony serwis informacyjny. Płonące lasy w Afryce, nowe informacje o strzelaninie w El Paso. Wiadomość o napadzie na Silesię była trzecia.

Fryzjer sięgnął po pelerynę, owinął nią Drelicha, zapiął ciasno na szyi, po czym podszedł do blatu.

– Słyszał pan o tym napadzie? W nocy samochodem do Silesii wjechali. – Wziął do ręki maszynkę, wyregulował, mocując się przez chwilę z opornym mechanizmem. – Jakiegoś jubilera obrobili.

– Słyszałem, ale bez szczegółów.

– No to właśnie je panu powiedziałem. Samochodem wjechali, obrobili jubilera i pojechali. – Bezceremonialnie złapał go za głowę, przekrzywiając ją na bok, a następnie przyłożył mu maszynkę do skroni. – Byłem tam z żoną w zeszłą niedzielę.

– U tego jubilera?

Fryzjer parsknął.

– W Silesii. Czego ja miałbym u jubilera szukać? – Obszedł fotel, stanął z drugiej strony i równie stanowczym gestem jak wcześniej przestawił głowę Drelicha w drugą stronę. – Po okulary dla niej byliśmy, bo tam jakieś zniżki miały być. I powiem panu, że jak już sobie wybrała, to ja bym chyba wolał do tego jubilera już. Pan żonaty?

– Rozwiedziony.

– O, to chociaż na starość pan coś zaoszczędzi.

Piętnaści minut później Drelich zszedł z fotela i wręczył fryzjerowi trzydzieści złotych zamiast oczekiwanych dwudziestu pięciu.

– Reszty nie trzeba.

Mężczyzna wydał wargi.

– Panie, to nie knajpa – burknął, po czym podszedł do szafki, gdzie czekały na niego kawa oraz gazeta, z szuflady wyjął piątkę i wręczył ją Drelichowi. – Pieniądz trzeba szanować, a nie rozrzucać na lewo i prawo.

Drelich wziął monetę, podziękował i wyszedł.

Dotarł na dworzec kolejnym tramwajem, chwilę pokręcił się przy kwiaciarni, udając, że rozmawia przez telefon, a w rzeczywistości czekając, aż odjedzie samochód, który uniemożliwiał mu zabranie kluczyka z kryjówki. W końcu go wydobył, udając, że wiąże buta, po czym wszedł do kwiaciarni, by kupić różę bez przybrania. Nawet on uważał, że to przesadna ostrożność, ale w miejscach, gdzie potencjalnie są kamery, wolał się zabezpieczyć. Następnie ze schowka wyjął plecak i wpakował do niego zawiązaną reklamówkę z ciuchami ze skoku. Włączył też swój telefon, a gdy urządzenie połączyło się z siecią, zaczęło wibrować falą powiadomień. Większość była od Izy: próby połączeń i trzy esemesy:

„Odezwij się najszybciej, jak będziesz mógł”.

„Drelich, to naprawdę pilne”.

„Chodzi o Zośkę”.

Z bocznej kieszonki wyjął słuchawki, włożył je do uszu i wpiął w telefon. Założył plecak i gdy wyszedł z budynku dworca, wybrał numer do Izy, a ona odebrała po trzecim dzwonku.

– Jestem. Co się stało? Co z Zośką?

– Na ten moment wszystko jest pod kontrolą. Wcześniej potrzebowałam... – Zawahała się. – Dobra, nieważne. To nie jest rozmowa na telefon. Widziałam wiadomości i zakładam, że to... Znaczy, że jeszcze jesteś... niedaleko, tak? Gronowa w sensie?

– Tak.

– Czy jest szansa, żebyś tu przyjechał?

– Czy Zośce coś grozi w tym momencie? Albo tobie? Ojciec jest z wami?

– Nie grozi i jest – odparła Iza i zaraz dodała: – To nie bezpośrednie zagrożenie, tylko rzecz wymagająca bardzo pilnej rozmowy w cztery oczy.

– Zadzwoń za pięć minut.

Rozłączył się, wygooglował trasę do Gronowa i najbliższą wypożyczalnię samochodów. Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież nie ma przy sobie prawdziwych dokumentów. Podróbka dowodu, której chciał użyć przy odbieraniu kluczy do mieszkania, raczej by nie przeszła w sieciowej wypożyczalni. Nie zamierzał tego weryfikować. Sprawdził połączenia kolejowe i ponownie połączył się z Izą.

– Czy dwie godziny będą OK, czy szukać czegoś szybciej?

– Będzie w porządku.

– To do zobaczenia.

Rozłączył się i wrócił na dworzec. Uznał, że Kracha poinformuje, gdy już dowie się, o co chodzi. Teraz miał siedem minut, by złapać pociąg.

Pan Leszek, dozorca ośrodka, wyglądał jak chudy, niedożywiony nastolatek, którego postarzano o co najmniej pięćdziesiąt lat. Siwy język na głowie eksponował odstające uszy, znoszone strażackie spodnie moro wyglądały, jakby odziedziczył je po postawniejszym bracie, a rozlewający się tatuaż na wychudłym, zwiotczalym ramieniu sprawiał wrażenie wykonanego pisakiem i trudno było na pierwszy rzut oka określić, co przedstawia.

Cyprian wiedział jednak, że to pikujący orzeł z wieńcem w dziobie, przypominający panu Leszkowi o dawnych wojskowych czasach. Starszy mężczyzna lubił o nich opowiadać, zwłaszcza jak wypił, a Cyprian za dzieciaka chętnie tych historii słuchał. Tyle że teraz pan Leszek daleki był od snucia wspominek. Nerwowo obracał w dłoni sfatygowanego papierosa.

– Ja to od początku mówiłem, że to się tak, kurwa, skończy – mruzczał. – Pana matce już zeszłej zimy mówiłem, że rury są w opłakanym stanie i jak nic z nimi nie zrobi przed sezonem, to się któregoś dnia obudzi po kostki...

Zmitygował się najwyraźniej, bo uciekł wzrokiem i kaszlnął w dłoń.

– Ktoś mógł to zrobić specjalnie? – zapytał stojący z nimi Tomeczek. Minę miał, jakby podejrzewał co najmniej Al-Kaidę.

Dozorca machnął ręką.

– A gdzie specjalnie! Co specjalnie? – mruknął. – Rury stare, a już za nowości dziadowskie. Tylko weź tu teraz szukaj, gdzie dokładnie jebło. Będzie trzeba kuć.

– No ale przecież to skrzydło jest wyłączone – upierał się Tomeczek. – To jak to się mogło stać, że...

– Później ci powiem – wszedł mu w zdanie Cyprian, jakby wolał odbyć tę rozmowę bez obecności pana Leszka, choć przecież wszystko, co wiedział w temacie, usłyszał właśnie od dozorca. Tak naprawdę jednak nie chciał teraz skupiać się na tym, jak wielkie i nieprawdopodobne szczęście miał tej nocy.

Do zalania skrzydła doszło około wpół do piątej nad ranem, gdy dopiero wracał z Gronowa. Trudno było stwierdzić, co dokładnie się wydarzyło,

choć pan Leszek podejrzewał, że najprawdopodobniej jakaś parka z turnusu postanowiła zakraść się do zamkniętego skrzydła ośrodka, by pobzykać się w którymś z pustych pokoi, i gdzieś po drodze zamarzył im się wspólny prysznic.

O tym, że woda zalewa korytarz, pan Leszek dowiedział się podczas obchodu o piątej piętnaście. W tym czasie Cyprian szedł akurat przez pola, zastanawiając się, jak w porannej szarówce uda mu się niepostrzeżenie wśliznąć do domu. Dozorca natychmiast pognął do piwnicy, by wyłączyć wodę, a zaraz potem zadzwonił do Kozdrasiów. Wybrał numer należący wcześniej do Jarosława Kozdrasia, a potem wykorzystywany przez jego żonę jako awaryjny. Obecnie używał go Kamaz, ale nie miał w pobliżu telefonu albo spał tak mocno, że nie odebrał i nie przekazał wiadomości do Tomeczka lub Roberta. Gdyby to się stało, ci natychmiast poszliby do Cypriana i wszystko by się wydało.

Nie mogąc się dodzwonić, pan Leszek opuścił ośrodek i ruszył w stronę domu Kozdrasiów. Dzieliło go od niego pięćset metrów, które pokonał szybkim krokiem. Gdyby zapukał z marszu, usłyszałaby go Wiktorja, bo czytała na dole komiksy. Robiła to niby w tajemnicy przed wszystkimi, ale część osób, w tym Cyprian, wiedziała. Tyle że jemu zupełnie wyleciało to z głowy i gdyby zjawił się tam zgodnie z planem, natknąłby się na nią.

Pan Leszek jednak nie zapukał od razu, tylko niemal przy samych drzwiach zatrzymał się na chwilę, by wyrównać oddech. I w tym właśnie momencie Cyprian wyszedł zza budynku z zapytaniem, co się stało.

Od tamtej pory minęły już przeszło cztery godziny i wszystko wskazywało na to, że udało mu się utrzymać nocną eskapadę w tajemnicy. Miał ogromne szczęście i wiedział o tym. Pytanie tylko, czy był to znak od losu, że robi dobrze, czy przeciwnie – ostrzeżenie, że następnym razem może się nie udać, bo nie da się przewidzieć wszystkiego.

Rozejrzał się po korytarzu. Kilka metrów dalej Hanna, Maria, Marcel i mała Oliwka wraz z dwiema sprzątaczkami z ośrodka ścierali zalaną podłogę. Zza progu jednego z pokoi przyglądał im się Igor. Stanowczo odmówił pomagania w czymkolwiek, jeśli w zamian nie obiecują mu możliwości spotkania z Klarą i dzieckiem.

– W całym ośrodku nie ma teraz wody? – zapytał.

Pan Leszek prychnął cicho, ale szybko i tę reakcję zamaskował kasznięciem.

– Gdzie tam. Pion jeden wyłączyłem – odpowiedział. – Zresztą tam, gdzie teraz są goście, było niedawno remontowane. Tu mieliśmy się dopiero brać. No i nadal pozostaje problem kotłowni. Została jedna na cały ośrodek i trzeba się tym koniecznie zająć.

– I na pewno do tego wrócimy, panie Leszku, z tym że po sezonie – zapewnił Cyprian.

W tej chwili jedyne, o czym naprawdę mógł myśleć, to Magda. Udało mu się co prawda przekazać jej informację, że jest w ośrodku i zмага się z awarią, ale pewnie i tak się stresowała. A w jej stanie zdecydowanie nie powinna.

– Jestem tu jeszcze potrzebny? – zapytał Tomeczek.

– A byłeś w ogóle? – zapytał Cyprian, uśmiechając się przy tym, by podkreślić, że to żart.

Podziękowało, bo osiłek również się wyszczerzył i bezradnie rozłożył ręce.

– No w sumie racja, nie? – powiedział. – Dobra, to ja idę sprawdzić, czy coś na śniadanie zostało. Zostawić dla ciebie?

– Pewnie. Dzięki.

Patrzyli, jak schodzi po schodach, a wtedy pan Leszek skinął na Cypriana głową, wszedł do najbliższego pokoju, przysiadł na parapecie i zapalił papierosa.

– Wiem, że nie wolno – powiedział. – Ale tu i tak wszystko będzie do malowania, myślę.

– Spokojnie, niech pan pali. – Cyprian wszedł za nim i usiadł na łóżku. – I co się stało, panie Leszku? Sprawa jakaś?

Starszy mężczyzna wydmuchnął dym za okno.

– No właśnie ja się miałem pytać, czy coś się dzieje – odparł. – W sensie ci wszyscy ludzie w domu pana rodziców...

– W moim domu – poprawił go szybko Cyprian, zwalczając jednocześnie odruch, by natychmiast podejść do drzwi i sprawdzić, czy ktoś za nimi nie stoi. – To jest teraz mój dom.

– A to ja wiem, oczywiście. – Dozorca uniósł ręce w obronnym geście. – Źle mi się powiedziało. Bo chodzi o to, że ci tutaj, to ja rozumiem, jacyś pańscy znajomi i w ogóle, ale oni strasznie się rządzą, ludziom pracy nie dają wykonywać. To się ludzie martwią...

– To niech się nie martwią. Nie zamierzam nikogo zwalniać.

Dozorca się roześmiał i zaraz zakrztusił się dymem. Zaczął kaszleć, powstrzymał jednak Cypriana, gdy ten zerwał się, by mu pomóc.

– To nawet nie o pracę chodzi, panie Cyprianie – powiedział w końcu, co było cholernie dziwne, bo znał go przecież od małego i nigdy nie mówił do niego per pan. – Raczej o to, że to wszystko wygląda jak jakaś... No wie pan... sekta. Bo ja wiem, że po takiej tragedii jak strata matki człowiek nie chce być sam, ale...

Kozdraś wstał nagle.

– Powiem panu, panie Leszku, czego człowiek nie chce po takiej tragedii. Żeby mu obcy ludzie mówili, co ma robić i kogo zapraszać do swojego domu. Tego właśnie nie chce.

Dozorca skinął głową i wypuścił dym. Patrzył przez chwilę, jak się rozwiewa.

– Rozumiem, przepraszam.

– Zapomnijmy o tym – odparł Cyprian. – A jakby pan mógł sprawdzić tę instalację w drugim skrzydle, byłbym wdzięczny. Znaczący, ja wiem, że remontowana, ale żeby nic tam się nie zadziało. Nie chcemy płacić odszkodowań.

– Dobrze, co się da, to sprawdzę. – Dozorca wciąż patrzył gdzieś za okno. Znowu się zaciągnął, wypuścił dym i powtórzył cicho: – Obcy ludzie.

Cyprian wyszedł z pokoju. Na korytarzu dziewczyny i Marcel kończyli właśnie sprzątać. Teraz podłoga wyglądała po prostu, jakby ktoś podczas mycia używał za dużo wody. Hanna wykręcała mopa, Maria zmierzała ku schodom z dwoma pełnymi wiadrami, Marcel brał się za dwa kolejne, a sześciolatka Oliwka chciała złapać ostatnie.

– Zostaw to, przepukliny dostaniesz! – zawołał Cyprian. – Ja wezmę.

Dziewczynka skrzywiła się, jakby zaproponował jej najbardziej gorzkie z lekarstw.

– Też chcę pomóc – powiedziała.

– I już pomogłaś. A teraz leć do domu. Ciocie miały dzisiaj ciasto robić.

Na wzmiankę o słodkości mała rozpromieniła się i pognęła w stronę schodów. Już miał powiedzieć jej, żeby była ostrożna, bo przecież ślisko, kiedy dostrzegł, że wpatruje się w niego Igor.

– Co u nich? – Usłyszał, gdy ich spojrzenia się spotkały. – U Klary i Bruna.

Natychmiast przypomniał sobie słowa Magdy z wczorajszej nocy. Te wypowiedziane w ciemności, złowieszcze jak dawna przepowiednia. „Ona się zabije”...



– Nie powinienem z tobą rozmawiać – powiedział, patrząc na niego z przestachem.

Igor był ciemnowłosym mężczyzną o krótkim, szerokim nosie, gęstych brwiach i z policzkami niemal czarnymi od dwudniowego zarostu. Gdyby miał ciemniejszą karnację, mógłby spokojnie uchodzić za Roma. Dokładnie takiego, jakim ojciec straszył Cypriana w dzieciństwie. Jak będziesz się tak zachowywał, mówił, przyjdzie Cygan i cię porwie.

– Czego nie powinienes? – zapytał. – Powiedzieć mężowi, co z jego żoną? Ojcu, co z jego dzieckiem? Tego nie powinienes?

To już nie jest twoje dziecko, pomyślał Cyprian, znowu przypominając sobie nocną rozmowę. Ani twoje, ani Klary.

– Przykro mi – mruknął.

Złapał za wiadro i nie przejmując się tym, że rozlewa, szybkim krokiem ruszył w dół schodów.

Podróż do Gronowa zajęła Drelichowi godzinę i czterdzieści pięć minut. Dystans z Kędzierzyna pokonał już taksówką, umawiając się z taksówkarzem na dwieście złotych bez włączania taksometru i gadania po drodze. Przez to musiał słuchać radiowych hitów opowiadających o tym, że ktoś jest na przyjęciu, na którym nie chciał się znaleźć, a ktoś inny leży w wannie w piątek, bo nie ma siły tańczyć. W skróconym serwisie informacyjnym znowu pojawiła się wzmianka o napadzie na Silesię i raz jeszcze zacytowano tę samą policjantkę z biura prasowego komendy miejskiej. Trwało ustalanie czynności.

Gdy wjechali do miasta, Drelich poprosił taksówkarza o zatrzymanie się przy wjeździe do ulicy i resztę drogi pokonał pieszo. Dawno tu nie był, ale okolica zbytnio się nie zmieniła, więc bez trudu trafił do właściwej bramki. Po dwóch minutach w progu domu stanął Edward Lemańczyk.

– Otwarte jest! – zawołał. – Wchodź.

Wszedł, szybko pokonał kilka metrów chodnika oraz schodki i wyciągnął rękę na powitanie byłego teścia.

Ten się skrzywił, ale uścisnął podaną dłoń.

– Nie zdejmuj butów – powiedział, cofając się w głąb sieni. – Iza jest w stołowym, rozmawia przez telefon.

Drelich zaszurał podeszwami o wycieraczkę i przekroczył próg.

– Wiesz, o co chodzi? – zapytał. – Co się stało?

Lemańczyk prychnął.

– Moja córka stwierdziła, że najpierw musi porozmawiać z tobą – odparł. – Najwyraźniej w rankingu zaufania były mąż z szemraną przeszłością stoi wyżej niż ojciec.

Spojrzał wyzywająco, ale Drelich nie dał się sprowokować.

– Wasze relacje to wasza sprawa – stwierdził tylko, wzruszając ramionami. – Wychodzisz?

– Tak. – Lemańczyk usiadł na stołeczku i schylił się po znoszone mokasyny. – Iza prosiła, bym zostawił was samych.

– Doceniam to.

Lemańczyk uniósł głowę.

– Gównu mnie obchodzi, co doceniasz – mruknął.

– A potem dziwisz się, że nikt ci niczego nie mówi – zripostował Drelich, po czym nie czekając na odpowiedź, ruszył przez ciemny przedpokój w stronę stołowego.

Zza zamkniętych, przeszklonych drzwi dochodził go głos byłej żony. Zapukał cicho w szybę i złapał za klamkę. Zajrzał do środka, dając znać, że już jest, a Iza zaprosiła go gestem.

– Dobra, to czekam na wiadomość, jak poszło – powiedziała, kończąc rozmowę. – I tak, dam tacie znać, żeby do ciebie oddzwonił. Pa.

Rozłączyła się i położyła telefon na stole.

– Dobrze, że jesteś. – Podeszła i krótko go przytuliła. – Napijesz się czegoś? Tata coś ci zaproponował?

Drelich uśmiechnął się krzywo.

– Tym razem nie dotarliśmy do tego etapu – odparł. – Ale chętnie napiłbym się herbaty.

– To chodź.

Przepuścił ją w drzwiach i ruszył za nią. W kuchni zdjął plecak, usiadł na stołku bokiem do stołu, odsunął krzyżówkę i ołówek.

– Zwykłą, jakby się dało – powiedział.

– Ojciec i tak nie ma innych. – Iza otworzyła słoiczek z okrągłymi torebkami, wrzuciła po jednej do dwóch kubków i włączyła czajnik elektryczny.

– Gdzie jest Zośka? – zapytał.

– W Ponderosie.

– Skoro coś jej grozi, to dlaczego nie tutaj?

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Pstryknął czajnik. Iza zalała herbaty i postawiła je na stole. Drelich odniósł wrażenie, że trochę drżą jej ręce, ale nie chciał wyciągać pochopnych wniosków. Przysunął kubek bliżej siebie i skupił wzrok na byłej żonie.

– Wczoraj w nocy był u mnie Cyprian Kozdraś – zaczęła. – Pamiętasz go? Ten bogaty dzieciak, którym kiedyś się opiekowałam. Tylko że teraz to już żaden dzieciak. Ma jakieś...

– Dwadzieścia sześć albo siedem lat – dokończył za nią Drelich. – I tak, coś pamiętam.

– No więc był u mnie wczoraj w nocy. Przyszedł przez ogród i gapił się w okno.

– W którym pokoju śpi Zośka? – zapytał Drelich, a ona zaśmiała się krótko.

– Nie, nie o to chodzi – powiedziała. – Chociaż tak, trafiłeś. Zośka śpi w moim pokoju i właśnie w te okna się gapił. Ale to nie jest ten problem.

– W sensie, że to nie jest jej chłopak? – upewnił się.

– Nie. W takiej sprawie bym cię przecież nie ściągała. Zwłaszcza że widziałam w telewizji, że miałeś pracowitą noc.

– Do sedna, Iza. Potem możemy pogadać o pierdołach.

– Tylko ty możesz nazywać coś takiego pierdołą. – Wstała i zaraz wróciła z łyżeczkami oraz spodeczkiem. Wycisnęła swoją torebkę o ściankę szklanki. – A ten jej nazywa się Wojtek.

Zamilkła, przez moment wpatrując się w herbatę. Czekał cierpliwie, wiedząc, że zapewne układa teraz w głowie słowa.

– Dostałam informację, że nasza córka wpadła w sidła sekty – zaczęła w końcu i zrobiła krótką pauzę, jak spodziewała się w tym miejscu pytania. Gdy go nie usłyszała, westchnęła, upiła herbaty, po czym możliwie najdokładniej streściła mu nocną rozmowę z Cyprianem.

Mówiła dobrych piętnaście minut, przez większość czasu zachowując względny spokój. Głos zaczął jej drzeć, dopiero gdy wspomniała o nagraniach. Wtedy przeprosiła i wyszła na kilka minut, by się ogarnąć.

Drelich przerwał jej tylko raz, na samym początku, żeby sięgnąć do plecaka po zeszyt i długopis. Szybko zanotował uwagi, a potem słuchał w milczeniu, od czasu do czasu zerkając na kartkę. Gdy skończyła, odłożył długopis, oparł się plecami o ścianę i zaplótłszy dłonie na piersi, skupił wzrok nad jej głową.

– Mówisz, że wyglądał, jakby się bał? – zapytał w końcu.

– Cyprian? Był śmiertelnie przerażony. Mówił o tym wszystkim w taki sposób, jakby... A, czekaj, bo tego ci jeszcze nie powiedziałam – przypomniała sobie. – Wczoraj jechałam z tym całym Kamaszewskim pociągiem. Gdy wysiadaliśmy, Cyprian na niego czekał i na mój widok od razu odwrócił wzrok. Jakby nie chciał, żebym go rozpoznała i zaczęła.

Drelich sięgnął po notatnik, ale rozmyślił się i podniósł kubek z herbatą.

– I zaoferował odziedziczony majątek temu, kto go z tej sekty wyciągnie, tak? – upewnił się. – Przecież to jest ogromny teren, wart pewnie miliony. Jesteś pewna, że tak właśnie powiedział?

– Drelich, kurwa, naszej córce coś grozi!

Pokręcił głową i dmuchnął w kubek.

– Z tego, co mówisz, nie sędzę – powiedział. – A przynajmniej nie w bliskiej perspektywie. Zresztą ty też tak uważasz, inaczej byś jej tam dzisiaj nie puściła.

Iza musiała zastanowić się nad odpowiedzią.

– Uznałam, że skoro nie ma tam Kamaza i Jonasza, to może rzeczywiście...

– Tak, też tak myślę – wszedł jej w zdanie. – Zresztą nawet jakby byli, nic by to nie zmieniło. W tej sytuacji dzień czy dwa nie robią żadnej różnicy. Nie znam się na tym, ale mam wrażenie, że na takie urabianie potrzeba czasu.

– Czasu?! – Iza podniosła głos. – Czy ty słyszałeś, co ci powiedziałam? O tym, co ona mówiła temu facetowi? O jakich intymnych sprawach? Jezu, Drelich, ona tu jest raptem kilka tygodni!

– Ale wcześniej miała rozmowę z twoją terapeutką.

Potrząsnęła głową.

– Nawet się, kurwa, nie waż! – wycedziła.

– Co takiego?

– Nie waż się sugerować, że gdybym nie zabrała jej na terapię po tym, co się stało, kiedy potrzebowała pomocy...

– Nic takiego nie mówię. – Dmuchnął w herbatę, upił łyk i odstawił kubek. – Jeszcze raz, nie znam się na tym, ale mam wrażenie, że to jak cięcie po świeżych szwach. Może była teraz po prostu bardziej podatna?

– A może potrzebowała pogadać z rodzicami, których nie było, bo zajmowali się swoimi sprawami?

– To na pewno – zgodził się. – Spieprzyliśmy. Grzebiemy w tym teraz czy skupimy się na sprawie?

Przez moment miał wrażenie, że Iza wstanie i wyjdzie. Ona jednak przyglądała mu się przez chwilę, jakby był obcym człowiekiem, aż w końcu odwróciła głowę w stronę okna.

Drelich sięgnął do notatek, przekartkował zapisane strony.

– Źle się wcześniej wyraziłem – powiedział w końcu. – Nie chcę powiedzieć, że zagrożenie nie istnieje, a jedynie, że twój kolega je celowo wyolbrzymił, by bardziej zainteresować cię sprawą. Jak mówiłaś, stwierdził, że nie ma nikogo, komu mógłby zaufać. Nikogo spoza tej...

rodziny. Zobaczył cię na dworcu, powiązał z Zośką i dopatrzył się w tym swojej szansy.

Kolejny raz dał Izie czas do namysłu, udając, że skupia się na notatkach.

– Dlaczego uważasz, że zagrożenie nie istnieje? – zapytała po chwili.

– To sekta, tak? Chcą tutaj zrobić swoją siedzibę i na razie mają tylko miejsce z niejasnym statusem prawnym i wciąż wiszącą nad nimi śmiercią właścicielki. Nie zdziwiłbym się, gdyby policja już węszyła przy temacie.

Na widok jej miny uśmiechnął się półgębkiem.

– Czyli komisarz Lemańczyk nie zawodzi? – dodał. – Rozumiem, że niczego się nie dopatrzył?

– Niczego na temat tajemniczej śmierci pani Kozdraś – odparła Iza. – Ale tych ludzi chyba nie sprawdzał.

– Tym się zajmie Krach. Tak czy siak zmierzam do tego, że ściągnięcie sobie teraz na głowę dodatkowych kłopotów w postaci nieletniej dziewczyny to głupi błąd.

Podszedł do ociekacza po nóż, sięgnął po jabłko i przekroił je na pół, a potem położył przed nią połówkę. Nie miał ochoty na owoc, ale musiał czymś zająć dłonie, a podejrzewał, że Izę denerwuje, jak bawi się długopisem.

– Powiesz coś? – zapytał. – Jak ty to wszystko widzisz?

Upiła kolejny łyk herbaty.

– Z jednej strony zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, bo brzmi to rozsądnie. Z drugiej... Nie wiem, Drelich. To kwestia wiary. Oni w coś wierzą, a ja tego nie rozumiem i boję się takich ludzi.

Spojrzała na połówkę jabłka, zaśmiała się krótko i uniosła ją przed oczy.

– Kiedyś w liceum zapytałam księdza na religii, na czym polegał grzech pierworodny. Bo wiesz, jaka jest definicja grzechu, nie?

Pokręcił głową.

– Świadome i dobrowolne czynienie zła – wyjaśniła. – A przecież o tym, czym jest zło, Adam i Ewa dowiedzieli się, dopiero gdy zjedli jabłko. Czyli na logikę nie zrobili tego świadomie i nie mogli zgrzeszyć.

– Co ci odpowiedział ksiądz?

– Nie pamiętam, jakąś bzdurę. – Ugryzła jabłko. – Ale wiesz, potem pomyślałam sobie, że przecież nie mogę być pierwszą, która zadaje to pytanie. Że pewnie wielu już na to wpadło, nawet w Kościele, a mimo to nadal chrzczą dzieci, by zmyć z nich grzech, którego nie było.

Drelich wzruszył ramionami.

– Nie znam się na religii.

– Ja też nie, ale tu nie chodzi o religię. Ludzie w Ponderosie w coś wierzą. W coś, co im mówi ten Kamaz. Według ciebie nie zrobią czegoś, co jest głupie, bez sensu, tyle że oni mogą myśleć o tym inaczej. Mało to było takich rzeczy na świecie? W Stanach, gdzieś na Filipinach, jak się ludzie zabijali, bo im guru kazał? Albo Mason i jego sekta? Też się nazywali rodziną, nie?

– Słuszna uwaga – powiedział i jakby na potwierdzenie tych słów sięgnął po notes oraz długopis.

– Dlatego tak, dopuszczam do siebie myśl, że Cyprian specjalnie mnie nastraszył, bo chciał, żebym mu pomogła – kontynuowała Iza. – Ale biorę też pod uwagę, że wcale nie. Że naprawdę wybrali sobie Zośkę i teraz zrobią wszystko, by nam ją zabrać. A to, że narobią sobie w ten sposób smrodu, może wcale nie być tak wielką przeszkodą, jak myślisz.

Drelich raz jeszcze przejrzał notatki, zakreślił kilka spostrzeżeń, dopisał parę punktów.

– Dobra – powiedział w końcu. – Potrzebuję teraz chwili, by pomyśleć.

– A ja zadzwonię po ojca. Chcesz być przy tej rozmowie?

– Wolałbym, żebyś nie...

– Wiem, co byś wolał – weszła mu w zdanie. – Pytam, czy chcesz przy tym być czy nie.

– Chcę – odparł. – Ale dołączę, gdy już go wprowadzisz.

– To wszystko na jakiś ślub? – zapytała Zosia, sięgając po nitkę. Siedzieli na kocu rozłożonym na trawie, na którym leżały różne elementy do szykowanych ozdób. To, co trzymała w drugiej ręce, zaczynało już z grubsza przypominać prymitywną laleczkę z pakuł. – Bo w sumie nie mówiłeś.

Wojtek przerwał wyplatanie wianka i zanim odpowiedział, obejrzał się na Wiktoria pracującą nieco dalej pod drzewem. Ta wzruszyła ramionami.

– Właściwie to odnowienie ślubów – odparł.

– O, to jeszcze fajniej – stwierdziła Zośka. – Dziadkowie koleżanki mieli coś takiego ostatnio. Pięćdziesiąt lat razem, czujesz? Że oni się nie pozabijali przez ten czas... Ile lat są razem?

– Kto?

– No ci, co będą mieli odnowienie.

– Nie wiem. – Wojtek wzruszył ramionami. – Z pięć?

– Pięć? To co oni chcą odnawiać?!

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zaśmiał się tylko i sięgnął po kolejne kwiatki. Normalnego wianka wypleść by nie umiał, ale wplatanie ich w wiklinowy stelaż nawet mu się podobało. Uspokajało go.

Zosia zawiązała nitkę na lewej ręce lalki w trzech miejscach, jakby oznaczała stawy. Potem obwiązała ją także w pasie, ściskając mocniej, by zrobić coś na kształt talii, i pod głową, by oddzielić ją od szyi. Przyjrzała się swojej pracy, a potem sięgnęła po nożyczki. Ujęła je tak, jakby chciała zdekapitować lalkę.

– Co tam, Wojtek, wierzysz w wudu?

Roześmiał się.

– Tnij – stwierdził. – Ta laleczka bardziej przypomina Wiki.

– Co mnie? Co mnie? – zainteresowała się wspomniana.

Zosia pokazała jej laleczkę wciąż z głową między ostrzami nożyczek, a Wiktoria natychmiast złapała się za szyję, przywierając plecami do pobliskiego drzewa.



– Ej, laska, uważaj z tym! – wycharczała. – To są ostre rzeczy. Cofnij to, powoli, ostrożnie. Nie chcesz narobić głupot.

– OK, OK. – Zosia podjęła grę, cofnęła nożyczki. – Nikomu nie musi się stać krzywda. Właściwie to nawet chciałam poszukać jakiejś różowej bibuły, zrobić sukienkę, żebyś wyglądała pięknie i...

Wiki odłożyła ozdabiany właśnie kijek na trawę i przeszła z klęczek na czworaki.

– Teraz już przesadziłaś! – krzyknęła z udanym oburzeniem. – Oddawaj to!

Rzuciła się w stronę Zośki, a Wojtek odsunął się nieco. Dzieci, bardziej przeszkadzające niż pomagające Aldonie i Marii przy grządkach, zerknęły na nich z zaciekawieniem. Zamachał do nich wesoło, by pokazać, że to tylko wygłupy.

– Uważajcie na nożyczki! – zawołał, gdy Wiktoria wpadła na roześmianą Zośkę, zwały się w uścisku i zaczęły szamotać na trawie w udawanej walce o lalkę.

– W dupie mam nożyczki! – zawołała Wiktoria.

– Jeszcze nie – odparowała Zośka. – Ale to się może zmienić!

Przetoczyły się po ziemi, tak że na chwilę to ona znalazła się na górze. Zaraz jednak Wiktoria szarpnęła się raz i drugi, po czym złapała ją za bluzkę, przyciągnęła i przekręciła na bok. Najpierw ściągnęła z siebie przeciwniczkę, a potem usiadła na niej okrakiem. Zośka próbowała ją rzucić, wypychając biodra do góry i na bok, ale Wiki uniosła tylko rękę, kręcąc nią jak na rodeo.

I wtedy właśnie sobie przypomniał. Obraz wskoczył mu przed oczy jak kadr z filmu, jak wklejona klatka. Śpiąca dziewczyna o kolorowych włosach, Wiktoria nad nią, z nożem w ręce, pochylona tak, jakby chciała ją pocałować. A potem odskakuje. Dźga. I krzyczy.

Skręcił się nagle, czując skurcz żołądka. Szarpnęło nim, zółć podeszła mu do gardła, ale nie zwymiotował. Przełknął.

– Wojtek, w porządku? – zaniepokoiła się Zośka.

Skinął głową, ale nie był pewien, czy widziała. Wpatrzony w trawę, walczył z kolejną falą nudności.

Ten krzyk, przechodzący w pewnej chwili w zdławiony bulgot, dźwięk, z jakim nóż wbijał się w ciało, młaśnięcie, gdy się z niego wysuwał... Wojtek nie mógł być pewien, czy wtedy naprawdę to słyszał. Przecież stał

daleko, na pewno nie mógł widzieć otwierających się oczu tamtej dziewczyny, na pewno nie mógł zobaczyć, jak...

Poczuł na ramionach czyjeś dłonie. Spał się, ale ich nie zrzucił. Splunął tylko kwaśną, żółtawą śliną, a potem odchylił się, ocierając usta.

– W porządku – powiedział. – Po prostu zakreśliło mi się w głowie.

Zośka klęczała przy nim, Wiktoria została tam, gdzie jeszcze przed chwilą toczyła bój o lalkę. Obie przyglądały mu się z uwagą, ale tylko Zośka z niepokojem.

– Może powinieneś usiąść w cieniu – zaproponowała. – Może to przez słońce.

– Może – mruknął. – Ale już jest w porządku. Pójdę po wodę.

Podniósł się, jednak go przytrzymała.

– Siedź, ja pójdę.

Pobiegła w stronę grządek, gdzie przy drewnianej ławeczce stały dzbanek i kubki z wodą. Patrząc za nią, jak rozmawia z Hanną, pokazuje na niego, a tamta sięga też po zawinięte w papier ciasto. Na samą myśl, że miałyby teraz coś jeść, zrobiło mu się niedobrze.

– Fajna jest – powiedziała Wiki.

Spojrzał na nią i dostrzegł, że wpatruje się w trzymaną w rękach laleczkę.

– Fajna, ale się nie nadaje – dodała.

Zrozumiał, że Wiki nie mówi o lalce, ale się nie odezwał.

– Myślę, że to my powinniśmy być razem, wiesz? – kontynuowała. – Znaczy nie, że mi się jakoś podobasz, na pewno nie tak jak Aldonie, ale dużo nas łączy.

Mimowolnie prychnął.

– Co niby?

– Mamy imiona na W, w tym samym dniu obchodzimy rocznicę wstąpienia do rodziny i słyszałam, że też lubisz komiksy – odpowiedziała. – No i najważniejsze: ty i ja zabiliśmy tamtą parę, nie? Tych w Niemczech. Ja wiem, że Jońciu mówi, że to nic, ale zrobiliśmy dziurę we wszechświecie. Moglibyśmy ją teraz wypełnić, zastępując tamtych dwoje. Fajnie by było, spodobałoby ci się.

– Kamaz myśli inaczej – odparł, czując, że znowu ścisną go w żołądku.

– Wiem – odparła Wiktoria. – Powiedziałam mu o tym wczoraj, a on, żebym się nie wygłupiała. Ale pytał, jak się czujesz, czy sobie radzisz. Ją chyba też o to pytał.

Wojtek poczuł nieprzyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, jakby przebiegł po nim prąd, rozgałęziając się po całych plecach.

– Pytał Zośkę o to, jak się czuję? – upewnił się.

– Na pewno z nią gadał wczoraj na osobności, w gabinecie, jeszcze zanim pojechali. Nie wiem, gdzie wtedy byłeś, ale chyba...

– Skąd wiesz, że pytał akurat o mnie? Słyszałaś to?

Wzruszyła ramionami.

– Pewności nie mam – powiedziała. – Ale chyba każdego o to pytał. Jonasz też.

– I co mówili? Ludzie znaczy? Co im mówili?

Wiktoria się roześmiała.

– Nie gorączkuj się tak. Co ja, w gazecie pracuję? Ankiety po ludziach robię? Nie wiem, co inni mówili.

– No to co ty powiedziałaś?

– Że jesteś trochę markotny, ale mogłabym ci raz-dwa poprawić humor. Jak w Sobieradach, pamiętasz?

Pamiętał. Spali wtedy na sali zbiorowej, gęsto, jedno obok drugiego, bo była jakaś awaria ogrzewania. Wiktoria leżała koło niego, chuchając mu w szyję, a gdy zobaczyła, że się podniecił, zrobiła mu dobrze ręką. Pamiętał, że cały czas się uśmiechała, a palec drugiej ręki trzymała na ustach, dając znak, żeby był cicho. Gdy skończył, zachichotała, jakby właśnie usłyszała puentę żartu. Tak to chyba wtedy traktowała – jak dobry psikus.

– Myślę po prostu, że pasowalibyśmy do siebie. Ty i ja – powtórzyła.

Spojrzał w stronę grządek, skąd Zośka ruszyła już w drogę powrotną ze szklanką wody w jednej i kawałkiem ciasta w drugiej ręce.

– Nic jej nie rób, dobrze? – poprosił nagle.

Wiktoria się roześmiała. Podniosła się powoli, otrzepała kolana i ręce.

– Nie no, co ty! – Wyszczrzyła się. – Fajna jest, lubię ją.

## 35

Drelich nie oddalał się specjalnie od domu Lemańczyka, dlatego gdy Iza zadzwoniła, był na miejscu w ciągu pięciu minut. Czekala na niego przy furtce, obejmując się rękami.

– Jak poszło? – zapytał.

– Jak to z ojcem. Najpierw awantura, że tak późno mówię, potem że puściłam dziś Zośkę i takie tam, ale w końcu spuścił z tonu. Poszedł herbatę robić i przetrawia.

– Nie chciał iść od razu na policję?

Wzruszyła ramionami.

– No chciał, ale mu z głowy wybiłam. Obiecał, że niczego na własną rękę nie zrobi.

– Zobaczymy. – Drelich westchnął. – Dobra, chodźmy.

Gdy weszli do domu, Lemańczyk siedział już w swoim fotelu, a na ławie stały trzy szklanki z herbatą. Drelich nie miał co prawda ochoty, ale uznał to za miły gest i podziękował. Usiadł naprzeciwko byłego teścia, założył nogę na nogę i zaplótł dłonie na kolanie.

– Tak się zastanawiam – zaczął Lemańczyk, gdy Iza również usiadła. – Skąd Cyprian ma pewność, że śmierć jego matki nie była samobójstwem ani wypadkiem?

– Nie wiem, tato. Ogólnie mówił, że jeśli ktoś pomoże mu w ucieczce, to on będzie zeznawał i dostarczy dowodów. Ale na co konkretnie, to nie mam pojęcia.

– A na policję boi się iść, bo zabiją jego dziewczynę czy tam żonę, tak? Która jest w ciąży?

Iza zerknęła na Drelicha i przewróciła oczami. Jak się domyślił, dawała mu w ten sposób znać, że już o tym rozmawiali.

– O to, czego się boi konkretnie, to już by trzeba było jego spytać – odparła. – To znaczy mówił mi różne rzeczy, dużo rzeczy, ale jeśli chodzi o szczegóły...

– W zasadzie na tym etapie musimy stwierdzić tylko dwie rzeczy – wtrącił się Drelich, chcąc pchnąć rozmowę do przodu. – Czy wierzymy

w to, co mówi o tej sekcie, i w to, że Zośce naprawdę coś grozi.

– Tak – zgodziła się Iza. – Osobiście uważam, że w tej pierwszej sprawie Cyprian nie ma powodu kłamać. Co do drugiej, sądzymy, że może wyolbrzymiać problem, by zwiększyć nasze zainteresowanie tematem i swoją sytuacją. Co nie znaczy, że problem w ogóle nie istnieje.

Lemańczyk poskubał się po nosie.

– Czyli Zośkę trzeba stamtąd zabrać, ale bez wzbudzenia podejrzeń sekty, tak?

– Właśnie tak – odparł Drelich. – Nie mogą się domyślić, że coś o nich wiemy.

– Tyle że ona tak łatwo się stąd zabrać nie da, prawda? Naprawdę lubi tam chodzić, spędzać z nimi czas, do tego ten jej chłopak... – Lemańczyk urwał nagle i sapnął głośno. – Kurwa mać, jak mogłem być tak ślepy!

– Po pierwsze nie ty jeden – powiedziała Iza. – A po drugie Ponderosa zawsze była fajnym miejscem dla dzieciaków z okolicy. Zresztą sam mówiłeś, że to, co cię dręczyło, sprawdziłeś. Nie puściłeś jej tam bezmyślnie. No i jeżeli cię to pocieszy, czytałam wczoraj w internecie o symptomach dziecka w sekcie i...

– Nie pociesza – przerwał jej ojciec. Wyprostował się i spojrzał tym razem na Drelicha. – Do rzeczy. Macie jakiś pomysł, jak ją stąd zabrać bez afery?

– Tak – odparł Drelich. – Oficjalnie przyjadę tu jutro i pojedziemy tam z Izą. Powiem Zośce, że wyszło coś pilnego i chcę ją ze sobą zabrać, ale wybór pozostawiam jej.

– A skąd pewność, że się zdecyduje?

– Bo to coś, o co męczyła mnie od lat, na czym jej bardzo zależało – wyjaśnił Drelich. – Chodzi o spotkanie z moim stryjem.

Lemańczyk przyjrzał mu się zdziwiony, potem przeniósł wzrok na córkę. W końcu nie wytrzymał i zaśmiał się ponuro.

– No z deszczu pod rynnę! To ja już nie wiem, czy ta sekta nie jest dla Zośki lepsza.

– Zgadzam się i dlatego nie zamierzam jej do niego zawozić – wyjaśnił Drelich. – Chodzi o to, żeby tam, w ośrodku, wypadła wiarygodnie. Powiem jej, że stryj umiera...

– Przydałoby się.

– Tato!

Drelich spojrzał na Izę i pokręcił głową.

– Powiem, że umiera – powtórzył. – I że zmieniłem zdanie, bo to może być ostatnia okazja, by mogła go zobaczyć.

Lemańczyk znowu poskubał się po nosie.

– Dobrze, to ma sens – stwierdził w końcu. – Rozumiem, że potem ją stąd zabieracie, odcinacie od internetu, telefonu i...

– To też – potwierdziła Iza. – Oprócz tego dzwoniłam do terapeutki, z którą pracowała wcześniej. Niestety jest na urlopie za granicą, ale zgodziła się porozmawiać ze mną wieczorem. Dzwoniłam też do tej mojej, będzie jednak dostępna dopiero w przyszłym tygodniu, bo ma jakąś sprawę rodzinną.

– Byłbym ostrożny – powiedział Drelich. – Bo googlowałem sobie tego Kamaszyńskiego przed chwilą. Chodził na tę samą uczelnię co twoja terapeutka i są w podobnym wieku.

– A skąd ty niby wiesz... – Iza zaczęła ostro, ale urwała, wzięła głębszy oddech i dodała już spokojniej: – Co teraz niby sugerujesz?

– Że mogą się znać towarzysko, tylko tyle – odparł, a widząc jej minę, dodał: – I nie chodzi mi o jakieś spiski psychologów, nie patrz tak na mnie. Po prostu się zastanawiam, czy będzie obiektywna.

– Nie będziemy rezygnować z profesjonalnej pomocy tylko dlatego, że się zastanawiasz – stwierdziła Iza. – Równie dobrze możemy uznać, że to małe środowisko i wszyscy się znają.

– Jasne. – Wzruszył ramionami. – Sprawdzę to po prostu dla własnego spokoju. Z niczego nie rezygnujemy.

– Ja mogę pogadać z chłopakami z komisariatu – zaproponował Lemańczyk. – Wrzucą ich wszystkich na bęben i zobaczymy, co wypłynie.

– Lepiej nie – skrzywił się Drelich. – To znaczy tak, trzeba im się przyjrzeć, ale to nie powinno płynąć stąd. – Wstał i w zamyśleniu zaczął się przechadzać po pokoju. – Już raz grzebaliście – przypomniał. – A to w gruncie rzeczy małe miasto. Gdzieś przypadkiem wyjdzie, że lokalna policja ich czesze, pójdą jakieś plotki, dojdą przez pracowników ośrodka i tamci połączą kropki.

Lemańczyk machnął ręką.

– Myślę, że trochę przesadzacie.

– Bo to prawda, przesadzamy – zgodził się Drelich. – To nadmierna ostrożność, ale ponieważ nic nas nie kosztuje i nie generuje dodatkowych problemów, możemy ją podjąć. Sprawdzę ich po prostu innymi sposobami.

Lemańczyk prychnął.

– Innymi sposobami, dobre!

Drelich przystanął przed teściem.

– Tak, właśnie innymi sposobami – powiedział, lekceważąc minę Izy i jej ostrzegawcze gesty. – Na tyle kompleksowymi, że obejmą także ten wasz bęben i pozwolą właściwie ocenić sytuację przed ewentualnym zaangażowaniem się w sprawę. Chcecie pomóc temu Cyprianowi?

Lemańczyk prychnął.

– A ty niby chcesz? Bo jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Nie chcę. – Drelich wzruszył ramionami. – Mówiąc szczerze, jego los specjalnie mnie nie obchodzi.

– Ale pewnie jego pieniądze już tak... – zaczął Lemańczyk, jednak tamten nie dał mu dokończyć.

– Jego pieniądze też nie, ale faktycznie znam ludzi, których mogą zainteresować i którzy mogliby tę sprawę załatwić. Nie widzę problemu, by w tej sprawie pośredniczyć, choćby dlatego, że ostrzegł nas w sprawie Zośki. Poza tym kłopoty, jakie mógłby tej sekcji zafundować, skutecznie odwróciłyby uwagę od naszego dziecka. Ale w sprawie zaangażowania wiele zależy od tego, czy ty zdecydujesz się pomóc.

To stwierdzenie wyraźnie zaskoczyło Lemańczyka. Potrzebował dobrych kilku sekund, by zebrać myśli.

– Co masz na myśli? – zapytał i zaraz doprecyzował: – Co znaczy „mogliby tę sprawę załatwić”? I jak niby miałbym w tym pomóc?

– Tego pierwszego się dowiemy, gdy porozmawiam z Cyprianem – odparł Drelich, siadając z powrotem na krześle. – W bezpiecznym miejscu – dodał znacząco.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powiedziała milcząca od dłuższej chwili Iza. – Spotkanie tutaj...

– Ale ja nie mówię, że tutaj. Chodzi raczej o to, czy twój ojciec nie zna jakiegoś bezpiecznego miejsca. W końcu jest stąd.

Podniósł szklanekę z herbatą i wypił ją dwoma dużymi łykami. Otarł usta, a potem zerknął na zegarek.

– Dobra, to w tej sprawie jeszcze się namyślcie, przegadajcie. Z Zośką działamy według planu?

– Tak – potwierdziła Iza.

– W takim razie potrzebuję podwózki do Katowic, żeby zdążyć na pociąg. Wieczorem mam spotkanie, którego nie mogę przełożyć. Wrócę jutro autem, to was stąd potem zabiorę do Warszawy.

Lemańczyk skrzywił się i już chciał się odezwać, ale Iza go ubiegła.

– Odwiozę go, tato, dobrze? Przy okazji zrobię zakupy. Wypadaloby tam pójść jutro z jakimś ciastem w podziękowaniu, skoro mamy udawać, że wszystko jest w porządku.

– Dobry pomysł – stwierdził Drelich.

Oboje przenieśli wzrok na Lemańczyka. Ten skinął głową.

– Niech będzie – burknął.



## 36

Koło trzynastej okazało się, że problem pękniętej rury nie zamknął dziennego bilansu kłopotów Cypriana.

Następny zgłosił się Marcel, który miał dziś prowadzić zajęcia ze współpracy w warunkach stresowych, ale nie mógł, bo Kamaz zapomniał przekazać klucz do szafki ze sprzętem. Zajęcia fabularnie nawiązywały do misji Apollo 13 i tego, jak pracownicy naziemni próbowali wymyślić rozwiązanie dla spanikowanych astronautów, dlatego opierały się na przekazie komputerowym przekazywanym z jednego pokoju do drugiego. Jako współtwórca tej zabawy Cyprian wiedział, że ważnymi elementami scenariusza są zakłócenia na linii, czasowe zerwanie połączenia czy ataki paniki i agresji obserwowane wyłącznie na ekranie.

– Dodatkowo ktoś musi zastąpić Aldonę – powiedział Marcel. – Weszła w pyskówkę z jedną uczestniczką, prawie się na nią z pięściami rzuciła, więc lepiej ją ściągnąć z widoku.

– O co poszło? – zapytał Cyprian, choć się domyślał. U Aldony zapalnik był w zasadzie jeden.

– Kursanci się wygłupiali – wyjaśnił Marcel. – Jedną dziewczynę wodą oblali i ta ich zaczęła wyzywać. Wiesz, od downów, upośledzonych i tak dalej. Kalima już Aldonę wyciszyła, ale powiedziała, żeby dziś ją izolować. Więc ona wypada.

– A Kalima nie może jej zastąpić? – zapytał. – Nic teraz nie ma.

– Nie zna scenariusza, nie robiła tego – odparł Marcel, drapiąc się nerwowo po zdeformowanej dłoni.

Cyprian przyglądał się temu z pewną fascynacją. Jego zdaniem to, że przy tak rozległych, głębokich poparzeniach Marcel mógł obecnie grać tą ręką na gitarze, zakrawało na cud.

Przymknął oczy i opuszkami palców rozmasował skronie.

– No to może Hankę weź albo...

– Nie na ostatnią chwilę – przerwał mu Marcel. – Wiesz dobrze, że moderator w centrum jest ważny, żeby w razie czego pchnąć temat do

przodu. W grę wchodzi ty, Łukasz albo Magda. Jakbyś ją tam na jakimś krześle posadził.

– Magda nie – stwierdził Cyprian. – Ale daj mi chwilę, pomyślę. Sprzęt można pożyczyć od uczestników, na pewno mają komputery i tablety. Wyłumacz im jakoś, pożycz dwa, a co do moderatora...

– Skoro nie Magda, to musisz ty. Dasz radę. Sprężymy się i...

– Z niczym się nie sprężymy, Marcel, bo to zawsze trwa tyle, ile musi. Skrócisz czas, to musisz im od razu więcej podpowiadać i nie będzie efektu.

– No ale bez moderatora dupa z tego wyjdzie – skrzywił się Marcel.

– To daj Damiana. Niech on moderuje, a ty zostaniesz sam w module. Będziesz miał efekt osamotnienia, jak się patrzy. Bardziej Marsjanin niż Apollo 13. Ograsz to jakoś.

Marcel podrapał się po głowie. Czasami Cyprian miał wrażenie, że robi to specjalnie, by jeszcze bardziej wyeksponować tę przekłętą bliznę. Jakby obnosił się z wojenną raną, symbolem poświęcenia.

– No nie wiem, Cypek. To duża zmiana...

– Ale nie taka znowu trudna. Znasz scenariusz lepiej niż ja, dasz radę ograć wszystkie zwroty akcji. No i myślę, że jak uda się zmniejszyć obsługę do dwóch osób, Kamaz chętniej będzie to ogrywał w przyszłości.

Poczuł obrzydzenie na widok uśmiechu Marcela, jego oczu, które aż zapaliły się do tego konceptu, radości, że odtąd „Misja Ratunkowa” będzie już tylko jego. Brzydził się nim, ale i sobą, że tak łatwo przyszło mu wykorzystanie słabszego.

– Dobra, myślę, że to ogarnę – stwierdził w końcu Marcel. – Spróbujemy, najwyżej nie wyjdzie.

– Nie ma szans nie wyjść. – Cyprian klepnął go w ramię, a potem ruszył w stronę domu.

Miał zamiar coś zjeść, ale gdy był już blisko, dostrzegł Magdę siedzącą na plastikowym krzeselku w cieniu drzewa. Nikt jej nie towarzyszył, więc uznał, że to idealna okazja, by porozmawiać z nią o wydarzeniach zeszłej nocy. Wcześniej w pośpiechu zamienił z nią ledwo kilka słów, co wcale nie wyczerpało tematu. Choć tak naprawdę nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać.

Magda siedziała zwrócona w stronę miasta, więc zauważyła go, dopiero gdy zapytał, jak się czuje.

– Jakby mi ktoś wepchnął pompkę pod skórę i nadmuchał – odpowiedziała. Obejrzała się, upewniając, że jest sam. – Masz teraz chwilę?

– Chwilę tak. Zaraz powinienem usiąść i napisać mowę na... No wiesz.

– A, tak, mistrz ceremonii, zapomniałam.

Zirytował go sarkazm w jej głosie, ale nie skomentował tego. Usiadł na trawie koło niej, zerwał źdźbło i włożył między zęby. Jego ojciec zawsze tak robił. Paradował z nim potem jak westernowy kowboj.

– Myślisz, że ta kobieta coś zrobi? – zapytała i zaraz dopowiedziała szybko: – Bo ja myślę, że nie. Że po prostu zabierze stąd córkę, uciekną do Warszawy i tyle ją będziemy widzieć.

Cyprian strzyknął śliną na bok. Teraz, w świetle dnia, myślał dokładnie tak samo, ale nie mógł tego powiedzieć głośno. Nie po jej nocnej deklaracji.

– Uświadomiłem ją, że to nie wystarczy – odparł. – Że Kamaz i Jonasz ścigają tych, co się wymknęli. Że nie odpuszczają.

– Uwierzyła?

– Nie wiem – przyznał zgodnie z prawdą. – Na pewno się przejęła.

Magda pogłaskała się po brzuchu, a potem sięgnęła po szklanekę lemoniady stojącą obok krzesła.

Cyprian zauważył, że ma tam też talerzyk z babką drożdżową, i od razu poczuł wzbierającą w ustach ślinę.

– A ja znowu rozmawiałam dzisiaj z Klarą – powiedziała. – Byłam na mierzeniu sukienki. Jest tak strasznie obojętna, jakby pusta w środku, martwa, ale na każdą wzmiankę o rytuale cała się spina. A jak się zobaczyła w tej sukience, to jej łzy poleciały i drgawek dostała.

– No to chyba zrozumiała.

– No tak, zupełnie normalne – zadrwiła.

Wypluł źdźbło. Irytował go jej ton, sarkazm, a najbardziej to, że nie dała mu kawałka drożdżówki, choć mogła założyć, że jest głodny. Pomyślał o zeszłej nocy i o tym, jak powiedziała mu, że go kocha. Czy to była prawda, czy zrobiła z nim to samo, co on przed chwilą z Marcelem?

Zamknął oczy, a ręce znowu powędrowały mu do skroni. Gdzieś przez głowę przemknęło mu, że tak z kolei robiła matka i że wtedy, jeszcze w dzieciństwie, zawsze się tym martwił.

– Jak myślisz, na ile ich zakopie? – odezwała się znowu Magda. – Dzień? Dwa?

Otworzył oczy i już miał powiedzieć coś niemiłego, ale na drodze dostrzegł zapakowanego po brzegi rama. Za nim, w pewnym oddaleniu jechał niewielki zielony citroën, którego Cyprian pamiętał z Sobierad.

Wracali. Za chwilę rodzina miała być w komplecie.

Pociąg wjechał do Warszawy z blisko czterdziestominutowym opóźnieniem, więc do biura Kracha Drelich dojechał kwadrans po czasie. O tej porze nikogo już prawie nie było. Wszedł, minął recepcję, mówiąc w biegu, że jest umówiony, i wbiegł po schodach na piętro. W pustym sekretariacie zamknął drzwi na klucz, po czym zapukał do gabinetu Kracha.

– Wchodź!

Brodacz siedział wyprostowany w fotelu za biurkiem, z łokciami na blacie i rękami złożonymi w piramidkę. Przechylał się lekko to w jedną, to w drugą stronę, marszczył czoło i mrużył oczy, jakby się nad czymś skupiał albo próbował odczytać wyjątkowo mały napis na przeciwległej ścianie.

– Co się tak krzywisz? – zapytał Drelich już od progu. – Wyglądasz, jakbyś miał zatwardzenie.

Krach łypnął na niego, ale nie zmienił pozycji.

– Zatwardzenie to ostatnie, czego mi dzisiaj brakuje do kompletu – warknął. – Jakby jeszcze tego wszystkiego było mało, kurwa mać, to godzinę temu coś mi w plecach strzeliło. Sylwia mówi, że to z nerwów, że taki spięty chodzę. Ale jak, kurwa, z nerwów? Ławę szarpnąłem, bo mi się kawa rozlała i powycierać chciałem, sprzątacze oszczędzić, a teraz, kurwa, ledwo siedzę.

– To się połóż.

– Bardzo śmieszne, Drelich. No boki, kurwa, zrywać.

– Poważnie mówię. Na płaskim się połóż, na podłodze najlepiej. Pomaga. Albo piłeczkę ci dam do rolowania, to...

– W dupę se wsadź piłeczkę – mruknął brodac. – Zresztą i tak zaraz Sylwia zajęcia skończy i ma po mnie przyjechać. Już mi jakiegoś masażystę zamówiła. No, siadaj.

Drelich zamknął drzwi i podszedł do biurka. Nowe obrotowe krzesło po drugiej stronie blatu było wyraźnie obniżone, co go trochę nawet rozbawiło.

– Rekrutowałeś do pracy? – zapytał. Sięgnął pod siedzisko i za pomocą umieszczonej tam wajchy wyregulował je pod siebie. – Czy po prostu chciałeś się poczuć panem sytuacji?

Krach przyglądał mu się coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Masz coś zajebiście dobry humor jak na tak dokumentnie spierdoloną akcję – powiedział w końcu, gdy tamten usiadł.

Drelich wzruszył ramionami.

– Łapię dystans – odparł. – Przynajmniej jeden z nas powinien, żeby ta rozmowa nie skończyła się niemiło, prawda?

Krach bardzo powoli poprawił się na siedzisku, prostując plecy. Zacisnął zęby, by nie syknąć z bólu.

– Co masz na myśli? – wycedził.

– Wiesz co. Na pewnym etapie ta rozmowa zrobi się nieprzyjemna i lepiej, by przynajmniej jeden z nas trzymał wtedy swoje nerwy za pysk. A, i od razu powiem: to nie ja.

– Nie myślałem, że ty – odparł Krach.

– Myślałeś. – Drelich uśmiechnął się krzywo. – Byłbyś głupi, gdybyś nie pomyślał. Ale też doszedłeś do wniosku, że to bez sensu, bo nawet gdyby mi odbiło, nie miałbym gdzie tego pchnąć. Mówię to, bo chciałem, żeby wybrzmiało.

Krach znowu się skrzywił.

– Wybrzmiało – potwierdził. – Ale problem jest taki, że w tej sytuacji to właściwie nikt nie mógł tego zrobić. Chrypka nie wiedział, gdzie będzie auto. Samochodziarze, co je kradli, też nie, bo z Wrocławia w ogóle... Poczekaj.

Sięgnął po wibrujący telefon, odebrał i z wyraźnym trudem podniósł do ucha.

– Co tam, kotek, już po zajęciach? Tak, no siedzę tu i umieram trochę... Nie, ibuprom jakiś tylko, ale chuja dało... Dobra, to czekam. Pa.

Wolno odłożył telefon i jeszcze raz się skrzywił.

– Nie wiedziałem, że ta twoja to jeszcze studentka – powiedział Drelich.

– Co tam mówiłeś wczoraj o rodzinie? – zapytał Krach.

– Racja, przepraszam.

– I zajęcia to ona akurat prowadzi. Doktorat ma.

Drelich cmoknął z uznaniem. Odwrócił się na fotelu i podniósł na chwilę, by wziąć z ławy butelkę wody. Odkręcił.

– Wracając do tematu – podjął Krach. – Skoro ty nie i Chrypka nie...

– Jego nie wykluczyłem. Powiedziałem tylko, że jeśli to on, to nie wiem jak. No i wyszłoby, że ewidentnie się z kimś nie dogadał, bo przyjebali mu w ten łeb solidnie.

– Wiem, dowiadywałem się już. W śpiączkę go wprowadzili. Pęknięty czerep ma generalnie, operować będą. Załatwię mu klinikę, żeby go porządnie poskładali.

– Miły gest.

Krach się skrzywił.

– No chyba że to jednak on, a wtedy...

Nie skończył. Znowu poprawił się na fotelu, posykując cicho.

– No żeż ja pierdołę z tym wszystkim!

Drelich spokojnie popijał wodę i dopiero gdy Krach jako tako się umościł, wrócił do rozmowy.

– Jak teraz wygląda sytuacja? – zapytał. – Z klientem rozmawiałeś?

– Z samego rana. Wniebokurwawzięty.

Drelich skinął głową.

– Zrozumiałe – stwierdził. – Dla niego to całe zamieszanie jest w sumie bez znaczenia, nie? Nie jego problem i... Ej, bo teraz nie wiem. Ty tak z bólu czy o coś chodzi?

– Chodzi – mruknął Krach. – Deal był taki, że on te zegarki bierze z powrotem. Na łapówki jakieś, coś chciał nimi załatwiać. Umówiłem się z nim tak, że tylko mi koszty zwraca.

– Od kiedy ty po kosztach rzeczy robisz? – zdziwił się Drelich. – Zwłaszcza takie grube? Przecież sama moja stawka...

– Znam twoją stawkę, Drelich. I to przysługa była, mówiłem ci. Z dawnych czasów jeszcze. – Krach podsunął mu szklanę brudną od soku. – Weź mi nalej tej wody trochę.

Przez chwilę patrzył, jak woda unosi kawałki mięszu, a w rzeczywistości – Drelich był tego pewien – rozważał, jak wiele może i chce teraz powiedzieć. W końcu najwyraźniej uznał, że dużo.

– Rysiek Najduch się nazywa – zaczął. – Z Częstochowy gość taki. Średniak, w dziewięćdziesiątych na szczecińską modę się dorabiał, auta z Reichu, a dupy ze Wschodu. Krzątał się też przy dużych, z Łodzią kręcił, ale raczej tak, wiesz, pod radarem i psiarskim, i miastowym się trzymał.

– Jasne.

– Przy nim w sumie zaczynałem. – Krach ostrożnie uniósł szklanę. – Wielu ludziom mnie przedstawił, tyłek uratował. Ze dwa razy dosłownie

nawet, bo mnie odjechać chcieli. No mentor taki, pewnie ci nawet o nim wspominałem.

– Nie kojarzę.

– Ksywa Bagnet? Albo Bobi?

– A, racja.

Krach pokiwał głową i wypił zawartość szklanki, krzywiąc się przy tym, jakby to była co najmniej czysta wódka.

– Potem ja poszedłem swoją drogą, a on zniknął i wypłynął dużo później, już mniej więcej na legalu – podjął po chwili. – Trzeba mu przyznać, że zawsze wiedział, kiedy łeb chować. W porę się wycofał, do paki nie trafił, wyprał, poinwestował. Część tego prania zrobił u mnie, jak mówił, po starej przyjaźni. No i kilka razy jeszcze z pierdołami się odzywał, raz chyba coś za większą kasę, speców potrzebował do jakiejś karuzelki z VAT-em.

– A ta przysługa to za uratowanie tyłka czy coś innego? – zapytał Drelich.

Krach znowu delikatnie pokiwał głową.

– Kiedyś ci pewnie powiem, ale to dłuższa historia jest – odparł. – W każdym razie mam z nim trochę jak ty ze stryjem, tylko my się lubimy. A jubiler to biznes jego kumpla, który chciał się akurat wycofać, bo mu wspólnik przestał leżeć, ale kasa w towarze i takie tam...

– To na ile popłyniesz?

Krach uśmiechnął się kwaśno i pogłaskał po brodzie.

– To jest ten moment, gdy rozmowa robi się nieprzyjemna, tak? Sprawdzasz, czy uwzględnię w kosztach twoją wypłatę?

Drelich wzruszył ramionami.

– Trochę tak – przyznał. – Ale bardziej zastanawia mnie co innego. Na ile w zasadzie ufamy temu facetowi?

– Bobiemu?

– Tak.

Krach zmarszczył czoło.

– Czekaj, czy ty właśnie sugerujesz...

– To na razie tylko pomysł – przerwał mu Drelich. – Facet dostanie kasę z ubezpieczenia, tak? Ma też pomysł na zegarki, a skoro to była przysługa, z tobą też by się jakoś pewnie dogadał i coś byś tam mu dorzucił za straty.

– Ale to przecież drobniaki by były. Dla niego znaczy. Na cholerę taki zarobas miałby...

Krach urwał nagle i ukrył twarz w dłoniach.



– Kurwa! Jestem debilem.

– Czasem każdy jest – przyznał Drelich. – Ale bywa też, że dla niektórych opuszczamy trochę gardę. Nie prześwietliłeś go jak normalnego klienta, nie? Nie sprawdziłeś jego kondycji finansowej?

– Jedynie po łebkach – mruknął przez palce. – Ale do głowy by mi nie przyszło, żeby mógł się połasić na... Kurwa, to jest oczywiste!

– Nie oczywiste, bo nadal nie tłumaczy wszystkiego – zauważył Drelich. – Na przykład tego, jak ci goście dowiedzieli się o ustawieniu auta.

Krach westchnął.

– Bobi mnie zna. Mógł wiedzieć, z jakimi jumaczami pracuję. Gdy sobie nową furę kupił i chciał dodatkowe zabezpieczenia oraz lokalizatory, co je u mnie Kaczanowski montował, pamiętasz, to też go do swoich ludzi skierowałem. Nie wiem, czy akurat do tych z Wrocławia, ale chuj wie. Jeśli się z nimi dogadał na GPS-a, to wszystkie twoje kombinacje z myleniem tropów były psu w dupę.

– A ile wie o mnie? Zna mnie jakoś? Z opowieści chociaż?

Krach musiał się zastanowić, ale w końcu pokręcił głową.

– Nie, raczej nie – odparł. – Zresztą od zeszłego roku twoje nazwisko w ogóle się nie pojawia. Ode mnie wie tyle, że facet, co to robił, jest moim człowiekiem. I że jest dobry.

– Dzięki.

– Sręki, kurwa – prychnął Krach. Cofnął ręce od twarzy i powoli się wyprostował. – Słuchaj, jeśli chodzi o nasze rozliczenie, to wszystko w mocy. Trochę to potrwa, ale...

– Zanim cokolwiek zrobisz, dowiedz się, czy to naprawdę on – przerwał mu Drelich. – Bo głupio będzie, jak wyskoczysz z czymś takim bez potwierdzenia.

Podniósł butelkę do ust, opróżnił ją, po czym odstawił na blat.

– Jest jeszcze jeden temat – powiedział. – Pilny dość, ale z opcją na naprawdę duży zysk.

– A ty nie miałeś z tym skończyć aby? – Krach musnął palcami brodę. – To nie miał być twój ostatni skok?

– Miał i był, bo mnie tu nie interesuje kwestia biznesowa, ale ciebie może. – Drelich wyjął z kieszeni kartkę złożoną na cztery i podał mu ją. – To trzeba sprawdzić. Potrzebne na wczoraj, bo temat łatwo się może wysypać, a potencjalnie warty jest parę baniek.

Krach, który już rozkładał kartkę, zatrzymał się w pół ruchu i uniósł wzrok.

– Kilka baniek? – zdziwił się. – To co to jest?

– Bardzo możliwe, że najłatwiejsze pieniądze w twoim życiu – odparł Drelich. – Ale póki tego dobrze nie sprawdzisz, to się nie dowiemy. Tylko serio, Krach, na wczoraj.

Wojtkowi bardzo chciało się sikać. Wiedział, że jeśli znowu wstanie wcześniej i pobudzi dzieciaki, to ci, którzy byli za nie dzisiaj odpowiedzialni, nie darują mu tego. Dobry kwadrans po przebudzeniu leżał więc na górnym łóżku, z rękami wzdłuż ciała i szeroko otwartymi oczami. Bał się je zamknąć, bo pod powiekami wciąż czaiły się resztki paskudnego snu, z którego właśnie się wyrwał.

Usłyszał jakiś odgłos na korytarzu i uniósł głowę. Przez uchylone drzwi do pokoju zobaczył drobną, chudą sylwetkę.

Wiedział, że Wiktoria wstaje wcześniej, by czytać komiksy. Ze dwa tygodnie temu, kiedy po raz pierwszy zauważył ją skradającą się o świcie przez korytarz, poszedł za nią i zobaczył, jak dziewczyna zniknęła w garażu, skąd nie wychodziła przez dobrych dwadzieścia minut. Innym razem, idąc na siku, zobaczył ją leżącą na kanapie z numerem Supermana. Oczywiście zgłosił to Kamazowi, a ten podziękował mu za czujność, ale jak stwierdził, Wiktoria miała jego zgodę. Poprosił też, by zachowali to w tajemnicy.

Ucisk na pęcherz stawał się coraz mocniejszy i Wojtek zdał sobie sprawę, że nie może dłużej czekać. Zszedł najciszej, jak mógł, i zerknął na dolną pryczę. Spała tam żona Marcela oraz dwójka dzieciaków. Hanna leżała bokiem, obejmując trzyletniego Błażeja. Spod kołdry, na wysokości jej potylicy, wystawała dziecięca stopa należąca do czteroletniej Julii. Z jakiegoś powodu rozbawił go ten widok.

Doszedł na palcach do drzwi, uchylił je i wysunął się na korytarz. Tu już nie musiał się skradać, więc ruszył szybko korytarzem, modląc się w duchu, by łazienka nie była zajęta, bo czuł, że do tej na dole może już nie zdążyć.

Nikogo nie było. Ledwie jednak podniósł deskę i zaczął sikać, z dołu dobiegł go nagle przeraźliwy łoskot. Wyteżył słuch, ale nie mógł już teraz przerwać, więc chwilę zajęło, nim skończył i wybiegł z łazienki. Pędem rzucił się ku schodom, słysząc, jak ludzie budzą się w pokojach. Słyszał ich zaniepokojone głosy, mlaszczący odgłos bosych stóp na posadzce.

Gdy zbiegł, zobaczył Wiktorię i Kamaza, który spał w pokoju na dole, ubranego jedynie w bokserki. Ona próbowała coś tłumaczyć, ale on ją odepchnął, wpadł do garażu i zaczął rozrzucać z łoskotem pudła.

Wojtek dobiegł do Wiktorii, złapał ją za ramię. Stała do niego tyłem, więc szarpnęła się odruchowo, ale gdy się obejrzała i zobaczyła kto to, przytuliła go szybko.

– To było straszne – wydyszała mu w szyję. – Ona po prostu tam stała. Stała i patrzyła, jakby czekała na mnie, żeby to zrobić. Jakby...

– Kto? – Nie zrozumiał.

– Stała na stołku – nie przestawała mówić Wiktoria. – Miała linę na szyi, ale nie skakała. Czekala na mnie. Czekala, żebym weszła, i dopiero wtedy... ona wtedy... Co ja jej zrobiłam? Kurwa!

Wojtek objął ją trzęsącymi się rękami, nie wiedząc, czy w tym momencie uspokaja bardziej ją czy siebie. Nogi ugiwały się pod nim, serce waliło mu w piersi, a obraz raz po raz gubił ostrość.

Z tego miejsca widział już Kamaza w głębi garażu, jak się schyla, odrzuca na bok szafkę, a potem podnosi z podłogi Klarę i ściąga z jej szyi prowizoryczną pętlę. Wziął dziewczynę bez trudu na ręce i ruszył z nią w stronę mieszkania.

– Wojtek, każ się wszystkim zamknąć w pokojach – powiedział, ustawiając się bokiem i kuląc, by przejść przez drzwi. – Potem wróc, rozumiesz?

Chłopak skinął głową, wpatrzony w czerwony, obtarty ślad na szyi Klary.

– Żyje? – wydusił z siebie.

– Żyje – mruknął Kamaz. Przeniósł wzrok na Wiktorię. – Przestań histeryzować i leć po apteczkę, bo rozwaliła sobie głowę. W łazience jest, tej na dole, koło...

– Znajdę – odpowiedziała Wiktoria, odklejając się od Wojtka.

– A ty na co czekasz? – warknął Kamaz, patrząc na niego. – Powiedziałem coś przecież!

Podniesiony, rozdrażniony ton olbrzymia kopnął go niczym prąd. Wojtek wyprostował się gwałtownie, po czym rzucił się ku schodom. Stała tam już sześćioletnia Oliwka.

– Co się stało cioci? – zapytała, gdy dobiegł do niej i wziął ją na ręce.

– Upadła i się uderzyła. Szybciutko wracaj do pokoju.

Ze swojego pokoju wyłonił się Cyprian, wciąż jeszcze opuchnięty od snu, i rozejrzał się z niepokojem.

– Co się stało? – zapytał. – Co to za hałasy?

Wojtek postawił małą na podłodze i już miał odpowiedzieć, gdy zobaczył, że z dwóch pozostałych pokoi wyłaniają się kolejne dzieciaki.

– Kamaz kazał wszystkim wracać do łóżek – powiedział drżącym głosem. – Bez gadania.

Z pokoju po lewej wyłoniła się Aldona z małym Brunem na ręku. Zaczęła coś cicho mówić do malców i zaganiać ich do środka, wolną ręką wyciągając w stronę Oliwki. W progu pokoju po prawej pojawił się Tomeczek.

– Coś pomóc trzeba tam na dole? – zapytał.

– Nie, chyba nie – odparł Wojtek.

Cyprian przymknął drzwi sypialni, podszedł do schodów i zerknął przez barierkę. Mógł stąd widzieć co najwyżej kawałek kanapy i nogi Klary, ale to mu najwyraźniej wystarczyło, bo pobladł, przykładając rękę do ust.

– Czy ona... – zaczął i urwał.

– Żyje – odpowiedział Wojtek. – Próbowwała... ale żyje. Szafka się zarwała.

Wziął kilka głębszych oddechów. Przymknął też oczy, ale zaraz je otworzył, przerażony obrazem czającym się pod powiekami.

– Kamaz powiedział, żeby nikt się nie ruszał.

Cyprian otaksował go z taką miną, jakby chciał go odepchnąć i samemu tam pobiec, ale nawet nie drgnął.

– Jasne – powiedział w końcu i schował się w sypialni.

Wojtek wrócił na dół. Kamaz siedział na ławie koło kanapy i gładził Klarę po dłoni.

– No już, spokojnie – powtarzał cichym, ciepłym głosem. – Nic się nie stało.

To nie do końca była prawda, bo Klara faktycznie miała rozciętą głowę. Leżała na płask, lekko tylko zwrócona w stronę olbrzyma, a ciemna krew ściekała na poduchę kanapy. Oddychała płytko, jakby z trudem łapała oddech. Na szyi miała szybko zabarwiający się siniec, ale patrzyła w miarę przytomnie.

Wojtek przycupnął na kwadratowym pufie, wciskając złożone dłonie między uda, i zaczął się kołysać rytmicznie do przodu i do tyłu. Gdy od strony łazienki dobiegły hałas i seria przekleństw, przemknęło mu przez głowę, że może powinien pomóc Wiktorii szukać apteczki, ale nie dałby rady teraz wstać. No chyba że Kamaz wydałby jego ciało rozkaz.

Olbrzym jednak nie poświęcał chłopakowi uwagi, całkowicie skupiony na Klarze.

– Co ty chciałaś zrobić, głuptasie? – pytał głosem pełnym troski. – Ile ty tam w ogóle stałaś, co? Całą noc? Pół?

Nie odpowiedziała. Oblizła wargi, łypnęła w stronę Wojtka, rejestrując jego obecność. Potem lekko uniosła głowę, by spojrzeć na dłoń głaskaną przez Kamaza.

– Wiktoria musiała cię spłoszyć, co? – pytał dalej. – Stałaś tam, zastanawiałaś się i nagle po prostu spanikowałaś, dobrze mówię?

Znowu brak odpowiedzi.

Z łazienki przybiegła Wiktoria z apteczką.

– Przepraszam, ktoś musiał przestawić – wytłumaczyła się. – Co jest...

Kamaz uciszył ją gestem, wciąż nie odrywając wzroku od Klary.

– Dobrze, że ta szafka się urwała, kochanie – powiedział, nie zmieniając tonu. Wciąż był to ciepły, przyjemny głos, ten znany z wystąpień publicznych. – Bo zobacz, ile byś narobiła kłopotu.

Skinął na Wiktorię i z podanej przez nią apteczki wyjął gazę oraz wodę utlenioną. Otworzył buteleczkę.

– Skarbie, bez ciebie nie możemy przeprowadzić uroczystości. A przecież wiesz, że to niezbędne, żebyście mogli odzyskać zaufanie rodziny, prawda? To jedyna droga. Bez tego nie ma wybaczenia. Ani dla ciebie, ani dla Igora, bo jesteście przecież jednym, prawda?

Namoczył gazę i delikatnie obmył jej czoło wokół rany. Wierzgnęła z sykiem, ale on tylko się uśmiechnął.

– No i kim byłby wtedy dla nas mały Bruno, pomyślałaś o tym? Jak mielibyśmy go traktować? – Wymienił brudną gazę na nową, którą również zmoczył wodą utlenioną. – Trochę rozsądku, dziewczyno. Co ja mógłbym z nim w takiej sytuacji zrobić, żeby go uratować? Jak oczyścić z waszej zdrady? Wrzucić do tego dołu zamiast ciebie? Karać dziecko za to, że mama myśli, że jej nie obowiązują prawa i zasady?

Widząc łzy w oczach Klary, Wojtek zwiesił głowę. Stojąca obok Wiktoria dostrzegła to i złapała go za rękę. Nie z uczuciem. Bardziej ostrzegawczo.

Ranna kobieta znowu syknęła.

– Przykro mi, ale musi trochę szczypać – westchnął Kamaz. – I tak pokażemy to Kalimie, żeby zobaczyła, czy nie trzeba będzie szyć. Wojtek, skoczysz po nią?

Wojtek poderwał się gwałtownie i nagle się zachwiał. Musiał przytrzymać się oparcia, by nie upaść.

– Ej, uważaj – zaśmiał się Kamaz. – Kolejna rozbita głowa na pewno jest nam niepotrzebna, prawda, skarbie?

Przyjrzał się pod światło obmytej ranie.

– No czysta głupota, co mogę powiedzieć – mruknął. – Ale może dobrze się stało, co? Bo czasem trzeba się pacnąć w łeb, by coś zrozumieć. Bo ludziom niekiedy się wydaje, że już im na niczym nie zależy, że już nic nie jest dla nich ważne. I dopiero dzięki takim momentom i rozmowom jak teraz mogą się przekonać, jak jest naprawdę.

Klara przełknęła ślinę, zamknęła i otworzyła oczy. Raz jeszcze oblizała wargi.

– Przepraszam – wyszeptała w końcu. – Przepraszam, Kamaz.

Olbrzym odłożył brudną od krwi gazę, wziął dłoń dziewczyny w swoje i znowu zaczął ją głaskać.

– Mówiłem już przecież, skarbie. Na szczęście nic się nie stało.

Drelich zdecydował się na samochód z wypożyczalni. O szóstej rano kosztowało go to trochę zachodu, ale zdecydował, że mimo wszystko nie chce eksponować blach swojego auta przed członkami sekty. Z kolei podmiankę tablic mogłaby zobaczyć Zośka i o to zapytać, a to już było proszenie się o zainteresowanie. Po prostu powie jej, że jego auto się zepsuło.

Podróż z Warszawy do Gronowa z jednym niedługim postojem zajęła mu około pięciu godzin. Wiedział, że i tak nie może się zjawić w okolicy przed wyjściem Zośki do Ponderosy. Był umówiony z Izą i jej ojcem, że najpierw spotka się z nimi w domu, by omówić po kolei, co i jak mają robić.

Dotarł przed dwunastą. Zaparkował wzdłuż ulicy i przeszedł przez otwartą furtkę. Iza musiała wyglądać go z okna, bo nie zdążył nawet zapukać, kiedy drzwi się otworzyły.

– Wchodź – powiedziała.

W kuchni na stole, parapecie i większości blatu leżały wypieczone i rozkrojone korpusy eklerów.

– Potrzebuję jeszcze maksymalnie godzinę – oznajmiła Iza. – Ojciec załatwił mieszkanie. Jego znajomy jest na wakacjach i zostawił klucze matce, żeby kwiaty podlewała, ale kobiecina ledwo się rusza, więc chętnie przyjęła pomoc. Teraz na zakupy poszedł. Mówi, że jak ma siedzieć na dupie i być naszym łącznikiem, to musi zapasów narobić.

– Dobre podejście. A jak Zośka dzisiaj?

– W skowronkach, cholera – Iza westchnęła ciężko. Stała przy kuchence, rozpuszczając czekoladę i masło w kąpieli wodnej. – Mówiła, że wczoraj szykowali ozdoby na odnowienie ślubów, jakieś cholerne wianki, laleczki, ukwiecone słupki. Chore to jest normalnie.

– Ale wie, na czym to ma polegać? Mówiła coś?

Iza pokręciła głową.

– Nie, śmiała się tylko, że robią odnowienie ślubów po pięciu latach. To chyba dobry znak, nie? Że nie wtajemniczają jej w szczegóły?

– Mam nadzieję – odparł. – Rozmawiałaś z jej terapeutką?



– Tak. Trochę musiałam kluczyć, bo nie chciałam mówić wszystkiego, a ona zadawała dużo pytań, ale generalnie była bardzo zaniepokojona, zwłaszcza tymi sesjami. Chciała wiedzieć, czy Zośka inaczej pachnie, czy nie ma zamglonego wzroku, czy się nie kuli. Mówiła, że bardzo potrzebuje teraz kogoś, kto jej wysłucha, okaże zrozumienie, i przez to jest szczególnie podatna. No i zgadza się, że zdecydowanie trzeba ją stamtąd jak najszybciej zabrać. Obiecała poszukać kogoś, kto z nią pogada doraźnie, ale sezon wakacyjny, to trudno. A, i mamy odciąć Zośkę od komunikatorów i nie zostawiać samej. Sugeruje, żeby z nią porozmawiać, a najlepiej zgłosić się do ośrodka. Obiecała podesłać jakieś namiary, ale jeszcze tego nie zrobiła.

Nie przestając mieszać, odchyliła się, by spojrzeć na leżący na blacie telefon.

– Powiedziała też, że pokazanie się przy okazji tamtym jako wspierający rodzice to ważny sygnał – dodała po chwili. – Taki, który może, choć nie musi, ich trochę zniechęcić. Mniej więcej tyle, ale trudno się rozmawia, gdy nie można powiedzieć o tylu rzeczach.

– Jasne. – Drelich rozejrzał się po kuchni. – Myślisz, że mogę teraz skoczyć do ciebie na górę? Jestem trochę obolały i potrzebowałbym się trochę rozmasować, skoro zaraz znowu czeka mnie jazda.

– Jasne, idź – odpowiedziała. – Jak chcesz wziąć prysznic, to też na górze.

– Nie potrzebuję. Skoczę tylko po piłeczkę, bo zostawiłem w aucie.

Czterdzieści minut później zapakowali eklery na tylne siedzenie samochodu i ruszyli w stronę Ponderosy. Drelich poruszał się bez nawigacji – nie musiał, bo były tu raptem dwie główne ulice, za to drogowskazów tyle, że człowiek musiałby się naprawdę postarać, żeby się zgubić.

– Do młodego miałeś zadzwonić – przypomniała Iza, gdy minęli wyblakły billboard z zapowiedzią westernowego miasteczka. – Żalił mi się wczoraj.

– Wyleciało mi z głowy – przyznał. – Byłem na salce. Musiałem trochę odreagować ostatnie dwa dni i dałem sobie wycisk, a jak skończyłem, dochodziła północ. Pewnie już wtedy spał.

Zaśmiała się.

– Trzynastolatek? Na obozie? O północy?

– Ja zwykle spałem – wzruszył ramionami.

– Ty byłeś na obozach judo, Drelich. I z sadystycznym trenerem podobno, więc nic dziwnego.

– No w sumie racja – przyznał i sięgnął do telefonu zamocowanego w uchwycie.

– Co robisz? – zdziwiła się Iza.

– Dzwonię do młodego.

– Teraz to ona ma zajęcia pewnie. Poza tym jak się dowie, że wysłaliśmy go na obóz, a sami spędzamy sobie rodzinne wakacje we trójkę u dziadka, to się może wkurzyć.

Spojrzał na nią i parsknął śmiechem.

– To nazywasz rodzinnymi wakacjami? Naprawdę?

Wzruszyła ramionami.

– Nie pytaj, co nazywałam kiedyś małżeństwem.

Tuż za miastem skręcili w boczną drogę wiodącą już na ranczo. Samochód co rusz podskakiwał na wybojach, a Iza za każdym razem oglądała się, czy talerze owinięte srebrną folią są na swoim miejscu. Gdy w końcu minęli dużą drewnianą bramę z napisem „Ponderosa” i dziurami po strzałach, droga, choć wciąż tylko ubita i przysypana żwirem, zrobiła się równa.

Drelich odbił w stronę dużego dwupiętrowego domu, na którego podjeździe stały trzy samochody: dwa osobowe i jeden duży pickup. Na niewielkim ni to ogródku, ni poletku pracowały przy krzakach dwie kobiety, nieco dalej na trawie łysy, chudy nastolatek ganiał się z grupą roześmianych dzieci. Gdy podjechali bliżej, Drelich zorientował się, że to jednak dziewczyna.

– Widzisz gdzieś Zośkę? – zapytał.

– Nie, ale Cypriana widzę. Jest tam.

Pokazała palcem w stronę mężczyzny stojącego przy długim drewnianym stole, szykowanym, jak można było przypuszczać, do wielkiego rodzinnego obiadu. Rozmawiał akurat z jakimś starszym mężczyzną.

– Ten drugi to pewnie Jonasz – stwierdziła. – Chyba że mają więcej gości wyglądających i ruszających się jak starzy gliniarze.

Zdaniem Drelicha facet przede wszystkim sprawiał wrażenie obolałego, trochę jak Krach wczoraj, ale zachował tę myśl dla siebie. Zaparkował przy pozostałych samochodach i wyłączył silnik.

W lusterku dostrzegł, że zarówno chuda dziewczyna od dzieciaków, jak i one same przyglądają się autu. Nie podobało mu się to. Swędziała go ta

świadomość znalezienia się na wrogim terenie, całkowicie na widoku i w centrum uwagi, bez maskowania choćby w postaci zarostu. Tyle że jakie znaczenie miałyby ukrywanie się w tych okolicznościach, gdy jedyną zasłoną Izy były przeciwsłoneczne okulary, które właśnie wyjęła z etui.

Wysiadł i obszedł samochód. Zauważył, że Cyprian i jego towarzysz już zmierzają w ich stronę.

Przyjrzał się chłopakowi. Jego zachowanie stanowiło kolejną wielką niewiadomą tego spotkania. Nie mógł się spodziewać ich przyjazdu, trudno więc było przewidzieć, jak się zachowa, widząc Izę po raz pierwszy od tamtej nocy. Na pewno się zdenerwuje, ale czy na tyle, by wzbudzić podejrzenia?

Na szczęście bardziej wyglądał na zaskoczonego. Podobnie jego towarzysz, choć w tym przypadku nie było wątpliwości, że za jego zaskoczeniem kryje się także podejrzliwość.

– Iza? Iza Lemańczyk? – zapytał Cyprian. – To naprawdę ty?

Jego entuzjizm rezonował fałszem, słowa brzmiały bardziej, jakby je deklamował, choć czy nie tak powinien właśnie brzmieć członek sekty, który widzi po latach dawną znajomą?

Iza odegrała swoją rolę znacznie lepiej. Spojrzała na niego zaskoczona, a następnie z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Czyli jednak – powiedziała z rozbawieniem. – A jak mi przedwczoraj tata powiedział, że to ty, to nie chciałam wierzyć.

Podeszła do niego i objęła, całując go w policzek.

– Wiem, że to zabrzmiało staro, ale wyrosłeś, chłopie – stwierdziła, odsuwając się. Wyciągnęła rękę w stronę drugiego z mężczyzn. – Izabela Lemańczyk.

Ten uściśnął podaną dłoń.

– Miło mi.

Nie przedstawił się, zauważył Drelich. Obstawiał, że mężczyzna użyje chociaż imienia, dokładnie tak, jak sam zamierzał zrobić, ale tamten nie zdecydował się nawet na to. Drobiazg, który bardzo wiele o nim mówił.

– Iza była kiedyś moją opiekunką – wyjaśnił Cyprian Jonaszowi. – Uczyła mnie jeździć autem pod nieobecność ojca. To także mama Zosi, ale to już pewnie zauważyłeś.

– Tak – przyznał Jonasz. – Podobieństwo jest zauważalne.

Przeniósł wzrok na Drelicha.

– A pan?

– A to Marek – jego z kolei przedstawiła Iza. – Może go pamiętasz, Cyprianie? Kilka razy byliśmy tu u was razem. Mój były mąż, tata Zosi.

Drelich wysunął się nieco do przodu z wyciągniętą dłonią.

– Ja cię pamiętam – powiedział do Cypriana. – Lata temu. Tyle że wtedy to jeszcze byłem nie byłym, a przyszłym.

Cyprian zaśmiał się nerwowo, zerkając na Jonasza. Ten uważnie wpatrywał się w Izę.

– Miło, kiedy udaje się tak pokojowo, mimo rozvodu – zauważył.

– Co poradzić? – Iza rozłożyła ręce. – Czasem drugi człowiek jest jak drink. Raz na jakiś czas na mieście jest fajnie, ale żeby tak codziennie...

– Skoro tak – odparł Jonasz i powoli przeniósł wzrok na Drelich. – No ale z córką to chyba nie na drinka?

– Nie. Właściwie to po nią.

– Po nią? – zdziwił się Cyprian. – Przecież mówiła, że będzie z nami do końca wakacji.

– Bo taki właśnie był plan – wyjaśniła Iza. – Ale wyszła nagła sprawa rodzinna.

– Och, mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Niestety – westchnął Drelich. – Ale w sumie tego się spodziewaliśmy. Stryj jest już w podeszłym wieku.

Cyprian coraz bardziej się spinał i Drelich widział to na jego twarzy, słyszał w jego głosie. Na razie dawało się to jakoś wytłumaczyć – spotkanie po latach, niezręczny temat. Jeśli ktoś, jak Jonasz, nie znał prawdziwej przyczyny jego zdenerwowania, mógł je sobie wyjaśnić w taki właśnie sposób. Ale im dłużej w to brnęli, tym ryzyko stawało się większe.

Z domu wyszły dwie kobiety, niosąc półmisek i wazę z zupą. Pierwsza, starsza, o mocno głębokich rysach na poważnej twarzy, zwróciła uwagę na przyjezdnych, Izie poświęcając nawet dłuższe spojrzenie.

Druga, młodsza, szła ze wzrokiem wbitym w ziemię. Miała na głowie świeży opatrunek, a na szyi zaczerwieniony poziomy ślad.

– W tej chwili Zosia jest jeszcze na zajęciach – powiedział Cyprian, zachowując się tak, jakby koniecznie chciał jak najszybciej skupić na sobie ich uwagę. – Trwa właśnie ciekawy wykład, związany z budowaniem pewności siebie.

– O, to na pewno się przyda – zauważyła Iza. – To bardzo ważne, żeby w dzisiejszych nastolatkach budować pewność siebie. Poczucie bliskości z rodziną i...

– Rzeczywiście słyszeliśmy, że ma tu dużo fajnych zajęć. – Drelich szybko wszedł jej w zdanie. – Mówiła o zajęciach z dziećmi i o jodze.

– Zwłaszcza ta joga nas zaskoczyła – dodała Iza. – To znaczy pozytywnie, żeby nie było. W domu próbowałam ją namawiać, ale nigdy mi się nie udało.

Jonasz patrzył. Przenosił wzrok to na niego, to na nią, z lekkim, zagadkowym uśmiechem. Słuchał, a jednocześnie – Drelich był tego pewien – analizował w skupieniu, co wynika z ich słów. Ile wiedzą, jak do tego podchodzą i co Zośka powiedziała im na temat sekty. Ale chyba jak na razie zdawali ten test.

Kolejnym, pomyślał, będzie rozmowa z Zośką.

## 40

– A co ty, Wojtek, na gitarze zacząłeś grać? – zapytała Kalima, widząc go na murku pod ośrodkiem, z pudłem na kolanie i palcami na gryfie.

– A nie, tylko takie tam... – Speszony zdjął palce ze strun. – To Zośki jest. Cypriana znaczy, ale Kamaz...

– No już, już, to żart był przecież – uśmiechnęła się, pokazując zęby. Pomyślał, że mówi się na takie „śnieżnobiałe”, ale on nigdy nie widział tak białego śniegu. – Czekasz na Zosię?

Skinął głową.

– Kamaz powiedział, że ma z nami zjeść obiad.

– No to pewnie zajmie moje miejsce przy stole. – Kalima poklepała dłonią przewieszoną przez ramię matę do jogi. Potem coś chyba jej się przypomniało, bo podeszła do murka. – Mogę na chwilę?

– Pewnie. – Odsunął się odruchowo, czując, że czerwienią mu się koniuszki uszu.

Od początku lubił Kalimę. Lubili ją zresztą wszyscy w rodzinie, może oprócz Aldony. Jednocześnie, do czego specjalnie głośno się nie przyznawał, ciemnoskóra lekarka bardzo mu się podobała. Właściwie od pierwszego dnia, od chwili, gdy ją zobaczył. I nie chodziło o to, że była czarna, choć w życiu niewiele widział osób o innym kolorze skóry niż jego. No może oprócz Cyganów, ale ci się nie liczyli. Ale Kalima była po prostu idealna, z tą swoją nienaganną figurą, długimi nogami i arystokratyczną twarzą dumnej królowej Afryki.

Wiele razy o niej myślał i masturbował się, o czym potem ze wstydem pisał w swoim dzienniku czy mówił Kamazowi w prywatnych rozmowach. Ten zapewniał go, że to nic złego, tak bywa, ale przyjdzie dzień, że on wybierze dla Wojtka kogoś, kto będzie bardziej do niego pasował. I miał rację, bo potem przedstawił mu Zosię.

Mimo to uczucie do Kalimy ciągle się w nim trochę tliło, podszyte wstydem, że sekrety z dzienników w jakiś sposób do niej dotrą.

– Byłeś przy tym, jak Klara się powiesiła? – odezwała się nagle. – I jak zarwała się ta szafka?

Pokręcił głową i obejrzał się na drzwi ośrodka.

– Wiktoria była. Mówiła, że Klara po prostu stała na stołku, wystraszyła się na jej widok i spadła.

– To możliwe, tak. – Kalima w zamyśleniu postukała paznokciem o zęby. – A mówiła coś potem? Ona chciała, żebym przyszła, czy Kamaz?

– Nie pamiętam. Chyba Kamaz – odparł.

Nie podobały mu się te pytania, choć właściwie nie potrafił powiedzieć dlaczego. Była lekarką, może chciała wiedzieć z powodów medycznych. A jednak coś mówiło mu, że ona nie powinna o to pytać, a on odpowiadać. Nie wspominając już o tym, że źle się czuł, wracając do wspomnień z poranka. Rzygał później prawie jak po... no, tamtym, w Niemczech.

Za ich plecami otworzyły się drzwi i wyszli kursanci w luźnych strojach i z matami. Niewielka grupka zaraz otoczyła kosz na śmieci zwieńczony popielniczką, dwie osoby wsiadły do jednego ze stojących przed ośrodkiem samochodów, a reszta podeszła do Kalimy.

Ta wstała i otrzepała spodenki.

– A, miałam pytać jeszcze – dodała. – Nie pali cię w przeloty po ostatnich dniach? Dużo wymiotowałeś.

Wzruszył ramionami.

– Trochę pali – przyznał.

– To wpadnij po południu jakoś, coś ci przyszykuję. I nie jedz dziś ani za ostro, ani za tłusto.

Nie mógł się powstrzymać i gapił się, jak odchodzi. Czuł narastające podniecenie, które na szczęście udawało mu się zasłonić pudłem gitary. Odwrócił głowę i zobaczył, że z drugiego skrzydła budynku wyszli właśnie Robert i Igor, a zaraz po nich Kamaz. Wojtek zastanawiał się, czy olbrzym poszedł do Igora zaraz po zakończeniu wykładu, żeby wytłumaczyć mu szramę na szyi Klary i jej rozbitą głowę. Zamyślony, nie usłyszał zbliżającej się Zośki, więc naprawdę go zaskoczyła, zachodząc go od tyłu i zasłaniając mu oczy. Z jakiegoś powodu miała zimne dłonie.

– Jak ją rozstroileś, to nie żyjesz – powiedziała, przechodząc przez murek i siadając obok. – Nastrajanie jej to koszmar.

– Jak każda baba, ma swoje nastroje – odpowiedział, a ona parsknęła.

– Sam to wymyśliłeś? Idź, chłopie, do kabaretu, marnujesz się.

– Może pójdę – rzucił, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Wstał, łapiąc gitarę za gryf. – Jak wykład?

– W porządku. – Zośka również wstała i, podobnie jak wcześniej Kalima, szybko otrzepała tyłek. – Trochę nie dla mnie, dużo biznesowych rzeczy było, ale Kamaza zawsze fajnie się słucha.

– Fakt.

Ruszyli w stronę domu, a po kilku krokach złapali się za ręce. Wojtek pomyślał, że to zabawne i urocze. Chyba jeszcze nigdy nie zrobili tego tak po prostu. Dotąd żadne z nich nie wychodziło z inicjatywą, ich dłonie same się zderzały, ocierały, a wreszcie splatały, jakby mimochodem. Wszystko, co działo się między nimi, takie właśnie było. Rozmawiali nie dlatego, że mieli jakieś wspólne tematy, tylko lubili się nawzajem słuchać, a kiedy pocałowali się po raz pierwszy, też bez żadnych podchodów czy cudowania.

Właściwie jedynie z Zosią czuł się dobrze, zwłaszcza w ostatnich dniach, przy niej wyrzuty sumienia aż tak nie cisnęły go w piersi. Jedyne, co go martwiło, to zbliżający się powoli koniec wakacji.

W oddali, przy domu widać już było stół i krzątające się wokół niego Aldonę i Klarę. Kawałek dalej Jonasz z Cyprianem rozmawiali z jakimiś ludźmi, których Wojtek z tej odległości nie rozpoznawał. Musieli właśnie przyjechać, bo zobaczył przed ramem nieznanne mu auto. Ktoś z miasta?

– A w ogóle to dzisiaj na wykładzie było śmiesznie – powiedziała Zośka. – W pewnym momencie Kamaz rzucił coś o... Chwila, a co oni tu robią?

Zatrzymała się nagle, a on razem z nią. Domyślił się, że chodzi o tę dwójkę, która przyjechała.

– To twoja mama, tak? – upewnił się, bo słyszał już o jej wizycie w Gronowie. – A ten facet to kto?

– Mój ojciec – odparła. – Znaczy chyba, bo jakiś taki ostrzyżony... Tak, to on. Zobaczył nas.

Puściła jego rękę, niby po to, żeby odmachać, ale już nie próbowała jej znowu złapać. Ruszyła do przodu, mrużąc coś cicho pod nosem.

Pospieszył za nią.

– Jak myślisz, po co przyjechali? – rzucił, starając się nadać głosowi naturalne, swobodne brzmienie. – Mówiłaś, że są po rozwodzie.

– No są – potwierdziła. – Ale to moi starzy, więc wiesz...

Nie wiedział. Złapał ją za rękę, a gdy się do niego odwróciła, zapytał:

– Ale po co tu są?

Roześmiała się.



– Szczerze? Obstawiam, że ojciec był gdzieś w okolicy z robotą i przyjechali cię zobaczyć.

– Mnie? – zdziwił się.

– No ciebie. Dziadek naopowiadał, że chłopaka mam, to wiesz, ciekawostka.

Znowu poczuł, że się czerwieni. Zdenerwowało go to, choć samo określenie pięknie brzmiało. „Mam chłopaka” znaczyło, że on miał dziewczynę, miał kogoś dla siebie.

Zosia ścisnęła go mocno za rękę.

– Chodź. Ze mną nie zrobią ci krzywdy.

Ku własnemu zaskoczeniu Cyprian radził sobie z tą sytuacją nad wyraz spokojnie. Owszem, na moment spanikował, gdy zobaczył Izę i jej byłego męża wysiadających z auta, ale miał wrażenie, że szybko udzieliła mu się ich naturalność. Wyglądało na to, że Jonasz kupił pilną sprawę rodzinną i całą resztę, choć z nim akurat nigdy nie było wiadomo, bo zawsze tak jakoś dziwnie patrzył na obcych. Tomeczek nazywał to niuchaniem i mówił, że psiarnia już tak ma.

– Oho, chyba idzie Zośka – powiedział Marek. – I najwyraźniej zaraz poznamy jej legendarnego chłopaka.

– Czemu legendarnego? – zdziwił się Jonasz.

Iza machnęła ręką.

– Wie pan, Zośka jest tu u mojego ojca, a on był policjant...

Cyprian zamarł, ale Iza najwyraźniej zorientowała się w porę, bo odchrząknęła i w miarę płynnie wyprowadziła wpadkę.

– ...taki z powołania, rozumie pan. Mogę prosić o szklanek wody? A, i przypomniałam sobie coś jeszcze. Mam nadzieję, że macie dużą lodówkę, bo przywiozłam niespodziankę.

– Iza jest cukierniczką – wyjaśnił jej były mąż. – Cały ranek stała, bo nie chciała tu z pustymi rękami przyjechać.

– Daj spokój – prychnęła. – Cyprianie, pomożesz mi?

– Jasne.

Uznał, że zerknięcie teraz w stronę Jonasza byłoby pomysłem najgłupszym z możliwych, więc po prostu poszedł za nią do auta. Ta kazała mu obejść samochód z drugiej strony, a sama nachyliła się nad tylnym siedzeniem.

– No i jak wypadamy? – zapytała szeptem, gdy otworzył drzwi i również się nachylił. – Chyba wiarygodnie, nie?

– Chyba tak – powiedział, podnosząc talerz z eklerami.

– Myśleliśmy o twojej prośbie i jest pewna opcja. Kiedy najszybciej miałbyś szansę na swobodną rozmowę?

Zerknął na rozmawiających i przesłonił ręką usta.

– Jutro na pewno będę jechał na zakupy – odparł. – Pewnie do południa, ale nie wiem, czy sam, czy z kimś. Może wtedy uda mi się urwać na chwilę.

– Byłoby świetnie. Na Makuszyńskiego jest takie mieszkanie...

– Czekaj, Jonasz patrzy w tę stronę – przerwał jej. – Chodź, zanieśmy to do kuchni.

Wyjął ostrożnie pierwszy półmisek i postawił go na dachu. Zaraz schylił się po drugi i z oboma ruszył w stronę domu. Iza szła za nim, niosąc dwa kolejne.

– Będziesz zachwycony, Jonaszu. Eklery – powiedział Cyprian.

Tamten skinął głową i powiedział coś do Marka, czego Cyprian już nie usłyszał.

W progu minęli się z Klarą niosącą półmisek kotletów, a w kuchni zastali Aldonę grzebiącą w szufladzie ze sztućcami.

– Państwo zostają na obiedzie? – zapytała, zwracając się do Cypriana. – Bo nie wiem, ile liczyć.

– Nie, nie zostaniemy raczej – odpowiedziała Iza. – Właściwie czekamy tylko na Zosię i...

– A to pani jest matką Zosi, tak? – Aldona dość ostentacyjnie zmierzyła ją wzrokiem. – Miła dziewczyna. Tylko taka, wie pani, wyzwolona.

Jej ton był uprzejmy i pogodny, ale Cyprian wiedział, że to pozory, i atmosfera w kuchni zgęstniała błyskawicznie. Iza najwyraźniej szykowała się już do odpowiedzi, więc by zapobiec dalszej eskalacji, szybko postawił eklery na blacie i otworzył lodówkę.

– Potrzebujemy trochę miejsca – stwierdził, przestawiając garnki i wędliny. – Musimy gdzieś to wszystko zmieścić.

Aldona w pierwszej chwili nie zareagowała, wciąż wpatrując się w Izę. W końcu jednak zasunęła szufladę biodrem i ruszyła w stronę wyjścia.

– To sobie ustawiajcie, ja nie od tego jestem – rzuciła.

Gdy wyszła, Cyprian szybko stanął przy wejściu, zerknął na schody, potem na drzwi i przysunął się do Izy.

– Mów, ale szybko – powiedział cicho. – Makuszyńskiego ile?

– Czternaście przez trzy – odparła. Rozejrzała się i znalazła miejsce na blacie dla dwóch kolejnych talerzy. – To taka stara brama, pierwsze piętro. Mój ojciec będzie tam na ciebie czekał cały dzień, więc o której tylko...

Uniósł palec do ust, a ona urwała w pół zdania. Ktoś szedł po schodach, wolno i ostrożnie stawiając ciężkie kroki. Cyprian uśmiechnął się smutno i powiedział:

– Zaraz poznasz moją Magdę.

Wyszedł z kuchni i szybko pokonał kilka stopni dzielących go od żony. Udając, że bierze ją pod rękę, w kilku słowach streścił sytuację, a potem razem zeszli na dół.

– To Iza, moja dawna opiekunka, a to moja żona Magda.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie do domu wpadła banda roześmianych dzieciaków gonionych przez Wiktorię.

– Szybko, szybko! Myjemy ręce raz-dwa! – Klaskała za nimi, a gdy zrównała się z Izą, przyjrzała jej się uważnie.

– To pani jest mamą Zośki? – zapytała.

– Tak, to ja – potwierdziła Iza.

– Od razu widać – stwierdziła. – Fajna z niej dziewczyna.

– Dziękuję.

Wiktorcia wzruszyła ramionami.

– Mi? Za co? Prawdę mówię tylko – dodała i ruszyła na górę za dziećmi.

Magda patrzyła za nimi, a w końcu przeniosła wzrok na Izę. Już miała się odezwać, jednak Cyprian ją ubiegł.

– Jest szansa, ale będziemy ustalać jutro – powiedział szybko. – A teraz chodźmy, nie stójmy tu tak.

Gdy wyszli na zewnątrz, okazało się, że spora część rodziny siedziała już przy stole. W międzyczasie do zebranych dołączył też Kamaz i teraz stał w kółeczku, wypełniając miejsce, jakie wcześniej zajmowali Marek i Iza. Wyglądało to na swobodną konwersację, ale Cyprian miał nadzieję, że facet nie jest głupi i pilnuje się z każdym słowem.

Klara rozkładała sztuce, coraz bardziej zbliżając się do Igora pilnowanego akurat przez Tomeczka i Roberta. Ukochany wodził za nią coraz bardziej nerwowym wzrokiem, raz po raz zerkając w stronę Kamaza i Jonasza, jakby się upewniał, że ci dwaj go nie widzą. Nie świadczyło to o niczym dobrym.

– O, a panią to ja znam! – zawołał Kamaz, dostrzegając Izę. – Poznaliśmy się w pociągu, prawda?

– Zgadza się – przyznała Iza. – Świetna pamięć i dzień dobry.

– Dzień dobry. – Olbrzym wyciągnął do niej rękę, a gdy ją uścisnął, nakrył jej dłoń lewą dłonią. – Słyszałem, że chcecie nam zabrać Zosię. Wielka szkoda, bo nikt tak wspaniale nie zajmuje się...

– Nie dotykaj mnie, kurwo!

Wszystkie oczy w jednej chwili skupiły się na Klarze, która z krzykiem uniosła ręce, jakby broniąc się przed ciosem, i przerażona wcisnęła głowę w ramiona. Igor już chciał poderwać się z miejsca, ale Tomeczek szybko go usadził.

Cyprian przeniósł wzrok na Kamaza, po którego twarzy przebiegł nagle wściekły grymas. Zaraz jednak zniknął, ustępując miejsca wyćwiczonej, rubasznej pogodności.

– Bardzo przepraszam – olbrzym zwrócił się do Izy. – Moja siostra ma ostatnio bardzo trudny czas. Przyjechała do nas odpocząć i trochę, jak to mówię, odnaleźć siebie. A w ogóle to pani chyba jeszcze nie poznała Wojtka, prawda?

Chłopak zrobił krok do przodu, na wyraźnie miękkich nogach.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się i jemu również podała rękę. – Rzeczywiście jeszcze się nie znamy, ale już o tobie słyszałam.

Wojtek coś wybełkotał, a Cyprian ponownie spojrział na drugi koniec stołu. Jonasz już tłumaczył coś cicho roztrzęsionej Klarze, potem wydał jakieś dyspozycje wojownikom pilnującym Igora. Wszyscy raz po raz zerkali w stronę Kamaza oraz gości i choć wydawali się nieco nerwowi, sytuacja sprawiała wrażenie opanowanej. W końcu Jonasz wziął Klarę pod rękę i zaprowadził ją do domu.

Od strony ośrodka nadchodzili tymczasem kolejni członkowie rodziny i po chwili brakowało już właściwie tylko Kalimy, która prowadziła zajęcia, oraz Jakuba, Lidki i Barbary sprzątających pomieszczenie pod tymczasowy warsztat na terenie ośrodka.

– To jak z tym obiadem? – zapytał Kamaz. – Zostaną państwo?

Wojtek stał przez cały czas, szukając dyskretnie dłonią dłoni Zośki, i uśmiechał się jak debil, czując, że w środku się rozpada. Raz po raz szklily mu się oczy, więc zwieszał głowę, usiłując pozbyć się łez seria gwałtownych mrugnięć.

Ludzie wokół niego, jego rodzina i jej, mówili o czymś, śmiali się i żartowali, a on stał i było mu tak przerażająco, boleśnie, kurewsko smutno. Czuł żal do Zośki, że wystarczyły trzy minuty z ojcem na stronie i już. Zaraz jej nie będzie. Nawet nie że jutro, za tydzień. Za chwilę wsiądzie z nimi do auta i wyjedzie.

– Przepraszam na chwilę – burknął w końcu i pognął do domu.

Wychwycił jeszcze pełne troski spojrzenie Cypriana i miał ochotę powiedzieć mu, żeby wsadził je sobie głęboko w dupę.

I tak, wiedział, że zachowuje się jak rozwydrzony bachor, ale w tym momencie miał to gdzieś, bo po tym wszystkim, co się stało, co zrobił i czego był świadkiem w ostatnich dniach, to właśnie Zośkę, a nie Kamaza i resztę, chciał, kurwa, nazywać rodziną.

Usiadł na kanapie, dłonie zaciśnięte w pięści położył na kolanach. Całym ciałem czuł teraz potrzebę wybuchnięcia płaczem, wyrzucenia z siebie tego całego bólu i żalu, który w sobie tłumił. Ale nie był w stanie tego zrobić.

– Mój tata przyjechał po mnie, żebym pożegnała się ze stryjem. To właśnie powiedział mi tam na boku.

Podniósł głowę i szybko przetarłszy oczy ręką, zobaczył Zośkę stojącą w progu.

– Nigdy go nie poznałam, choć w zasadzie wychował mojego tatę. Ponoć nie jest za dobrym człowiekiem.

Pociągnął nosem.

– To po co jedziesz? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, uśmiechając się smutno. Przeszła przez pokój i usiadła koło niego. Sięgnęła po jego dłoń, ale cofnął rękę. Spróbowała jeszcze raz.

– To dla mnie ważne – odparła. – I ty też jesteś dla mnie ważny. Dlatego powiedziałam rodzicom, że za kilka dni chciałabym tu wrócić.

Nie odpowiedział i nie odwrócił się do niej, choć czuł, jak jej spojrzenie wierci mu dziurę w policzku. Kątem oka widział, jak po coś sięga.

– Zapisałam ci mój numer – powiedziała. – Wiem, że nie masz telefonu, ale jak poprosisz Kamaza, to na pewno ci pozwoli. Jak będę wiedziała, kiedy wrócę...

– Dobrze – przerwał jej, nie chcąc tego słuchać.

Nagle poczuł, jak żal i smutek zmieniają się w złość. Gniew na to, że został oszukany, wykorzystany. Nie wierzył jej, nie miał ochoty karmić się nadzieją, czekać i prosić się o możliwość zadzwonienia tylko po to, by ona go zignorowała. Umierający stryj, którego nigdy nie widziała, kurwa mać. Mogła przynajmniej wymyślić coś lepszego!

– Dobrze – powtórzył. Wstał i włożył karteczkę do kieszeni. – Będę do ciebie dzwonił.

Zmusił się do uśmiechu, a wtedy Zośka również wstała i przytuliła się do niego. Pozwolił na to, choć w pierwszej chwili niechętnie. Zaraz jednak, czując jej ciepło, mimowolnie rozluźnił spięte mięśnie i z każdą kolejną sekundą wiotczał w swoim gniewie i żalu. Bo może rzeczywiście wróci?

Przymknął oczy, ciesząc się jej bliskością, i wtedy zobaczył pod powiekami Klarę. Leżała na tej samej kanapie, z której właśnie wstali, a on ponownie usłyszał jazgot dochodzący z garażu i te wszystkie spokojne słowa Kamaza o wrzucaniu dziecka do dołu w ziemi. Zobaczył łzy w jej oczach, Wiktorię brudną od krwi zadźganej dziewczyny w Niemczech i twarz chłopaka, którego udusił.

– Wojtek, co jest? – zapytała zaniepokojona Zosia.

Odsunął się od niej. Jakiś obcy głos w jego głowie kazał jej uciekać i nigdy tu nie wracać, ale nie potrafił się na to zdobyć. Czuł, że ona jest jego rodziną, ostatnim, co mu tak naprawdę zostało. Że bez niej, bez choćby nadziei, że wróci, po prostu się rozpadnie.

– Nic – powiedział. – Trochę dziwnie się czu...

Nie skończył zdania, bo nagle odwrócił się na bok, zgiął się w pół i wymiotował.

– Jezu, Wojtek!

– W porządku, naprawdę – wybełkotał zawstydzony. – Trochę mnie boli brzuch. Przepraszam.

Ktoś stanął w progu, pod światło, więc dopiero gdy się odezwał, Wojtek zorientował się, że to Cyprian.

– Zosia? Rodzice zdecydowali, że nie zostajecie na obiedzie i... Ej, co się stało? W porządku?

Wojtek skinął głową i wyprostował się niepewnie.

– Ostatnio miałem problemy z żołądkiem. Myślałem, że już mi przeszło – powiedział i spróbował się uśmiechnąć do Zosi. – Idź już, z całowania nic teraz nie będzie. Chyba że bardzo chcesz?

– Głupiek – zaśmiała się i zaraz dodała już poważnie: – Wróć.

Nie rób tego! – wrzasnął głos w jego głowie. Stłumił go, powstrzymał niczym kolejną falę nudności. Bo tak naprawdę chciał, potrzebował, żeby wróciła. Potrzebował, żeby nie być w tym samemu.

– Będę czekał – zapewnił.



– Muszę zatankować – powiedział Drelich, gdy minęli skręt do rodzinnego domu Izy i skierowali się w stronę wyjazdu na Głogówek.

Zatrzymali się na Orlenie. Wysiedli we dwójkę i Iza od razu ruszyła do budynku, a Drelich zamontował zablokowany pistolet we wlewie i sięgnął po szczotkę, by przemyć szyby.

Zośka siedziała z tyłu, za fotelem kierowcy, wpatrzona w okno w niemal kompletnym bezruchu. Dopiero gdy opuścił wycieraczki i te uderzyły o szybę, zareagowała na dźwięk, spoglądając w jego stronę. Uśmiechnęła się wtedy i puścił do niej oko, a ona odpowiedziała smutnym półuśmiechem.

Kiedy bak się napełnił, Drelich poszedł zapłacić, upewniając się po drodze, czy ma przy sobie portfel. W środku spotkał się z Izą wracającą właśnie z toalety. Skinęła na niego, by wszedł z nią między stojaki.

– Siądę z nią z tyłu, dobrze? – zapytała, zerkając w stronę samochodu. – Smutno mi, że taka przygaszona siedzi.

– Wieczorem będzie bardziej – odparł. – Ale siadaj, pewnie. Tylko pamiętaj, same neutralne tematy. Na ile to możliwe, unikamy problemów i gadamy z nią o tym dopiero w domu. Nie chcemy, żeby policja zatrzymała nas z powodu aktu hysterii w aucie.

– Myślisz? – zaniepokoiła się Iza. – Znaczy, że będzie histeria?

Wzruszył ramionami.

– Na ranczu było... intensywnie.

– To prawda, wszystko aż skrzyło od emocji, a jak ta kobieta się wydarła... Swoją drogą to była ta...

Drelich przyłożył palec do ust.

– No tak, jasne – zmitygowała się. – W każdym razie widziałeś tego jej Wojtka, nie? Minę miał taką, jakby widzieli się ostatni raz.

– Bo to był ostatni raz – zauważył.

– No ale nie mógł tego wiedzieć, nie? Powiedzieliśmy, że wróci. – Iza wzięła z półki paczkę chipsów bananowych i odwróciła ją, by zerknąć na skład. – Swoją drogą to też trzeba będzie jakoś rozwiązać.

– Po kolei, krok po kroku – odparł. – Daj.

Wziął od niej paczkę i podszedł do kasy. Zapłacił, podziękował za kawę i punkty, po czym wyszli razem.

– Na razie po prostu trzymamy się planu – powiedział. – Rozmowa wieczorem. Dogadałaś się z Cyprianem?

– Wpadnie do ojca, ale długo nie posiedzi.

– Będziemy przygotowani.

Kiedy Iza usiadła z tyłu, Zośka zerknęła w jej stronę, ale nie skomentowała tego. Dopiero gdy przy wyjeździe ze stacji Drelich wbił lewy kierunkowskaz i wyjechali z miasta, wyprostowała się zdziwiona.

– Gdzie my jedziemy? – zdziwiła się. – Nie do dziadka?

– Nie, ruszamy od razu.

– Ale ja tam rzeczy mam – zaprotestowała. – Telefon.

Drelich podniósł podłokietnik i wyjął smartfona. Zamachał nim.

– Mama spakowała twoją walizkę. Jest w bagażniku. – Spojrzał na córkę w lusterku, wyczekując reakcji. Wiedział, że to może być pierwszy punkt zapalny tej podróży. Zamiast gniewu zobaczył jednak najpierw zmieszanie, a zaraz potem autentyczną troskę.

– Ojej – powiedziała. – Nie wiedziałam, że ze stryjem to takie pilne.

– Bo nie jest, spokojnie – odparł. – Chodzi o to, że...

– Ścięłam się z dziadkiem – weszła mu w zdanie Iza. – O pierdoły, jak zawsze, ale znasz dziadka, nie?

– Tak – westchnęła Zośka. – Ciebie też znam.

Drelich parsknął, a Iza łypnęła w lusterko.

– Ej, a co to miało znaczyć, że mnie znasz? Z kim ty trzymasz?

Zośka wzruszyła ramionami.

– Dziadek jest, jaki jest, a jakoś miesiąc z nim wytrzymałam bez spiny.

– Bo cię praktycznie w domu nie było, nie? – zauważyła Iza.

Zosia przewróciła oczami.

– To gdzie teraz jedziemy? – zapytała.

– Do Warszawy – odparł Drelich. – Muszę jeszcze wziąć parę rzeczy z domu. Plan jest taki, że zostaniemy tam na noc i zawiniemy się rano.

– Wujkowie też tam będą?

– Myślę, że tak.

– OK. – Skinęła głową. – To fajnie.

I znowu odwróciła głowę w stronę okna.

Do Drelicha dotarło dopiero po chwili, że wciąż nie poprosiła go o telefon. Zdziwił się, bo przecież wcześniej w kółko toczyli o to boje.

I Zośka, i Nikodem byli uzależnieni od swoich smartfonów do tego stopnia, że przerastała ich nawet przerwa długości kinowego seansu.

Zresztą nie dotyczyło to tylko dzieciaków, bo przecież ich rówieśnicy, ludzie wokół, a nawet Iza i Krystian zachowywali się dokładnie tak samo. Kompulsywne zerkanie na ekran co dwie minuty, rozmowy półsłówkami bez kontaktu wzrokowego, apki na wszystko – choroba cywilizacyjna w pełnej krasie.

Tymczasem jej najwyraźniej przeszło. Co prawda minęło dopiero dwadzieścia minut, więc trudno było wyciągać aż tak daleko idące wnioski, ale Iza mówiła, że przez ostatnie tygodnie Zośka ponoć codziennie zostawiała telefon w domu. Poza tym długa jazda z rodzicami aż się prosiła o to, by uciec w ekran, ale ich córka po prostu patrzyła sobie w okno, nucąc coś cicho pod nosem.

I choć był to skutek niewątpliwie pozytywny, Drelich nagle uświadomił sobie siłę oddziaływania tamtych ludzi, czy też ściślej mówiąc, tamtego wielkiego faceta. Bo wyrwanie kogoś z uzależnienia oznacza nie lada wyczyn, a zrobienie tego w ciągu kilku tygodni to już prawdziwe wyzwanie.

W lusterku zobaczył, że Iza ziewa, zasłaniając usta pięścią, i uśmiechnął się na wspomnienie tych wszystkich rodzinnych wyjazdów, podczas których jego żona już po pięciu minutach spała jak zabita. Nikodem miał to po niej, również zasypiał szybko, a Zośka zwykle przesiadała się na przód, by trajkotać jak najęta. Właściwie nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział, by ich córka spała w trakcie jazdy.

Wyregulował klimatyzację i sięgnął do włącznika radia. Przeskakiwał po zaprogramowanych stacjach i w końcu zostawił pierwszą, na której nie leciały akurat reklamy, po czym skręcił głośność tak, że dźwięki zlewały się z szumem silnika.

Przez następne pół godziny, aż do wjazdu na autostradę w Krapkowicach, jechali w ciszy. Drelichowi w ogóle to nie przeszkadzało, bo miał co analizować. Jego myśli zaprzętało teraz ranczo, a przede wszystkim Jonasz – to, jak patrzył, przysłuchiwał się i zbierał informacje. Musieli założyć, że jeśli popełnili przy nim jakiś błąd, to go wyłapał. Pytanie, czy popełnili.

Pomyślał też, że kiedy pojawił się Kamaz, zupełnie zmieniła się atmosfera. Ten facet musiał być prawdziwym przywódcą i nie tylko go słuchali, ale i się bali. Poczucie władzy aż od niego biło. Był miły,

serdeczny, ale jednocześnie zachowywał się tak, jakby wszystko mu się należało. I wciąż prowokował, sprawdzał. O Zosi mówił „nasza”, położył jej i temu Wojtkowi ręce na ramionach, zwracał się do niej tak, jakby to, co właśnie słyszała, było jedynie opcją, a nie rodzicielskim poleceniem. Z wyrachowaniem testował granice. A gdy tamta kobieta krzyknęła, na moment stracił kontrolę i czujność. I ta reakcja wszystkich wokół, spłoszone spojrzenia, jakby właśnie wydarzyło się coś naprawdę strasznego...

– Możesz pogłośnić?

– Co? – Wyrwany z zamyślenia potrząsnął głową.

– Głośniej daj – powtórzyła Iza. – Nie słyszysz, co leci?

Wszuchał się w ciche dźwięki i uśmiechając się pod nosem, pogłośnił. Grane na syntezatorze charakterystyczne rytmiczne intro wypełniło samochód.

– Co to za piosenka? – zaciekawiała się Zośka.

– Byłaś serca biciem Zauchy – odparł i mrugnął do niej. – Swego czasu była to piosenka twoich starych.

– Znacząco, grali ją wam na weselu?

Wymienili spojrzenia.

– Nie, kochanie – powiedziała Iza. – Gdyby grali ją na naszym weselu, twój dziadek, a mój ojciec pewnie zabiłby swojego zięcia siekierą.

– Albo przynajmniej podjąłby taką próbę – zgodził się Drelich. – W każdym razie na ten jeden kawałek mieliśmy zakaz.

– Ale dlaczego?

– Nie znasz tej historii? Serio? – zdziwiła się Iza. – No to jest utwór, który kiedyś... powiedzmy, że wyzwolił w twoim ojcu romantyka.

Zośka parsknęła śmiechem.

– Nie żartuj! Nakrył was przy nim?!

– Ale że co? – Iza w pierwszej chwili nie zrozumiała. – A, znaczy się, z seksem? Nie, zupełnie nie o to chodzi! Poważnie mówię, w ojcu odpalił się najprawdziwszy romantyk. Jak z filmu.

– W nim? – Zośka uniosła brwi. – Niemożliwe.

– Bardzo śmieszne, smarkulo. – Drelich udał oburzenie, więc szybko pochyliła się między siedzeniami i pocałowała go w policzek. Akurat w momencie, gdy Zaucha żalił się na żart losu, przez który nosi w kieszeni dwa grosze na szczęście. Następnie usiadła prosto i spojrzała na Izę.

– Dobra, mam, opowiadaj.

– To nie jest długa historia – zaznaczyła Iza. – Chodziliśmy już z tatą rok, ale on tu nie mieszkał, tylko dojeżdżał. No i któregoś razu musiał wyjechać na dłużej za granicę do roboty. A wiesz, wtedy nie było komórek, żeby po prostu...

– OK, boomer. – Zośka ostentacyjnie przewróciła oczami. – Wiem, jak wyglądał świat przed komórkami. Mam w szkole historię starożytną.

– No dobra, pani mądra. – Iza wzruszyła ramionami. – Więc nie było komórek i twój tata urządził mi niespodziankę.

Piosenka w radiu zmieniała rytm i Zaucha śpiewał teraz o kimś, kto pytał o samopoczucie adresatki utworu. Drelich ściszył trochę.

– Nie wiem, która to była godzina: pierwsza, druga w nocy? – kontynuowała Iza. – Ale budzę się nagle i słyszę pam-pa-ram-pam z początku tej piosenki. W pierwszej chwili pomyślałam, że ojciec na dole telewizora nie wyłączył i leci jakaś powtórka z Opola czy coś. Ale zaraz wszedł wokal i okazało się, że to nie Zaucha...

– Tata śpiewał?!

Iza się roześmiała.

– Nie szalałabym z tym, że zaraz śpiewał. Coś próbował, ale...

– Wielka mi znawczyni muzyki – mruknął Drelich. – Co ty tam wtedy miałaś za plakat na ścianie? Przypomnij.

– Nickelback – odparła Iza. – I się nie wstydzę. Znasz ich, Zośka?

– Coś tam kojarzę, ale bardziej ze starych memów.

Drelich parsknął.

– No dalej, mamó – ponagliła Zośka. – Śpiewał, ale jak? Pod oknem stał?

– Pod oknem to nie, boby się nie zmieścili całą bandą. Hubert, kuzyn ojca, przywiózł ich busem...

– To Andrzej był – poprawił Drelich.

– Ten, co zmarł w zeszłym roku? – upewniła się Zośka. – Ten, co chciałam z tobą na pogrzeb jechać?

– Tak, właśnie ten – odparł, lekceważąc ewentualną pretensję. – Pracował wtedy w firmie budowlanej i wypożyczył auto.

– No, w każdym razie podjechali w siedem osób – podjęła Iza. – Normalnie wyciągnęli syntezator, gitarę elektryczną, coś tam jeszcze i rozstawili się na chodniku. Dobrze, że perkusji nie przytachali.

– Była perkusja – sprostował Drelich. – Elektryczna.

– W każdym razie zaczęli grać i poza wokalem to im nawet nieźle szło.

– Chyba do drugiego refrenu dojechaliśmy – wtrącił się Drelich. – Zanim twój dziadzius kochany do nas z pistoletem służbowym nie wypadł. Gdyby nie twoja babcia, toby nam pewnie łby porozwalał. Cud, że listu gończego na całą Polskę nie wystawił!

Zośka aż się skrzywiła.

– I to wszystko tylko za piosenkę?

– Też. Ale przede wszystkim za to, że się do garażu włamali, by się pod prąd podłączyć – doprecyzowała Iza. – A potem się okazało, że dziadek nie mógł się narzędzi doliczyć.

– Bo burdel miał. Jakby od czasu do czasu sprzątnął, toby się doliczył – mruknął Drelich. – Zresztą jak Andrzej dawał mu za to zestaw wiertarek, to nie chciał.

W rzeczywistości, jak dobrze pamiętał, z tym gonieniem po mieście wcale nie chodziło ani o prąd, ani o narzędzia, tylko o instrumenty. Zwijając się w pośpiechu, zostawili je na ulicy, a Lemańczyk powiązał je z włamem do salonu muzycznego w Opolu.

Ale to nie miało teraz żadnego znaczenia. Liczyło się, że Zośka śmiała się w głos. Obserwował ją w lusterku, taką pogodną, wesołą, i poczuł, jak ściska go w dołku. Spojrzał na Izę i wnioskując z jej miny, miała dokładnie to samo.

Przed nimi było jeszcze pięć godzin rodzinnej wycieczki. Potem czekała ich poważna rozmowa.

Jonasz stał nad rytualnym dołem, dojadając eklera.

Za jego plecami Jakub, Łukasz i Wojtek zbijali właśnie prowizoryczny stelaż z desek i mocowali do niego grubą folię malarską. Według najnowszej prognozy wieczorem albo w nocy miało padać, a Jakub uznał dotychczasowe zabezpieczenie za zbyt słabe. Jonasz miał na ten temat inne zdanie, ale nie on był od tych rzeczy, więc nie zamierzał dyskutować.

Patrzył w głąb dołu i myślał o Zosi. W sumie dobrze się stało, że wyjechała. Już wcześniej widział w niej potencjalne zagrożenie, ale mimo wszystko nie zdawał sobie sprawy z jego skali. Aż do tej pory. Widział, co zrobiła dziś z Wojtkiem, jak się przez nią rozkleił i rozregulował, a przecież to ostatnie, czego potrzebował teraz ten chłopak.

Druga rzecz, że od zająć z Aldoną przykładali wielką wagę do sytuacji rodzinnej osób wcielanych do rodziny. Tymczasem to, czego Kamaz dowiedział się o Zosi i jej więziach na tych swoich prywatnych sesjach, kłóciło się z tym, co Jonasz dzisiaj zobaczył.

Trochę się na tym znał, w końcu podczas służby widział dziesiątki par udających szczęśliwe, a kryjących za drzwiami skrajne patologie. I zawsze miał psiego nosa do tych, którym udawało się zwodzić wszystkich wokoło. Tymczasem relacje między rodzicami Zosi nie były wcale na pokaz. Wyczuł co prawda jakieś problemy, niezrozumienie, pęknięcie, w które można by się wbić klinem, ale mimo wszystko odnosił wrażenie, że Kamaz trochę zbyt brawurowo prze w stronę tej szczeniary.

Czy to dlatego, że wpadła mu w oko? Że niby przeznaczył ją dla Wojtka, ale przede wszystkim sam chciał skorzystać ze swojego prawa? Jeżeli tak, był to naprawdę zły znak, bo do tej pory olbrzym umiał panować nad swoimi popędami. Jonasz nie zamierzał mu wyliczać, ale przecież rzadko który wykład kończył się dla olbrzyma samotną nocą i żeby się wyżyć, nie musiał nikogo ściągać do rodziny.

Więc może jednak problem krył się gdzie indziej?

A skoro już myślał o chuciach i potrzebach, to problem stanowiła też Aldona. Ostatnio Kamaz wyraźnie ustawił ją do pionu w temacie Wojtka,

wskazując na obecność zaplanowanej dla niego Zośki. Dziś, zaraz po obiedzie, podeszła do Jonasza zapytać, co się stało i czy młoda jeszcze wróci, a w oczach miała desperacką nadzieję, od której aż zrobiło mu się niedobrze. Już od jakiegoś czasu zauważał u niej postępujące psychiczne odklejenie. Mały Bruno, którego traktowała jak swoje dziecko, parcie na Wojtka i jeszcze ta kompromitująca sytuacja z Klarą. Musiał się dowiedzieć, o co dokładnie poszło.

Za jego plecami ucichło stukanie młotka, a zaraz potem rozległ się głos Łukasza:

– Jonasz, przesuniesz się?

Odszedł na bok, ale nie zamierzał proponować pomocy. Ból w plecach zelżał już trochę, jednak pamięć o nim skutecznie wstrzymywała go od angażowania się we wszelkie prace fizyczne.

Dojadł eklera i oblizał palce z resztek kremu i czekolady.

– Jak już skończyliście, myślę, że można zacząć montować powoli stelaże pod ozdoby – powiedział. – Samych ozdób jeszcze nie, ale stelaże owszem.

Jakub wyprostował się i poprawił okulary.

– Właściwie można – zgodził się. – Tylko myśleliśmy raczej o rozpakowaniu do końca mojego warsztatu.

– A co? Masz w nim coś pilnego do zrobienia?

– W sumie nie – przyznał Jakub. Spojrzał na chłopaków i wzruszył ramionami. – Jak dla mnie, można instalować. Jest na to jakiś plan?

Jonasz poczuł wibrację telefonu, więc sięgnął do kieszeni.

– To już Cypriana pytaj, on jest mistrzem ceremonii – odparł i spojrzał na wyświetlacz.

Zdziwił się, widząc numer swojego dawnego podwładnego, nadkomisarza Piotra Okulickiego z komendy miejskiej w Katowicach. Okulicki był co prawda jedną z niewielu osób spoza rodziny, która o niej wiedziała, i kiedyś nawet rozważał wstąpienie, ale odkąd skończyły się tymczasowe dziewczyny i przestał ich odwiedzać w Sobieradach, w zasadzie nie mieli kontaktu.

Jonasz nie miał teraz ochoty z nim rozmawiać, ale mimo to odebrał.

– No co tam, Piotruś? Stęskniłeś się czy ci się w robocie nudzi?

– Możesz rozmawiać swobodnie? – zapytał Okulicki. Brzmiał poważnie.

– Poczekaj chwilę.

Przeszedł kawałek wydeptaną ścieżką i gdy był już pewien, że znalazł się poza zasięgiem słuchu chłopaków, ponownie przyłożył telefon do ucha.



– Teraz, mów.

– Ktoś się za wami rozpytuje – powiedział nadkomisarz. – Grzebie w informacjach na twój temat, ale chodzi nie tylko o ciebie.

Jonasz podrapał się po czole.

– Ale kto rozpytuje? Ktoś z góry? Ze służb jakichś?

– Nie, z zewnątrz ktoś, spoza miasta nawet. Podpadliście komuś ostatnio?

Pierwszym, co przyszło Jonaszowi do głowy, były Sobierady i akcja U Grażynki. Zgadzałoby się czasowo. Może ten kretyn Dziara dorobił się znajomości, które przeoczyli?

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odparł.

– Jesteś pewien? Żadni walczący rodzice? Żadna grubsza zadyma?

Jonaszowi nie podobały się te wszystkie pytania i przez chwilę chciał się po prostu rozłączyć. Zamiast tego odwrócił bieg rozmowy.

– A właściwie skąd takie info? – rzucił. – Kogo pytali? Ciebie?

– Nie do końca. Poczekaj. – Okulicki umilkł na chwilę, a gdy gwar dochodzący z jego strony nagle przycichł, znowu się odezwał. – Na mieście jestem, musiałem na boku przystanąć. A co do informacji, to mamy takiego jednego Klossa, co na dwa fronty robi. Znaczy na jeden robił, dla miasta, ale Jarzycki jakiś czas temu go złapał, postraszył i zrobił z niego uchola na dwa fronty. Teraz zanim co na miasto wypuści, to konsultuje. No i rano widziałem, jak ten nasz kret z czymś do Jarzyckiego leci, a potem Jarzycki do mnie z pytaniami. O ciebie, o tę twoją rodzinę, tego wielkoluda. No to, kurwa, dwa do dwóch nietrudno dodać.

– No nietrudno – zgodził się Jonasz. – Jakieś konkretne pytania były?

– Nie, ogólniki same. Czy wiem, co u ciebie, czy się odzywałeś do kogoś z fabryki, takie tam. Ale szukane jest.

– Nie ma czego szukać – stwierdził Jonasz.

– Pewnie nie, ale pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć. Jak się jeszcze czegoś dowiem, dam znać, ale na razie sajgon z tą jebaną Silesią.

– No słyszałem. Podobno całkiem profesjonalna robota.

– A idź w chuj – westchnął Okulicki. – Szybka akcja ze trzy minuty na całość, prawie dwie bańki w towarzę poszło. Znaczy w detalu, bo tam się jakoś liczy dziwnie. W każdym razie ze śladami się skurwysyny pilnowali, jak ktoś gdzieś z ucha nie strzeli, to chuja znajdziesz. A już krążą ploty, że to ci, co parę lat temu Euro AGD zrobili, bo metoda taka sama. Też

rozpierzdol autem, też z zegarkiem w ręku wszystko, szybko, na bezczela. I pod konkretny towar ewidentnie.

Jonasza mało to interesowało i właściwie nie słuchał, bo robił w pamięci rachunek sumienia. W pewnej chwili zorientował się jednak, że Okulicki już nie mówi.

– No to jesteście w niezłej dupie – skomentował w ciemno.

– No jesteśmy. Tym gorzej, że jeden z właścicieli tego jubilera to kolega ze szkoły wojewódzkiego. Więc jeszcze ten przyłazi i dupę truje. No ale nic, dałem ci znać, w ciągu dwóch dni powinienem wiedzieć coś więcej, to się odezwę.

– Świetnie. Dzięki, Piotruś.

– Nie ma sprawy, trzeba sobie pomagać – zaśmiał się nadkomisarz. – Będę tu trzymał rękę na pulsie, jak zawsze. A jakbyście tam wiesz, nowe jakieś mieli, to daj znać. Urlop bym wziął, wypoczął trochę, może rodzinę w Białymstoku odwiedził przy okazji.

– Pewnie – zgodził się, nie wyprowadzając kolegi z błędu. Informowanie go, że się przenieśli bliżej Katowic, skończyłoby się na tym, że zaczęłyby tu przyjeżdżać regularnie.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Jakiś wewnętrzny głos, któremu w przeszłości zwykł ufać, mówił mu, że na razie nie powinien informować Kamaza. Olbrzym nadal był głową rodziny i oczywiście powinien wiedzieć o wszystkim, ale ostatnio reagował zbyt pochopnie i emocjonalnie. A to nie działało na ich korzyść.

– Poczekam – powiedział w końcu do siebie i ruszył w stronę domu.

## 45

Dojechali na miejsce koło dwudziestej. Drelich zatrzymał się wzdłuż drogi, wbił na luz i wyłączył silnik, ale nie wyjął kluczyka ze stacyjki. Wcisnął przycisk awaryjnych i wyłowił z kieszeni klucze do mieszkania.

– Dobra, to wy idźcie na górę – powiedział, podając je Izie. – Ja mam jeszcze coś do załatwienia i zaraz będę.

– Dasz mi mój telefon? – zapytała Zośka.

– Jasne. – Sięgnął do łokietnika i podał jej smartfona. – Walizki nie musisz brać, przyniosę później.

– OK.

Gdy wysiadła, Iza nachyliła się do Drelicha między siedzeniami.

– Czemu jej go dałeś? – zdziwiła się.

– W tej chwili to chyba jeszcze nie problem, prawda? – odparł.

– No w sumie – przyznała. – A dokąd właściwie teraz jedziesz?

– Krach pisał godzinę temu, że chce pilnie pogadać w sprawie tej rodziny. Umówiliśmy się w parku Skaryszewskim.

– Już coś ma? Tak szybko?

– Możliwe. – Podrapał się po nosie. – Wiesz, on zwykle działa dość sprawnie.

Pokiwiała głową.

– Słuchaj, nie gniewaj się, ale chciałabym już zacząć z Zośką. A właściwie to... chyba chciałabym sama z nią porozmawiać.

Milczał przez kilka sekund.

– Dlaczego tak? – zapytał w końcu.

– Po prostu wiem już, co chcę powiedzieć, a to jest bardziej nasz obszar, mój i jej. Wydaje mi się, że twoje podejście do różnych spraw zbytnio tutaj nie pomoże...

Zadzwoił telefon. Krach. Drelich wyciszył go bocznym przyciskiem.

– Boisz się, że zacząłbym ją przesłuchiwać? – zapytał, a gdy nie odpowiedziała, westchnął. – Dobra, nie wiem, czy to dobry pomysł, ale tak zrobimy. Tylko wcześniej zamknij drzwi od środka. I jakby co, od razu dzwoń. A, no i koniecznie zapytaj ją o...

Urwał, widząc w lusterku jej minę, i uśmiechnął się pod nosem.

– Dobra, łapię. Idź.

– Dzięki.

Począł, aż wysiadzie, wbił kierunkowskaz i włączył się do ruchu. Na najbliższym skrzyżowaniu oddzwonił do Kracha, informując go, że będzie za dwadzieścia minut.

Był po piętnastu, ale kolejne dziesięć zajęło znalezienie miejsca do parkowania i dojście.

Krasowski czekał na niego przy wejściu od strony ronda. Miał na sobie granatowe spodenki do kolan, biały T-shirt i żółto-czerwoną bluzę z kapturem, a w dłoni trzymał coś, co Drelich początkowo wziął za bidon, a co okazało się wysokim kubkiem termicznym.

Przywitali się uściskiem dłoni i ruszyli w głąb parku. W alejkach nie było tłumów. Ostatnie spacerujące rodziniki z wózkami kierowały się już w stronę wyjścia, a nastolatki, zamiast spacerować, wołały siedzieć na ławkach czy trawie. Mijali ich, rzecz jasna, biegacze, ale ze słuchawkami na uszach byli pogrążeni we własnym świecie. Mimo to Drelich pamiętał, żeby w publicznym miejscu zachować czujność, i raz po raz sprawdzał dyskretnie bezpośrednie otoczenie.

– W sprawie Bobiego to chyba jednak pudło – powiedział Krach. – Żadnych finansowych tarapatów. Wręcz przeciwnie, wszystko mu hula. Nie, że bez zawirowań, ale zdecydowanie do przodu i nie widzę powodu, by musiał się silić na taką desperacką akcję.

Drelich wzruszył ramionami.

– To, że nie musiał, nie znaczy, że nie mógł – stwierdził. – Gadałeś z nim?

– Tak, powiedziałem mu o wszystkim. Wkurwił się.

– Pytanie, czy szczerze.

– Owszem – przyznał Krach. – Umówiliśmy się, że da mi dwa tygodnie po starej przyjaźni, by jakoś to rozwiązać. Sam też obiecał poszukać swoimi kanałami.

– W sumie to nawet dobrze, niech szuka. To go uwiarygodni przed policją jako człowieka wkurwionego stratą, nie? Od początku powinien...

– Dobra, zostawmy to. – Krasowski machnął ręką. – Powiedz mi, o co chodzi z tą sprawą, z którą do mnie przyszedłeś. Czy na tym ranczu odjebuje się to, co myślę?

– Nie wiem, co myślisz – odparł Drelich. – Zacznijmy od tego, co masz.

– No coś mam. – Zakołysał kubkiem w geście „o tyle, o ile”. – Sporo jest o tym wielkim, bo krążył przy różnych biznesach i kilku headhunterów ma jego teczkę, więc kupiłem gotowce. Jeden nawet dość szczegółową paczkę wysmażył, z wywiadami na żywo i sprawdzaniem terenu, ale nie pytaj, dla kogo zbierał ani ile mnie to kosztowało. Rachunek ci wystawię, jak to nie wyjdzie.

– Jasne.

– No więc wielki nazywa się Kamaszyński.

– To wiem.

– Ale nie musisz komentować każdego zdania, nie?

Drelich zaśmiał się i wyciągnął ręce w pojednawczym geście.

– Już się nie odzywam, mów.

– Warszawiak, wychowany w bloku na Ochocie przez samotną matkę, bo ojciec dał nogę – podjął Krasowski. – Coś tam za szczeniaka ćwiczył, boks chyba czy kickboxing, siłownia. Stał na bramkach i pewnie parę kończył poprzetrącał na zlecenie, ale w regularną bandyterkę nie poszedł. Ludzie, od których mam informację, pamiętają go raczej dlatego, że był wielki, dużo czytał i chyba robił w hip-hopie. Potem matka mu zmarła, on skończył studia z psychologii na Warszawskim i załapał się do jakiejś roboty jako szkoleniowiec. Trochę podróżował, Ameryka Południowa, Afryka, przy filmie się kręcił jako aktor charakterystyczny. Wiesz, jak ktoś do serialu potrzebował typa z wielkim łysym łbem i ksywą, dajmy na to, Zielenina, to dzwonił do niego.

Usunął się na bok, gdy z lewej strony szybkim krokiem zaczęła wyprzedzać ich trójka nastolatków. Mieli ze sobą komórkę i niewielki głośnik na bluetooth, który który trzeszcząc, wyrzucał z siebie gniewne rapy. Mężczyzna w średnim wieku idący pod rękę z chudą dziewczyną o pociągłej twarzy krzyknął, żeby to ściszyli. Jeden z dzieciaków kazał mu się pierdolić, na co facet wyraźnie się spiął, ale dziewczyna przytrzymała go, mówiąc coś cicho. Pewnie żeby dał spokój.

– Wracając – podjął Krach po chwili. – Kilka lat temu nagle objawił się jego stary i chciał się pogodzić.

– I co, udało się?

– Nie wiem, ale zapisał synowi azbestowe ranczo na Podlasiu.

Drelich zmarszczył brwi.

– Co to jest azbestowe ranczo?

– No za dolary z azbestu. Polacy z Podlasia kiedyś na wyścigi wyjeżdżali do Stanów do roboty, głównie na budowach, więc kładli azbest. Męczyli się, wdychali to gówno, ale w Polsce za tę kasę ziemię kupowali i stawiali domy. Stary Kamaszyńskiego też tak zrobił, a jak mu rak czy inna azbestoza zajrzała w oczy, to chciał się jednać. Kiedy zmarł, syn sprzedał mieszkanie w Warszawie i wyprowadził się pod Białystok do Sobierad. Najpierw założył tam ośrodek odnowy duchowej, jakieś rytuały indiańskie, łożenie po żarze i przede wszystkim pierdolone zakopywanie w ziemi. Znaczy na niby takie. Nazywa się to...

– Pogrzeb wojownika, wiem.

– No właśnie. A potem z tym drugim założyli sektę.

Krach zatrzymał się, odsunął od siebie kubek na wyciągnięcie ręki, po czym nacisnął przycisk na wieczku. Coś zasyczało, a ze środka wydobył się kłęb pary o owocowym zapachu.

– Ten drugi, czyli Jonasz? – upewnił się Drelich, gdy ruszyli dalej.

– Dojdziemy do tego. – Krach dmuchnął w otworek na wieczku i spróbował upić łyk. Skrzywił się, spróbował ponownie i zniechęcony zamknął kubek. – Jak dotąd znalazłem jedno szemrane powiązanie tej sekty. Nic wielkiego. Ploty mówią, że Kamaszyński z kimś tam zadarł w Białymstoku, z Bąblem czy Bombajem. Nawet nie pytam, czy znasz, bo ja pierwsze słyszę, ale podobno w dziewięćdziesiątych dla Mychy biegał, a potem się z Białorusinami dogadał. Trochę prochy, głównie dupy...

– To ważne? – zapytał Drelich.

– No ważne, bo wyszła spina i ponoć Kamaszyński część dziewczyn, które ściągnął do sekty, oddał na kurwy na Zachód, żeby zagłaskać. Ale to mogą być ploty, nie wiem. Inni mówią, że się z tym Bąblem dogadał i w ośrodku przez jakiś czas miał punkt łamania dla dziewczyn. Wiesz, gwałty, prochy, pranie mózgu. Ale to też jeszcze muszę ustalić.

Puścili grupkę rowerzystów, co Drelich wykorzystał, by raz jeszcze upewnić się, że nikt się nie przysłuchuje. Gdy ruszyli dalej, zapytał:

– A była jakaś sprawa od rodzin członków tej sekty? Ktoś ich ścigał?

Krach pokręcił głową.

– Nic takiego nie znalazłem. Łatwo nie będzie, bo nawet nie wiem, o co się zaczepić. Generalnie lokalsi ścigali ich o hałas czy o kradzieże. W ostatnim roku jakoś aktywniej: nasyłali sanepid i opiekę społeczną. Sporo tego było, ale same pierdoły i chyba nic nie wyszło. Za to jakoś

wczoraj czy przedwczoraj kogoś w Sobieradach podobno do szpitala posłali. Kibola jakiegoś. I potem całe ranczo gównem zalali.

Znowu przystanął i raz jeszcze powtórzył rytuał z kubkiem.

– Jakim gównem? – nie zrozumiał Drelich.

– No, gównem. Nie wiesz, co to gówno? Z szamba takim. Wzięli szlauch i wszystko zalali. Cały dom, podwórko, stodołę. Jebie teraz ponoć na pół miasta.

Dotarli do miejsca, w którym kiedyś stał Pomnik Wdzięczności Żołnierzom Armii Radzieckiej. Drelich był trochę zaskoczony jego brakiem, choć w ostatnich czasach dewastowano go tak często, że aż się prosiło o przeniesienie go w inne miejsce.

– No dobra, a ten drugi? Jonasz? – zapytał, gdy poszli dalej.

Krach zaśmiał się krótko.

– Ha, Jonaszów to w ogóle było dwóch. Ten naprawdę nazywa się Waldemar Mikosz. Emerytowany kryminalny z Katowic, ale urodzony w Wielkopolsce. Zaczął służbę w osiemdziesiątym piątym w MO. Pozytywnie zweryfikowany, choć podobno swoje za uszami miał, cokolwiek to, kurwa, znaczy. Potem służba w wolnej Polsce już bez żadnego szumu. Znaczy święty nie był, ale nikt go raczej na smyczy nie prowadził, z miastowymi się nie woził i nie miał mocnych przyjaciół. Pił jak każdy, ale jak mu żona zmarła, to rzucił i sam wychowywał syna, właśnie Jonasza. Tak się nazywał: Jonasz Mikosz. Łebek skończył studia, kulturoznawstwo na Śląskim, i zaczął jeździć po świecie. Z Kamazem poznali się chyba na wycieczce w Boliwii i się zaprzyjaźnili. Ploty krążą, że doszło do czego więcej, ja tam nie wiem. I to jest właśnie ten drugi. Razem założyli sektę.

– A potem wciągnęli w to starego.

– Nie od razu, ale tak – potwierdził Krach. – Poczytasz sobie, bo już ci posłałem tam, gdzie zawsze. Tylko chusteczki przygotuj, bo niezłe dramy tam były. Kamaz młodego Jonasza wyciągnął i z raka, i z nędzy. Ostatecznie z rakiem nie wyszło, ale więź powstała.

– Poczytam. – Drelich wyjął telefon, by sprawdzić, czy nie przyszła wiadomość od Izy. Najchętniej już by wracał. – O reszcie tej rodziny coś masz?

– Tyle, o ile. Kilka nazwisk, ale powiem ci: od Sasa, kurwa, do lasa. Profesor, czarnoskóra lekarka, ludzie z korpo i zwykli robole. Zwykle wyłapuje ich na szkoleniach. Większość ma za sobą różne przejścia,

depresje, tragedie rodzinne, a on kusi ich swoim prostym stylem życia w komunie. No i ma charyzmę skurwiel, trzeba mu przyznać.

Przystanął po raz trzeci i uniósł kubek, ale tym razem po upiciu łyka wkurzył się i odkręcił wieczko.

– Kurwa, za dobre je teraz robią – stwierdził. – Tak trzyma, że do usranej śmierci tego wrzątku nie wypiję.

Strzepnął nakrętkę i wsadził do kieszeni bluzy. Z kubka odlał trochę herbaty na trawę, by mu się nie lała po rękach, i znowu ruszył.

– To teraz mów, czy z tą Ponderosą jest tak, jak myślę.

– A jak myślisz?

Krach rozejrzał się, czy nikt ich nie słyszy.

– Zajebali właścicielkę, upozorowali wypadek, a jej synalek, co u nich jest, ten cały...

– Cyprian – odpowiedział Drelich. – Cyprian Kozdraś.

Krach się uśmiechnął.

– Czyli mam rację?

– Masz. Sprawdziłeś wartość ziemi?

– Szacunkową wycenę zrobiłem – odparł i zaraz sobie coś przypomniał. – Ty, w ogóle to świat jest mały! Pamiętasz tego typu z Gdańska, co... No wiesz, tego z zeszłego roku.

– Pamiętam.

– Jego rodzina prowadzi biznes z lunaparkami i kiedyś chcieli kupić Ponderosę, ale właściciel podobno odrzucił zajebistą ofertę. Dobre, nie?

Drelich skinął głową, choć bez entuzjazmu. Jeśli o niego chodziło, zdecydowanie wolałby, by świat był większy.

– Myślisz, że byliby skłonni ponowić ofertę? – zapytał.

– Ponowić pewnie nie – stwierdził Krach. – Bo trochę tych miasteczek się pojawiło, ale nie będę zgadywał. To kawał ziemi, pięćdziesiąt hektarów, a za dwa pieprzone place Defilad nawet po uśrednionej cenie za hektar w regionie wychodzi naprawdę sporo.

– No to odejmij od tego ze trzy, cztery bańki i masz kwotę, którą ten chłopak zaoferował Izie.

– Twojej Izie?

– Temu, kto ogarnie dla niego sprawę, ale odezwał się do niej.

Krach znowu przystanął, tym razem po to, by uważnie przyjrzeć się Drelichowi. Dobrą minutę patrzył mu w oczy, nim w końcu powiedział:



– Dobra, zgadzam się, że to jest zajebisty deal, świetna kasa, ale znasz mnie. Ja mokrej roboty nie robię. Lepiej do stryja się odezwij. Jak taka łatwa akcja, to może potraktuje ją jako spłatę długu albo...

– Nie chodzi o mokrą robotę – przerwał mu Drelich. – Bardziej o koronę. Krach uniósł lewą brew.

– W sensie?

– No jak przy świadkach koronnych. Kozdraś chce się wyrwać i zeznawać przeciwko Kamaszyńskiemu oraz reszcie. Mówi, że ma dowody, ale najpierw musi się stamtąd wydostać razem z ciężarną żoną. Potrzebuje jakiegoś miejsca, ochrony, takich tam rzeczy. Jutro będę znał szczegóły.

Krach podrapał się po głowie i upił wreszcie większy łyk herbaty.

– A jak twoja Izka się w to wpakowała? Bo serio, jakbym nie usłyszał tego od ciebie, pomyślałbym, że chodzi o jakiegoś pierdolonego nigeryjskiego księcia.

Drelich wzruszył ramionami.

– Znają się z Kozdrasiem z dawnych dni – wyjaśnił. – Kiedyś była jego opiekunką i dlatego ją ostrzegł, że werbują Zośkę. Młoda była tam na wakacjach u dziadka.

Krach znowu upił i szedł przez chwilę zamyślony.

– Jesteś pewien, że to nie żadna ściema? Blef? – zapytał w końcu. – Bo trochę mi się nie widzi, że facet jest gotów oddać dwie trzecie rodzinnego majątku za coś takiego.

– Pewności nie mam, nie znam go, ale chłopak jest posrany ze strachu. Zresztą jeśli dobrze rozumiem, to obecnie i tak nic z tej swojej ziemi nie ma.

Krach pokręcił głową.

– Chore gównno – stwierdził. – Nie wiedziałem, że takie rzeczy są w ogóle w Polsce. Sekty, kurwa. To jak z filmu jakiegoś.

Drelich nie odpowiedział i przez chwilę po prostu szli w milczeniu. Minął ich biegacz z psem, który wyraźnie nie czuł jeszcze, na czym polega ta zabawa, bo a to uciekał na trawę, a to wpadał panu pod nogi. Ten mimo wszystko znosił to dzielnie.

– Między innymi dlatego chciałem, żebyś sprawdził, czy Kamaz i Jonasz nie mają pleców.

– Wygląda na to, że nie mają – mruknął Krach.

W zamyśleniu kopnął leżący na drodze patyk z pojedynczym zielonym listkiem.

– Żeby tylko ten Kozdraś nie wycofał się w środku zamieszania – stwierdził. – Bo wiesz, jakieś środki trzeba zainwestować, nawet jeśli to będą dwa auta i kilku karków.

– Ryzyko istnieje, ale Iza twierdzi, że jest zdeterminowany. Jego żona podobno powiedziała, że prędzej zabije siebie i dziecko, niż tam urodzi.

Krach przystanął, spojrzął na kubek, po czym wylał resztę jego zawartości na trawę. Zamachał nim dwa razy, strzepując krople.

– A, no i rozumiem, że jesteś emeryt, ale gdyby nie chodziło o dwa auta drabów, to jest szansa, byś zrobił przymiarkę do planu? Odpalę ci coś za to.

Drelich uśmiechnął się krzywo.

– To znaczy dołożysz do tego, co i tak byś mi wypłacił za dobry cynk, jak rozumiem?

– Pierdol się. – Krach wyjął z kieszeni nakrętkę i zakręcił kubek. – Jeszcze nie wiemy, czy dobry. Jak dotąd tylko ja się w nim narobiłem.

W ostatniej chwili złapała kubek, który wypadł z uchylonej szafki. Odruchowo przycisnęła go do piersi, zamknęła oczy i wzięła trzy głębokie oddechy. Postawiła kubek na blacie obok drugiego, takiego samego, wrzuciła do każdego torebkę herbaty i zalała wrzątkiem.

Przez chwilę wpatrywała się w obrazek na ścianie. Kobieta siedząca wieczorem na peronie małego dworca, mroczna postać stojąca nieopodal w krzakach. Nigdy nie rozumiała, co Drelicha tak urzekło w tym obrazku, dlaczego upierał się, by wisiał w widocznym miejscu. Ją zawsze napawał niepokojem, który od zeszłorocznych wydarzeń jeszcze się nasilił. Kobieta w bezpiecznym miejscu, w świetle. Mężczyzna zaczajony w mroku...

Wzdrygnęła się. Otworzyła szufladę, zatrzasnęła ją nerwowo i szarpnęła za kolejną.

– Wszystko w porządku, mamó? – zapytała Zośka z pokoju.

Nie, cholera, nic nie jest w porządku, pomyślała. A za chwilę będzie jeszcze gorzej.

– Nic się nie stało, zaraz przyjdę – odpowiedziała, wyciągając łyżeczkę z przegródki. Wyłowiła torebki herbaty i wyrzuciła je do kosza, po czym z kubkami ruszyła do pokoju.

Zośka siedziała na kanapie. Jedną nogę miała podwiniętą pod siebie, a stopę drugiej opierała o krawędź ławy. Pochylała głowę, wpatrzona w ekran komórki. Czytała coś.

– Włamali się do tej wielkiej galerii w Katowicach, słyszałaś o tym? – zapytała, gdy Iza postawiła przy niej herbatę. – Ponoć wjechali samochodem.

– Tak, słyszałam. Kilka dni temu.

– No sorry, że nie siedziałam ostatnio z nosem w telefonie. Nadrabiam.

– A mogłabyś go odłożyć?

Zośka podniosła głowę.

– Stało się coś?

Iza przełknęła ślinę.

– Tak. I musimy poważnie porozmawiać.

Dziewczyna odłożyła telefon.

– Znaczy co, z tym stryjem coś? Umarł?

– Nie. Nie z nim. – Iza spojrzała na swój kubek, przypominając sobie, że to trzecia ważna rozmowa przy herbacie, jaką w tej sprawie odbywa. Najpierw z Drelichem, potem z ojcem, a teraz z córką.

Zauważyła, że Zośka wciąż wpatruje się w nią z niepokojem, więc spróbowała się uśmiechnąć. Miała wrażenie, że słabo jej wyszło.

– Chciałam z tobą porozmawiać o pewnej ważnej sprawie, która siedzi we mnie już od dłuższego czasu, dobrze? Dotyczy tego, co stało się w zeszłym roku, pamiętasz? Kiedy wróciłam do domu poobijana i powiedzieliśmy wam z tatą, że miałam bardzo intensywny trening.

Córka wpatrywała się w nią w milczeniu, ale ciało zareagowało samo – rozszerzyły się jej źrenice, drgnęły mięśnie mimiczne, dłoń powędrowała do ust. Wyglądało to trochę jak magiczna sztuczka rodem z Pottera, w której każdy element przestrzeni zaczyna żyć własnym życiem.

– Tak naprawdę zostałam wtedy napadnięta – powiedziała Iza. – Tamten mężczyzna zaatakował mnie, pobił i usiłował... usiłował zrobić mi jeszcze większą krzywdę.

Zośka wciąż patrzyła. Oczy jej się zaszklily, palce dotarły celu, zasłaniając usta.

– Zrobił? – zapytała.

Iza potrząsnęła głową.

– Nie, obroniłam się, a potem zadzwoniłam po pomoc do twojego taty. Nic mi się nie stało. Skończyło się na tych paru sińcach, które widzieliście. No i na lęku.

To nie była prawda, wiedziała o tym, ale uznała, że mimo wszystko nie będzie obarczać córki konsekwencjami tamtych wydarzeń. A przynajmniej nie bardziej, niż to konieczne.

– Zgłosiłaś to na policję?

– Tak, ale nie udało się ustalić sprawcy.

Zosia wolno pokiwała głową. Widać było, że się zastanawia, wraca pamięcią do tamtych dni, do pytań, które wówczas bała się zadać.

– Czy to, że mieszkaliśmy wtedy u Krystiana, miało z tym coś wspólnego? – zapytała w końcu.

– Nie. – Iza spojrzała na trzymany w dłoniach kubek. – On był na delegacji, więc i tak by nie pomógł. Dlatego zadzwoniłam do taty. Zresztą chyba niezależnie od sytuacji zrobiłabym tak samo, wiesz? Po prostu

czasem mam poczucie, że z twoim tatą niczego nie zniszczę, a z Krystianem...

Przerwała. Na początku zamierzała rozwiązać wszystkie wątpliwości, jakie jej córka wyraziła podczas rozmowy z Kamazem, ale teraz doszła do wniosku, że to nie jest moment na tłumaczenie zawiłości swojego życia uczuciowego. Były ważniejsze sprawy.

Upiła łyk herbaty, parząc sobie usta, i uśmiechnęła się smutno.

– Nie jest łatwo o tym mówić, skarbie – powiedziała. – Po prostu próbuję ci wytłumaczyć, dlaczego tak się zachowywałam przez cały ten rok. I dlaczego nie umiałam ci pomóc, kiedy potrzebowałeś pomocy z Kingą.

Zośka najpierw spięła się na dźwięk imienia przyjaciółki, po czym zaraz energicznie potrząsnęła głową.

– Ale mamo, co ty gadasz? Pomogłeś mi. Wzięłeś mnie do terapeutki przecież, rozmawialiśmy...

Głos jej się łamał, oczy, wcześniej tylko zaszklone, z miejsca wypełniły się łzami.

Iza czuła, jak w jej gardle rośnie wielka, dławiąca gębia. Spróbowała ją przełknąć.

– Powinam być wtedy bardziej dla ciebie – wydusiła z siebie, odstawiając kubek. Przetarła oczy, splotła ręce, spróbowała zmusić się do uspokojenia rozedrganego głosu. – Powinam wtedy rozmawiać, z tobą, z Nikiem, nie tylko o tamtym, ale też o tym wszystkim, co się wokół dzieje. Bo mieliście prawo czuć się zagubieni. W ogóle mam wrażenie, że... Cholera.

Zośka podniosła się, ostrożnie obeszła ławę i siadając na wolnej pufie, przytuliła się do matki. Trwały tak przez chwilę, wtulone w siebie, w ciszy i we łzach.

– To nie tak, że nie powinniśmy mieć między sobą tajemnic, skarbie – podjęła w końcu Iza. – Ale wydaje mi się, że o ważnych rzeczach powinniśmy rozmawiać zawsze. Że czasami po prostu nawet chcąc dobrze, odsuwamy się od kogoś i potem robi się z tego przepaść nie do zasypania.

Przycisnęła córkę mocniej do siebie, po czym odsunęła się od niej i wstała.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała, wychodząc do łazienki. Gdy wróciła, opłukawszy twarz, Zosia wciąż siedziała na pufie. I wciąż przyglądała się matce z wyraźnym niepokojem.

– Dlaczego rozmawiamy o tym teraz? – zapytała, gdy Iza usiadła.

Ta nie odpowiedziała od razu. Wzięła do ręki kubek i ścisnęła mocno, choć parzył ją w dłonie. Patrzyła na herbacianą taflę, układając w głowie właściwe słowa.

– Chcę, żebyś wiedziała, że to, co ci teraz powiem, to sprawdzone informacje – odezwała się w końcu, nie odrywając wzroku od herbaty. – Dostaliśmy je z policji, widzieliśmy liczne potwierdzające dowody. Czyli to nie jest mój wymysł ani wrażenie, rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem – odparła Zośka. – I trochę mnie przerażasz.

Iza sięgnęła po dłoń córki i zamknęła ją w swoich.

– Ci ludzie, których poznałaś w Ponderosie – powiedziała, patrząc córce w oczy – to bardzo, bardzo niebezpieczna sekta.

Urwała, dając jej czas na przetrawienie tej informacji. Dziewczyna w pierwszej chwili wydawała się zaskoczona, zaraz jednak parsknęła śmiechem.

– Żartujesz, prawda? – zapytała, oswobodzając dłoń. – Widziałas ich przecież. To są normalne rodziny z dziećmi.

– Które mieszkają razem w komunie...

– ...bo miały dosyć życia w mieście. Takie rzeczy się zdarzają coraz częściej, nie słyszałaś? – Odbiła szybko i sprawnie, jakby zawniosła przygotowaną odpowiedź na taki zarzut. Miała? Czy to był element programowania? – Ludzie się wypalają, mamó, nie chcą brać udziału w wyścigu szczurów.

Iza zakłęta w duchu. Źle zaczęła, cholera. Fatalnie.

– Zosiu – spróbowała inaczej – są dowody, które...

– Pokaż – zażądała Zośka. Ostro, stanowczo. Zupełnie inaczej niż jeszcze przed chwilą. Jakby ktoś w niej coś przełączył.

– Co mam ci pokazać?

– No te dowody. Jak są, to pokaz. Chcę je zobaczyć.

– Nie mam ich. – Iza rozłożyła ręce, próbując się uśmiechnąć. – Policja...

– No to chodźmy na policję! – Ton Zośki był coraz ostrzejszy, coraz bardziej agresywny. Podobnie reagowało całe ciało. Spięta się i wyprostowała, zacisnęła dłonie, a jej oczy zwężyły się do małych szparek. – Jutro. Z samego rana. Chcę iść i zobaczyć te dowody! Bo to jakaś bzdura jest!

Z każdym kolejnym słowem, wypowiedanym coraz głośniej, Iza coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że popełniła kolejny błąd. Jeszcze większy. Była na siebie wściekła za tę głupotę, na to, że córka tak łatwo odbija jej

argumenty. A najbardziej na to, że nie miała pomysłu, jak się z tego wycofać.

– Nie pokażą ci tak po prostu – spróbowała. – To przedmiot śledztwa...

– Tobie pokazali.

– Po to, żebyśmy cię stamtąd zabrali. Te nagrania...

Urwała przerażona, ale było już za późno. Zośka zareagowała, jakby dostała w twarz. Odchyliła się gwałtownie i zamrugła zaskoczona. W jej głowie łączyły się teraz poszczególne klocki, wszystko układało się w spójną całość.

– To dlatego mi o tym wszystkim powiedziałaś, tak? – zapytała, krzywiąc się w pogardzie. – O tej napaści, o ojcu? Dlatego, że słyszałaś... – Przerwała. Uniosła rękę, by przetrzeć oczy, ale opuściła ją nagle, uderzając pięścią o kolano. – Pierdol się.

Podniosła się z pufy, a gdy Iza próbowała usadzić ją z powrotem, wyszarpnęła się i cofnęła o krok.

– Pierdol się, słyszysz?

Iza również się podniosła. Powoli, bez żadnego gwałtownego ruchu, nie odrywając wzroku od córki. Chciało jej się płakać, ale tym razem jakimś cudem powstrzymała łzy. Pociągnęła tylko nosem.

– Zosiu, rozumiem, że jesteś zła. Masz prawo, ale...

– Pierdol się! – Zośka krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem. – Nie miałaś prawa! To były prywatne rozmowy, słyszysz?! Nie miałaś prawa!

Rzuciła się w stronę matki, wznosząc pięści, ale potknęła się na pufie i poleciała do przodu.

Iza złapała ją w porę, a potem ścisnęła mocno, blokując ręce. Przycisnęła ją do siebie.

– Uspokój się – powiedziała, wywołując tymi słowami dokładnie odwrotny skutek.

Zośka wierzgnęła, szarpnęła się, kopnęła ławę. Oba kubki się przewróciły, gorąca herbata chlusnęła na blat, podłogę i poduchy kanapy.

– Nie miałaś prawa! Nie miałaś prawa! Nie miałaś, kurwa, prawa! – darła się, a w głowie Izy mimowolnie pojawiło się pytanie, czy mieszkanie Drelicha jest w jakiś sposób wygłuszone i czy któryś z zaniepokojonych sąsiadów nie złoży donosu na policję.

– To prawda, nie miałam. Ale on też nie miał, Zosiu. Kamaszyński nie miał prawa prowadzić z tobą tych rozmów. Nie miał prawa cię o to pytać

ani rozmawiać z tobą w taki sposób. Nie miał prawa manipulować tobą i wyciągać z ciebie takich rzeczy.

Zośka nie przestawała się szarpać. Próbowwała wywinąć się dołem, rozerwać uścisk, uderzyć głową, Iza jednak przywarła do niej i raz po raz poprawiała uchwyt.

– To bezwzględny człowiek, Zosiu – mówiła. – Taki, który robi ludziom krzywdę. Straszna krzywdę. Musisz mi uwierzyć, kochanie. Musisz uwierzyć, że nie chciałam słuchać tych nagrań... Wcześniej nie wiedziałam, co to jest, a potem, jak jeszcze powiedzieli mi o tych wszystkich potwornych rzeczach, które ci ludzie...

Zośka nagle zwiotczała. Przestała się szarpać. Stały tak przez chwilę, dysząc ciężko.

– Puść mnie – powiedziała w końcu.

– A usiądziesz spokojnie?

– Puść mnie!

Iza puściła, a córka co prawda nie usiadła, ale cofnęła się do ściany, przywierając do niej plecami. Objęła się rękami, raz po raz pociągając nosem.

– Z tym stryjem to też kłamstwo, tak? – zapytała.

Iza pokiwała głową.

– Tak. Tata...

– ...wiedział, na czym mi zależy, i to wykorzystał – dokończyła za nią Zosia.

Spojrzała obojętnie na rozlaną herbatę, na ciężkie krople skapujące na podłogę z krawędzi blatu.

– Chcę być sama – powiedziała w końcu.

– Dobrze – odparła Iza. – Ale telefon zostaje tutaj.

Zośka prychnęła, ale nie sięgnęła po aparat. Wyszła i zaraz trzasnęła drzwiami swojego pokoju.

Iza usiadła na pufie, kryjąc twarz w dłoniach. Siedziała tak dobre pięć minut, zanim w końcu wstała i poszła do kuchni po papierowe ręczniki.



Usypiane od ponad pół godziny dzieci ani myślały spać. Nie pomagały bajki, kołysanki, prośby czy podniesiony głos. Nie sprawdzało się nawet to, co zwykle działało, czyli kładzenie się koło nich, bo dziś dyżur pełniły tylko Lidka i Barbara, więc zawsze któreś z maluchów było poszkodowane. Czemu oczywiście głośno dawało wyraz płaczem rozbudzającym pozostałych. I koło się zamykało.

Wojtek słuchał tego wszystkiego obojętnie z wysokości górnej pryczy. Leżał w ubraniu na kołdrze, choć nie powinien, z rękami zaplecionymi na karku, wpatrzony w sufit. Niewielka karteczka z ciągiem cyfr paliła go w kieszeni, wyschnięte łyzy łaskotały w gardle i wokół oczu. Położył się wcześniej, myśląc, że może zaśnie, ale nie wyszło.

Do pokoju wszedł Kamaz. Oczywiście w jednej chwili wszystkie dziecięce łebki musiały się podnieść, a oczka otworzyć, bo jeszcze zanim Wojtek usłyszał wesołe głosiki dzieci, to dobiegło go ciężkie westchnienie jednej z kobiet.

– Ujek Kamas, ujek Kamas! – zawołał jeden z chłopców. Wojtek nie wiedział który, bo nie rozróżniał ich nawet po wyglądzie, a co dopiero po głosie.

Olbrzym zrobił głośne „szsz” i musiał do tego dołożyć jakąś zabawną minę, bo dzieciaki zareagowały śmiechem.

– Oni dzisiaj nie usną – pożaliła się Barbara. – Prędzej ja tu padnę niż one.

– Czasem własny przykład to najlepsza metoda nauczania – odparł sentencjonalnie Kamaz. – Jest Wojtek?

Wywołany, w pierwszym odruchu chciał po prostu siedzieć cicho, udawać, że go nie ma albo śpi, ale to przecież nie miało sensu. Zarówno kobiety, jak i dzieci wiedziały, że tu jest, a co do spania, to Kamaz raczej by się tym nie przejął. Podniósł się zatem, opierając się na łokciu.

– Jestem.

Olbrzym otaksował go wzrokiem, uśmiechnął się i wykonał ruch głową w stronę drzwi.

– Chodź, przejdziemy się, musimy pogadać – powiedział i wyszedł.

Jak się okazało, czekał przed domem, a gdy Wojtek się pojawił, bez słowa ruszył drogą.

Powoli robiło się ciemno i szaro, na wprost nich, za polami i odległą linią drzew, znikало słońce, rozlewając się po horyzoncie żółcią, pomarańczą i różem. Szli w milczeniu dobre dziesięć minut. Minęli bramę i z drogi gruntowej odbili na miedzę rozdzielającą dwa wielkie pola. Dopiero tam, między ścierniskami, Kamaz znowu się odezwał.

– Odzyskamy ją – powiedział nagle, przystając. Obejrzał się, spojrzął na dom i potrząsnął głową, a potem ruszył dalej.

Wojtek szedł za nim, bojąc się o cokolwiek zapytać.

Wreszcie, mniej więcej w połowie pola, olbrzym zatrzymał się, rozejrzał i usiadł na ziemi. Poklepał miejsce obok siebie, a gdy chłopak posłusznie je zajął, objął go ramieniem.

– Tę twoją Zosię – doprecyzował wcześniejszą myśl. – Odzyskamy.

– Dlaczego odzyskamy? – zapytał niepewnie Wojtek. – Mówiła, że będzie za kilka dni. Że jedzie tylko...

– Słyszałem, co mówiła. – Kamaz urwał zdźbło i wsunął je do ust. – I może nawet tak będzie, ale rozejrzyj się. – Wolną ręką wykonał szeroki gest, wskazując na ścierniska. – Jest koniec sierpnia. Za chwilę czas powrotu do szkoły, do życia gdzieś tam. Więc jeżeli nawet wróci, to na dzień, dwa, a potem...

Mocniej docisnął chłopaka do siebie.

– Ale odzyskamy ją. Możesz być pewien. Obiecałem ci ją i dotrzymam słowa.

Wojtek nie odpowiedział. Bał się nawet w tym momencie ruszyć czy głośniej odetchnąć, żeby Kamaz nie odczytał tego opacznie, a może – co gorsze – zgodnie z intencją.

Olbrzym jednak najwyraźniej pogrążony był teraz w swoich rozważaniach, bo nie zwracał uwagi na żadne sygnały. Patrzył przed siebie.

– W ogóle nie powinno do tego dojść – powiedział. – Nie powinniśmy pozwolić jej wyjechać. Kiedy dziś rano po nią przyjechali, byłem bardzo bliski powiedzenia im, że nie mogą zabrać tego, co nasze. Ale potem rozejrzałem się, spojrzałem na nasz nowy dom, na was, którzy dopiero przyzwyczajacie się do tego miejsca, i nie powiedziałem nic. Uśmiechałem się tylko jak kretyn. Znowu, jak w Sobieradach przez te wszystkie lata.

Mówił i wyglądał tak, że Wojtkowi zrobiło się go trochę żal. Z jego słów bił autentyczny smutek i troska, przez co zdawał mu się bardziej ludzki niż przez ostatnie miesiące. Nie słaby, co to, to nie, ale jakoś tak... bliższy?

– To strasznie dziwne – mówił dalej Kamaz. – Takie przyzwyczajanie się do miejsca, służalczość wobec niego. Zobacz, jesteśmy częścią całej ziemi. W niej się rodzimy, odradzamy, w niej rozkładamy i jesteśmy wolni. Ale ledwie tylko wybierzemy sobie jej kawałek, powiemy o jakimś miejscu, że to nasz dom, od razu tę wolność tracimy. Musimy iść na ustępstwa, kalkulować. Dlatego właśnie dzisiaj nie powiedziałem nic, bo myślałem o tym, co możemy stracić. Rozumiesz?

– Jasne – wydusił z siebie Wojtek. – Znaczą oczywiście, że rozumiem.

Kamaz puścił go i przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

– To źle, że rozumiesz, Wojtek – powiedział po chwili. – To bardzo źle, bo powinieneś być na mnie wściekły.

– Wściekły?

– Tak. – Podniósł grudkę ziemi i uniósł na wysokość oczu. – Wściekły. Bo ty w Niemczech dotrzymałeś swojego słowa. Pokazałeś, że rodzina jest dla ciebie najważniejsza i zrobisz wszystko, by była w komplecie, a ja...

Roztarł grudkę w dłoniach i otrzepał ręce. Przez moment wydawało się, że zaraz wstanie i ruszą dalej, ale olbrzym uśmiechnął się tylko do własnej myśli, po czym odchylił się i zza paska z tyłu wyjął nóż w skórzanym pokrowcu, owinięty rzemieniem. Wyciągnął go, przyjrzał się ostrzu, a potem uniósł prawą dłoń chłopaka, odwrócił ją wnętrzem do góry i naciał płytko.

Wojtek powstrzymał się przed syknięciem, co najwyraźniej ucieszyło Kamazę, bo znowu się uśmiechnął, przekładając nóż do lewej ręki i nacinając własną prawą dłoń. Wytarł ostrze o spodnie, schował i odłożył.

– Obiecałem ci ją, Wojtek. – Wyciągnął ku chłopakowi rozciętą rękę. – A teraz przysięgam na moją i twoją krew, że ją odzyskam. Dla ciebie, dla nas. Bo ona już jest częścią tej rodziny. Czuję to w sercu. Wymyślę, jak to zrobić, by była z nami i byśmy nie musieli się stąd zaraz wynosić jak z Sobierad. Ale nawet jeśli...

Nie dokończył. Wojtek podał mu dłoń, a on ścisnął ją mocno i nakrył drugą. Gdy puścił, położył chłopakowi na kolanach nóż.

– To dla ciebie, bracie – powiedział. – Na znak, że cię kocham.

Drelich wszedł do mieszkania i postawił walizki w przedpokoju. Zdjął bluzę i miał właśnie ściągnąć buty, gdy w progu pokoju pojawiła się Iza.

– Nie masz ochoty się przejść? – zapytała. Głos miała lekko ochrypły, a oczy opuchnięte i zaczerwienione. Mrużyła je, co najpewniej znaczyło, że od chwili zapadnięcia zmroku siedziała w ciemności.

Podrzucił klucze.

– Rozumiem, że już po wszystkim – powiedział cicho. – Jak się czuje młoda?

Iza wzruszyła ramionami.

– Śpi – odparła. – Albo udaje. W każdym razie siedzi u siebie.

– Ale nie rozmawia tam z nikim?

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i zamachała jej smartfonem.

– Dobra – powiedział. – Tylko daj mi chwilę, bo muszę do łazienki.

Sikając, zrobił w głowie krótką listę wszystkich znajdujących się w domu smartfonów i innych urządzeń nadających się do komunikacji. Gdy wyszedł z toalety, zabezpieczył je szybko, przekładając do wzmocnionej szuflady zamykanej na klucz. Dołożył do nich komputery Zośki i Izy wyjęte z ich walizek.

Wrócił do przedpokoju i zdjął bluzę z wieszaka. Iza czekała już na niego w granatowo-żółtym polarze z logiem firmy, w której pracował Krystian. Drelich nie pamiętał teraz jej nazwy ani tego, czym się zajmuje.

Już na schodach Iza przypomniała sobie, że Zośka ma przecież klucze.

– Tak, ale tylko do dwóch zamków – odparł. – A są trzy.

Wieczór był chłodny, a wiatr jeszcze potęgował to wrażenie, dlatego zamiast usiąść na ławce, ruszyli wzdłuż bloku.

– I jak? – zapytała w końcu Iza. – Dowiedziałeś się czegoś?

– Dużo rzeczy – odparł Drelich. – Krach jest zainteresowany. Trochę szuka w tym wszystkim haczyka, oferta wydaje mu się aż za dobra.

– Bo tak jest. – Iza objęła się rękami. – Ale sądzę, że to nie tyle haczyk, ile strach.

– To też może być problem – zauważył. – Wiesz, znika powód do strachu, znika szczodrość. To już jednak nie nasza sprawa, niech Krach się martwi. Mów, jak u was.

Iza streściła przebieg rozmowy, kilka razy zerkając na niego i próbując wybadać jego reakcję. Gdy skończyła, dłuższą chwilę szli w milczeniu.

Obeszli budynek i skręcili w lewo, w jedną z osiedlowych alejek. Siedząca na huśtawkach grupa nastolatków umilkła na ich widok i pochowała piwa, ale jeden z nich szybko się zorientował, że zbliżająca się para to nikt znajomy, więc wyjęli puszki i bez skrupowania pili dalej.

– Dostała jakąś wiadomość – powiedziała w końcu Iza. – Z niezapisanego numeru.

– Co w niej jest?

– A niby skąd mam wiedzieć? Telefon jest zablokowany, widziałam tylko powiadomienia.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Cztery-siedem-cztery-trzy-trzy-jeden – wyrecytował. – Jak chcesz, to sprawdź.

W pierwszym odruchu sięgnęła do tylnej kieszeni, ale powstrzymała się i tylko pokręciła głową.

– Jak zacznę grzebać w jej telefonie, to już nigdy się do mnie nie odezwie – stwierdziła. – Naprawdę już nie wiem, co możemy w tym momencie zrobić. Zresztą, cholera, wcześniej też najwyraźniej nie wiedziałam. Ten tekst o policji i dowodach... Nie dziwię się, że o to pytała. Podłożyłam się jak ostatnia idiotka.

Drelich zobaczył, że Iza się trzęsie, więc objął ją ramieniem. Gdy przyłgnęła do jego boku, dostosował swoje kroki do jej.

– Cyprian, przekonując ciebie, miał nagrania i opowieść o zakopywaniu ludzi żywcem, ty nie miałaś nic – powiedział. – Powołanie się na policję było najlepszym możliwym wyjściem. I uważam, że wybrnęłaś całkiem nieźle.

Nie odpowiedziała, więc kontynuował:

– Jeżeli zajdzie taka potrzeba, możemy sfabrykować parę rzeczy, tylko trzeba by pomyśleć co, ale sądzę, że przez następnych kilka dni raczej trzeba z nią po prostu siedzieć, próbować gadać i czekać.

Odsunęła się od niego.

– Na co? – zapytała.

– Aż zawinie ich policja. – Drelich wepchnął rękę do kieszeni bluzy. – Jeżeli Krach się zdecyduje, a szanse są spore, i dowody Kozdrasia wystarczą, nie powinno to długo potrwać. Zresztą nie musimy czekać bezczynnie, nie? Możemy się skontaktować z dominikańskim ośrodkiem, gadać z terapeutką, ustalać kroki. Tylko ogólnikami, bez szczegółów, które mogłyby...

Parsknęła cicho.

– Naprawdę chcesz mi mówić, jak mam ukrywać szczegóły przed terapeutką?

– No tak – uśmiechnął się. – W sumie racja. Wracajmy już, zimno jest.

– Wracajmy – zgodziła się. – A co do tej sprawy, to zamierzasz się... no, angażować?

Drelich podrapał się za uchem.

– W samą akcję? Nie wiem jeszcze – odparł zgodnie z prawdą. – Jutro, jeśli Kozdraś się wyrwie, wypytam go, jak to widzi i jakie są w ogóle możliwości. Krach poprosił też, bym spróbował opracować na tej podstawie jakiś plan. Ale to chyba tyle.

– Jasne.

W jej głosie zabrzmiał smutek i Drelich nie do końca wiedział, jak ten ton odczytać. Czy dotyczył całej sytuacji, czy może tego, co właśnie usłyszała? Liczyła na to, że weźmie w tym udział?

Uznał jednak, że nie będzie dopytywał. Wyjął telefon z kieszeni i szybko sprawdził aplikację kolejową.

– Właśnie, bo zapomniałem, a jest jeszcze sprawa. Czy twój ojciec mógłby jutro z samego rana z Katowic albo Gliwic odebrać przesyłkę konduktorską?

– Jutro z rana? – zdziwiła się. – Jest dwudziesta druga.

– Owszem, późno – przyznał jej rację. – Ale to ważne. I musiałyby być na miejscu o ósmej siedemnaście.

Westchnęła, ale wyjęła swój telefon i odeszła parę kroków na bok. Drelich uśmiechnął się, wiedząc, że robi to dla niego, bo nie chce, by usłyszał te wszystkie określenia pod swoim adresem, gdy powie ojcu, o co chodzi. Obserwował ją, zastanawiając się, czy nie wykorzystać tej chwili na telefon do Nikodema. Zanim się jednak zdecydował, Iza zdążyła wrócić.

– Wkurzył się, ale powiedział, że będzie na miejscu – powiedziała. – A powiesz mi teraz, o co chodzi?

– O telefon z lewą kartą – wyjaśnił. – Chciałbym, żeby Cyprian go dostał.

Zimny wiatr wyraźnie się wzmaczał, więc drogę do domu pokonali szybko i w milczeniu. Już przy klatce Drelich sięgnął po klucze. Zanim jednak przyłożył breloczek do domofonu, przypomniał sobie coś jeszcze.

– Nie zostanę na noc. Muszę się przygotować na jutrzejszą rozmowę, a do tego potrzebuję spokoju. Poza tym nie powinienem z nim gadać przy młodej.

Iza uśmiechnęła się.

– Ale pamiętasz, że to jest twoje mieszkanie, nie? – zauważyła. – I że my mamy własne?

– Tak. Mimo wszystko wolałbym, żebyście na razie zostały tutaj. Jest bezpieczne, nawet Krach o nim nie wie. No i lepiej, żebyś...

– ...nie rozmawiała z Krystianem, tak?

Drelich nie odpowiedział od razu. Odwrócił się, spojrzał na pusty chodnik, a potem odciągnął Izę od domofonu.

– Mówiłaś mu już coś na ten temat?

– Nie – odpowiedziała, ale zaraz się poprawiła: – A nie, czekaj, rozmawialiśmy zaraz po moim przyjeździe do Gronowa. Mówił, że Kamaszyńskiego kojarzy i że był kiedyś na jakimś jego szkoleniu czy coś. I że ogólnie fajny facet.

Drelich pokiwał głową.

– Zakładałem, że mogli się poznać, bo Kamaszyński robił naprawdę dużo szkoleń dla biznesu i chyba widziałem, że logo firmy Krystiana też tam się przewinęło. Ale to teraz nieistotne. Ważniejsze, że Krystian to inteligentny facet, któremu na tobie zależy.

– Na Zośce też – uzupełniła, ale Drelich zbył to ledwie zauważalnym grymasem.

– Jeżeli powiesz mu teraz, że są jakieś kłopoty, będzie dociekał jakie. I raczej nie da się zbyć tekstem, że nie chcesz o tym rozmawiać, prawda? A każde dodatkowe grzebanie przy tej sprawie, nawet w dobrej wierze, to gra w jengę. Nie wiemy...

– Dobra, rozumiem – przerwała mu.

– Iza, ja... – zaczął, ale zobaczył jej minę i odpuścił. – Zostawię ci ten dodatkowy klucz, jakbyś chciała gdzieś wyjść. Podam ci też kod do sejfu w szafie, gdzie możesz schować telefony na noc. Wejdę teraz, tylko żeby spakować parę rzeczy.

– Jasne – odpowiedziała. – Damy sobie radę.

Drelich przyłożył brelok do czytnika, a następnie pociągnął za drzwi. Już chciał wejść, ale Iza złapała go za rękę.

– Skąd właściwie znasz pin do telefonu Zośki? – zapytała.

Westchnął i pokręcił głową z rezygnacją.

– Z nieostrożności, tyle razy mówiłem. Twój też ci podać?



Zgodnie z poleceniem Cyprian zameldował się przed gabinetem zaraz po śniadaniu. Stanął przed otwartymi drzwiami i zapukał we framugę.

– Wejdz – powiedział Kamaz. – I zamknij.

Cyprian wszedł. Po lewej zobaczył materac służący za łóżko. Był niewiele grubszy od karimaty, starannie zaścielony i przykryty kocem. W nogach leżały wczorajsze ubrania poskładane w kostkę, a przy poduszce gruba książka z wydartą okładką.

Sam olbrzym siedział przy biurku i z głową skrytą pod blatem grzebał przy komputerze. Czy to możliwe, że jakimś cudem zauważył brak małego pendrive'a, którego Cyprian nie miał już potem jak wpiąć z powrotem?

– Jest problem – powiedział, prostując się. Wskazał mu krzesło. – Siadaj.

– Jaki?

Kamaz uśmiechnął się krzywo.

– Jak usiądziesz, to ci powiem. Coś taki spięty?

– A tak jakoś. – Cyprian zajął wskazane miejsce. – Nie wiem, wieloma rzeczami się denerwuję ostatnio. Zdrowie Magdy, rytuał...

– No właśnie. – Olbrzym podrapał się po nieogolonym policzku. – O rytuale chciałem porozmawiać. Musimy go przenieść, to znaczy przyspieszyć. Powinien odbyć się pojutrze.

– Pojutrze?

Kamaz westchnął.

– Sam widziałeś, z Klarą jest coraz gorzej – powiedział. – Martwię się, bo najpierw to wieszanie, potem wybuch przy twoich znajomych.

– To nie byli moi... – zaczął Cyprian, ale odchrząknął i podjął jeszcze raz: – To znaczy, ją znam, ale jego...

– Ale ja przecież nie mam pretensji, że oni tu byli. Daj spokój. – Olbrzym wziął z blatu pióro ojca i zaczął się nim bawić między palcami. – Wstyd mi się tylko zrobiło, że taka scena przy gościach. Pewnie dlatego nie zostali, by z nami zjeść.

– Pewnie tak – zgodził się Cyprian.

– Pyszne były te eklery, swoją drogą. Ciekawe, czy córka odziedziczyła talent po mamie.

– Nie wiem, naprawdę...

Kamaz parsknął.

– A niby skąd miałbyś wiedzieć? – Machnął ręką. – No ale mniejsza. O Klarze mówiłem. Mam wrażenie, że nie wytrzymuje napięcia, stres ją zjada w tym wszystkim. Igora zresztą też. Chłopaki się skarżą, że coraz agresywniejszy się robi. Do ciebie też skakał?

– Do mnie nie, ale ja mam z nim mało wspólnego, tyle go widziałem, co przy tej rurze przedwczoraj.

– O. – Kamaz wycelował w niego piórem. – Widzisz, to też jest temat. Musimy porozmawiać o remontach i w ogóle o finansach. Jak tylko domkną się sprawy spadkowe, zaraz trzeba będzie się tym zająć. Rurami, kotłownią, no i wreszcie pokojami, żeby wszyscy mogli parami spać, a nie tylko wy. Nie możemy się tu cisnąć, skoro obok stoi ośrodek. No i Jakub też pytał, czy jest szansa na piec hartowniczy z prawdziwego zdarzenia do nowego warsztatu. Ale o tym pogadamy na spokojnie już po wszystkim. Teraz rytuał. Jak stoisz z przygotowaniem? Zdasz?

Cyprian przełknął ślinę. Poczuł, że ręce zaczynają mu się trząść, więc wcisnął dłonie między uda.

– Właściwie to niewiele już jest do zrobienia – powiedział. – Pochodnie ogrodowe trzeba dokupić, sznurka trochę. No i jedzenie na biesiadę. Dzisiaj powinny być gotowe wszystkie stroje, więc jak pojutrze dziewczyny od rana wezmą się do gotowania, to damy radę. Znaczą, o ile nie będzie deszczu, ale to sprawdzę, jeśli będę mógł później usiąść do komputera.

– Ja sprawdzę, niech też coś zrobię w tej sprawie. – Kamaz rzucił pióro na blat, odchylił się na krześle i zaplótł ręce na karku. – Świetnie, cieszę się. Jutro wyjeżdżają kursanci, a doba chyba wystarczy, by wszystko poustawiać, prawda? Tym bardziej że stelaże już stoją.

Cyprian pokiwał głową.

– Tak mi się wydaje.

– Żadne wydaje, mój drogi – zaśmiał się Kamaz. – Jesteś mistrzem ceremonii!

Wstał i obszedł biurko. Zatrzymał się obok Cypriana, oparł się o blat, odchylił głowę i odetchnął głęboko.

– Mam nadzieję, że to pomoże – powiedział. – Bo ciągle nie umiem poczuć tego miejsca. Nie umiem czuć się jak w domu. Niby wszędzie

ziemia ta sama, niby tam twój dom, gdzie serce, ale tu jakby zła energia była. Jakby to wszystko, ta ziemia, ten dom powstały na jakiejś strasznej ludzkiej krzywdzie.

Cyprian nie odpowiedział, ale Kamaz chyba wcale tego nie oczekiwał. Wciąż stał z odchyloną głową, wpatrzony w sufit.

– Dzisiaj rano to do mnie dotarło, wiesz? Że zrobiłem cię mistrzem ceremonii, żeby pomóc ci uporządkować twoje lęki i problemy, żebyś mógł zapanować nad strachem. Ale może tu chodziło o coś więcej? Może jako spadkobierca dawnych krzywd musisz po prostu symbolicznie za nie przeprosić?

Spojrzał na niego.

– Co myślisz?

Cyprian potrząsnął głową.

– Nie wiem – powiedział cicho. – Może tak?

– OK, to zastanów się nad tym. – Kamaz wrócił za biurko. – A na zakupy weź ze sobą Hanne. Zróbcie mi dokładną listę, łącznie ze spożywką i środkami czystości, a potem przyjdź po pieniądze.

– Dobra. – Cyprian wstał i ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się w progu. – A, Kamaz, bo jest sprawa z Magdą. Ona ostatnio trochę gorzej się czuje. Po tym, jak po żarze chodziła, to już było naprawdę ciężko. No i pomyślałem, że... Wiesz, bo ona ci nie odmówi, ale chodzi o to, że takie emocje jak na uroczystości... znaczy...

– Chodzi o to, by nie musiała brać udziału? – zapytał Kamaz i przez moment przyglądał mu się bardzo uważnie. W końcu pokiwał głową z uśmiechem. – Niech będzie, skoro tak się martwisz. Wolałbym nie robić wyjątków, jednak matki naszej przyszłości mają swoje prawa, nie?

\* \* \*

Pół godziny później Cyprian zaparkował rama na Manhattanie. Nazwą nowojorskiej wyspy miejscowi określali przestrzeń handlową, na której przestronny parking otaczały z trzech stron Media Expert, Pepco, KiK i Biedronka. Stał niemal przy samym wejściu tego ostatniego sklepu, wbił awaryjne i wyjął z kieszeni kartkę z listą zakupów. Przedarł ją na pół i jedną część podał siedzącej obok Hannie.

– Trzymaj – powiedział. – Zrób zakupy tutaj, ja w tym czasie skoczę po resztę do Bricomarché, dobra? To na drugim końcu miasta, więc nie będziemy marnować czasu.

– Dobrze – odparła, patrząc mu w oczy. Potem przeniosła wzrok na kartkę i znowu na niego. Wszystkie jej ruchy sprawiały wrażenie, jakby odtwarzano je w zwolnionym tempie. – Pieniądze mi dasz czy mam z zakupami poczekać przy kasie?

– Dam. – Sięgnął do kieszeni po gotówkę otrzymaną od Kamaza, odliczył część kwoty i podał jej zwitek. Zamknęła go w dłoni i ścisnęła mocno.

– Jeszcze kóleczo na wózek.

Począł, aż wejdzie do sklepu, i dopiero wtedy ruszył.

Zatrzymał się niecały kilometr dalej, przy Powstańców Śląskich, i pieszo ruszył za róg na Makuszyńskiego. Bramę, o której wspomniała Iza, wypatrył od razu, ale przeszedł się kawałek, próbując w odbiciach sklepowych witryn wypatrzeć, czy ktoś go nie śledzi. W końcu przeciął ulicę, wbiegł do bramy i potem drewnianymi schodami na pierwsze piętro. Uniósł rękę, żeby zapukać, ale zanim dotknął drzwi, te otworzyły się nagle, aż musiał odskoczyć.

– No wchodź, wchodź – odezwał się Lemańczyk, stojący w progu. – Do stołowego idź, po lewej. Butów nie ściągasz.

Cyprian wszedł. Na stole stały otwarty komputer, dwuipółlitrowa butelka napoju o smaku jabłka oraz mięty i dwie szklanki, a także talerzyk z rurkami kakaowymi.

– Już dzwoniłem, że jesteś, więc zaraz pewnie będzie – powiedział Lemańczyk. – Głodny?

Potrząsnął głową.

– Nie mam czasu – wysapał. – Hann... Znaczą, jedna z naszych jest w Biedronce, zakupy robi. Jak się zorientuje, że mnie za długo nie ma, to potem może zgłosić.

Lemańczyk westchnął i pokręcił głową.

– Jak tyś się w takie gówno, chłopie, wpakował, co?

Cyprian nie odpowiedział, spojrział tylko w stronę butelki.

– Mogę?

– A co, dla ozdoby jest? Pij. – Lemańczyk podsunął sobie krzesło i usiadł. – Co jej powiedziałaś? Że gdzie idziesz?

– Do brico. Muszę tam jeszcze zakupy zrobić, dlatego naprawdę zależy mi na...

– Brico, mówisz? – Lemańczyk rozejrzał się za telefonem. – A listę jakąś masz? Bo to się załatwi zaraz i trochę czasu zyskamy.

Cyprian sięgnął do kieszeni i podał mężczyźnie listę, a ten wyszedł i po chwili wrócił w okularach i z telefonem przy uchu.

– Jasiu, cześć, Lemańczyk z tej strony. Ty jesteś w robocie dzisiaj? ... Oj, to szkoda, cholera! A nie masz tam kogoś aby łebskiego, kto mógłby mi na szybko zakupy do koszyka odłożyć? Chłopaka bym po to podesłał, ale trochę nas czas goni... Masz? No to świetnie. To ja już ci czytam, a wódeczka się chłodzi... Co „daj spokój”? Staremu psu zaufaj, łapówka musi być.

Akurat gdy czytał produkty z listy, rozległ się dźwięk z komputera oznaczający połączenie na Skype.

Cyprian zerknął nerwowo na Lemańczyka, a ten zniecierpliwionym gestem nakazał mu odebrać i wyszedł do przedpokoju.

Odebrał więc i zaraz zobaczył na ekranie byłego męża Izy. Po wczorajszym spotkaniu, gdy tamten powiedział mu, że kiedyś się poznali, Cyprian szukał go intensywnie w pamięci, próbując sobie przypomnieć, czy ma związane nim wspomnienia. Okazało się, że miał, i to całkiem sporo. To właśnie on, chłopak Izy, grał z nim kilka razy w piłkę i nauczył grać w noża. Ćwiczył judo i kazał mówić do siebie nie po imieniu, tylko Drelich. To słowo brzmiało dziwnie, ale potem mama wyjaśniła mu, że oznacza specjalny materiał do szycia roboczych ubrań.

Oczywiście teraz Cyprian nie zamierzał się w ten sposób do niego odnosić, ale odkąd sobie przypomniał, nie potrafił już w myślach nazywać go inaczej jak tylko tamtym przezwiskiem. Brzmiało lepiej niż Marek czy były mąż Izy.

– Ile mamy czasu? – zapytał Drelich bez żadnych wstępów.

– Nie wiem – odparł. – Z piętnaście minut? Dwadzieścia?

– Dobrze. W ciągu najbliższych minut muszę się od ciebie jak najwięcej dowiedzieć. Bardzo ważne jest, żebyś mówił prawdę, rozumiesz?

– Tak.

Drelich sięgnął po notatnik.

– Zacznijmy od ustalenia celu naszego spotkania – powiedział. – Oczekujesz bezpiecznego wyprowadzenia ciebie i twojej ciężarnej żony z ośrodka Ponderosa, a potem zapewnienia bezpiecznej kryjówki na czas składania zeznań przeciwko Kamaszyńskiemu i reszcie, tak?

– I jeszcze pomocy w organizacji nowego życia dla mnie, Magdy i dziecka – odparł Cyprian. Poczuł szturchnięcie w ramię i zobaczył, że

stojący obok Lemańczyk podaje mu sok. Uśmiechnął się z wdzięcznością i wypił zawartość szklanki dwoma łykami.

– W zamian oferujesz przepisanie odziedziczonego majątku na rzecz tego, kto ci pomoże, zachowując dla siebie jedną trzecią, czyli około trzech milionów złotych?

– Nie wiem, ile dokładnie jest wart... – zaczął Cyprian, ale zaraz potrząsnął głową. – Tak, chcę dla nas tylko tyle, żebyśmy mogli żyć w spokoju. Reszta mi niepotrzebna.

– Dobrze. Ostrzegam, że z chwilą podjęcia działania nie będzie już opcji ani rozwiązania umowy, ani żadnej renegocjacji – zaznaczył Drelich. – I że w przypadku niedotrzymania słowa narazisz się na bardzo poważne niebezpieczeństwo.

Siedzący obok Lemańczyk sapnął nerwowo, zaciskając palce na swojej szklance. Cyprian nie uważał tego za dobry znak, coś jakby ostrzeżenie przed wyjątkowo niekorzystnym układem. Tylko jaki miał wybór?

– Zgadzam się na wszystko – powiedział, czując, że znowu zasycha mu w gardle. – Po tym, jak nas wyciągniecie, znaczy wyciągną, mogę od razu iść do notariusza spisać...

– Spokojnie – przerwał mu Drelich. – Chodzi tylko o to, czy wszystko jest dla ciebie jasne.

– Jest – zapewnił. Zerknął na zegarek na dolnej belce pulpitu. – Tylko ja naprawdę muszę się spieszyć.

– Rozumiem. Przejdźmy zatem do konkretnych pytań. Ile osób jest w sekcie? Ile z nich to mężczyźni, ile kobiety, a ile dzieci? Nie licz siebie i swojej żony.

Cyprian był przygotowany.

– Nie licząc nas, to dwadzieścia cztery osoby – odpowiedział bez zastanowienia. – Dziesięciu mężczyzn, osiem kobiet i sześcioro dzieci. Najstarsze z nich, Oliwka, ma sześć lat, najmłodszy jest chyba Bruno, dwa.

– Czy dysponujecie jakąś bronią?

– Tak. Większość dorosłych ma noże, które dostajemy jako najwyższy stopień wtajemniczenia. Jest też broń palna, pistolety i karabiny, ale nie wiem ile. Zwykle są gdzieś schowane. W każdym razie używają ich przede wszystkim wojownicy.

– Kim są wojownicy?

Cyprian wzruszył ramionami.

– Tacy nasi żołnierze.

– To znaczy oni was pilnują?

– Nie do końca. Wszyscy się pilnujemy. Nawzajem. Mamy obowiązek zgłaszać, jak widzimy coś niepokojącego u innych, i pisać o tym w naszych zeszytach codziennych. Kamaz je czasem przegląda.

– Rozumiem. – Drelich zapisał coś w notesie. – Ilu jest wojowników? Przydałyby mi się też ich imiona.

– Tomeczek, Łukasz, Robert, Damian, Wiktoria chyba też jest wojownikiem, znaczy, wojowniczką, ale nie wiem. No i sam Kamaz. Broń ma jeszcze Jonasz.

– Ten, który wczoraj nas z tobą przywitał, prawda?

– Tak.

Lemańczyk uzupełnił mu szklanę. Cyprian upił solidnego łyka, mało się przy tym nie krztusząc. Drobinki śliny skapnęły na ekran, zniekształcając obraz w kilku miejscach. Starł je szybko przedramieniem.

Drelich skończył notować i wrócił do strony z zapisanymi pytaniami.

– Ile osób w rodzinie uważasz za niebezpieczne? To znaczy takie, które byłyby zdolne cię skrzywdzić.

Cyprian uśmiechnął się smutno.

– Wszystkie – powiedział. – Jeśli Kamaz coś każe, to się to robi.

– Nawet ta dziewczyna, która wczoraj krzyknęła? Ta, którą mają zakopać w ziemi? I jej partner?

Cyprian uśmiechnął się smutno.

– Klara i Igor? Oczywiście, że też. Gdyby tylko Kamaz powiedział, że im daruje i zamiast nich my pójdziemy pod ziemię, zrobiliby wszystko, żeby...

Nagły dźwięk dochodzący z boku sprawił, że aż podskoczył z nerwów. Okazało się, że dzwonili z Bricomarché – zakupy już czekały na odbiór. Kolejny raz zerknął na zegarek na belce.

– Rozumiem, że twoja żona jest stale pod czyimś nadzorem, tak?

Skinął głową.

– A czy są jakieś momenty, kiedy nikt was nie pilnuje?

– Mamy osobny pokój, ale śpimy na piętrze, a dom jest zawsze pełen ludzi. W ośrodku śpią tylko trzy osoby: Igor i dwóch, co go pilnują.

Tym razem przerwa trwała dłużej. Drelich szybko notował, a Cyprian siedział w milczeniu, sprawdzając czas. Lemańczyk podsunął mu talerzyk z rurkami. Wziął jedną, dziękując uśmiechem, ale nie ugryzł.

– Ufasz Magdzie? – zapytał Drelich, podnosząc wzrok znad notesu.

– Ufam.

– I jesteś pewien, że to nie jest żadna próba wymyślona przez Kamaza, by cię sprawdzić?

– Jestem jej pewien – powiedział Cyprian stanowczo.

– W porządku. Wtedy w nocy mówiłeś Izie, że za kilka dni odbędzie się jakiś rytuał.

– Pojutrze. Dziś rano Kamaz kazał go przyspieszyć.

Wyczulony na gwałtowne zmiany nastroju, natychmiast dostrzegł na twarzy Drelicha wyraz niezadowolenia. Dało się wyczuć, że usłyszana właśnie informacja miesza mu szyki. Miał tylko nadzieję, że nie przekreśla też wszystkich planów.

– Dobra, to opisz mi teraz ten rytuał – poprosił Drelich. – Co się wydarzy, ile potrwa, jak bardzo będziecie na tym wszystkim skupieni przed, w trakcie i po. Gdzie się odbędzie, w jakiej odległości od domu i czy będziecie mieli broń.

Cyprian odpowiedział na wszystkie pytania, z coraz większym trudem starając się zachować spokój. Dopiero gdy głos mu się załamał, a na ramionach poczuł dłonie Lemańczyka, uzmysłowił sobie, że płacze i cały się trzęsie.

Kiedy skończył, Lemańczyk podał mu chusteczki i jeszcze raz napełnił szklankę. Cyprian wytarł twarz, ale picia odmówił.

– A właśnie – przypomniał sobie. – Magdy nie będzie na rytuale. Zostanie w domu, tyle że pewnie z Kalimą albo z Tomeczkiem, bo on niby uczył się na pielęgniarsza czy ratownika medycznego.

– O, to cenna informacja – pochwalił Drelich. – Ktoś jeszcze będzie wtedy w domu? Dzieci?

Cyprian potrząsnął głową.

– Nikt. Dzieci będą na rytuale – powiedział. – Tu nie będzie wyjątków.

Sięgnął do szklanki i na widok wyrazu twarzy Lemańczyka westchnął cicho. Pomyślał, że skoro to dziwiło starszego mężczyznę, najwyraźniej nie zdawał sobie wcześniej sprawy, z kim naprawdę ma do czynienia. Przynajmniej Drelich zachowywał się tak, jakby nic nie było w stanie go ruszyć. Notował, podnosił wzrok, by zadać pytanie, i znowu notował. Jak robot. Paradoksalnie było w tym coś przerażającego, ale i uspokajającego zarazem.

– Kalima to kto?

– Nasza lekarka – odpowiedział Cyprian. – Mulatka. Nie było jej wczoraj na obiedzie, bo prowadziła zajęcia dla kursantów.



Tamten znowu coś zapisał, postukał długopisem o kartkę i uniósł wzrok.

– No dobrze. Czyli Magda w czasie rytuału powinna być w domu w towarzystwie jednej osoby. A ty gdzie wtedy będziesz?

– No na miejscu, na polanie. Będę mistrzem ceremonii. Kamaz kazał mi to prowadzić.

– To kara czy dowód uznania?

– Raczej to drugie – odparł Cyprian po krótkim namyśle. – No i trochę terapia.

Zastanawiał się, co i jak wiele powinien powiedzieć, jeśli Drelich będzie dociekał, ale tamten nie drażył, tylko przeszedł do następnego pytania.

– Masz dostęp do planu domu?

Cyprian pokręcił głową.

– Niestety nie. Mogę co najwyżej narysować układ pomieszczeń.

– Dobrze, zrobisz to za chwilę. Ale i tak przydałyby się plany.

– Powinny być w nadzorze budowlanym, nie? – zapytał nagle Lemańczyk.

– Nie wiem – odparł Drelich. – Możliwe.

Cyprian również nie miał pojęcia, ale Lemańczyk już podniósł telefon.

– Wydaje mi się, że tak – mruknął. – Mam kolegę w głubczyckim nadzorze. To znaczy, nie wiem, czy już nie na emeryturze, ale sprawdzę to. Rozmawiajcie.

Wyszedł z pokoju i po chwili słychać było, jak rozmawia o czymś w kuchni.

– Dobra, Cyprianie – powiedział Drelich. – To wszystko z mojej strony. Za chwilę poproszę cię jeszcze o kilka rzeczy, w tym rysunki z układem pomieszczeń. Ojciec Izy zrobi zdjęcia i mi wyśle. Dostaniesz też telefon. Chciałbym, żebyś ukrył go gdzieś poza domem i skontaktował się ze mną jutro. Tylko musisz to zrobić z bezpiecznego miejsca, rozumiesz? Będziesz miał taką okazję?

– To zależy, o której.

– Im szybciej, tym lepiej, ale będę pod telefonem cały dzień. Najważniejsze, żebyś był wtedy bezpieczny.

– Rozumiem.

Do pokoju wrócił Lemańczyk.

– Kolega powiedział, że powinni mieć. Zrobi zdjęcia i prześle.

– Świetnie – odparł Drelich. – W takim razie rozłączam się i jutro czekam na kontakt.

– Ale czy to znaczy, że pan pomoże? – upewnił się Cyprian.

– Pogadamy jutro.

Rozłączył się.

Cyprian jeszcze przez chwilę wpatrywał się w ekran, po czym odwrócił się, przenosząc wzrok na Lemańczyka.

– Ja... chciałem pana bardzo przeprosić, że nie przyszedłem z tym wcześniej, ale...

– W takiej sprawie to głównie mogłem i tak. – Stary policjant machnął ręką. – Chodź, poszukamy jakichś kartek.

– Jońciu, masz chwilę? – zapytała Wiktoria.

Nie podnosząc głowy, poklepał trawę obok siebie, dając znak, by usiadła. Zrobiła to i bez pytania sięgnęła po stojącą przed nim otwartą puszkę coli, a gdy ta okazała się pusta, westchnęła ostentacyjnie.

Jonasz uśmiechnął się tylko pod nosem i dopisał kilka słów w notesie. Potem zamknął go, wsunął ołówek w gumową pętelkę i wepchnął notesik do kieszeni. Dopiero wtedy odwrócił się do Wiktorii.

– Zależy, na co ta chwila, skarbie.

Właściwie nie była to prawda, bo czasu miał dużo.

W trwającym w ośrodku ostatnim dniu pełnym zajęć nie uczestniczył z zasady. Z domu musiał wyjść, bo kobiety były w ferworze przygotowywania do uroczystości, a jemu przeszkadzał towarzyszący temu jazgot, który piał się w górę ku sypialniom niczym gorące powietrze.

Przed domem nie miał gdzie usiąść, bo na każdym wolnym miejscu suszyły się barwione na brązowo lniane spodnie i koszule. Dodatkowo Aldona oddelegowała dzieci do pilnowania ich przed bezdomnymi kotami, więc cała ta przestrzeń stała się placem głośnych zabaw.

Zostawało siedzenie pod drzewem, drzemka i nadrobienie codziennych wpisów w notesie. No i oczywiście czekanie na wiadomość od Okulickiego oraz zastanawianie się, kto mógł się nimi interesować i dlaczego. Od wczoraj Piotrek napisał tylko, że jest przełom w sprawie Silesii, więc ma urwanie dupy.

Wiktoria oparła się o pień, wyciągnęła nogi i założyła jedną na drugą. Z pokrowca wyjęła nóż i sięgnęła po pustą puszkę.

– No bo mam taką ciekawą wiadomość, ale chciałabym ją... No wiesz, coś za coś – powiedziała, dźgając puszkę w miejscu, gdzie zaczynał się napis. – A to, myślę, ważna wiadomość. I Kamaza raczej zainteresuje.

– To chyba powinnaś iść z tym do niego, nie?

Wiktoria przewróciła oczami.

– Och, wiesz, jaki on jest – mruknęła. – Z nim to zero zabawy. Powie, że mam powiedzieć, to powiem. I tyle będzie.

Jonasz pokiwał głową i nawet się uśmiechnął.

– No dobra, to co chcesz za tę informację?

Odwróciła się ku niemu i spojrzała z takim wyrazem twarzy, jakby już zgodził się na jej żądania.

– Chodzi o to, żeby mi nie kazał iść pojutrze na te nudy.

– Masz na myśli uroczystość?

Znowu przewróciła oczami i ponownie westchnęła.

– Nooo... Przecież to będzie takie nudne, Jońciu, że ja pierdolę. Jakby kto ślub z pogrzebem pomylił. Ja już wolę w domu posiedzieć.

– To znaczy z Magdą chcesz zostać? – upewnił się Jonasz. – Bo wiesz, że ona najpewniej zostanie i...

– Eee, nie – jęknęła Wiktoria, a ostrze z nieprzyjemnym zgrzytem zagłębiło się w puszkę. – Z nią też nie, bo zaraz będzie „przynieś to, podaj tamto”. Baby w ciąży są pojebane, Jońciu. W życiu.

Jonasz rozłożył ręce.

– No to innego wyjścia chyba raczej nie ma.

– Jest! – Wiktoria poderwała się na kolana i nachyliła nad nim. – Mogłabym się normalnie schować w garażu i poczytać komiksy. Nikt by nie wiedział, że tam zostałam, przecież codziennie...

Urwała, a on powstrzymał uśmiech i dał jej czas na krótkie przemyślenie tego, co może teraz powiedzieć. Bo oczywiście wiedział o jej umowie z Kamazem i porannych sesjach czytelniczych, ale w świadomości dziewczyny to miała być przecież tajemnica.

– No codziennie coś czytam – dokończyła. – I nie chcę tam iść. Mam stać i patrzeć? Już chyba wołałabym, żeby to mnie ktoś zakopał.

Jonasz podrapał się po brodzie, udając, że się zastanawia. W rzeczywistości wiedział, że Kamaz pewnie się zgodzi, chociażby tylko po to, by Wiktoria nie okazywała niezadowolenia na uroczystości. W demonstrowaniu niechęci potrafiła być nad wyraz ostentacyjna, ale poza Kamazem nie było chyba nikogo bardziej oddanego rodzinie.

– Dobra – powiedział w końcu. – Możemy zrobić tak, że ty mi powiesz, a ja porozmawiam z Kamazem i spróbuję go przekonać. Nie obiecuję, że się zgodzi, ale na pewno go poproszę. Co ty na to?

Zmrużyła oczy, jakby próbowała odczytać z twarzy Jonasza, czy nie kłamie. Poruszyła szczęką w lewo i prawo, po czym podniosła puszkę nabitą na nóż.

– Dobra, to plus cola i mówię – stwierdziła.

Jonasz sięgnął za plecy i podał jej trzymaną tam dodatkową puszkę. Postawił przed nią.

– Dawaj.

– No więc chodzi o Wojtka – powiedziała. – Dostał od Zośki numer telefonu, na takiej karteczce.

Jonasz zmarszczył czoło.

– I to jest ta cała sprawa?

– Nie no, czekaj, nie wszystko jeszcze. Zapytałam go, czy już prosił Kamaza o telefon, żeby do niej napisać czy coś.

– No i co on na to?

– Że nie chce – uśmiechnęła się tryumfalnie. Odłożyła nóż, sięgnęła po pełną puszkę i otworzyła ją szybkim ruchem. Syknęło, gdy spod otworu trysnęła piana i pociekła jej po ręce. Wiktoria oblizwała dłoń, zanim upiła pierwszy łyk.

– Ale że co nie chce? – zapytał Jonasz. – Rozmawiać z Kamazem czy dzwonić?

– No tego to już nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Niby nie chce, ale na karteczkę to się gapi. Już kilka razy widziałam.

Jonasz przyglądał jej się przez chwilę, po czym się roześmiał, kręcąc głową.

– No co? – obruszyła się.

– Nic, Wiktoria, tyle że na szpiega to ty się raczej nie nadajesz.

– Ale pogadasz z Kamazem? – upewniła się.

– Pogadam.

Pisnęła z radości i rzuciła mu się na szyję.

– Jesteś super, Jońciu, wiesz? – powiedziała. – Normalnie bym ci...

– Jeśli skończysz to zdanie, to się rozmyślę – ostrzegł.

Wiktoria natychmiast zamknęła usta na niewidzialny zamek i wyrzuciła za siebie widmowy klucz.

Krach jeszcze raz sprawdził adres w wysłanej wiadomości, upewnił się co do klatki i numeru. Gdy wpisał właściwą liczbę na domofonie, rozległ się sygnał dzwonka, a zaraz potem kolejny, otwieranych drzwi. Krasowski pchnął drzwi, wszedł na klatkę i przywołał windę.

Drelich czekał na niego w progu. Cofnął się, wpuszczając go do środka, i zamknął na klucz.

Mieszkanie niedawno remontowano, bo puste ściany lśniły bielą i pachniały farbą, drzwi do wszystkich pomieszczeń były zdemontowane, a zabezpieczone grubą folią meble ustawiono w mniejszym z dwóch pokoi. Podobna folia w formie kotary zasłaniała wejście do łazienki i kuchni.

Drelich urzędował w drugim pokoju, niemal całkiem pustym, jeśli nie liczyć krzesła i dużego drewnianego stołu. Na blacie leżał komputer, stos wydrukowanych kartek, posklejane duże rozpixselowane zdjęcie ze strony Ponderosy, przedstawiające ranczo z lotu ptaka, oraz zeszyt, naostrzony ołówek, strugaczka i gumka. Obok stały tekturowy kubek kawy i butelka wody. Na szerokim parapecie znajdowała się drukarka, a z sufitu zwisała goła żarówka na kablu.

Krach omiótł to wszystko wzrokiem, masując się po krzyżu, po czym podszedł do krzesła i klapnął na nie.

– Dobra – powiedział. – Rozumiem, że coś masz.

– Trochę mam – odpowiedział Drelich. – Ale obawiam się, że na pojutrze niczego sensownego nie wymyślę.

Krach spojrzał na niego zdziwiony.

– Chyba przeskoczyłeś coś ważnego. Dlaczego na pojutrze?

Drelich podrapał się za uchem.

– No tak, wybacz, myślami jestem już dalej – przyznał. – Pojutrze mają uroczystość, która dzieje się poza domem. Nazywają ją odnowieniem ślubów, ale tak naprawdę chodzi o to, że zakopią parę, która im uciekła, i będą ją jakiś czas trzymać pod ziemią, by się „oczyściła”.

– Pogrzeb wojownika, tak? – upewnił się Krach.

– Trochę bardziej radykalna wersja – odparł. – Generalnie robią z tego dużą rodzinną uroczystość, na której będą prawie wszyscy. Plus jest taki, że żona Kozdrasia zostanie wtedy w domu, więc łatwiej można by ją wyciągnąć.

– Rozumiem. No to o co chodzi? O czas? Nie zdążymy się przygotować?

– Nawet nie tyle o czas, choć jego rzeczywiście jest mało – westchnął Drelich. – Skoro Kozdrasie będą osobno, z jednej akcji robią się dwie, które w dodatku trzeba bardzo dobrze zsynchronizować. I to właściwie bez komunikacji.

Podszedł do stołu i wziął do ręki ołówek.

– Spójrz tutaj. – Postukał w rozpixselowane zdjęcie. – Wyjaśnię ci.

Krach sapnął.

– A nie możesz po prostu powiedzieć? – zapytał. – Dopiero usiadłem.

Drelich nie skomentował, ale też nie zaczął tłumaczyć. Stał tylko, patrząc na brodacza i kołysząc wsuniętym między palce ołówkiem. W końcu Krasowski zaklął pod nosem, podniósł się z krzesła i podszedł.

– To jest rancho Ponderosa, całe pięćdziesiąt dwa hektary. – Drelich odwrócił się do stołu i zakreślił w powietrzu koło wokół zdjęcia. – Tu masz dom Kozdrasiów, a tutaj miejsce, gdzie będzie się odbywał rytuał. Zacznijmy od domu i wyprowadzenia żony.

Sięgnął do stosu wydruków. Przewertował je szybko i wyjął kartkę z planem domu, po czym położył ją na zdjęciu.

Krach przyjrzał się grafice.

– To jest prawdziwy plan? – zapytał.

– Tak – potwierdził Drelich. – Naniósłem na niego kilka poprawek na podstawie rysunku, jaki zrobił dla mnie Kozdraś.

– On ci dał te plany?

– Ojciec Izy ma znajomego w nadzorze budowlanym, więc możesz doliczyć flaszkę do kosztów. A teraz się skup. – Wskazał na kartkę. – Na wyprowadzenie żony Kozdrasia miałbym jeszcze jakiś plan, oczywiście zakładając, że faktycznie zostanie tam z minimalną ochroną. Wchodzę wtedy...

– Wchodzisz? – przerwał mu Krach. – To znaczy widzisz się jednak w tej robocie?

Drelich najwyraźniej nie zamierzał składać wyraźnej deklaracji, bo zamiast odpowiedzieć, zaczął zdanie od początku.

– Wchodzę tędy, tędy lub tędy – pokazał na rysunku wszystkie trzy drogi – zależnie od tego, co ustalę z Kozdrasem. Wyłączam po cichu obstawę i wychodzimy. Jeżeli jest jakaś opcja na zapasowe kluczyki do ich aut, to korzystamy z któregoś wozu. Jeśli nie, chowam kobietę tu i idę po samochód zaparkowany... – przesunął kartkę, odsłaniając fragment zdjęcia – ...o tu.

– Nie brzmi skomplikowanie.

– Bo nie jest, o ile żona Kozdrasia będzie siedziała na dole, nie na górze. O resztę już zadbam i nie licząc czekania, to błyskawiczna akcja, nawet bez użycia tasera, jeśli będzie tylko jedna osoba z ochrony. Wchodzę, wyprowadzam kobietę, zabieram, co trzeba zabrać, i wychodzę. Ale przejdźmy teraz do drugiej części. Popatrz.

Jeszcze raz wskazał na dom, a potem na oznaczoną polankę.

– W linii prostej dom i polanka to jakieś osiemset metrów, tyle że tu się zaczyna las, więc liczymy około kilometra. Przekładając na czas ewentualnej reakcji to minimum pięć minut, jeśli nie wezmą wozu. Ale nie zakładam, żeby go wzięli, bo i po co.

Przesunął się tak, by nie zasłaniać światła na omawianym właśnie fragmencie zdjęcia, i wskazał na zakreślone ołówkiem kółeczko.

– Samochodem, tak żeby pozostał niezauważony, dałoby się dojechać dotąd. No, może dotąd. – Wskazał na drugie kółeczko z pytajnikiem. – Ale to zależy od gęstości lasu. To samo z drugiej strony, od pola. Tu niby bliżej i jest polna droga, ale nie wiem, czy drzewa nie zablokują wjazdu i czy auto będzie na widoku. Oba te miejsca są w odległości dwudziestu, trzydziestu metrów od polany. Biegiem przez las, po ciemku, to za duże ryzyko, czyli Kozdraś musiałby się oddalić nieścigany.

– Rozumiem. – Krach skinął głową i podniósł butelkę wody, jak się okazało, jeszcze nieotwartą. – Mogę?

– Tak, mam więcej w kuchni – odparł Drelich i jeszcze raz sięgnął do kartek z wydrukami.

Wygrzebał zdjęcie polanki poznaczone kropkami w trzech kolorach. Dwie niebieskie i zielona znajdowały się przy dłuższym boku dużego białego prostokąta, dwie czarne przy krótszym, a czerwone ustawione w półkolu wypełniały polanę.

– W uroczystości będzie brała udział cała rodzina, czyli około dwudziestu dorosłych osób – wyjaśnił. – Oznaczyłem ich na czerwono. Niebiescy to para, która ma pójść pod ziemię. Czarne to ci dwaj, Jonasz i Kamaz,



a zielona Kozdraś. Oczywiście nie jest pewne, że będą stali dokładnie tak, ale takie wyciągnąłem wnioski z opisu rytuału. Cyprian jest mistrzem ceremonii, więc przez większość czasu będzie w centrum uwagi.

Postukał tępą stroną ołówka w zieloną kropkę i sięgnął po kawę. Upił łyk i przesunął mniejszą kartkę na bok, znowu wracając do głównego zdjęcia.

– Założmy na moment, że w jakiś sposób robimy to przed albo po rytuale, gdy uwaga nie jest skoncentrowana na Kozdrasiu. Niestety będzie boso, w białej lnianej koszuli i spodniach, czyli nawet gdyby mógł się oddalić, to raz, że będzie widoczny z daleka, a dwa, że raczej nie pobiegnie. Rozwazałem nawet opcję, że wchodzi do lasu, powiedzmy, tutaj – wskazał punkt na zdjęciu – gdzie czekają na niego ciemny koc i buty. Ale po pierwsze musiałyby trafić idealnie w ten punkt, a po drugie to absolutnie niedopuszczalne ryzyko, bo właściwie cała odpowiedzialność za skok spoczywa na przerażonym amatorze.

Odłożył ołówek i upił kolejny łyk kawy, patrząc na Kracha.

– Ryzyko wpadki jest bardzo duże – powiedział. – A w tym przypadku niepowodzenie nie wchodzi w grę. I nie mówię tu o stracie zysku, tylko...

– O tym, że jeśli go złapią, dowiedzą się, kto mu pomagał – dokończył za niego Krasowski. – I spokojnie, nie zamierzam narażać ani Izy, ani jej ojca, ani ciebie. Robota albo pewna, albo odpuszczamy.

Drelich milczał przez chwilę, wciąż się w niego wpatrując.

– Czyli odpuszczamy – zdecydował w końcu. – Przynajmniej jeśli chodzi o pojutrze. Mogę pomyśleć nad innymi możliwościami, na później.

Krach usiadł z powrotem, napił się wody i postawił butelkę koło nogi krzesła. Sięgnął po leżący na stole zeszyt, ale zanim go podniósł, spojrzał pytająco i dopiero gdy Drelich skinął głową, zajrzał do środka. Przekartkował go, podczytując niektóre zapiski, po czym zagiął róg trzech kartek.

– To są warianty podejścia? – zapytał.

– Tak, rozpisałem sobie pomysły, ale z każdym jest jakiś poważny problem.

– Zobaczmy... – Krach otworzył na pierwszym zagięciu. – Hm, dywersja... Widzę, że myślałeś o podkładaniu ładunku w ośrodku.

– Cyprian wspomniał o potrzebie remontu kotłowni. Pomyślałem, że dałoby się to wykorzystać. Głośny wybuch oznacza zamieszanie, wszyscy się rozbiegają i wtedy łatwo się oddalić, ale takie rozwiązanie wymaga od Cypriana dyskretnej ucieczki w las, więc odpada. No i chaos to narzędzie

dla profesjonalistów. Działa wtedy, kiedy wszyscy są w panice, a ty jeden wiesz, co robisz. Kozdraś nie wie.

Krach westchnął i przeszedł do kolejnego zagięcia.

– No dobra, a ten? Wygląda na całkiem niegłupi, ale nie dokończyłeś.

– Bo ten wariant potem głupieje – powiedział Drelich, bawiąc się ołówkiem. – Myślałem o tym, żeby zagadać z teściem i ściągnąć na miejsce lokalną policję. Wiesz, jakieś doniesienie o otwartym ogniu w lesie albo coś. Oficjalnie za wszystko w ośrodku odpowiada Kozdraś, więc po prostu zawijają go do wyjaśnienia.

– No, jak dla mnie brzmi sensownie.

– Niestety tylko przez chwilę. Po pierwsze oficjalnie wmieszałbym w to ojca Izy, który musiałby wtajemniczyć kolegów. To dużo ludzi, którzy mogą potem gadać. I ściągnąć cel na moich bliskich.

Odwrócił się i popatrzył na zdjęcie.

– Po drugie do najbliższego domu są tam ze dwa kilometry. Do tego mamy pola, a sama polana otoczona jest laskiem. Kto miałby złożyć doniesienie? Przecież to od razu podejrzane.

Krach otworzył już usta, by odpowiedzieć, ale Drelich nie dał sobie przerwać.

– I wreszcie trzecia rzecz. Wysyłasz tam patrol, dwie osoby, a ich jest dwudziestu. Może nic nie zrobią, ale to, co już o nich wiemy, sugeruje, że wcale nie muszą się zachować grzecznie i spokojnie. Zwłaszcza Kamaz. Tak naprawdę nie mamy pojęcia, co tego faceta motywuje, na czym mu zależy. Wiadomo tylko, że dba o swoich, jest zdolny do zabicia ludzi i nie zależy mu specjalnie na pieniądzach.

– O! – zdziwił się Krach. – A ten ostatni wniosek to niby skąd?

– Zalał główną własną farmę, zamiast ją sprzedać – przypomniał Drelich. – Ktoś, kto spuszcza kilkaset tysięcy w szambie, raczej ma inne priorytety niż pieniądze.

Krasowski otworzył usta, by coś powiedzieć, ale się rozmyślił i postukał palcem w ostatnią zakładkę.

– A tu napisałeś „oddział AT”, ale skreśliłeś. Czemu właściwie?

– Bo przypomniałem sobie, co sam zdecydowałeś po cyrkach dziesięć lat temu w Łodzi: że od policji to już tylko informacje – odparł. – A tu potrzebujemy prawdziwych fachowców, bo na przebierańców to się Jonasz nie nabierze. On w kryminalnym robił, czarnych na akcji pewnie widział kilka razy.

Krach wyjął telefon i zaczął przeglądać zapisane w nim numery.

– Racja – mruknął, nie odrywając wzroku od ekranu. – Swoją drogą jak ich w tej Łodzi nakryli, to myślałem, że więcej głów polecą. Kominiarze nie tylko się wynajmowali, ale sami struktury założyli. Gang policjantów, kurwa ich mać. Jaka nazwa, taki gang. Zresztą to w ogóle był czas skandali. Pamiętasz tę sytuację z ochranianiem Paris Hilton po godzinach? Wstyd normalnie.

Drelich uśmiechnął się pod nosem.

– Ale skoro teraz czegoś szukasz, to rozumiem, że już nie wstyd?

– Dla mnie? Nie. Dla państwa, że tacy goście, w dodatku wyszkoleni, a więcej zarabiają na chałturze u dupy znanej z kasy tatusia i sekstaśmy. O, mam!

Wybrał numer, ale się nie połączył, tylko przeniósł wzrok na Drelicha.

– Kumpel ma w Poznaniu i okolicy kilka klubów – powiedział. – I właśnie były kominiarz u niego za menedżera ochrony robi. Poznałem go, Franek ma na imię, obrotny chłopak, niegłupi. Swoich ludzi dał na bramki, do tego konwoje, obstawa, czasem pojedą coś załatwić. Ostatnio robią też takie akcje jak nasza, tylko zwykle dla zagranicznych podmiotów. Myślę, że to kwestia ustalenia dobrej stawki.

Drelich pokiwał głową. Wiedział, jak to działa.

– No to ilu by trzeba było? – zapytał Krach. – Jak myślisz?

– Jak mamy AT, to najlepiej byłoby zrobić dwa szturmy naraz. Standard przy wejściach to cztery na jeden, więc na dom ze czterech, a na uroczystość...

– Poniosło kolegę, widzę – zaśmiał się Krasowski. – Cztery na jeden? Drelich, ja wiem, że pewnie każdy kominiarz w tym kraju dorabia na boku, ale nie znam aż tylu pewnych. Zresztą rozmawiamy o akcji za dwa dni. Jak dwunastu z jako takim rynsztunkiem załatwię na pojutrze, to i tak będzie pierdolony cud. Za który w dodatku zabulę jak za zboże. Więc czarni tylko na uroczystość, a resztę robisz sam, bo nikogo lepszego nie ma. To jak? Szybka piłka. Dzwonić?

Drelich rozmasował skronie, zerknął na zegarek, w końcu skinął głową.

– Dzwon – odparł, zastanawiając się nad wszelkimi wadami tego rozwiązania. Bo zalety, zakładając, że będą mieli do czynienia z fachowcami, były oczywiste.

Krach podniósł się i wybrał numer, ale zaraz się rozłączył.

– Ty, a mówiłeś, że w sekcie są też dzieci – przypomniał. – Gdzie one wtedy będą?

– Razem z resztą na uroczystości.

– Na tym zakopywaniu ludzi żywcem?! Tam, gdzie chcesz, żeby wjechali czarni z bronią i darcie ryja?

– Tak.

– A jeśli...

– Jeśli będziemy mieli z kim gadać, to wtedy będziemy gadać – przerwał mu Drelich, po czym wyjął jedną z kartek i przysunął sobie zwolnione przez Kracha krzesło. – Zadzwoń z kuchni, a ja zrobię ci listę rzeczy potrzebnych do mojej części. I muszę mieć je na dzisiaj, bo w takiej sytuacji w nocy jadę do Gronowa.

– Na dzisiaj? Nie przesadzasz?

Drelich odwrócił głowę.

– Gdybym chciał na jutro, wziąłbym z Allegro. Nie zamawiam niczego nietypowego.

Krasowski, który właśnie wybrał numer i przyłożył telefon do ucha, pokazał mu środkowy palec, po czym wyszedł z pokoju.

Drelich wyruszył z Warszawy koło dwudziestej drugiej. Tuż za miastem zadzwonił do Nikodema i tym razem udało im się zgrać. Pogaduchy na temat obozowych doświadczeń młodego zajęły im przeszło godzinę, aż do Rawy Mazowieckiej, a potem, gdzieś na wysokości Piotrkowa, zadzwonił Krach, by potwierdzić, że ma dwunastu ludzi i właśnie jest na etapie organizowania im broni.

Okolo północy odezwała się Iza. Najpewniej znowu na spacerze, bo słyszał w tle szum wiatru i muzykę z pobliskiego ogródka piwnego.

– Dzwonił ojciec – powiedziała. – Prosił, żeby ci przekazać, że zostawia otwarte drzwi i furtkę, a pościelone masz w gościnnym. Pyta, czy wpadniesz wcześniej, czy od razu jedziesz na miejsce.

– Zostawię auto tylko – odparł Drelich, którego trochę bawiła ta pełna ostentacji gra w ciuciubabkę byłego teścia. Przecież Lemańczyk mógł zadzwonić bezpośrednio do niego. – Jak Zośka?

Nie odpowiedziała od razu, jakby zastanawiała się, czy chce mu zawracać głowę, czy jednak nie. Najwyraźniej wybrała to drugie.

– Bez zmian – stwierdziła.

Nie drażył. W kilku słowach opowiedział jej o rozmowie z Nikodemem, a potem się rozłączył i spróbował znaleźć jakąś sensowną stację, ale wszystkie denerwowały go częstotliwością wrzucania reklamowych bloków. W końcu odpuścił i aż do obwodnicy Częstochowy powtarzał sobie w głowie plan na tę noc i jutrzejszy dzień. Przebieżka po strunach, pomyślał w którymś momencie z rozbawieniem. Spodobało mu się to porównanie.

Na miejsce dotarł przed drugą. Zostawił samochód na chodniku przy domu Lemańczyka, z bagażnika wyjął plecak i czarną dzinsową kurtkę. Naciągnął na głowę kaptur, poprawił wiązania w butach i ruszył przez miasto w stronę Ponderosy.

Szedł szybkim krokiem, bo noc była dość chłodna. Za miastem skręcił w prawo, by obejść ranczo szerokim łukiem przez las. Gdyby wybrał normalną drogę, w stronę bramy i dalej prosto, mógłby być w zagajniku

w ciągu kwadransa. Wymagałoby to jednak przejścia po odkrytym terenie, widocznym z okien, a on wolał nie ryzykować, skoro miał czas. Przy okazji zamierzał się rozejrzeć za jakąś alternatywną drogą.

Gdy spomiędzy drzew widział już otwartą przestrzeń, z plecaka wyjął niewielką lunetę noktowizyjną. Uważnie przyjrzał się okolicy, a potem podkraść się do krawędzi polany, żeby obejrzeć dekoracje.

Interesowały go przede wszystkim te wbite w ziemię albo zawieszane nisko, zwłaszcza pod kątem potencjalnych linek, jak również wszelkie dołki, wgłębienia i gęste krzaki na skraju lasu, które z jednej strony mogłyby stanowić osłonę i kryjówkę dla antyterrorystów, ale z drugiej utrudnić im działanie.

Obszedł starannie całą polanę, trzymając się linii drzew, a potem wybrał dwa z nich. Wspiął się na nie i wysoko zamocował trytytkami kamierki szpiegowskie, podobne do tych, których użył w Katowicach, choć tym razem podpiął do nich solidne powerbanki.

Mógł liczyć jedynie na maksymalnie dziesięć godzin pracy ciągłej, ale więcej nie potrzebował. Zaprogramował je tak, by działały w energooszczędnym trybie czuwania i wybudziły się tylko na cztery godziny liczone od dziewiętnastej.

Sprawdził w telefonie. Obecnie kamery dawały ledwie czytelny obraz, ale przy świetle pochodni powinno być w porządku.

Z dołu upewnił się jeszcze, czy niczego nie widać, a następnie zerknął na zegarek. Świt zapowiedziany był na czwartą czterdzieści, co oznaczało, że została mu mniej więcej godzina.

Oddalił się tą samą drogą, którą przyszedł, ale w połowie trasy skręcił w prawo i podkraść się do ośrodka. Zanim się zbliżył, przyjrzał się wszystkiemu przez lunetę, a potem skulony podbiegł do tylnej ściany budynku. Z plecaka wyjął zawiniątko i małą czarną poduszkę. Wepchnął je głęboko do ujścia rynny i upewnił się, że siedzą mocno, ale w razie potrzeby dają się wyjąć.

Ostatnim przystankiem był dom Kozdrasiów, tu jednak nie zamierzał ryzykować i za bardzo się zbliżać. Nie było mu to zresztą szczególnie potrzebne. Obejrzał go więc sobie z bezpiecznej odległości i zanotował kilka drobiazgów.

Do Lemańczyka dotarł przed wpół do czwartej. Zgodnie z zapowiedzią furtka i drzwi wejściowe były otwarte, a łóżko w gościnnym pościelone.

Dodatkowo na oparciu krzesła wisiał świeży ręcznik, na stole stała karafka z wodą, a na talerzyku czekała kanapka zawinięta w folię.

Drelich uśmiechnął się na ten widok, ale nie czuł głodu. Napił się wody, rozebrał i położył się spać.

Przynajmniej je normalnie, pomyślała Iza na widok pustego talerza i kubka po śniadaniu w zlewie. Na wszelki wypadek sprawdziła jeszcze śmietnik, a potem nastawiła wodę na kawę i zaczęła rozpakowywać zakupy.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak się męczyła, siedząc w domu, jak wczoraj. Przez cały dzień właściwie się mijały, a Zośka zbywała każdą próbę odezwania się do niej. Od pewnego momentu zresztą chodziła do łazienki czy kuchni, tylko upewniwszy się, że Iza siedzi w salonie albo wychodzi z domu. Wtedy też kilka razy grzebała po szafkach i szufladach, nawet ich potem nie domykając. Jakby chciała, żeby matka wiedziała.

No ale przynajmniej nie urządzała jakichś pojebanych strajków głodowych.

Wieczorem Iza podjęła jeszcze jedną próbę rozmowy z Zośką, ale ta, choć nie wyrzuciła jej z pokoju, odzywała się tylko półsłówkami, wpatrzona w okno. Siedziała przy tym wyprostowana, usta miała ściągnięte i po prostu brała na przeczekanie te wszystkie wyjaśnienia, tłumaczenia czy zapewnienia o dobrej woli. Nie próbowała już nawet dopytywać o policję czy łapać matki za słówka. Po prostu czekała cierpliwie, aż ta wyjdzie. Inna rzecz, że w rozmowie nie padło nic nowego, bo Iza wciąż nie była pewna, czy powiedzieć Zośce o drastycznych szczegółach, jakie usłyszała od Cypriana. Z jednej strony to mogło pomóc, z drugiej bała się zafundować córce traumę. Chciała zapytać o radę jej terapeutkę, ale ta, wbrew zapowiedziom, nie podesłała niczego ani sama nie odbierała. Iza została z tym wszystkim sama, zamknięta w czterech ścianach. Przynajmniej przez kolejne dni.

Poczuła w kieszeni wibrację. Odstawiła mleko do lodówki i najpierw odruchowo wyjęła swój telefon, a dopiero po chwili Zośki wepchnięty do drugiej kieszeni. Zobaczyła powiadomienie z obcego numeru, kolejne, bo pierwsze przyszło już wczoraj wieczorem, a drugie rano koło szóstej.

Przez dobrą minutę wpatrywała się w ekran, ale w końcu schowała urządzenie do kieszeni. Pamiętała dobrze kod, który przedwczoraj podał jej



Drelich, czuła jednak wewnętrzną blokadę przed wykorzystaniem go. Bo to było trochę jak z historią o jabłku i grzechu – gdy siedziała w samochodzie z Cyprianem i włączała tamten plik, nie wiedziała, co usłyszy, nie mogła więc wiedzieć, że przekroczy w ten sposób intymną granicę Zośki. Teraz natomiast, gdyby to zrobiła, byłoby to w pełni świadome. I choć była niemal pewna, że to wiadomości od rodziny, nadal nie umiała się przełamać.

Przyrzędziła sobie lekkie śniadanie, bo z tego wszystkiego zupełnie zapomniała, żeby samej coś jeść. Odrzuciła dwa połączenia od Krystiana, za drugim razem dając mu znać, że oddzwoni później, chociaż w ogóle nie miała ochoty z nim rozmawiać. Wciąż męczyło ją to, jak wiele mu wyjawić. Z jednej strony czuła bowiem, że powinien o tym wiedzieć, uczestniczyć w tak ważnej sprawie w życiu jej i Zośki. Z drugiej znowu miała to samo wrażenie co na terapii – że z każdą kwestią może dojść tylko do pewnego poziomu. Trochę jak w artykułach w sieci ukrytych za paywallem. Czytasz fragment, ale reszta jest zasłonięta, bo tam już zaczynał się Drelich, jego praca, kontakty, wszystko, co się z tym wiązało. Pierdolona tajemnica!

Włączyła telewizor, odpaliła aplikację i wyszukała odcinek, na którym jeszcze w pociągu skończyła oglądać Parks and Recreation. Puściła go, zagryzając mniej i bardziej zabawne żarty kanapkami z szynką i serem, ale te trzy wiadomości w telefonie Zośki cały czas wypalały jej dziurę w kieszeni.

Może to po prostu kontrolne pytanie, czy już dojechała, jak się ma i jak stryj? A może coś poważniejszego? W sieci czytała, że gdy ofiara sekty wychodzi z zasięgu, często następuje szarpnięcie za smycz – manipulacja, groźba, coś, co przypomina ofierze, że wciąż jest pod kontrolą. Czy Zośka była z nimi na tym etapie?

Gdy w pewnym momencie już sięgała po aparat, usłyszała, że córka wychodzi z pokoju. Zaraz potem młoda wychyliła głowę zza winkła.

– Papier toaletowy się kończy – rzuciła beznamiętnie i znowu się schowała.

Iza westchnęła ciężko i odchyliła się na kanapie. Dobijał ją ten impas, w którym tkwiła, ta beczynność i bezsilność. Najchętniej już teraz pogadałaby o tym z Guzik, ale wiedziała, że to niemożliwe. Nie, dopóki Drelich z Krachem szykowali akcję i większość informacji musiała pozostać ukryta.

Telefon Zośki znowu zawibrował, choć tym razem nie z powodu esemesa, a z informacją o aktualizacji. Mimo to Iza znowu wpatrywała się w niego dobre dwie minuty, w głowie powtarzając zapamiętane cyfry kodu. W końcu nie wytrzymała, poszła do przedpokoju, włożyła buty, wzięła portfel i klucze.

– Idę po papier! – zawołała. – Coś jeszcze chcesz?

Nie doczekała się odpowiedzi, więc wyszła z mieszkania i zamknęła je na trzeci, dodatkowy zamek. Zbiegła po schodach i szybkim krokiem ruszyła w stronę pobliskiej Biedronki, tuż za blokiem jednak skręciła do niewielkiego parku i usiadła na pierwszej wolnej ławce. Wyjęła telefon Zośki z kieszeni, w ostatniej chwili powstrzymując idiotyczny, ale silny odruch rozejrzenia się na wszystkie strony.

Wybudziła urządzenie i po krótkim wahaniu wpisała kod. Za pierwszym razem się pomyliła. Zaklęła pod nosem i wolno dotykając odpowiednich cyfr, wymruczała:

– Cztery-siedem-cztery-trzy-trzy-jeden.

Udało się. Szybko i już bez wahania otworzyła pierwszą z trzech wiadomości:

„Hej tu Seba pisze z nowego numeru bo na tamten chyba dalas mi bana chce tylko pogadac odezwij sie pls”. Drugą był animowany szczeniaczek z wielkimi załzawionymi oczami, który podnosił tabliczkę z napisem „Please”, a trzecią znowu kilka słów: „A wgl to gadalem z Kinia i powiedziala ze rozumie i jest ok”.

Iza potrzebowała kilku sekund, by załapać, o co chodzi. Dopiero gdy przypomniała sobie wyznanie Zośki z nagrania, skojarzyła imię i sytuację. I wtedy nagle dotarło do niej, że może to było właśnie rozwiązanie, którego potrzebowała! W końcu wszystko zaczęło się od tej cholernej sprawy z Kingą – przecież to rozpacz Zośki i jej wyrzuty sumienia ostatecznie pchnęły ją w ręce Kamaza. Gdyby teraz dziewczyny się pogodziły, mogłoby to choć częściowo rozwiązać problem!

Nie zastanawiając się dłużej, przejrzała listę kontaktów Zośki. Znalazła Kinie, położyła telefon na ławce i wyjęła swój, by przepisać numer. Wybrała „Połącz” i odczekała trzy sygnały.

– Halo? – Usłyszała w słuchawce głos przyjaciółki córki i jakieś wesołe dziecięce krzyki w tle.

– Cześć, Kinia, z tej strony mama Zosi. Przepraszam, że tak do ciebie dzwonię, ale...

Miała wrażenie, że krzyki ustały, więc spojrzała na wyświetlacz i dostrzegła, że połączenie zostało przerwane. Szybko wybrała numer ponownie, ale dowiedziała się, że abonent, do którego dzwoni, ma wyłączony telefon albo jest poza zasięgiem.

– Kurwa – warknęła, ściskając komórkę i ledwie się powstrzymując, by nie cisnąć nią w krzaki. – Kurwa mać!

Telefon od Lemańczyka Cyprian ukrył w starym nadpróchniałym karmniku, wiszącym na drzewie nieopodal lewej ściany domu. To było pierwsze miejsce, o którym pomyślał – lata temu chował tam przed rodzicami papierosy i pierwsze skręty.

Dostanie się tam o dowolnej porze dnia było w zasadzie proste, choć mimo wszystko wymagało ostrożności, by nikt nie zwrócił na niego uwagi. Zachodziła jednak obawa, że karmnik – naprawdę stary i zniszczony – w końcu się rozsypie.

Cyprian wyjął aparat niedługo po śniadaniu, gdy Kamaz i pozostali prowadzący zajęcia udali się do ośrodka, a reszta rodziny zajęła się swoimi zadaniami. On zapowiedział, że zajmie się wyceną przyszłych remontów, co miało tłumaczyć jego obecność w zamkniętym skrzydle.

Od karmnika do recepcji ośrodka było kilkaset metrów, ale świadomość, że w środku dnia paraduje z nielegalnym telefonem, podziała na niego tak, że gdy już dotarł na miejsce, oparł się o kontuar i poprosił o wodę oraz coś przeciwbólowego.

Pan Leszek przyjrzał mu się z troską, po czym poszedł do swojej kanciapki i wrócił z ciśnieniomierzem.

– Pan da rękę – powiedział. – Takich rzeczy nie wolno lekceważyć.

Cyprian potrząsnął głową.

– Wezmę tylko klucz do jakiegoś wolnego pokoju – odezwał się cicho, upewniając się wcześniej, że w holu nie ma nikogo z rodziny. – W domu zgiełk taki, przespać się muszę.

Dozorca wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale musiał przypomnieć sobie wczorajszą rozmowę, bo odłożył ciśnieniomierz i odwrócił się do tablicy z kluczami. Wybrał jeden i położył na blacie.

– Proszę. Tu, na końcu korytarza jest. Tam ma pan wodę, bo to inny pion. I w tym nawet pościel jest ubrana.

Chyba zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo, bo uciekł wzrokiem na bok, jakby już szukał w głowie jakiegoś wyjaśnienia. Cyprian jednak bez słowa wziął klucz i odsunął się od kontuaru.

– Jakby kto pytał, to sprawdzam pionowy wodny i kotłownię – rzucił jeszcze.

– Sie wie.

Znalazł właściwy pokój i wszedł do środka. Zamknął drzwi na klucz, szybko zasłonił kotary, a w łazience odkręcił wodę. Dopiero wtedy usiadł na łóżku i trzęsącymi się rękami wyjął telefon z kieszeni, a następnie z woreczka. Włączył i czekał, wpatrzony w ekran. W końcu urządzenie się uruchomiło i złapało sieć. W skrzynce kontaktowej był tylko jeden numer.

Wybrał go i odczekał dwa sygnały.

– Tak? – Usłyszał w słuchawce.

Przełknął ślinę.

– To ja – powiedział.

– Upewniłeś się, że możesz rozmawiać bezpiecznie? – zapytał Drelich. – Co to za szum?

– Woda pod prysznicem. Jestem w ośrodku, sam. Oficjalnie robię obchód i sprawdzam rzeczy do remontu. Wszyscy są zajęci.

– Dobrze – odpowiedział Drelich, a potem zrobił krótką pauzę. – To teraz się skup. Po pierwsze potwierdzam, że podejmujemy się działania. Jeżeli zostaną spełnione wszystkie niezbędne warunki, akcja nastąpi jutro, podczas waszej uroczystości. Jeżeli nie zostaną, musimy być w kontakcie, bo będę szukał dogodnej okazji. Rozumiesz?

– Nie do końca – przyznał Cyprian. – Co to znaczy „zostaną spełnione niezbędne warunki”?

– Przede wszystkim to, że twoja żona zostanie w domu, na dole, i że będzie pilnowana przez jedną, góra dwie osoby – wyjaśnił Drelich.

– A jeśli będzie ich więcej?

– Wtedy warunki nie zostaną spełnione. Nie mamy czasu na rozmowę o oczywistościach. Umiesz wykręcić gniazdko?

– Takie w ścianie? Tak.

– Świetnie, to ułatwi zadanie. Teraz się skup. W odpływie rynny przy lewym tylnym rogu ośrodka jest umieszczona niewielka paczka. Zabierz ją stamtąd dyskretnie. Masz w niej kilka bardzo ważnych przedmiotów. To, co powiem teraz, musisz uważnie zapamiętać i powtórzyć Magdzie, bo od tego zależy powodzenie akcji. Rozumiesz?

– Tak. Poczekaj...

Wstał i mocniej dociągnął kotarę, a potem upewnił się, że woda nie zalewa łazienki. Wrócił na miejsce.

– Mów.

– Wszystko w porządku?

– Tak, mów.

– Zatem w woreczku znajduje się specjalny kontakt i śrubokręt. W kontakcie jest umieszczone urządzenie podsłuchowe z kartą SIM, które reaguje na dźwięk i łączy się bezpośrednio z moim telefonem. Jest sprawdzone, więc wystarczy, że dobrze je podepniesz, a będzie działało. Montujesz je już dzisiaj, w waszej sypialni. Jutro, jak tylko się dowiecie, kto zostaje z Magdą w domu i o której reszta sobie pójdzie, wchodzicie do sypialni pod byle pretekstem, stajecie pół metra przed kontaktem i podajecie mi te informacje. Rozumiesz?

– Tak.

– Telefon w domu to za duże ryzyko, dlatego zostawisz go w kryjówce i już nie będziemy z niego korzystać. Od tej pory tylko wy nadajecie komunikaty przez kontakt. W razie niebezpieczeństwa wystarczy, że krzykniecie.

– A jeśli coś się zatnie i nie dostaniesz wiadomości?

– Wtedy nie zostaną spełnione warunki i nic się nie stanie – odparł spokojnie Drelich. Tak spokojnie, że gdyby ktoś powiedział Cyprianowi, że rozmawia z telefonicznym botem, wcale by się nie zdziwił. – Mogę przejść dalej?

– Tak, mów.

– W woreczku masz również pojemnik z bezprzewodową słuchawką douszną i coś na kształt indiańskiej ozdoby z okiem – kontynuował Drelich. – Ozdoba jest tak naprawdę małą kamerą z kartą SIM. Oba te przedmioty są dla Magdy. Słuchawkę bez trudu ukryje w uchu, ale niech koniecznie przykryje je włosami. Zanim włoży, trzeba ją włączyć, przytrzymując jedyny przycisk. Usłyszy wtedy komunikat, że urządzenie jest włączone, a potem drugi, gdy połączy się z moim mikrofonem. Kamere włącza się w bardzo podobny sposób, też jednym przyciskiem. Czy to jest zrozumiałe?

– Nie jestem debilem – mruknął Cyprian.

Drelich nie skomentował.

– W czasie akcji Magda musi być na dole, na kanapie – tłumaczył dalej. – Dokładnie na krótszym odcinku narożnika, tak aby przed sobą miała kuchnię. Zapamiętasz?

– Tak, kurwa, zapamiętam. Na razie nie mówisz niczego trudnego.

Zapieкло go w gardle, gdy przeklął, więc rozmasował je delikatnie.

– Słuchawkę powinna założyć dyskretnie, gdy już wszyscy sobie pójdą, najlepiej w łazience – ciągnął Drelich. – Jest naładowana, czas pracy baterii to kilka godzin, więc nie będzie problemu. To samo niech zrobi z kamerą. Niech ją trzyma jak talizman. O ile wolno wam mieć takie rzeczy.

– Zrozumiałem. I tak, wolno. Przekażę jej.

– I wyczul ją, proszę, że gdy usłyszysz mnie w słuchawce, musi zachować spokój, nie może się do mnie odzywać ani nawet skinąć głową. Ma tylko wykonywać polecenia, które jej przekażę.

Cyprian natychmiast pomyślał o tym, jak Magda zachowywała się w ostatnich dniach. Jak poradziła sobie z informacją o Klarze oraz Igorze i w jaki sposób rozmawiała z nim wtedy w nocy i następnego dnia.

– Myślę, że da sobie radę – stwierdził.

– Dobrze. – Drelich odchrząknął i przez kilka sekund w telefonie słychać było wyłącznie szelest. – To teraz przejdźmy do następnej części. Dowody i dokumenty własności. Gdzie się znajdują?

– Przekażę je dopiero... – zaczął Cyprian, ale Drelich nie dał mu dokończyć.

– Bez ciebie i tak są gównem, prawda? – zauważył. – Zresztą jeżeli znajdują się poza domem, w bezpiecznej odległości, to w porządku, trzymaj je w tajemnicy. Ale jeśli są w domu, to nie możemy pozwolić sobie na ryzyko, byście ty lub Magda mieli je w czasie akcji.

– Są w gabinecie, w szafce zamkniętej na klucz. – Cyprian przerwał, by się zastanowić, czy w pokoju jest więcej niż jedna taka szafka, ale uznał, że nie. – A dysk w komputerze pod biurkiem. Muszę go dopiero wykręcić, ale można to zrobić palcami.

– Czy gabinet jest zamykany na klucz? Jeśli tak, to jaki ma zamek? Zwykły czy patentowy?

– Tak, jest zamykany – odparł. – To zwykły zamek, ale mam do niego zapasowy klucz.

– Do szafki też?

– Nie, do szafki nie. Ale tam na pewno jest zwykły zamek, tandetny taki.

– Dobrze, poradzę sobie. Dysku nie wykręcaj.

Cyprian miał wrażenie, że słyszy, jak Drelich coś notuje, i pomyślał o wczorajszej rozmowie na wideo. Nagle uświadomił sobie coś, co powinno być przecież oczywiste, ale do tej pory jakoś mu umykało. Drelich cały czas

mówił o sobie. On sobie poradzi, jego głos usłyszy Magda w słuchawce, to on zostawił przesyłkę. Kim ten facet jest, do kurwy nędzy?

Zapiekle go w gardle.

– Komputer ma jakąś niestandardową obudowę? – zapytał Drelich.

– Nie, zwyczajny blaszak.

– Dobrze, zatem klucz do gabinetu zostaw tam, skąd zabierzesz paczkę. Zabezpiecz poduszczyką, która tam jest, żeby nie wypadł, a najlepiej załatw odbiór i nadanie za jednym zamachem – powiedział Drelich, po czym przerwał i milczał przez kilkanaście sekund, jakby się nad czymś zastanawiał. – OK, jeszcze jedno. Czy dziś lub jutro będziesz miał dostęp do tego pomieszczenia i czy istnieje szansa, byś zostawił w nim niedomknięte okno? W sensie nie uchylone, tylko zabezpieczone tak, by samo się nie otworzyło.

– Dostęp do gabinetu będę miał, bo Jonasz chciał, bym pomógł mu szukać czegoś o Sobieradach, ale nie wiem, czy uda się uchylić okno. To sypialnia Kamaza, więc...

– Jeśli się nie uda, to trudno, wejdę od innej strony – przerwał mu Drelich. – W każdym razie nie ryzykuj specjalnie, ale jakby się udało, niech ta informacja również znajdzie się w raporcie do gniazdka.

– Dobrze.

– Klucz do drzwi wejściowych też masz?

– Nie. – Cyprian złapał się na tym, że potrząsa głową, i z jakiegoś powodu bardzo go to ubawiło. – Poza tym i tak nic by to nie dało, bo albo w ogóle będzie otwarte, albo klucz będzie w zamku z drugiej strony.

Tym razem Drelich nie odzywał się tak długo, że Cyprian aż zerknął, by się upewnić, czy wciąż rozmawiają. Ale połączenie trwało, zasięg sieci też się nie zmienił.

– Niezależnie od tego, czy uda się z gabinetem czy nie, musicie zostawić otwarte okno w którejś sypialni – powiedział w końcu Drelich.

– We wszystkich będą otwarte albo uchylone, zawsze wietrzymy na noc, bo potem jest straszny zaduch.

– Świetnie. Sypialnie nie są zamykane na klucz?

– Nie.

W słuchawce rozległ się szelest przewracanych kartek.

– Zatem skoro sprawę Magdy i dowodów mamy już załatwioną, czas na ciebie – oznajmił Drelich. – Czy od wczoraj coś się zmieniło w planach związanych z rytuałem?



- Nie. I raczej się nie zmieni.
- Dobrze, zatem teraz słuchaj uważnie, a potem powtórzymy sobie całość.

Cyprian zamknął oczy i skupił się na słuchaniu.

Około szesnastej w biurze Kracha zjawiała się Sylwia. Najpierw ją usłyszał, jak wita się z sekretarką i pyta, czy prezes u siebie. Po chwili otworzyła drzwi, popchnęła je biodrem i weszła pewnym krokiem, szeroko uśmiechnięta.

– Nie wiem, co akurat robisz – powiedziała, stając w progu i podnosząc trzymane w rękach papierowe torby – ale jeśli to coś, co przeszkodzi ci zjeść ze mną obiad, to chyba jesteś pracoholikiem.

Wstał zza biurka, próbując się przy tym nie skrzywić. Plecy trochę mu jeszcze doskwierały, ale już nie tak, by nie mógł trzymać fasonu, zwłaszcza w takiej sytuacji. Uśmiechnął się szeroko i uprzejmym gestem wskazał na zestaw wypoczynkowy.

– Są rzeczy ważne i ważniejsze – odparł i już ruszył w stronę drzwi wejściowych, by je zamknąć, gdy leżący na biurku telefon zawibrował. Na wyświetlaczu pojawiła się literka D oznaczająca numer Drelicha zapisany na tę akcję. Połączenie przychodziło na drugą, tymczasową kartę SIM.

Sylwia, pochylona akurat nad ławą, odwróciła się tylko i dmuchnęła w opadający jej na twarz kosmyk włosów.

– Jak krótko, to odbierz – uśmiechnęła się. – Jak długo, to jem bez ciebie.

– Krótko, ale ważne – powiedział. Sięgnął po telefon i już chciał poprosić, by na chwilę wyszła, ale uznał, że nie chce stawiać jej w tak kłopotliwej sytuacji. Zdążył już zauważyć na pudełkach naklejki z logo ich ulubionej meksykańskiej restauracji La Sirena, co oznaczało, że przywiozła jedzenie aż ze Śródmieścia. Nie chciał w żaden sposób psuć tego gestu. – To zaraz wracam, dobrze?

– Byle szybko.

Mijając Sylwię, objął ją na moment i pocałował w policzek, po czym przeszedł do pomieszczenia obok, gdzie siedziała sekretarka. Wobec niej nie miał skrpułów i grzecznie wyprosił ją na korytarz. Drelich już zrezygnował, ale zaraz pojawiła się wiadomość: „oddzwoń”. Zrobił to, gdy tylko za sekretarką zamknęły się drzwi.

- Jak sytuacja? – zapytał bez zbędnych wstępów.
- Myślę, że z mojej strony wszystko jest gotowe – powiedział Drelich. – Teren sprawdzony, przesyłka odebrana. Teraz trwają uroczystości żegnania kursantów i wszyscy wyglądają, jakby świetnie się bawili. Nie wiem jeszcze, czy Cyprianowi uda się podłączyć podsłuch, bo jak nie, będę musiał kombinować inaczej, ale poza tym w porządku. Jak u ciebie?
- Też ogarnięte. Rozmawiałem wczoraj z Frankiem. Mówi, że robili już takie akcje na niedoborze ludzi i że nie przewiduje problemów.
- Podałeś mu szczegóły?
- Jutro. Wieczorem będę w Opolu. Ja dojadę tam z samego rana i będziemy gadać.
- Czyli zdecydowałeś, że angażujesz się osobiście?
- Tak. – Krach wychylił się lekko i zerknął przez uchylone drzwi na odbicie w telewizorze, by upewnić się, że Sylwia wciąż siedzi przy ławie. – Od razu po akcji chcę przejąć tę dwójkę. Żeby nie było...
- ...problemu jak ostatnio, jasne. Coś nowego w tej drugiej sprawie tak w ogóle? Jakies tropy?
- Tak i nie. Według kontaktów Bobiego policja niby tam kogoś aresztowała i mówią o przełomie, ale moje wtyki na razie siedzą cicho. W wolnej chwili zadzwonię, dopytam. Teraz Sylwia wpadła, obiadjemy.
- OK, to jeszcze dwie sprawy i nie przeszkadzam – powiedział Drelich. – Zaraz wyślę ci link do widoku na polanę. Na razie to czarny ekran, bo kamera ma ustawiony timer na dziewiętnastą i będzie nadawać dziś i jutro po mniej więcej cztery godziny. Czarni mogą sobie sprawdzić przed akcją, czy ktokolwiek jest uzbrojony, i obejrzeć wcześniej polanę. Pod drugim linkiem będą wszystkie notatki, jakie zrobiłem, odnośnie do zagęszczenia drzew, możliwych kryjówek i niebezpieczeństw. Poza tym musisz ich koniecznie uczulić na dwie kwestie...
- Niech zgadnę. – Krach nieco zniecierpliwiony zerknął na zegarek – To jest ten etap, kiedy mówię im, że na przyjęciu będą małe dzieci? I pewnie jeszcze, że wielkolud może być jebnięty, a wszyscy go tam słuchają? Spokojnie, Franek już wszystko wie. Mówi, że nie lubi dzieci.
- Drelich się zaśmiał.
- Dobra, jak wszystko wiesz, to smacznego – rzucił. – A jutro, jeśli to możliwe, chciałbym mieć waszą odprawę na dyskretnym odsłuchu i w razie czego poproszę, byś coś przekazał. Muszę też wiedzieć, jak i którądy

zaplanują podejście. A, no i przydałoby się słyszeć, o czym będą gadać przed akcją.

– A ty myślisz, że ja ich na losowy, nieprzygotowany nocleg wysłałem? – zaśmiał się Krach. – Drelich, ja nie traktuję ciebie jak amatora i w drugą stronę tylko o to samo proszę. W kontakcie.

Rozłączył się i wrócił do gabinetu, w progu prawie zderzając się z Sylwią.

– Masz to gdzie podgrzać? – zapytała, wyciągając do niego dwa papierowe talerze. – Na zimno nie jest aż tak dobre.

Dopiero gdy zgasili światło i położyli się do łóżka, Cyprian uświadomił sobie coś, czego ani Drelich, ani on nie wzięli pod uwagę. W nocy jest ciemno. Czyli całej tej cholernej wymiany gniazdka będzie musiał dokonać trzęsącymi się, spoconymi dłońmi, przy włączonych bezpiecznikach i w dodatku zupełnie na ślepo!

Ta myśl sprawiła, że dostał kolejnego tego dnia ataku paniki. Ten wcześniejszy, gdy niósł paczkę do domu, dał radę opanować, ale teraz czuł, że się nie uda. Miał wrażenie, że traci władzę nad ciałem, że płuca i krtań mu się zaciskają, a mózg zalewają fale czarnych myśli. Jedne darły się w jego głowie, że to niemożliwe, że się nie uda, że i tak umrze, umrą oboje, inne zamieniły się w makabryczne obrazy i dźwięki: zamykającą się trumnę, sypiącą się na nią ziemię, napuchnięte ciało matki, uśmiechniętą, skatowaną Aldonę, przerażoną Klarę z pręgą na szyi, kierującą do Kamaza niewypowiedzianą prośbę.

Dusił się, nie mogąc nabrać tchu, prężył niezdolny do zgięcia choćby palca. Kołdra miażdżyła go, zgniatała jak hydrauliczna prasa, a dotyk Magdy próbującej go uspokoić był bolesny niczym cięcie noża.

Jutro będziesz wolny, próbował sobie wmówić, przekrzyczeć chaos w głowie. Jutro zacznie się nowe życie!

Ale między jutrem a dziś było to pierdolone gniazdko!

Tym razem po przekleństwie prawie nie poczuł pieczenia, za to działanie Magdy, wyciszające szeptem i głaskaniem, z czasem zaczęło przynosić efekty. Powoli się uspokajał.

Najpierw tylko na tyle, by nabrać tchu, ale z każdą chwilą coraz bardziej czuł, że odzyskuje kontrolę nad ciałem i myślami. Stopniowo docierało do niego, że skoro dziś, na pożegnaniu kursantów, potrafił tak świetnie zachować pozory i udawać, że dobrze się bawi, skoro Kamaz nawet przez moment nie przyglądał mu się podejrzliwie podczas rozmowy o rytuale, to chyba wciąż mieli szanse. Poza tym Magda świetnie się trzymała, dużo lepiej niż on, i nikt ich raczej o nic nie podejrzewał, a plan Drelicha, który

jej streścił, brzmiał całkiem przekonująco. Ryzykownie, jasna sprawa, ale realnie. Naprawdę mogło się udać.

Usiadł, a potem od razu wstał. Dwa automatyczne ruchy, trochę jak wtedy, gdy wymykał się w nocy do Izy i miał wrażenie, że steruje swoim ciałem niczym maszyną. Odwrócił się w stronę łóżka, rozpiął pokrowiec materaca i wyjął z niego śrubokręt oraz kontakt.

Wzrok już mu się częściowo przyzwyczaił do ciemności, ale wiedział, że to bez znaczenia, bo i tak będzie musiał wejść pod łóżko, a tam nie wpadała nawet odrobina księżycowego blasku. Kolejny błąd, który popełnił, cholera! Powiedział o tym Magdzie, ale gdy zaproponowała, że mu pomoże, potrząsnął głową. Nie było szans, by zrobili to po cichu, a czym niby mieliby wytłumaczyć hałasy po nocy?

Uklęknął więc, a potem położył się na podłodze. Niemal natychmiast poczuł, jak przyspiesza mu serce. Kolejna rzecz, której nie wziął wcześniej pod uwagę, od dawna spychając ten lęk głęboko w siebie. Na co dzień prawie zapomniał o tamtym czasie spędzonym pod ziemią, ale teraz ledwie tylko wsunął ramiona pod ramę łóżka, wszystko w jednej chwili wróciło, a on uświadomił sobie, że nie jest w stanie wykonać choćby ruchu. To było jak zanurzenie głowy w misce z lodowatą wodą. W jednej chwili był skupiony tylko na czekającym go zadaniu, a w następnej niczym stado spłoszonych nietoperzy zaatakowały go paniczne wspomnienia. Na samą myśl o tym, że miałby wpełznąć w mrok, znowu znaleźć się w ciasnej jak trumna przestrzeni, poczuł wzbierający w nim przeraźliwy wrzask.

Powstrzymał go wysiłkiem woli, ale nagle zaczął się trząść i wystraszona Magda pomyślała, że kopnął go prąd. W bezmyślnym odruchu złapała go za kostki i wyciągnęła spod łóżka, a on niemal odruchowo zwinął się w kłębek. Przykłęknęła przy nim niezdarnie, przysunęła jego głowę do brzucha i zaczęła głaskać.

– To nic, Cyprianie, to nic – powtarzała, aż w końcu się wyciszył i uspokoił. – Spróbujemy inaczej.

Gdy przestał się trząść, odsunęła go na bok, podniosła się z trudem i usiadła na łóżku.

– Tym też się nie przejmuj. Powiemy, że to ja.

Uniósł głowę i spojrzał na nią, a ona wskazała ręką na podłogę.

– Zsikales się – powiedziała cicho. – Ale powiemy, że to ja. U mnie to zrozumiałe, nikt nie będzie...

Urwała nagle i powiodła wzrokiem po łóżku. Przejechała ręką po prześcieradle.

– Czekaj, chyba mam pomysł. Chodź, pomożesz mi.

Podniósł się na trzęsących rękach, a ona już zdążyła ściągnąć poduszki oraz kołdrę i odrzucić je na bok. Potem zdjęła prześcieradło i podała je Cyprianowi.

– Masz, zamocz je, ale tak, żeby w jednym miejscu było mokre – poleciła. – Jakbym się w łóżku złała.

Wykonał jej polecenie nieco mechanicznie, dalej nie wiedząc, do czego Magda zmierza. Podała mu swoje majtki. W rodzinie wszyscy nosili w zasadzie takie same – bawełniane, męskie, żeby uprościć zakupy.

– Dawaj twoje i wkładaj te – powiedziała. – A potem pomożesz mi z materacem. Tylko schowaj to... no wiesz.

Zrobił wszystko, co kazała. Najpierw schował kontakt do materaca, potem rozłożyli prześcieradło i pozwolili, by materac nieco nasiąknął. Dopiero wtedy je zdjęli i przewrócili go na drugą stronę, przy okazji odsuwając nieco łóżko od ściany.

Hałasu rzeczywiście nie dało się uniknąć, więc w pokoju zaraz zjawili się zaspiani Damian i Tomeczek, a chwilę później Wojtek.

– Co się stało? – zapytał Tomeczek, włączając światło.

Magda, która nie miała na sobie majtek, obciągnęła długą męską koszulkę, co nie było łatwe ze względu na brzuch. Cyprian właśnie wrzucał poduszki i kołdrę na łóżko.

– Miałam wypadek przez sen – powiedziała. – Właśnie odwracaliśmy materac, by na mokrym nie leżeć.

– Pomóc wam? – zaproponował Damian, trąc oko.

– Nie trzeba, już ogarnęliśmy. No chyba że ktoś mógłby to zsikane prześcieradło do prania wziąć?

Spojrzała na Wojtka, a ten skrzywił się, ale podniósł brudną pościel i trzymając ją z daleka od siebie, wyniósł z pokoju. Tomeczek otworzył okno.

– Dobrze, że dzieciaki się nie pobudziły – powiedział.

– To prawda – zgodziła się Magda i zaraz dodała z udawaną skruchą: – Bardzo przepraszam za to wszystko.

– Zdarza się, nie? Dobrej nocy.

Gdy wyszli, uśmiechnęła się do Cypriana i przytuliła go mocno.

– Za dwie, trzy godziny zrobi się już prawie zupełnie jasno – szepnęła mu do ucha. – Wtedy to zrobisz bez problemu, bo będziesz miał i światło, i miejsce bez wchodzenia pod łóżko, dobra? A teraz chodź spać.

Położył się i przytulił do Magdy, ale do rana nie zmrużył już oka.

Miała rację. O świcie z wymianą gniazdka uporał się już bez problemu.



## CZĘŚĆ CZWARTA

### 57

Drelicha obudził telefon o 5.36. Odebrał, posłuchał, jak Magda i Cyprian wyrażają nadzieję, że wszystko działa, a potem rozłączył się, przekierował połączenia na numer z rejestratorem i odwrócił się na drugi bok. Właściwą pobudkę zaplanował na 7.30.

Obudził się siedem minut przed czasem. Sięgnął po laptopa, założył słuchawki i połączył się ze stroną, na której miał dostęp do nagrań z wczorajszego wieczora w opolskim mieszkaniu wynajętym dla oddziału AT. Przesłuchał rozmowy na wrywki, upewniając się przede wszystkim, czy policjanci nie chlali na umór albo czy nie próbowali za bardzo dociekać powodów, dla których ich zatrudniono. Nie usłyszał jednak nic podejrzanego, a gdy rozmowy ustały, ubrał się i zszedł na śniadanie. Miał jeszcze około pół godziny do odprawy, ale i tak zabrał ze sobą na dół telefon oraz zestaw słuchawkowy na wypadek, gdyby się tam zasiedział.

Lemańczyk szykował już kanapki. Na widok byłego zięcia skinął lekko głową.

- Jak chcesz kawy, to w dzbanku jest świeża – powiedział.
- Wolałbym wodę z cytryną, jeśli masz.
- Woda w kranie, cytryna w koszyku. Częstuj się.
- Dziękuję.

Drelich podszedł do kranu i napełnił kubek. Przekroił cytrynę, wycisnął sok z obu połówek, zamieszał i usiadł przy stole.

– Rozmawiałeś z nim przedwczoraj? – zapytał. – Już po tym, jak się rozłączyliśmy.

Lemańczyk wzruszył ramionami.

– Coś gadałem, ale nic ważnego – mruknął. Pokroił pomidora i przesunął go nożem na bok deski. Wziął się za cebulę, przekroił ją na pół, ale zanim zaczął ciąć na plastry, uniósł wzrok i spojrzał na niego. – Naprawdę zamierzasz mu zabrać wszystko?

– Nic nie chcę zabierać – odparł. – To nie ze mną robi biznes.

Lemańczyk prychnął, po czym pokroił cebulę, dokończył robienie kanapek i rozdzielił je po równo na dwa talerze.

– Dziękuję – powiedział Drelich.

– Robię to tylko dla mojej córki – odparł gospodarz.

– No to jest nas dwóch.

Lemańczyk chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się i wyszedł z talerzem, a zaraz potem ze stołowego dobiegły dźwięki włączonego telewizora i lejących akurat powtórek Rancza.

Kwadrans później przyszła wiadomość od Kracha, że jest już na miejscu. Drelich zalogował się na stronie z podsłuchem, włożył słuchawkę do ucha i jadł, wsłuchując się w odprawę.

Trzeba było przyznać, że Krasowski dobrze się do niej przygotował. Szczegóły akcji przedstawił jasno, konkretnie, prezentując kolejne warianty. Na pytania odpowiadał zwięźle i bez wahania. Potem do głosu doszedł Franek, który przedstawił swoje spostrzeżenia oraz propozycje rozwiązań. I choć to czy tamto Drelich zrobiłby inaczej, wszystko brzmiało tak, jakby mieli swoją część akcji pod kontrolą.

Skończył jeść, pozmywał po sobie i poszedł na górę. Tam sprawdził nagrania z pokoju Magdy i Cypriana, ale nie było na nich niczego ciekawego.

Przypomniał sobie o kluczach do gabinetu, które odebrał w nocy i które wciąż leżały w kieszeni. Zabezpieczył je, by nie dzwoniły, i wrzucił do plecaka, a potem sprawdził jeszcze raz jego zawartość, upewniając się, że wszystko ma. Założył zegarek, jak zawsze kopertą od wewnętrznej strony, zostawił na wierzchu telefonu oraz laptopa na wypadek, gdyby przyszło mu coś do głowy i musiał odczytać informacje nadesłane przez Kracha, a potem położył się na łóżku.

Teraz pozostawało już tylko czekać.

W końcu Zosia nie wytrzymała.

Iza siedziała właśnie w salonie, przed telewizorem. Przed chwilą wyszła z gorącej kąpieli i dość niechętnie zbierała się do zrobienia porządku z paznokciami. Na ekranie leciała powtórka z Prawa Agaty i Agnieszka Dygant w prawniczej todze walczyła na spojrzenia z Andrzejem Zielińskim, który wcielał się, o ile Iza dobrze pamiętała, w czarny charakter sezonu.

Zośka wparowała do pokoju, stanęła przed matką, zasłaniając sobą telewizor, i wycelowała w nią wskazującym palcem.

– Chcę ci tylko powiedzieć jedno – zaczęła głośno i ostro. – Nigdy ci tego nie zapomnę, słyszysz? Jak mnie okłamałaś, jak wciskałaś mi to całe pierdolenie...

– Nie przeklinaj.

Dziewczyna zaśmiała się sztucznie.

– Tak, bo to jest największy problem, że, kurwa, przeklnę! – krzyknęła. – A pamiętasz, jak mówiłaś, że szczerść za szczerść? Pamiętasz, jak obiecywałaś, że będziemy sobie mówić prawdę? Ale ty nikomu nie mówisz prawdy! Jesteś zakłamana, oboje jesteście z ojcem!

Iza milczała, wiedząc, że wchodzenie w dyskusję w tym momencie nie ma najmniejszego sensu. Nie, póki Zośka się nie wykrzyczy i nie wyrzuci z siebie wszystkiego, co chciała. Musiało w niej wzbierać przez te dni, aż w końcu eksplodowało. I musiało wybrzmieć do końca, nim będzie można pójść choćby o krok dalej. Dlatego teraz słuchała cierpliwie, patrzyła, jak w kącikach ust córki gromadzą się drobinki spienionej śliny.

– Czy Krystian w ogóle wie, że się tu chowasz? Czy jego też okłamujesz?! Na pewno by się ucieszył, że śpisz u ojca, prawda?

Cios trochę na odlew, ale mocny, pomyślała Iza. Przypomniała sobie słowa z nagrania, gdy Zośka mówiła właśnie o tym – że nie wie, jak jest między jej rodzicami. Zdecydowanie był to temat, który powinni z nią, z nimi obojgiem przegadać na spokojnie. Sprawa rzeczywiście wymagała poważniejszego uporządkowania.

– Co ci tak naprawdę przeszkadzało w tym, że tam byłam, co?! – krzyczała dalej Zośka. – Że mam chłopaka?! Co, dziadek zrobił ci awanturę, że Wojtek mnie pod dom odprowadził? Baliście się, że zajdę w pieprzoną ciążę?! A może problemem jest to, że on nie żyje tak jak wy? Że żyje w rodzinie, którą sam sobie wybrał? To ci przeszkadza?! No wyobraź sobie, nie każdy ma takie szczęście urodzić się w takiej wspaniałej rodzinie jak nasza!

Iza wciąż wpatrywała się w córkę w skupieniu.

– I jeszcze ta sekta... Jak ktoś żyje choć trochę inaczej, to już zaraz sekta! Nic złego mi nie zrobili, słyszysz?! – Zośka wściekła na cisnące się do oczu łzy, przetała je przedramieniem. – Byli dla mnie mili, troszczyli się i słuchali tego, co do nich mówię. Naprawdę słuchali, nie tak jak ty, jednym uchem. Traktowali mnie jak człowieka i przyjmowali taką, jaką jestem. Byłam tam szczęśliwa. Może ty już zapomniałaś jak to jest, ale...

– Masz rację. – Iza weszła jej w zdanie. Powiedziała to mocno i głośno, a potem zrobiła pauzę, by upewnić się, czy w ten sposób przerwała tyradę. Gdy okazało się, że tak, wskazała córce fotel. – Usiądź, porozmawiamy.

Zośka potrząsnęła głową.

– Nie wierzę ci już – wycedziła. – I nie chcę z tobą rozmawiać.

– Mimo to usiądź – poprosiła Iza.

Nad tym, co właśnie chciała zrobić, zastanawiała się właściwie od początku – ile może powiedzieć Zośce tak, by nią wstrząsnąć, a jednocześnie nie zrobić krzywdy. Chciała to z kimś skonsultować, ale nie miała jak, więc po prostu musiała zaufać instynktowi.

– Masz rację, że byłam z tobą nieszczerą – powiedziała. – Oboje z ojcem byliśmy. I nie będę ci teraz tłumaczyć, co nami kierowało, ale masz rację, złamałam naszą obietnicę: szczerą za szczerą.

Zośka wpatrywała się w nią z zaciętą miną i gniewem w oczach, zaciskając zęby. Iza wzięła głębszy oddech, świadoma, że nie ma już odwrotu. Czy robi dobrze, czy źle, teraz już nie mogła się wycofać.

– Pamiętasz kobietę, która tak wybuchła, kiedy po ciebie przyjechaliśmy? Tak, że wszyscy się odwrócili...

Córka nie odpowiedziała.

– Nie było jej wcześniej, prawda? Pojawiła się w rodzinie dopiero niedawno, wraz z mężem i dzieckiem. Zgadza się?

– No i co z tego?

– To, że oni nie byli tam z własnej woli, Zosiu – odparła Iza. – Ona i jej mąż uciekli z tej sekty trzy lata temu i zamieszkali w Niemczech, ale Kamaz ich znalazł i zmusił do powrotu. A przy okazji kazał zabić ich przyjaciół.

Zośka przyglądała się matce, przekrzywiając głowę. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

– Wiesz, że znam się z Cyprianem z dawnych lat, prawda? – kontynuowała Iza. – Że byłam kiedyś jego opiekunką?

Zero odpowiedzi.

– To on puścił mi te nagrania. Wykradł je, żeby mi pokazać. Przyszedł w nocy, gdy przyjechałam, bo chciał mnie ostrzec przed tym, że ty również zostaniesz wciągnięta. Bo to zawsze jest ładne na początku, zawsze wszyscy są otwarci i mili, a tobie się wydaje, że wszyscy cię tam rozumieją. Ale to pułapka, Zosiu. Manipulacja.

Zrobiła krótką pauzę.

– Cyprian poprosił o pomoc w ucieczce. Poprosił mnie, bo nie ma się już do kogo zwrócić. Został sam, odkąd sekta zabiła mu mamę. Chce iść z tym na policję, ale się boi, Zośka. Boi o Magdę i o swoje dziecko, o to, że jak już przepisze na sektę swój majątek, zabiją go, rozumiesz?

Córka wciąż przyglądała się w milczeniu, ale jej oczy zaszklily się nagle, a broda zaczęła drgać.

– Zosiu, wiem, że zawaliłam. – Iza poczuła, że łamie jej się głos, więc odczekała moment, nim znów podjęła. – Na pewno nie zrobiłam wszystkiego jak należy, nie było mnie dla ciebie, tak jak powinnam być. Ale kiedy usłyszałam od Cypriana, co się tam dzieje, wiedziałam, że to może być ostatnie ostrzeżenie. I teraz nie odpuszczę. Bo cię kocham i mi na tobie zależy, rozumiesz?

Zosia zaczęła płakać.

Rano Jonasz dostał wiadomość od Okulickiego: „Mam nowe wieści. Odezwij się”.

Nie odpowiedział od razu. Dojadł spokojnie śniadanie, wyszedł przed dom i wyjął ze schowka w ramie dwa zakamuflowane tam batoniki. Ostatnie, jakie mu zostały po tym, jak cwana Oliwka z resztą dzieciaków namierzyły jego dwie domowe skrytki.

Sięgnął po telefon, wybrał numer i wcisnął „Połącz”. Czekał trzy sygnały, nim usłyszał znajomy głos.

– Cześć, Waldek. Tak za kwadrans oddzwonię, co? Bo to chwila gadania będzie i muszę gdzieś przycupnąć.

– Jasne – odparł Jonasz, zaraz jednak przyszło mu do głowy lepsze rozwiązanie. – A to może byśmy się na żywo spotkali, co? W okolicy jestem.

– Znaczy na Śląsku? – zdziwił się Okulicki. – A co cię tu wywiało?

– Takie tam – odparł Jonasz. – To co? Za dwie godzinki spacerek po Trzech Stawach?

– Jasne, czemu nie.

Jonasz rozłączył się i schował telefon. I tak nie miał tu nic do roboty, a cała ta przedwieczorna gorączka działała mu już trochę na nerwy i najchętniej by się stąd wyrwał, tym bardziej że wieści mogły być istotne.

Trochę się obawiał reakcji Kamaza, bo teraz już musiał go wtajemniczyć, ale szczęśliwie olbrzym nie dopytywał o szczegóły. Przyjął do wiadomości, że Okulicki ma jakieś informacje i że Jonasz musi jechać z nim porozmawiać. Poleciał tylko, by potem streścił mu przebieg rozmowy i nie spóźnił się na uroczystość.

Kwadrans później Jonasz już był w drodze. Wziął citroëna, który mniej rzucał się w oczy i wciąż miał podlaskie blachy, co uwiarygodniało wersję, że jest w okolicy przejazdem. Do Katowic dojechał bez większych opóźnień. Na jednej z pobliskich stacji kupił dwie duże czarne kawy i cztery grzeški toffi. Zjechał przy centrum handlowym, po czym odbił

w lewo, na duży parking między drzewami, o tej porze jeszcze względnie pustawy.

Okulicki już na niego czekał – również z kawą, tyle że kupioną na miejscu, w sezonowym barze poskładanym z baraków.

– Oho, wielkie umysły myślą podobnie, widzę – rzucił, gdy zobaczył, że Jonasz wyjmuje kubki.

Był niewysokim, żyłastym mężczyzną, łysiejącym i bardzo nerwowym w ruchach. Każdy, kto się znał, od razu wiedział, że ma do czynienia z policjantem: tani garnitur z brzydkim krawatem do kompletu, wąsy pożółkłe od tytoniu i brudne buty, a do tego wory pod oczami, popękane naczynka i kilkadniowy zarost.

– Pijesz moją czy twoją? – zapytał, gdy Jonasz już do niego podszedł.

– Wszystko jedno, ale moje są większe.

– No prawda – zgodził się Okulicki i rozejrzał za koszem. Wyrzucił obie swoje kawy i wziął kubek od Jonasza.

Ruszyli alejką spacerową wzdłuż stawu, mijając budy i przestrzeń plażową wypełnioną leżakami. Młodzi ludzie w kolorowych koszulkach, wytatuowani i wykolczykowani, sączyli piwo i rozmawiali jakby od niechcienia. Nieco dalej dwóch brodaczy próbowało sklecić coś na kształt prowizorycznej sceny z desek i europalet, a wszystko to pod melodię radiowych przebojów, sączących się z głośników podwieszonych na drewnianych słupkach.

Jonasz i Okulicki szli w milczeniu, kierując się w stronę lasu. Dopiero tam, gdy nie otaczali ich już z każdej strony biegacze, matki z wózkami i trzymające się za ręce pary, Jonasz zapytał:

– Jak sprawa z Silesią?

– Oj, człowieku, normalnie jak u tego... no, jak mu, kurwa, było... Hitchcocka, o! – odparł Okulicki. – Co chwila jakieś trzęsienie ziemi.

– No to mów. Chętnie posłucham.

Nie kłamał. W dawnych czasach lubił swoją pracę i towarzyszące jej wielokrotne zwroty akcji, a już zwłaszcza gdy sprawy nie śmierdziały trupem i nie sprowadzały się, jak większość historii, do kłótni po pijaku. Poza tym nie chciało mu się na razie wracać do zgiełku i zamieszania przed uroczystością.

Okulicki się rozejrzał, upewniając się, że nikt ich nie słyszy.

– Na początku dowiedzieliśmy się, że cichym współnikiem tego jubilera jest Ryszard Najduch „Bobi” – powiedział. – Z Częstochowy. Generalnie już

w gangsterce nie robi, ale pierwsza myśl to oczywiście, że numer na ubezpieczenie, że sam to sobie odwalił. Wzięliśmy go na spytki, ale wiesz, nerwowy jakiś był.

– No to normalne przecież – zauważył Jonasz, ale Okulicki pokręcił głową.

– No ale nie tak nerwowy. Zresztą z adwokatem siedział i co chłopaki zdanie, to papuga, kurwa, dziesięć. Tyle że Bobi wkurw miał w oczach, jak o tym włamie mówił. Na moje oko autentyczny.

– I nic nie wyciągnęliście?

– Z niego nie, ale... I tu słuchaj, bo będzie najlepsze. Następnego dnia przyszedł na komendę w Siemianowicach łepek taki, z jedenaście lat. Dyżurny go znał, bo często mieli zgłoszenia. Jego matka to pewnie więcej w łeb od starego zebrała niż Gołota na ringu, rozumiesz, więc dyżurny myślał, że znowu o to chodzi, a tu niespodzianka numer jeden. Bo dzieciak przyszedł tatusia podpierdolić.

Jonasz upił kawy. Nie pytał, bo wiedział dobrze, że Okulickiemu nie są potrzebne żadne pytania ani przytakiwanie. Jak już mówił, to mówił.

– Okazało się, że w noc skoku na Silesię jego starego nie było w domu – mówił dalej nadkomisarz. – Przyjechał w nocy, to się łepek zaraz obudził. Wiesz, te lane szczyły wyczulone są na hałas jak psy. Podszedł do okna, patrzy, a tam stary garaż otwiera. Błaszak zwykły, ale z kanałem. No to się łepek zdziwił, bo auto zwykle pod domem stało; staremu nigdy nie chciało się nosić. A tu nagle ojczulek kochany jakąś torbę z bagażnika i do kanału w garażu schodzi. No to szczeniak na następny dzień, jak rodziców nie było, polazł do garażu i sprawdził. I, kurwa, znalazł! Zegarki za prawie dwie bańki, wyobrażasz sobie? W kanale, niby pod kratką odpływową, facet miał ustawioną skrytkę na fanty.

Jonasz uśmiechnął się pod nosem.

– No to mieliście farta – zauważył. – Swoją drogą potwierdza się stara prawda, że ten zawód podpierdalaczami stoi. Bez nich z większości spraw gównem by było.

Wyjął z kieszeni dwa grześki. Jednego zaproponował Okulickiemu, ale ten podziękował, więc sam rozpakował i nadgryzł z głośnym chrupnięciem.

– Taki był przełom, a od tamtej pory to już lawina – podjął Okulicki. – Facet szybciotko sprzedał kolegów, ale oprócz tego powiedział coś znacznie ciekawszego.

– No?



– Bo on twierdzi, że oni nie robili włamu, tylko na parkingu skroili włamywaczy.

– Bystrzacha. Myśli, że coś ugra taką bzdurą?

– Kiedy to właśnie może być prawda – zaproponował Okulicki. – Zabraliśmy go na ten parking i uciezkowa bryka faktycznie tam stała, tak samo chemią potraktowana jak ta spod Silesii. Tu zresztą niespodzianka numer dwa, bo oba auta zajebano kilka dni temu we Wrocławiu, a blachy nasze, śląskie, na prywatnym długoterminowym parkingu w Pyrzowicach.

– Czyli dokładnie zaplanowana robota – powiedział Jonasz, a Okulicki przytaknął.

– No właśnie. A żaden z tych naszych ani po ryju, ani po kartotece na myśliciela nie wygląda. I teraz pewnie się zastanawiasz, czemu ci to wszystko mówię.

– Nie zastanawiam się. – Jonasz wzruszył ramionami – Mówisz, bo cię o to zapytałem przecież.

– A, kurwa, faktycznie. – Okulicki palnął się w czoło. – Trzy dni bez snu i z mózgu sieczka. Kawa mi w żyłach płynie. No ale mniejsza, bo jakbyś nie pytał, to i tak bym ci powiedział, bo generalnie sprawa ma związek z tobą.

– Ze mną? – zdziwił się Jonasz.

– No z tobą, z wami. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że ktoś was namierza, nie?

– Po to tu jestem.

– No to teraz słuchaj – powiedział Okulicki, upił wielki łyk kawy i rozejrzał się za koszem, a gdy żadnego nie znalazł, cisnął kubek w krzaki. – W aucie na parkingu i obok niego były ślady krwi, jakby ktoś kogoś ciągnął. No to mnie tchnęło i sprawdziłem SOR-y. Szybko trafiłem na jednego z rozbitą głową i spuchniętą teczką, co go rzekomo po napaści z parku chorzowskiego karetka zwiozła. Faceta wołają Chrypka i wygląda na to, że jeden z naszych złapanych koleżków z gangu Olsena to syn jego konkubiny.

– Niech zgadnę: przycisnęliście, wyszło, że stary był na włamie i dogadywał napad, a synalek podsłuchał i...

– Nie do końca. Zresztą samego Chrypki przycisnąć się nie da, bo nieprzytomny leży, ale synalek już pękł i wyszło tak: Chrypka faktycznie ustawiał z kimś plan, potem sam sobie synalka zwerbował, a ten koleżków. W ostatniej chwili dał im namiary, gdzie mają czekać. A żeby było wiarygodnie, synalek swoim kolegom nie powiedział, że to ustawiana

akcja, tylko że bez trupów ma być. No i skończyło się tak, że Chrypce przyjebali trochę za mocno.

– Brazylijska telenowela, kurwa mać – mruknął Jonasz. – No dobra, ale co to ma wspólnego ze mną? Z nami?

– Chrypka, jak mówię, nieprzytomny, więc na razie pilnujemy, czy ktoś go nie odwiedzi. – Okulicki kopnął leżącą na ziemi szyszkę. – No ale żeśmy pasierba zapytali, czy wie, z kim Chrypka gadał, a ten, że raz słyszał o jakimś Krakcu czy Krachu z Warszawy. I wtedy Jarzecki mocno się zdziwił, wyszedł i trochę go nie było, a jak wrócił, to znowu o ciebie pytał. I tak od słowa do słowa mi wyszło, że koleś, co wcześniej o ciebie rozpytywał, to właśnie ten, kurwa, Krach. Zapytałem w końcu Jarzeckiego wprost, czy o to chodzi i czy cię podejrzewa, a on, że nie wie, ale trzeba sprawdzić. Więc wiesz, jakby mnie ktoś tu z tobą...

Jonasz dojadł grzeška, szukając w głowie tego nazwiska czy ksywki. Krach. Czy cokolwiek mu to mówiło? Z czymś się kojarzyło?

– Wiecie cokolwiek więcej? – zapytał. – Ten kret coś powiedział?

– Jarzecki uruchomił swoje kontakty w Warszawie, tak żeby dyskretnie było i tamten się nie dowiedział, i coś już wiemy. – Okulicki podrapał się pod pachę. – Koleś nazywa się Krasowski. Z wierzchu biznesmen, ale różne rzeczy się mówi. Że pralnia, paserka, pośrednictwo różne. Wydawało się, że już całkiem w legal poszedł, ale widać, że nie.

– Masz jego adres? – zapytał Jonasz.

Okulicki przyjrzał mu się podejrzliwie.

– A co ci chodzi po głowie, Waldek?

– Nic, chcę dostać adres tego człowieka.

– Ja bym się teraz koło faceta nie kręcił. Jeśli faktycznie się okaże, że miał coś wspólnego z tą akcją, to...

– Kurwa, Piotruś, ja cię nie proszę o radę. Ja cię pytam jako przyjaciela i człowieka, którego wizyty zawsze dobrze wspominaliśmy. Masz ten adres czy nie?

Okulicki zastanawiał się przez kilka sekund. W końcu skinął głową.

– Mam. Wszystko mam generalnie, teczkę całą z tego, co na niego szukali. – Wyjął telefon, przerzucił kilka fotek i podsunął Jonaszowi pod nos. Ten szybko zrobił zdjęcie. Wyszło tak sobie, ale wystarczająco czytelnie. Szybciej, niż gdyby miał cokolwiek wysyłać.

– Dzięki.

Ruszyli dalej alejką, dobre pięć minut pograżeni w całkowitej ciszy.

– Tylko, Waldek – odezwał się w końcu Okulicki – ja ci z życzliwości mówię, po przyjaźni, żebyś niczego odpierdalał, co? Twoje nazwisko już krąży koło tematu, to się nie wychylaj. Facet ma teraz swoje kłopoty...

– Niczego nie będę robił – zapewnił Jonasz. – Chcę mu się tylko przyjrzeć.

– O, czekaj ty, dostałeś nóż?! – zawołała Wiktoria. – Kiedy, kurczę?! Jak?!

Cyprian, który był akurat w połowie schodów, odwrócił się w momencie, gdy rzuciła się Wojtkowi na szyję, co najmniej jakby właśnie jej się oświadczył.

– No, przedwczoraj wieczorem – wybąkał wyraźnie zakłopotany chłopak. – Jeszcze nikomu nie mówiłem, bo nie chciałem przed uroczystością, no ale Kamaz kazał wziąć...

– Bravo! – wtrąciła się siedząca na kanapie Magda. – Trzeba przyznać, że zasłużyłeś jak mało kto.

Odkrycie Wiktorii szybko stało się wydarzeniem. Z kuchni wyszedł najpierw Jakub, a zaraz za nim Lidka i oboje szybko przyłączyli się do gratulacji. Ktoś zawołał Hanne, a ta pojawiła się z ciastem szykowanym co prawda na wieczór, ale, jak sama zauważyła, do uszczknięcia z takiej okazji. Łukasz, który siedział właśnie przy stole, wyrzucał sobie, że wcześniej nie zauważył.

– Już tak bardzo jesteś w rodzinie, że wydawało mi się, że masz go od dawna – powiedział na swoje usprawiedliwienie.

– Ty to akurat powinieneś od razu zwrócić uwagę, że ktoś ma broń – rzuciła Aldona, która jako ostatnia wyłoniła się z kuchni. – Masz nas chronić, prawda?

Łukasz nie odpowiedział, a Cyprian wykorzystał zamieszanie na dole i szybko pokonał resztę schodów, po czym wszedł do sypialni i usiadł na łóżku przy samym zagłówku. Rano dosunęli je z Magdą z powrotem do ściany, ale tak, by gniazdko było częściowo odsłonięte.

– Okno w gabinecie uchylone, trzeba mocniej pchnąć, bo zapchałem od dołu papierem – powiedział cicho, ale wyraźnie. – Z Magdą zostanie Tomeczek, mąż Kalimy. Ona musi być na uroczystości, bo gra na bębnach. Tomeczek ma kluczyki do rama i telefon jakby coś. To duży facet, kiedyś dużo się bił i kibolem był chyba, więc uwaga. Poza nim i Magdą wszyscy idą na uroczystość. A... jeszcze Jonasz gdzieś rano pojechał, ale na wieczór

ma być. Zaczynamy, jak się ściemni, czyli jakoś koło dwudziestej. Jezu, mam nadzieję, że mnie w ogóle słyszysz.

Gdy dotarł do niego sens ostatniego zdania, uśmiechnął się mimowolnie. Tak, w tym mówieniu do gniazdka było coś z cholernej modlitwy. Żadnej pewności, czy słowa dotarły gdzie trzeba, żadnej pewności, czy przyniosą skutek. Tylko pieprzone wiara i nadzieja.

Podszedł do drzwi, upewnił się, że nikt nie stoi w pobliżu, po czym wrócił do gniazdka i wszystko powtórzył, tylko tym razem, zamiast usiąść, zdjął naszyjnik i wrzucił go pod łóżko, by udawać, że szuka. Cały czas obserwując drzwi, mówił głośno i wyraźnie prosto do kontaktu. Wreszcie podniósł naszyjnik, założył go i wyszedł z sypialni. Już miał ruszyć w stronę schodów, gdy nagle odniósł nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mu się przygląda.

Odwrócił się i w progu sypialni obok zobaczył Klarę. Miała na sobie tylko dużą męską koszulkę i majtki, jakby dopiero co wstała. Uśmiechała się półgębkiem, trochę jakby złośliwie.

Chryste, słyszała mnie, pomyślał w panice. Dlaczego, do jasnej cholery, nie sprawdziłem pokoi obok? Dlaczego byłem tak cholernie nieostrożny na ostatniej prostej?!

Ruszył w jej stronę, nie mając pojęcia, co właściwie zamierza zrobić. Zapytać, co słyszała? Błagać, by niczego nie mówiła? Zagrozić? Zabić? Przypomniał sobie pytanie Drelicha na temat Klary i swoją odpowiedź. Tak, był pewien, że jeśli dostałaby szansę, natychmiast by ich wydała, tylko po to, by samej nie znaleźć się w dole. A to, jak się teraz uśmiechała...

Przystanął w pół kroku, zaskoczony brakiem jakiegokolwiek reakcji z jej strony. Nie cofnęła się, po prostu patrzyła na niego cały czas z tym samym półuśmiechem. Z bliska i w lepszym świetle nie wydawał się już złośliwy – raczej nieobecny. Cyprian dostrzegł też jej pusty wzrok i drobinę zaschniętej śliny w kąciку ust.

– Klara? – odezwał się.

Niemal w tym samym momencie usłyszał dźwięk spuszczonej w łazience wody. Odsunął się na bok, by nie oberwać drzwiami, i stanął twarzą w twarz z Kalimą. Lekarka szybko oceniła sytuację, zerkając w stronę sypialni i stojącej w progu kobiety, a potem przeniosła wzrok ponownie na Cypriana. Była spięta, ale nie wystraszona.

– Musiałam to zrobić – powiedziała cicho. – Musiałam, bo to by ją zabiło.

– Jasne. – Skinął głową, czując, że nogi ma jak z waty. Odsunął się jeszcze trochę i oparł się o ścianę, nieświadom, że z perspektywy lekarki wygląda, jakby się wycofywał.

Uzmysłowił to sobie, dopiero gdy zobaczył jej zmieniającą się twarz. Nigdy wcześniej nie widział jej takiej. Ta zwykle miła i pogodna Kalima, wdzięczna bez granic za uratowanie i nowe życie, teraz miała w oczach czysty gniew.

– Zanim zaczniesz mleć na ten temat ozorem, Cyprianie, zastanów się, kto będzie witał na świecie twoje dziecko – wycedziła mu prosto w twarz. – Zrobiłam co trzeba, żeby jej pomóc, rozumiesz?

Pokiwał głową, ale ona nie czekała nawet na taką odpowiedź. Podeszła do Klary, wzięła ją pod rękę i wprowadziła w głąb pomieszczenia. Cyprian poczekał, aż zamkną się za nimi drzwi, i powoli osunął się po ścianie na podłogę.

Najlepszym punktem widokowym, jaki udało się Drelichowi ustalić, była stojąca na skraju lasu myśliwska ambona. Znajdowała się w odpowiednim oddaleniu zarówno od domów, jak i od ośrodka, a w dodatku przy sensownej lornetce dawała całkiem dobry widok na trzy ściany domu, jako taki na wejście do ośrodka i wreszcie całkiem znośny na drogę wiodącą ku polanie.

Drelich nie chciał się tam instalować za wcześnie, po pierwsze, by nie zwrócić na siebie zbędnej uwagi, a po drugie, by nie doprowadzić do zastania mięśni zbyt długim siedzeniem w jednym miejscu. Komunikat, który otrzymał od Cypriana, mówił jasno, że czeka go szamotanina, i chciał być na nią gotowy. Na wszelki wypadek spakował też do plecaka taser, choć przy jednym przeciwniku, brany w dodatku z zaskoczenia, wołał zaufać swoim umiejętnościom.

Zjadł lekki obiad, wziął prysznic, a następnie ubrał się już na akcję, tylko czarny rashguard z długim rękawem zastąpił na razie luźnym szarym T-shirtem, a na głowę założył bejsbolówkę. To, w połączeniu z okularami w grubych oprawkach, dopełniało charakteryzacji. Szczęśliwie Gronowo nie było na tyle dużym miastem, by wszyscy się tu znali i tym samym reagowali zaciekawieniem na każdego obcego.

Już miał wsiadać, gdy zobaczył stojącego przy furtce ojca Izy.

– To już? – zapytał stary policjant.

– Już – odparł. – Miej, proszę, oko na to, co się będzie działo potem, tylko dyskretnie.

– Jasne – powiedział Lemańczyk, po czym podrapał się z zakłopotaniem po karku. – A jakby coś poszło nie tak, zawsze możesz...

– Nie mogę – przerwał mu Drelich. – Ale dziękuję.

Wsiadł, wycofał do pierwszej zatoczki, gdzie zawrócił i wyjechał na główną drogę.

Parking przy czteroblokowym osiedlu, na którym zamierzał zostawić samochód, wybrał już wcześniej. Zajechał tam o 16.20. Gdy dotarł w okolice ambony, do pełnej godziny brakowało czterech minut. Upewnił

się, że nikt go nie obserwuje, po czym wspiął się szybko po rozchybotanej drabinie i usiadł na podłodze z nieokorowanych desek. Wypakował lornetkę, ale na razie nie planował z niej korzystać. Wystarczał mu nasłuch.

O 18.07 dostał wiadomość od Kracha, że antyterrorysty są już na miejscu, gotowi do zainstalowania się w lesie, ale czekają, aż trochę się ściemni. Drelich liczył, że skoro wszystko miało się rozpocząć po dwudziestej, a zachód słońca miał nastąpić o 19.37, to rodzina da im chociaż chwilę. W innym przypadku będą musieli podchodzić przez las już przy pełnej ludzi polanie.

Punktualnie o dziewiętnastej Drelich włączył aplikację na komórce i przyjrzał się obrazowi na wybudzonych kamerach. Zobaczył pochodnie, jeszcze niezapalone, drewniany podest oraz stelaż pełniący obecnie funkcję katafalku. Na nim stała duża skrzynia zbita z desek. Jakiś mężczyzna, którego nie rozpoznawał, krzątał się przy bloczkach stelaża i sprawdzał liny.

Kwadrans później odezwał się nasłuch w pokoju Cypriana. Tym razem mówiła Magda. Informowała, że wszyscy są gotowi, powtórzyła, że zostanie sama z Tomeczkiem i że pamięta o słuchawce oraz kamerze. Przypomniała też, że Tomeczek ma nóż. Brzmiała na zmęczoną i wystraszoną, ale w jakiś sposób dużo pewniejszą i bardziej rzeczową niż Cyprian.

O 19.40 Drelich zobaczył postać w bieli zmierzającą samotnie od domu w kierunku polany. Upewniwszy się, że to Cyprian, obejrzał jeszcze raz okolice domu. Członkowie rodziny w jasnobrązowych szatach sposobili się do wyjścia. Był z nimi Kamaz, wyróżniający się wzrostem, ale ubrany dokładnie tak samo, ktoś z gitarą i ciemnoskóra lekarka z dwoma bębnami.

Jak dotąd tylko jeden szczegół nie pasował do planu. Brakowało jednego auta, co oznaczało, że wciąż nie było z nimi Jonasza.



Polana pachniała kwiatami i naftą.

Cyprian wiedział, że za tę pierwszą woń odpowiadały przede wszystkim przepiękne girlandy, zawieszane między drzewami i oplatające pnie oraz drewniany stelaż rozstawiony nad grobowym dołem. Drugi zapach z kolei pochodził od pochodni rozstawionych równo po okręgu tak, by oświetlały i zarazem wyznaczały granice uświęconej ziemi.

Wiał lekki wiatr. Rozkołysane płomienie budziły do tańca cienie na ścianie lasu, a zwisające z gałęzi ozdoby kołysały się, brzęcząc i klekocząc. Niektóre z nich wyglądały upiornie, jak choćby pakułowe lalki o paciorkowatych oczach czy drewniane dzwonki splecione na kształt małych szkieletów. Ale były też zjawiskowe łapacze snów, w których nitki wpleciono cyrkonie i lśniące w ogniu szkiełka, oraz intrygujące totemy z kory i mchu zamocowane tak, że wyglądały jak twarze drzew, upodabniając pnie do baśniowych entów.

Cyprian wszedł w krąg i wolno ruszył w stronę prostokątnego podwyższenia, z którego miał prowadzić uroczystość. Idąc, myślał o tym, co wkrótce się wydarzy, o tym, że być może za niecałą godzinę zmieni się jego życie. Rozważał różne scenariusze, ale... kompletnie nic nie czuł. Zupełnie jakby zajście z Klarą było kroplą przepelniającą czarę. Nie bał się, ale też wcale się nie ekscytował. Miał wrażenie, że musi się zmuszać do każdego kroku, bo ogarnia go jakieś odrętwienie, emocjonalny paraliż. Już raz mu się to przydarzyło, wtedy, pod ziemią, gdy zabrakło mu sił, żeby krzyczeć.

Spodziewał się, że będzie na miejscu pierwszy i w spokoju powtórzy sobie przemowę, ale gdy doszedł do połowy kręgu, zza stelaża wyłonił się Jakub. Podobnie jak Cyprian, był już ubrany w rytualny strój, jednak na nosie wciąż miał okulary, których szkła odbijały blask ognia. Wyglądał przez to jak pałająca gniewem postać z kreskówki. Przywitał go, wznosząc rękę.

– Sprawdzalem bloczki – wyjaśnił. – I mocowanie platformy, żeby się nie osunęła.

– I co? Nie osunie się? – zapytał Cyprian, właściwie tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Nie powinno.

Jakub obszedł dół i usiadł na podeście. Zgarbił się, oparł ręce na kolanach i westchnął ciężko. Cyprian zajął miejsce obok niego.

– Kamaz wie, że tu jesteś? – zapytał.

– Sam mnie wysłał. Chce, żeby wszystko było tip-top.

– Trochę jakby mi nie ufał. W końcu to ja za wszystko odpowiadam.

Jakub wzruszył ramionami i to był jego jedyny komentarz.

Cyprian powiódł wzrokiem po ścianie lasu. Zastanawiał się, czy ci, którzy mieli go stąd wyciągnąć, już tam czekali. Pewnie nie, było za wcześnie i za jasno, ale mimo to ze dwa razy podążył wzrokiem za migotliwym cieniem, przekonany, że właśnie kogoś dojrzał. Wolałby nie, bo skoro on byłby w stanie ich zauważyć, to Kamaz czy Jonasz zobaczą ich na pewno. Poza tym obawiał się, czy nie wpadną na idiotyczny pomysł porwania go stąd teraz, korzystając z okazji i nie bacząc na los Magdy.

– Powiem ci, że jak widzę taką podwójną skrzynię, to zaraz mi się przypomina tamto i aż mnie ciarki przechodzą – powiedział Jakub.

– Tamto? – nie zrozumiał.

Jakub przyjrzał mu się zaskoczony.

– Czekaj, od kiedy ty z nami jesteś? – zapytał i zaraz klepnął się w czoło. – No tak, możesz nie wiedzieć. No więc do tej pory tylko raz robiliśmy w rodzinie podwójną skrzynię.

Tym razem Cyprian się zdziwił.

– Myślałem, że to pierwszy taki rytuał.

– Taki owszem. Tamten był zupełnie inny i miał miejsce wtedy, gdy odchodził młody Jonasz.

Jakub zdjął okulary i sięgnął do rąbka koszuli. Cyprian czuł całym sobą, że nie chce tego słuchać, ale jednocześnie głos w głowie przekonywał go, że wkrótce będzie musiał o tym wszystkim mówić przed prokuratorem i wtedy przyda się każda historia. Zresztą co miał tu innego robić? Stać i patrzeć na zapalone pochodnie?

– No więc zacznijmy od tego, że wtedy nie było skrzyni, tylko prawdziwa trumna – zaczął Jakub. – Wiesz, że on umierał na raka, nie?

– Tak, wiem.

– A o tym, że strasznie się bał umierania, też wiesz?

– A jest ktoś, kto się nie boi?

– Nie wiem, może naprawdę starzy ludzie? – Jakub wzruszył ramionami. – Ale on się bał potwornie, dlatego tak długo walczyli. Wydaliśmy chyba wszystkie nasze pieniądze, a Kamaz zaczął nawet pracować ze złymi ludźmi. Wszystko po to, by uratować Jonasza. I powiem ci, jeśli miałeś kiedyś wątpliwości, że ten olbrzym naprawdę nas kocha, to wtedy... Wtedy to było widać.

Cyprian pokiwał głową, ale ani myślał odpowiadać. Czuł, jak piecze go gardło.

– Tyle że nie dało się dłużej. Wiedzieliśmy, że umiera, że to już koniec. Prosił, żeby go zabić, ale Kamaz się nie zgodził. Powiedział, że Jonasz powinien zbratać się z ziemią świadomie, jeszcze za życia, odrodzić się w niej na swoich zasadach. A potem wziął mnie, starego Jonasza i chyba Aldonę, powiedział, że to już czas, że nie ma co przeciągać i trzeba dać młodemu odejść. Bo on już nie żyje, po prostu boi się to przyznać. Boi się puścić życia i powinniśmy mu pomóc.

Cyprian od razu pomyślał o matce, o tym, jak Kamaz nazwał ją duchem, ale nawet ta myśl, choć dotknęła nerwu, jakiegoś bolesnego miejsca, nie przebiła skorupy odrętwienia. Wciąż był jak znieczulony.

– Kazał mi wtedy zrobić trumnę – kontynuował Jakub. – Dużą, żeby zmieścili się tam obaj. Obiecał jego ojcu, że nie opuści Jonasza, a potem...

Cyprian odwrócił się wyraźnie zaskoczony.

– Kamaz się z nim zakopał?!

– Tak. I leżał z nim ponad dobę, aż tamten umarł. Trumna miała dodatkowo taki dzwonek i... Czekać, bo chyba już idą.

Wskazał ręką grupę postaci zmierzających drogą. Kobiety ubrane w jasnobrązowe suknie, z wielkimi wiankami na głowach, mężczyźni w brązowych spodniach i sznurowanych koszulach. Każdy z wisiosem i nożem zwisającym u pasa. Wraz z nimi dzieci. Wszyscy boso.

Wyrastający ponad nich Kamaz prowadził Klarę i Igora. Ona w białej sukni i płaszczu z tej odległości wcale nie sprawiała wrażenia odurzonej. On miał swoje ubranie, poprzedniego dnia barwione na czarno.

Wyglądali, jakby szli do ślubu.

Wypadek czeskiej ciężarówki na autostradzie i związane z nim usuwanie szkód oznaczało korek na kilka kilometrów i ponad godzinę stania.

Jonasz nie przejął się tym zbyt. Przed wyjazdem z Katowic zatrzymał się na stacji, skorzystał z łazienki i zaopatrzył się w hot doga, dwie puszki coli oraz dwie czekolady. Miał więc zapasy, pusty pęcherz i czas, żeby w spokoju pomyśleć o tym, co usłyszał.

Wszystko wskazywało na to, że Krach był kimś w rodzaju pośrednika bądź podwykonawcy dla różnej maści przestępczych działań. To, że jednocześnie szukał informacji o rodzinie i ogarniał skok na Silesię, korzystając w dodatku z usług lokalnych złodziei, potwierdzało jego biznesową wszechstronność. Pytanie, dlaczego interesował się właśnie nimi i dlaczego właśnie teraz.

Oczywiście mogło chodzić o Sobierady, ale intuicja podpowiadała Jonaszowi, że to nie ten trop. Może zatem chodziło o dawne kontakty Kamaza. Na szkoleniach i wykładach poznawał różnych ludzi, bywało, że z tym czy z tamtym dzielił się swoimi planami i wizjami na zbratanie rodziny. Co prawda zwykle wcześniej z nim o tym rozmawiał, ale coraz pewniejszy siebie Kamaz mógł przecież uznać, że to już niepotrzebne.

Ostatnio częściej lekceważył Jonaszowe uwagi odnośnie do bezpieczeństwa, załatwiał sprawy ostrzej i śmieiej. Może decyzja o zmianie domu, ściągnięciu uciekinierów i zebraniu całej rodziny w jednym miejscu była krokiem do czegoś więcej? Do następnego etapu, który dla nich wymyślił?

Czy to możliwe, że Kracha zatrudnił potencjalny kontrahent, by ich sprawdzić? I jeśli tak, to pod jakim kątem? Czym mieliby się zajmować?

Jonasz rozważał w głowie wszystkie warianty, ale bez rozmowy z Kamazem były tylko nic niewartymi przypuszczeniami. Znał go, potrafił czasem kończyć jego zdania i czytać emocje z jego twarzy. Wiedział też, że nie kierują nim chęć bogactwa, zysku czy głupie żądze, tylko dobro rodziny. Zarazem jednak już dawno pogodził się z tym, że nie umie rozgryźć, co tamten przez owo dobro rozumie.

Opóźnienie zwiększyło się do prawie dwóch i pół godziny, co zaczęło stanowić problem. Najpierw dały o sobie znać kawa i dwie cole, potem dręcząca go wizja, że się spóźni. Kilka razy próbował się dodzwonić do Kamaza, ale dowiedział się jedynie, że abonent jest czasowo niedostępny.

Gdy mniej więcej o czasie dotarł do domu, zrobiło się niemal całkowicie ciemno i okazało się, że wszyscy udali się już na polanę. Kamaz podobno był zły z powodu jego nieobecności i kazał Tomeczkowi przekazać, że bez Jonasza nie zaczną, dlatego szybko się przebrał. Nie uśmiechało mu się całej drogi pokonywać boso, więc z przedsiönka zabrał stare klapki, które zamierzał zostawić przed wejściem do lasu.

Szedł szybko, dwukrotnie mało się nie potykając. Był zły – zaplanował rozmowę z Kamazem jeszcze przed rytuałem, żeby w trakcie nie gryzły go te wszystkie wątpliwości, a przecież ledwie się tam pojawi, zaraz zaczną.

Doszedł do ściany lasu i już miał skrócić na drogę, gdy między drzewami wyczuł jakiś ruch.

Przystanął i wyteżył wzrok, wpatrując się w ciemność. Oczywiście mogło to być przewidzenie albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, zwierzę, ale równie dobrze mogli przechodzić tędy przypadkowi gapie. Na przykład cieć z ośrodka albo sprzątaczką. Gdyby zobaczyli to, co zaraz miało się wydarzyć na polanie, plotki w okolicy uderzyłyby w rodzinę mocniej niż w Sobieradach. A to było ostatnie, czego teraz potrzebowała.

Rozglądał się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie zdjął klapki i ostrożnie ruszył drogą. Szedł wolniej, uważnie nasłuchując, niczego podejrzanego jednak już nie usłyszał. Zaraz zresztą do jego uszu doszedł gwar z polany i Jonasz zobaczył migotliwe światło rozstawionych pochodni.

Najwyraźniej nie tyle czekali na niego, ile po prostu nie zdążyli ze wszystkim na czas, bo wciąż trwały ostatnie przygotowania. Hanna i Maria rozkładały jedzenie na kocach pełniących funkcję stołów, a otoczona wianuszkami dzieci Aldona pouczała je, jak mają się zachować w nowej sytuacji.

Miejsce na lewo od drewnianego stelaża zajęli Marcel z gitarą i Kalima z bębnami oraz mała Oliwka z dwoma barwnymi grzechotkami, przypominającymi miniaturki totemów. Na pniakach przed podestem siedzieli Klara i Igor, a za nimi, jakby w charakterze ślubnych świadków, Robert i Łukasz.

Kamaz stał nieco na lewo, rozmawiając z Jakubem i Cyprianem, ale dostrzegłszy Jonasza, zamachał do niego i ruszył w jego stronę. Spod

rozchełstanej koszuli wystawał mu wisior z kojotem, ale jako jedyny z uprawnionych nie miał przypasanego do boku noża. Pomalował za to już twarz, znacząc czarne obwódki wokół oczu i białe kreski ciągnące się od czoła po brodę.

Dla pozostałych malowanie miało być elementem rytuału, jeszcze przed właściwą jego częścią. W tym celu zaraz za plecami Łukasza i Roberta rozstawiono miseczki z farbą. We właściwym czasie każdy, dorosły czy dziecko, podejdzie i nałoży farbę na twarz, w zależności od tego, co właśnie będzie czuł. Biel oznaczała spokój, żółć – radość, czerń – smutek, a czerwień – gniew. Tylko Cyprian jako mistrz ceremonii nie mógł wybierać. Jego twarz już za chwilę miała się pokryć bielą.

– Już się martwiłem, że nie dotrzesz – powiedział Kamaz, gdy zbliżył się na tyle, że nie musiał krzyczeć. – Powiesz mi teraz, gdzie cię wywiało?

– Myślę, że szykuje nam się dłuższa rozmowa – odparł Jonasz. – Dostałem cynk od dawnego kolegi, że ktoś za nami węszy, i...

– Po uroczystości, dobrze? – Olbrzym położył starszemu mężczyźnie rękę na ramieniu. – Godzina czy dwie różnicy nam nie robi, prawda? Chyba że zrobi?

Jonasz zastanawiał się przez kilka sekund, w końcu potrząsnął głową.

– Myślę, że nie robi – odparł.

Drelich odetchnął, gdy przez lornetkę zobaczył najpierw zielonego Citroëna, a potem wysiadającego z niego Jonasza. Odczekał, aż tamten wyjdzie z domu i ruszy w stronę polany, po czym spakował sprzęt i zszedł z ambony. Nie musiał już dbać o ciszę, więc dystans dzielący go od niewielkiego zagajnika za domem Kozdrasiów pokonał truchtem. Tam przystanął za drzewem i włączył podgląd na polanę. Kiedy Jonasz pojawił się w zasięgu kamer, Drelich wybrał numer Kracha.

– Wchodzę do akcji, łączność tylko awaryjna – powiedział, gdy tamten odebrał.

– Przyjąłem. Chłopcy również w gotowości.

Rozłączył się, schował telefon do plecaka, a następnie włożył czarną bawełnianą kominiarzkę tak, by przypominała zwykłą czapkę, i podbiegł do domu. Odczekał chwilę, rozglądając się, po czym schylony ruszył wzdłuż ściany.

Przystanął pod oknami gabinetu, upewnił się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, i pchnął pierwsze z nich. Ani drgnęło, przesunął się więc do następnego. To ustąpiło pod naporem i zaraz zatrzymało się na zaciągniętej zasłonie. Drelich jeszcze raz się rozejrzył, po czym sprawnie się podciągnął i z parapetu wśliznął się do środka. Z plecaka wyjął małą latarkę, zestaw wytrychów, duży prostokątny woreczek z zapięciem strunowym, mikrofon ze słuchawką oraz smartfona.

Z dwoma pierwszymi przedmiotami przeszedł za biurko i znalazł zamkniętą na klucz szafkę, o której mówił Cyprian. Włączył latarkę, chwycił ją zębami, po czym za pomocą wytrychów szybko uporał się z prostym zamkiem. Pobieźnie przejrzał leżące w środku dokumenty, ale i tak wszystkie spakował do woreczka. Następnie ściągnął obudowę komputera i wypiął nieprzykręcony dysk twardy. Jego również włożył do woreczka, a potem zapiął go i wsadził do plecaka wraz z latarką i wytrychami.

Założył włączoną słuchawkę z mikrofonem, w smartfonie wybrał odpowiednią aplikację, a w niej funkcję „obraz live”. Na ekranie pojawił

się komunikat, że kamera jest wyłączona. Westchnął.

– Magda, jestem na miejscu – powiedział do słuchawki. – Jeżeli mnie słyszysz, włącz kamerę.

Nic się nie wydarzyło. Drelich na wszelki wypadek upewnił się, że aplikacja się nie zawiesiła i telefon ma dostęp do sieci.

– Magda, jeżeli mnie słyszysz, włącz kamerę.

Znowu bez żadnej reakcji, co dla Drelicha było jasnym sygnałem, że pora przejść do planu B. Na wszelki wypadek jednak włączył na chwilę tryb samolotowy, po czym znowu się połączył.

Tym razem aplikacja zadziałała, pokazując mu rozpixselowany, częściowo zasłonięty palcem obraz – wewnątrz salonu z perspektywy kanapy. Od dołu Drelich widział kawałek ławy, skrajnie po prawej poręcz schodów, a po lewej odsunięte krzesło i nogawkę spodni mężczyzny. Na wprost znajdowało się wejście do kuchni.

– Wszystko działa, Magda, mam obraz. Teraz zadam kilka pytań. Na „nie” poruszasz kamerą na boki, na „tak” w górę i w dół. Tylko delikatnie, by nie wzbudzić podejrzeń. Zrozumiałaś?

Kamera poruszyła się. Zobaczył kawałek sufitu, a zaraz potem więcej ławy i opuchniętą nogę Magdy.

– Dobrze. Czy oprócz ciebie i Tomeczka ktoś jeszcze został w domu?

Kamera drgnęła na boki. Na ekranie najpierw pojawiła się większa część schodów, a potem mężczyzny. Siedział bokiem do stołu i pochylał się skupiony na czymś małym, co trzymał w rękach.

– Magda, czy Tomeczek trzyma telefon?

Ruch kamery: sufit. Ława. Sufit.

Drelich był na to przygotowany, bo Cyprian o tym wspomniał, ale dopiero teraz zakodował, że urządzenie nie leży po prostu w mieszkaniu, tylko jest w bezpośrednim zasięgu. Nie stanowiło to jednak większego problemu. W ciągu najbliższych minut wszystko musiałyby pójść spektakularnie źle, by Tomeczek miał okazję z niego skorzystać.

Z plecaka wyjął klucz do gabinetu. Cicho i ostrożnie wsunął go do zamka.

– Odliczę od trzech do jednego, potem powiem słowo „już,” a ty głośno zapytasz Tomeczka, czy może ci zrobić kanapkę. Trzymaj wtedy kamerę tak, żebym go widział. Potwierdź, że zrozumiałaś.

Potwierdziła. Drelich chwycił za klucz.

– Trzy, dwa, jeden. Już!



Usłyszał jej przytłumiony głos i w tym momencie przekręcił zamek. Rozległ się szcęk. Drelich zerknął na wyświetlacz. Tomeczek właśnie się podnosił.

– Kamera na drzwi – polecił Drelich. – I tak trzymaj cały czas.

Obraz rozmazał się od szybkiego ruchu. Po chwili na ekranie pokazały się szerokie plecy mężczyzny zmierzającego do kuchni.

Drelich zdjął mikrofon, naciągnął kominiarkę i skulony wyszedł na korytarz. Po przejściu dwóch metrów wzdłuż ściany zerknął na ekran. Tomeczka nie było w świetle drzwi, więc poderwał się, szybko pokonał otwartą przestrzeń i ukrył się za winklem. Po lewej miał teraz uchylone drzwi do garażu, za sobą wiatrołap i drzwi wejściowe do domu.

Przywarł do ściany, położył telefon na podłodze i patrząc w ekran, czekał.

Na ekranie smartfona pojawił się Tomeczek. Wychodził z kuchni, niosąc talerz z kanapkami oraz nadgryziony kawałek kiełbasy, którą uniósł, głupio się szczerząc.

– Jakby co, ty zjadłaś, dobra? – powiedział z pełnymi ustami. – Kobiecie w ciąży wybacza się więcej.

– Jasne – odpowiedziała Magda, siląc się na wesołość.

Raz po raz zerkała nerwowo w kierunku Drelicha, więc uznał, że nie ma na co czekać. Odkleił się od ściany i jak najciszej ruszył w stronę mężczyzny.

Był spięty, ale nie zdenerwowany, bo robił to już przecież wiele razy i palce same wskoczyły na odpowiednie struny. Wiedział, że Tomeczek jest prawdopodobnie silniejszy od niego, brał udział w bójkach i pewnie nie bał się zadawać ciosów, ale byli podobnego wzrostu, więc element zaskoczenia i doświadczenie Drelicha stanowiły większy atut niż sama siła.

Jedyne, czego musiał się teraz obawiać, to reakcja Magdy, która go przecież widziała. Czy w jej mimice, ukradkowych spojrzeniach będzie coś, co go zdradzi? Co, jeśli Tomeczek zareaguje i się odwróci? Drelich był już w połowie drogi między nim a kuchnią, a jego przeciwnik niemal przy samej ławie. Jeszcze tylko trzy kroki i zaraz się schyli, by postawić talerz na ławie, co utrudni dostęp do jego szyi i ramion.

I wtedy właśnie za jego plecami rozległ się głośny kobiecy krzyk:

– Tomek, uważaj!

Wojtek od początku chciał zająć miejsce jak najdalej od dołu, dlatego starał się zejść Kamazowi z oczu. Bał się, że gdy tamten go dostrzeże, zechce kontynuować proces edukowania go i każe mu na przykład pomagać w zamykaniu wieka skrzyni albo opuszczania jej na linach w głąb grobu. Przerazało go to bardziej niż fakt, że lada chwila dwoje ludzi zostanie zakopanych żywcem, ale na to drugie nie miał już najmniejszego wpływu. Tu mógł chociaż próbować unikać olbrzyma.

Rozglądał się za Wiktoria. Po tym, co powiedziała wtedy na trawie i po wyjeździe Zosi, zaczął ją traktować trochę jak bratnią duszę. Miał nadzieję, że staną gdzieś razem na uboczu i jakoś przetrzymają ten rytuał. Nawet jeżeli on miałby to przeżywać, a ona tylko się nudzić.

Wiki jednak nigdzie nie było. Przez jakiś czas myślał jeszcze, że może pojechała z Jonaszem, ale ten już wrócił i lada moment wszystko miało się zacząć, a jej ciągle brakowało.

Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien zgłosić jej nieobecność, ale uznał, że to zły pomysł. Raczej nie sądził, by coś mogło jej się stać, a jeżeli zniknęła wbrew woli Kamaza, mogły ją czekać kłopoty. Nie chciał jej na to narażać.

Te wszystkie rozmyślenia przerwał Kamaz, wstępując na platformę i unosząc ręce. Na jednej, podobnie jak Wojtek, miał opatrunek, który przypominał o ich rozmowie na polu i złożonej wtedy obietnicy.

Natychmiast ucichły wszelkie szmery i wszyscy zwrócili się w jego stronę. Wojtek też, choć zanim to zrobił, miał wrażenie, że coś mignęło między drzewami. Czy możliwe, że to była Wiktoria? A może raczej jakieś zwierzę lub wrażenie wywołane pochodniami?

Odepchnął od siebie tę myśl i skupił wzrok na Kamazie.

– Kochani, najwyższa już pora rozpocząć to wspaniałe wydarzenie – powiedział olbrzym donośnie, głosem nawykłym do publicznych przemówień. – Wspaniałe ze względu na to, co przyniosą nam związane z nim poświęcenie i trud.

Schylił się i wziął od Jakuba niewielką miskę, a następnie skinął na Cypriana, zachęcając go, by do niego dołączył.

– Za chwilę będzie mówił Cyprian – kontynuował. – Nasz brat, który zaprosił nas na tę ziemię i sprawił, że możemy nazywać ją domem. Brat, który zna to miejsce jak nikt inny. I to on dziś przeprowadzi nas przez uroczystość. A gdy wszystko się skończy, znowu będziemy pełną, zdrową, kochającą się rodziną.

Podniosły się okrzyki, a olbrzym skinął na muzyków. Zabrzmiały pierwsze takty wesołej, orientalnie brzmiącej muzyki, Cyprian zanurzył dłonie w trzymanej przez Kamaza misce z białą farbą, po czym przyłożył je do twarzy. Gdy je cofnął, olbrzym powiedział coś cicho ze śmiechem, a on pokiwał głową i pewnie zgodnie z poleceniem wytarł dłonie o jego koszulę.

Klara i Igor wciąż siedzieli. Ona patrzyła przed siebie, lekko przechylona, on na Aldonę, która trzymała na rękach ich wyrywającego się synka. Chłopiec jeszcze nie płakał, ale mówił już coraz głośniej, że chce do mamy. W końcu stojąca obok Hanna zaczęła rozpraszać chłopca trzymaną w dłoni zabawką i ten umilkł.

Kamaz zszedł z podestu, zajął miejsce między Jakubem a Jonaszem.

Cyprian zamarł, czekając zapewne na sygnał, a potem wzniosł ręce. Jego ociekająca białą farbą twarz wyglądała teraz z daleka jak topiąca się, woskowa maska.

– Zebraliśmy się tutaj... – zaczął, ale urwał, zatrzymując wzrok na ścianie lasu. Zawiesił się na sekundę czy dwie, po czym spróbował jeszcze raz: – Zebraliśmy się...

Bruno się rozplakał, więc Aldona zasłoniła mu usta ręką i odeszła na bok, tłumacząc chłopcu coś na ucho. Nie dało to za wiele, mówiła zatem coraz głośniej, mocniej dociskając dłoń do twarzy małego. To nie mogło przynieść dobrego rezultatu, ale Wojtek bał się wtrącić. Nie chciał po raz kolejny podpadać Aldonie, nie po tym, co powiedział jej w Niemczech. Jeszcze bardziej pożałował, że nie ma tu Wiktorii. Ona by zareagowała. Ona by się wtrąciła.

Tuż przed nim prawie czteroletni Błażej pociągnął stojącą obok Marię za sukienkę, pokazując jej palcem na las. Kobieta kucnęła, zerknęła w stronę wskazanego miejsca, po czym zaczęła coś chłopcu tłumaczyć.

– ...by odnowić śluby Klary i Igora – mówił z podestu Cyprian – którzy kiedyś byli jednym, ale coś w ich życiu...

– Udusisz go, ty pierdolona dziwko! – wrzasnął nagle Igor, podrywając się z miejsca. – Mało ci, kurwo, że swoje zabiłaś?!

Wywinął się zwinnie Robertowi, który złapał go za ramiona, próbując usadzić, a potem uderzył, trafiając go w szczękę tuż pod uchem. Wojownik zatoczył się, ale zanim Igor zdołał wykorzystać zdobytą przewagę, Łukasz kopnął w pień Klary. Kiedy kobieta się przewróciła, Igor zareagował zgodnie z przewidywaniami, rzucając się w stronę żony, po czym Łukasz naskoczył mu na plecy, oplatając ręką szyję.

I właśnie wtedy od strony lasu błysnęły reflektory i światła latarek. Coś huknęło raz, potem drugi, trzeci i nagle wszędzie pojawił się dym.

Drelich nie powstrzymał pierwszego odruchu i obejrzał się przez ramię, by zidentyfikować źródło krzyku. W progu drzwi do garażu zobaczył chudą łysą dziewczynę i tym samym stracił całą przewagę. Tomeczek bowiem, choć na krzyk zareagował nieco wolniej, zdążył się już odwrócić. Teraz miał przed sobą przeciwnika, sojuszniczkę i jasny ogląd sytuacji, w głowie zaś żadnych wątpliwości, co powinien zrobić.

Cisnął w Drelicha talerzem, a gdy ten się zasłonił, rzucił się ku niemu z krzykiem, po czym wybił się i skoczył. Nie było czasu na reakcję. Odległość między nimi była za mała, by Drelich zdążył zejść mu z drogi, zresztą z lewej i tak blokowały go schody, a z prawej odsunięte od stołu krzesła. Stukilowy sekciarz wpadł więc prosto na niego i całym swoim ciężarem obalił na podłogę.

Uderzenie odebrało Drelichowi dech. Przez kilka cennych sekund zupełnie zatracił świadomość, gdzie jest i co się właśnie stało. Widział nad sobą wściekłą twarz, czuł przygniatający go ciężar, ale zupełnie nie potrafił tego ze sobą połączyć. Miał wrażenie, że świat zwolnił, światło się rozwarstwiło, a dźwięki wokół dochodzą z jakiejś głębokiej studni.

Dopiero potężny, oślepiający cios, wymierzony prosto w twarz, zadziałał na niego otrzeźwiająco. Drelich poczuł, jak wokół oka rozrywają mu się naczynka, a krew rozlewa się pod skórą, ale przynajmniej osobne obrazy złożyły się w jeden i natychmiast wszystko sobie przypomniał.

Kolejny cios. Drelich osłonił się niezdarnie, wijąc się i skręcając tak, by zająć dogodną pozycję. Po kilku ruchach wysunął się na tyle, by opleść przeciwnika nogami.

Tomeczek próbował go przytrzymać, zablokować, a gdy wreszcie zadał trzeci cios, Drelich był gotowy. Zamiast przyjąć uderzenie na gardę, przechwycił je, łapiąc atakującego za prawą rękę. Jednocześnie szarpnął się, uniósł nogi, jakby chciał wykonać przewrót w tył, i błyskawicznie skręcił tułów. Jego prawa noga znalazła się pod lewą pachą przeciwnika, druga poszła nad ramieniem, zahaczając zgięciem kolanowym o szyję.

Trudno było stwierdzić, czy Tomeczek wiedział, co się dzieje. Na pewno wierzgnął, próbując się podnieść, ale w tym momencie nie miało to już znaczenia, bo Drelich mocnym szarpnięciem dociągnął dźwignię na jego prawy łokieć.

Chrupnął staw i wojownik rodziny zawył z bólu. Zesztywniał, jakby go przeszył prąd, i zaraz potem zwiotczał, co Drelich od razu wykorzystał, by przekręcić go na bok. Następnie wyrzucił biodra do góry i z całej siły pociągnął zakleszczoną rękę na siebie. Po sekundzie usłyszał trzask i krzyk przechodzący niemal w wycie, a dłoń Tomeczka opadła bezwładnie na jego pierś.

Niemal w tej samej chwili rozległ się wrzask, który zlał się z pełnym bólu zawodzeniem. Drelich wiedział, że dziewczyna właśnie rzuciła się do ataku. Nie reagowała, gdy Tomeczek wygrywał, a trwająca kilka sekund kontrakcja najwyraźniej zdezorientowała ją na tyle, że nie była pewna, jak się zachować, by nie zaszkodzić. Teraz jednak podjęła decyzję i przypuściła atak.

Drelich przekręcił się na bok, zwijając się w kłębek tak, by łokcie dotknęły podciągniętych kolan. Zrobił to w samą porę, chroniąc się przed wyprowadzonym z biegu kopnięciem w głowę, takim samym jak to na parkingu, które pozbawiło go przytomności. Ułamek sekundy później oplótł ręce wokół łydki dziewczyny i docisnął do siebie, by ją w ten sposób wyrzucić.

Łysa jednak się nie dała. Drugą nogą przestąpiła nad nim, łapiąc tym samym równowagę, i ugięła kolana, siadając na nim okrakiem.

Dopiero wtedy Drelich dostrzegł nóż. Błyskawicznie puścił jej nogę i gdy uniosła rękę, by zadać cios, odwrócił się, przywierając łopatkami do podłogi.

Lewe oko napuchło mu już tak, że kompletnie nic nim nie widział, ale prawym wychwycił moment, kiedy dłoń z nożem zaczęła opadać. Zablockował atak lewym przedramieniem, a prawą ręką wykonał ruch w kierunku jej głowy, jakby wypychał kulę. Wszystkie te manewry naturalnie zepchnęły ich w lewo, co wykorzystał, płynnie przetaczając się na bok.

Nagle znalazł się na górze, lewą ręką dociskając do ziemi jej dłoń z nożem. Prawą miał wolną, więc uderzył z całej siły pięścią w twarz, raz, potem drugi. Kręciło mu się w głowie. Obraz przed jedynym sprawnym

okiem, częściowo zasłoniętym przesuniętą kominiarką, to ciemniał, to jaśniał, gubiąc ostrość, a w uszach szumiało mu od adrenaliny.

Chciał tylko, by straciła przytomność i wypuściła nóż, ale nie miał jak tego sprawdzić, bo przez to cholerne oko musiałby za mocno odwrócić głowę. Uderzył trzeci raz, ale nie trafił w twarz. Cios poszedł nisko, pod brodą, uderzając w krtań. I tym uderzeniem, jak się zaraz zorientował, Drelich ostatecznie domknął starcie.

– Policja! Na ziemię!

Wrzaski rozległy się nagle ze wszystkich stron, głośnie na tyle, że były w stanie przedrzeć się przez pisk w uszach wywołany serią huków. Niemal w tej samej chwili Jonasz zobaczył, jak z lasu wypadają uzbrojeni ludzie w pełnym rynsztunku oddziału AT. Jeden, drugi, trzeci...

– Gleba! Kurwa! Nikt się nie rusza! Na ziemię!

W pierwszej chwili doliczył się sześciu. Nie wiedział, ilu ma za plecami, ale choćby było tam drugie tyle, i tak wydawało mu się to za mało. Powinno być ich więcej. I powinni atakować o świcie, o swojej ulubionej porze. A może wiedzieli, że idą na nieuzbrojonych. W tych lnianych ciuszkach, które członkowie rodziny mieli na sobie, trudno byłoby cokolwiek ukryć.

Napastnicy poruszali się sprawnie, z bronią uniesioną wysoko, w każdej chwili gotowi do strzału. Dwóch z nich szybko powaliło na ziemię Damiana oraz Kalimę i zaraz potem Marcela, po czym skrępowało im ręce z tyłu. Kolejny sprowadził do parteru Wojtka, który stał mu na drodze, i Marię, wokół której zebrały się przestraszone dzieci. Ich antyterrorysta nawet nie dotknął, ale im również kazał kłaść się na ziemię.

Łukasz puścił Igora, zdążył się nawet odwrócić i trochę podnieść, ale zaraz zarobił kolbą w głowę i padł na ziemię. Roberta, który wciąż był na ziemi, przygnieciono kolanem i sprawnie spięto.

– Leżeć, kurwa! Wszyscy na glebę!

Jonasz chciał samemu się położyć, żeby oszczędzić sobie bolesnego obalenia. Wiedział, że w takiej akcji nie ma wyjątków, że zanim pojawi się ktoś z nakazem, wszyscy muszą zostać spacyfikowani. Dlatego jeśli zaraz sam się nie ruszy, ktoś kopnie go od tyłu w zgięcie kolan, uderzy w plecy lub w głowę, sprowadzi do parteru i skrępuje ręce jak całej reszcie.

Widział kiedyś, jak czarni ćwiczą, był świadkiem, jak wchodzą do akcji, wiedział więc, że najlepsze, co może teraz zrobić, to ułatwić im pracę.

Tyle że z jakiegoś powodu Kamaz, stanowiący przecież potencjalnie największe zagrożenie, wciąż stał. Krzyczeli na niego i celowali w jego



stronę, ale mimo wszystko zachowywali daleko posuniętą ostrożność. Bali się go? Bali się, że jeśli go ruszą, cała reszta się na nich rzuci, nie bacząc na własne bezpieczeństwo? Tego Jonasz nie mógł wiedzieć, ale skoro Kamaz stał tuż obok niego, on również nie zamierzał klękać. Przeniósł wzrok na olbrzyma.

Ten mrużył oczy i zaciskał pięści, a jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy wodził wzrokiem od jednego napastnika do drugiego, gdy patrzył na Cypriana kładącego się na podeście z rękami na karku czy Łukasza przygniecionego kolanem, któremu właśnie spinano ręce trytytką. Gdy słyszał okraszone kurwami polecenia, wrzaski kobiet, płacz przestraszonych dzieci.

Jest na granicy wybuchu, uświadomił sobie Jonasz. A jeśli on wybuchnie, wszystko zaraz skończy się rzezią.

– Wielki, kurwa, ogłuchłeś?! – Jeden z napastników skupił na sobie uwagę Kamaza. – Gleba, ale już!

Olbrzym tylko się uśmiechnął. Odchylił głowę w lewo i w prawo, jak przy rozgrzewce, a potem ruszył do przodu.

Drelich niepewnie stanął na nogach i zrobił dwa kroki, by oprzeć się o pobliską ścianę. Próbował wyrównać oddech, uspokoić walące serce. Poprawił przekrzywioną kominiarkę, wywołując tym samym eksplozję bólu wokół rozbitego oka. W pierwszym odruchu chciał ją zdjąć, ale przypomniał sobie o Tomeczku, który co prawda tkwił skulony i zawodził cicho, ale wciąż żył. I wciąż mógł go zapamiętać.

Spojrzał na martwą dziewczynę u swoich stóp, a później na osiłka ze złamaną ręką. Ku własnemu zaskoczeniu zobaczył też Magdę, która klęczała właśnie nad rannym niczym troskliwa mama czy żona. Coś do niego mówiła, ale cicho, a Drelichowi wciąż szumiało w uszach. Widział tylko przez mgłę, jak Tomeczek zwraca się ku niej i unosi głowę, jakby chciał przycisnąć ją do jej wielkiego brzucha.

To, co było w tej sytuacji kluczowe, Drelich dostrzegł niemal w ostatniej chwili, gdy ostrze w unoszącej się powoli dłoni Magdy błysnęło odbitym światłem.

– Poczekaj – wychrypiał.

Odepchnął się od ściany i idąc chwiejnym krokiem, obszedł Tomeczka. Położył ręce na ramionach Magdy, a następnie delikatnie wyjął jej z ręki nóż.

– Nie chcesz tego zrobić – szepnął. – Zaczynasz nowe życie. Nie chcesz brać ze sobą tego bagażu, wierz mi.

Skinęła głową, a on odsunął ją na bok, pochylił się nad mężczyzną i sprawnie założył mu duszenie. Już nieprzytomnemu spętał nogi oraz ręce, po czym wrócił do gabinetu po plecak, wziął komórkę ze stołu i swojego smartfona z przejścia w korytarzu. Podeszedł z powrotem do Magdy i chciał wziąć ją pod rękę.

– Nie potrzebuję pomocy – powiedziała.

– Ale ja tak. Chodź, musimy stąd wyjść.

Zanim to wszystko się zaczęło, Cyprian pomyślał o dzieciach. Wyobraził sobie, że gdy tylko pojawią się antyterrorysty, Kamaz zawoła je do siebie, a one przyjdą, bo przecież go kochają. Jest ich wspaniałym wujkiem. Klęknie pośród nich, zasłoni się nimi i każe atakującym się wycofać. Co wtedy zrobią? Czy są przygotowani na taki wariant? Czy zaryzykują śmierć dziecka?

To, co wydarzyło się później, pamiętał jak przez mgłę. Miał wrażenie, że w momencie, gdy na polanie pojawili się funkcjonariusze, wszystkie zablokowane, stłumione wcześniej emocje eksplodowały w nim niczym wypełniony wodą balon. W jednej chwili radość, nadzieja i przerażenie dały o sobie znać szumem w uszach, metalicznym smakiem w ustach i przyspieszonym biciem serca.

Wszystko, co widział, zatraciło wyraźny kształt, stało się plamą emanującą blaskiem bądź ciemnością. Czuł się jednocześnie tak lekki, jakby zaraz miał wznieść się ku niebu, i tak ciężki, że pod jego ciężarem mogły załamać się deski. Przed oczami przewijały mu się tysiące obrazów: matka przy bramie, zamykające się wieko trumny, blada twarz Magdy mówiącej, że zabije siebie i dziecko, wzrok Izy wtedy w garażu i twarz jej byłego męża. Widział to wszystko, a jednocześnie wciąż patrzył na ludzi z bronią powalających członków jego rodziny, ludzi, którzy byli tacy jak on.

Nie przypominał sobie też momentu, jak kładł się na podeście. Po prostu zamknął oczy, ale nie mogąc wytrzymać naporu obrazów cisnących się pod powieki, natychmiast je otworzył.

Był natomiast pewien, że to, co zobaczył zaraz potem, zostanie z nim do końca życia.

Uśmiech Kamaza, jego wzrok – zupełnie jakby o wszystkim wiedział, jakby się domyślił. A potem nagle ruch głową w lewo, w prawo, pierdolone tik-tak i pierwszy krok do przodu. Jak niemal zawsze, gdy sposobił się do ataku.

I w tej jednej chwili dla przerażonego Cypriana nie miało znaczenia, ilu zamaskowanych, uzbrojonych ludzi znajdowało się na polanie. Nieważne, jak będą krzyczeć, grozić karabinami, nieważne nawet, czy ich użyją.

Bo ten uśmiech, ten ruch głową potwierdzały coś, co każdy w rodzinie wiedział od dawna. Kamaz wygra. Kamaz zawsze wygrywa. Kamaz był ponad prawem. Kamaz stanowił prawo. Kamaz...

Olbrzym przystanął nagle. Cyprian widział teraz jego plecy i kark, na którym po chwili zaplotły się dwie potężne dłonie, jedna zdrowa i jedna z przybrudzonym opatrunkiem. On się... Jezu Chryste! Czy on się... poddawał?!

– Nie bójcie się – rozległo się nagle. Głośne, donośne, pokrzepiające i pełne siły. – Nic nam się nie stanie! Jesteśmy w tym razem!

A potem powoli osunął się na kolana i bez oporu pozwoił skuć. Dla niego, jak się okazało, mieli nie trytytki, a porządne, masywne kajdanki.

Cyprian chciał się jeszcze odwrócić, zobaczyć, co z Jonaszem, ale wtedy poczuł, jak ktoś nad nim staje, łapie go brutalnie i podnosi. Bojąc się ciosu kolbą, odruchowo zacisnął powieki. Po nogach spłynęło mu coś ciepłego i dopiero wtedy zorientował się, że się zsikał. W głowie kłębiło mu się od emocji. Wypełniały go strach i radość, wstyd i ulga, bezsilność i niezwykła, wyzwalająca lekkość.

Pamiętał, jak wyciągnięto go z tego zgiełku, pamiętał, że czuł zapach lasu, ból pod pachami, ściótkę gilgoczącą w boscie stopy. Pamiętał też, jak prawie otworzył oczy, gdy uderzył się w palec, i jak wrzucono go do auta, na miękkie skórzane siedzenie, a ktoś powiedział o nim, że chyba się złał.

– Nic nie szkodzi – odezwał się niski, przyjemny głos. – Miał prawo.

Dopiero wtedy odważył się spojrzeć. Gdy samochód ruszył i szczęknęły zamykające się automatycznie zamki, Cyprian usiadł. Na siedzeniu pasażera zobaczył postawnego brodacza z nadwagą, który wpatrywał się w niego z ciepłym, przyjacielskim uśmiechem.

– Dobry wieczór, panie Kozdraś – powiedział. – Z przyjemnością informuję, że pan i pana żona jesteście już bezpieczni.

Iza siedziała z telefonem w ręku, więc gdy tylko zadzwonił, natychmiast odebrała i dopiero w drugiej kolejności wyciszyła telewizor.

– I jak, udało się? – zapytała.

– Tak – powiedział Drelich. W tle słyszała jakieś szумы, trzaski i szelesty, jakby jej były mąż przedzierał się właśnie przez las. – Wyciągnęliśmy ich. Są cali i zdrowi. Krach już przejął oboje.

Odsunęła telefon od ucha, by nie słyssał, jak oddycha z ulgą. Właściwie dopiero przed chwilą, siedząc na tej cholerniej kanapie i zajadając nerwy chipsami jabłkowymi, uświadomiła sobie, że to pierwszy jego skok od wielu, wielu lat, w którym znała tak dokładnie czas akcji. Zapomniała już, jak bardzo jest to stresujące. Ta nagła cisza, każda minuta złożona z tysięcy sekund i cholerny, milczący telefon, na którym nieustannie sprawdza się kreski zasięgu. Nie tęskniła za tym. Nienawidziła tego chyba najbardziej na świecie.

– Przebieg akcji bez problemów? – zapytała.

– No właśnie nie do końca, dlatego dzwonię – powiedział i musiał przystanąć, bo trzaski i szумы ucichły. Miał bardzo zmęczony głos. – Nie mam numeru twojego taty, a chyba przyda mi się jego pomoc. Nie chciałem jechać z tamtymi, bo nie chcę tu zostawiać auta, ale...

– Stało się coś? Jesteś ranny?

– Nic poważnego – odparł. – Zarobiłem pod oko i spuchło tak, że nic nie widzę. Pomyślałem, że opatrzę się u niego, a on może weźmie moje auto z parkingu i...

– Przede wszystkim pokaż mu to oko – przerwała mu Iza. – Tata był piętnaście lat w Śląskim Związku Bokserskim, robi to lepiej niż ty sam. I jasne, już dzwonię. Gdzie jesteś?

– Właśnie docieram do przystanku autobusowego na wylocie miasta w stronę Ponderosy.

– OK, wiem gdzie. Czekaj tam.

Rozłączyła się i szybko zadzwoniła do ojca, który najwyraźniej również czekał, bo odebrał po pierwszym sygnale. Streściła mu sytuację.

– Jasne. Już po niego jadę – powiedział Lemańczyk.

Iza odłożyła telefon na ławę i wstała. Miała wrażenie, że jest naelektryzowana, że wszystko ją podskórnie swędzi. Zaczęła przechadzać się nerwowo po pokoju tam i z powrotem.

– Co się stało?

Aż podskoczyła. Zupełnie jakby w ciągu ostatniej godziny czy dwóch zupełnie zapomniała, że jest tu z córką. Tymczasem Zosia stała teraz w drzwiach pokoju, przyglądając jej się uważnie.

– To coś w Ponderosie, tak? – zapytała. – Porwali Cypriana i Magdę?

– Odbili – poprawiła Iza. – I tak. Właśnie przed chwilą.

– Coś się komuś stało?

W pierwszym odruchu chciała powiedzieć, że nie, że tata tylko lekko oberwał, ale uświadomiła sobie, że przecież tak naprawdę nie wie, a Zośka, mimo tego, co wcześniej usłyszała i co chyba powoli do niej docierało, może wcale nie pytać o odbijających.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Chyba nie, ale zaraz się dowiem. Tata zadzwoni...

– Co tam robi tata?!

Spojrzała na córkę z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Świadomość, że właśnie chlapnęła, dotarła do niej z opóźnieniem. Wiedziała już, że teraz każda sekunda zwłoki działa na jej niekorzyść.

– Tata pomagał przy tej akcji – powiedziała w końcu. – Któreś z nas musiało tam być jako łącznik.

Zośka przycupnęła na fotelu.

– Dasz mi z nim porozmawiać, jak zadzwoni?

– Nie wiem – odparła Iza i zaraz szybko wyjaśniła: – Nie wiem, czy będzie miał na to czas i czy uzna, że to dobry pomysł, ale... Daj mi skończyć. Na pewno zapytam go o Wojtka.

Córka przyglądała jej się przez chwilę, po czym skinęła głową.

– A mogę tu z tobą posiedzieć? – zapytała. – Aż zadzwoni?

– Pewnie, cały czas możesz. Siadaj. Chcesz coś do picia?

– Nie. Mój telefon... – zaczęła, a gdy Iza otworzyła usta, by jej przerwać, uniosła rękę. – Nie chodzi o to, byś mi go dała. Zobacz tylko, czy nie napisał.

Iza sięgnęła do tylnej kieszeni i wyjęła aparat. Spojrzała na wyświetlacz, po czym pokręciła głową i pokazała ekran córce.

– Jak tylko coś przyjdzie, dam ci znać, dobrze? – powiedziała. – Wtedy zadecydujesz, czy chcesz, byśmy ją razem przeczytały, czy nie.

Zośka nie zdążyła odpowiedzieć, bo znowu zadzwonił telefon. Iza podeszła do ławy, podniosła go i odebrała.

– No i jak? – zapytał Drelich. – Będzie?

– Tak. Zapomniałam potwierdzić, przepraszam. Już jedzie. Jak się czujesz? Kręci ci się w głowie? Masz jeszcze jakieś obrażenia?

– Nie, w porządku, ale nie mogę tu stać za długo, bo... Czekać, chyba jedzie. Zadzwonię później.

Iza zerknęła na córkę.

– Czekać, Drelich! Zosia pyta, czy z jej Wojtkiem wszystko w porządku.

Milczał. Minęła sekunda, dwie, trzy...

– Wtajemniczyłaś Zosię w akcję? – zapytał nagle chłodno, tonem, jakiego u niego nienawidziła. Niczym bezduszna, pozbawiona emocji pieprzona maszyna. – Nie uzgadnialiśmy tego.

Wiedziała, że nie może teraz wybuchnąć. Nie na oczach Zośki, nie w tych nienormalnych okolicznościach. Musiała zachować spokój.

– To jedno tylko powiedz i resztę przegadamy później, dobra? Co z Wojtkiem?

– Na polanie nie było ofiar – odpowiedział i się rozłączył.

Gdy Jonasz się zorientował, że czarni zabierają tylko Cypriana, nagle wszystko zrozumiał. Nie tylko kto, nie tylko jak, ale i dlaczego. To był ten ostatni klocek w układance, nad którą myślał od porannej rozmowy z Okulickim. I właśnie wskoczył na swoje miejsce.

Był wściekły na siebie, że wcześniej na to nie wpadł, bo teraz, gdy już rozumiał, wszystko wydało mu się oczywiste. A tak łatwo dałoby się temu zapobiec... Ile razy, jeszcze w Sobieradach, mówił, żeby się tu nie sprowadzać, żeby spokojnie wytrzymać, przejąć spadek i go spieniężyć. Pojechać na Podkarpacie, do miejsca, które Kamaz trzymał jako bezpieczny azyl w przypadku kłopotów. Gdyby tak nie cisnęli i rozegrali to inaczej, nie byłoby problemu. Mieliby pieniądze, możliwości, mogliby być sobą. Ale Kamaz musiał...

Nie, skarcił się w myślach. To nie był czas na obwinianie się za cokolwiek. Czekał ich teraz bardzo trudny czas, więc zdecydowanie powinni trzymać wspólny front. Dlatego podczołgał się do Kamaza, gdy tylko ostatni fałszywi antyterrorysty zniknęli w lesie.

– Zabrali Cypriana – powiedział. – To nie była prawdziwa policja, tylko...

– Cicho, patrz.

Jonasz spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył małą Oliwkę, która podnosiła się, wciąż wpatrzona w ścianę lasu. W przeciwieństwie do młodszych dzieci już nie płakała, choć na jej policzkach widniały wydrążone przez łyzy ślady, a pod nosem roztarte smarki. Teraz minę miała jednak zaciętą, a w dłoni trzymała nóż zabrany któremuś z dorosłych.

Widział, jak podeszła z nim do Marii i wcisnęła ostrze między jej ręce, by przeciąć plastikową opaskę. Za pierwszym razem próbowała to zrobić jednym ruchem, przez co mało się nie przewróciła, ale Maria coś wyszeptwała i dziewczynka zaczęła powoli piłować plastik.

– Niesamowita jest, prawda? – powiedział Kamaz z czułością. – Po prostu niesamowita. Zobacz, taka mała i...

– Wiem, kto to zrobił – przerwał mu Jonasz. – I wiem dlaczego.



Kamaz odwrócił głowę, by na niego spojrzeć. Uśmiechnął się smutno.

– To jest to, co mogło poczekać? – zapytał.

– Tak wtedy myślałem – odparł Jonasz. – Rzecz w tym, że...

Przysunął się nieco bliżej do ucha olbrzyma i streścił wszystko, co wiedział i czego się domyślał. W tym czasie Oliwka uporała się już z opaską Marii, a ta podniosła się z ziemi, wzięła od dziewczynki nóż i zabrała się do pracy. Teraz proces uwalniania się z więzów zaczął nabierać tempa.

– Brzmi wiarygodnie – powiedział Kamaz, gdy Jonasz skończył. – Ale teraz najważniejsze, że nikomu nic się nie stało. Dalsze kroki podejmiemy już w domu. Wojtek? Gdzie jest Wojtek?

– Tu jestem. – Wywołany podniósł rękę z nożem.

– Leć zobacz, jak tam wygląda sytuacja u Tomeczka. I weźcie z domu apteczkę, bo kilka osób oberwało po głowach.

– Jasne.

Chłopak podniósł się i pognął w stronę drogi.

Wkrótce ostatnim skrzępowanym był Kamaz, wobec którego użyto nie trytytki, a kajdanek. Jakub chciał się z nimi uporać za pomocą kawałka drutu z jednej z lalek, ale olbrzym stwierdził, że spokojnie ogarną to w domu. Dodał, że należy mu się za naiwność i łatwowierność, natomiast całej reszcie należą się przede wszystkim słowa otuchy.

Odwrócił się więc i wstąpił na podest. Stał na miejscu, gdzie na deskach znajdował się biały ślad twarzy Cypriana, i powiódł wzrokiem po zebranych.

– Nie zasłużyliśmy na to, co się stało! – zawołał. – I obiecuję wam, że weźmiemy odwet. Najpierw jednak musimy się przygotować, bo wiele wskazuje na to, że czeka nas trudny czas. Przetrywamy go, ale tylko wspólnie, jako rodzina. Tylko jako ludzie, którzy się kochają i mogą sobie nawzajem ufać. Ludzie, którzy...

Urwał, spoglądając na drogę. Właśnie pojawiły się tam światła reflektorów, ktoś krzyknął i przestraszone dzieci z piskiem zaczęły się wtulać w dorosłych.

Zaraz potem ram wpadł na polanę, wywracając trzy pochodnie. Za kierownicą siedział Wojtek, który zaraz po zatrzymaniu wyskoczył z auta.

– Wiktoria nie żyje! – krzyknął. – A Tomeczek mocno oberwał.

Zatrzymali się na bocznym parkingu, gdzie czekał na nich czarny suv – jak się okazało, samochód Kracha. Kierowca wysiadł, obszedł parking, świecąc latarką, zerknął do drugiego auta i uniósł kciuk na znak, że wszystko w porządku. Dopiero teraz Cyprian zobaczył, że mężczyzna ubrany jest tak samo jak ci, którzy go uwolnili, tylko nie ma na sobie kamizelki, a zamiast kasku nosi bejsbolówkę, skrywając twarz w cieniu daszka.

– Dobrze, drodzy państwo – powiedział Krach, odwracając się do nich i podając Cyprianowi reklamówkę. – Zatem teraz damy panu chwilę, żeby się pan przebrał, i przesiadamy się do drugiego wozu. Resztę drogi pokonamy już sobie we trójkę, a nasz kierowca dołączy do kolegów. Jemu też należy się odpoczynek. Mam nadzieję, że rzeczy będą pasowały, bo brane trochę na oko.

Złapał za klamkę i otworzył drzwi.

– Dla pani też mam, ale tylko jeśli pani sobie życzy, bo potrzeby nie widzę.

Stęknął, schylając się po woreczek z dokumentami oraz dyskiem, i wysiadł.

– Jak będą państwo gotowi, zapraszam, ale w miarę możliwości proszę nie przedłużać. Przed nami długa droga.

Cyprian patrzył za nim, jak odchodzi w stronę kierowcy i drugiego auta. Do reklamówki zerknął, dopiero gdy suv czknął i zapaliły się światła. Na wierzchu leżały zrolowane dzinsy z paskiem, koszulka i skarpetki z jakimś psem.

– Będziesz musiała puścić moją rękę – powiedział do siedzącej obok Magdy.

Zrobiła to powoli i niechętnie.

– Myślisz, że to już? – zapytała. – Że to naprawdę... Że się udało?

Doskonale wiedział, co Magda czuje, bo sam wciąż w to nie wierzył. Cały czas miał wrażenie, że za chwilę wszystko okaże się jedną wielką błagą Kamaza. Że to, co się stało, było tak naprawdę pieprzonym testem, a on po

prostu dał się podejść. Że Iza, która przyjechała z Kamazem jednym pociągiem, dała się namówić i...

Potrząsnął głową, zmuszając się do uśmiechu.

– Tak. Udało się. Jesteśmy wolni, Magdo. Nasze dziecko jest wolne.

Pogładziła się po brzuchu.

– Klara i Igor też tak myśleli, prawda?

– Pewnie tak – przyznał. – Ale oni nie kupili sobie ucieczki za kilka milionów.

Pochylił się i pchnął przednie siedzenie, robiąc sobie miejsce, a następnie zdjął koszulę i zasikane spodnie, po czym cisnął je pod nogi. Z torby wyjął nowe rzeczy. Ubrał się szybko i zawiązał buty. Mokrymi chusteczkami starł z twarzy część farby.

– Nie wysiadaj – powiedział, łapiąc za klamkę po swojej stronie. Wskoczył, obiegnął auto i otworzył jej drzwi. Podał rękę. – Chodź.

W suwie Magda usiadła z tyłu, on z przodu. Krach pożegnał się z kierowcą, wsiadł i sięgnął po pas.

– W podłokietniku jest lodóweczka, jakby państwo chcieli. Kanapki i batoniki w schowku. Przepraszam, że tylko takie ze stacji, ale dość szybko to wszystko organizowaliśmy.

– Nie szkodzi – odparł Cyprian. – I tak jesteśmy bardzo wdzięczni, że...

– Czy będziemy mieli kłopoty? – weszła mu w zdanie Magda. – Z powodu Wiktorii? Czy to może podważyć nasze zeznania?

Cyprian odwrócił się gwałtownie.

– Wiktorii? O co chodzi? Co się stało?

– Nie żyje – odpowiedziała spokojnie Magda.

– Zabiłaś ją?!

– Nie ja, ten facet, co po mnie przyszedł. Wyłamał też rękę Tomeczkowi.

– Chryste...

Krach nie odpowiedział od razu. Powoli wyjechał na drogę i na skrzyżowaniu skręcił w stronę miasta.

– Przede wszystkim proszę zapomnieć, że pani to widziała – odezwał się w końcu. – Bo tak, pani Magdo, ma pani rację. Gdyby powiedziała pani policji, że człowiek pracujący na zlecenie pana Cypriana kogoś zabił, mogłoby to zaszkodzić zeznaniom i wam w ogóle. Ale przecież równie dobrze zabójstwa mógł dokonać ten cały Kamaz, prawda? W ataku furii.

– Wtedy urwałby jej głowę – odpowiedziała Magda. – Ale rozumiem.

– Cieszę się. – Krach się uśmiechnął. – A skoro już jesteśmy sami, możemy szybko ustalić, co się teraz wydarzy, dobrze? Same najpilniejsze sprawy. Panie Cyprianie, czuje się pan na siłach?

– Tak, chyba tak.

– Świetnie. Zatem jedziemy do Warszawy, gdzie czeka na państwa bezpieczne mieszkanie.

– Co to znaczy bezpieczne? – zapytała Magda.

Krach zerknął na nią w lusterku.

– Widzę, że pani jest konkret. Podoba mi się – pochwalił. – Bezpieczne mieszkanie oznacza, że lokal mieści się na dwudziestym piętrze strzeżonego budynku, ma antywłamaniowe drzwi, system monitoringu... Mogę spytać, skąd ta sceptyczna mina?

Magda wzruszała ramionami.

– Znam Kamaza – odpowiedziała. – Więc jeszcze mnie pan nie przekonał.

– Rozumiem. A co by panią przekonało?

– Gdybyście go zabili.

Krach się roześmiał.

– Tego raczej nie było w zamówieniu. Mogę kontynuować?

– Tak, proszę – zachęcił go Cyprian. Otworzył schowek i sięgnął po kanapki z bekonem i jajkiem. Podał Magdzie, ale odmówiła, wyjął więc sobie jeden trójkącik i ugryzł.

– Dotrzemy do Warszawy w środku nocy. Państwo spokojnie się wyśpią i ogarną, a ja odezwę się jakoś po południu. Jest tam pełna lodówka, kablówka i internet. A, jest też jeden komputer i na razie jeden telefon, ale jak będzie trzeba...

– Po jednym wystarczy – zapewnił Cyprian.

– Dobrze, zatem po południu załatwimy najpilniejsze sprawy formalne, żebyśmy mogli ruszyć dalej. Tylko bardzo proszę nie opuszczać na razie mieszkania.

– To troska o nas czy pilnowanie, żeby inwestycja nie uciekła? – zapytała Magda.

Cyprian aż się zakrztusił, za to Krach tylko się uśmiechnął.

– Tego ostatniego się nie obawiam – powiedział, sięgając do pokrętła radia. – Nie stać państwa na to, żeby uciekać przed całym światem.

Po rozmowie z Tomeczkiem w kuchni Jonasz przeszedł do gabinetu. Od razu skierował się do otwartej szafki, przyjrzał się zawartości półek, sprawdzając, co zginęło, a potem obejrzał zamek w drzwiczkach. Ten był prosty, fabryczny, ale i tak otworzono go albo fachowo, albo kluczem. Pewnie tak samo jak drzwi wejściowe.

Odwrócił się i powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. Zasłona była częściowo odsłonięta, okno otwarte. Na podłodze leżała papierowa kulka, częściowo zgnieciona, która pewnie wcześniej blokowała je przed samoistnym uchyleniem. Miał więcej niż potwierdzenie, że sprawcy działali na zlecenie Cypriana i przy współpracy z nim. To nie było żadne porwanie i próba zmuszenia go do sprzedaży ziemi. To była zdrada.

Zrobił krok w stronę biurka, kucnął i sięgnął do komputera. Tak jak się spodziewał, brakowało twardego dysku. Kolejna rzecz, przed którą swego czasu ostrzegał. Kolejna, w której Kamaz, a wcześniej i syn, okazali się naiwnymi idealistami.

Westchnął i podniósł się, otrzepując ręce, a potem wrócił do salonu.

Byli tam wszyscy prócz Kalimy i Tomeczka, którzy wciąż siedzieli w kuchni. Cała rodzina wpatrywała się w milczeniu w Kamaza, gdy ten klęczał na ziemi, trzymając na rękach martwą Wiktorię. Przy nim sprawiała wrażenie zabawki, ot większej, szmacianej lalki, ozdoby jakich wiele spośród tych, które zostawili na polanie. Na jej opuchniętą, sinobordową twarz raz po raz skapywały jego łzy.

Trójka dzieci stała w pierwszym szeregu. Oliwka, czteroletni Błażej i jego równolatka Jula. To ona zapytała wcześniej Aldonę, co się stało cioci Wiktorii. Teraz szlochała tylko, pociągając co rusz nosem. Jonasz miał wrażenie, że nawet dzieciom zabrakło już tej nocy sił do krzyku i płaczu.

W końcu Kamaz wstał, przeniósł Wiktorię na kanapę i z czułością pogładził ją po policzku. Potem odwrócił się i powiódł wzrokiem po zebranych. Farba na jego twarzy rozmyła się, przez co wyglądał teraz naprawdę upiornie.

– Hanno, Lidko, zabierzcie dzieci na górę – zakomenderował. – Wszyscy do jednej sypialni. Mario, Barbaro i Marcelu, zasłońcie szczelnie wszystkie okna, a potem brać się do pakowania. Robercie, weźmiesz Aldonę i Wojtka i pójdziecie po broń. Ułóżcie w salonie i niech Wojtek pilnuje przed dziećmi. Jonaszu, Jakubie, Łukasz, chodźcie ze mną do gabinetu.

Zrobił krok w tamtą stronę, ale się rozmyślił.

– Nie, jednak na zewnątrz. Porozmawiamy przed domem.

Pozostali sprawnie wzięli się do powierzonych im zadań. Kobiety niczym kwoki zaczęły zaganiać dzieci na górę, Marcel wyprzedził ich, gnając po koce, a Barbara zaczęła przetrząsać szuflady w poszukiwaniu taśmy i klamerek, by mogli je potem mocować.

Jonasz wstąpił jeszcze na chwilę do kuchni, żeby dopytać Tomeczka o kilka szczegółów, które przysły mu do głowy. Gdy chwilę potem wyszedł przed dom i ujrzał, że tamci zgromadzili się pod jego drzewem, uśmiechnął się smutno. Zdziwiło go ukłucie żalu na myśl, że już więcej nie będzie pod nim siadał.

Sięgnął ku kieszeni, ale przypomniał sobie, że wciąż jest w rytualnym stroju. Westchnął więc i wolnym krokiem dołączył do pozostałych.

– O, jesteś – powiedział Kamaz. – Powtórz zatem ze szczegółami, czego się dowiedziałeś od tego policjanta. I wszystko, czego się domyślasz.

Jonasz streścił im rozmowy z Okulickim. Powiedział o skoku na Silesię, o tym, w jaki sposób wyszło, że za obie akcje odpowiada ten sam człowiek, i czego już dowiedział się na temat samego Kracha. Następnie przedstawił im teorię, że jego zdaniem Cyprian nie został porwany, tylko sam stał za wszystkim, na co wskazywały wykradzione dokumenty i dysk oraz otwarte okno w gabinecie.

Kamaz cały czas słuchał uważnie, skrywając emocje za upiorną maską z rozmazanej farby. Dopiero na wiadomość o dysku drgnął i zeszywniał. Złapał się za kark i zaczął go nerwowo masować.

– Nie możemy tu zostać – zdecydował, gdy Jonasz skończył mówić. – Musimy stąd zniknąć jeszcze tej nocy.

– Nie mamy czym – zaprotestował Łukasz. – Ram pomieści...

– Nie weźmiemy rama; jest zbyt charakterystyczny. Jonaszu, ci ludzie, od których braliśmy samochód na wycieczkę?

– Nie powinno być problemu. – Starszy mężczyzna skinął głową. – Mają też busy na dwanaście miejsc. Do tego potrzeba już innych uprawnień, ale myślę, że akurat z nimi jakoś to obejdziemy.

– Dobrze. Ty – zwrócił się do Łukasza – bierzesz odpowiedzialność za rodzinę, dopóki nie wrócę. Wiesz, gdzie ich zabrać, rozmawialiśmy o tym wielokrotnie.

– Tak, wiemy – powiedział Jakub. – I jasne, Kamaz, zadbamy o wszystko. Olbrzym spiorunował go spojrzeniem.

– Do ciebie nie mówiłem. Ty jedziesz ze mną.

Jakub natychmiast zwiesił głowę, cofając się o krok.

– Co z Klarą i Igorem? – zapytał Łukasz.

Kamaz zastanawiał się przez moment.

– To, co się stało, nie nastąpiło z ich winy – odparł w końcu. – Nadal mają szansę, by do nas w pełni wrócić, ale na razie musimy ich traktować jak potencjalnych zbiegów. Trzeba ich zatem związać i trzymać osobno.

– Dobra.

– Co zamierzasz zrobić? Dokąd chcesz jechać? – rzucił Jonasz, ale Kamaz go zlekceważył.

– Dopytajcie Kalimy, czy rękę Tomeczka da się w ogóle uratować – mówił dalej. – Jeśli tak, podrzucimy go do szpitala.

– Ale to może oznaczać...

– Wiem, co może oznaczać – przerwał olbrzym. – I nie jest to duża cena za ocalałą rękę. Jakoś mu później pomożemy.

Jonasz przyznał mu w myślach rację. Zresztą akurat Tomeczek nie stanowił zagrożenia dla rodziny. Jego mogli być pewni, bo mało kto, może oprócz Wiktorii, był oddany rodzinie aż do tego stopnia.

– Dobrze, zatem potrzebuję jeszcze jednej rzeczy, ale to już od samego Jonasza – dodał Kamaz. – Wy dwaj idźcie już działać.

Powoli odwijając bandaż z naciętej ręki, czekał, aż się oddalą. Oddychał głęboko, jakby dotleniał się na zapas.

– Będę potrzebował adresu człowieka, który za to odpowiada – powiedział w końcu.

– Nie wiemy, czy na pewno odpowiada... – zaczął Jonasz, ale urwał i spróbował inaczej. – Myślisz, że teraz to dobry czas? Nie lepiej odczekać, przeczaić się i...

– Nie spodziewają się, że wiemy, kto za tym stoi, prawda? – przerwał mu Kamaz. – Nie mają pojęcia, że możemy uderzyć natychmiast i precyzyjnie w samą głowę.

– No tak, ale...

– Nie ma „ale”, bracie. – Kamaz zadarł głowę i zrobił coś, czego Jonasz kompletnie w tym momencie się nie spodziewał: uśmiechnął się. – Planowaliśmy dziś położyć kogoś w ziemi, więc ona na to czeka, prawda? Poza tym muszę dowiedzieć się, kto zabił Wiktorię. Kto darował życie Tomeczkowi, ale ją zabił. Muszę wiedzieć, kto to...

Położył zranioną dłoń na ramieniu starszego mężczyzny.

– Jego adres, bracie. Oprócz tego kilka desek, wąż i szpadle do citroëna – powiedział. – A gdy już wrócą tu z samochodami i zabiorą wszystkich, będę miał dla ciebie jeszcze jedno zadanie do wykonania przed świtem.



Lemańczyk wyprostował się, przestawił lampkę i przyjrzał się krytycznie swojej pracy.

Sinoczerwona opuchlizna wokół oka Drelicha lśniła od wazeliny, co z pewnością nie czyniło jej ładniejszą, przynajmniej jednak spod nabrzmiałej buły dało się już zobaczyć oko. Zaczerwienione, pełne popękanych naczynek i zażawione, ale poza tym całe.

– Dobra, więcej już tu chyba nie zdziałamy – powiedział. – Opuchlizna nacięta i zmałała, krwotok jako tako wstrzymany, ale i tak powinien to zobaczyć lekarz. Mam takiego kolegę...

– Dzięki, ale nie. – Drelich podniósł się, jednak zrobił to za szybko, bo zakreśliło mu się w głowie, więc zaraz usiadł z powrotem. Obraz trochę mu się rozmywał, czuł nieprzyjemne mrowienie w całym ciele i lekkie mdłości. – Na razie nikt nie wiąże cię z dzisiejszą akcją. I lepiej, żeby tak zostało.

– Przyniosę więcej lodu.

Ojciec Izy zabrał miskę z krwią i talerz ze zużytymi szpatułkami, kawałkami plastra w taśmie oraz opatrunkami z gazy. Wrócił po chwili z silikonową formą, z której wysypał kostki na bawełnianą ściereczkę.

– Były jakieś ofiary? – zapytał.

Drelich uniósł głowę.

– Tak – odparł.

Lemańczyk zamarł.

– Po naszej stronie?

Słyszając słowo „naszej”, Drelich chciał się uśmiechnąć, ale gdy tylko spróbował, zaraz syknął pod wpływem przeszywającego bólu. Sięgnął po przygotowany już okład z lodu i wolno przyłożył go do rany. Zabolalo, a potem poczuł lodowatą, odrętwiającą błogość.

– Po naszej nie – powiedział. – Dziewczyna od nich, w czasie walki i w obronie własnej.

Lemańczyk przyjrzał mu się, przekrzywiając głowę.

– To ona cię tak urządziła? – zapytał kpiarsko.

Drelich łypnął na niego zdrowym okiem.

– Nie mówiłem, że walczyła ze mną, prawda? – zauważył i szybko zmienił temat. – Co zrobiłeś z moim autem?

– Wprowadziłem do garażu. Moje stoi przy ulicy, ale jak pojedziesz, to je wprowadzę.

– Robisz tak czasem? To znaczy zostawiasz je przy chodniku?

– Ostatnio nie, ale jak brama była zepsuta, a garaż zawalony, to bardzo często. Tam albo na podjeździe.

Podszedł do okna, odchylił zasłonę i popatrzył na ulicę. Stał tak przez dobre pół minuty, aż w końcu odwrócił się i spojrzał prosto na Drelicha.

– Tak w ogóle długo jeszcze zamierzasz? – zapytał.

– O co pytasz?

– O to, czym się zajmujesz – doprecyzował Lemańczyk. – O twoją pracę.

Drelich tym razem już nie próbował się uśmiechać, choć rozbawił go sposób, w jaki były teść zaakcentował ostatnie słowo. No i to, że w ogóle poruszył ten temat, jakby szukał jakiejś... nici porozumienia? Zważywszy na ich dotychczasowe relacje, było to na tyle ciekawe i nietypowe, że postanowił mu w tym szukaniu pomóc.

– Zajmuję się tym samym co ty – odparł. – Jestem na emeryturze.

– O – Lemańczyk wyraźnie się zdziwił. – Od kiedy?

– Od niedawna.

– I to jest twój pomysł na emeryturę? Zbierać po mordzie?

Drelich wzruszył ramionami.

– Nie mam garażu.

Podniósł się ostrożnie, a gdy nie poczuł zawrotów głowy, przeszedł do łazienki, w której było mocniejsze światło. Zasłonił najpierw jedno oko, potem drugie. Efekt uznał za niekoniecznie dobry, ale raczej zadowolający.

– Będę się już zbierał – powiedział, wracając do salonu. – Dziękuję za wszystko.

Lemańczyk podszedł do niego, ale nie wyciągnął ręki. Otaksował byłego zięcia wzrokiem i poskubał się po nosie.

– Myślę, że powinieneś zostać – stwierdził w końcu. – Gadać nie musimy, zresztą ja i tak zaraz idę spać. A jechać zdecydowanie nie powinieneś, zwłaszcza nocą.

Drelich odsunął worek z lodem od twarzy i podrzucił w ręce, jakby ważył go w dłoni. Miał szczerą nadzieję, że ta rozmowa właśnie tak się potoczy, bo teraz jedyne, o czym marzył, to wziąć jeszcze jedną porcję

przeciwbólowych i dobrze się wyspać. Gdyby nie ta propozycja, pewnie zaraz zatrzymałby się za miastem i poszukał w sieci jakiegoś hotelu w Krapkowicach.

– Dobra – rzucił po chwili. – W sumie masz rację. Kilka godzin nie zrobi żadnej różnicy. Dziękuję.

Lemańczyk machnął tylko ręką.

– Izka by mi łeb urwała, jakbym cię w takim stanie wypuścił, taka prawda. Kołdrę i poduszkę masz na łóżku, świeżą pościel w szafie. Idę przeparkować auto na podjazd.

Gdy wyszedł, Drelich odłożył okład na szafkę, wyłowił z kieszeni telefon i zadzwonił do Izy.

– Zostaję na noc u twojego ojca – powiedział, gdy odebrała. – Zrobiliśmy jakoś to oko, ale ma rację: nie powinienem jechać w takim stanie.

Iza wyraźnie się zaniepokoiła.

– Nie powinien zobaczyć tego lekarz?

– Powinien, ale nie tutaj. Przyjadę jutro, to coś z tym zrobię. Słowo.

Podniósł okład i przyłożył go do rany. Kiedy spojrział w lustro, mimowolnie się uśmiechnął, bo z jedną ręką zasłaniającą oko, a z drugą przy uchu wyglądał wyjątkowo głupio. Trochę jakby próbował udawać posążek z trzema słynnymi małpkami.

– A wracając do tego, co wcześniej... – zaczął, ale przerwał, gdy usłyszał, jak ona wzdycha. – Masz rację, pogadamy o tym później – dodał szybko.

– Nie, w sumie możemy teraz – powiedziała, ścisząc głos. – To prawda, nie uzgodniłam tego z tobą. Wcale nie planowałam jej o tym mówić, ale myślę, że wyszło na dobre, bo w końcu ze mną rozmawia.

– Dużo jej powiedziałaś? Jakies szczegóły?

– Przecież nie znam szczegółów, Drelich. Tyle że Cyprian i Magda chcieli uciec, a ty pomagasz na miejscu. Plus trochę z tego, co usłyszałam od Cypriana. Uznałam, że powinna wiedzieć.

– Rozumiem – odparł, a po krótkim namyśle dodał: – Też tak myślę.

– Dobra, to reszta jutro, co? – zaproponowała Iza. – Już na spokojnie, bo jest jeszcze kilka mniej palących, ale ważnych spraw.

– W porządku. Śpijcie dobrze.

– Ty też.

Rozłączyła się, a Drelich wolno opuścił rękę i wepchnął telefon do kieszeni, po czym nalał sobie szklanekę wody i poszedł spać.

Kamaz nie chciał, by Jonasz na razie opuszczał posterunek, dlatego do odebrania samochodów z Katowic wyznaczył Łukasza i Marcela. W samochodzie znaleźli się jeszcze Jakub i Tomeczek, którego zdecydowali się po prostu odwieźć na jeden ze śląskich SOR-ów. W piątkę wsiedli do Citroëna, a Jonasz zabrał się do rozdzielania poleceń.

Dom Kozdrasiów niespecjalnie nadawał się na twierdzę, więc wszelkie działania zabezpieczające ograniczyły się do zaklejenia okien i tam, gdzie to było możliwe, zastawienia ich regałami oraz szafami. Dwóch uzbrojonych wojowników czuwało nad bezpieczeństwem – Robert na dole przy drzwiach, a Damian na piętrze, obserwując okolicę z sypialni. Wojtka wyznaczono do pilnowania broni przed dziećmi i w razie nagłej potrzeby wydawania jej reszcie. Chłopak siedział więc na krześle obok stołu, na którym rozłożono cały rodzinny arsenał, i patrzył, jak inni uwijają się z pakowaniem.

Zdaniem Jonasza nic z tego nie miało sensu. Nie zakładał, by ktoś jeszcze napadł ich tej nocy. Owszem, tamci niewątpliwie będą chcieli odzyskać ziemię, ale prawdopodobieństwo, że spróbują zrobić to już teraz, wydawało mu się nikłe. Gdyby im na tym zależało, mieli już całą rodzinę skrupowaną i oszołomioną, wystarczyło ją wtedy zapakować do wozów.

Nie zamierzał jednak o tym mówić, uznając, że takie działania i tak są dla wystraszonych członków rodziny lepsze od bezczynności. Dawały poczucie sprawczości, pozór panowania nad trudną sytuacją. Skoro dzięki temu mieli się poczuć lepiej, to dlaczego nie.

Wyszedł przed dom, tam, gdzie jeszcze przedwczoraj stał suto zastawiony stół. Teraz był tu tylko ślad odgnieciony na trawie i przewrócona, sfatygowana suszarka, na której kilka godzin temu dosychały ostatnie rytualne ubrania. Jadł kawałek ciasta przygotowany na uroczystość i patrzył z wyczekiwaniem w stronę bramy.

– Co z Wiktoria?

Drgnął, zaskoczony nagłym pytaniem. W progu stała Aldona, obejmując się rękami. Miała opuchniętą twarz, zaczerwienione oczy i, jak zauważył

po chwili, gęsią skórę na przedramionach. Widywał już takie kobiety, dawno temu, w czasach służby. Zwykle mówiły, że nic się nie dzieje, że tylko telewizor grał za głośno, a talerz wysliznął im się z rąk. Próbowaly się uśmiechać i przepraszały najmocniej za hałas, a potem kończyły w szpitalu, w kostnicy albo same brały za nóż.

– Co z Wiktoria, Jonaszu? – powtórzyła, podchodząc bliżej.

Przejechał dłonią po twarzy.

– Kamaz powiedział, że zabieramy ją ze sobą. Nie chce jej tutaj zostawiać.

Zdziwił się, bo odniósł wrażenie, że jej ulżyło. Nie odezwał się jednak. Wiedział dobrze, że czasami człowiek dowie się więcej, gdy po prostu poczeka.

Tak było i w tym przypadku. Aldona milczała przez dobre pół minuty, nim w końcu odezwała się łamiącym się głosem:

– Byłam dla niej bardzo niemila. Mogła myśleć, że jej nie lubię.

Wyciągnął do niej rękę, a ona podeszła i wtuliła się w niego mocno, łapczywie. Objął ją i stali tak w milczeniu przeszło kwadrans, aż zobaczyli na drodze jadące ku nim furgonetki.

– Idź do domu, każ wszystkim schodzić i zbierać rzeczy – polecił. – Musimy się z tym uwinąć, żebyście wyjechali stąd najdalej w ciągu godziny.

– Ty nie jedziesz? – zdziwiła się.

Pokręcił głową.

– Ja i Wojtek mamy tu coś jeszcze do zrobienia.

Odsunęła się i spojrzała na niego, ściągając usta i marszcząc czoło.

– Z Wojtkiem? Ale nie chodzi chyba o tę młodą? – zapytała. – Z nią będą same nieszczęścia, Jonaszu. Ona...

– To samo mówiłaś o Wiktorii.

Cofnęła się, jakby ją uderzył. Nawet sięgnęła ręką do twarzy, jakby chciała rozetrzeć bolesne miejsce. Potem odwróciła się i szybko weszła do domu.

Pół godziny później cała rodzina oraz rzeczy, które uznali za niezbędny do zabrania dobytek, znajdowały się już w samochodach. Jonasz zamienił kilka słów z Łukaszem, przekazując mu torbę z pieniędzmi, a reszcie powiedział, że zobaczą się w ciągu kilku dni, więc się nie żegna.

– Dlaczego zostaliśmy? – zapytał Wojtek, gdy oba samochody ruszyły.

– Bo Kamaz wyznaczył nam inne zadanie – odparł, a widząc, że chłopak chce o coś zapytać, uciał szybko. – Powiem ci w swoim czasie. Teraz idź spać.

– Wątpię, żebym zasnął.

– W takim razie połóż się na łóżku i patrz w sufit – powiedział Jonasz, uśmiechając się smutno. Przypomniawszy sobie, że tak samo mówił kiedyś synowi, gdy ten – wtedy w wieku Oliwki – nie chciał się kłaść.

Wojtek wahał się jeszcze przez dobrą minutę, jakby się zbierał, by coś powiedzieć, ale w końcu odpuścił i ruszył na górę. Jonasz patrzył za nim, a gdy był już pewien, że chłopak go nie słyszy, zaklął pod nosem.

Spodziewał się, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Moment, gdy dla dobra rodziny będzie musiał wystąpić przeciwko Kamazowi i jego coraz bardziej irracjonalnym decyzjom. I nie miał wątpliwości, że ten moment właśnie nadszedł.

Wiedział, co powinien zrobić w sprawie zadania, które dostał do wykonania przed świtem, ale problemem był Wojtek. I Jonasz miał niespełna trzy godziny, by ten problem rozwiązać.

– Najmocniej pana przepraszam – powiedział Cyprian.

Krach pokręcił głową, dojadając kęs hot doga, i otarł serwetką resztki musztardy.

– Za co, panie Cyprianie? – zapytał z szerokim uśmiechem. – Że kobieta w ciąży ma swoje potrzeby? No daj pan spokój.

– Ale to już trzeci raz.

– Jak będzie potrzeba, staniemy i dziesiąty, proszę się nie przejmować.

Cyprian wlepił wzrok w reklamę. Mieścił się na niej parujący kubek i buńczuczne zapewnienie, że oferowana na tej stacji kawa jest ulubioną kawą wszystkich Polaków. Myślał o wielu rzeczach. O ostatnich godzinach i o tym, jak będzie wyglądała ich przyszłość. O tym, czy jego dowody rzeczywiście wystarczą, by wsadzić Kamaza za kratki. A co z pozostałymi? Kto z nich pójdzie do więzienia, a kto będzie ich ścigał już przez resztę życia? No bo ile może dostać taki Łukasz czy Tomeczek, zwłaszcza teraz, kiedy jest już kaleką? Albo Aldona. Ile z tego, co zrobili innym i sobie nawzajem, da się w ogóle udowodnić?

Myślał też o Krachu. Oto kolejny raz zaufał, że obcy człowiek rozwiąże jego problemy. Przynajmniej tyle, że on robił to dla pieniędzy, co wydawało się uczciwsze. No i stać go było na tych komandosów, przed którymi klęknął nawet Kamaz.

Przerwał rozmyślenia, orientując się, że brodacz wpatruje się w niego z uwagą. Odniósł wrażenie, że przed chwilą musiało paść jakieś pytanie.

– Przepraszam, nie dosłyszałem – uśmiechnął się słabo.

– Nic nie szkodzi. – Krach wsunął do ust resztkę hot doga, a papier zwinął w kulkę i wcisnął do kosza. – Pytałem tak z ciekawości po prostu, proszę zignorować.

– Ale o co pan pytał?

Brodacz wytarł usta i serwetka poleciała za papierową kulką.

– O to, co sprawiło, że... no wie pan, przejrzał pan na oczy – odparł i dodał szybko: – O ile oczywiście chce pan o tym mówić, bo to nie moja sprawa i rozumiem...

– Chyba i tak powinienem się przyzwyczajać do mówienia o tym, prawda? – Na twarzy Cypriana znowu pojawiło się to samo co wcześniej widmo uśmiechu. – Równie dobrze mogę zacząć teraz.

Wziął głębszy oddech i spojrzał w stronę stacji, czy nie zbliża się Magda. Przy niej nie chciał mówić, dość miała stresów.

– Aldona jest w rodzinie znacznie dłużej niż ja – zaczął, gdy już ułożył sobie w głowie całą historię. – Opuściła dla nas męża i niepełnosprawnego syna. Nie wiem dlaczego, bo ponoć wyglądali na szczęśliwych, a ona tego dzieciaka kochała i nawet próbowała namówić Kamaza, żeby go przyjął.

– Ale on nie chciał? – zapytał Krach.

– Nie o to chodzi. Po prostu mąż Aldony najpierw bardzo o nią walczył, a potem zwyczajnie kazał jej wybrać. No i ona wybrała, ale bardzo ją to bolało.

– Rozumiem.

Nie, nie rozumiesz, pomyślał Cyprian w nagłym przypiływie złości. Nie masz, kurwa, pojęcia.

– Kiedyś chyba Kamaz powiedział Aldonie, że jak jej mąż umrze, zaopiekują się chłopakiem – podjął po chwili. – A może nic takiego nie mówił, tylko sama na to wpadła. W każdym razie to wydarzyło się akurat wtedy, kiedy Kamaz dużo jeździł po telewizji, a Jonasza też ciągle nie było. Którejś nocy uciekła do męża. Udała, że do niego wraca. I zastrzeliła go z jego broni.

– Jego broni? Był policjantem?

– Nie, hobbystą. Trzymał ileś pistoletów w szafce, a ona wiedziała, gdzie są klucze. Kamaz zresztą pozwolił jej zatrzymać jeden z pistoletów na pamiątkę. Ten, który mąż kupił, gdy ich syn się urodził. Było z tym potem zresztą zamieszanie, bo ktoś później sprawdzał jakiś rejestr... No, nieważne. To teraz bez znaczenia.

Przerwał na moment, szukając nitki urwanego wątku.

– Na drugi albo trzeci dzień po swoim rzekomym powrocie przygotowała dla męża niespodziankę. Podała kolację, a później strzeliła mu w skroń.

– Chryste – westchnął Krach. – Co to się z ludźmi...

– To nie koniec – Cyprian wszedł mu w słowo. – Mieszkali w domu, więc huk nie zaalarmował sąsiadów, ale obudził jej syna. I przestraszony dzieciak zaczął krzyczeć, płakać, a ona spanikowała. Jak potem mówiła, nagle dotarło do niej, że to wszystko może pójść na konto rodziny, Kamaza,



dlatego próbowała uciszyć chłopca, przekonać go, że nic się nie stało. Potem się wściekła, a na koniec...

Cyprian nie dał rady. Głos mu się załamał, ręce zaczęły drżeć, a oczy wypełniły się łzami. Zachwiał się i oparł o maskę, by utrzymać się na nogach. Czuł, jak wypełnia go niemal fizyczny ból, a jednocześnie pali złość – złość na siebie, bo było jak wczoraj, gdy Magda uratowała sytuację z tym pierdolonym gniazdkiem.

Krach widząc, co się dzieje, doskoczył do niego i pomógł mu wsiąść do auta.

– Przepraszam najmocniej – powiedział, sięgając do bocznych drzwiczek i podając mu paczkę chusteczek. – Nie powinienem w ogóle zaczynać tej rozmowy.

– Kamaz przekonał ją potem, że zrobiła to dla rodziny – odezwał się cicho Cyprian. – Że chłopiec przyzwyczał się do ojca, że i tak nie zniósłby nowych warunków, że strasznie by cierpiał, więc tak naprawdę zrobiła mu przysługę. A uduszony poduszką syn uwiarygadniał samobójstwo ojca. Dzięki temu pomyśla, że jej mąż po prostu nie wytrzymał i...

– Proszę już nic nie mówić, tylko się pochylić i zrobić kilka głębszych wdechów.

Cyprian włożył głowę między nogi i przez chwilę siedział w ten sposób, dysząc jak po forsownym biegu. W końcu się uspokoił. Wyprostował się, wysmarkał i wytarł oczy. Zobaczył, że Magda idzie już przez sklep, kołyszając się na boki, trochę jak kaczką.

– Z moją matką zrobili potem to samo – powiedział. – Dla dobra rodziny.

Kamaz przez całą drogę zatrzymał się tylko raz. W okolicy wsi Zawady zjechał z trasy S8 i po pokonaniu kilku kilometrów skręcił na leśny parking. Tam wraz z Jakubem weszli w las i w miejscu, gdzie drzewa się przerzedziły i nie było już widać drogi, zostawił go ze szpadlem oraz łopata. Sam wrócił na trasę i pół godziny później znalazł się na obrzeżach Warszawy.

Wciąż było ciemno, gdy dojechał w okolice wskazanego adresu. Zaparkował kilka ulic dalej, między samochodami stojącymi przy placu budowy, i ostatnie trzysta metrów pokonał pieszo. Minął zamknięte osiedle, złożone z pięciu czteropiętrowych bloków, i dwa domy szeregowe, do których na razie nie doprowadzono drogi asfaltowej. Dotarłszy do osiedla domków jednorodzinnych, włożył kaptur bluzy, pochylił głowę i ruszył wolnym truchtem.

Dom, do którego zmierzał, był nowoczesnym dwupiętrowym budynkiem o płaskim dachu, złożonym jakby z dwóch klocków znajdujących się jeden na drugim. Z przesunięcia tego na górze powstawał obwieszony zielenią szeroki taras oraz zadaszenie przed wejściem. Ogrodzenie wykonano ze starannie dopasowanych kamieni, dokładnie takich samych, jakie wykorzystano do fragmentów elewacji budynku. Zza niego wystawały rosnące przed domem tuje.

Kamaz nie zatrzymał się, tylko dobiegł do końca ulicy. Chciał obejrzeć dom z drugiej strony, zorientował się jednak, że jest tam tylko rozkopana ziemia, więc odpuścił. Zawrócił, uważnie obserwując okna, i z zadowoleniem stwierdził, że niemal we wszystkich były opuszczone żaluzje. Podeszedł bliżej muru, upewnił się, że nikt nie patrzy, a budynek nie ma kamer, po czym poprawił przywiązany do nogi i ukryty pod spodniami nóż i się podciągnął. Zrobił to niezgrabnie, ale w miarę cicho i już po drugiej stronie szybko podbiegł do ściany budynku.

Ukryty za winklem, usiadł na ziemi i wyjął nóż. Położył go na ziemi przed sobą i skupił wzrok na ostrzu, uspokajając oddech. Nie zamierzał oglądać zamków czy okien, bo nie chciał się włamywać. Przecież nikt się

go tutaj nie spodziewał – Krach nie miał pojęcia, że o nim wiedzą. Nie miał też pojęcia, że zaraz zgubi go własna pazerność i przeświadczenie o bezkarności wynikającej z władzy i pieniędzy. Człowiek, którego stać na kupowanie specjalistów, na straszenie ludzi bronią, na zlecenie cholernych napadów. Ktoś, kto pewnie nigdy nie ruszył nawet palcem, dla którego taka Wiktorcia czy w ogóle cała rodzina byli jedynie stratą wliczoną w grube interesy. Kamaz poznał wielu takich ludzi i brzydził się nimi jak nikim innym. Ale tego konkretnego nienawidził – za grymas na twarzy Wiktorii, jaki zostanie z nim już na zawsze, to zdziwienie podszyte z bólem i strachem, gdy nie mogła złapać ostatniego tchu.

Zapłacą za to. Zarówno Krach, który to zlecił, jak i człowiek, który to zrobił. Wystarczyło poczekać, aż ten pierwszy się wyśpi i wstanie albo ktoś z jego rodziny otworzy drzwi. Sami go zaproszą, niczym potwora z dawnych baśni i legend, sami wpuszczą do domu. Wystarczyło poczekać.

Zdziwił się, gdy dwadzieścia minut później szczęknęły otwierana automatycznie brama i unoszące się drzwi garażu. Czy to znaczyło, że facet brał udział w akcji? Że wczoraj był w Gronowie? Jeśli tak, dlaczego przyjeżdżał dopiero teraz? Przecież miał nad Kamazem co najmniej godzinę przewagi.

Poderwał się z miejsca, złapał za nóż i podkradł się do krawędzi ściany. Odczekał, aż brama zacznie się zasuwac, i w odbiciu ostrza jak w lusterku obejrzał dużego czarnego suva, wjeżdżającego powoli do środka.

Szybko zdecydował, że to właściwy moment. Kiedy drzwi garażu zaczęły się zamykać, przebiegł, przeciskając się między tujami. Zerknął do środka. Kierowca wciąż jeszcze nie wysiadł z auta, zajęty pewnie odpinaniem telefonu albo zbieraniem śmieci. Ryzyko, że zobaczy Kamaza w lusterku, praktycznie nie istniało, bo zasłaniał go drugi samochód, a w dodatku opadające drzwi garażu niemal całkowicie odcięły już światło.

Olbrzym wśliznął się więc do środka, ukrył za drugim autem i obserwował, jak grubawy brodacz otwiera drzwi suva, stęka, ziewa i pokonuje trzy schodki, by wejść do domu.

Zerknął na zegarek. Dochodziła piąta, a to znaczyło, że Krach pewnie jeszcze się położy i da mu czas na ciche poznanie domu i domowników.

Zawieszony na oknie koc odkleił się nagle od taśmy, wpuszczając trochę księżycowego blasku prosto na siedzącego na kanapie Jonasza. Ten jedynie zerknął w tamtą stronę. Zegarek na telefonie wskazywał za kwadrans piąta, co oznaczało, że do terminu wyznaczonego przez Kamaza brakowało jeszcze około godziny.

Starszy mężczyzna wiedział, że sama godzina jest umowna i nikt go z punktualności nie będzie rozliczał. Co innego jednak samo zadanie.

Olbrzym wyraził się jasno. Z powodu wydarzeń tej nocy najbliższe miesiące, jeśli nie lata, rodzina spędzi na tułaczce. Nie było wątpliwości, że materiały znajdujące się na dysku, te, którym Jonasz tyle lat się sprzeciwiał, teraz kopną ich w dupę. Jakiś polityk z plecami może i by się z tego wygrzebał, ale ich mieli za sektę. Stos już stał, a to nie była byle zapałka.

Będą musieli uciekać. Pewnie za granicę, najpewniej na wschód, co Kamaz już dawno temu rozważał. I Jonasz uważałby to nawet za mądre posunięcie, gdyby nie ta przeklęta obietnica złożona Wojtkowi!

I wcale nie chodziło o samego chłopaka, bo przekonanie go, by odpuścił, zajęłoby góra kwadrans. Po prostu słowo Kamaza, zwłaszcza przypieczętowane krwią, było święte i na nic zdał się jakikolwiek sprzeciw czy apelowanie mu do rozsądku. Tej nocy Jonasz i Wojtek mieli iść do starego Lemańczyka i zdobyć adres dziewczyny.

Wiedział, że wiele rzeczy mogło im ująć płazem, ale nie porwanie nastolatki, córki dogadujących się rodziców i wnuczki byłego gliniarza. To było wbrew interesom rodziny i aż się dziwił, że Kamaz tego nie dostrzega.

Musiał tylko tak to rozwiązać, by nie wyszło, że oficjalnie sprzeciwia się przywódcy. Czy mógł w tej sprawie zaufać rozsądkowi Wojtka? A może zostawić go tutaj i pójść samemu, by potem udawać, że nikogo nie zastał, bo Lemańczyk pojechał z córką i wnuczką? Oba te rozwiązania wydawały się słabe i olbrzym bez trudu by je przejrzał. Podobnie jak telefoniczny anonim do Lemańczyka, który zresztą mógł wywołać dodatkową lawinę konsekwencji.

Nie było żadnego wyjścia. Musiał obudzić Wojtka i tam iść, a na miejscu coś po prostu zaimprovizować. Może stary dostanie zawału, zanim cokolwiek powie?

Usłyszał jakieś dźwięki na górze i odruchowo sięgnął do paska, gdzie już wcześniej przypiął kaburę z pistoletem. Zaraz jednak dotarło do niego, że to Wojtek, więc cofnął dłoń. Usłyszał odgłos otwieranych drzwi sypialni i skrzypnięcie schodka.

– Dobrze, że już wstałeś, bo właśnie miałem cię budzić – powiedział. – Nie włączaj światła. Ogarnij się i za piętnaście minut ruszamy.

Chłopak wyłonił się zza poręczy, stając teraz niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym kilka godzin wcześniej umarła Wiktoria.

– Kamaz pytał mnie, czy pamiętam adres dziadka Zośki – powiedział cicho, lekko zachrypłym głosem.

Jonasz westchnął. No tak, olbrzym myślał o takich rzeczach.

– To do niego idziemy, prawda? – dodał Wojtek. – To o nią chodzi?

– Tak – odparł Jonasz, po czym stęknął i podniósł się z kanapy. – Ale spokojnie, młody. Kamaz chce tylko...

Nie zdążył skończyć zdania, bo nagle chłopak uniósł rękę i padł strzał. Poszło blisko – Jonaszowi musnęło ramię. Krzyknął zaskoczony, uskakując na bok, a wtedy Wojtek strzelił drugi raz i trzeci.

Jeden z pocisków sięgnął celu i Jonasz najpierw poczuł uderzenie w pierś, a potem przeszył go nagły ból. Miał wrażenie, jakby właśnie wyrzucił z siebie całe powietrze.

Chciał oprzeć się o poręcz schodów, ale trafił ręką w pustkę i runął na bok, uderzając ramieniem o stojący tam taboret. Czuł, jak krew zalewa mu płuca, wypełnia je niczym balon wodny.

Kątem oka dostrzegł, że Wojtek rusza w jego stronę, więc mimo bólu spróbował wczłogać się za kanapę. Chciał krzyczeć, że to pomyłka, że jeśli chłopak w ten sposób broni dziewczyny, to są po tej samej stronie, ale nie mógł wydusić z siebie słowa. Wydawało mu się, że każde mrugnięcie trwa coraz dłużej i coraz więcej kosztuje go podniesienie powieki.

Wtedy przypomniał sobie o broni przy pasku. Sięgnął ku niej, ale nie dał rady – nie w tej pozycji, nie po postrzale, gdy ból promieniał odrętwieniem na całe ciało. Usłyszał czyjeś kroki, wiedział jednak, że to jedynie szum adrenaliny. Tłukące się w piersi serce pompowało mu teraz krew także do płuc.

Ogromnym, niemal nadludzkim wysiłkiem przewrócił się na plecy i widząc wyrastającą nad nim sylwetkę Wojtka, ponownie spróbował dosięgnąć kabury. Udało mu się wysunąć pistolet do połowy, nie dalej, bo chłopak oddał dwa kolejne strzały. Po pierwszym, tym, który rozerwał mu bok, Jonasz zdążył pomyśleć, że może to i dobrze, bo nie będzie musiał nikomu kłamać. Po drugim, który trafił w głowę, umarł.

Dając Krachowi czas, by się ogarnął i położył, Kamaz starannie obejrzał sobie garaż. Przyjrzał się obu samochodom, narzędziom rozwieszonym na kracie, tekturowym pudłom stojącym w kącie, sprzętowi wodnemu i narciarskiemu. Na ile się orientował, większość z tego, od wkrętarek po narciarskie kaski, pochodziła z najwyższej półki, ale kompletnie go to nie obchodziło.

Jego zainteresowanie wzbudził za to stojący w kącie bagażnik dachowy. Wyglądał na drogi, a do tego zaskakiwał rozmiarem – długi na dwa metry, szeroki na niewiele mniej niż metr i wysoki prawie na pół. Oznaczało to, że mógł być praktyczniejszy niż deski, które Kamaz zostawił w lesie Jakubowi. Po chwili namysłu ostrożnie podniósł bagażnik i położył na dachu suwa.

Spędził w garażu prawie dwadzieścia minut. W końcu uchylił lekko drzwi i przez kilkanaście sekund nasłuchiwał. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń, więc wszedł do środka i się rozejrzał. Przed sobą miał przestronny salon z wyjściem na taras, po prawej, za wiatrolapem i krótkim korytarzem, znajdowała się całkiem duża kuchnia. Po lewej, zaraz za rogiem, schody wiodące na górę, a dalej kolejne dwie pary drzwi. Jedne, jak okazało się po sprawdzeniu, prowadziły do dużej łazienki, drugie do pokoju gościnnego urządzonego w hotelowym standardzie.

Nie spieszył się, bo wiedział, że ma czas. Salon zwiedził niczym turysta, z rękami założonymi z tyłu. Sprawdzał palcem miękkość sofy, powiódł wzrokiem po książkach ustawionych równo na regale i po butelkach alkoholu w niewielkim barku. Przejrzał się w potężnym telewizorze, sprawdził skromną kolekcję filmów.

Wiszące na ścianie trzy obrazy i cztery oprawione w ramki podziękowania od WOŚP omiół wzrokiem, zauważając jednak, że na ostatnim obok nazwiska Krasowskiego widnieje również Sylwia Woźniak.

Uważnie przyjrzał się natomiast dwóm zdjęciom stojącym nad kominkiem. Jedno, wakacyjne, przedstawiało mężczyznę i wtuloną w niego uśmiechniętą drobną blondynkę. Na drugim ta sama blondynka mierzyła

się na spojrzenia z alpaka. Nad zdjęciami znajdował się jeszcze prosty zegar bez cyfr, który chyba spieszył się o kilka minut.

Kamaz przeszedł do kuchni i otworzył lodówkę, zaciągając się zapachami. Ledwie to zrobił, mózg natychmiast przypomniał mu, jak bardzo jest głodny, ale olbrzym nie zamierzał się w tej chwili rozpraszać. Najedzony oznaczało senny, a jego czekało jeszcze kilka intensywnych godzin. Znał swoje ciało, jego możliwości i wiedział, że może sobie pozwolić na trochę głodówki.

Sprawdził za to zawartość szuflad i szafek, choć bez większego zainteresowania. Z tym samym nastawieniem przejrzał odzież wiszącą na wieszakach w przedsiionku i ustawione buty. Szukał przede wszystkim znaków, że w domu może być ktoś jeszcze, na przykład dzieci, ale najwyraźniej mieszkały tu tylko dwie osoby.

Wszedł akurat na schody, gdy na górze usłyszał czyjeś kroki. Stawiane lekko i zwinnie, więc bardziej ona niż on. Cofnął się szybko i odczekał, a gdy dotarł do niego dźwięk zamykających się drzwi – jak zakładał – łazienkowych, wbiegł cicho na górę. Omiótł wzrokiem korytarz, namierzając sypialnię i łazienkę, po czym zajął miejsce za drzwiami tej drugiej. Odsunął się na tyle, by nie uderzyły w niego przy otwieraniu, i czekał.

Napiął mięśnie, gdy rozległ się szum spuszczonej wody. Zaraz potem opadła klamka i drzwi drgnęły, a z łazienki wyłoniła się gospodyni. Zanim ruszył za nią, pozwolił jej wyłączyć światło i zrobić dwa kroki.

Usłyszała go, bo zaczęła się odwracać, ale był już przy niej. Lewym przedramieniem objął ją, dociskając do siebie i odbierając możliwość ruchu, prawą dłonią zasłonił jej usta i nos.

– Spróbuj choćby pisnąć, a skrucę ci kark – szepnął. – Rozumiesz, Sylwio?

Przytaknęła skinieniem głowy, jednak gdy tylko udał, że luzuje uścisk, natychmiast wierzgnęła, próbując się wyrwać. Ścisnął więc mocniej i zaraz się wyprostował, a wtedy jej stopy oderwały się od podłogi i przestała się szarpać. Ruszył tyłem w stronę dwóch pokoi mieszczących się naprzeciwko sypialni. Drzwi do jednego były uchylone, więc pchnął je i wszedł do środka.

Pomieszczenie pełniło najpewniej funkcję gabinetu. Nieco po lewej stało masywne, zastawione książkami biurko, na regałach piętrzyły się



chaotycznie poupychane tomy i płyty z muzyką, a pośród nich znajdowały się pluszowe krasnale, szmaciane lalki i mnóstwo ramek ze zdjęciami.

– Posadzę cię teraz na krzesło – powiedział cicho Kamaz prosto do jej ucha – i puszcę. Ale zrobisz cokolwiek, co mi się nie spodoba, a umrzesz. Zabiję cię szybciej, niż twój mąż pokona ten korytarz.

Pozwolił, by to sobie wyobraziła, by własny umysł uświadomił jej, w jak złej znalazła się sytuacji. A potem dał promyk nadziei.

– Przyszedłem tu porozmawiać z twoim mężem, bo zabrał coś mojego. Mam nadzieję, że uda nam się dogadać, bo nie chcę zbędnej przemocy. Jestem tu tylko dlatego, że wcześniej nie potraktował mnie poważnie.

Znowu zrobił pauzę, by zdążyła to sobie zracjonalizować, ułożyć.

– Ostatnia myśl, zanim cię puszcę, Sylwio – podjął. – Wiem, że mi nie wierzysz, ale widzisz, jestem w waszym domu już od pół godziny. Widziałem wasz salon, wasze zdjęcia na kominku, jedzenie w zielonych pojemnikach. Gdybym chciał was zabić, umarlibyście we śnie. Dlatego przemyśl bardzo dobrze, co teraz zrobisz, bo wasze życie jest w twoich rękach. Rozumiesz?

Skinęła głową, a kiedy zabrał dłoń z jej ust, nie krzyknęła. Posadził ją na krzesło, odkleił kawałek taśmy i najpierw skrępował jej dłonie, a potem owinął trzykrotnie, przyklejając kobietę do oparcia. Nie sprzeciwiała się, nie walczyła. Wodziła tylko za nim przerażonym wzrokiem, trzęsąc się ze strachu i z zimna.

Gdy skończył, odsunął się o krok, a potem sięgnął po nóż i położył go na blacie.

– A teraz krzycz – polecił.

Zamrugła gwałtownie, wyraźnie zaskoczona tym poleceniem. Poruszyła ustami bezgłośnie.

– Krzycz, Sylwio – powtórzył. – Najgłośniej, jak potrafisz.

Spróbowała, ale wydała z siebie tylko cichy skrzek, więc złapał za nóż i zamaszystym ruchem wbił go jej w udo. Gdy wrzasnęła, odwrócił się i stanął przy drzwiach. Nie ukrywał się specjalnie, bo wiedział, że nie musi. Kiedy zaspany Krach przekroczył próg, z całej siły pchnął go na otwarte drzwi, a potem doskoczył, dociskając całym sobą, i wymierzył dwa ciosy łokciem w twarz.

Chrupnęło, ze złamanego nosa trysnęła krew, ale tamten wciąż trzymał się na nogach, więc Kamaz się odsunął, pozwolił, by zwrócił się ku niemu,

po czym wyprowadził dwa ciosy na głowę i jeden na wątrobę. Potem już tylko przyglądał się, jak Krach osuwa się bezwładnie na podłogę.

Podszedł do zawodzącej z bólu Sylwii i wyrwał nóż z jej uda, podniósł niewielkiego, szmacianego krasnala i wepchnął go kobiecie w usta, a następnie zakleił je taśmą. Drugim kawałkiem zakleił ranę. Następnie przestąpił nad nogami Kracha, złapał go za włosy i pociągnął na korytarz. Tam obezwładnił go za pomocą taśmy, mocno krępując nogi i ręce, a potem owijając na wysokości ramion i ud. Brodacz próbował się opierać, szarpać, ale tylko do kolejnego prostego uderzenia. Z oczu płynęły mu łzy, a krew z nosa lała się tak mocno, że w końcu Kamaz wepchnął mu w dziurki zrolowany kawałek papieru toaletowego. Gdy wreszcie skończył, posadził Kracha przy ścianie i uklęknął przed nim.

– Wiesz, kim jestem, prawda? – zapytał.

Mężczyzna spróbował coś powiedzieć, ale w ustach miał krew, więc wypluł ją niezdarnie na brodę i pokiwał głową.

– Czyli wiesz, że robię teraz to, co tej nocy zrobili mi twoi ludzie, prawda? Napadłeś na mój dom. Skrzywdziłeś moich bliskich. Zabiłeś jedno z moich dzieci.

Krach nie próbował już nawet odpowiedzieć, jednak na wzmiankę o zabijaniu uniósł głowę i spojrzał mu w oczy, a potem mimowolnie uciekł wzrokiem w stronę drzwi gabinetu.

Olbrzym ponownie sięgnął po nóż. Uniósł go tak, by skupić na ostrzu uwagę brodacza, a potem położył obok lewego kolana.

– Oto, co się teraz stanie – powiedział. – Powiesz mi, gdzie są Cyprian i Magda, i skontaktujesz mnie z człowiekiem, który zabił Wiktorię. Jeżeli zrobisz to w miarę szybko, dam ci słowo, że zostawię Sylwię w spokoju, a ty dostaniesz szansę na przeżycie. Oczywiście nie musisz mi wierzyć, ale oprócz mojego słowa niczego nie mogę ci zaoferować.

Urwał duży kawałek papieru, ułożył na dłoni w kilka warstw i podsunął Krachowi pod usta.

– Wypluj – dodał.

Tamten splunął krwią.

– Dwie prośby, tyle mam do ciebie – ciągnął Kamaz. – Oczywiście jestem przygotowany na to, że odmówisz, ale wtedy czeka was dużo bólu.

Usiadł na piętach i bawiąc się nożem, spokojnym głosem zaczął wymieniać, co i w jakiej kolejności zamierza im zrobić.

Drelich zerwał się na dźwięk dzwonka. Nieco zdezorientowany usiadł na łóżku, nie wiedząc, ile spał. Za oknem wciąż było ciemno, więc spojrzął na zegarek i zorientował się, że nie ma nawet wpół do szóstej.

Odrzucił kołdrę, sięgnął po zawieszone na krześle spodnie i koszulkę, ubrał się, po czym wyszedł z pokoju. Na schodach zobaczył zaspanego Lemańczyka w piżamie, który akurat wspinał się na górę.

– To ten młody z Ponderosy – rzucił były teść. – Ten, co odprowadzał tu Zosię.

– Wojtek – powiedział Drelich. – Poczekaj tu.

Wrócił do pokoju i najpierw wyjrzał przez okno, a potem otworzył je i wychylił się, by spojrzeć wzdłuż ściany budynku. Obawiał się dywersji. Chłopak miał u Zosi dobre notowania, więc gdyby chcieli przypuścić atak, on nadawałby się znakomicie do odwrócenia uwagi. Na dole jednak nikogo nie było. Za to dzwonek rozległ się ponownie, tym razem znacznie dłużej.

Drelich podszedł do plecaka i wyjął z niego taser oraz kilka trytytek. Wrócił do przedpokoju.

– Masz broń? – zapytał cicho Lemańczyka.

– Tak.

– Idź po nią. To może być pułapka.

Starszy mężczyzna podniósł rękę – w dłoni miał pistolet.

– Pomyślałem o tym, gdy tylko go zobaczyłem – powiedział.

Drelich skinął głową i ruszył w dół schodów.

– Nawet jeśli to pułapka, jest szansa, że o mnie nie wiedzą – rzucił. – Dlatego myślę, że to ja powinienem wziąć broń i...

– Mam ci oddać mój pistolet? – wszedł mu w zdanie Lemańczyk. – Zwariowałaś?

Drelich nie skomentował, a dzwonek zadzwonił po raz trzeci, tym razem serią krótkich sygnałów.

– Powinieneś już na wejściu skrępować mu ręce – ciągnął niezrażony Drelich. – Następnie wprowadzić go i posadzić w salonie, tyłem do drzwi.

Niech się nie odwraca. Dam ci taser, a jeśli spróbuje zrobić coś głupiego, będę twoim wsparciem.

– Tak – mruknął Lemańczyk. – I zastrzelisz dzieciaka w moim domu, z mojej broni.

– Tylko jeśli miałyby to uratować ci życie.

Lemańczyk westchnął, ale oddał mu pistolet i wziął taser oraz spiętą już w pętlę trytytkę. Ruszył ku drzwiom.

– Poczekaj na sygnał – powiedział Drelich.

Z łazienki zabrał małe lusterko do golenia, po czym w salonie uchylił okno i za pomocą lusterka sprawdził zarówno przestrzeń przy drzwiach, jak i ścianę garażu. Szybko wrócił do przedpokoju, dał znak i ukrył się w kuchni.

Słyszał, jak otwierają się drzwi i jak Lemańczyk niemal na jednym wydechu pyta chłopaka, co tu robi, czy zwariował i czy wie, która jest godzina. Chłopak coś odpowiedział, ale zbyt cicho. Dopiero gdy powtórzył, do Drelicha dotarło „Chcieli pana torturować” i „Zabiłem Jonasza”.

Lemańczyk kazał mu wyciągnąć ręce, rozległ się zgrzyt trytytki, a chłopak powiedział, że ma broń, i kazał sobie podnieść koszulkę z tyłu.

Drelich czekał. Dla pewności jeszcze raz zerknął za okno, upewniając się, że nikogo nie ma za budynkiem, a gdy ojciec Izy wprowadził chłopaka do salonu, szybko przeszedł do przedsiionka i zamknął drzwi na klucz.

– Siadaj tu i czekaj – rzucił gospodarz i skierował się do kuchni.

– Miał ze sobą dwie spluwy – wyszeptał, kiedy Drelich do niego dołączył. – Powiedział, że...

– Słyszałem. Chcieli cię torturować i zastrzelił Jonasza. Tylko to nadal może być pułapka. Dowiedz się...

– Znam się na swojej robocie. Ty wyjdź, sprawdź dom wokół i przygotuj moje auto. Przeniesiemy się z tym przesłuchaniem na Makuszyńskiego. Tam jest trudniejszy dostęp.

Drelich uznał, że to dobry pomysł. Włożył buty i wymknął się na zewnątrz przez garaż. Sprawdził wszelkie potencjalne drogi wejścia do domu, a potem upewnił się, że nikt nie kryje się w krzakach z boku posesji czy przy drodze. Uspokojony wrócił tą samą drogą, zajrzał do salonu i skinął na byłego teścia.

– Gotowe – powiedział, gdy tamten wyszedł. – Nie ma tu nikogo, możemy jechać. Dowiedziałeś się czegoś?

– Tak, ale pogadamy na miejscu. Poczekaj, ubiorę się.

Po chwili Lemańczyk w dzinsach i krzywo zapiętej koszuli kazał chłopakowi wstać, a już w samochodzie usiadł koło niego z tyłu i zasłonił mu oczy. Drelich, który do tego momentu trzymał się poza zasięgiem wzroku Wojtka, zajął miejsce za kierownicą i jechał wedle wskazówek starego policjanta, upewniając się jednocześnie, że nikt ich nie śledzi.

– Kto tu jeszcze jest? – zapytał dzieciak.

– Nikt z sekty – odparł stary policjant. – Nie musisz się obawiać.

Zdaniem Drelicha chłopak wcale się tym nie przejmował. Raczej było mu wszystko jedno. Zmęczony i roztrzęsiony, siedział ze zwieszoną głową, raz po raz pociągając nosem.

We dwóch wprowadzili go do bramy na Makuszyńskiego. Drelich uważnie się przy tym rozglądał, ale wczesna pora robiła swoje, więc nie dostrzegł w pobliżu nikogo, kto mógłby zwrócić uwagę na chłopaka z zasłoniętymi oczami i skrępowanymi dłońmi. W mieszkaniu usadzili go przy tym samym stole, przy którym dwa dni wcześniej siedział Cyprian, i przeszli do drugiego pokoju.

– Powiedział, że rodzina wyjechała z Ponderosy jeszcze wieczorem – wyszeptał Lemańczyk. – Kamaz i jakiś Jakub pojechali gdzieś indziej, a on i Jonasz zostali, bo mieli napaść na mnie i dowiedzieć się, gdzie mieszka Zosia.

– Powiedział, po co?

– No żeby ją porwać, a po co? – zniecierpliwił się ojciec Izy. – Ponoć po tym, jak ją zabraliście, ten olbrzym złożył jakąś przysięgę krwi, że ściągnie ją z powrotem do rodziny.

Drelich odruchowo zacisnął pięści.

– Mówił coś o związku z wczorajszą akcją?

– Nie bezpośrednio. – Lemańczyk pokręcił głową. – Ale ponoć Jonasz usłyszał coś od znajomego z policji i wiedzą, kto stoi za skokiem. Jak się nazywa ten twój znajomy, co to wszystko aranżował?

Drelich spojrzał tylko wymownie, na co Lemańczyk sapnął głośno.

– Jak sobie chcesz – powiedział. – Dzieciak mówi, że Łukasz pytał ich lekarki, czy zna jakiegoś Kraka czy... – Urwał, widząc jego minę i gwałtowny ruch, jaki ten wykonał, sięgając do kieszeni.

Drelich zaklął, uświadamiając sobie, że nie wziął telefonu.

– Czyli wiedzą – stwierdził Lemańczyk i zaraz dodał: – Chcesz mój?

– Nie znam numeru. Niedawno go zmienił, a telefon na akcję mam zapisany w...

Ojciec Izy podał mu klucze.

– Leć, ja dowiem się więcej.

Drelich złapał za klucze i wypadł z mieszkania. Już w drodze do samochodu, a potem ruszając gwałtownie, przeliczał w głowie czas, jaki minął od akcji, oraz dystans dzielący Gronowo i Warszawę. Zastanawiał się też, ile wiedzą. Jeśli znali nazwisko, to pewnie i adres firmy, więc mogli czekać w pobliżu. Ale skoro to informacja policyjna, mogli mieć też prywatny adres. Czy Krach dotarł już do domu? A jeśli nie, to czy była tam Sylwia?

No i wreszcie jak to możliwe, że drugi skok w ciągu kilku dni tak perfidnie się sypnął zaraz po samej akcji? Kto donosił? Kto za tym stał? Czy te sprawy mają ze sobą jakiś cholerny związek?!

Zaparkował przy chodniku i doskoczył do furtki. Dobiegł do drzwi, przez moment dobierał właściwy klucz, po czym już w środku na schodach usłyszał wibrację telefonu. Przyspieszył, wpadł do pokoju i spojrzał na wyświetlacz.

Dzwonił Krach.

Odebrał.

– Tak? – rzucił.

– W ostatniej chwili, panie De – odezwał się Kamaz. – Postanowiłem sobie, że więcej jak trzy razy nie zadzwonię.

Drelich odsunął telefon od ucha. Włączył głośnik i szybko wyszukał aplikację do nagrywania rozmów. Uruchomił ją dwoma stuknięciami, po czym chrząknięciem dał znać, że wciąż jest na linii.

Na razie wolał się nie odzywać, bo Kamaszyński mógł pamiętać jego głos. Skoro zwrócił się do niego „panie De”, zapewne nie wiedział, z kim ma do czynienia, a Drelich nie zamierzał zmieniać tego stanu rzeczy.

– Na początek ustalmy sobie jedno – zaczął Kamaz. – Nie chciałeś jej zabić, prawda? Zaskoczyła cię.

Nie odpowiedział. Rozwagał napisanie wiadomości do Izy, ale szybko uznał, że w tej chwili to niepotrzebne. Dochodziła szósta, ona i Zosia spały u niego, a po wydarzeniach z ubiegłego roku Krach nie poznał nowego adresu. Nie wiedział też, gdzie obecnie przebywa Nikodem, więc i tej informacji nie mógł nikomu zdradzić. Reszta była w tym momencie nieistotna.

– Milczysz, panie De – zauważył Kamaz. – A to ważne pytanie. Jeżeli bowiem nie chciałeś, to znaczy, że jesteś człowiekiem, z którym chce mi się rozmawiać. To jak?

– Zaskoczyła mnie – odparł Drelich, nieco obniżając głos. Przy dłuższej wypowiedzi takie sztuczki nie działały, ale przecież rozmawiali raz, kilka dni temu i raczej niedługo. Skojarzenie nie powinno być oczywiste.

Kamaz westchnął.

– Tak myślałem – powiedział. – Pozwoliłeś żyć Tomczkowi, choć Magda chciała go zabić. Ale ty masz swoje zasady, prawda? Jesteś wojownikiem, jak ja. Niewielu takich zostało.

Drelich położył telefon na stole i zaczął pakować rzeczy do plecaka.

– Nie wiem, kim naprawdę jest dla ciebie pan Krasowski, panie De – mówił dalej Kamaz. – Nie wiem, czy rzeczywiście jest dla ciebie tak ważny, jak twierdzi, czy w ogóle cię obchodzi. Wiem tylko, że uważa cię za przyjaciela i sądzi, że kiedy złożę ci propozycję, to naprawdę ją rozważysz. Więc cóż, zaryzykuję i powiem ci, co się z nim teraz stanie, dobrze? – Stęknął cicho, jakby wstawał. – Jego kobietę zostawię, bo tak mu

obiecałem. Jest ranna, ale nie poważnie i wyjdzie z tego. Tę sprawę uważam za zamkniętą.

Drelicha trochę zdziwiły te słowa, ale zaraz domyślił się, że nie są skierowane do niego. Kamaz mówił do Kracha, który pewnie był przy nim, a skoro tak, istniało duże prawdopodobieństwo, że wciąż są u niego w domu. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, co może zrobić z tą informacją. Czy zna kogoś, komu mógłby ją przekazać? Kogoś, kto jest na miejscu i da Krachowi szansę na wyjście z tego z życiem? Ale nie znał nikogo takiego. Nikogo, kto miałby tam bliżej niż on.

– Panu Krasowskiemu nie mogę odpuścić tak łatwo – kontynuował Kamaz. – Bo jednak zlecił napad na mój dom i porwanie moich dzieci. Za śmierć Wiktorii oraz wszystko to, co zrobiłeś ty, odpowiada również on i jego pazerność. Ale jestem człowiekiem słowa. Obiecałem mu, że jeżeli nas skontaktuje, dam mu szansę. Więc daję.

Przy okazji kolejnej pauzy Drelich usłyszał ciche rżenie i płytkie, świszczące oddechy. Krach oddychał przez usta, więc najpewniej miał złamany nos.

– Zamierzam zakopać go w ziemi – powiedział Kamaz i Drelich wyobraził sobie, że robiąc to, patrzy Krachowi w oczy. – W miejscu, które znam tylko ja. Dam mu oczywiście dostęp do powietrza przez rurkę, bo nie chodzi o to, żeby się tam zaraz udusił. Zgodnie z obietnicą dam mu też nadzieję... Jesteś tam jeszcze w ogóle?

– Jestem – mruknął Drelich.

– To dobrze. Bo ty będziesz tą nadzieją, panie De. Jeżeli zaryzykujesz dla niego i zjawisz się, by stanąć ze mną do walki jak równy z równym. Bez broni, twarzą w twarz. Jak prawdziwi wojownicy. Jeśli wygrasz, będziesz mógł go odkopać. Jeśli przegrasz, sam go odkopię i puszcę wolno. To zamknie sprawę między nami. Pewnie odpuszczę nawet Cypriana i Magdę, bo nie wiem, czy po tym, co zrobili, chcę ich jeszcze oglądać. Załatwimy to we dwóch, ty i ja, żebyś miał szansę pomszczenia mojego dziecka. Oczywiście jeśli się nie zjawisz, pan Krasowski zostanie pod ziemią, a ja znajdę cię i zabiję, tylko już bez uczciwych szans. Rozumiesz?

– Tak.

– A dlaczego to robisz, też rozumiesz? – upewnił się Kamaz. – Dlaczego w ogóle dajesz ci szansę, chociaż zabiłeś moje dziecko?

– Też.



– Świetnie – mruknął olbrzym. – W takim razie jak daleko jesteś teraz od Warszawy? Tylko proszę, nie kupuj czasu żadną bzdurą. Zostałeś wczoraj w okolicy, prawda? Gdzieś na południu?

– Tak. – Drelich nie widział sensu, żeby kłamać. To i tak niczego by teraz nie zmieniło.

– Zatem proponuję ci ruszać, bo za dwie godziny pan Krasowski spocznie w ziemi, a w jego stanie może to przyjąć różnie. Jedź A1 i potem S8, a ja zadzwonię do ciebie za jakiś czas z innego numeru, by przekazać, gdzie masz jechać. Chyba że spróbujesz mnie oszukać, ale wtedy wiesz, co się wydarzy.

– Wiem – potwierdził Drelich. Zarzucił plecak na ramię i ruszył ku schodom.

– Zatem do usłyszenia wkrótce, panie De.

Kamaz wyłączył telefon, rzucił go na podłogę, po czym zgniótł pod butem. Następnie podszedł do mężczyzny, rozciął taśmę krępującą mu nogi i pomógł wstać.

– Pora na nas – powiedział, obejmując go ramieniem. – Nie możemy tu dłużej zostać.

– Chsee ą obaszyc – wydusił z siebie Krach.

– Z pewnością, ale czy chcesz jej się tak pokazać? W takim stanie?

Krach spróbował odpowiedzieć, ale tylko splunął krwią i pokiwał głową.

– No cóż – Kamaz westchnął. – Tego nie było w naszej umowie, a to nie jest koncert życzeń.

To podtrzymując, to popychając, zmusił brodacza do zejścia po schodach, a potem wepchnął go na tylne siedzenie suwa i nakrył znalezionym w garażu kocem. Wrócił do domu po kluczyki i kilka pojemników z lodówki, które wrzucił do reklamówki, zapiął mocowania bagażnika dachowego, otworzył garaż, a potem bramę. Wyjechał tyłem, ustawił drogę na GPS-ie w telefonie i ruszył.

Podróż o tej porze zajęła mu prawie godzinę. Przy Zawadach opuścił S8 i odbił w stronę parkingu, gdzie zostawił Jakuba. Tym razem wjechał nieco dalej w las ubitą drogą i dopiero gdy parking zniknął mu z widoku w lusterkach, zatrzymał się, wysiadł z reklamówką i zamknął auto. Resztę drogi pokonał pieszo, niosąc przed sobą bagażnik dachowy.

Wreszcie zauważył dół i brudnego od ziemi Jakuba siedzącego przy drzewie z plecami opartymi o pień. Obok niego leżały szpadel, a dalej deski i kilka metrów gumowego węża o szerokiej średnicy.

Na widok Kamaza Jakub chciał się poderwać, ale olbrzym polecił mu siedzieć. Zerknął do dołu i cmoknął z uznaniem.

– Dobra robota – powiedział, kładąc bagażnik na ziemi. – Jak na tyle czasu, to nawet bardzo dobra.

Podał mu reklamówkę z jedzeniem, a sam wrócił do auta i przyprowadził Kracha. Posadził go pod drzewem niemal dokładnie na wprost dołu.

– To jest ten Krach? – zapytał Jakub.

– Tak.

Jakub zerknął krytycznie w stronę bagażnika, a potem na brodacza.

– Nie wejdzie – stwierdził w końcu. – Bagażnik jest za ciasny, stopy się nie zmieszczą. Zresztą w takim stanie to nie wiem, czy on przeżyje chociażby zakopanie. Wygląda, jakby stracił sporo krwi.

– A ja myślę, że przeżyje i że wejdzie – odparł Kamaz. – A jak nie, to użyjemy i bagażnika, i desek. Wymyślisz coś przecież. A teraz zjedz, a potem zrób gdzieś otwory na węża. Jak skończysz, weźmiesz auto i pojedziesz do Jeruzala. Tam na mnie zaczekasz.

– Dobrze znasz te okolice – stwierdził Jakub.

Kamaz zdjął koszulkę i sięgnął po szpadel.

– Był czas, że spędzałem tu niedaleko prawie każde lato – odparł.

– Rodzina?

Kamaz wskoczył do dołu.

– Nadal nie rozumiesz, prawda, Jakubie? – zapytał, biorąc się do pracy. – To wy jesteście jedyną rodziną, jaką mam.

Lemańczyk zobaczył Drelicha przez okno, jak ten parkuje naprzeciwko i rzuca się biegiem w stronę bramy. Mimo to, gdy zaraz potem usłyszał pukanie, zerknął przez wizjer, trzymając w pogotowiu broń.

– I co? Dodzwoniłeś się? – zapytał, ledwie otworzył drzwi.

– Za późno. On zadzwonił do mnie – odparł Drelich. – Gdzie dzieciak?

– W pokoju.

Drelich podszedł do szafki, na której kiedyś niewątpliwie stał stacjonarny telefon, wziął leżący tam ogryzek ołówka i zapisał na karteczce rząd cyfr.

– Wejź do niego i zapytaj, gdzie jest ciało Jonasza – powiedział, wręczając mu karteczkę. – Potem zadzwoń do mnie na ten numer. Potrzebuję też broni...

– Dwie spluwy, które przyniósł, masz na szafce w kuchni, ale sprawdź, ile zostało w magazynkach. Ciało leży ponoć w salonie, za kanapą, a dom jest otwarty. Powiesz mi, co się dzieje?

– Gdy zadzwonisz. I nie wcześniej jak za piętnaście minut, dobrze? Wtedy powiem ci, co wiem i co zamierzam zrobić. Na razie muszę to sobie ułożyć w głowie. Jadę do Warszawy.

– Iza i Zosia są zagrożone?

– Na ten moment nie – odparł Drelich, po czym wszedł do kuchni, skąd zaraz rozległy się odgłosy sprawdzanej broni. Po chwili wrócił, poprawiając ułożenie koszulki z tyłu. – Mogę się mylić, ale Kamaz raczej nie wie, kim jestem. Zakładam, że dowie się wkrótce, bo ewidentnie torturuje Kracha. Spokojnie, dziewczyny są teraz u mnie i tylko one znają adres. Na wszelki wypadek do nich zadzwonię, tyle że już z drogi, i podam Izie numer do stryja, jakby coś mi się stało. A ty pomyśl, gdzie mógłbyś się zaszyć, zanim...

– Zwolnij. Co to znaczy, że coś ci się stanie? – zapytał Lemańczyk, ale widząc spojrzenie Drelicha, westchnął tylko. – Dobra, rozumiem, przez telefon. Sprawdzisz tę Ponderosę?

– Tak, dam ci znać. Na razie nikogo nie informuj. Żadnych kolegów z policji.

– W porządku. Ale masz mnie informować, przede wszystkim o Izie.

– Tak zrobię. Wyślij mi też esemesa na ten numer, to podeślę ci link do nagrania rozmowy. Lepiej, żebyś też ją miał. Na wszelki wypadek.

Kiedy Drelich wyszedł, Lemańczyk zamknął za nim i szybko wrócił do okna. Przez dłuższą chwilę przyglądał się ludziom i samochodom na budzącej się do życia ulicy, a potem wrócił do pokoju.

Chłopak siedział ze zwieszoną głową i rękami przypiętymi z tyłu do oparcia krzesła. Wyglądał, jakby spał, ale gdy tylko tamten usiadł przy stole, nagle się wyprostował.

– Słyszałem, o czym mówiliście – powiedział. – Coś się stało? Kamaz dorwał Zosię?

Lemańczyk przyglądał mu się przez kilka sekund, po czym wolno pokręcił głową.

– Nie potrafię tego pojąć – mruknął. – Jak wyście się wpakowali w takie gówno?

Ciało leżało dokładnie tam, gdzie powiedział chłopak. Drelich obszedł kanapę i przykucnął przy zwłokach, a potem wyjął kaburę zza paska Jonasza i włożył do niej broń. W pierwszej chwili zabrał mu też telefon, ale ponieważ nie był w stanie go odblokować, wytarł i zostawił przy ciele.

Przez las wrócił do auta, wrzucił pistolet do schowka i ustawił GPS na Warszawę. Znał drogę, ale chciał skupić się na samej trasie – na tym, gdzie jest, co go w danym momencie otacza. Wątpił, by w ten sposób udało mu się cokolwiek przewidzieć, ale wolał być w pogotowiu, na wypadek gdyby jakakolwiek wskazówka dała mu choćby cień przewagi.

Ruszył i nie zdążył jeszcze wyjechać z miasta, gdy zadzwonił były teść.

– Znalazłem trupa – oznajmił Drelich. – Przesłuchałeś rozmowę?

– Właśnie skończyłem – odparł Lemańczyk i zaraz dodał: – Wiesz, że to na pewno jest pułapka, prawda? Powinieneś...

– Jeszcze myślę, co powinienem – powiedział zgodnie z prawdą Drelich. – Podejmę decyzję, gdy dostanę więcej wskazówek. Teraz i tak jadę w kierunku Warszawy. Dowiedziałeś się czegoś więcej od Wojtka? Dokąd pojechała cała reszta?

– Mówi, że nie wie. Wzięli dwa busy wynajęte wczoraj z Katowic. Jak trzeba, to poproszę chłopaków, by sprawdzili...

– Nie wychylaj się, mówiłem – przerwał mu Drelich. – Zresztą sam słyszałeś, że Jonasz ma kogoś w katowickiej policji. I to kogoś zdolnego wytropić Kracha.

– No tak.

Zwolnił i sięgnął do plecaka leżącego na siedzeniu obok. Z bocznej kieszonki wyłowił notes, a potem, raz po raz zerkając na drogę, przekartkował go, szukając notatek do rozmowy z Cyprianem.

– Zapytaj go, kto jest teraz z rodziną. Którzy wojownicy – polecił.

Lemańczyk poszedł, z jakiegoś powodu zostawiając telefon. Zaraz wrócił i podniósł aparat.

– Mówi, że Robert i Damian, a dowodzi nimi Łukasz i on teraz opiekuje się rodziną. Są tam jeszcze Marcel, taki z poparzoną ręką, i Igor, który...

– To wiem. I oni wszyscy pojechali busami? Jest pewien?

– Na pewno opuścili Ponderosę – odparł Lemańczyk. – Ale co potem...

Drelich wiedział jednak, że żadne „potem” nie było tu potrzebne, bo nie mieli przed kim robić zwodów. To znaczyło, że Kamaz rzeczywiście pojechał do Kracha tylko z Jakubem.

– Zapytaj go jeszcze o tego, któremu złamałem rękę – powiedział. – Co z nim zrobili? I, na miłość boską, nie odkładaj...

Ale było już za późno – Lemańczyk najwyraźniej znowu potraktował komórkę jak stacjonarny.

– Tomeczka odwieźli do szpitala na Śląsku – oznajmił, gdy z powrotem podniósł telefon.

– Dobra, dzięki. Zdzwonimy się później. Nie chcę blokować linii.

Drelich rozłączył się, przejechał przez Głogówek i wyjechał na drogę ku Krapkowicom. Ponownie spojrzał w notatki.

Dlaczego Kamaz nie zabrał ze sobą wojownika? Czy Jakub w ogóle umiał walczyć? A może był mu potrzebny jako drugi kierowca, kopacz dołu albo czujka ustawiona na trasie, żeby sprawdzić, czy Drelich jedzie bez wsparcia? On sam właśnie tak by zrobił. Oczywiście zakładając, że w ogóle wpadłby na tak popierdolony pomysł jak honorowy pojedynek.

Jeszcze raz na szybko połączył się z Lemańczykiem.

– Powiedz młodemu, by opisał dokładnie, co wie o tym Jakubie – polecił. – Wzrost, wiek, jak bardzo może być groźny. Wszystko, co przyjdzie mu do głowy. I wyślij mi to. Cześć.

Honorowy pojedynek. To pojęcie nie było mu obce, w końcu przez wiele lat brał udział w dziesiątkach zawodów, stając na niejednej macie i kłaniając się wielu tak przeciwnikom, jak i sędziom. Zresztą w ubiegłym roku jego kuzyn Andrzej zginął, bo za bardzo wierzył w taki właśnie honor i w to, że ktoś jeszcze cokolwiek rozstrzyga w uczciwej walce.

Bez względu jednak na to, co sam o tym myślał, honorowy pojedynek pasował mu do Kamaza. Człowieka, który nagle wszystko rzuca na szalę, by się mścić. Guru sekty, który złożył przysięgę krwi, że porwie jego córkę, bo według niego ta należy do jego rodziny. Faceta, który zalewa głównem ojcowizną, bo nie zależy mu na pieniądzach, a chce wysłać w świat przekaz. Wielkoluda, który podobno umie się bić i któremu zapewne do reszty odbiło, skoro naprawdę poszedł w te wojownicze bzdury. Drelich bowiem nie sądził, by Kamaz myślał aż tak szybko i w ciągu kilku godzin

opracował tak skomplikowany plan. Zresztą plan na co? Na zwabienie akurat jego?

Z niemal każdego punktu widzenia Drelich był w tej sprawie płótką. Facet miał w tej chwili Kracha, więc jeśli chciał, bez trudu mógł poznać miejsce ukrycia Kozdrasia oraz Magdy i ich odbić. W zasadzie w ciągu kilku godzin mógł przywrócić wieczorne status quo, jednocześnie pozbywając się tego, kto je zakłócił. Mógł też poznać tożsamość Drelicha – tortury, zwłaszcza zadawane bliskim, łamały silniejszych niż Krach, więc była to informacja stosunkowo łatwa do uzyskania. A mimo to Kamaz wciąż jej nie miał. Wolał grę w otwarte karty.

Nie oznaczało to wcale, że Drelich chciał ją podjąć. Jeśli jednak zależało mu na uratowaniu Kracha, nie było innego wyjścia.

Od lat pracował nad tym, by nie mieć kontaktów w branży i stykać się z innymi wyłącznie za pośrednictwem Kracha. Jasne, wciąż znał parę płótek, dilerów, jumaczy, pomniejszych paserów, silnorękich czy innych ludzi od dowolnego detalu, ale z nikim nie łączyły go już ani interesy, ani przysługi. Przy skokach to Krasowski załatwiał każdą sprawę, organizował ekipę i sprzęt. On też brał na siebie kontakt z ludźmi z miasta, którzy mogliby teraz – nawet za przysługę – udzielić zbrojnego wsparcia. Chociażby ten cały częstochowski Bobi albo nawet Chrypka. Być może Krach miał więcej takich znajomości zapisanych w telefonie czy komputerze, ale nie było czasu, by to sprawdzać.

Drelich nie miał się do kogo zwrócić. Nie znał nawet telefonu do Sylwii, bo przecież oficjalnie się nie poznali. Mógł jedynie szukać na oślep, kontaktować się z ludźmi, których ledwie kojarzył, i tym samym się ujawnić, albo zadzwonić na policję, by podjechała do domu Kracha. Wiedział jednak, że to żadne rozwiązanie. I na pewno nie pomoże na już.

Jasne, pozostawali stryj Józef i jego synowie, tyle że i tak mogli go jedynie asekurować w przypadku ewentualnej pułapki. Mimo to zdecydowanie wolał trzymać ich w odwodzie. Wiedział, że jeśli coś mu się stanie, nie odpuszczą, a to był najważniejszy gwarant, którego potrzebował ze względu na Izę, Zosię i Nikodema.

Zadzwonił do Izy. Gdy odebrała, upewnił się, że może swobodnie rozmawiać, po czym bez wchodzenia w szczegóły streścił jej sytuację. Już na samym początku zapewnił, że sekta nie wie o ich zaangażowaniu w sprawę, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa wkrótce się dowie.



Opowiedział o Wojtku, o tym, co i dlaczego zrobił, a także o potencjalnych kontaktach sekty w lokalnej policji.

– Co teraz zamierzasz? – zapytała, gdy skończył mówić.

– Spróbuję pomóc Krachowi – odparł. – Wy zostańcie na miejscu, bo tam nie trafią, i zapisz sobie numer do Józefa. Gdyby coś mi się stało...

– Nawet tak, kurwa mać, nie mów!

Wziął głębszy oddech.

– Przepraszam – powiedział. – Ale i tak zapisz numer do Józefa. I na wszelki wypadek daj znać Krystianowi, żeby nie spał u ciebie w domu.

– Nie ma go w Warszawie. Co z Nikodemem?

– Na razie bezpieczny. Po pierwsze Krach nie wie, gdzie jest Niko, więc nie mają jak się dowiedzieć. Po drugie od namierzania ludzi w rodzinie był Jonasz, a on nie żyje. Widziałem ciało.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym Drelich upewnił się, czy dobrze zapisała numer do stryja. Chciał jej jeszcze wydać kilka dyspozycji na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, ale wiedział, że teraz by się wściekła, więc odpuścił. Obiecał tylko wysłać wiadomość do południa. Wtedy, jak uznał, na pewno będzie już po wszystkim.

Gdy Kamaz podszedł, Krach resztką sił próbował walczyć, żeby chociaż odwlec to, co i tak było nieuniknione, ale olbrzym nie dał mu żadnych szans. Podniósł go, jeszcze raz przywalił w wątrobę, a potem po strażacku przerzucił sobie przez ramię i zaniósł do dołu. Tam czekał już otwarty bagażnik.

– Zrobiłem też dziurę na stopy – powiedział ten drugi, Jakub. – A na górę położymy deski, by się nie załamało.

Krach czuł tylko ból i odrętwienie, słyszał szum i miał wrażenie, że zaraz się udusi. Stęknął, gdy olbrzym upuścił go na ziemię, a potem jeszcze raz, kiedy zepchnął go do dołu.

Rozległ się trzask. Towarzyszyła mu eksplozja bólu, więc w pierwszej chwili pomyślał, że pękła mu kolejna kość, może nawet kręgosłup. Ale nie, to tylko ostry kawałek na dnie bagażnika wbijał mu się w plecy.

Patrzył teraz w górę, na korony drzew wchodzące w przestrzeń wyciętego z ziemi prostokąta, na kawałek zachmurzonego nieba wyzierający spomiędzy liści, a potem nagle na pozbawioną wyrazu twarz Kamaza, który wskoczył do dołu i sięgnął do klapy bagażnika. W jego drugiej ręce pojawił się telefon.

Krach wierzgał, choć nie był w stanie niczego zrobić, bo miał skrępowane ręce. Mimo to rzucał się jak wyciągnięta z wody ryba, próbując utrudnić opuszczenie pokrywy.

Kamaz cierpliwie czekał, robiąc zdjęcia. W pewnym momencie wykonał nagły ruch i zatrzasnął bagażnik. Jedna z gumowych rurek, przepchnięta przez tworzywo, boleśnie otarła Krachowi policzek.

Brodacz krzyknął, ale odpowiedziało mu jedynie szuranie desek, a potem głucho uderzenia ziemi o plastik.

Podjął ostatnią, desperacką próbę walki. Szarpał się, próbował kopać i wrzeszczał, jednak osiągnął tylko tyle, że pęknięty plastik pod plecami jeszcze bardziej rozciął mu skórę. Dźwięk sypiących się na bagażnik kolejnych łopat ziemi stopniowo cichł, aż w końcu zapadła całkowita cisza.

I nagle nie było już nic, ani światła, ani dźwięków z zewnątrz. Tylko jego oddech w małej, ciasnej przestrzeni.

Oddychał płytko i szybko, hiperwentylując się i zarazem – jak alarmował go spanikowany głos w jego głowie – błyskawicznie spalając tlen. Wydawało mu się, że plastik trzeszczy pod naporem ziemi i zaraz pęknie, ale nie miał już siły dłużej krzyżeć. Nie miał siły wierzgać, szarpać się czy jakkolwiek walczyć. Był pewien, że umiera.

Cyprian poderwał się gwałtownie i usiadł na łóżku, dysząc ciężko. Zerknął w lewo, gdzie powinna spać Magda, a gdzie teraz było puste miejsce, po czym rozejrzał się po pokoju. Spojrzał na telewizor zawieszony na ścianie i stojące pod nim niewielkie biurko z lampką, na szafę z przesuwными drzwiami po prawej i okno, za którym rozciągał się widok na Warszawę.

Gdy weszli tu nad ranem, w pierwszej chwili był przekonany, że ta skąpana w mroku panorama, poprzetykana gdzieniegdzie światłami, to fototapeta. Musiał podejść i otworzyć okno, by mieć pewność, że nie będzie spał w jakimś pieprzonym bunkrze.

– Magda? – zawołał, jeszcze zanim na dobre uspokoił oddech. – Magda, jesteś?!

Pojawiła się w drzwiach. Miała na sobie rozwiązany szlafrok i majtki, a poza tym była naga. Widział jej nabrzmiałe piersi i wielki brzuch z purpurowosiną pionową linią. Opadał już nisko i wyglądał jak dojrzały owoc, który lada chwila spadnie z drzewa. Wyglądała przepięknie, jakby w ciągu tych kilku godzin zeszło z niej całe napięcie, które nadawało jej twarzy nieładny wyraz.

– Zły sen? – zapytała. W dłoni trzymała nadgryzioną kanapkę.

– Śniło mi się, że znowu mnie zakopał – odpowiedział. – Że znowu...

Urwał, gdy przyłożyła palec do ust, a potem wolną ręką pogłaskała się po brzuchu. I chyba po tym geście zorientował się, że nie jest w tym wszystkim do końca prawdziwa. Zachowywała się tak, jakby próbowała przekonać siebie, że już jest dobrze. A może jego? Może czuła się tą silniejszą, która musi teraz zadbać o nich oboje?

– Dziecko nie powinno tego słuchać – powiedziała z przyganą w głosie. – Zaczęliśmy nowe życie, pamiętasz?

– Tak – odparł, choć bez przekonania.

Bo owszem, pamiętał, ale kompletnie w to nie wierzył.

Mimo to wstał, zdjął pościel i wrzucił ją do pralki, a potem zajrzał do szafki w łazience, gdzie mieściły się środki chemiczne. Na ile mógł,

wyczyścił plamę na materacu, a potem otworzył okno, by się wywietrzyło. Przechodząc koło drzwi wejściowych, sprawdził, czy są zamknięte na wszystkie zamki, a potem jeszcze na wszelki wypadek zerknął przez wizjer, ale rybie oko pokazało wyłącznie pusty korytarz. Odrobinę uspokojony przeszedł do największego pokoju.

Tam czekały już na niego talerz kanapek, kawa i szklanka soku, a na oparciu krzesła bielizna oraz świeży dres. Ubrał się szybko i usiadł do jedzenia, szybko jednak zorientował się, że nie tylko nie chce mu się jeść, ale wręcz nie jest w stanie wmusić w siebie choćby kęsa. Patrzył więc na trzymaną kanapkę, jakby była jakimś cennym artefaktem, którego wartości nie umiał docenić.

Magda usiadła na fotelu z pilotem w ręku i leniwie skakała po filmowych kategoriach. Znowu odniósł to samo wrażenie co wcześniej. Że ona wcale nie chce tego robić, tylko po prostu tak wyobraża sobie normalne życie – ludzi spędzających wolne chwile na skakaniu po kanałach.

– Tyle tego jest, że kompletnie nie umiem zdecydować – powiedziała, odwracając się do Cypriana. – Masz ochotę na coś konkretnego?

Pokręcił głową. Było mu wszystko jedno. Poczuł się tak, jakby wcale nie uciekli, tylko zamienili jedno więzienie na drugie. Bo nawet jeśli pošłą Kamaza i Jonasza za kratki, nawet jeśli to wszystko się uda i rodzina się rozsypie, to czy kiedykolwiek będzie umiał zasnąć spokojnie? Czy odważy się wyjść do sklepu bez rozglądania się? Czy opanuje paralizujący strach, gdy Magda wyjdzie do sklepu czy fryzjera, albo czy kiedykolwiek puści swoje dziecko do przedszkola, szkoły?

Zdał sobie sprawę, że nic się nie zmieniło. Jego matka wciąż nie żyła, a on znowu tkwił w punkcie wyjścia, jak wtedy, gdy poznał Kamaza na tamtym wykładzie. Czuł się dokładnie tak samo – pusty, rozdygotany, rozstrojony.

W rodzinie miał przynajmniej reguły, zasady. Kogoś, kto myślał za niego. Miał drogę i przewodnika po tej drodze. Ludzi, którzy byli mu podobni. Rutynę dnia. A teraz? Kim był teraz? I po co?

Zaklął w myślach na próbę i skrzywił się z bólu oraz z rozczarowania. Uciekł, ale nic się nie zmieniło.

Nieznany numer zadzwonił w trzeciej godzinie jazdy. Drelich akurat ruszył po tym, jak zatrzymał się na moment, by w skupieniu przeczytać esemesa na temat Jakuba. Teraz odebrał przez zestaw głośnomówiący.

– Gdzie jesteś? – zapytał Kamaz.

– Na wysokości Piotrkowa.

– Zadzwoń na ten numer, gdy miniesz Rawę Mazowiecką – odparł olbrzym i się rozłączył.

Mocniej zacisnął ręce na kierownicy. Czuł się coraz gorzej z tym, że jedzie w pieprzoną paszczę lwa. Robiąc to, nie tyle nagiął własne zasady, ile wprost je łamał. A przecież nie wymyślił tych reguł bez powodu – dzięki nim zawsze panował nad sytuacją. Tymczasem teraz nie był gotowy fizycznie, bo bolała go obita twarz i obtłuczone żebra, a do tego zbyt krótko spał. Psychiczenie też nie, bo wciąż nie miał choćby załączka planu.

Wiedział jedno – nie nadawał się do walki. Nie przeciwko komuś tak wielkiemu, kto umiał się bić, nie tych okolicznościach. Mogłoby się udać, gdyby był w pełni formy. W końcu zdarzało mu się stawać przeciwko równie wielkim i nadrabiać szybkością, zwinnością oraz techniką, ale teraz mógł liczyć jedynie na słabości przeciwnika. Na to, że on również jest zmęczony po tej nocy. Tyle że to było zdecydowanie za mało, by opierać na tym życie swoje i wielu innych osób.

Rzecz jasna, Drelich miał też broń, co jednak nie rozwiązywało problemu. Nawet jeżeli Kamaz nie zastawił na niego pułapki i rzeczywiście chodziło o honorowe starcie, na pewno jakoś się zabezpieczył. Na przykład mógł najpierw kazaćgo obszukać temu Jakubowi i zagrozić, że inaczej nie wskaże miejsca zakopania Kracha.

Bo nawet jeśli Kamaz działał jak szaleniec, to jednak niewątpliwie zgodnie z jakimś planem. Próbował kontrolować sytuację, w której obaj się znaleźli, stopniowo wydawał dyspozycje odnośnie do lokacji, dbał o to, by przeciwnik niczego nie przewidział i nie przygotował zawczasu. Gdyby Drelich miał wybór, nigdy by się na to nie zgodził. Ale nie miał.

Pogrążony w myślach, aż podskoczył, gdy telefon zaczął wibrować, powiadamiając go o serii przychodzących wiadomości. Wszystkie pochodziły z numeru Kamaza. Żadna z nich nie zawierała tekstu, tylko zdjęcia przedstawiające kolejne etapy zakopywania Kracha. Na pierwszych dwóch było go jeszcze widać – przerażonego, zakrwawionego i spętanego taśmą. Na kolejnych widniał już tylko zamknięty samochodowy bagażnik, najpierw zabezpieczony z góry deskami, a potem stopniowo zasypywany ziemią. Sterczały z niej trzy identyczne rurki z grubego gumowego węża, przypominającego ogrodowy, które miały dostarczać tlen. Drelich wątpił, by dobrze spełniały swoje zadanie, zwłaszcza jeśli Kracha zakopano głęboko. Odłożył telefon na bok i przyspieszył, wciskając się ryzykownie na lewy pas i wyprzedzając jadącą przed nim półciężarówkę.

Na wysokości Rawy zadzwonił i Kamaz kazał mu zjechać z trasy w Zawadach, kierując się na Skierniewice. Oznajmił, że wie, ile to powinno zająć czasu, i przypomniał, by Drelich nie wymyślał żadnych bzdur.

– Jestem już zmęczony przewidywaniem twoich ruchów, panie De – powiedział. – Pewnie tak samo jak ty rozmyślaniami, na ile to wszystko jest pułapką. Dlatego darujmy to sobie. Nie ma tu żadnych gier. Ty i ja. Zróbmy to jak należy albo nie róbmy wcale.

– Zróbmy – odparł Drelich i tym razem to on się rozłączył.

Po dziesięciu minutach zjechał z S8 i ruszył krajową siedemdziesiątką między polami w stronę ściany lasu. Uważnie się rozglądał i sprawdzał lusterka, wypatrując jakiegoś auta wyjeżdżającego nagle z bocznej drogi albo jakiegokolwiek innego sygnału, że jest śledzony czy obserwowany. Nie zauważył niczego takiego, dlatego w pewnym momencie zwolnił i wyjął ze schowka kaburę z pistoletem. Nie zamierzał się z nią kryć, więc wygiął się i zamocował ją przy pasie.

Ledwie to zrobił, znowu zadzwonił Kamaz.

– Powinieneś już być blisko – powiedział. – Jak już wjedziesz do parku, po kilkuset metrach zobaczysz wjazd do lasu. Tylko uważaj, bo łatwo przeoczyć.

– Po czym poznam, że to ten?

– Po wyłamanej szlabanie. No i po mnie, panie De, bo będę tam na pana czekał.

Drelich rozłączył się, skasował historię połączeń, numer Izy oraz Lemańczyka i wyłączony już telefon wrzucił do schowka.

Dojechał do linii drzew oraz czerwonej tablicy informującej, że oto dotarł do Bolimowskiego Parku Krajobrazowego. Zaraz za tabliczką była boczna droga, ale nie dostrzegł żadnego szlabanu. Zwolnił więc tylko, upewniając się, że nie stoi tam ukryty żaden samochód, a potem pojechał dalej. Miał teraz dwie ściany gęstego lasu po obu stronach, a przed sobą lśniący nowością asfalt, który wyglądał, jakby był mokry.

Właściwy wjazd znajdował się kilometr dalej. Drelich zauważył go bez trudu, bo od momentu przekroczenia linii drzew jechał wolno, uważnie się rozglądając. Zresztą czekający tam Kamaz rzeczywiście siedział na widoku. Na widok nadjeżdżającego samochodu uniósł głowę, po czym podniósł się i wolno wszedł w głąb lasu, trzymając ręce szeroko, a dłonie otwarte na znak, że nie ma w zanadrzu żadnych sztuczek.

Drelich wdusił przycisk zabezpieczenia drzwi, maksymalnie obniżył kąt ustawienia bocznych lusterek, a następnie skręcił i powoli wjechał w las. Dopiero wtedy zobaczył złamany szlaban, znajdujący się dobre dwadzieścia metrów za linią pierwszych drzew.

Zatrzymał się przed słupkiem, wbił wsteczny i trzymając nogę na sprzęgle, rozejrzał się po krzakach. W obniżonych lusterkach upewnił się, że nikt nie skrada się wzdłuż auta, i dopiero wtedy wbił luz, wyłączył silnik i odbezpieczył drzwi. Poprawił kaburę i wysiadł, a potem stanął przed samochodem, tak by utrudnić komuś zajście go od tyłu.

Kamaz zaśmiał się krótko na widok pistoletu i podciągnął swoją koszulkę. Obrócił się powoli wokół własnej osi, a potem podciągnął też obie nogawki.

– Trudno dziś uwierzyć w honor wojownika, co? – rzucił.

Drelich z niepokojem zauważył, że mimo tylu godzin na nogach olbrzym wygląda niezwykle rześko, emanuje wręcz siłą, energią i pewnością siebie. Oczywiście część z tego była pozą, ale nie miał wątpliwości – z nich dwóch to Kamaz prezentował się dużo lepiej.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteś tu sam? – zapytał Drelich, na co olbrzym tylko rozłożył ręce.

– Choćby stąd, że wciąż stoisz – powiedział. – Że żadna zbłąkana kula z krzaków nie wryła ci się w głowę, panie...

Zawahał się, a jego mina, zmrużone nagle oczy i to, jak przechylił głowę, świadczyły wyraźnie, że w tym momencie go rozpoznał. Jego uśmiech zniknął, twarz stężała, a prawa dłoń zacisnęła się w pięść.

– Znam cię – wycedził.



– Czy to coś zmienia? – zapytał Drelich.

Olbrzym długo wpatrywał się w niego w milczeniu, w końcu jednak wolno pokręcił głową.

– Niewiele – mruknął. – Za to w zasadzie tłumaczy, dlaczego tak naprawdę przyjechałeś. Bo przyznam, miałem pewne wątpliwości, czy się odważysz.

Wskazał na kaburę u jego boku.

– To zostaje – oświadczył. – Rozumiem, że mi nie wierzyłeś i musiałeś się zabezpieczyć. Ale nie poprowadzę cię dalej, dopóki masz ją przy sobie, wiesz o tym. A sam go nie znajdziesz.

Drelich się nie poruszył, patrzył przed siebie, raz po raz zerkając na krzaki.

– Ty i ja, żadnej broni – powiedział Kamaz. – A jeśli będziemy dłużej stać, czekając na tego, komu wskazałeś to miejsce, twój przyjaciel umrze.

Oparł dłoń o słupek złamanego szlabanu, wyraźnie dając do zrozumienia, że nigdzie mu się nie spieszy.

Drelich obserwował go uważnie. Skupił się już tylko na nim, mając teraz niemal całkowitą pewność, że to nie pułapka. Nie zauważył nikogo oprócz nich dwóch, nikt się na niego nie czał, a Kamaz był po prostu pewien siebie i swojej siły. W chwili, gdy on odłoży pistolet, naprawdę ruszą w las i będą walczyć, a potem – zgodnie z jego obietnicą – któryś z nich odkopie Kracha.

Widział zniecierpliwienie czające się w oczach olbrzyma, wyczuwał nerwowe wyczekiwanie i nagle uzmysłowił sobie, że Kamaz tego starcia zwyczajnie potrzebuje. Walki, odkupienia krzywd zadanych rodzinie: śmierci tej łysej i hańby Tomeczka – pragnął tego tak bardzo, że pewnie zgodziłby się nawet zagwarantować nietykalność Izie i Zosi niezależnie od wyników starcia.

Drelich jednak zdawał sobie sprawę z czegoś jeszcze – jeśli odłoży broń, nie ma szans.

I nie była to wcale myśl podszyta strachem czy paniką, tylko zwyczajna chłodna kalkulacja, jakiej dokonywał już setki razy. Wiedział, że nie wygra tego starcia, bo nie spełniło się żadne z założeń, z którymi tu jechał. Kamaz nie wyglądał na zmęczonego po trudnej nocy ani tym bardziej osłabionego. Nie był też, co się okazało, gdy zadarł koszulkę, prostym mięśniakiem, którego można łatwo zmęczyć, ani zalany tłuszczem wielkoludem. Wiedział, co Drelich zrobił z Tomeczkiem, a mimo to nie mógł doczekać się

starcia. Jeżeli miał jakąś słabość, to niewidoczną na pierwszy rzut oka, a szukanie jej dopiero w walce oznaczało samobójstwo.

Drelich robił takie rzeczy, walczył przecież z ludźmi postury Kamaza, ale to zawsze wymagało potężnego zrywu, na który teraz nie było go stać. Miał trzydzieści, może czterdzieści procent szans, a przy tej stawce musiał być pewien. Dlatego teraz sięgnął do kabury, dobył broni i strzelił.

Za wolno. Kamaz musiał już coś przeczuwać, a teraz dostrzegając ruch, zareagował błyskawicznie i rzucił się do przodu. Pocisk trafił go w ramię, szarpnął nim, ale go nie spowolnił. Zrobiły to dopiero dwa kolejne, oba w korpus, wtedy jednak wielkolud był już niemal przy nim, rycząc głośno i tnąc powietrze chaotycznymi sierpami.

Drelich zrobił unik przed pierwszym ciosem, ale drugi, zaskakująco mocny i szybki, powalił go na ziemię. Upadł oszołomiony, a olbrzym runął na niego, miażdżąc mu żebra i pozbawiając tchu.

Zaczęli się szamotać. Ranny Kamaz walczył wyjątkowo zajadle, wierzgał, próbował się podnieść, zadawał ciosy łokciami i głową. Drelich wił się i skręcał, bronił przed chaotycznym gradem uderzeń, nie podejmując jednak jakiegokolwiek kontrataku. Wiedział, że w tym momencie wystarczą najwyżej dwa ciosy, by pozbawić go przytomności, dlatego przede wszystkim próbował zablokować olbrzymowi ręce, nogami owinał się wokół jego pasa i przywarł mocno. Trwał tak, biorąc na przeczekanie i nie dając mu się podnieść. Kiedyś musi osłabnąć, powtarzał sobie. Ma trzy pierdolone rany postrzałowe!

Gorąca lufa pistoletu, który wypadł mu z dłoni, parzyła go w bok, a krew sącząca się z ran Kamaza zalewała mu koszulę. Czas płynął, działając na niekorzyść wielkoluda, ale kiedy już wydawało się, że ten słabnie, nagle oswobodził jedną rękę i uderzył łokciem.

Drelichowi pociemniało przed oczami. Z oddali dochodził do niego szum silników aut przejeżdżających drogą zlewający się z chrapliwym, szarpanym oddechem olbrzyma. Gdzieś wysoko nad ich głowami świergolił jakiś ptak...

Spróbował przechwycić wolną rękę Kamaza, ale ten oderwał się od niego gwałtownie i szarpnął do tyłu, wznosząc zaciśniętą pięść. Oszołomiony Drelich odruchowo ustawił gardę i przyjął cios na przedramiona, ciężki, bolesny, niemal nie do wytrzymania. Przez głowę przemknęła mu przerażająca myśl, jak mocne byłoby to uderzenie, gdyby wielkolud był w pełni sił.

Mocniej zacisnął nogi na jego biodrach, zaplótł stopy jedna o drugą. Ręka olbrzyma znowu się wzniosła, ale tym razem wolniej. Opadła też słabiej, w dodatku niecelnie, bo zamiast w głowę Drelicha uderzyła w ziemię obok, ledwo ocierając się o jego ucho. Kamaz uniósł się ponownie, znieruchomiał, po czym runął do przodu, przygniatając go całym swoim ciężarem. Tym razem jednak już się nie szarpał ani nie walczył. Nie żył.

Drelich potrzebował dobrych dwóch minut, by wygrzebać się spod zwłok. W końcu podniósł się, wspierając o auto i dysząc ciężko, stopniowo wyrównał oddech. Dopiero wtedy przeszukał olbrzymowi kieszenie, wyciągnął komórkę i zwitek pieniędzy, a następnie zepchnął ciało do rowu za krzakami. Obszedł samochód, z bagażnika wyjął plecak i przebrał się w jedyne rzeczy, jakie tam miał, czyli te ze skoku w Gronowie. Zakrwawione ubranie zwinął w kulkę i spakował w miejsce tamtych. Schylił się po pistolet, butem zamazał ślady krwi i wsiadł do wozu.

Sprawdził telefon Kamaza. Urządzenie nie miało ustawionej biometrii, tylko zabezpieczenie kodem. Drelich spróbował kilku najpopularniejszych, ale nie trafił. Zaklął, rzucił komórkę na siedzenie obok i rozmasował twarz.

Zdawał sobie sprawę, że być może właśnie zabił Kracha. Świadomość, że była to jedyna sensowna decyzja, nijak mu w tym momencie nie pomagała. Teraz mógł jedynie spróbować odnaleźć to przekłete miejsce. Tylko jak?!

Mimo zdenerwowania szybko ustalił podstawowe fakty. Kamaz przyszedł po niego, więc raczej nie było to daleko stąd. Jeśli założył, że im dłużej będą szli, tym przeciwnik będzie się bardziej niepokoił – od pięciu do dziesięciu minut spacerem, czyli obszar do półtora kilometra. Nie dałoby się wykopać dołu w gęstym lesie, powinien więc szukać jakiejś polany, na tyle ukrytej, by nikt postronny nie zauważył gumowych węży sterczących z ziemi.

Potrzebował jak najwięcej ludzi, na przykład mieszkańców okolicznych wiosek. Gdyby zebrali się szybko i ruszyli ławą, sprawdzając każdy metr, mieli szansę.

Jak dużą? Tego Drelich nie chciał szacować. Wiedział, że Kamaz najpewniej złamał Krachowi nos, co bardzo utrudniało mu oddychanie, a gumowe węże stanowiły fatalną wentylację. W dodatku jakiś czas już tam leżał. Godzinę? Dwie? Mógł dostać zawału ze strachu, udusić się, ale równie dobrze mógł zemdleć i w ten sposób nieco zmniejszyć zapotrzebowanie na tlen. Mimo wszystko nadzieja wciąż się tliła.

Już miał wyszukać najbliższy posterunek policji, gdy nagle coś go tknęło. Otworzył wiadomość od Kamaza i uważnie przyjrzał się zdjęciom. Znał ten bagażnik! Krach kiedyś na niego kłął, bo choć największy z dostępnych i tak okazał się za krótki na jego narty. Był też za duży, by wstawić go do Citroëna, a Drelich pamiętał, że ten wóz nie miał mocowań na dachu. To mogło oznaczać tylko jedno: musieli zabrać samochód Kracha.

Wszedł w przeglądarkę i wpisał nazwę firmy. Zależało mu głównie na telefonie. Wybrał go, wcisnął „Połącz” i czekał.

- AutoSerwis, słucham – odezwał się niski męski głos.
- Jest Filip? – zapytał Drelich.
- A kto mówi?
- Powiedz mu, że od Kracha. I że w chuj pilne i ważne.
- Chwila.

Przez dobre trzy minuty słuchał dźwięków warsztatu, nerwowo bębniąc palcami po kierownicy. Miał nadzieję, że się nie pomylił, bo jeżeli tak, to marnował cenny czas.

- Kaczanowski, słucham – rozległo się wreszcie w telefonie.

Drelich znał Filipa, wysokiego, chudego mechanika, który dawno temu zaczynał jako kierowca ucieczkowy. Dziś miał własny warsztat, z którego Krach często korzystał biznesowo i prywatnie.

– Cześć, Filip. Drelich z tej strony – przedstawił się. – Słuchaj, sprawa jest. Życia i śmierci. To wy robiliście Krachowi dodatkowe zabezpieczenia antykradzieżowe, nie?

Kaczanowski wyraźnie się zawahał. Drelich wyobraził sobie, jak tamten marszczy czoło, odsuwa telefon i rozgląda się, rozważając odpowiedź.

- Po co ci to? – zapytał w końcu mechanik.
- Porwali go. I raczej nie chodzi o okup, więc liczy się każda minuta. Zawinęli go jego wozem, dlatego muszę wiedzieć, czy w aucie jest GPS i czy masz do niego loginy. Gonię ich, ale muszę wiedzieć, gdzie są.

Kaczanowski głośno wypuścił powietrze.

- Drelich, zrozum, ja nie mogę takich rzeczy...
- Czas, kurwa, Filip!
- Poczekaj. – Rozległ się odgłos odkładanego telefonu, a potem dźwięk palców uderzających o klawisze starej klawiatury. – Mówimy o beemce czy toyocie?
- Beemce. Gdzie teraz jest?

– Mówi ci coś Jeruzal? W okolicach Skierniewic, kawałek od Rawy Mazowieckiej.

– Tak, to to. Możesz mi dać dokładny namiar? Współrzędne?

– Podaj maila. Ale jeśli to jest jakiś przekręt...

Nie dokończył. Drelich podał mu maila i zaraz dostał wiadomość ze współrzędnymi. Wpisał je w telefon, wycofał samochód na drogę i pognął w stronę Jeruzala.

Na miejscu był w ciągu dwunastu minut. Zaparkował na poboczu dwieście metrów przed celem, włączył awaryjne, ukrył broń pod koszulką i zamknął samochód. Ruszył chodnikiem, rozglądając się dyskretnie na boki.

Suv stał zaparkowany pod nowym piętrowym sklepem spożywczo-przemysłowym. W środku drzemał starszy mężczyzna w okularach. Nie pasował do tego auta: był brudny i miał włosy w nieładzie. Pewnie właśnie dlatego nie czekał przed wozem – by nikomu się nie pokazywać i nie wzbudzać pytań.

Drelich zastanawiał się, czy widzieli się tamtego dnia w Ponderosie, ale uznał, że w tej sytuacji nie ma czasu na subtelności. Podszedł i zastukał w szybę.

Mężczyzna za kierownicą aż podskoczył i spojrzał wyraźnie przestraszony. Drelich, chcąc go uspokoić, uśmiechnął się i poprosił gestem, by otworzył okno. Tamten zrobił to, choć z wyraźnym ociąganiem.

– Co się stało? – zapytał, opuszczając tylko kawałek. – Nie mogę tu stać?

– Proszę pana, nie będę mówił do szyby – odparł Drelich wciąż z uśmiechem.

Ze sklepu wyszła właśnie jakaś kobieta. Otaksowała wzrokiem suva i stojącego przy nim mężczyznę, ale bez szczególnego zainteresowania. Ruszyła w górę drogi, nie oglądając się za siebie.

Drelich odczekał, aż szyba otworzy się do końca, a potem sięgnął po broń i przystawił ją Jakubowi do głowy.

– Kamaz nie żyje, Jonasz też nie – powiedział. – Wiemy, gdzie Łukasz wiezie resztę rodziny, więc jeśli nie zrobisz tego, co ci powiem, będziesz odpowiedzialny za śmierć ich wszystkich, rozumiesz?

Nie miał pojęcia, czego się po nim spodziewać, ale zakładał jakiś opór z jego strony wywołany gniewem czy przerażeniem. Jakub tymczasem wyglądał, jakby nie odczuwał żadnych emocji. Owszem, przyglądał mu się nieufnie, ściągając usta, jednak poza tym nic. W pewnym momencie uniósł

tylko rękę do okularów, ale zaraz ją opuścił, gdy poczuł na skroni nacisk lufy.

– Skąd... – zaczął, po czym odchrząknął. – Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

– Do Kamaza mogę cię zawieźć, bo leży w krzakach – powiedział Drelich. – Jonasz leży martwy w Ponderosie. Możesz do niego zadzwonić, jeśli masz telefon. Odpowie ci pewnie gronowska policja.

Te słowa również nie wywołały u Jakuba wstrząsu. Wolno, z rozmysłem pokiwał głową, a jego ręka znowu powędrowała ku okularom. Tym razem sam się zorientował, ale jej nie opuścił.

– Mogę? – upewnił się.

– Możesz, najpierw jednak otwórz auto i przesiądź się na drugie miejsce.

Drelich poczekał, aż starszy mężczyzna przeniesie się na fotel pasażera, schował broń i wsiadł. Odpalił silnik.

– Dokąd jechać? – zapytał.

– Do Kamaza – odparł tamten, trąc nerwowo szkła okularów o koszulkę. – Najpierw muszę zobaczyć. Mieć pewność.

Drelich wiedział, że nie ma sensu z tym dyskutować, dlatego zawiózł go na miejsce i pokazał mu zwłoki olbrzyma schowane za krzakami.

Starszy mężczyzna zachwiał się i w ostatniej chwili oparł się o auto, jego twarz jednak wciąż nie wyrażała żadnych emocji.

– Łopaty są w bagażniku? – zapytał Drelich.

Jakub pokręcił głową, wciąż wpatrzony w trupa.

– To gdzie?

– Na miejscu – wyjaśnił. – Kamaz chciał, żeby można go było od razu odkopać.

Podniósł wzrok i skupił go na Drelichu.

– Nie walczyłeś uczciwie, prawda? – zapytał. – Nie dałeś się na to nabrać? Mówił, że ludzie tacy jak ty lubią wierzyć, że są tymi dobrymi. I to wasza największa słabość.

Chciał dodać coś jeszcze, ale najwyraźniej zrezygnował, bo tylko wskazał na las.

– Chodźmy. Powinniśmy się pospieszyć.

Jak się okazało, nie mieli daleko. Miejsce ukryto na tyle skutecznie, że na pierwszy rzut oka trudno było cokolwiek zauważyć. Starannie wysypano tam ściółkę, zaciągnięto też dużą suchą gałąź, a wyloty gumowych węży zamaskowano krzakami. Przysypane ziemią dwa szpadle leżały między

korzeniami pochylonego drzewa. Obok nich znajdował się nóż zawinięty w szmatę i taśma.

– Na ciebie miał inny pomysł – powiedział Jakub. – Chciał, byś krwawił małymi ranami prosto do ziemi. Tylko ziemia, tak dużo, aż nie byłbyś w stanie jej udźwignąć.

Drelich podniósł nóż i cisnął go daleko. Wyciągnął szpadle i jeden z nich podał Jakubowi.

– Kop – powiedział, samemu biorąc się do pracy. – I módl się, żeby to miało jeszcze sens.



## EPILOG

Drelich czekał na ławce przed szpitalem. Udało mu się wybrać taką, która jednocześnie mieściła się w cieniu drzew i pozwalała obserwować główne wejście oraz większą część parkingu.

Nie wyróżniał się specjalnie na tle ludzi w pobliskim parku. Jak wszyscy siedział pochylony nad komórką, a ubrany był lekko, adekwatnie do pogody – w spodnie do kolan i bawełniany T-shirt. Duże przeciwsłoneczne okulary o pomarańczowych szklach zasłaniały większość opuchlizny pod okiem.

Na nogach miał kolorowe jordany. Kupił je tylko po to, by wkurzyć Nikodema. Nie mógł się doczekać, aż odbierze go dziś z obozu i zobaczy jego minę, gdy syn zapyta o nie niby mimochodem, na pozór uprzejmie, jednak z wyraźną pretensją w głosie. Dopiero potem Drelich pokaże mu drugą parę, schowaną dla niego w bagażniku. Drobną przekomarzanka, ale i tak bardzo się na nią cieszył. Zwłaszcza że miał dla syna jeszcze jedną dobrą wiadomość.

Na razie jednak siedział tutaj i cierpliwie czekał, aż Sylwia wyjdzie.

To on ją uwolnił. Tak się właśnie poznali. Zostawił Kracha w szpitalu, pojechał do niego do domu i przedstawił się jako przyjaciel męża. Rozcinając więzy, opowiedział o jego stanie i obecnej sytuacji. Wyjaśnił, że doszło do udaremnionego porwania za okupem, a kilka dni później, wiedząc już, co sama usłyszała od Kamaza, trochę to naprostował, wciąż jednak nie podając całej prawdy. Nie zabrał jej wtedy do Kracha, choć chciała, ale zaoferował pomoc i tymczasowe lokum w jednym z bezpiecznych mieszkań, z których czasem korzystał. A kiedy cztery dni temu Kracha przewieźli do Warszawy, regularnie woził ją do szpitala.

Ją wpuszczali do chorego, jego nie. Nie miał o to pretensji. Zresztą z Krachem wciąż nie dawało się składnie porozmawiać, bo przez większość czasu był otumaniony lekami. Prócz złamanego nosa miał też pęknięty oczodół, i to właśnie wraz z opadnięciem lewego oka sprawiło, że w pierwszej chwili podejrzewano udar. Podobno doświadczył

niedotlenienia oraz przeżył pod ziemią coś, co lekarz nazwał niemym zawałem.

Obecnie jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo, ale czekała go długa i męcząca rekonwalescencja oraz rehabilitacja. A o tym, co tych kilka godzin pod ziemią zrobiło z jego psychiką, Drelich wolał nawet nie myśleć.

Zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza, czyli mniej więcej za półtorej godziny powinien się zbierać. Obiecał Izie, że zanim ruszy po Nikodema, wstąpi jeszcze do Cake, by zamienić z nią kilka słów, a to skracało zaplanowany czas o połowę. Jeśli miał zdążyć, Sylwia powinna wyjść w ciągu kwadransa.

Uznał, że wysłe jej ponaglenie za dziesięć minut, i przejrzał newsy.

Na temat sukcesu katowickiej policji w sprawie kradzieży silesiańskich zegarków ogólnopolskie serwisy wypowiadały się zdawkowo, wieńcząc niemal identyczne, kilkudzaniowe teksty informacją, że śledztwo wciąż trwa. Te lokalne, choć podawały więcej szczegółów, tak naprawdę sprowadzały się do tego samego: odzyskano mienie, aresztowano czterech sprawców, trwa ustalanie, czy pracowali na czyjeś zlecenie.

Sprawa sekty z Gronowa była natomiast gorącym tematem, który dopiero się rozkręcał. Pierwsze teksty podawały, że sekta licząca kilkanaście osób – w tym dzieci – została zatrzymana w wyniku zorganizowanej akcji podkarpackiej policji i straży granicznej. Informacja o grupie pochodziła od człowieka, który sam zgłosił się na policję w Skierniewicach i wskazał dokładną lokalizację. Wspomniano o strzelaninie, śmierci dwóch osób i o tym, że jedna z ofiar, sześciolatka dziewczynka, walczy obecnie o życie w szpitalu. Po zapoznaniu się z zeznaniami kilku członków rodziny oraz lekturze notesów stanowiących ich dzienniki do sprawy doszedł wątek Gronowa i Ponderosy, gdzie znaleziono ciało mężczyzny. Przesłuchano pracowników ośrodka i ostatnich kursantów, podniesiono także kwestię grobu, wielkiej podwójnej trumny oraz związanego z nią rytuału, jednak prawdziwe medialne show zaczęło się, dopiero gdy sprawę sekty powiązano z tajemniczym zabójstwem Mariusza Kamaszyńskiego. Ciało podróżnika, coacha i aktora znaleziono w Bolimowskim Parku Krajobrazowym.

Dla tabloidów wyposzczonych sezonem ogórkowym temat psychologa, który znał się z celebrytami i przez wiele lat pracował dla dużych firm, a tak naprawdę okazał się polskim Charlesem Mansonem, był istnym

darem niebios. Dzień później poinformowano, że do zabójstwa przyznał się ten sam człowiek, który złożył na policji pierwsze doniesienie.

Drelich zastanawiał się, czemu Jakub wziął na siebie śmierć Kamaza. Być może był to jakiś rodzaj pokuty albo spóźnionego głosu rozsądku, w każdym razie gwarantował Drelichowi spokój. Wiedział, że wciąż jeszcze na ujawnienie czekały zeznania Cypriana oraz materiały, które przy okazji wypłyną.

Odruchowo pomyślał o Kozdrasiu i o Magdzie. O tym, jak przez pierwsze trzy dni wolności siedzieli zamknięci w domu, nie mając z nikim żadnego kontaktu. Jak się bali wyściubić choćby nos za drzwi i z jaką uwagą śledzili telewizyjne newsy. Podobno wydzwaniali do Kracha setki razy. Kiedy Drelich ich odwiedził i powiedział, że Kamaz i Jonasz nie żyją, najpierw długo nie mogli uwierzyć, a potem oboje zaczęli płakać. Od tamtej pory ich nie widział.

Ze szpitala wyszedł jakiś mężczyzna. Krępy, siwy, w białej koszuli z krótkim rękawem i z wielkim złotym zegarkiem. Przystanął u szczytu schodów, założył na nos lustrzane awiatory i zaczął się rozglądać. W końcu go dostrzegł i pewnym krokiem ruszył w jego stronę.

– Ty jesteś Drelich, nie? – rzucił, stając przed ławką. – Sylwia powiedziała mi, że cię tu znajdę.

– To znaczy co dokładnie powiedziała? – zapytał Drelich, a krępy facet wyszczerzył równe białe zęby.

– No zapytałem ją, gdzie jest Drelich, a ona na to, że siedzi na ławce przed szpitalem.

– Tu jest dużo ławek.

– Ale tylko na jednej siedzi Drelich. – Siwy zaśmiał się ze swojego żartu. Otrzeptał siedzisko i usiadł. – Spokojnie, stary, nie ma żadnego powodu do nerwów. Znam twojego stryja.

– To akurat wystarczający powód – zauważył Drelich. – Kim jesteś?

– Najduch Robert. Wołają na mnie Bobi – przedstawił się. – Robiłeś dla mnie ostatnio.

– Wątpię.

Bobi znowu się roześmiał.

– Daj spokój, chłopie. Krach kręci wokół ciebie wielką mgłę, ale takiego numeru, że robi u niego bratanek Józefa Drelicha, łatwo nie ukryje. Zwłaszcza przed starymi przyjaciółmi, nie?

Drelich nie odpowiedział. Wsunął palec pod okulary i delikatnie podrapał się po opuchliźnie.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że sprawa z zegarkami się wyjaśniła i żebyś się tym już nie martwił.

– Słyszałem w telewizji – mruknął Drelich. – Wielki sukces katowickiej policji.

– Zabawny jesteś – zauważył Bobi. – Ale ja o prawdziwym wyjaśnieniu mówię. Gadałem z Chrypką. Wybudził się przedwczoraj i powiedział, co i jak.

Drelich westchnął ciężko i wreszcie po raz pierwszy odwrócił głowę, by spojrzeć na rozmówcę.

– No więc co? I jak?

– Ano tak, że Chrypka chciał być bohaterem strażakiem – powiedział Bobi. – Słyszałeś pewnie o takich, nie? Co najpierw sami podpalają, a potem zgłaszają i przyjeżdżają gasić, żeby wyjść na bohaterów. No więc Chrypka chciał tak samo. Wiedział, że nie on odpowiada za przygotowanie akcji, więc tu jest bezpieczny, a potem miał zamiar odzyskać skradzione zegarki, zapunktować u Kracha i wywalczyć znaleźne. Sprytne, nie?

– Sprytne – przyznał Drelich. – A powiedział, jak to zrobił? Skąd wiedział, gdzie jest auto?

– Za kogo mnie masz, chłopie? – Bobi udał oburzenie. – Oczywiście, że powiedział. Tablice. Krach zlecił kradzież aut we Wrocławiu, ale tablic już w Katowicach, by blachy były śląskie. A że Chrypka zna się z jumaczami na Śląsku, to uczulił, by mu strzelić z ucha, jak się pojawi temat. No i było tak, że ci z Wrocławia wpadli tymi lewymi furami, tablice wymienili miejscowi, a w gratisie zamocowali im nadajniki.

Drelich pokiwał głową.

– Co z nim? – zapytał.

– Z Chrypką? Nic w sumie. Wychodzi ze szpitala, ale nie na długo raczej. Rak trzustki, wczesna faza. Będzie walczył, tylko na razie rodzinę chciał zabezpieczyć. Tak mówi. Ale sprawdzę jeszcze.

Drelich chciał coś odpowiedzieć, jednak w drzwiach szpitala pojawiła się Sylwia. Wsparta na kulach stanęła dokładnie tam, gdzie wcześniej Bobi, i tak jak on zaczęła się rozglądać. Uniósł rękę, by pokazać jej, gdzie jest, i wstał.

– Muszę lecieć – oznajmił. – Ale miło było poznać.

– Mnie również – odpowiedział tamten. – I powiem ci, że cieszę się, że to nie ty.

– Nie mój styl.

Bobi uśmiechnął się tylko.

– Tak, wiem. Honor złodzieja – rzucił. – Ale wiesz, że tak naprawdę nie ma czegoś takiego, nie?

– Pewnie nie – zgodził się Drelich i ruszył w stronę Sylwii.

\* \* \*

Iza ewidentnie na niego czekała, bo ledwie podjechał, wyszła przed lokal, a potem ruszyli przez parking w stronę niewielkiego skweru.

– Trochę mamy zamieszanie w środku – wyjaśniła, choć nie zapytał. – A nie chcę wystawać pod cukiernią.

– Z tym okiem pewnie odstraszasz ci klientów, co?

Uśmiechnęła się lekko, rejestrując żart, ale myślami była gdzieś daleko. Sprawiała wrażenie podenerwowanej, choć tu akurat powód znał dość dobrze.

– O której będą? – zapytał.

– Za trzy godziny. Ojciec powiedział, że pociąg ma opóźnienie, i poprosił, żebym przesunęła spotkanie z prawnikiem.

Przeczesła włosy nerwowym gestem.

– Nie jestem pewna, Drelich, czy to dobry pomysł. Rozumiem pomaganie temu chłopakowi, ale...

– ...ale nie chcesz, żeby się spotykał z Zosią – dokończył za nią. – Wiem. Tylko ona wie, że twój ojciec chce się nim zająć. Zresztą rozmawiałś z nim, to wy ustaliliście te zasady.

– Tak, tylko że... – zaczęła, ale machnęła ręką. – On zabił dwoje ludzi, Drelich. I z jednej strony jakoś przyjmuję, bo wiem dlaczego, ale z drugiej... Chryste, tak się cieszę, że ich wszystkich wyłapali. I że im nie odpuszczają.

Nie odpowiedział. Skupił wzrok na chłopaku w garniturze, który na elektrycznej hulajnodze slalomował z gracją między przechodniami. Przestał go obserwować, gdy chłopak zatrzymał się przed przejściem dla pieszych.

– A z innych rzeczy – Iza zmieniła wątek. – Zośka mówiła ci, że zadzwoniła do niej Kinga? Ponoć dowiedziała się o sekcje. Umówiły się na rozmowę jutro.

– Nic nie mówiła – zaniepokoił się Drelich. – I czekaj, jak niby się dowiedziała?

Kilka dni temu, po bardzo burzliwej dyskusji z Izą, która mocno na to nalegała, wymusił na Cyprianie i jego prawnikach skasowanie dokumentacji dotyczącej córki. Oczywiście nadal istniało ryzyko ich odzyskania, ale zakładał, że śledczy będą mieli dość materiałów, by grzebać jeszcze w usuniętych danych.

– Myślę, że po prostu pokojarzyła fakty – powiedziała spokojnie Iza. – Po pierwsze wiedziała, gdzie mieszka dziadek Zosi, po drugie próbowała się do niej dodzwonić, a po trzecie zobaczyła wiadomości w telewizji, gdzie Gronowo odmieniąją przez wszystkie przypadki. Oficjalnie padło, że w niektórych zajęciach uczestniczyli ludzie z miasta. No to pewnie dodała dwa do dwóch.

– Pewnie tak – zgodził się.

– A, no i rzeczywiście Zośka nie mogła ci powiedzieć, bo to dziś rano było – przypomniała sobie Iza. – Zlewają mi się te dni ostatnio.

Drelich spojrział na zegarek.

– Powinienem już jechać – stwierdził. – Lepiej, żebym z tym okiem nie wracał z Nikodemem po nocy.

– Jasne – zgodziła się. – Zadzwoń do ciebie po spotkaniu. W ogóle to powiesz mu dzisiaj?

– O wspólnym mieszkaniu? Tak, taki miałem plan. A to problem?

Pokręciła głową, a potem nagle przygryzła wargę. I już wiedział, że nie chodziło o Wojtka, sprawę z Kingą czy o to, że Nikodem przeprowadza się do niego. Powód jej zdenerwowania był inny.

Przystanął, wziął ją za rękę i pogładził kciukiem po knykciach. Stary gest z czasów, gdy jeszcze byli razem, ale w sumie już nie pamiętał, kiedy robił to po raz ostatni.

– Co jest? – zapytał.

Przez dobrych kilka sekund unikała jego wzroku. Potem nagle zadarła głowę i spojrzała hardo i stanowczo. Jak ktoś, kto podjął już trudną, ale ważną decyzję.

– Zamierzam porozmawiać z Krystianem – powiedziała.

– Przecież już go wprowadziłaś – zdziwił się.

– O tobie – wyjaśniła. – O tym, kim jesteś czy raczej byłeś, o tym, dlaczego się rozstaliśmy. Bez szczegółów oczywiście, nic, co mogłoby cię

bezpośrednio wrzucić na minę. Po prostu muszę mieć kogoś swojego, kto wie.

Milczał. Cofnął dłoń i wepchnął ją do kieszeni.

– My się nigdy nie rozstaliśmy, Drelich. Nie tak naprawdę. Sytuacja z zeszłego roku i ta teraz... to wszystko...

– Rozumiem – odparł cicho.

– Dużo myślałam, gdy siedziałyśmy u ciebie w domu. Nie mogłam się do nikogo odezwać. Była tylko Zośka, z którą rozmowa przypominała spacer po polu minowym, i ty. Nie zrozum mnie źle. Doceniam, że wszystkim się zająłeś, i w ubiegłym roku, i teraz. Uważam, że jesteś chodzącym paradoksem. Przez to, co robisz w życiu i jaki jesteś dla nas. Rzecz w tym, że ja nie chcę, by połowę mojego życia stanowiły twoje tajemnice, Drelich. Nie chcę kłamać dzieciom, partnerowi i terapeutce o najprostszych sprawach z własnej przeszłości, bo jest naznaczona tobą, twoim życiem. Muszę budować relacje z innymi ludźmi na prawdziwych podstawach. Wygrzebać się z traumy po tym, co stało się w zeszłym roku. I nie mogę już dłużej martwić się w samotności, gdy dzwonisz i mówisz, że coś ci się może stać.

– Rozumiem – powtórzył. Wyjął rękę z kieszeni, spojrzął na tarczę zegarka ukrytą jak zawsze po wewnętrznej stronie przegubu. – Dobra, jeśli chcę zdążyć, muszę już iść, Iza. A ty... rób, jak uważasz.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Nie odwracał się, więc nie wiedział, czy próbowała go zatrzymać albo powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymała. Po prostu zostawił ją tam, mimowolnie zastanawiając się nad różnymi wariantami jej decyzji. Rozważał, co może się stać, jakie to będzie niosło konsekwencje, zagrożenia. Jak wpłynie na nich, ich relacje. Na jego świat.

Był już prawie na ulicy, gdy poczuł w kieszeni wibrację telefonu. Wyjął go i spojrzął na wyświetlacz. Numer nie był opisany, ale rozpoznał go od razu.

Przystanął, odetchnął głęboko i odebrał, odzywając się jako pierwszy:

– Dzień dobry, stryju.

## POSŁOWIE

Ludzie pytają mnie czasem na spotkaniach, czy chciałbym być jak Drelich. Gdy odpowiadam, że przecież jestem, traktują to jako żart.

Ale ja wtedy wcale nie żartuję! Oczywiście nie jestem błyskotliwym, opanowanym w każdej sytuacji złodziejem, nie umiem tak dobrze walczyć i nie potrafię w dwie minuty wymyślić pięciu rozwiązań na każdy problem – no dobra, to akurat potrafię, ale tylko na potrzeby swoich fabuł – ale za każdym razem pisanie o tym gościu zmusza mnie do siedzenia mu w głowie i ogarniania świata na jego sposób przez dobrych kilka miesięcy.

I powiem Wam, że to z jednej strony wielka frajda, z drugiej jednak poważne utrudnienie – bo bardzo specyficzny sposób myślenia Drelicha sprawia, że w tych prostych w gruncie rzeczy opowiastkach sensacyjnych nie mogę korzystać z wielu sprawdzonych gatunkowo rozwiązań. Muszę dociekać, kombinować, wymyślać i przede wszystkim stale się czegoś douczać. Lubię to, bo w pisaniu wciąż szukam przede wszystkim wyzwania, ale jednocześnie to cholernie męczące. Przecież nie znam się, cholera, na wszystkim.

Szczerze mówiąc nie muszę, bo mam ogromne szczęście do ludzi, którzy chętnie dzielą się ze mną swoją wiedzą i umiejętnościami.

I tak również w tym tomie wszystkie sceny walk opracowaliśmy wspólnie z moim bratem Maciejem "Lobo" Linke, mistrzem judo i brazylijskiego jiu-jitsu. Jego doświadczenie, tak z maty, jak i ulicy, połączone ze sporą wiedzą z zakresu popkulturowych schematów sprawiło, że trudno mi wyobrazić sobie lepsze wsparcie w tym zakresie.

W tym tomie mniej jest niestety słodkich wypieków, ale gdy się do nich odnoszę, wiem, że tu również jestem bezpieczny, bo Iza Salamucha, najbardziej rockowa spośród cukierniczek, wciąż czuwa nad zawodową stroną swojej książkowej imienniczki.

Z nowych osób, które mocno przyczyniły się do uwiarygodnienia tej opowieści, zdecydowanie muszę wspomnieć i podziękować Filipowi Kaczanowskiemu, ekspertowi ze szkoły bezpiecznej jazdy Škody



w Poznaniu, który nie tylko czuwał nade mną na specjalnym torze, pokazując mi swoje niebywałe umiejętności, ale i w zaciszu poznańskiego McDonalda pomógł opracować szczegółowy plan wiadomego napadu. Techniczne szczegóły tych scen, które mogły was w jednym czy drugim momencie zaskoczyć, to zasługa tamtej rozmowy.

Wielkie podziękowania należą się także ojcu Radosławowi z Dominikańskiego Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach, który znalazł dla mnie czas, by porozmawiać o motywach i sposobach działania sekt i ich guru, a potem polecił całą listę książek do pogłębienia poruszonych zagadnień. W tym miejscu jednak pragnę nadmienić, że jakkolwiek uważam pomoc ojca Radosława za nieocenioną, nie chciałem nadużywać jego uprzejmości i zabierać czasu, więc nie prosiłem go już o opinię o gotowej książce. Mieście to, proszę, na uwadze, gdybyście zauważyli jakąś nieścisłość czy uproszczenie.

Tak się złożyło, że osobą odpowiedzialną za spójność obu tomów, pilnąca detali i ciągłości trzecioplanowych wątków i motywów stała się moja menedżerka Agnieszka Włoka. Na ten moment można śmiało powiedzieć, że Agnieszka zna te już napisane książki lepiej niż ja i wiem, że pisząc kolejne tomy, będę wielokrotnie korzystał z jej wiedzy.

Dziękuję wszystkim swoim betatesterom, a w szczególności Wojtkowi Chmielarzowi, Andrzejowi Kwietniowi i Krzysztofowi Wojciechowskiemu, których uwagi i doraźna pomoc okazały się na różnych etapach kluczowe.

Za redakcję, która bardzo się przysłużyła rytmowi tej książki, dziękuję znakomitej jak zawsze Karolinie Macios. A za okładkę, która jest tak bardzo w klimacie tego, co sobie wymarzyłem, dziękuję Piotrkowi Sokołowskiemu.

Ach, no i nie mogę nie wspomnieć, jak bardzo cieszy mnie, że właśnie ta książka jest pierwszą, która ukazała się w Pulp Books – wydawnictwie, które współtworzę z bliskimi mi ludźmi, z którymi dzielę pasję i zamiłowanie do opowiadania świetnych historii.

I jeszcze jedna uwaga na koniec. Z wiadomości, które otrzymywałem po premierze pierwszego tomu, wiem, jakiej książki teraz oczekiwaliście i rozwinięcie których wątków było dla Was kluczowe. Mam świadomość, że idąc w kontynuacji nieco inną drogą, mogłem część z Was zaskoczyć czy nawet rozczarować. Jeśli jednak tak jest, pamiętajcie, proszę, że to cykl, który jest zaplanowany na trochę więcej książek. I jeżeli zaufacie mi na

tyle, by kontynuować tę przygodę, wszystkie najważniejsze wątki znajdą rozwiązanie.

Dzięki, że jesteście i dotarliście aż tutaj. To dla Was piszę.

Głuchołazy, luty 2022

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

## CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

## CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

EPILOG

POSŁOWIE